

Don Winslow

Z PSICH PAZURÓW

The Power of the Dog

Przełożyli

Katarzyna Bażyńska-Chojnacka

Piotr Chojnacki



Mary Read

Pamięci Sue Rubinsky
która zawsze chciała dowiedzieć się prawdy

Ocal od miecza moje życie,
z psich pazurów wyrwij moje jedyne dobro.

Psalm 22:21

Prolog

El Sauzal

Stan Baja California

Meksyk

1997

Dziecko zginęło w ramionach matki.

Art Keller stwierdza na podstawie położenia ciał - jej na górze, dziecka pod spodem - że próbowała osłonić syna. Musiała wiedzieć, pomyślał Art, że jej własne, delikatne ciało nie zatrzyma pocisków - nie z karabinu automatycznego, nie o tym zasięgu - ale zachowała się instynktownie. Matka zawsze staje między swoim dzieckiem a zagrożeniem. Odwróciła się więc, zgięła, gdy uderzyły w nią kule, potem upadła na syna.

Czy naprawdę sądziła, że ocali dziecko? Może nie, myśli Art. Może po prostu nie chciała, żeby chłopiec widział jak śmierć bucha z lufy karabinu. Może pragnęła, żeby dziecko jako ostatnią rzecz na tym świecie odczuło ciepło jej łona. Spowitego miłością.

Art jest katolikiem. W swym czterdziestosiedmioletnim życiu widział już wiele madonn. Ale coś takiego zobaczył po raz pierwszy.

- *Cuernos de chivo* - słyszy czyjś głos.

Cicho, niemal szeptem, jakby znajdowali się w kościele

Cuernos de chivo.

Rogi kozła: AK-47.

Art już to wie - setki łusek 7,62 mm leżały na betonowej podłodze patio wraz z kilkoma łuskami od dwunastki i prawdopodobnie, zdaniem Arta, od AR-15. Ale większość od *cuernos de chivo*, ulubionej broni meksykańskich *narcotraficantes*.

Dziewiętnaście ciał.

Kolejne dziewiętnaście ofiar wojny narkotykowej, myśli Art.

Podczas swojej czternastoletniej wojny z Adánem Barrerą przywykł do oglądania zwłok - widział ich tak wiele. Ale nie dziewiętnaście. Nie kobiet, dzieci i niemowląt. Nie w takim stanie.

Dziesięciu mężczyzn, trzy kobiety, sześcioro dzieci.

Ustawieni na patio pod ścianą i rozstrzelani.

Rozerwani to właściwsze słowo, myśli Art. Rozerwani na strzępy niepowstrzymanym

gradem kul. Ilość krwi jest nierzeczywista. Kałuża czarnej, wyschniętej krwi rozmiarów dużego samochodu, gruba na cal. Plamy krwi na ścianie, plamy krwi na wystrzyżonym trawniku, gdzie połyskuje czarno-czerwono na koniuszkach traw. Żdźbła wyglądają jak ostrza wąskich zakrwawionych sztyletów.

Musieli podjąć walkę, kiedy uświadomili sobie, co ma nastąpić. Wyciągnięci z łóżek w środku nocy, zawleczeni na patio, ustawieni pod ścianą - ktoś zaczął walczyć, bo meble leżały porzucane. Ciężkie ogrodowe meble z kutego żelaza. Rozbite szkło na betonie.

Art patrzy w dół i widzi... Chryste, to lalka - brązowe oczy wlepiają się w niego - cała we krwi. Lalka, mały pluszowy zwierzaczek i piękny plastikowy srokaty konik leżą we krwi pod ścianą kaźni.

Dzieci, myśli Art, wyrwane ze snu łapią swoje zabawki. Nawet jeśli, szczególnie jeśli, słysząc terkot karabinów.

Nachodzi go irracjonalne wspomnienie: wypchany słoń. Zabawka z dzieciństwa, z którą zawsze sypiał. Miał jedno oko. Był pokryty wymiocinami, moczem i innymi wydzielinami dzieciństwa, i wszystkimi nimi pachniał. Matka wykradła mu go podczas snu i zastąpiła nowym słońcem, z obojgiem oczu i o nieskazitelnym aromacie, a kiedy mały Art się obudził, podziękował jej za nowego słonia, po czym wygrzebał starego ze śmietnika.

Arthur Keller czuje, że pęka mu serce.

Przeniósł wzrok na dorosłe ofiary.

Niektórzy mieli na sobie piżamy - drogie jedwabne piżamy i negliże - niektórzy podkoszulki. Dwoje z nich, mężczyzna i kobieta, było nagich - jakby wyrwano ich z postkoitalnego sennego objęcia. Coś, co kiedyś było miłością, myśli Art, teraz jest nagą nieprzyzwoitością.

Jedno ciało leżało osobno pod przeciwległą ścianą. Starszy mężczyzna, głowa rodziny. Pewnie zastrzelony na końcu, myśli Art. Pewnie musiał patrzeć, na śmierć wszystkich krewnych, a potem zginął sam. Miłosiernie? Zastanawia się Art. Czy był to pewien rodzaj chorej litości? Ale potem patrzy na ręce mężczyzny. Wyrwano mu paznokcie, a potem odrąbano palce. Usta ma wciąż otwarte w krzyku i Art widzi palce wystające z ust.

To znaczy, że ktoś z jego rodziny był *dedo*, palcem - informatorem.

Ponieważ ja chciałem, żeby w to uwierzyli.

Boże, wybacz mi.

Przegląda ciała, dopóki nie znajduje tego, którego szukał.

Wtedy skręca mu żołądek i musi walczyć z odruchem wymiotnym, ponieważ twarz młodego mężczyzny została obrana ze skóry jak banan: pasy ciała zwisają obscenicznie z jego

szyi. Art ma nadzieję, że zrobili to po tym, jak go zastrzelili, ale jednak wie swoje.

Ma przestrzeloną podstawę czaszki.

Strzelili mu w usta.

Zdrajcy dostają kulkę w tył głowy, informatorzy w usta.

Myśleli, że to on.

Czyli dokładnie tak, jak chciałeś, żeby myśleli, mówi Art sam do siebie. Spójrz prawdzie w oczy - wszystko potoczyło się zgodnie z twoim planem.

Ale tego nie przewidziałem, myśli. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogą to zrobić.

- Musiała tu być jakaś służba - mówi Art. - Pracownicy.

- Nikogo nie ma - odpowiada jakiś glina.

Zniknęli. Wyparowali.

Z przymusem jeszcze raz spojrział na zwłoki.

To moja wina, myśli Art.

Sprowadziłem to na tych ludzi.

Tak mi przykro, myśli Art. Tak bardzo, bardzo przykro. Schyla się nad matką z dzieckiem, robi znak krzyża i szepce: *In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti*.

- *El poder del perro* - Art słyszy słowa meksykańskiego policjanta.

Z psich pazurów.

Część pierwsza
Grzechy pierworodne

1.

Człowiek z Sinaloi

*Czy widzisz ową posępną równinę,
Dziką i martwą, ponure pustkowie,
Gdzie nie ma światła prócz migotu owych
Sinych płomieni, bladych i straszliwych?*
John Milton, *Raj utracony*¹

*Dystrykt Badiraguato
Stan Sinaloa
Meksyk 1975*

Maki płonęły.

Czerwone kwiecie, czerwone płomienie.

Tylko w piekle, myśli Art, kwiaty kwitną ogniem.

Art siedzi na grzbiecie nad płonąca doliną. Z góry wygląda to jak garnek parującej zupy - nie widzi wyraźnie przez dym, ale to, co można dostrzec, wygląda jak scena z piekła.

Hieronim Bosch odmalowuje wojnę z narkotykami.

Campesinos - meksykańscy chłopcy - biegają przed ścianą płomieni, ściskając w ramionach wszystko, co udało im się chwycić, zanim żołnierze podłożyli ogień pod wioskę. Pchając przed sobą dzieci, *campesinos* niosą torby z żywnością, fotografie rodzinne kupione za wysoką cenę, koce, trochę ubrań. W białych koszulach i słomianych kapeluszach - splamionych żółtym potem - wyglądają w oparach dymu jak duchy.

Gdyby nie ich strój, myśli Art, mógłby to być Wietnam.

Na wpół zdziwiony zerka na rękaw swojej koszuli i widzi dzins zamiast wojskowej zieleni. Przypomina sobie, że to nie jest operacja Feniks, ale operacja Kondor, a to nie są gęsto porośnięte bambusem góry I Korpusu, ale obsypane makami górskie doliny Sinaloi.

A te rośliny to nie ryż, tylko opium.

Art słyszy głuchy łomot śmigieł helikoptera i patrzy w górę. Ten dźwięk coś w nim porusza, jak u większości facetów, którzy byli w Wietnamie. Tak, porusza, ale co?, pyta sam

¹ Cytaty z *Raju utraconego* Johna Milтона w przekładzie Macieja Słomczyńskiego (Kraków 2005) (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczy).

siebie. Potem dochodzi do wniosku, że pewne wspomnienia lepiej pogrzebać.

Helikoptery i stałopłaty krążyły w górze jak sępy. Samoloty prowadziły oprysk; helikoptery chroniły samoloty przed sporadycznymi seriami z AK-47 wysyłanymi przez *gomeros* - hodowców opium - którzy jeszcze chcieli walczyć. Art wie zbyt dobrze, że celna seria z AK-47 może strącić helikopter. Jeśli się trafi w tylne śmigło, maszyna spada spiralnie w dół jak zabawka na dzieciennym przyjęciu urodzinowym. Jeśli się trafi pilota, cóż... Jak dotąd mieli szczęście i żaden helikopter nie został zestrzelony. Albo *gomeros* byli fatalnymi strzelcami, albo nie przywykli do strzelania do helikopterów.

Teoretycznie wszystkie jednostki latające były meksykańskie - oficjalnie Kondor to meksykańska akcja, połączona operacja 9. Korpusu Armii i stanu Sinaloa - ale samoloty zakupiła i opłaciła DEA² za sterami siedzieli kontraktowi piloci DEA, w większości byli pracownicy CIA ze starej ekipy z Azji Południowo-Wschodniej. Można to uznać za smakowitą ironię, myśli Keller - chłopcy z amerykańskiego lotnictwa, którzy niegdyś przewozili heroinę dla watażków z Tajlandii, teraz rozpylają defolianty nad meksykańskim opium.

DEA chciała wykorzystać Agent Orange³, ale Meksykanie zaprotestowali. Zamiast tego woleli nowy związek 24-D, z którym Meksykanie czują się lepiej, głównie dlatego, zachichotał Art, że sami *gomeros* użyli go wcześniej do wytępienia chwastów wokół pól makowych.

Skorzystali więc z gotowych zapasów.

Tak, myśli Art, to meksykańska operacja. My, Amerykanie, jesteśmy tu tylko jako „doradcy”.

Jak w Wietnamie.

Tylko w innych czapeczkach.

Amerykańska wojna narkotykowa stworzyła front w Meksyku. Teraz dziesięć tysięcy meksykańskich żołnierzy przedziera się przez tę dolinę pod miasteczkiem Badiraguato, towarzysząc oddziałom policji federalnej, lepiej znanym jako *federales*, oraz tuzinowi doradców z DEA, do których należy Art. Większość żołnierzy porusza się pieszo; część jedzie konno, jak *vaqueros* poganiający przed sobą bydło. Otrzymali proste rozkazy: zatruć pola makowe i spalić resztki, rozpedzić *gomeros* jak suche liście podczas huraganu. Zniszczyć źródło heroiny, tutaj, w górach Sinaloi, w zachodnim Meksyku.

W Sierra Occidental istniała najlepsza kombinacja warunków - wysokości, ilości

² DEA - Drug Enforcement Administration, amerykańska rządowa agencja do walki z narkotykami.

³ Agent Orange (mieszanka pomarańczowa) - amerykańskie oznaczenie wojskowe preparatu fitotoksycznego stosowanego na masową skalę podczas wojny w Wietnamie.

opadów i kwaśnej gleby - na półkuli zachodniej dla uprawy *Papaver somniferum*, maku, z którego uzyskuje się opium, a po jego przetworzeniu „meksykańskie błoto”, tanią, brązową, silną heroinę, niezwykle popularną na ulicach amerykańskich miast.

Operacja Kondor, myśli Art.

Nikt nie widział prawdziwego kondora na meksykańskim niebie od ponad sześćdziesięciu lat, w Stanach jeszcze dłużej. Ale każda akcja musi mieć swoją nazwę, inaczej nie wierzymy, że jest prawdziwa, stąd Kondor.

Art poczytał nieco o tym ptaku. Jest to (był) największy ptak drapieżny, chociaż termin jest mylący, gdyż woli grzebać się w ściervie niż polować. Kondor wielki, dowiedział się Art, potrafi unieść małego jelenia; jednak tak naprawdę woli, żeby co innego zabiło jelenia, a on tylko zanurkuje i zabierze padlinę.

Modlimy się za zmarłych.

Operacja Kondor.

Kolejny przebłysk z Wietnamu.

Śmierć spadająca z nieba.

Jestem tu, znowu zaszyty w krzakach, znowu drżący w wilgotnych górskim chłodzie, czając się w zasadzce.

Znowu.

Tylko celem nie są tym razem partyzanci Vietcongu w powrotnej drodze do wioski lecz starszy don Pedro Áviles, narkotykowy król Sinaloi, El Patrón. Don Pedro sprowadzał opium z tych gór od ponad pół wieku, jeszcze zanim pojawił się Bugsy Siegel⁴ w towarzystwie Virginii Hill, aby znaleźć stałe źródło heroiny dla mafii z zachodniego wybrzeża.

Siegel dogadał się z młodszym don Pedro Ávilesem, który wykorzystał swoje wpływy i sam ogłosił się *patrón*, szefem, i zachował ten tytuł do dziś. Jednak wkrótce potem starszemu mężczyźnie władza wymknęła się z rąk, gdy młodzi zdolni zaczęli podważać jego autorytet. Prawo natury, przypuszcza Art - młode lwy w końcu pożerają stare. Przynajmniej raz w nocy Arta w jego pokoju w hotelu Culicán budzi terkot karabinów maszynowych na ulicy, tak powszedni, że miasto zdobyło przydomek Małego Chicago.

Cóż, może już jutro nie będą mieli o co walczyć.

Aresztuj don Pedra i wszystko się skończy.

A sam zostań gwiazdą, myśli, z niewielkim poczuciem winy.

Art jest prawdziwym zwolennikiem wojny narkotykowej. Dorastając w Bario Logan w

⁴ Bugsy Siegel (1906-1947) - amerykański gangster, uruchomił kasyno i hotel w Las Vegas, zastrzelony w przestępczych porachunkach. Virginia Hill była jego kochanką.

San Diego na własne oczy przekonał się, co heroina robi w dzielnicy, szczególnie tym uboższym. Powinieneś więc myśleć o tym, żeby usunąć narkotyki z ulicy, przypomniał sam sobie, a nie o własnej karierze.

Ale prawda jest taka, że facet, który wykończy starego don Pedra Ávilesę, musi zrobić karierę.

Co, szczerze mówiąc, można potraktować jako zachętę.

DEA to nowa organizacja, działająca zaledwie od dwóch lat. Kiedy Richard Nixon ogłosił wojnę narkotykową, potrzebował do niej żołnierzy. Większość rekrutów wywodziła się z Biura do spraw Narkotyków i Niebezpiecznych Leków; wielu pochodziło z różnych departamentów rządowych z całego kraju, ale zaledwie kilku na wczesnym etapie tworzenia DEA przeszło z Firmy.

Art był jednym z tych kowbojów Firmy.

Tak w terminologii policyjnej mówi się na każdego faceta z CIA. Stróże prawa niechętnie i nieufnie odnoszą się do tajnych służb.

Nie powinno tak być, myśli Art. Zajmują się przecież w zasadzie tym samym - zbieraniem informacji. Wyszukujesz swoje źródła, urabiasz je, idziesz za informacjami, jakie ci przekazują. Największa różnica między jego nową pracą a starą polega na tym, że w poprzedniej aresztował swoje obiekty, w nowej zabijał.

Operacja Feniks, zaprogramowane zniszczenie infrastruktury Vietcongu.

Art niewiele miał do czynienia z prawdziwą „mokrą robotą”. Jego zadaniem w Wietnamie było zbieranie i analizowanie danych. Inni, głównie ludzie z Sił Specjalnych na usługach Firmy, wkraczali i postępowali zgodnie z informacjami Arta.

Zwykle wyruszali nocą, wspomina Art. Czasem znikali na kilka dni, a następnie pojawiali się w bazie we wczesnych godzinach porannych pobudzeni amfetaminą. Potem zaszywali się w swoich barakach i spali cztery dni ciągiem, potem wracali i tak na okrągło.

Art wyruszał z nimi tylko kilka razy, kiedy jego osobowe źródła dostarczały wiadomość o dużej grupie korpusów oficerskich skoncentrowanej na jednym obszarze. Wtedy towarzyszył gościom ze służb specjalnych w zastawianiu nocnej pułapki.

Nie podobało mu się to zbytnio. Przez większość czasu miał cholernego stracha, ale robił, co do niego należało, pociągał za spust, chronił tyły kumpli, zawsze wychodził z akcji cało, ze wszystkimi kończynami i nietkniętym umysłem. Widział wiele świństw, o których wolałby zapomnieć.

Po prostu musiałem pogodzić się z faktem, myśli Art, że spisywałem nazwiska ludzi i robiąc to, podpisywałem na nich wyrok śmierci. Po tym należy po prostu znaleźć sposób na

to, żeby żyć przyzwoicie w nieprzyzwoitym świecie.

Tylko ta przeklęta wojna.

Ta cholerna, zasrana wojna.

Podobnie jak wielu ludzi obserwował w telewizji, jak ostatnie helikoptery startowały z dachów w Sajgonie. Jak wielu weteranów, tej nocy wyszedł i pił na umór; a kiedy pojawił się oficer i zaproponował mu przejście do nowo utworzonej DEA, zgodził się.

Najpierw przedyskutował wszystko z Althie.

- Może jednak ta wojna był coś warta - powiedział żonie. - Może jednak tak naprawdę wygramy tę wojnę.

A teraz, myśli Art siedząc i czekając aż ukaże się don Pedro, jesteśmy bardzo blisko tego.

Zdrętwiały mu nogi, ale się nie poruszał. Nauczył go tego Wietnam. Meksykanie rozmieszczeni w krzakach wokół niego są równie zdyscyplinowani - dwudziestu agentów specjalnych ze służby bezpieczeństwa z uzi i w mundurach maskujących.

Tío Barrera założył garnitur.

Nawet tutaj, w gęstych krzakach, specjalny asystent gubernatora ma na sobie markowy czarny garnitur i koszulę z kołnierzykiem z przypinanymi rogami oraz skórzany czarny krawat. Wygląda zamożnie i statecznie, jak typowy latynoski dostojnik.

Przypomina jedno z tych bożyszcz kobiet ze starych filmów z lat czterdziestych, myśli Art. Czarne, zaczesane do tyłu włosy, cienki czarny wąsik, szczupła, przystojna twarz z kośćmi policzkowymi, które wyglądają jak wykute z granitu.

Oczy czarne jak bezksiężycowa noc.

Oficjalnie Miguel Ángel Barrera jest gliną, stanowym policjantem Sinaloi, gorylem gubernatora Manuela Sáncheza Cerro. Nieoficjalnie Barrera to prawa ręka gubernatora. A patrząc na techniczne przygotowanie operacji stanowej w Sinaloa, to tak naprawdę Barrera wyreżyserował cały ten spektakl.

I ja, myśli Art. A jeśli mam być zupełnie szczery, Tío Barrera kieruje również mną.

*

Dwunastotygodniowe szkolenie DEA nie było takie straszne. Zajęcia kondycyjne przeszedł bez trudności - Art z łatwością przebiegał trzy kilometry i grał w kosza, a kurs samoobrony był mało wyszukany w porównaniu z Langley. Instruktorzy tylko się z nimi mocowali i boksowali, a Art w dzieciństwie zajął trzecie miejsce w turnieju Golden Gloves San Diego.

Był miernym bokserem wagi średniej - z dobrą techniką, lecz o słabych rękach.

Przekonał się boleśnie na własnej skórze, że nie da się nauczyć szybkości. Był na tyle dobry, żeby przebić się do wyższej ligi, gdzie naprawdę można dostać łupnia. Ale pokazał, że umie sobie z tym poradzić, a to stało się trampoliną dla dzieciaka mieszanej rasy w barrio, latynoskiej dzielnicy. Meksykańscy kibice sportów walki bardziej szanują wojownika, który potrafi przyjąć ciosy, niż je rozdawać.

Art potrafił przyjmować.

Po tym jak zaczął się boksować, Meksykanie dali mu spokój. Nawet gangi mu odpuściły.

Na szkoleniu DEA starał się jednak łagodnie traktować swoich przeciwników z ringu. Nie ma sensu pobić kogoś i narobić sobie wrogów tylko po to, żeby się popisać.

Zajęcia z ochrony porządku publicznego były trudniejsze, ale poradził sobie z nimi nieźle, a kurs ze znajomości narkotyków przeszedł bez trudu. Przy pytaniach w rodzaju: czy potrafi pan rozpoznać marihuanę? Czy potrafi pan rozpoznać heroinę? - Art z trudem powstrzymywał się od odpowiedzi, że w domu zawsze potrafił.

Ponadto musiał się też oprzeć pokusie, żeby być pierwszym w swojej grupie. Mógłby być, wiedział, że mógłby, ale postanowił latać poniżej zasięgu radaru. Faceci od ochrony porządku publicznego już odczuli, że osobnicy z Firmy zostali przeniesieni na ich grunt, więc lepiej było się nie wychylać.

Odpuścił więc sobie trochę trening fizyczny, siedział cicho na zajęciach, dawał po kilka błędnych odpowiedzi na testach. Robił to na tyle dobrze, żeby zdać, ale nie na tyle, by błyszczeć. Było to nieco trudniejsze podczas ćwiczeń w terenie. Inwigilacja? Bułka z masłem. Ukryte kamery, mikrofony, pluskwy? Potrafił je montować z zamkniętymi oczami. Potajemne spotkania, martwe skrzynki kontaktowe, przesłuchiwanie podejrzanego, zbieranie informacji, analiza danych? Mógłby sam tego uczyć na kursie.

Trzymał buzię na kłódkę, ukończył szkolenie i został agentem specjalnym DEA. Dali mu dwa tygodnie wolnego, a potem wysłali do Meksyku.

Prosto do Culiacán.

Do stolicy handlu narkotykowego półkuli zachodniej.

Na rynek opium.

Wprost do jaskini lwa.

Nowy szef przywitał go przyjaźnie. Tim Taylor, agent rezydent z Culiacán, przejrzał Arta na wylot. Nawet nie podniósł wzroku znad akt. Art usiadł po drugiej stronie biurka, a Tim spytał:

- Wietnam?

- Tak.

- Przyspieszony program pacyfikacji...

- Zgadza się - przyspieszony program pacyfikacji, czyli operacja Feniks. Stary żart brzmiał, że wielu gości musiało w pośpiechu nastawić się pokojowo.

- CIA - powiedział Taylor i to nie było pytanie, tylko stwierdzenie.

Pytanie czy stwierdzenie, Art nie odpowiedział. Na pierwszy rzut oka rozpoznał Taylora - był facetem z Biura do spraw Narkotyków, który przeżył złe czasy cięć budżetowych. Teraz, gdy narkotyki stały się priorytetowym problemem, nie zamierzał tracić swojej ciężko zapracowanej pozycji na rzecz garstki żółtodziobów.

- Wiesz, czego nie lubię u was, kowbojów z Firmy? - spytał Taylor.

- Nie. Czego?

- Nie jesteście glinami - stwierdził Taylor. - Jesteście zabójcami.

Pieprz się, pomyślał Art. Ale nie otworzył ust. Trzymał je ściśle zamknięte podczas całego wywodu Taylora na temat tego, że nie życzy sobie ze strony Arta żadnych kowbojskich wybryków. Jaką to wspaniałą tworzą „drużynę” i żeby Art lepiej „grał z drużyną” i „trzymał się reguł gry”.

Art z radością grałby w drużynie, gdyby go tylko do niej dopuszczono. Nie żeby Artowi jakoś cholernie na tym zależało. Jak się dorasta w barrio jako syn Anglika i Meksykanki, nie należy się do żadnej drużyny.

Ojciec Arta był przedsiębiorcą z San Diego, który uwiódł młodą Meksykankę podczas wakacji w Mazatlán. (Art zawsze uważał za zabawne to, że został poczęty, chociaż nie urodzony, w Sinaloi). Art senior postanowił zachować się odpowiednio i poślubił dziewczynę - bez większych oporów, gdyż była uderzająco piękna; Art odziedziczył po niej urodę. Ojciec sprowadził ją do Stanów i przekonał się, że przypomina większość rzeczy przywiezionych z wakacji w Meksyku - o wiele lepiej prezentowała się na oblanej księżycowym blaskiem plaży w Mazatlán niż w chłodnym świetle amerykańskiego dnia codziennego.

Art Senior rzucił ją, gdy Art miał rok. Ponieważ nie chciała, żeby syn stracił jedyny przywilej w swoim życiu - amerykańskie obywatelstwo - przeniosła się do dalekich krewnych w Barrio Logan. Art wiedział, kto jest jego ojcem - czasem siedział w małym parku przy Crosby Street, patrzył na wysokie, szklane wieżowce w centrum i wyobrażał sobie, jak wchodzi do jednego z nich, żeby spotkać się z ojcem.

Ale nic z tych rzeczy.

Art Senior wysyłał czek - na początku regularnie, potem sporadycznie - i miewał od czasu do czasu napady ojcowskich uczuć czy też poczucia winy. Wtedy zabierał Arta na

obiad albo na mecz Padres. Ale spotkania ojca i syna stały się niezręczne i wymuszone, a gdy Art poszedł do szkoły średniej, urwały się zupełnie.

Podobnie jak pieniądze.

Nielatwo więc było siedemnastoletniemu Artowi, kiedy wreszcie wybrał się do centrum, wszedł do jednego ze szklanych wieżowców, wkroczył do gabinetu ojca, położył na jego biurku swoje zabójcze wyniki z testu na zakończenie szkoły oraz list powiadamiający o przyjęciu na UCLA i powiedział:

- Nie stresuj się. Chcę tylko dostać czek.

Dostał.

Dostawał jeden rocznie przez cztery lata.

Otrzymał także lekcję: SOS.

Musisz zadbać Sam O Siebie.

Lekcja ta przydała mu się, kiedy DEA przerzuciła go do Culiacán, gdzie praktycznie zdany był na własne siły. „Po prostu orientuj się w sytuacji”, powiedział mu Taylor na początku, dorzucając do tego: „nie wymiękaj”, „nie przejmuj się” i, zupełnie serio, „klęska w przygotowaniach jest przygotowaniem do klęski”.

Powinien dodać jeszcze: „i odpieprz się”, ponieważ do tego wszystko zmierzało. Taylor i zwykli gliniarze zupełnie go wyizolowali, odcinali od informacji, nie zapraszali na spotkania z kontaktami, trzymali z daleka od przyjęć z lokalnymi meksykańskimi policjantami, nie zabierali na poranne plotki przy kawie i pączkach, ani na wieczorne wypady na piwo, kiedy to odbywał się prawdziwy przekaz informacji.

Wypieprzyli go na samym początku.

Meksykanie nie chcieli z nim gadać, ponieważ jako jankes w Culiacán mógł być tylko albo handlarzem narkotyków, albo agentem brygady antynarkotykowej. Nie był handlarzem, bo nic nie kupował (Taylor sępił na kasie; nie chciał, żeby Art spieprzył coś, co jakoś szło), musiał zatem być agentem.

Policja z Culiacán nie chciała mieć z nim nic do czynienia, ponieważ jako jankeski członek brygady antynarkotykowej powinien siedzieć w domu i troszczyć się o własny interes, a poza tym, większość z nich i tak była na usługach don Pedra Áviles. Gliny z policji stanowej Sinaloi trzymały się od niego z daleka z tych samych powodów, mając dodatkowy argument, że skoro sama DEA nie współpracuje z Kellerem, dlaczego oni mieliby to robić?

W drużynie działało się niewiele lepiej.

DEA przez dwa lata próbowała zmusić meksykański rząd do działania przeciwko *gomeros*. Agenci dostarczyli dowody - zdjęcia, nagrania, świadków - tylko po to, żeby

federales obiecali coś zrobić i nie robili nic. Ciągłe słyszeli: „To jest Meksyk, señores. Tutaj wszystko musi potrwać”.

Gdy dowody się przedawniły, świadkowie zaczęli się bać, a *federales* zmienili się na stanowiskach, Amerykanie musieli zacząć wszystko od nowa, z innymi federalnymi, którzy kazali im dostarczyć mocne dowody i przyprowadzić świadków. Kiedy to zrobili, popatrzyli na nich protekcyjnie i powiedzieli: „To jest Meksyk, señores. Tutaj wszystko musi potrwać”.

Podczas gdy heroina spływała ze wzgórz do Culiacán niczym błoto podczas wiosennych roztopów, młodzi *gomeros* załatwiali nocami swoje porachunki z siłami don Pedra, a dźwięki miasta zaczęły Artowi przypominać Danang i Sajgon, tylko strzałów było o wiele, wiele więcej.

Noc w noc Art leżał w łóżku w pokoju hotelowym, pił taną szkoekę, oglądał piłkę nożną albo boks w telewizji, wkurzał się i użalał nad sobą.

I tęsknił za Althie.

Boże, jak tęsknił za Althie.

Altheę Patterson poznał na Bruin Walk, kiedy był na wyższym roku i zaczepił ją banalnym: „Czy my nie jesteśmy w tej samej grupie na naukach politycznych?”

Althea, wysoka, szczupła blondynka była bardziej kanciasta niż zaokrąglona; miała długi, nieco haczykowaty nos, odrobinę zbyt szerokie usta i zielone oczy, osadzone za głęboko, żeby uznać jej urodę za klasyczną, ale Althea była piękna.

I bystra - rzeczywiście należeli do tej samej grupy na naukach politycznych i słuchał czasem jej wypowiedzi na zajęciach. Broniła jak lwica swojego punktu widzenia (nieco na lewo od Emmy Goldman⁵) i to również zrobiło na nim wielkie wrażenie.

Poszli razem na pizzę, a potem do jej mieszkania w Westwood. Zrobiła espresso i rozmawiali. Dowiedział się, że pochodzi z Santa Barbara, z bogatej rodziny, a jej ojciec jest wielką szyczą w stanowej Partii Demokratycznej.

Uznała go za szaleńczo przystojnego z szopą czarnych włosów opadających mu na czoło, z krzywym złamanym nosem, dzięki któremu przestał być słodkim chłopczykiem, i spokojną inteligencją, która zaprowadziła chłopaka z barrio na UCLA. Było coś jeszcze: samotność, wrażliwość, cierpienie, podskórny gniew - wszystko to dodawało mu nieodpartego uroku.

Wylądowali w łóżku. Po wszystkim spytał w ciemności:

⁵ Emma Goldman (1869-1940) - anarchistka znana ze swych radykalnych liberyńsko-socjalistycznych i feministycznych pism oraz wypowiedzi.

- Teraz możesz to chyba wykreślić ze swojej liberalnej listy.

- Niby co?

- Spanie z Latynosem.

Pomyślała przez kilka sekund i odpowiedziała:

- Zawsze wydawało mi się, że słowo Latynos odnosi się do Portorykańczyków. Mogę wykreślić jedynie sypianie z Meksykańcem.

- Prawdę mówiąc - rzekł - jestem Meksykańcem w połowie.

- Jezuu, Art - powiedziała. - No to jakim cudem jesteś taki dobry?

Althea stanowiła wyjątek w doktrynie SOS Arta, była wyłomem w jego samowystarczalności, który pojawił się w nim na dobre w chwili, kiedy ją poznał. Tajemniczość weszła już mu w zwyczaj, była murem obronnym, jaki starannie wznosił wokół siebie jeszcze jako dziecko.

Łowcy talentów z Firmy wyłowili go już na drugim roku i zerwali jak dojrzały owoc.

Jego profesor od stosunków międzynarodowych, kubański ekspatriant, zabrał go na kawę, potem doradził, jakie zajęcia wybrać, jakich języków się uczyć. Profesor Osuna zaprosił go do domu na obiad, nauczył, który widelec do czego służy, jakie wino do czego pasuje, a nawet z jakimi kobietami umawiać się na randki. (Profesor Osuna uwielbiał Altheę. „Jest dla ciebie idealna - powiedział. - Przy niej się wyrobisz”).

Przypominało to bardziej uwodzenie niż werbowanie.

Art się szczególnie nie opierał.

Mają nosa do takich facetów jak ja, pomyślał później Art. Zagubionych, samotnych odmieńców, którzy każdą nogą stoją w innym świecie, a nie pasują do żadnego. Byłeś więc dla nich idealny - inteligentny, wychowany na ulicy, ambitny. Wyglądasz jak biały, walczysz jak czarny. Potrzebujesz jedynie oglądy, a oni ci to zapewnią.

Potem przyszedł czas na drobne przysługi: „Arturo, przyjeżdża do nas profesor z Boliwii. Możesz oprowadzić go po mieście?”. I kilka innych w tym rodzaju, a później: „Arturo, czym doktor Echeverría lubi zajmować się w wolnym czasie? Pije? Lubi dziewczęta? Nie? No to może chłopców?”. A potem: „Arturo, gdyby profesor Méndez chciał trochę marihuany, dałbyś radę to załatwić?”. „Arturo, potrafisz mi powiedzieć, z kim nasz sławny kolega poeta rozmawia przez telefon?”. „Arturo, to urządzenie podsłuchowe. Gdybyś mógł zainstalować je w jego pokoju...”.

Art robił wszystko bez mrugnięcia okiem, i robił dobrze.

Dali mu dyplom i bilet do Langley niemal jednocześnie. Wyjaśnienie tego wszystkiego Althei było interesującym ćwiczeniem: „Chciałbym ci powiedzieć, ale naprawdę nie mogę” to

najlepsze, co udało mu się wymyślić. Nie była głupia, załapała.

- Boks - powiedziała mu - to najlepsza określająca cię przenośnia.

- Co masz na myśli?

- Sztuka uników - odpowiedziała. - Jesteś w tym dobry. Nic nie jest w stanie tobą wstrząsnąć.

To nieprawda, pomyślał Art. Ty mną wstrząsnęłaś.

Pobrali się kilka tygodni przed jego wyjazdem do Wietnamu. Pisał do niej długie, namiętne listy, w których nigdy nie padło ani słowo na temat tego, czym się tak naprawdę zajmuje. Kiedy wrócił do domu, uznała, że się zmienił; oczywiście że tak, musiał się zmienić. Jednak stał się jeszcze bardziej zamknięty w sobie niż wcześniej. Potrafił nagle rozlać między nimi ocean emocjonalnego dystansu i wypierać się tego. A potem znienacka znowu stawał się milutkim, wrażliwym człowiekiem, w którym się zakochała.

Odetchnęła z ulgą, kiedy powiedział, że myśli o zmianie pracy. Art z entuzjazmem poszedł do DEA; myślał, że naprawdę może zrobić tam coś dobrego. Althea zachęciła go, żeby przyjął tę propozycję, chociaż oznaczało to, że znowu będzie musiał wyjechać na trzy miesiące, chociaż wrócił do domu tylko na tyle, by zaszła w ciążę, a potem znowu wyjechał, tym razem do Meksyku.

Pisał do niej stamtąd długie namiętne listy, w których nigdy nie znalazło się nic na temat tego, czym się tak naprawdę zajmuje. Ponieważ w zasadzie nic nie robię, pisał jej.

Nic poza uzalaniem się nad sobą.

Rusz więc dupę i zrób coś, odpisała. Albo rzuć to i wracaj do mnie. Wiem, że tatuś w każdej chwili może załatwić ci pracę w biurze senatora, powiedz tylko słowo.

Art nic nie powiedział.

Ale coś zrobił, ruszył dupę i poszedł zobaczyć się ze świętym.

Wszyscy w Sinaloi znali legendę o Santo Jesúsie Malverde. Był bandytą, nieustraszonym włamywaczem, ubogim, który rozdawał wszystko biednym, Robinem Hoodem z Sinaloi. Szczęście opuściło go w 1909 roku, kiedy *federales* powiesili go na szubienicy, która stała na ulicy naprzeciwko miejsca, w którym teraz wznosi się jego sanktuarium.

Sanktuarium powstało spontanicznie. Najpierw były kwiaty, potem obraz, potem mały budynek z nieheblowanych desek zbudowany przez biednych nocą. Nawet policja bała się go zburzyć, gdyż legenda głosiła, że w sanktuarium mieszka dusza Malverde. Że jeśli przyjdiesz tam się pomodlić, zapalisz świeczkę i złożysz *manda* - pobożną obietnicę - Jesús Malverde będzie ci sprzyjał.

Jeśli przyniesiesz płody ziemi, będzie cię chronił przed wrogami i uzdrowi z chorób.

Na ścianach przybito dziękczynne kartki wyliczające łaski, jakimi obdarzył ludźmi Malverde: chore dziecko wyzdrowiało, cudownie pojawiły się pieniądze na czynsz, ktoś tam uniknął więzienia, komuś uchylono wyrok, *mojado* bezpiecznie wrócił z El Norte, ktoś uniknął morderstwa, ktoś pomścił morderstwo.

Art wszedł do sanktuarium. Pomyślał, że to dobre miejsce na początek. Wszedł z hotelu, cierpliwie czekał w kolejce z innymi pielgrzymami, a potem wszedł do środka.

Był przyzwyczajony do świąt. Jego matka zabierała go do kościoła Matki Boskiej z Gwadelupy w Barrio Logan, gdzie uczestniczył w lekcjach religii, przystąpił do pierwszej komunii i został bierzmowany. Musiał modlić się do świąt, palić świece przed ich figurami, siedzieć i patrzeć na święte obrazy.

Art pozostał dość wiernym katolikiem jeszcze w college'u. Na początku w Wietnamie regularnie przystępował do komunii, ale jego pobożność wyparowała i przestał chodzić do spowiedzi. Wyglądało to tak: Wybacz mi, Ojcze, bo zgrzeszyłem, Wybacz mi, Ojcze, bo zgrzeszyłem, Wybacz mi, Ojcze, bo... o żesz kurwa, to nie ma sensu! Codziennie kieruję ludzi na śmierć, co tydzień sam ich zabijam. Nie mogę przychodzić tu i obiecywać, że więcej tego nie zrobię, bo mam to w rozkładzie zajęć, regularnie jak mszę.

Sal Scachi, facet ze służb specjalnych, chodził na mszę w każdą niedzielę, kiedy akurat nie zabijał ludzi. Art dziwił się, że ta hipokryzja go nie peszyła. Raz rozmawiali nawet o tym po pijaku, Art z tym Włochem z Nowego Jorku.

- To dla mnie żaden kłopot - powiedział Scachi. - I ty też nie powinienes sobie zawracać tym głowy. Vietcong nie wierzy w Boga i tak, więc pieprzyć ich.

Wybuchła gorąca dyskusja. Art z przerażeniem stwierdził, że Scachi naprawdę wierzy, że mordując Wietnamczyków, wykonują „boskie zadanie”. Komuniści są ateistami, powtórzył Scachi, którzy chcą zniszczyć Kościół. To, co robimy, wyjaśnił, to walka w obronie Kościoła, to nie grzech, to obowiązek.

Sięgnął pod koszulę i pokazał Artowi medalik ze świętym Antonim, który nosił na łańcuszku.

- Dzięki niemu jestem bezpieczny - wytłumaczył. - Też powinienes taki mieć.

Art nie miał.

Teraz, w Culiacán, stał i wpatrywał się w obsydianowe oczy świętego Jesúa Malverde. Gipsowa skóra świętego była zupełnie biała, a jego wąsy kruczoczarne, na szyi namalowano mu jaskrawoczerwony krąg, co miało przypominać pielgrzymom, że, jak wszyscy najlepsi święci, zaliczał się do męczenników.

Santo Jesús umarł za nasze grzechy.

- Cóż - powiedział Art do figury - cokolwiek robisz, udaje ci się, a to, co ja robię, nie, więc...

Art złożył *manda*. Ukląkł, zapalił świecę i zostawił dwudziestodolarowy banknot. Niech to diabli.

- Pomóż mi to znieść, Santo Jesús - wyszeptał po hiszpańsku. - Dam pieniądze dla biednych.

Wracając do hotelu z sanktuarium, spotkał Adána Barrerę.

*

Art przechodził koło tej sali gimnastycznej tuzin razy. Miał wielką ochotę wstąpić, ale nie zdecydował się, jednak tego właśnie wieczoru w środku było sporo ludzi. Wszedł więc i stanął z brzegu.

Adán miał wtedy zaledwie dwadzieścia lat. Niski, niemal maleńki, o szczupłej budowie ciała. Długie, czarne, zaczesane do tyłu włosy, markowe džinsy, fioletowa koszulka polo, a na nogach najki. Drogie ciuchy jak na barrio. Dobrze dobrane ciuchy, bystry chłopak - Art postrzegał to w ten sposób. Adán Barrera po prostu wyglądał tak, jakby zawsze wiedział, co w trawie piszczy.

Art oceniał go na sto sześćdziesiąt, może sto sześćdziesiąt dwa centymetry wzrostu, ale chłopak stojący za nim miał spokojnie metr dziewięćdziesiąt. I był dobrze zbudowany. Szeroka klata, spadziste ramiona, długi jak tyczka. Nikt nie wziąłby ich za braci, gdyby nie ich twarze. Te same twarze w dwóch różnych ciałach - duże brązowe oczy, cera koloru kawy z mlekiem, bardziej wyglądali na Hiszpanów niż Indian.

Stali na skraju ringu i patrzyli na nieprzytomnego boksera. Drugi zawodnik stał na ringu. Dzieciak, kilkunastolatek, ale miał sylwetkę jakby wykutą z żyjącego kamienia. A jego oczy - Art widział je, zanim wszedł na ring - to były oczy urodzonego zabójcy. Chociaż teraz wyglądał na zakłopotanego i chyba czuł się winny.

Art od razu ocenił sytuację. Bokser właśnie znokautował swojego partnera sparingowego i teraz nie miał z kim trenować. Dwaj bracia byli jego menadżerami. Taka scena nie należała do rzadkości w meksykańskim barrio. Dla dzieciaków z barrio istniały tylko dwie możliwości wyrwania się w świat - narkotyki i boks. Chłopak był dobrze zapowiadającym się zawodnikiem, stąd ten tłum, a dwaj bracia - Flip i Flap z klasy średniej - jego menadżerami.

Teraz ten niższy rozglądał się, szukając w tłumie kogoś, kto mógłby wejść na ring i walczyć przez kilka rund. Większość facetów nagle odkryła coś bardzo interesującego na

czubkach swoich butów.

Art nie.

Zwrócił na siebie uwagę mężczyzny.

- Coś ty za jeden? - zapytał.

Jego brat rzucił okiem na Arta i powiedział:

- Jankeski agent.

Potem spojrział nad tłumem prosto na Arta i powiedział:

- *Vete al demonio, picaflor!*

Mniej więcej: „zjeżdżaj stąd, fiucie”.

Art szybko odpowiedział:

- *Pela las nalgas, perra.*

Pierdol się, sukinsynu.

W ustach faceta, który wygląda prawie jak biały, zabrzmiało to dość zaskakująco. Wyższy brat zaczął przepychać się przez tłum do Arta, ale niższy chwycił go za ramię i coś wyszeptał do ucha. Wyższy uśmiechnął się, a niższy powiedział do Arta po angielsku:

- Masz odpowiednią wagę. Co powiesz na parę rundek?

- To jeszcze dzieciak - odpowiedział Art.

- Potrafi o siebie zadbać - powiedział niższy brat. - Właściwie, to tobą też się zajmie.

Art roześmiał się.

- Boksujesz? - spytał chłopak.

- Zdarzało się - odpowiedział Art. - Trochę.

- No to chodź tu, jankesie - rzekł chłopak. - Zaraz znajdziemy jakieś rękawice.

Podejmując wyzwanie, Art nie chciał dokonać pokazu męskości. Mógłby po prostu wszystko obrócić w żart. Ale boks w Meksyku to świętość, a kiedy ludzie, do których próbujesz się zbliżyć od miesiący, zapraszają cię do swojej kaplicy, trzeba korzystać.

- Z kim będę walczył? - spytał jakiegoś gościa z tłumu, kiedy bandażowali mu ręce i naciągali rękawice.

- El Leoncito de Culiacán - z dumą odpowiedział mężczyzna. - Mały Lew z Culiacán. Pewnego dnia zostanie mistrzem świata.

Art wyszedł na ring.

- Nie szalej, bracie - powiedział. - Jestem już starszym panem.

Dotknęli się rękawicami.

Nie próbuj wygrać, powtarzał sobie Art. Uważaj na chłopaka. Jesteś tu, żeby zdobyć przyjaciół.

Dziesięć sekund później Art śmiał się z siebie między spadającymi ciosami. Jesteś tak skuteczny, mówił sam do siebie, jakby cię spętali kablem telefonicznym. Nie musisz się martwić, że wygrasz.

Martw się, żeby przetrwać, powiedział sobie w myślach dziesięć sekund później. Szybkość, z jaką chłopak ruszał rękami, budziła respekt. Art nawet nie nadążał wzrokiem za jego pięściami, nie mówiąc o blokowaniu ciosów, czy odparowaniu.

Ale trzeba próbować.

Chodzi o zdobycie szacunku.

Najpierw wymierzył mu prawy prosty, potem lewy i w zamian zainkasował paskudną potrójną kombinację ciosów. Bum-bum-bum. Jakbym siedział w środku zasranego bębna, pomyślał Art, wycofując się.

Zły pomysł.

Chłopak ruszył, posłał dwa lekkie proste, a potem walnął go prosto w twarz i gdyby nos Arta nie był złamany, stanowiłby już tylko kiepską imitację nosa. Starł krew, osłonił nos i przyjął większość następnych ciosów na rękawice, ale chłopak zmienił taktykę i zaczął uderzać od dołu, atakując z prawej i lewej strony jego żebra.

Wydawało się, że minęła godzina, kiedy Art usłyszał dzwon i mógł wrócić na swój stółek.

Wielki Brat już tam był.

- Masz dość, *picaflor!*

Tym razem „fiucie” nie brzmiało już tak wrogo.

Art odpowiedział przyjaznym tonem:

- Dopiero się rozkręcam, sukinsynu.

Rozkręcił się, ale tylko na jakieś pięć sekund drugiej rundy. Podstępny lewy sierpowy trafił go w wątrobę i obalił na kolano. Głowa mu opadła, a krew i pot kapały z nosa. Łapczywie chwycił powietrze i kącikami załzawionych oczu widział kłębiący się tłum mężczyzn wręczających sobie pieniądze, w oddali słyszał, jak niższy brat liczy do dziesięciu takim tonem, jakby sprawa była już przesądzona.

Jebcie się wszyscy, pomyślał Art.

Wstał.

Z tłumy posypały się przekleństwa, kilka okrzyków radości.

Dawaj, Art, powiedział sobie. Jeśli dostaniesz wpierdol, nie zaprowadzi cię to donikąd. Musisz pokazać dobrą walkę. Zneutralizować szybkie pięści chłopaka, nie dać mu się tak łatwo obić.

Ruszył do przodu.

Na swoje nieszczęście otrzymał trzy mocne ciosy, ale dalej parł naprzód i przycisnął chłopaka do lin. Stojąc tak blisko, że niemal nadeptywał mu na palce stóp, zaczął wymierzać szybkie ciosy, nie na tyle mocne, żeby wyrządzić jakąś krzywdę, ale wystarczające, by chłopak musiał się osłonić. Następnie Art pochylił się, walnął go dwa razy w żebra, a potem wychylił do przodu i zablokował przeciwnika.

Przeciągnąć rundę o kilka sekund, pomyślał Art, wyprowadzić cios. Przycisnąć trochę chłopaka, może trochę go zmęczyć. Ale zanim Mały Brat zdążył wkroczyć i przerwać klincz, chłopak prześlizgnął się pod ramieniem Arta, obrócił i uderzył go dwa razy w bok głowy.

Art dalej parł naprzód.

Cały czas przyjmował ciosy, ale to on był stroną atakującą i o to chodziło. Chłopak cofał się, płażał, uderzał raz po raz, ale jednak wciąż musiał się cofać. Opuścił nieco ręce i Art wymierzył mu mocnego lewego w pierś, co rzuciło go do tyłu. Chłopak wyglądał na zaskoczonego, więc Art zrobił jeszcze raz to samo.

Między rundami bracia byli zbyt zajęci opierdalaniem chłopaka, żeby przypieprzać się do Arta. Keller z ulgą korzystał z chwili odpoczynku. Jeszcze jedna runda, pomyślał. Muszę przetrwać jeszcze tylko jedną rundę.

Rozległ się dzwon.

Wiele *dinero* zmieniło właścicieli, kiedy Art wstawał ze stolka.

Gdy dotykali się rękawicami przed ostatnią rundą, Art spojrzał w oczy przeciwnika i zobaczył, że głęboko zranił jego dumę. Cholera, pomyślał Art. Nie miałem takiego zamiaru. Trzymaj swoje ego na wodzy, gnojku, i nie wykorzystuj szansy, żeby go pokonać.

Nie musiał się o to martwić.

Cokolwiek bracia nagadali chłopakowi podczas przerwy, najwyraźniej poskutkowało: stale przesunął się w lewo, trzymał ręce wysoko i walił Arta, po czym odskakiwał.

Art posunął się do przodu i uderzał w powietrze.

Zatrzymał się.

Stał na środku ringu, potrząsnął głową, zaśmiał się i machnął do chłopaka, żeby podszedł.

Publiczności się to spodobało.

Chłopakowi też.

Przesunął się na środek ringu i zaczął obsypywać Arta ciosami, a Art blokował je najlepiej jak potrafił. Artowi udawało się co kilka sekund wymierzyć lewego, a chłopak odparowywał go i nacierał znowu.

Chłopak nie próbował teraz go znokautować. Jego gniew wyparował. Teraz był to zwykły sparring, po prostu trenował i pokazywał, że może uderzyć Artę, kiedy tylko zechce, zabawiał tłum i dawał pokaz, którego widzowie oczekiwali. Wreszcie Art opadł na jedno kolano, z rękawicami ściśle przylegającymi do głowy i z łokciem wpasowanym między zębra, przyjmując w ten sposób większość uderzeń na rękawice i ramiona.

Zabrzmiał końcowy dzwon.

Chłopak podniósł Artę i uściskali się.

- Kiedyś zostaniesz mistrzem - powiedział Art.

- Świetnie sobie radziłeś - odpowiedział chłopak. - Dzięki za pojedynek.

- Macie dobrego zawodnika - stwierdził Art, kiedy Mały Brat ściągał mu rękawice.

- Prowadzimy go od początku - powiedział Mały Brat. Wyciągnął rękę. - Mam na imię Adán. A to mój brat, Raúl.

Raúl spojrział z góry na Artę i kiwnął głową.

- Nie odpuściłeś, jankesie. Myślałem, że zejdziesz z ringu.

Tym razem obyło się bez „fiuta”, zauważył Art.

- Zszedłbym, gdybym zachował resztki zdrowego rozsądku - przyznał.

- Walczysz jak Meksykanin - zauważył Raúl.

To była najwyższa pochwała.

Rzeczywiście, walczył jak pół-Meksykanin, pomyślał Art, jednak zachował to dla siebie. Ale wiedział, co Raúl ma na myśli. Chodziło o to samo, co w Barrio Logan - nieważne, co możesz rozdać, ważne, co potrafisz przyjąć.

Miałem rozrywkowy wieczór, pomyślał Art. Teraz chciał tylko wrócić do hotelu, wziąć długie, gorące prysznic i spędzić resztę wieczoru obłożony workiem z lodem.

No dobra, kilkoma workami lodu.

- Idziemy na parę kufelków - powiedział Adán. - Pójdiesz z nami?

Tak, pomyślał Art. Pójdę, oczywiście.

Wieczór spędził w *cafetín*, pijąc piwo z Adánem.

Wiele lat później Art oddałby wszystko, żeby móc wrócić do tej chwili i zabić Adána Barrerę.

*

Następnego dnia rano Tim Taylor wezwał go do swojego gabinetu.

Art wyglądał jak chodzące nieszczęście, co było dokładnym zewnętrznym odbiciem jego wewnętrznej rzeczywistości. Głowa ciążyła mu od piwa i *yerba*, którą palił z Adánem w klubie. Miał sińce pod oczami, a pod nosem ślady ciemnej, zakrzepniętej krwi. Wykąpał się,

ale nie ogolił, ponieważ, po pierwsze, nie starczyło mu czasu, a po drugie, sama myśl, że musiałby przejechać czymś po swojej spuchniętej szczęce, była nie do przyjęcia. I chociaż powoli osunął się na krzesło, obite żebra zaprotestowały boleśnie.

Taylor popatrzył na niego z nieskrywanym niesmakiem.

- Miałeś noc pełną wrażeń.

Art uśmiechnął się z zakłopotaniem. Nawet to zabolalo.

- Już wiesz.

- Wiesz, jak się dowiedziałem? - rzekł Taylor. - Rano miałem spotkanie z Miguelem Barrerą. Wiesz, kto to jest, Keller? To stanowy glina Sinaloi, specjalny asystent gubernatora, jego człowiek na tym terenie. Od dwóch lat próbujemy skłonić go do współpracy. A ja usłyszałem od niego, że jeden z moich agentów wdaje się w awanturę z miejscowymi...

- To był mecz sparingowy.

- Nieważne - powiedział Taylor. - Zrozum, ci ludzie to nie są nasi kumple, ani towarzysze od kieliszka. To nasze obiekty i...

- Może właśnie tu leży problem. - Art usłyszał swój głos. Bezcielesny głos, nad którym nie panował. Miał zamiar powstrzymać się od wszelkich uwag, ale był zbyt wkurzony, żeby zachować dyscyplinę.

- Jaki problem?

Pieprzyć to, pomyślał Art. Już za późno.

- Taki, że traktujemy „tych ludzi” jako „obiekty”.

I to go wkurwiało. Ludzie jako obiekty? Był tu, zrobił to. Poza tym ostatniej nocy dowiedziałem się o wiele więcej niż przez ostatnie trzy miesiące.

- Słuchaj, nie jesteś tajnym agentem - zaczął Taylor. - Masz współpracować z miejscowymi funkcjonariuszami ochrony porządku publicznego...

- Nie mogę, Tim - przerwał mu Art. - Skutecznie mnie z nimi poróżniłeś.

- Zamierzam się ciebie stąd pozbyć - powiedział Tim. - Chcę cię wykluczyć z mojego zespołu.

- To już bierz się za wypełnianie papierków - stwierdził Art. Robiło mu się niedobrze od tego całego gówna.

- Nie martw się, zdążę - odpowiedział Taylor. - A tymczasem, Keller, spróbuj zachowywać się jak profesjonalista.

Art skinął głową i wstał z krzesła.

Bardzo powoli.

Mimo biurokratycznego miecza Damoklesa wiszącego mu nad głową, Art uznał, że może dalej pracować.

Jak oni to mówią, zapytał sam siebie. Mogą cię zabić, ale nie mogą zjeść? To nieprawda - mogą cię zabić i zjeść - ale to nie oznacza, że masz się tak łatwo poddać. Myśl, że będzie musiał iść do pracy w biurze senatora przygnębiała go bardziej niż to piekło. Nie chodziło o samą pracę, tylko o to, że załatwiał ją ojciec Althie. Art miał dość ambiwalentny stosunek do ojców.

Chodziło o poczucie klęski.

Nie pozwalasz im się wyeliminować, ty sam sprawiasz, że cię eliminują. Sprawiasz, że łamią sobie na tobie pieprzone łapy, dajesz im do zrozumienia, że to była walka, sprawiasz, że będą cię wspominać za każdym razem, jak spojrzą w lustro.

Poszedł prosto do sali gimnastycznej.

- *Qué noche bruta!* - przywitał Adána. - *Me mata la cabeza.*

- *Pero gozamos.*

Bawiliśmy się całkiem nieźle, pomyślał Art. W każdym razie mnie łeb pęka.

- Jak tam Mały Lew?

- Cesar? Lepiej niż ty - odpowiedział Adán. - Lepiej niż ja.

- Gdzie jest Raúl?

- Pewnie gdzieś zalega - stwierdził Adán. - *Es el coño, ése.* Chcesz piwa?

- Tak, do diabła.

Szło cholernie dobrze. Art pociągnął długi, cudowny łyk, potem przyłożył lodową butelkę do spuchniętego policzka.

- Wyglądasz jak gówno - rzekł Adán.

- Tak dobrze?

- Prawie.

Adán skinął na kelnera i zamówił plaster surowego mięsa. Usiedli przy stoliku z widokiem na zewnątrz i obserwowali świat.

- Jesteś więc agentem narkotykowym - zagaił Adán.

- Tak jest.

- Mój wujek jest gliną.

- A ty nie prowadzisz rodzinnych interesów?

- Jestem przemytnikiem - powiedział Adán.

Art uniósł brwi. To też bolało.

- Dżinsy - roześmiał się Adán. - Jeździmy z bratem do San Diego, kupujemy dżinsy, a

potem przemycamy je przez granicę. Nie uwierzysz, ile można z tego wyciągnąć.

- Myślałem, że chodziłeś do college'u. Co to było, rachunkowość?

- To raczej ty musisz rachować - odpowiedział Adán.

- Wasz wuj wie, w jaki sposób zarabiacie?

- Tío wie wszystko - stwierdził Adán. - Uważa, że to zabawne. Chce, żebym „spowaźniał”. Ale sprzedaż dzinsów jest w porządku. Przynosi gotówkę, a boks ją pożera. Cesar zostanie mistrzem. Zarobimy miliony.

- Boksowałeś kiedyś? - spytał Art.

Adán potrząsnął głową.

- Jestem niski, ale wolny. Raúl jest rodzinnym bokserem.

- A ja chyba rozegrałem swój ostatni pojedynek.

- To chyba dobry pomysł.

Wybuchnęli śmiechem.

Zabawne, w jaki sposób nawiązuje się przyjaźń.

Art pomyśli o tym wiele lat później. Mecz sparingowy, nocne pijaństwo, popołudnie w cichej kafejce. Rozmowa, plany wymieniane nad tymi samymi potrawami, kolejne butelki, kolejne godziny. Gadki o dupie Maryni. Śmichy chichy.

Art pomyśli o tym i uświadomi sobie, że przed Adánem Barrerą nigdy nie miał prawdziwego przyjaciela.

Miał Althie, ale to co innego.

Można nazwać żonę prawdziwym przyjacielem, ale to nie to samo. To nie mężczyzna, nie brat, którego nigdy nie miałeś, facet, na którym możesz polegać.

Cuates, amigos, niemal hermanos.

Ciężko wyczuć, jak do tego dochodzi.

Może Adán dostrzegł w Arcie coś, czego nie znalazł u własnego brata - inteligencję, powagę, dojrzałość, jakiej sam nie miał, a pragnął mieć. Może Art dostrzegł w Adánie... Chryste, później, przez lata nie potrafił tego wytłumaczyć, nawet sobie. Chyba chodziło o to, że wówczas Adán Barrera był dobrym człowiekiem. Naprawdę, a przynajmniej tak się wydawało. Cokolwiek to było, drzemało głęboko w nim...

Może to drzemie w każdym z nas, pomyśli później Art.

Z pewnością drzemie we mnie.

Z psich pazurów.

To Adán, rzecz jasna, przedstawił go Tío.

Sześć tygodni później Art leżał w łóżku w swoim pokoju hotelowym i oglądał mecz piłki nożnej. Czuł się podle, bo właśnie Tim Taylor otrzymał zgodę na jego przeniesienie. Może wyślą mnie do Iowa, żebym sprawdzał, czy apteki przestrzegają regulacji dotyczących przepisywania syropów na kaszel, czy coś w tym rodzaju, pomyślał Art.

Koniec mojej kariery.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Art otworzył i zobaczył mężczyznę w czarnym garniturze, białej koszuli i skórzanym, czarnym krawacie. Włosy miał zaczesane do tyłu w staromodnym stylu, cienki, czarny wąsik, oczy czarne jak noc.

Miał około czterdziestu lat i brzusek.

- Proszę mi wybaczyć, że zakłócam pańską prywatność, señor Keller - powiedział. - Nazywam się Miguel Ángel Barrera. Z policji stanowej Sinaloi. Czy mógłbym zająć panu kilka chwil?

Pewnie, że mógłbyś, pomyślał Art i zaprosił go do środka. Na szczęście miał resztę szkockiej, która została mu po szeregu samotnych nocy, więc mógł przynajmniej poczęstować mężczyznę drinkiem. Barrera przyjął go i w zamian zaproponował Artowi cienkie, czarne kubańskie cygaro.

- Rzuciłem - powiedział Art.

- Nie będzie więc panu przeszkadzało?

- Porozkoszuję się zapachem pańskiego dymka - odpowiedział Art. Rozejrzał się za popielniczką i dwaj mężczyźni zasiedli przy małym stoliku przy oknie. Barrera patrzył na Artę przez kilka sekund, jakby się nad czymś zastanawiał, potem zaczął:

- Mój siostrzeniec poprosił mnie, żebym się z panem spotkał.

- Siostrzeniec?

- Adán Barrera.

- Ach, tak.

Mój wujek jest gliną, pomyślał Art. A więc to jest „Tío”.

- Adán wrobił mnie w walkę z jednym z najlepszych bokserów, jakich widziałem - przyznał Art.

- Adán wyobraża sobie, że jest menadżerem - rzekł Tío. - Raúl uważa się za trenera.

- I dobrze sobie radzą - powiedział Art. - Cesar kosztował ich mnóstwo pracy.

- Cesar należy do mnie. Jestem pobłażliwym wujem i pozwoliłem siostrzeńcom się zabawić. Ale już niedługo będę musiał zatrudnić prawdziwego menadżera i trenera dla Cesara. Zasługuje na to. Zostanie mistrzem.

- Adán będzie rozczarowany.
- Radzenie sobie z rozczarowaniami jest częścią dorastania - stwierdził Barrera.

Gówno prawda.

- Adán poinformował mnie, że ma pan jakieś problemy zawodowe.

I co ja mam mu odpowiedzieć, zastanawiał się Art. Taylor bez wątpienia zastosowałby banalną zasadę „nie pierzemy naszych brudów w publicznej pralni”, ale miałby rację. Wściekłby się, gdyby wiedział, że Barrera był u Arta, rozmawiając z młodszym oficerem za jego plecami.

- Ja i mój szef nie zawsze mamy ten sam punkt widzenia.

Barrera kiwnął głową.

- Światopogląd señora Taylora jest raczej wąski. Widzi tylko Pedro Ávileza. Problemem waszej DEA jest to, proszę mi wybaczyć, że jest tak bardzo amerykańskie. Pańscy koledzy nie rozumieją naszej kultury, jak to wszystko działa, jak to wszystko musi działać.

Facet ma rację, pomyślał Art. Nasz przyjazd tutaj był nietaktowny i niezręczny, delikatne mówiąc. Ta cholerna amerykańska postawa: „wiemy, jak to zrobić”, „zejdźcie nam z drogi i pozwólcie wykonywać naszą robotę”. I dlaczego nie? W Wietnamie to zadziałało.

Art odpowiedział po hiszpańsku:

- Braki w subtelności nadrabiamy brakami w subtelności.
- Czy pan jest Meksykaninem, panie Keller?
- W połowie - odpowiedział Art. - Ze strony matki. Dokładniej rzecz biorąc, pochodzi z Sinaloi. Z Mazatlán.

Ponieważ, pomyślał Art, nie cofnę się przed wykorzystaniem tego atutu.

- Ale dorastał pan w barrio - spytał Barrera. - W San Diego?

To nie jest zwykła rozmowa, pomyślał Art. To rozmowa kwalifikacyjna.

- Zna pan San Diego? - zapytał. - Mieszkałem na Trzydziestej.

- Ale nie należał pan do gangów?

- Boksowałem.

Barrera skinął głową i przeszedł na angielski.

- Chce pan rozbić *gomer*os. My też.

- *Sin falta*.

- Ale jako bokser - rzekł Barrera - wie pan, że nie można tak po prostu doprowadzić do nokautu. Najpierw należy podejść przeciwnika, zachwiać nim ciosami w korpus. Nokaut musi nastąpić w odpowiedniej chwili.

Hm, nie doprowadziłem do zbyt wielu nokautów, pomyślał Art, ale teoria jest dobra.

My, jankesi, chcemy, żeby nokaut nastąpił natychmiast, a ten człowiek mówi mi, że nie wszystko jest jeszcze gotowe.

Dość uczciwe.

- To, co pan mówi, ma sens - stwierdził Art. - To mądre. Ale cierpliwość nie należy do zalet Amerykanów. Sądzę, że jeśli moi przełożeni zobaczą jakiś postęp, jakiś ruch...

- Pańscy przełożeni - wtrącił Barrera - są trudni we współpracy. Są...

Szukał właściwego słowa.

Art dokończył za niego.

- *Falta gracia.*

- Prostaccy - zgodził się Barrera. - Właśnie tak. Z drugiej strony, gdybyśmy mogli współpracować z kimś bardziej *simpático, un compañero*, z kimś takim jak pan...

Ach tak, myśli Art, Adán poprosił wuję, żeby uratował mi tyłek, a teraz on zastanawia się, czy warto to zrobić. Jest pobłażliwym wujem, pozwala się siostrzeńcom zabawić; ale jest również człowiekiem poważnym, z wyraźnym celem, a ja mógłbym być użyteczny w osiągnięciu tego celu.

Znowu dość uczciwe. Ale jest to najprostsza droga. Nieodnotowane kontakty poza agencją? Ściśle zakazane. Spółka z jednym z najbardziej wpływowych mężczyzn w Sinaloi i mam to ukrywać? Bomba z opóźnionym zapłonem. Mogę przez to wylecieć z DEA.

Ale tak naprawdę, co mam do stracenia?

Art zrobił jeszcze po drinku i powiedział:

- Z przyjemnością pracowałbym z panem, ale istnieje pewien problem.

Barrera wzruszył ramionami.

- *Y qué?*

- Wyjeżdżam stąd - poinformował go Art. - Przenoszą mnie.

Barrera wysączył swoją whisky, grzecznie udając, że bardzo mu smakuje, jak gdyby to była dobra whisky, chociaż obaj wiedzieli, że to najtańsze gówno. Potem spytał:

- Wie pan jaka jest prawdziwa różnica między Ameryką a Meksykiem?

Art potrząsnął głową.

- W Ameryce wszystko zależy od systemu - rzekł Barrera. - W Meksyku zaś od osobistych układów.

A ty właśnie mi taki proponujesz, pomyślał Art. Osobisty układ o symbolicznej naturze.

- Señor Barrera...

- Noszę imiona Miguel Ángel - wtrącił Barrera. - Ale przyjaciele mówią do mnie Tío.

Tío, pomyślał Art.

„Wuj”.

Jest to tłumaczenie literackie, ale słowo to w meksykańskim hiszpańskim znaczy o wiele więcej. *Tío* może oznaczać brata któregoś z rodziców, ale również krewnego, który interesuje się życiem dziecka. I coś więcej; *Tío* może być człowiekiem, który bierze cię pod swoje skrzydła, kimś w rodzaju starszego brata, ale o bardziej ojcowskim podejściu.

Kimś w rodzaju ojca chrzestnego.

- Tío... - zaczął Art.

Barrera uśmiechnął się i przyjął hołd lekkim skinieniem głowy. Potem powiedział:

- *Arturo, mi sobrino...*

Arturo, mój siostrzeńcze...

Nigdzie nie wyjeżdżasz.

*

Jak wyżej.

Odwołanie Arta anulowano następnego popołudnia. Ponownie został wezwany do gabinetu Taylora.

- Kogo ty, kurwa, znasz? - zapytał go Taylor.

Art wzruszył ramionami.

- Szarpali za sznurki aż z Waszyngtonu - powiedział Taylor. - To jakieś gówno z CLA? Płacą ci? Keller, pracujesz dla nich, czy dla nas?

Dla siebie, pomyślał Art. Pracuję dla siebie. Ale nie powiedział tego na głos. Przełknął po prostu swoją porcję gówna i rzekł:

- Pracuję dla ciebie, Tim. Powiedz tylko słowo, a wytatuuję sobie DEA na tyłku. Albo serce z twoim imieniem przebite strzałą.

Taylor przyglądał mu się zza biurka, zastanawiając się, czy Art się z niego natrzęsa i co odpowiedzieć. Przyjął ton biurowej neutralności i powiedział:

- Otrzymałem instrukcje, żeby zostawić ci wolną rękę. Wiesz, jak to potraktuję, Keller?

- Jakbyś dawał mi linę dość długą, żebym mógł się na niej powiesić?

- Właśnie tak.

Skąd wiedziałem?

- Będę pracować dla ciebie, Tim - powiedział Art, wstając i kierując się do drzwi. - Dla ciebie i dla zespołu.

Ale potem nie mógł się powstrzymać i nucił cichutko: „Jestem starym kowbojem z Río Grande. Ale nie mogę zagnać krowy, bo nie wiem jak...”.

*

Spółka zawarta w piekle.

Tak to później nazywał Art.

Art Keller i Tío Barrera.

Spotykali się rzadko i potajemnie. Tío starannie wybierał cele. Art dostrzegł to, gdyż Barrera wykorzystał Arta i DEA do rozbiórki, cegła po cegle, struktury stworzonej przez don Pedra. Cenne pole makowe, następnie laboratorium i dwóch młodszych *gomeros*, potem trzech nieuczciwych policjantów stanowych, *federale*, który brał *mordida* - łapówki - od don Pedra.

Barrera trzymał się z daleka od tego wszystkiego, nigdy nie angażował się bezpośrednio, nie przypisywał sobie żadnych zasług, wykorzystywał tylko Arta jako nóż do wyprucia flaków organizacji Ávileza. Chociaż Art nie działał wyłącznie jako marionetka. Wykorzystywał kontakty Barrera, żeby zatrudnić inne kontakty, wywierać nacisk, tworzyć punkty oparcia dla rozrastającej się sieci wywiadowczej. Jeden kontakt zdobędzie dwa kolejne, dwa znajdą jeszcze pięć, pięć następne...

Pominąwszy dobre strony, przyniosło to również nieprzerwany potok gówna lejący się na niego ze strony gliniarzy z DEA. Tim Taylor wzywał Arta na dywanik pół tuzina razy. Skąd masz te informacje, Art? Kto jest twoim źródłem? Masz swojego informatora? Jesteśmy zespołem, Art. Nie ma JA w ZESPOLE.

Tak, ale jest w zwycięstwie, pomyślał Art, a to właśnie robimy - wreszcie zwyciężamy. Wywieramy nacisk, nastawiamy przeciwko sobie rywalizujących *gobero*, udowadniamy *campesinos* z Sinaloi, że dni dominacji *gobero* są policzone. Nie mówił więc nic Taylorowi.

Musiał jednak przyznać, że jest w tym chęć powiedzenia „Pieprzcie się, Timie i zespole”.

Tío Barrera tymczasem manewrował na ringu jak mistrz. Zawsze parł naprzód, ale zawsze trzymając gardę. Uniesione ręce i wyrzut tylko wtedy, kiedy było to dla niego najmniej ryzykowne. Pozbawić tchu i zakłócić równowagę don Pedra, a potem...

Nokautujący cios.

Operacja Kondor.

Masowa koncentracja wojska ze wsparciem lotniczym, z bombardowaniem i defoliantami, ale cały czas to Art Keller mówił im, gdzie uderzyć, prawie jakby był chodzącą mapą każdego pola makowego, kuchni i laboratorium w prowincji.

Teraz Art siedział w krzakach i czekał na wielką wygraną.

Mimo powodzenia operacji Kondor, DEA wciąż skupia się na jednym celu: dopaść don Pedra. Musimy zgarnąć El Patrón.

Musimy zawiesić na ścianie jego głowę jako trofeum, albo cała akcja skończy się klęską. Setki tysięcy akrów maków spalone, cała infrastruktura *gomeros* w Sinaloi zniszczona, ale wciąż potrzebujemy głowy tego starego człowieka jako symbolu naszego sukcesu.

Byli wszędzie, biegali dookoła jak szaleni, tropiąc każdą plotkę, każdy strzęp informacji; ale zawsze zostawali krok w tyle, czy też, jak mawiał Taylor, o dzień spóźnieni i ubożsi o dolara. Art nie potrafił dojść, czego Taylor chce bardziej - dopaść don Pedra, czy, ze względu na Arta, nie dopaść don Pedra.

Art siedział w dziupie i oglądał zgliszcza głównego laboratorium produkującego heroinę, kiedy z dymu wyłonił się Tío Barrera wraz z małym konwojem agentów DFS.

Zasrane DFS? Art zastanawiał się. Dirección Federal de Seguridad - federalna służba bezpieczeństwa - takie jakby FBI i CIA połączone w jedno, tylko potężniejsze. Chłopaki z DFS mieli właściwie *carte blanche* na wszelką działalność w Meksyku. A teraz Tío, stanowy glina Jalisco - co on do diabła robi z elitarnym oddziałem DFS, i to jako dowodzący? Tío wygramolił się ze swojego otwartego dziupa cherokee i powiedział wzdychając:

- Lepiej jedźmy zdjąć starego don Pedra.

Wręczył Artowi największą nagrodę w całej wojnie narkotykowej, jakby to była torba z zakupami.

- Wiesz, gdzie on jest? - spytał Art.

- Lepiej - odpowiedział Tío. - Wiem, gdzie zamierza być.

Tym sposobem Art tkwi teraz w krzakach, czekając aż staruszek wpadnie w zasadzkę. Czuje na sobie spojrzenie Tío. Podnosi wzrok i widzi, że Tío znacząco patrzy na zegarek.

Art rozumie wiadomość.

Wszystko rozstrzygnie się lada moment.

*

Don Pedro Áviles siedzi na przednim siedzeniu swojego mercedesa convertible powoli sunącego gruntową drogą. Wyjeżdżają z płonącej doliny w góry. Kiedy znajdzie się po drugiej stronie, będzie bezpieczny.

- Uważaj - poucza młodego Güero, który prowadzi. - Omijaj dziury. To drogi samochód.

- Musimy się stąd wydostać, *patrón* - odpowiada mu Güero.

- Wiem - warczy don Pedro. - Ale musimy jechać tą drogą? Samochód się rozsypie.

- Na tej drodze nie będzie żołnierzy - mówi Güero. - *Federales* ani policji stanowej.

- Na pewno? - pyta Áviles.

Pyta po raz kolejny.

- Wiem o tym bezpośrednio od Barrery - mówi Güero. - Oczyszczył tę drogę.

- Powinien był ją oczyścić - mruknął Áviles. - Za tę kasę, którą mu dałem.

Kasa dla gubernatora Cerro, kasa dla generała Hernández. Barrera przychodził po pieniądze regularnie jak kobiecy okres. Zawsze, pieniądze dla polityków, dla generałów. Zawsze tak było, odkąd don Pedro jako dziecko uczył się prowadzić interesy od ojca.

I zawsze co jakiś czas będą te najazdy, rytualne czystki prowadzone przez Mexico City na życzenie jankesów. Tym razem, w zamian za wyższe ceny ropy, gubernator Cerro wysłał Barrerę, żeby przekazał wiadomość don Pedrowi: „Inwestuj w ropę, don Pedro. Sprzedaj opium i wszystkie pieniądze włóż w ropę. Wkrótce pójdzie w górę. A opium...”.

Tak więc wpuściłem jakichś młodych głupków w moje pola makowe. Wziąłem od nich kasę i zainwestowałem wszystko w ropę. A Cerro pozwolił jankesom spalić maki. I tak wkrótce słońce zrobiłoby to za nich.

Gdyż to jest najlepszy żart: operacja Kondor nastąpiła tuż przed nadchodzącymi latami suszy. Obserwował jej oznaki na niebie już od dwóch lat. Rozpoznał to po drzewach, trawie, ptakach. Nadciąga susza. Pięć lat złych zbiorów, dopóki nie powrócą deszcze.

- Gdyby jankesi nie spalili pól - odezwał się don Pedro do Güero - sam bym to zrobił. Dla odświeżenia ziemi.

Więc to jedna wielka farsa, cała ta operacja Kondor; zabawa, żart.

Ale nadal musi się wynosić z Sinaloi.

Áviles nie dożyłby siedemdziesięciu trzech lat, gdyby był nieostrożny. Wziął więc Güero jako kierowcę, a pięciu jego najbardziej zaufanych *sicarios* - uzbrojonych bandziorów - siedziało na tyle samochodu. Mężczyźni, których rodziny mieszkały na terenie posiadłości don Pedra w Culiacán, których wszyscy krewni zostaną zabici, jeśli coś stanie się don Pedrowi.

I Güero - jego uczeń i asystent. Sierota zabrany z ulic Culiacán jako *manda* do Santo Jesúsa Malverde, świętego patrona wszystkich *gomeros* z Sinaloi. Güero, który dorastał w jego przedsiębiorstwie i uczył się wszystkiego od podstaw. Obecnie to młody człowiek, prawa ręka szefa, o kocim wdzięku, który potrafi błyskawicznie wykonywać działania na wielkich liczbach i który pomimo to zbyt szybko prowadzi mercedesa po wyboistej drodze.

- Zwolnij - rozkazuje Áviles.

Güero, „Blondynek”, nazywany tak z powodu jasnej czupryny, tylko chichocze. Starszy mężczyzna ma miliony, wiele milionów, ale będzie gdał jak kura nad rachunkiem z warsztatu. Mógłby wyrzucić tego mercedesa na złom i nie zauważyłby tego, ale skwierczy

nad kilkoma *pesos*, które wyda na zmycie kurzu z samochodu.

Güero nie martwił się tym; przywykł.

Zwolnił.

- Musimy iść z *manda* do Malverde, kiedy dostaniemy się do Culiacán - odzywa się Don Pedro.

- Nie możemy zatrzymać się w Culiacán, *patrón* - tłumaczy Güero. - Będą tam Amerykanie.

- Do diabła z Amerykanami.

- Barrera radził nam jechać do Guadalajary.

- Nie lubię Guadalajary - zrzędzi Don Pedro.

- Nie zostaniemy tam długo.

Dojeżdżają do skrzyżowania i Güero zaczyna skręcać w lewo.

- W prawo - mówi don Pedro.

- W lewo, *patrón* - upiera się Güero.

Don Pedro wybucha śmiechem.

- Przemyciałem opium z tych wzgórz, kiedy twój ojciec szarpał twoją babkę za gacie.

Jedź w prawo.

Güero wzrusza ramionami i skręca w prawo.

Droga zwęża się, dziury robią się głębsze.

- Powoli - mówi don Pedro. - Jedź powoli, ale jedź.

Dojeżdżają do ostrego zakrętu w prawo wśród gęstych krzaków i Güero zdejmuje nogę z gazu.

- *Qué coño te pasa?* - pyta don Pedro.

Co się z tobą dzieje, do diabła?

Z zarośli zaczynają wychylać się lufy karabinów.

Osiem, dziewięć, dziesięć.

I jeszcze dziesięć z tyłu.

Wtedy don Pedro dostrzega Barrerę w czarnym garniturze i wie, że wszystko idzie zgodnie z planem. „Aresztowanie” odbędzie się na pokaz dla Amerykanów. Jeśli mimo to trafi do więzienia, na drugi dzień będzie już wolny.

Wstaje powoli i podnosi ręce do góry.

Każe swoim ludziom zrobić to samo.

Güero Méndez powoli osuwa się na podłogę samochodu.

Art zaczyna wstawać.

Patrzy na don Pedra stojącego w samochodzie z rękami w górze, drżącego z zimna.

Stary mężczyzna wygląda tak krucho, myśli Art, jakby silniejszy poryw wiatru mógł go zdmuchnąć. Biała szczecina na nieogolonej twarzy, oczy podkrążone ze zmęczenia. Po prostu stary człowiek u końca swojej drogi.

Aresztowanie go zakrawa niemal na okrucieństwo, ale...

Tío kiwa głową.

Jego ludzie otwierają ogień.

Pociski szarpią don Pedrem jak cienkim drzewkiem.

- Co robisz? - wrzeszczy Art. - On próbuje...

Jego głos ginie w huku strzałów.

*

Güero kuli się na podłodze samochodu, rękami zatykając uszy, gdyż hałas jest nie do zniesienia. Krew staruszka jak krople deszczu spływa mu po rękach, twarzy i plecach. Mimo huku broni słyszy krzyk don Pedra.

Krzyczy jak stara kobieta wyganiająca psa z kurnika.

Dźwięk z jego wczesnego dzieciństwa.

Wreszcie ustaje.

Güero czeka dziesięć długich sekund, wreszcie odważa się wstać.

Widzi jak z gęstych, zielonych zarośli wyłaniają się policjanci. Za nim *sicarios* don Pedra padają martwi, krew wypływa z dziur wybitych przez pociski w karoserii samochodu niczym woda z rynny.

A obok niego don Pedro.

Patrón ma nadal otwarte usta i jedno oko.

Drugiego oka już nie ma.

Jego ciało wygląda jak tania układanka, w której małe kulki wciska się w dziury, z tym, że dziur jest o wiele, wiele więcej. Starszy mężczyzna posypyany jest rozbitym szkłem z przedniej szyby jak ślubny tort cukrem.

Güero nie może pozbyć się jednej głupiej myśli: don Pedro byłby bardzo zły, że mercedes został zniszczony.

Samochód jest wrakiem.

*

Art otwiera drzwi samochodu i ciało starszego mężczyzny wypada.

Ze zdumieniem dostrzega, że pierś staruszka nadal unosi się od oddechu. Gdyby zrobić

mu masaż serca, istnieje niewielka szansa, że...

Podchodzi Tío, patrzy na ciało i mówi:

- Przestań albo strzelam.

Wyciąga z kabury swoją czterdziestkę piątkę, mierzy w plecy starego *patrón* i pociąga za spust.

Kark don Pedra podrywa się z ziemi i znowu opada.

Tío patrzy na Arta i mówi:

- Sięgał po broń.

Art nie odpowiada.

- Sięgał po broń - powtarza Tío. - Oni zawsze to robią.

Art patrzy na rozrzucone ciała. Oddział DFS zbiera broń zabitych i wystrzeliwuje w powietrze. Czerwone błyski wylatują z luf karabinów.

To nie było aresztowanie, myśli Art, tylko egzekucja.

Szczupły blondyn wypełza zza kierownicy samochodu, klęka na nasiąkniętej krwią ziemi i podnosi ręce do góry. Cały się trzęsie - Art nie potrafi stwierdzić, ze strachu, z zimna, a może od jednego i drugiego. Też byś się trząśł, mówi sobie Art, gdybyś wiedział, że zaraz cię zastrzelą.

Dość już, dość.

Art staje między Tío i klęczącym chłopakiem.

- Tío...

- *Levántate, Güero.*

Chłopak chwiejąc się wstaje.

- *Dios le bendiga, patrón.*

Niech Bóg cię błogosławi.

Patrón.

Szefie.

Wtedy do Arta dociera - to nie było ani aresztowanie, ani egzekucja.

To było zabójstwo.

Patrzy, jak Tío chowa pistolet i zapala cienkie czarne cygaro. Tío podnosi głowę i napotyka wzrok Arta. Podbródkiem wskazuje ciało don Pedra i mówi:

- Masz, czego chciałeś.

- Podobnie jak ty.

- *Pues...* - Tío wzrusza ramionami. - Bierz swoje trofeum.

Art wraca do dzipa i sięga po swoje ponczo. Wraca i starannie owija nim ciało don

Pedra, a potem bierze je na ręce. Ma wrażenie, że ciało staruszka praktycznie nic nie waży.

Art niesie go do dżipa i kładzie na tylnym siedzeniu.

Rusza, żeby zawieźć trofeum do obozu.

Kondor, Feniks, co za różnica?

Piekło to piekło, bez względu na to jak się nazywa.

*

Koszmar obudził Adána Barrerę.

Grzmiące rytmiczne basy.

Wybiega z chaty i widzi gigantyczne ważki krążące na niebie. Przeciera oczy i ważki zmieniają się w helikoptery.

Krążą jak sępy.

Potem słyszy krzyki, odgłos nadjeżdżających ciężarówek i koni. Żołnierze biegną, rozlegają się strzały. Łapie jakiegoś *campesino* i rozkazuje mu:

- Ukryj mnie!

Człowiek zabiera go do chaty, gdzie Adán chowa się pod łóżkiem. Kiedy dach staje w płomieniach, wybiega prosto na bagnety żołnierzy.

Katastrofa - co tu się, kurwa, dzieje?

A jego wuj - wuj będzie wściekły. Kazał im na ten tydzień zniknąć - zostać w Tijuanie albo nawet w San Diego, gdziekolwiek, tylko nie tu. Ale jego brat, Raúl, musiał spotkać się z dziewczyną, na którą się napalił. Miała być impreza, więc Adán przyjechał razem z nim. A teraz Raúl podziewa się nie wiadomo gdzie, myśli Adán, a ja tu stoję z bagnetami wymierzonymi w pierś.

Tío faktycznie wychowywał obu chłopców od śmierci ich ojca, gdy Adán miał cztery lata. Tío Ángel był wówczas bardzo młody, ale mimo to wziął na siebie tę odpowiedzialność, dawał pieniądze na dom i traktował chłopców po ojcowsku, wiedząc, że postępuje właściwie.

Warunki życia rodziny poprawiały się wraz z awansami Tío i kiedy Adán skończył dziesięć lat, osiągnęły już poziom klasy średniej. W przeciwieństwie do wiejskich *gomeros* bracia Barrera byli dziećmi miasta - mieszkali w Culiacán, chodzili tam do szkoły, na przyjęcia przy basenie w mieście, na przyjęcia na plaży w Mazatlán. Gorące lato spędzali na hacjendzie Tío w chłodnym górskim powietrzu Badiraguato, bawiąc się z dziećmi *campesinos*.

Dzieciństwo w Badiraguato było idyllą; jazda na rowerze do górskich jezior, skoki ze skał w głęboką szmaragdową toń wśród granitów, byczenie się na werandzie, podczas gdy tuzin *tías*, ciotek, trzęsło się nad nimi i podsuwało tortille i *albóndigas* oraz świeżą domową

tartę polaną grubą warstwą karmelu, ulubioną przez Adána.

Adán pokochał *los campesinos*.

Stali się dla niego wielką, kochającą rodziną. Matka po śmierci ojca stała się odległą, wuj był ciągle zajęty i poważny. A *campesinos* mieli w sobie ciepło letniego słońca.

Było tak, jak bez końca powtarzał ojciec Juan, ksiądz, którego pamiętał z dzieciństwa: „Chrystus jest z ubogimi”.

Tak ciężko pracowali, obserwował młody Adán - w polu, w kuchni, w pralni - i mieli tyle dzieci, ale kiedy dorośli wracali z pracy, zawsze znajdowali czas, żeby побыć z dziećmi, potrzymać je na kolanach, pograć w coś, pożartować.

Adán ponad wszystko uwielbiał letnie wieczory, kiedy rodziny zbierały się razem, kobiety gotowały, a dzieci biegały wokół jak szalony rozchichotany rój, mężczyźni pili zimne piwo i śmiali się, rozmawiali o zbiorach, pogodzie, inwentarzu. Potem zasiadali razem przy długich stołach pod wiekowymi dębami i zapadała cisza, gdy ludzie zabierali się do pierwszego większego posiłku. Gdy zaspokoili pierwszy głód, gwar rozmów wybuchał na nowo - żarty, przekomarzania, śmiechy. Po posiłku, kiedy długi letni dzień przechodził w wieczór i robiło się chłodno, Adán siadał blisko pustych krzeseł, które po chwili zajmowali mężczyźni ze swoimi gitarami. Siedząc dosłownie u stóp śpiewających *tambora*, słuchał w napięciu pieśni o *gomeros*, *banditos* i *revolucionarios*, bohaterach Sinaloi, legendach jego dzieciństwa.

A kiedy mężczyźni się zmęczyli i zaczęli rozmawiać, jak wcześnie jutro wstanie słońce, *tías* zaganiały Adána i Raúla na hacjendę, gdzie spali na łózkach rozstawionych na werandzie, na prześcieradłach, które *tías* spryskały zimną wodą.

Wieczorami prawie zawsze *abuelas* - staruszki, babcie - opowiadały im bajki o *brujas* - czarownicach, historie o duchach i duszach zaklętych w sowy, sokoły i orły, węże, jaszczurki, lisy i wilki. Historie o tubylcach opętanych przez *amor brujo* - zauroczenie - szaloną, obsesyjną miłość oraz opowieści o mężczyznach, którzy walczyli z pumami, wilkami, z olbrzymami i duchami, wszystko z miłości do pięknych kobiet, a potem okazywało się, że ich umiłowane to w rzeczywistości stare wiedźmy, sowy albo lisy.

Adán zasypiał przy tych opowieściach i spał jak zabity, dopóki poranne słońce nie zaświeciło mu w oczy i z zapachem świeżych tortilli, *machaca*, *chorizo* i wielkich, słodkich pomarańczy zaczynał się długi, cudowny letni dzień.

Teraz poranek pachnie popiołem i trucizną.

Żołnierze szturmują wioskę, podpalają kryte strzechą dachy i lufami karabinów rozwalają ściany z suszonej gliny.

Federale porucznik Navarres jest w bardzo złym humorze. Amerykańscy agenci DEA są niezadowoleni - mają dość ugania się za płótkami; chcą przesunąć się w górę łańcucha i dają mu do wiwatu, upierając się, że on wie, gdzie są grube ryby i że świadomie ich od nich odciąga.

Schwytali wiele płótek, ale żadnej grubej ryby. Teraz chcą dopaść Garcíę Abrego, Chalino Guzmána, Jaime Hererę i Rafaela Caro, którzy - jak dotąd - wyslizgiwali im się z rąk.

Najbardziej pragnęli jednak dorwać don Pedra.

El Patrón.

- Nie jesteśmy tutaj po to, żeby szukać i nie znajdować - stwierdził jeden z DEA w błękitnej baseballówce. Rozwścieczyło to Navarresa, te wieczne zarzuty jankesów, że każdy meksykański glina bierze *la mordida*, łapówki lub, jak to mówią Amerykanie, jest „na usługach”.

Zatem Navarres jest wściekły i upokorzony, a to z dumnego człowieka robi człowieka niebezpiecznego.

Wtedy dostrzega Adána.

Jedno spojrzenie na fason dżinsów i najki na nogach mówi porucznikowi, że ten niski młody człowiek z miejską fryzurą i w modnych ciuchach nie jest *campesino*. Wygląda dokładnie jak młody *gomer* z klasy średniej z Culiacán.

Porucznik podchodzi i patrzy z góry na Adána.

- Jestem porucznik Navarres - przedstawia się oficer. - Z policji federalnej. Gdzie jest don Pedro Áviles?

- Nie wiem, o czym pan mówi - odpowiada Adán, próbując zapanować nad drżeniem głosu. - Jestem studentem.

- A co pan studiuje? - pyta Navarres, uśmiechając się pod nosem.

- Zarządzanie - mówi Adán. - Rachunkowość.

- Rachunkowość - powtarza Navarres. - A co pan liczy? Kilogramy?

- Nie - odpowiada Adán.

- I znalazł się pan tu zupełnie przypadkiem.

- Przyjechaliśmy z bratem na imprezę - mówi Adán. - Proszę pana, to pomyłka. Jeśli porozmawia pan z moim wujem, on...

Navarres wyciąga pistolet i wali Adána w twarz. *Federales* wrzucają nieprzytomnego Adána i *campesino*, który go ukrywał, na tył ciężarówki i odjeżdżają.

*

Tym razem Adán budzi się w ciemnościach.

Uświadamia sobie, że to nie noc, tylko czarny kaptur naciągnięty na głowę. Ciężko mu oddychać i zaczyna wpadać w panikę. Ręce ma mocno związane na plecach i słyszy jakieś dźwięki - pracujący silnik, śmigła helikoptera. Musimy być w jakiejś bazie, myśli Adán. Wtedy słyszy coś gorszego - jęki człowieka, głośnie plaskanie gumy i ostry trzask metalu na ciele i kościach. Czuje odór moczu człowieka, jego kału, krwi i czuje obrzydliwy smród własnego strachu.

Słyszy spokojny, dystyngowany głos Navarresa.

- Proszę mi powiedzieć, gdzie jest don Pedro.

Navarres patrzy w dół na wieśniaka, spoconą, krwawiącą, drżącą kupkę kulącą się na podłodze namiotu między stopami dwóch ogromnych *federale*, jednego z ciężkim gumowym węzłem, drugiego z krótkim, żelaznym prętem. Na zewnątrz siedzi dwóch ludzi z DEA i czekają na efekty.

Amerykane, myśli Navarres, nie lubią patrzeć jak wyrabia się kielbasy.

Skinął jednemu ze swoich *federales*.

Adán słyszy świt gumy i krzyk.

- Nie bijcie go! - krzyczy Adán.

- Ach, już pan do nas dołączył - mówi Navarres do Adána. Podchodzi bliżej i Adán czuje zapach jego oddechu. Pachnie miętą.

- Może ty powiesz mi, gdzie jest Don Pedro?

- Nie mów im! - krzyczy *campesino*.

- Złamać mu nogę - mówi Navarres.

Okropny dźwięk, gdy *federale* miażdży prętem goleń *campesino*.

Jak siekiera opadająca na drewno.

Potem krzyk.

Adán słyszy jęki człowieka, czkawkę, odgłos wymiotów, modlitwy, ale się nie odzywa.

- Teraz wierzę - mówi Navarres - że nie wie.

Adán czuje, że *comandante* podchodzi bliżej. Czuje zapach kawy i tytoniu w oddechu *federale*, który mówi:

- Ale wierzę, że ty wiesz.

Kaptur zostaje zerwany z głowy Adána i zanim udaje mu się coś powiedzieć, zastępują go czarną opaską na oczy. Potem czuje, że jego krzesło przechyla się gwałtownie do tyłu, tak że prawie leży na podłodze z nogami skierowanymi w sufit pod kątem czterdziestu pięciu stopni.

- Gdzie jest don Pedro?

- Nie wiem.

Nie wie. W tym cały problem. Adán nie ma pojęcia, gdzie jest don Pedro, chociaż bardzo pragnąłby wiedzieć. Dociera do niego bolesna prawda - gdyby wiedział, powiedziałby im. Nie jestem twardy jak ten *campesino*, myśli, nie tak odważny, nie tak lojalny. Zanim złamaliby mi nogę, zanim usłyszałbym ten przeraźliwy dźwięk na moich kościach, poczuł niewyobrażalny ból, wszystko bym im wyśpiewał.

Ale nie wie, więc mówi:

- Naprawdę. Nie mam pojęcia... Nie jestem *gomero* i...

- Hmm, hm.

Nutka powątpiewania w głosie Navarresa.

Nagle Adán czuje jakiś zapach.

Benzyna.

Wciskają Adánowi w usta knebel.

Adán walczy, ale wielkie łapy trzymają go, kiedy wlewają mu benzynę do nosa. Czuje, jakby się topił i faktycznie, tak dzieje się naprawdę. Chce kaszleć, krztusić się, ale knebel mu przeszkadza. Czuje, że wymiociny podchodzą mu do gardła i zastanawia się, czy udusi się od mieszaniny wymiocin i benzyny, kiedy ręce go puszczają, szarpną gwałtownie głową w jedną i drugą stronę, a potem wyciągają knebel i podnoszą krzesło.

Kiedy Adán przestaje wymiotować, Navarres pyta go jeszcze raz::

- Gdzie jest don Pedro?

- Nie wiem - dyszy Adán. Czuje, jak narasta w nim panika. Przez to mówi coś głupiego.

- W kieszeniach mam gotówkę.

Krzesło z powrotem leci do tyłu, knebel łąduje w ustach. Strumień benzyny leje mu się do nosa, wypełnia zatoki, ma wrażenie, że wypłukuje mu mózg. Ma nadzieję, że tak się stanie, ma nadzieję, że umrze, bo uczucie jest nie do zniesienia. Kiedy już prawie traci przytomność, podnoszą krzesło, wyjmują knebel i może wymiotować.

A Navarres krzyczy:

- Myślisz, że kim jestem? Gliną z drogówki, który zatrzymał cię za przekroczenie prędkości? Proponujesz mi łapówkę?!

- Przepraszam - dyszy Adán. - Puśćcie mnie. Skontaktuję się z wami, zapłacę, ile będziecie chcieli. Podajcie tylko sumę.

Z powrotem w dół. Knebel, benzyna. Obrzydliwe, okropne uczucie oparów przenikających do zatok, do mózgu, do płuc. Wrażenie, jakby głowa mu pękała, tułów się skręcał, niekontrolowane wierzganie nogami. Po wszystkim Navarres łapie podbródek Adána

kciukiem i palcem wskazującym.

- Ty mały *traficante*, śmieciu - mówi Navarres. - Myślisz, że każdy jest na sprzedaż? Powiem ci coś, gówniarzu. Mnie nie można kupić. Ja nie jestem na sprzedaż. Tutaj nie ma targowania, nie ma umów. Po prostu dasz mi to, czego chcę.

Wtedy Adán słyszy swój głos, znowu mówiący coś bardzo głupiego.

- *Comemierda*.

Navarres wpada w szal. Krzyczy.

- Ja mam jeść gówno? Ja mam jeść gówno? Dawać go!

Stawiają Adána na nogi i wywlekają z namiotu do latryny, obskurnej dziury przykrytej deską klozetową. Pełnej prawie po brzegi gówna, papieru toaletowego, sików, much.

Federales unoszą szamoczącego się Adána i wkładają jego głowę do dziury.

- Ja mam jeść gówno? - wrzeszczy Navarres. - Sam żryj!

Opuszczają Adána i jego głowa niemal całkowicie zanurza się w nieczystościach.

Próbuje wstrzymać oddech. Skręca się, walczy, dalej próbuje wstrzymać oddech, ale wreszcie musi odetchnąć gównem. Wyciągają go.

Adán kaszle gównem.

Nabiera powietrza i znowu go opuszczają.

Mocno zamyka oczy i usta, pragnie umrzeć, zanim połknie znowu gówno, ale po chwili nie daje rady, jego płuca domagają się powietrza, mózg niemal eksploduje i wreszcie znowu otwiera usta, topi się w śmierdzącym bagnie, wyciągają go i rzucają na ziemię.

- A teraz, kto je gówno?

- Ja.

- Polać go.

Strumień wody kłuje, ale Adán jest wdzięczny. Stoi na czworakach, krztusi się i wymiotuje, ale woda cudownie chłodzi.

Navarres wraca do zwykłej wyniosłości, niemal po ojcowsku pochyla się nad Adánem i pyta:

- A teraz... gdzie jest don Pedro?

- Ja... nie... wiem - wyje Adán.

Navarres potrząsa głową.

- Przeprowadźcie tego drugiego - rozkazuje swoim ludziom. Kilka chwil później *federales* wracają do namiotu, ciągnąc *campesino*. Białe spodnie ma splamione krwią i podarte. Lewa noga wlecze się za nim zgięta pod dziwnym kątem, a z mięśni wystaje postrzępiony kawałek kości.

Na ten widok Adán z miejsca puszcza pawia.

Mdli go jeszcze bardziej, kiedy zaczynają wlec go do helikoptera.

*

Art szczelnie zatyka nos chusteczką.

Otacza go dym i popiół, kłuje w oczy, osiada w ustach. I Bóg wie, myśli Art, jakie trujące świństwo wciągam do płuc.

Jest w małej wiosce, która przycupnęła w zakolu drogi. Po przeciwnej stronie drogi stoją *campesinos* i patrzą, jak żołnierze stoją z pochodniami, gotowi podłożyć ogień na dachach ich *casitas*. Młodzi żołnierze odganiają ich i nie pozwalają zabrać dobytku z płonących domów.

Wtedy Art dostrzega wariata.

Wysoki, tęgi mężczyzna z czupryną białych włosów, nieogoloną twarzą pokrytą białą szpeciną, ubrany w dżinsy i wypuszczoną na wierzch dżinsową koszulę, trzyma przed sobą drewniany krucyfiks jak kiepski aktor w filmie o wampirach kategorii B. Przedziera się przez tłum *campesinos* i przemyka tuż obok żołnierzy.

Żołnierze najwyraźniej również uznali go za wariata, ponieważ cofnęli się i pozwolili mu przejść. Art patrzy, jak mężczyzna przechodzi spokojnie przez drogę i staje między dwoma żołnierzami z pochodniami a domem.

- W imię naszego Pana i Zbawcy Jezusa Chrystusa - krzyczy.

- Zabraniam wam tego robić!

Zachowuje się jak stuknięty wujek, myśli Art, którego zwykle trzyma się w domu, a który teraz, wykorzystując panujący chaos, błąka się ze swoim mesjańskim kompleksem. Dwaj żołnierze stoją i patrzą się na mężczyznę, niepewni, co robić.

Ich sierżant mówi im; podchodzi i krzyczy, żeby przestali się gapić jak *fregados* i spalili ten *chingada* dom. Żołnierze próbują przejść obok szaleńca, ale on błyskawicznym ruchem zastawia im drogę.

Szybki jak na swoją tuszę, myśli Art.

Sierżant chwyta za karabin i celuje lufą w wariata, dając mu tym gestem do zrozumienia, że roztrzaska mu czaszkę, jeśli się nie odsunie.

Wariat się nie usuwa. Stoi niewzruszenie i wzywa imię Pańskie.

Art wzdycha, zatrzymuje dżipa i wysiada.

Wie, że nie powinno go to obchodzić, ale po prostu nie może pozwolić, żeby rozwalili łeb szaleńcowi, nawet nie próbując go powstrzymać. Przechodzi obok sierżanta, mówi mu, że się tym zajmie, potem chwyta wariata pod łokieć i odprowadza na bok.

- Chodź, *viejo* - mówi Art. - Jezus powiedział mi, że pragnie, aby znalazł się pan po drugiej stronie drogi.

- Doprawdy? - pyta człowiek. - A mnie Jezus powiedział, że bym kazał ci się odpiardolić.

Mężczyzna spogląda na niego pełnymi zdumienia szarymi oczami. Art patrzy i już wie, że ten facet nie jest świrem, chodzi o coś innego. Czasami patrzysz człowiekowi w oczy i wiesz, po prostu wiesz, że żarty się skończyły.

Te oczy widziały niejedno i nie uciekały w bok.

Mężczyzna patrzy na napis DEA na czapce Arta.

- I co, dumny z siebie? - pyta.

- Po prostu wykonuję swoją pracę.

- A ja swoją - odwrócił się z powrotem do żołnierzy i ponownie rozkazał im odejść od chat.

- Proszę - nie poddawał się Art. - Nie chcę patrzeć, jak zrobią panu krzywdę.

- To zamknij oczy. - Wtedy zwraca uwagę na zaniepokojony wyraz twarzy Arta i dodaje:

- Nie martw się, nic mi nie zrobią. Jestem księdzem. Biskupem, ściślej mówiąc.

Księdzem?!, myśli Art. Odpiardol się? Jaki cholerny ksiądz - przepraszam, biskup - wyrażałby się w ten sposób...

Myśl przerywa huk wystrzałów.

Art słyszy głucho ta-ta-ta AK-47 i pada, przylegając płasko do ziemi. Podnosi wzrok i widzi, że ksiądz nadal stoi - jak samotne drzewo na prerii, bo wszyscy inni pocałowali glebę - trzymając uniesiony krzyż i krzyczy w stronę wzgórz, żeby przestali strzelać.

To jeden z największych aktów odwagi, z jakimi Art się spotkał.

Albo głupoty, albo szaleństwa.

Cholera, myśli Art.

Podnosi się na kolana, rzuca do nóg księdza i obala go na ziemię.

- Kule nie wiedzą, że jest pan księdzem - tłumaczy mu Art.

- Bóg mnie wezwie, kiedy przyjdzie na to pora - odpowiada ksiądz.

Bóg już otworzył usta, myśli Art. Leży na ziemi obok księdza, dopóki strzelanina nie ustaje, potem ryzykuje i podnosi głowę. Widzi, że z wioski w stronę źródła ognia zaczynają wybiegać żołnierze.

- Nie masz przypadkiem papierosa? - pyta ksiądz.

- Nie palę.

- Purytanin.

- Papierosy ojca zabiją - mówi Art.

- Wszystko co lubię mnie zabije - odpowiada ksiądz. - Palę, piję, za dużo jem. To pewnie sublimacja popędu seksualnego. Jestem biskup Parada. Możesz mówić do mnie ojcie Juanie.

- Jesteś szaleńcem, ojcie Juanie.

- Chrystus potrzebuje szaleńców - mówi Parada, wstając i otrzepując się z kurzu. Rozgląda się i uśmiecha. - A wioska ciągle istnieje.

Tak, myśli Art, bo *gomeros* zaczęli strzelać.

- Nazywasz się jakoś? - pyta ksiądz.

- Art Keller.

Wyciąga rękę. Parada ściska ją i pyta:

- Dlaczego tu jesteś i palisz mój kraj, Arcie Kellerze?

- Już powiedziałem, to...

- Twoja praca - kończy Parada. - Gówniana praca, Arturo. Zauważa reakcję Artę na „Arturo”.

- Chyba jesteś w części Meksykaninem? - pyta Parada. - Etnicznym?

- Ze strony matki.

- Ja jestem w połowie Amerykaninem - mówi Parada. - Urodziłem się w Teksasie. Moi rodzice byli *mojados*, tułaczami za pracą. Zabrali mnie do Meksyku, kiedy byłem jeszcze niemowlęciem. Teoretycznie jednak jestem obywatelem amerykańskim. A przynajmniej teksańskim.

- Juhuuu.

- Pieprzyć tych kowbojów.

Podbiega kobieta i zaczyna mówić do Parady. Płacze i mówi tak szybko, że Art nie może jej zrozumieć. Wychwytuje tylko pojedyncze słowa: *padre Juan* i *federales* i *tortura* - tortury. Parada zwraca się do Artę.

- Tu obok, w obozie, torturują ludzi. Możesz ich powstrzymać?

Prawdopodobnie nie, myśli Art. To standardowa procedura operacyjna Kondora. *Federales* trochę ich poślaskoczą, a oni śpiewają jak z nut.

- Ojcie, nie mogę się mieszać w wewnętrzne sprawy...

- Nie traktuj mnie jak idiotę - przerywa mu ksiądz. W jego głosie brzmi autorytet, który sprawia, że nawet Art Keller słucha.

- Chodźmy.

Idzie i wsiada do dżipa Arta.

- Wsiadaj. Ruszaj i gazu.

Art wsiada, rusza i dodaje gazu.

*

Kiedy dotarli do bazy, Art zobaczył Adána z rękami związanymi na plecach wsiadającego do odkrytego helikoptera. Z tyłu leży *campesino* z paskudnie złamaną nogą.

Helikopter zaraz odleci. Śmigła kręcą się, kurz i kamienie uderzają Arta w twarz. Wyskakuje z dżipa, schyla się pod śmigłami i podbiega do pilota, Phila Hansena.

- Co jest, do cholery, Phil? - krzyczy Art.

Phil uśmiecha się szeroko.

- Dwa ptaszki!

Art rozumie żargon: łapiesz dwa ptaszki. Jeden odlatuje, drugi śpiewa.

- Nie! - mówi Art. Pokazuje kciukiem na Adána. - Ten facet jest mój!

- Mam cię w dupie, Keller!

Tak, wszyscy mają mnie w dupie, myśli Art. Patrzy do tyłu, gdzie Parada schyla się nad *campesino* ze złamaną nogą. Książd rzuca nie niego spojrzenie zarówno pytające, jak i żądające.

Art potrząsa głową, po czym wyciąga swoją czterdziestkę piątkę i przystawia ją do twarzy Hansena.

- Nigdzie nie lecisz, Phil.

Art słyszy, że *federales* podnoszą karabiny i szcękają bezpiecznikami.

Faceci z DEA wybiegają z namiotu - kantyny.

- Keller, co ty wyprawiasz, do cholery? - wrzeszczy Taylor.

- Raczej, co my wyprawiamy, Tim? - pyta Art. - Wyrzucamy ludzi z helikopterów?

- Nie bądź taką dziewicą, Keller - mówi Taylor. - Wiele razy wskakiwałeś na tylne siedzenie.

Mogłem tego nie mówić, myśli Art. To prawda.

- Przegiąłeś, Keller - mówi Taylor. - Tym razem jesteś skończony. Załatwię cię. Wylądujesz za kratkami.

W jego głosie brzmi triumf.

Art ciągle mierzy z pistoletu w twarz Hansena.

- To sprawa meksykańska - mówi Navarres. - Trzymaj się od tego z daleka. Nie jesteś u siebie w kraju.

- Ja jestem u siebie w kraju! - krzyczy Parada. - Ekskomunikuję wasze dupy tak szybko,

że...

- Co za słownictwo, ojczu - mówi Navarres.

- Za chwilę usłyszycie gorsze.

- Próbujemy znaleźć don Pedra Áviles - wyjaśnił Artowi Navarres. Wskazał na Adána.

- Ten gówniarz wie, gdzie on jest i powie nam to.

- Chcecie don Pedra? - pyta Art. Wraca do dżipa i odwija ponczo. Ciało don Pedra zsuwa się na ziemię, wzbijając nieco kurzu. - No to macie.

Taylor patrzy w dół na podziurawione pociskami zwłoki.

- Co się stało?

- Próbowaliśmy aresztować jego i pięciu ludzi - wyjaśnia Art. - Stawili opór. Wszyscy nie żyją.

- Wszyscy? - pyta Taylor, patrząc na Arta.

- Tak.

- Żadnych rannych?

- Nie.

Taylor uśmiecha się pod nosem. Ale jest wkurwiony i Art o tym wie. Oto Art przyniósł właśnie Wielkie Trofeum i teraz Taylor nic nie może mu zrobić. Wciąż jest jeszcze czas na złożenie pokojowej propozycji. Art wskazuje podbródkiem Adána i rannego *campesino* i mówi cicho:

- Ci dwaj chyba powinni trafić w jakieś spokojne miejsce, Tim.

- Taa.

Art wchodzi na tył helikoptera i zaczyna rozwiązywać Adána.

- Przykro mi, że tak wyszło.

- Nie tak jak mnie - mówi Adán. Odwraca się do Parady.

- Co z jego nogą, ojczu Juanie?

- Znacie się? - pyta Art.

- Chrzciłem go - odpowiada Parada. - Udzieliłem mu pierwszej komunii. A temu gościowi nic nie będzie.

Ale spojrzeniem daje Adánowi i Artowi do zrozumienia, że nie jest dobrze.

Art krzyczy do pilota:

- Teraz możesz startować, Phil! Do szpitala w Culiacán. Pośpiesz się!

Helikopter startuje.

- Arturo - odzywa się Parada.

- Tak?

Ksiądz uśmiecha się do niego.

- Gratulacje - mówi Parada. - Jesteś szalony.

Art patrzy w dół na zniszczone pola, spalone wioski, uchodźców idących kolumną drogą.

Jak okiem sięgnąć, wszędzie widać zgliszcza.

Pola czarnych kwiatów.

Tak, myśli Art, jestem szalony.

*

Dziewięćdziesiąt minut później Adán leży na czystych białych prześcieradłach w najlepszym szpitalu w Culiacán. Rana na twarzy od uderzenia lufą pistoletu Navarresa została oczyszczona i opatrzona. Nafaszerowano go antybiotykami, ale odmówił zażycia środków przeciwbólowych.

Adán chce czuć ból.

Wstaje z łóżka i idzie korytarzem do sali, gdzie, po jego naleganiach, umieszczono Manuela Sáncheza.

Campesino otwiera oczy i widzi Adána.

- Moja noga...

- Wciąż ją masz.

- Nie pozwól im...

- Nie pozwolę - mówi Adán. - Prześpij się.

Adán szuka lekarza.

- Czy da się uratować jego nogę?

- Myślę, że tak - mówi lekarz. - Ale to będzie sporo kosztowało.

- Wie pan kim jestem?

- Wiem, kim pan jest.

Adán wychwytuje delikatną nutę w spojrzeniu i tonie: wiem, kim jest twój wuj.

- Uratuje pan nogę - mówi Adán - a zostanie pan dyrektorem nowego skrzydła tego szpitala. Jeśli on straci nogę, pan spędzi resztę życia robiąc skrobanki w burdelu w Tijuanie. Jeśli straci życie, pan wyląduje w grobie jeszcze przed nim. I nie załatwi tego mój wuj, tylko ja osobiście. Zrozumiał pan?

Lekarz zrozumiał.

A Adán zrozumiał, że życie się zmieniło.

Skończyło się dzieciństwo.

Zaczęło się prawdziwe życie.

*

Tío powoli zaciąga się kubańskim cygarem i przygląda się, jak kółeczka z dymu płyną przez pokój.

Operacja Kondor nie mogła pójść lepiej. Pola Sinaloi spalone, ziemia zatruta, *gomeros* rozbici, a Áviles w piachu. Amerykanie wierzą, że zniszczyli źródło wszelkiego zła i z powrotem zapadną w drzemkę, dopóki Meksyk trzyma rękę na pulsie.

Ich samozadowolenie da mi czas i swobodę na stworzenie organizacji, której Amerykanie nie dadzą rady ruszyć, kiedy już zbudzą się ze snu.

Federación.

Rozlega się lekkie pukanie do drzwi.

Wchodzi ubrany na czarno agent DFS z uzi na ramieniu.

- Ktoś chce się z panem widzieć, don Miguela. Mówi, że jest pańskim siostrzeńcem.

- Wpuść go.

W drzwiach staje Adán.

Miguel Ángel Barrera już wie, co spotkało jego siostrzeńca - bicie, tortury, groźby wobec lekarza, wizyta Parady w klinice. W jeden dzień z chłopca stał się mężczyzną.

I ten mężczyzna od razu przechodzi do rzeczy.

- Wiesz już o nalocie - mówi Adán.

- Ściśle mówiąc, sam go zaplanowałem.

Ściśle mówiąc, cele zostały obrane starannie, żeby wyeliminować wrogów, konkurentów i dinozaury, którzy nie potrafili zrozumieć współczesnego świata. I tak by nie przetrwali, a tylko stali na drodze.

Teraz już nie stoją.

- To było okrutne - mówi Adán.

- To było konieczne - odpowiada Tío. - Tak czy owak, w końcu by do tego doszło, więc cóż szkodziło na tym skorzystać. To tylko interes, Adánie.

- Jeśli tak... - zaczyna Adán.

Za chwilę, myśli Tío, okaże się, jakiego rodzaju mężczyzną stał się chłopiec. Czekaj, aż Adán skończy.

- Jeśli tak - mówi Adán - chcę wejść w ten interes.

*

Tío Barrera staje u szczytu stołu.

Restauracja została na dziś wieczór zamknięta - prywatne przyjęcie. Widać to na pierwszy rzut oka, myśli Adán; okolicę otoczyli ludzie z DFS uzbrojeni w uzi. Wszystkich

gości przeszukano i rozbrojono.

Lista gości jest sennym marzeniem jankesów. Na przyjęciu znalazł się każdy ważniejszy *gomer*, który wyszedł cało z operacji Kondor. Adán siedzi za Raúlem i robi przegląd osób przy stole.

García Abrego, pięćdziesięciolatek, staruszek w tym interesie. Siwe włosy i siwe wąsy, wygląda jak mądry, stary kot. Którym rzeczywiście jest. Siedzi i beznamiętnie obserwuje Barrerę, a Adán nie potrafi odczytać uczuć z jego twarzy. „To dzięki temu - powiedział Tío Adánowi - dożył pięćdziesiątki w tym interesie. Ucz się od niego”.

Obok Abrego siedzi mężczyzna, którego Adán zna jako El Verde. „Zielony”, nazwany tak od zielonych butów ze strusiej skóry, które zawsze nosi. Poza tym ekstrawaganckim elementem Chalino Guzmán wygląda jak farmer - dżinsowa koszula i spodnie, słomiany kapelusz.

Obok Guzmána siedzi Güero Méndez.

Nawet do tej miejskiej restauracji Güero założył swój kowbojski strój: czarną koszulę z guzikami z masy perłowej, obcisłe czarne dżinsy i wielki biały kapelusz, nie zdjął go nawet w środku.

Güero nie może się nagadać o swoim cudownym ocaleniu z zasadzki *federale*, gdzie zginął jego szef, don Pedro. „Święty Jesús Malverde ochronił mnie przed kulami - mówił Güero. - Mówię wam, bracia, szedłem przez ich deszcz. Jeszcze wiele godzin po wszystkim nie wiedziałem, że żyję. Myślałem, że jestem duchem”. I tak dalej, i tak dalej, pieprzył o tym, jak wystrzelał cały magazynek w *federales*, a potem wyskoczył z samochodu i pobiegł - „pośród kul, bracia” - w krzaki, gdzie zdołał się schronić. I jak dostał się do miasta, „myśląc, że każda chwila jest moją ostatnią, bracia”.

Adán przesuwa wzrokiem po pozostałych gościach: Jaime Herrerze, Rafaelu Caro, Chapo Montanie, to wszyscy *gomer* z Sinaloi, wszyscy obecnie poszukiwani, wszyscy ścigani. Zbłąkane, targane wiatrem stateczki, które Tío przyjął do bezpiecznej przystani.

Tío zwołał to zebranie i już to świadczyło o jego przewadze. Sprawił, że siedzieli wszyscy razem przy ogromnych wiaderkach mrożonych krewetek, półmiskach cieniutko pokrojonego *carne* i kuflach lodowatego piwa, które mieszkańcy Sinaloi przedkładają nad wino.

W sali obok młodzi muzycy z Sinaloi rozgrzewają się do śpiewania *bandas* - pieśni wychwalających uczynki słynnych *traficantes*, z których wielu siedzi przy stole. W pokoju na zapleczu czeka tuzin najdroższych prostytutek, sprowadzonych od Haley Saxon, z ekskluzywnego burdelu w San Diego.

- Rozlana krew już wyschła - mówi Tío. - Teraz nadszedł czas odsunąć na bok wszelkie urazy, aby zmyć gorzki smak *venganza* z naszych ust. Te sprawy już odpłynęły w przeszłość, jak wczorajsza woda w rzece.

Pociąga łyk piwa, trzyma chwilę w ustach i wypluwa na podłogę.

Przerywa i czeka na sprzeciw.

Nie ma żadnego.

- Przemija również nasze życie - mówi dalej. - Przemija w truciznie i płomieniach. Nasze dawne życia są jak ulotne sny, które śnimy o poranku, odlatujące jak smuga dymu na wietrze. Możemy pragnąć przywołać ten sen z powrotem i dalej słodko śnić, ale to nie życie, to sen.

- Amerykanie chcą rozbić nas, mieszkańców Sinaloi. Wypalić naszą ziemię i przegnać nas na cztery wiatry. Ale ogień, który pożera, jednocześnie toruje drogę dla nowego życia. Wiatr, który niszczy, jednocześnie rozwiewa nasiona. Jeśli chcą nas rozbić, niech tak się stanie. Dobrze. Rozwijemy się jak nasiona *manzanita*, które kiełkują w każdej glebie. Rozwijają się i rozrastają. My rozdzielimy się jak palce jednej ręki. Jeśli nie pozwolą nam mieć naszej Sinaloi, weźmiemy cały kraj.

- Istnieją trzy kluczowe obszary dla prowadzenia *la pista secreta*: Sonora, przy granicy z Teksasem i Arizoną; Zatoka, z Teksasem, Luizjaną i Florydą po drugiej stronie granicy; oraz Baja, tuż obok San Diego, Los Angeles i zachodniego wybrzeża. Proszę Abrego, żeby jako swoją *plaza* wziął Zatokę i korzystał z rynków w Houston, Nowym Orleanie, Tampie i Miami. Proszę El Verde, don Chalino, żeby przejął *plaza* Sonorę i usadowił się w Juárez, przejmując rynek w Nowym Meksyku, Arizonie i pozostałej części Teksasu.

Adán bez sukcesu próbuje odczytać reakcje z ich twarzy: *plaza* w Zatoce może przynieść bogactwo, ale to trudny region, gdyż amerykańska jurysdykcja sięga do Meksyku i koncentruje się na wschodnich Karaibach. Jednak Abrego powinien zarobić miliony - nie, miliardy - jeśli będzie potrafił znaleźć źródło towaru do sprzedaży.

Patrzy na El Verde, którego twarz *campesino* pozostaje nieprzenikniona. *Plaza* w Sonorze powinna okazać się lukratywna. El Verde jest w stanie wysłać tony narkotyków do Phoenix, El Paso i Dallas, nie wspominając o szlaku biegnącym na północ od tych miast do Chicago, Minneapolis, a przede wszystkim Detroit.

Ale wszyscy czekają na ostatnią informację i Adán obserwuje ich oczy, kiedy dotrze do nich fakt, że Tío zachował dla siebie złote jabłko.

Baję.

Tijuana zapewnia dostęp do ogromnych rynków w San Diego, Los Angeles, San

Francisco, San Jose. Oraz do kanałów transportowych, którymi można dostarczyć towar do jeszcze bogatszych rynków na północy Stanów Zjednoczonych: Filadelfii, Bostonu i perły spośród pereł - Nowego Jorku.

Jest więc *plaza* Zatoka, *plaza* Sonora, ale Baja to prawdziwa *plaza*.

La Plaza.

Nikt więc nawet nie drgnie i nie okazuje zaskoczenia, kiedy Barrera mówi:

- Osobiście chcę...

- ...przenieść się do Guadalajary.

Teraz są zaskoczeni.

A najbardziej Adán, który nie może uwierzyć, że Tío oddaje potencjalnie najbardziej lukratywny obszar na Zachodzie. Jeśli Plaza nie trafia do rodziny, do kogo zatem...

- Proszę - mówi Barrera - żeby Baja Plaza przejął Güero Méndez.

Adán patrzy, jak twarz Güero rozjaśnia się uśmiechem. Wtedy łapie, o co chodzi. Oto objawienie wyjaśniające cud ocalenia Güero z zasadzki, w której zginął don Pedro. Teraz wie, że Plaza to nie prezent niespodzianka, ale spełniona obietnica.

Ale dlaczego? - zastanawia się Adán. O co chodzi Tío?

I gdzie jest moje miejsce?

Nie musi otwierać ust i pytać. Tío powie mu wszystko prywatnie, kiedy będzie gotowy.

García Abrego pochyła się do przodu z uśmiechem. Jego usta wydają się małe pod ogromnym wąsem. Jak pyszczyk kota, myśli Adán. Abrego mówi:

- Barrera podzielił świat na trzy części, a potem bierze dla siebie czwartą. Zastanawiam się, dlaczego.

- Abrego, co uprawia się w Guadalajarze? - pyta Barrera. - Jaka granica przebiega w Jalisco? Żadna. To miejsce jak każde. Bezpieczne schronienie, skąd można służyć naszej Federacji.

Po raz pierwszy użył tego słowa, myśli Adán. Federacja. Z nim samym na czele. Nie z tytułu, lecz z pozycji.

- Jeśli zaakceptujecie taką umowę - mówi Barrera - podzielę się z wami tym, co mam. Moi przyjaciele będą waszymi przyjaciółmi, moja ochrona waszą ochroną.

- Ile będziemy płacić za tę ochronę? - pyta Abrego.

- Skromną sumę - odpowiada Barrera. - Ochrona jest droga.

- Jak droga?

- Piętnaście procent.

- Podzieliłeś kraj na *plazas*, Barrera - mówi Abrego. - Wszystko bardzo pięknie. Abrego

weźmie Zatokę. Ale o czymś zapomniałeś, krojąc owoc. Zapomniałeś, że nie ma co kroić. Nic nie zostało. Nasze pola spalono i zatruto. Nasze góry oblaźła *policía* i jankesi. Dajesz nam rynki, ale nie mamy opium, które byśmy na nich sprzedawali.

- Zapomnij o opium - mówi Barrera.

- A *yerba*... - zaczyna Güero.

- Zapomnij o marihuanie - mówi Barrera. - To nędzny interes.

Abrego rozkłada ramiona i mówi:

- Zatem, Miguelu Ángel, El Ángel Negro, mówisz nam, że mamy zapomnieć o *la mapola* i *la yerba*. Co więc mamy uprawiać?

- Przestań myśleć jak farmer.

- Jestem farmerem.

- Mamy długą na dwa tysiące mil granicę ze Stanami Zjednoczonymi - mówi Barrera. - I kolejne tysiąc mil przez morze. To jedyny plon jakiego potrzebujemy.

- O czym ty mówisz? - wybucha Abrego.

- Przystępujesz do Federación?

- Tak, oczywiście - mówi Abrego. - Wstępuję do tej Federacji Wielkie Nic. Jaki mam wybór?

Nie masz, myśli Adán. Tío ma na własność policję stanową Jalisco i współpracuje z DFS. Zorganizował rewolucję jednej nocy w postaci operacji Kondor i dzięki niej wdarł się na szczyt. Ale - i tu Abrego ma rację - na szczyt czego?

- El Verde?

- *Sí*.

- Méndez?

- *Sí*, don Miguelu.

- Zatem, *hermanos* - mówi Barrera - pozwólcie, że zaprezentuję wam przyszłość.

Przechodzą do pilnie strzeżonego pokoju hotelowego, który Barrera wynajął obok.

*

Czeka tam na nich Ramón Mette Ballasteros.

Adán wie, że Mette to Honduranin i ma związki z Kolumbijczykami z Medellín, a Kolumbijczycy nie mają żadnego interesu w Meksyku. Adán patrzy, jak rozpuszcza kokainę w kubku z wodą pomieszaną z sodą.

Obserwuje jak Mette umieszcza kubek nad palnikiem i podkręca płomień.

- To kokaina - mówi Abrego. - No i co?

- Patrz - mówi Barrera.

Adán obserwuje jak mieszanina zaczyna wrzeć i słyszy, że kokaina wydaje śmieszny, trzeszczący dźwięk. Potem proszek zaczyna przechodzić w ciało stałe. Mette delikatnie go wyjmuje i suszy. Potem formuje z niego kulkę wyglądającą jak mały kamyczek.

- Panowie, oto jest przyszłość - mówi Barrera.

*

Art stoi przed figurą Santo Jesúa Malverde.

- Złożyłem przed tobą *manda* - mówi Art. - Wykonałeś swoją część umowy. Teraz kolej na mnie.

Wychodzi ze świątyni i jedzie taksówką na drugi koniec miasta.

Już wjeżdżają do dzielnicy nędzy.

Uchodźcy z Badiraguato budują swoje nowe domy z kartonów, skrzynek i koców. Pierwsi szczęśliwcy znaleźli kawałki blachy falistej. Art widzi nawet stary billboard filmowy - *Prawdziwe męstwo* - użyty jako dach. Opromieniony blaskiem słońca John Wayne patrzy z góry na grupkę rodzin budujących ściany ze starych szmat, kawałków sklejk o dziwacznych kształtach, połamanych pustaków.

Parada skombinował jakieś stare namioty - zastanawia się Art, czyżby wydusił od armii? - i zorganizował kuchnię oraz prowizoryczny szpital. Tekturowe tablice leżą na pniakach i służą jako stół. Na butli z propanem rozgrzewa się cienki płat blachy, na którym ksiądz i kilka zakonnice odgrzewają zupę. Obok kobiety robią tortille na grillu.

Art wchodzi do namiotu, gdzie zakonnice myją dzieci i dezynfekują ramiona, żeby lekarze mogli zaaplikować im zastrzyk przeciwtężcowy. Z drugiej strony wielkiego namiotu dobiega Arta dziecięcy krzyk. Podchodzi bliżej i widzi, że Parada tuli małą dziewczynkę z oparzonymi rękami. Oczy dziewczynki są szeroko otwarte ze strachu i bólu.

- Mamy najbogatsze pola opium na Zachodzie - mówi Parada - a nie możemy złagodzić niczym bólu dziecka.

- Gdybym mógł, zamieniłbym się z nią miejscami - mówi Art.

Parada przygląda mu się przez dłuższą chwilę.

- Wierzę ci. Szkoda, że nie możesz tego zrobić. - Całuje dziecko w policzek. - Jezus cię kocha.

Cierpiąca mała dziewczynka, myśli Parada, a ja mogę powiedzieć jej tylko tyle. Są tu też gorsze przypadki. Mamy człowieka pobitego tak bardzo, że lekarze musieli amputować mu ręce i nogi. A wszystko przez to, że Amerykanie nie potrafią opanować swojego apetytu na narkotyki. Przychodzą palić maki i parzą dzieci. Powiem ci coś, Jezu, teraz przydałbyś się nam we własnej osobie.

Art idzie za nim przez namiot.

- Jezus cię kocha - mruczy Parada. - Kiedy przychodzi noc taka jak ta, myślę, że wszystko to jedno wielkie gówno. Co cię tu sprowadza? Poczucie winy?

- Coś w tym rodzaju.

Art wyjmuje z kieszeni pieniądze i wręcza je Paradzie. Całą miesięczną pensję.

- Kup za to leki - mówi Art.

- Niech Bóg cię błogosławi.

- Nie wierzę w Boga - mówi Art.

- Nieważne - mówi Parada. - On wierzy w ciebie.

Zatem, myśli Art, jest frajerem.

2.

Dziki Irlandczyk

Tam, dokąd idziemy, czcimy
Kraj, który kazał nam uciekać
Od strachu przed księżmi z pustymi tacami
Od winy i płaczących figur.
Shane MacGowan, *Thousands Are Sailing*

Hell's Kitchen
Nowy Jork
1977

Callan wychowuje się na krwawych opowieściach.

Cuchulain, Edward Fitzgerald, Wolfe Tone, Roddy McCorley, Pádraic Pearse, James Connelly, Sean South⁶, Sean Barry, John Kennedy, Bobby Kennedy, Krwawa Niedziela, Jezus Chrystus.

Krwistoczerwony gulasz irlandzkiego nacjonalizmu i katolicyzmu, czy też irlandzkiego katolickiego nacjonalizmu. Bez znaczenia. Mury małego budynku przy West Side i mury szkoły St. Bridget's są ozdobione, o ile można to tak nazwać, kiepskimi obrazami męczeństwa: McCorley zwisający z mostu w Toome; Connelly przywiązany do krzesła przed brytyjskim plutonem egzekucyjnym; święty Sebastian ze sterczącymi z ciała strzałami; biedny, niezdarny Wolfe Tone, który tnie sobie szyję brzytwą, ale pieprzy wszystko i przecina sobie tchawicę zamiast tętnicy szyjnej - w każdym razie zdążył umrzeć, zanim go powiesili; biedny John i biedny Bobby patrzący w dół z nieba; Chrystus na krzyżu.

Oczywiście w samej St. Bridget's jest Dwanaście Stacji Drogi Krzyżowej. Chrystus biczowany, korona cierniowa, Chrystus idący ulicami Jerozolimy z krzyżem na plecach. Gwoździe wbijane w jego błogosławione ręce i stopy. (Bardzo młody Callan pyta swoją

⁶ Cuchulain - legendarny irlandzki bohater, który w pojedynku zabił swego mlecznego brata; Edward Fitzgerald - usunięty w 1792 roku z armii brytyjskiej za wzniesienie republikańskiego toastu na bankiecie; Wolfe Tone - walczył o niepodległość Irlandii, schwytyany przez Brytyjczyków i skazany na śmierć przez powieszenie, podciął sobie gardło własnym szczyrzykiem; Roddy McCorley - lokalny przywódca podczas powstania irlandzkiego w 1798 roku, stracony rok później koło mostu Toome; Pádraic Pearse i James Connelly - przywódcy powstania wielkanocnego w 1916 roku, rozstrzelani przez Brytyjczyków; Sean South - członek IRA, zginął w 1959 roku podczas ataku na posterunek policji w północnoirlandzkiej wiosce Brookeborough.

siostrę, czy Chrystus był Irlandczykiem, a ona wzdycha i mówi mu: nie, ale mógłby nim być).

Ma siedemnaście lat i pije piwo w Liffey Pub na rogu Czterdziestej Siódmej i Dwunastej ze swoim kumplem O-Bopem.

W barze oprócz barmana Billy'ego Shieldsa jest jeszcze tylko Mały Mickey Haggerty. Mały Mickey siedzi przy drugim końcu baru i pije na umór w związku ze zbliżającym się spotkaniem z sędzią, który zamknie go na osiem do dwunastu lat. Mały Mickey przyszedł z garścią ćwierćdolarówek i kolejno wrzuca je do szafy grającej, wciąż naciskając ten sam guzik. E-5. Andy Williams nuci zatem już od godziny „Moon River”, ale chłopaki nic nie mówią, bo wiedzą, że Mały Mickey wystawia glinom złodziei samochodów.

To jedno z tych zabójczych sierpniowych popołudni w Nowym Jorku - z rodzaju popołudni „nie upalnych, ale parnych” - kiedy koszula lepi się do pleców, a wszystkie urazy wyłażą na wierzch.

O tym O-Bop rozmawia z Callanem.

Siedzą przy barze, piją piwo, a O-Bop nie może przestać o tym myśleć.

Co zrobili Michaelowi Murphy'emu.

- Brzydko postąpili z Michaeliem Murphym - mówi O-Bop. - Bardzo brzydko.

- Tak - zgadza się Callan.

A oto co przytrafiło się Michaelowi Murphy'emu: zastrzelił swojego najlepszego przyjaciela, Kenny'ego Mahera. To była jedna z tych spraw; obaj się wtedy nawalili „meksykańskim błotem”, rodzajem heroiny, który wtedy krążył po dzielnicy, i to była zwykła rzecz. Kłótnia między dwoma ćpunami, która wymknęła się spod kontroli: Kenny wali Michaela, a Michael się wkurza, z małym pistoletem idzie za Kennym do domu i strzela mu w głowę.

Potem siedzi na środku zasranej Czterdziestej Dziewiątej i płacze, bo zabił swojego najlepszego przyjaciela. To O-Bop przechodził tamtędy i zabrał go, zanim nadjechały gliny, a ponieważ Hell's Kitchen jest takie, jakie jest, gliny nigdy nie dowiedzą się, kto załatwił Kenny'ego.

Gliny to jedyni ludzie w okolicy, którzy nie wiedzą, kto zabił Kenny'ego Mahera. Wszyscy się dowiedzieli, w tym również Eddie Friel, co było złą wiadomością dla Murphy'ego. Eddie „Rzeźnik” Friel zbiera kasę dla Wielkiego Matta Sheehana.

Wielki Matt trzyma w garści całą dzielnicę, rządzi West Side Longshoreman's Union, rządzi miejscowymi kierowcami ciężarówek, hazardem, lichwiarzami, dziwkami, można by jeszcze długo wyliczać - ale Matt Sheehan nie życzy sobie w dzielnicy żadnych narkotyków.

To powód do dumy Sheehana i przyczyna jego popularności wśród starszych

mieszkańców Kitchen.

- Mówcie, co chcecie o Matcie - będą mówić - ale uchronił nasze dzieciaki przed narkotykami.

Z wyjątkiem Michaela Murphy'ego i Kenny'ego Mahera oraz paru tuzinów innych, ale nie wpłynęło to w żaden sposób na opinię Matta Sheehana. A wielką część swojej reputacji Matt zawdzięcza Eddiemu Rzeźnikowi, ponieważ cała dzielnica śmiertelnie się go boi. Kiedy Eddie Rzeźnik zbiera kasę, płacisz mu. Lepiej zrobić to w gotówce, bo jeśli nie, zapłacisz krwią i połamanymi kośćmi. A potem wciąż jesteś winien pieniądze.

Zawsze niemal połowa Hell's Kitchen wisiała pieniądze Wielkiemu Mattowi Sheehanowi.

Co stanowiło kolejny powód, dla którego udawali, że go lubią.

Ale O-Bop słyszy, jak Eddie mówi, że ktoś powinien zająć się tym pieprzonym ćpunem Murphym, więc idzie do Murphy'ego i mówi mu, że powinien na jakiś czas zniknąć z okolicy. Callan robi to samo. Callan mówi mu to, gdyż Eddie nie tylko słynie z tego, że zawsze popiera swoje słowa czynkami, ale Matt powiedział też, że zabijające się ćpuny bardzo źle świadczą o dzielnicy i źle wpływają na jego reputację.

O-Bop i Callan mówią więc Murphy'emu, by zniknął, ale Murphy odpowiada, że to chrzani, że zostaje na miejscu, a oni myślą, że chce się zabić z powodu tego, co zrobił Kenny'emu. Jednak kilka tygodni później nagle orientują się, że go nigdzie nie widać, więc dochodzą do wniosku, że zmańdżał i wyjechał, i tak myśleli aż do pewnego poranka, kiedy to Eddie Rzeźnik pojawił się w Shamrock Cafe z szerokim uśmiechem na ustach i kartonem po mleku.

Zachowuje się jakby urządzał pokaz, podchodzi do miejsca, gdzie Callan i O-Bop próbują filiżanką kawy zagłuszyć kaca i przechyla karton tak, żeby O-Bop mógł zajrzeć.

- Hej, popatrz tu - mówi.

O-Bop zagląda do kartonu i wymiotuje na stół, co Eddie uznaje za nieco historyczną reakcję, nazywa O-Bopa cipą i wychodzi ze śmiechem. Przez następne tygodnie w dzielnicy mówi się tylko o tym, jak Eddie i jego kumpel Larry Moretti poszli do mieszkania Michaela, zaciągnęli go pod prysznic i dźgnęli sto czterdzieści siedem razy, a potem poćwiartowali.

Fama głosi, że Eddie Rzeźnik fachowo zajął się ciałem Michaela Murphy'ego i poćwiartował go jak kawał wieprzowiny, poszczególne członki powkładał w worki na śmieci i rozrzucił po całej dzielnicy.

Z wyjątkiem ptaszka Michaela, którego włożył do kartonu po mleku i pokazywał wszystkim naokoło, żeby nikt nie miał wątpliwości, co mu się przytrafi, jeśli zadrze z

kumplem Eddiego.

I nikt nie mógł nic z tym zrobić, ponieważ Eddie był blisko związany z Mattem Sheehanem, a Sheehan miał umowę z rodziną Cimino, więc pozostawał nietykalny.

Sześć miesięcy później O-Bop nadal o tym rozmyśla.

I mówi, że brzydko postąpili z Murphym.

- No dobra, może musieli go zabić - mówi O-Bop. - Może. Ale zrobić mu coś takiego? A jeszcze po tym, co zrobili, obnosić kawałek ciała po dzielnicy? Nie, to nie w porządku. To było bardzo złe.

Barman, Billy Shields, wyciera bar - być może pierwszy raz od nowości - i naprawdę zaczyna się denerwować, że ten chłopak źle wyraża się o Eddiem Rzeźniku. Szoruje kontuar, jakby chciał na nim przeprowadzić zabieg chirurgiczny.

O-Bop widzi, że barman nie spuszcza z niego oka, ale nie odpuszcza. O-Bop i Callan myśleli o tym cały dzień, spacerując wzdłuż Hudson, paląc jointa i popijając piwo schowane w brązowych papierowych torbach. Nie są kompletnie zamroczeni, ale trudno nazwać ich kompletnie trzeźwymi.

O-Bop więc nie odpuszcza.

Tak się składa, że to Kenny Maher nazwał go O-Bopem. Wszyscy grali w parku w hokeja i właśnie mieli przerwę, kiedy Stevie O'Leary, pod którym to nazwiskiem był do tej pory znany, zaczął spacerować i Kenny Maher patrząc na Stewiego powiedział:

- Powinniśmy mówić do ciebie 'Bop.

Stevie jest zadowolony. Ile ma lat, piętnaście? Fajnie, że kilku starszych chłopaków chce mu nadać ksywkę, więc uśmiecha się i pyta:

- 'Bop? Dlaczego 'Bop?

- Od sposobu, w jaki chodzisz - wyjaśnia Kenny. - Podskakujesz przy każdym kroku. Jakbyś tańczył bebopa.

- Bop - mówi Callan. - Podoba mi się.

- Kogo to obchodzi, czy ci się podoba - mówi Kenny.

Wtedy wtrąca się Murphy:

- Co to, kurwa, za imię „Bop” dla Irlandczyka? Popatrz na te jego czerwone kudły. Jak stanie na rogu, samochody się zatrzymują. I ta biała japa w piegi, na litość boską. Jak można mówić do niego „Bop”? To jak ksywa czarnego. A to najbielszy facet, jakiego w życiu widziałem.

Kenny myśli.

- Irlandczyk, hę?

- Tak, kurwa.

- No dobra - mówi Kenny. - To może O'Bop?

Mówi to kładąc akcent na O, więc wychodzi O-Bop.

I przyjmuje się.

W każdym razie O-Bop wciąż gada o Eddie'm Rzeźniku.

- Wiesz co, leję na tego gościa - mówi. - Myśli, że jak trzyma z Mattem Sheehanem, może robić wszystko, co zechce. Kim niby jest ten pierdolony Matty Sheehan? Starym zapijaczonym ajryszem, który wciąż leje łzy w piwo za Jackiem Kennedym? I ja mam takiego faceta szanować? Niech się jebie. Niech oni wszyscy się jebią.

- Uspokój się - rzuca Callan.

- Pocałuj mnie w dupę - odpowiada O-Bop. - Bardzo źle postąpili z Michaeliem Murphym.

Pochyla się nad barem i wraca do swojego piwa. Staje się ponury jak to popołudnie.

Jakieś dziesięć minut później do baru wchodzi Eddie Friel.

Eddie Friel to wielki pieprzony dupek.

Wchodzi, dostrzega O-Bopa i mówi naprawdę głośno:

- Hej, włosie łonowy.

O-Bop nie podnosi się, ani nie odwraca.

- Hej! - wrzeszczy Eddie. - Do ciebie mówię. Bo to coś na twojej głowie, to włosy łonowe? Kręcone i rude?

Callan patrzy na O-Bopa, który odwraca głowę.

- Czego chcesz?

Stara się, żeby jego głos brzmiał twardo, ale Callan słyszy, że się boi.

I co z tego? Callan też.

- Dowiedziałem się, że masz coś do mnie - mówi Friel.

- Nie. Nic nie mam - mówi O-Bop.

Callan uważa, że to dobra odpowiedź, niestety, nie satysfakcjonuje Friela.

- Bo jeśli coś masz, jestem tutaj.

- Nie, nie mam.

- Słyszałem co innego - mówi Friel. - Podobno łązisz po dzielnicy i rozpuszczasz jadaczkę na temat czegoś, co zrobiłem.

- Nie.

Gdyby nie było to jedno z tych zabójczych sierpniowych nowojorskich popołudni, pewnie na tym by się skończyło. Cholera, gdyby w Liffey zamontowano klimatyzację,

pewnie na tym by się skończyło. Ale na suficie znajdowało się tylko kilka wentylatorów, które wprawiały w wir tylko tumany kurzu i zdechłe muchy, więc wszystko nie skończyło się w tym właściwym momencie.

Ponieważ O-Bop kompletnie się poddał. Położył uszy po sobie i nie było potrzeby ciągnąć tego dalej, tyle że Eddie to sadystyczny kutas, więc mówi:

- Kłamiesz, ty mały złamasie.

Przy drugim końcu baru Mickey Haggerty wreszcie podnosi wzrok znad swojej whisky i mówi:

- Eddie, chłopak ci mówi, że nic do ciebie nie ma.

- Ktoś się ciebie pyta, Mickey? - odpowiada Friel.

- To tylko chłopiec, na litość boską - mówi Mickey.

- Dlatego nie powinien rozpuszczać jęzora jak facet - mówi Friel. - Nie powinien łązić i gadać o tym, że pewni ludzie nie mają prawa rządzić dzielnicą.

- Przepraszam - jęczy O-Bop.

Głos mu drży.

- Tak, przepraszasz - mówi Friel. - Przepraszasz, ty mały skurwysynu. Popatrzcie na niego, skamle jak mała dziewczynka, i to ma być ten facet, który myśli, że pewni ludzie nie mają prawa rządzić dzielnicą.

- Słuchaj, powiedziałem przepraszam - jęczy O-Bop.

- Tak, słyszałem, co mi powiedziałeś twarzą w twarz - mówi Friel. - Ale co powiesz za moimi plecami, hę?

- Nic.

- Nic? - Friel wyciąga spod koszuli trzydziestkę ósemkę.

- Na kolana.

- Co?

- Co? - przedrzeźnia go Friel. - Na kolana, mały skurwysynu.

O-Bop jest zwykle blady, ale teraz Callan widzi, że robi się naprawdę biały. Wygląda jak trup, i może coś w tym jest, bo wygląda na to, że Friel zamierza go właśnie zastrzelić.

O-Bop cały się trzęsie i zsuwa się ze stołka. Musi najpierw podeprzeć się rękami o podłogę, żeby się nie przewrócić, kiedy klęka. I płacze - wielkie łzy kapią mu z oczu i spływają po twarzy.

Na twarz Eddiego wypływa wredny uśmiech.

- No, dalej - mówi Callan do Friela.

Friel odwraca się do niego.

- Po co się w to mieszasz, chłopcze? - pyta Eddie. - Musisz wybrać z kim trzymasz, z nami, czy z nim.

Patrzy z góry na Callana.

- Z nim - mówi Callan, wyciąga dwudziestkę dwójkę spod koszuli i dwa razy strzela Eddiemu Rzeźnikowi w czoło.

Eddie wygląda, jakby nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Patrzy na Callana, jakby go pytał: Co się dzieje, do kurwy nędzy?, potem pada. Leży na wznak na brudnej podłodze, kiedy O-Bop wyjmuje z jego ręki trzydziestkę ósemkę, wkłada do ust Eddiego i raz po raz naciska na spust.

O-Bop płacze i wykrzykuje przekleństwa.

Billy Shields podnosi ręce do góry.

- Ja nie mam nic do nikogo - mówi.

Mały Mickey podnosi wzrok znad swojej whisky i mówi do Callana:

- Możesz już szykować się do wyjazdu.

- Powiniennem zostawić broń? - pyta Callan.

- Nie - mówi Mickey. - Wrzuć do Hudson.

Mickey wie, że w rzece Hudson na odcinku między Trzydziestą Ósmą a Pięćdziesiątą Siódmą na dnie leży więcej broni niż, powiedzmy, w Pearl Harbor. I że gliny nie będą przeczesywać dna, żeby znaleźć broń, od której zginął Eddie Rzeźnik. Na Manhattan South zareagują mniej więcej tak: Ktoś uciszył Eddiego Friela? Och. Ktoś ma ochotę na ostatnią czekoladkę?

Nie, problemem dla tych chłopaków nie było prawa, tylko Matt Sheehan. Nie żeby Mickey poleciał do Wielkiego Matta i powiedział mu, kto stuknął Eddiego. Matt mógł skłonić sędziego, żeby podwyższył wyrok, ale mu się nie chciało, więc Mickey uważa, że nie musi się zachowywać wobec niego lojalnie.

Ale barman Billy Shields poleci na złamanie karku, by donieść Wielkiemu Mattowi, więc ci dwaj mogą równie dobrze powiesić się na hakach od mięsa i oszczędzić Mattowi nerwów. Chyba żeby usunęli najpierw Wielkiego Matta, ale tego nie mogą zrobić. Tak więc dwaj chłopcy są już martwi, ale nie powinni stać tu i czekać na śmierć.

- Ruszajcie stąd - mówi im Mickey. - Zniknijcie z miasta.

Callan chowa dwudziestkę dwójkę z powrotem pod koszulę, bierze klęczącego nad ciałem Eddiego Rzeźnika O-Bopa i pomaga mu wstać.

- Chodźmy - mówi.

- Zaczekaj chwilę.

O-Bop sięga do kieszeni Friela i wyjmuje zwitek banknotów. Przewraca zwłoki na bok i wyjmuje coś z tylnej kieszeni spodni.

Czarny notes.

- Dobra - mówi O-Bop.

Wychodzą z baru.

Gliny nadjeżdżają dziesięć minut później.

Facet z wydziału zabójstw robi krok nad kałużą krwi, która utworzyła wielką, moką, czerwoną aureolę nad głową Friela, po czym patrzy na Mickeya Haggerty'ego. Facet wcześniej zajmował się włamaniami i kradzieżami, więc zna Mickeya. Patrzy na niego i wzrusza ramionami, jakby pytał: co tu się stało?

- Poślizgnął się pod prysznicem - odpowiada Mickey.

*

Nigdy nie wyjechali z miasta.

A oto co się stało: wychodzą z Liffey Pub i za radą Mickeya Haggerty'ego idą prosto nad rzekę i wyrzucają broń.

Stoją tam i liczą pieniądze Eddiego.

- Trzysta osiemdziesiąt siedem dolców - mówi O-Bop.

Co za rozczarowanie.

Nie ujadą daleko za trzysta osiemdziesiąt siedem dolców.

A poza tym i tak nie wiedzą dokąd jechać.

Są chłopakami z dzielnicy, nigdy nigdzie nie byli, nie wiedzieliby, co robić, a czego nie, jak się zachować, jak funkcjonować. Powinni wsiąść do autobusu, tylko jakiego?

Wchodzą do sklepu na rogu i kupują parę butelek piwa. Potem idą na skarpę pod West Side Highway, żeby wszystko przemyśleć.

- Może Jersey? - mówi O-Bop.

To jest kres jego wyobraźni geograficznej.

- Znasz kogoś w Jersey? - pyta Callan.

- Nie. A ty?

- Nie.

Hell's Kitchen to miejsce, w którym obaj znają ludzi. Piją jeszcze kilka piw i czekają, aż zapadnie zmrok. Po czym przemykają z powrotem do dzielnicy. Włamują się do opuszczonego magazynu i tam śpią. Wczesnym rankiem idą do mieszkania siostry Bobby'ego Remingtona przy Pięćdziesiątej.

Bobby tam jest po kolejnej kłótni ze swoim starym.

Podchodzi do drzwi, widzi Callana i O-Bopa i wpuszcza ich do środka.

- Jezu Chryste - mówi Bobby. - Co wyście zrobili?

- On chciał zastrzelić Steviego - tłumaczy Callan.

Bobby potrząsa głową.

- Nie chciał go zastrzelić. Chciał mu tylko narobić cykora. Tak mówią.

- Wszystko jedno - Callan wzrusza ramionami.

- Szukają nas? - pyta O-Bop.

Bobby nie odpowiada. Zajęty jest opuszczaniem rolet.

- Masz kawę, Bobby? - pyta Callan.

- Tak, zaraz zrobię.

Z sypialni wychodzi Beth Remington. Ma na sobie sweter Rangersów, który sięga jej do ud. Potargane rude włosy opadają jej na ramiona. Patrzy na Callana i mówi:

- Kurwa.

- Cześć, Beth.

- Musicie stąd spadać.

- Robię im kawę, Beth.

- Wystarczy, że ty zwałeś mi się na kanapę - mówi Beth. Wyciąga papierosa z paczki leżącej na kuchennym blacie, wkłada go do ust i zapala. - Nie chcę tu tych facetów. Żadnych kryminalistów.

- Bobby, potrzebna nam broń - mówi O-Bop.

- Świetnie - mówi Beth. Opada na kanapę obok Callana. - Po coście, kurwa, tu przyszli?

- Nie mieliśmy dokąd.

- Czuję się zaszczycona. - Upiła się parę razy i świntuszyła z nim, a on myśli, że może tu przychodzić teraz, kiedy ma kłopoty.

- Bobby, zrób im tosty, czy coś.

- Dzięki - mówi Callan.

- Nie zostajecie tutaj.

- Bobby możesz nam pomóc? - pyta O-Bop.

- Jeśli się dowiedzą, jestem udupiony.

- Możesz iść do Burke'a, powiedz mu, że to dla ciebie - mówi O-Bop.

- A co wy w ogóle jeszcze robicie w dzielnicy? - pyta Beth. - Powinniście już dawno być w Buffalo, czy gdzieś.

- Buffalo? - pyta O-Bop z uśmiechem. - A co jest w Buffalo?

- Wodospad Niagara, czy coś - Beth wzrusza ramionami.

Piją kawę i jedzą tosty.

- Pójdę do Burke'a - mówi Bobby.

- Taak, właśnie tego ci potrzeba - mówi Beth - podpaść Matty'emu Sheehanowi.

- Pieprzyć Sheehana - mówi Bobby.

- Tak, przekażę mu to - rzuca Beth. Zwraca się do Callana.

- Niepotrzebna wam broń, tylko bilety na autobus. Mam trochę pieniędzy...

Beth jest kasjerką w Loews przy Czterdziestej Drugiej. Czasem sprzedaje bilet do kina razem ze swoim własnym. W ten sposób odkłada trochę gotówki na boku.

- Mamy pieniądze - chwali się Callan.

- To idźcie sobie.

Poszli. Przeszli całą Upper West Side, poszwendali po Riverside Park, aż do grobu Granta. Potem wrócili do śródmieścia; Beth wpuściła ich do Loews, więc cały dzień przesiedzieli na balkonie, oglądając „Gwiezdne Wojny”.

Pieprzona Gwiazda Śmierci ma wybuchnąć po raz szósty, kiedy przychodzi Bobby z papierową torbą i stawia ją przy stopie Callana.

- Dobry film, nie? - pyta i znika tak szybko, jak się pojawił.

Callan przysuwa kostkę do torby i czuje metal.

Idą do męskiej toalety i otwierają torbę.

Stara dwudziestka piątka i prawie zabytkowa trzydziestka ósemka specjalnych oddziałów policji.

- Co? - mówi O-Bop. - Nie mógł przynieść strzelb skałkowych?

- Żebracy nie mogą wybrzydzać.

Callan czuje się o wiele lepiej z bronią za paskiem. Zabawne, jak szybko zaczyna się tęsknić, jeśli jej tam nie ma. Człowiek czuje się zbyt lekko, myśli. Jakby mógł go porwać wiatr. Metal utrzymuje go na ziemi.

Siedzieli w kinie do zamknięcia, potem ukradkiem wrócili do magazynu.

Polska kiełbasa ratuje im życie.

Tim Healey siedzi tam pół zaszranego nocy i przez czekanie na tych dwóch chłopaków robi się głodny jak wilk. Posyła więc Jimmy'ego Boylana po polską kiełbasę.

- Co chcesz do niej? - pyta Boylan.

- Kiszoną kapustę, ostrą musztardę, dodatki - mówi Tim.

Boylan wychodzi więc i wraca, a wtedy Tim rzuca się na kiełbasę, jakby spędził wojnę w japońskim obozie jenieckim. Wędlnina jest właśnie przerabiana na gaz w jego jelitach, kiedy wchodzi Callan i O-Bop. Są właśnie na klatce schodowej po drugiej stronie zamkniętych

metalowych drzwi, kiedy słyszą pierdnięcie Healeya.

Zamierają.

- Jezu Chryste - słyszą głos Boylana. - Nie ma rannych?

Callan patrzy na O-Bopa.

- Bobby nas wydał? - szeptem O-Bop.

Callan wzrusza ramionami.

- Otworzę drzwi i trochę przewietrzę - mówi Boylan. - Chryste, Tim.

- Przepraszam.

Boylan otwiera drzwi i dostrzega chłopców.

- Kurwa! - wrzeszczy i sięga po broń, ale Callan słyszy tylko echo wystrzałów na klatce z broni swojej i O-Bopa.

Folia aluminiowa sfruwa z kolan Healeya, gdy podrywa się z drewnianego składanego krzeselka i sięga po broń. Ale widzi Jimmy'ego Boylana zataczającego się do tyłu, widzi, jak z jego pleców wylatują kawałki ciała, i traci zimną krew. Rzuca na ziemię swoją czterdziestkę piątkę i ponosi ręce do góry.

- Załatw go! - krzyczy O-Bop.

- Nie, nie, nie, nie! - wrzeszczy Healey.

Znali Grubego Tima Healeya od dziecka. Dawał im drobne na komiksy. Pewnego razu, kiedy grali w hokeja na ulicy, Callan stłukł Timowi Healeyowi prawy reflektor. Healey wyszedł z Liffley, zaśmiał się i oznajmił, że wszystko w porządku. „Dacie mi darmowe bilety, kiedy już będziecie grać w Rangersach, dobra?”, powiedział tylko Tim Healey.

Teraz Callan powstrzymuje O-Bopa przed zastrzeleniem Healeya.

- Weź tylko broń! - krzyczy.

Krzyczy, bo dzwoni mu w uszach. Głos dochodzi do niego jak z drugiego końca tunelu, a głowa pęka z bólu.

Healey ma musztardę na brodzie.

Mówi, że jest za stary na to gównno.

Jakby był odpowiedni wiek do tego gówna, myśli Callan.

Biorą czterdziestkę piątkę Healeya, broń Boylana i wychodzą na ulicę.

Uciekają.

*

Wielki Matt szaleje, kiedy dowiaduje się o Eddiem Rzeźniku.

Szczególnie, kiedy mówią mu, że zrobiły to dwa dzieciaki, które jeszcze niedawno srały w gacie. Zastanawia się, dokąd zmierza ten świat - jaki ten świat się stanie - skoro dorastające

pokolenie nie ma szacunku dla władzy. Wielkiego Matta niepokoi jeszcze fakt, że aż tyle osób przychodzi do niego błagać o litość dla tych chłopaków.

- Muszą zostać ukarani - oznajmia im Wielki Matt, ale martwi się, że podważają jego decyzję.

- Ukarz ich, oczywiście - mówią mu. - Połam im nogi albo nadgarstki, wygnaj z dzielnicy, ale nie zasłużyli na śmierć.

Wielki Matt nie jest przyzwyczajony do kwestionowania jego władzy. Wcale mu się to nie podoba. Nie podoba mu się również to, że tym razem zawodzi jego wywiad. Powinien położyć łapę na tych szczeniakach w ciągu kilku godzin, ale mijają już dwa dni, a plotka głosi, że wciąż są w dzielnicy - praktycznie pod samym jego nosem - tylko nikt dokładnie nie wie gdzie.

Nie wiedzą nawet ludzie, którzy powinni wiedzieć.

Wielki Matt rozważa rodzaj kary. Postanawia, że może należy odciąć ręce, które pociągnęły za spust. Im dłużej to rozważa, tym bardziej ten pomysł mu się podoba. Zostawić tych gnojków, niech łążą po Hell's Kitchen z dwoma kikutami, które mają przypominać, co dzieje się, kiedy nie okazuje się właściwego respektu władzy.

Odetnie im więc ręce i tyle.

Pokaże, że Wielki Matt Sheehan potrafi być wspaniałomyślny.

Potem przypomina sobie, że nie ma Eddiego Rzeźnika, który zająłby się odcinaniem.

Następnego dnia nie ma już również Jimmy'ego Boylana i Grubego Tima Healeya, ponieważ Boylan nie żyje, a Healey po prostu zniknął. A Kevin Kelly wolał zająć się jakimiś interesami w Albany. Marty Stone ma chorą ciotkę w Far Rockaway. A Tommy Dugan poszedł w tango.

Wszystko to skłania Wielkiego Matta do podejrzeń, że ma do czynienia ze strajkiem - wręcz rewolucją.

Rezerwuje więc bilet na samolot do swojego drugiego domu na Florydzie.

Byłaby to bardzo dobra wiadomość dla Callana i O-Bopa, gdyby nie to, że Matt, zanim wsiadł do samolotu najwyraźniej dotarł do Wielkiego Pauliego Calabrese, nowego *representante* - szefa - z rodziny Cimino i złożył obietnicę.

- Jak myślisz, co mu dał? - pyta Callan O-Bopa.

- Udziały w Javits Center? - mówi O-Bop.

Wielki Matt rządzi strukturą związków budowlańców i kierowców ciężarówek pracujących przy budowie centrum kongresowego przy West Side. Włosi ślinią się do choćby części tego interesu od ponad roku. Sam kontrakt na cement wart jest miliony. Teraz Matt nie

może już powiedzieć „nie”, ale może rozsądnie oczekiwać małej przysługi, jeśli powie „tak”.

Zawodowa kurtuazja.

Callan i O-Bop zaszyli się w mieszkaniu przy Czterdziestej Dziewiątej, między Dziesiątą a Jedenastą. Nie śpią za dużo. Leżą i gapią się w niebo. Czy też na to, co można zobaczyć z dachu w Nowym Jorku.

- Zabiliśmy dwóch gości.

- Taak.

- Ale w samoobronie - mówi O-Bop. - To znaczy, mieliśmy rację, nie?

- Jasne.

Chwilę później O-Bop mówi:

- Zastanawiam się, czy Mickey Haggerty nas wyda.

- Nie - mówi Callan. - Mickey to stara szkoła.

- Mickey to stara szkoła - mówi O-Bop - ale jest też zmęczony odsiadaniem wyroku.

To jego drugi raz.

Callan wie, że Mickey odsiedzi karę, ale potem wróci do dzielnicy i chce to zrobić z podniesioną głową. A Mickey wie, że jeśli będzie donosił glinom, to nie dostanie nawet miski orzeszków we wszystkich barach w Kitchen.

Mickey Haggerty to ostatni powód do zmartwienia.

Tak sobie myśli Callan, patrząc przez okno na lincolna continentalą zaparkowaną na ulicy.

- Możemy chyba raz na zawsze z tym skończyć - mówi do O-Bopa.

O-Bop wkłada swoją niewiarygodnie rudą głowę pod kuchenny kran, żeby się ochłodzić. Tak, to powinno pomóc - jest czterdzieści stopni, oni siedzą sobie w dwupokojowym mieszkaniu na czwartym piętrze z wentylatorem wielkości śruby w dziecinnej łódeczce, a ciśnienie wody jest zerowe, bo jakieś gnoje z dzielnicy odkręcili wszystkie hydranty przeciwpożarowe na ulicy, a jakby tego było mało, ekipa z rodziny Cimino tylko czeka, żeby ich stuknąć.

I stuknie ich, gdy tylko zmrok zapewni im przyzwoitą osłonę.

- Co chcesz zrobić? - pyta O-Bop. - Chcesz wyjść postrzelać? Strzelanina w OK Corral?

- To byłoby lepsze niż usychanie na śmierć tutaj.

- Nie, nie byłoby - mówi O-Bop. - Tu jest beznadziejnie, ale na dole zastrzelą nas na ulicy jak psy.

- Musimy czasem schodzić na dół - mówi Callan.

- Nie, nie musimy - mówi O-Bop. Wyciąga głowę spod kranu i strząsa wodę. - Dopóki

będą dostarczać nam pizzę, nie musimy stąd wychodzić.

Podchodzi do okna i patrzy na długą, czarną limuzynę zaparkowaną na ulicy.

- Pieprzeni Włosi nigdy się nie zmieniają - mówi O-Bop.

- Myślisz, że mogliby się przesiąść do mercedesa, BMW, nie wiem, jakiegoś pierdolonego volvo, czy coś. Ale nie, tylko te cholerne lincolny i cadillaki. Mówię ci, to musi być jakaś gruba ryba, albo co.

- Kto siedzi w tym samochodzie, Stevie?

W samochodzie jest czterech mężczyzn. Trzech innych stoi obok. Zaiste prawdziwy przypadek. Palą fajki, piją kawę, gędzą o dupie Maryni. Jakby chcieli ostrzec motłoch w dzielnicy: zamierzamy kogoś stuknąć, więc na pewno chcecie być zupełnie gdzie indziej.

O-Bop przygląda się w skupieniu.

- Podgrupa Piccone'a z gangu Johnny'ego Boya Cozzo - mówi. - Skrzydło rodziny Cimino, Demonte.

- Skąd wiesz?

- Facet na siedzeniu pasażera z przodu je brzoskwinie z puszek - mówi O-Bop. - Więc musi to być Jimmy Piccone, Jimmy Brzoskwinia. Robi to wszystko za brzoskwinie z puszek.

O-Bop jest ekspertem od mafiozów. Śledzi ich losy, jak inni śledzą życiorysy członków drużyny koszykówki. Zna na pamięć organizację całej Piątki Rodzin.

O-Bop jest więc na bieżąco i wie, że odkąd w zeszłym roku zmarł Carlo Cimino, w rodzinie wszystko się zmienia. Większość twardej gwardii było pewnych, że Cimino wyznaczy na swojego następcę Neilla Demonte, ale on zdecydował się na swojego szwagra Pauliego Calabrese.

Wybór ten nie spotkał się z uznaniem, szczególnie wśród starej gwardii, która uznała, że Calabrese jest zbyt praworządny, zbyt łagodny. Za bardzo skupia się na wkładaniu pieniędzy w legalne interesy. To nie podoba się twardej gwardii - lichwiarzom, mistrzom wyłudzeń i zwykłym bandytom.

Jimmy „Wielki Brzoskwinia” Piccone jest jednym z nich. Szczerze mówiąc, właśnie siedzi w lincolnie i rozwodzi się na ten temat.

- Byliśmy przestępczą rodziną Cimino - mówi Brzoskwinia do swojego brata, Małego Brzoskwini. Joey „Mały Brzoskwinia” Piccone jest w rzeczywistości większy od starszego brata, Wielkiego Brzoskwini, ale nikt nie zamierza mówić tego na głos, więc przydomki zostają. - Nawet pieprzony „New York Times” nazywa nas rodziną przestępców. Zajmujemy się łamaniem prawa. Gdybym chciał być przedsiębiorcą, zatrudniłbym się w - hm - IBM.

Brzoskwiniom nie podoba się również, że Demonte został pominięty przy nominacji.

- To stary człowiek, co szkodziło pozwolić mu pogrzać się te parę lat na słoneczku? Zasłużył na to. Staruszek powinien zrobić szefem Mister Neilla, a Johnny'ego Boya zastępcą. Wtedy mielibyśmy „naszą sprawę”, „naszą cosa nostra”.

Dla młodego chłopaka - Brzoskwinia ma dwadzieścia sześć lat - jego wybór to krok w tył, konserwatysta, mafioso William F. Buckley bez krawata. Lubi stare zwyczaje, stare tradycje.

- Kiedyś - mówi Brzoskwinia, jakby pamiętał dawne czasy - moglibyśmy po prostu wziąć kawałek Javits Center. Nie musielibyśmy włączyć w dupę żadnemu staremu ajryszowi jak Matty Sheehan. A Paulie nie da nam z tego ani centa. Ma w dupie, czy mamy, kurwa, co jeść.

- Hej - mówi Mały Brzoskwinia.

- Co, hej?

- Hej, Paulie dał te robotę Mister Neillowi, a on dał ją Johnny'emu Boyowi, a on dał ją nam - mówi Mały Brzoskwinia.

- To wszystko, co chcę wiedzieć: Johnny Boy daje nam robotę, a my ją wykonujemy.

- No więc, kurwa, ją wykonujemy - mówi Brzoskwinia. Nie potrzebuje, żeby młodszy brat dawał mu wykład jak to wszystko się toczy. Brzoskwinia wie doskonale, jak to działa, podoba mu się jak to działa, szczególnie w odłamie rodziny Demonte, gdzie wszystko funkcjonuje jak za dawnych czasów.

Inna rzecz, to cholerne zapatrzenie Brzoskwini w Johnny'ego Boya.

Johnny Boy jest uosobieniem Mafii.

I tak znów powinno być, myśli Brzoskwinia.

- Zaraz zrobi się ciemno - mówi Brzoskwinia. - Wejdziemy tam i ich skasujemy.

*

Callan siedzi i studiuje czarny notes.

- Twój ojciec tu jest - mówi.

- Też mi niespodzianka - wyzłośliwia się O-Bop. - Ile wisi?

- Dwa patyki.

- Pewnie znowu stawiał na konie - mów O-Bop. - Hej, jedzie nasza pizza. Hej, co to, kurwa, ma być? Zabierają naszą pizzę!

O-Bop jest naprawdę wkurzony. Nie jest specjalnie zdenerwowany na tych gości, że są tu po to, by ich zabić - tego się należało spodziewać, to interesy - ale zabranie pizzy traktuje jako osobisty afront.

- Nie powinni tego robić! - jęczy. - To bardzo brzydko!

Od tego, przypomina sobie Callan, wszystko się zaczęło. Podnosi wzrok znad notesu i widzi grubego makaroniarza, który z szerokim uśmiechem na twarzy pokazuje mu kawałek pizzy.

- Hej! - wrzeszczy O-Bop.
- Dobra jest! - krzyczy Brzoskwinia.
- Żrą naszą pizzę! - mówi O-Bop do Callana.
- No i co z tego? - pyta Callan.
- Jestem głodny - skwierczy O-Bop.
- To idź na dół i im ją zabierz - mówi Callan.
- Mógłbym to zrobić.
- Weź śrutówkę.
- Pierdol się!

Callan słyszy, że faceci na ulicy śmieją się z nich. Ma to gdzieś. Nie odbiera tego tak jak O-Bop. O-Bop nienawidzi jak się z niego śmieją. Zawsze był to dla niego powód do walki. Callan po prostu odchodzi.

- Stevie?
- Czego.
- Jak nazwałś tego faceta, tam, na dole?
- Którego faceta?
- Tego, którego wysłali, żeby nas stuknął?
- Jimmy Brzoskwinia.
- Jest tutaj.
- Co ty mówisz? - O-Bop odchodzi od okna. - Na ile?
- Sto tysięcy.

Patrzą na siebie i wybuchają śmiechem.

- Mamy tu nową piłkę do rozegrania - mówi O-Bop.

Bo Brzoskwinia Piccone jest winien Matty'emu Sheehanowi sto tysięcy. Odsetki piętrzą się szybciej niż śmieci, więc Piccone ma poważne kłopoty. Podpadł Mattiemu Sheehanowi. Co byłoby bardzo złą wiadomością - miałby bowiem jeszcze większą motywację, by zasługiwać się Sheehanowi - gdyby nie to, że Callan i O-Bop mają notes.

A to daje im przewagę.

Jeśli będą żyć na tyle długo, żeby ją wykorzystać.

Bo szybko zapada zmrok.

- Jakiś pomysł? - pyta O-Bop.

- Owszem.

To jeden z tych dramatycznych meczów z czterema rundami i dogrywką, ale tak to już bywa.

O-Bop wychodzi na schody przeciwpożarowe z butelką mleka w ręku.

- Hej, wy włoskie bękarty! - krzyczy.

Chłopaki wychylają się z continentala.

O-Bop zapala szmatkę wetkniętą w butelkę i wrzeszczy:

- Zeżryjcie to! - butelka leniwym łukiem opada na lincolna.

- Kurwa, co...

To Brzoskwinia, który opuszcza szybę i widzi jak ta zakichana pochodnia leci z nieba prosto na niego, więc gramoli się do drzwi i zabiera tyłek z tylnego siedzenia lincolna w samą porę, gdyż O-Bop wycelował perfekcyjnie. Butelka roztrzaskuje się na samochodzie i jego dach staje w płomieniach.

- Kurwa, to nowy samochód! - wrzeszczy Brzoskwinia patrząc, jak ogień się rozprzestrzenia.

Jest naprawdę wkurwiony, bo gromadzi się tłum i nie ma nawet cienia szansy strzelić do kogoś. Rozlegają się syreny i zaczyna się polka, po kilku minutach cały kwartał pełen jest irlandzkich glin i strażaków, którzy gaszą resztki lincolna.

Irlandzkie gliny i strażacy oraz piętnaście tysięcy transwestytów z Dziewiątej Alei. Wszyscy stoją wokół Brzoskwini, krzyczą, piszczą, tańczą i przeklinają. Wysyła Małego Brzoskwinię do telefonu na rogu, żeby sprowadził nowy pieprzony wóz, a potem czuje chłód metalu nad prawą nerką i słyszy szept.

- Proszę się bardzo powoli odwrócić, panie Piccone.

Tonem pełnym szacunku, co Brzoskwinia docenia.

Odwraca się i widzi tego irlandzkiego chłopaka - nie tego rudego dupka z butelką, tylko tego ciemnego, wysokiego - który stoi z pistoletem w brązowej papierowej torbie i trzyma coś w drugiej ręce.

Ciekawe, co to, zastanawia się Brzoskwinia.

Wreszcie kojarzy.

Czarny notes Matty'ego Sheehana.

- Musimy porozmawiać - mówi chłopak.

- Musimy - mówi Brzoskwinia.

*

Siedzą więc w piwnicy zakładu Paddy'ego Hoyle'as przy Dwunastej, a sytuacja

przypomina klasyczny impas.

Trwa spotkanie włosko-irlandzkie i wygląda na to, że Callan i O-Bop stoją pod ścianą, w sensie dosłownym, Callan jak jakiś desperado z pistoletem w każdej ręce, a O-Bop ze swoją śrutówką trzymaną na wysokości pasa. Drzwi obstawiają dwaj bracia Piccone. Włosi nie wyciągają własnej broni, po prostu sobie stoją w swoich fajnych ciuchach, wyglądają na opanowanych i twardych.

O-Bop pełen szacunku. On to rozumie. Ponieważ Włosi już raz dziś wieczorem znaleźli się w kłopotliwym położeniu - nie wspominając o lincolnie - to teraz nie zamierzają wyglądać na zmartwionych tym, że dwóch gnojków otwarcie trzyma ich na muszce. To teraz modny chwyt i O-Bop go kupuje. Naprawdę podoba mu się.

Callanowi to wisi.

Jeśli coś pójdzie nie tak, zacznie naciskać spust i zobaczy, co z tego wyniknie.

- Ile macie lat, chłopaki? - pyta Brzoskwinia.

- Dwadzieścia - kłamie O-Bop.

- Dwadzieścia jeden - mówi Callan.

- Wy dwa małe pojeby, powiem wam coś - mówi Brzoskwinia. - Mieliliśmy umowę z tym Eddiem Frielem.

Nareszcie, myśli Callan. Jesteśmy o jedno drgnienie mięśnia od wyjaśnienia tego wszystkiego.

- Nienawidziłem tego pierdolniętego przypala - mówi Brzoskwinia. - Pieprzyć gościowi w gębę? No i co? A tak w ogóle, ile razy, kurwa, do niego strzeliliście? Osiem? Lubicie przykładać się do roboty, nie?

Śmieje się. Mały Brzoskwinia mu wtóruje.

I O-Bop.

Callan nie. Czeka w gotowości.

- Przepraszam za samochód - mówi O-Bop.

- Taa - mówi Brzoskwinia. - Następnym razem jak będziesz chciał pogadać, skorzystaj z telefonu, dobra?

Śmieją się wszyscy, z wyjątkiem Callana.

- To właśnie próbuję powiedzieć Johnny'emu Boyowi - mówi Brzoskwinia. - Mówię mu, że jestem tu na West Side wśród dzikich Irlandczyków. I co niby, kurwa, mam zrobić? Powiem mu, że rzucają mi płonące butelki z góry, a teraz muszę mieć nowy samochód. Pierdolony Irlandczyk. Zaglądaliście do tego czarnego notesu?

- A jak myślisz? - pyta O-Bop.

- Myślę, że tak. Myślę, że na pewno tak. Co tam przeczytaliście?

- To zależy.

- Od czego?

- Co się tutaj zdarzy.

- To powiedz mi, co się tutaj powinno wydarzyć.

Callan słyszy, jak O-Bop przełyka ślinę. Wie, że O-Bop jest śmiertelnie przerażony, ale nie zamierza się wycofać. Callan myśli, zrób to, Stevie, ciągnij tę grę.

- Po pierwsze - mówi O-Bop - nie mamy tego notesu przy sobie.

- Hej, rudzielcu - mówi Brzoskwinia. - Jak trochę nad tobą popracujemy, wyśpiewasz nam wszystko, co jest w notesie. Wcale nie trzymasz atutowego asa. Zabierz palec ze spustu, tylko rozmawiamy.

Popatrzył przy tym na Callana.

- Wiemy, gdzie leży każdy grosz Sheehana - mówi O-Bop.

- Nie chrzań. On poruszy niebo i ziemię, żeby odzyskać ten notes.

- Niech się wali - mówi O-Bop. - Nie dostanie go, a ty nic mu nie jesteś winien.

- To prawda?

- Jeśli o nas chodzi - stwierdza O-Bop. - Eddie Friel już nic innego nie powie.

O-Bop widzi ulgę na twarzy Brzoskwini, więc ciągnie.

- W tym notesie są gliny - mówi - faceci ze Związków. Radni. Parę milionów dolców w gotówce leżące na ulicy.

- Matty Sheehan to bogaty człowiek - mówi Brzoskwinia.

- Dlaczego tak ma być? - mówi O-Bop. - Dlaczego on, a nie my? Dlaczego nie ty?

Patrzą, jak Brzoskwinia myśli. Patrzą, jak waży ryzyko i zysk. Po minucie mówi:

- Sheehan robi różne przysługi mojemu szefowi.

- Mając ten notes - mówi O-Bop - możesz robić te same przysługi.

Callan uświadamia sobie, że popełnił błąd, trzymając uniesioną broń. Ręce mu zdrętwiały, zaczęły się trząść. Chciałby je opuścić, ale nie chce przekazać w ten sposób żadnej wiadomości. Teraz obawia się, że jeśli Brzoskwinia zdecyduje się na jakąś sztuczkę, jego ręce będą zbyt zmęczone, żeby celnie strzelić, nawet z tej odległości.

Wreszcie Brzoskwinia mówi:

- Mówiliście komuś, że moje nazwisko jest w tym notesie?

O-Bop powiedział „nie” tak szybko, że Callan uznał to pytanie za bardzo ważne. Zaczął się zastanawiać, po co Brzoskwinia pożyczył pieniądze, na co je wykorzystał.

- Irlandzkie buraki - mówi Brzoskwinia do siebie. Potem do nich: - Wsadźcie mordy w

kubeł. Spróbujcie nikogo nie zabić przez parę dni, dobra? Jeszcze o tym pogadamy.

Odwraca się i idzie do schodów, brat za nim.

- Jezu - mówi Callan. Siada na podłodze.

Ręce trzęsą mu się jak szalone.

*

Brzoskwinia dzwoni do drzwi Matta Sheehana.

Jakiś wielki pieprzony ajrysz otwiera drzwi. Brzoskwinia słyszy, że Sheehan jest w środku i pyta:

- Kogo niesie?

W jego głosie brzmi strach.

- To Jimmy Brzoskwinia - mówi facet przy drzwiach i wpuszcza go. - Jest w pokoju.

- Dzięki.

Brzoskwinia idzie korytarzem i skręca w lewo do pokoju.

Pokój ma ściany wyklejone zieloną tapetą. Wszędzie zielony i sraczkowaty. Wielkie zdjęcie Johna Kennedy'ego. Obok Bobby'ego. Zdjęcie papieża. Facet ma tutaj wszystko, z wyjątkiem krasnala za piecem.

Wielki Matt ma obsesję na punkcie jankesów.

Wstaje z krzesła - Brzoskwinia ceni szacunek - i posyła Brzoskwini jeden z tych szerokich uśmiechów irlandzkich polityków.

- Miło cię widzieć, James - mówi. - Poradziłeś sobie bez problemu z tymi małymi trudnościami, kiedy mnie nie było?

- Aha.

- Znalazłeś te dwa szczeniaki.

- Aha.

- I?

Jimmy dźga go nożem, zanim Matty zdoła powiedzieć „Kurwa” czy zakląć po irlandzku *begorra*. Wbija ostrze pod lewe żebro i pcha nieco do góry. Kręci nieco ostrzem, żeby oszczędzić szpitalowi trudnej etycznej decyzji.

Nóż zakleszcza się między żebrami Sheehana, więc Jimmy musi oprzeć stopę na szerokiej piersi mężczyzny, żeby wyciągnąć ostrze. Sheehan upada na podłogę tak ciężko, że drżą zdjęcia na ścianach.

Grubas, który go wpuścił, staje w drzwiach.

Nie wygląda na to, żeby chciał cokolwiek zrobić.

- Ile mu wisiałeś? - pyta Brzoskwinia.

- Siedem i pół.

- Długu nie będzie - mówi Brzoskwinia - jeśli znikniesz.

Ćwiartują ciało Matty'ego, wynoszą na Wards Island i topią w ścieku.

W drodze powrotnej Brzoskwinia śpiewa:

Czy ktoś widział mego kumpla Matty'ego...

Ktoś mi powie dokąd ooodszedł?

*

Miesiąc po tym wydarzeniu, które w irlandzkim Hell's Kitchen stało się znane jako „Powstanie Moon River”, życie Callana nieco się zmieniło. Nie chodzi tylko o to, że wciąż żył, ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu, ale stał się bohaterem dzielnicy.

Ponieważ w czasie, kiedy Brzoskwinia topił w ściekach Sheehana, on i O-Bop wzięli czarny flamaster i uporządkowali długi w notesie Matty'ego. Mieli na to kupę czasu - niektóre zapisy usunęli, niektóre sumy zmniejszyli, część zachowali, uznając że może im to przynieść większe łupy.

W Kitchen nastają tłuste czasy.

Callan i O-Bop zadomowili się w Liffey Pub, jakby stał się ich własnością, co, po dogłębnym przestudiowaniu czarnego notesu, okazywało się bliskie prawdy. Ludzie przychodzili i prawie całowali ich po rękach, albo z wdzięczności, że wybawili ich od Matty'ego, albo ze strachu, że są teraz podczepieni pod dwóch chłopaków, którzy zdjęli Eddiego Friela, Jimmy'ego Boylana i prawdopodobnie również samego Matty'ego Sheehana.

I jeszcze kogoś.

Larry'ego Morettiiego.

To jedyne morderstwo, z którym Callan czuł się źle. Eddie Rzeźnik to była konieczność. Jimmy Boylan też. I, przede wszystkim, Matty Sheehan. Ale Larry Moretti to zwykła zemsta - za to, że pomógł Eddiemu poćwiartować Michaela Murphy'ego.

- Wszyscy się tego po nas spodziewali - mówi O-Bop. - Tu chodziło o szacunek.

Moretti wyczuwa, że coś się święci. Bunkruje się w swoim mieszkaniu przy Sto Czwartej, niedaleko Broadwayu, i pije. Nie spotyka się z nikim przez kilka tygodni - ciągle pije - jest więc łatwym celem, kiedy Callan i O-Bop forsują drzwi.

Moretti leży na podłodze z butelką. Na głowie ma słuchawki i słucha jakiegoś gównianego disco z basami grzmącymi jak artyleria. Na sekundę otwiera oczy i patrzy na Callana i O-Bopa, którzy stoją celując do niego z broni. Potem zamyka oczy, a O-Bop krzyczy: „To za Mickeya!” i zaczyna strzelać. Callan czuje się z tym źle, ale przyłącza się i

jest mu dziwnie, strzelać do nieżyjącego już gościa.

Potem muszą pociąć ciało, ale O-Bop przyszedł przygotowany. Przekładają Morettiego na kawał ciężkiego plastyku i Callan teraz uświadamia sobie, jak silny musiał być Eddie Friel, żeby poćwiartować takie mięso. To kurewsko ciężka robota i Callan kilka razy wymiotował w łazience, jednak w końcu mieli Morettiego w kawałach, które zmieściły się w workach na śmieci. Wywożą je na Wards Island. O-Bop myśli, że powinni włożyć ptaszka Morettiego do kartonu po mleku i obnosić go po dzielnicy, ale Callan mówi, że nie.

Nie potrzebują babrać się w gównie. Wiadomość się rozchodzi i mnóstwo ludzi przychodzi do Liffey, żeby złożyć wyrazy uznania.

Jedynym, który nie przychodzi, jest Bobby Remington. Callan wie, że Bobby się boi z powodu podejrzeń, że wydał ich Mattiemu, ale wie też, że to nie Bobby.

To Beth.

- Próbowałaś chronić tylko swojego brata - powiedział jej, kiedy pojawia się w jego nowym mieszkaniu. - Rozumiem to.

Dziewczyna patrzy w podłogę. Dobrze wygląda; jej długie włosy są uczesane i błyszczące, założyła sukienkę. Czarną sukienkę z dekoltem tak dużym, że odsłania górę jej białych piersi.

Callan łapie, o co jej chodzi. Przyszła się poddać, żeby ratować swoje życie, życie brata.

- Czy Stevie też rozumie? - pyta.

- Zrobię tak, że zrozumie - mówi Callan.

- Bobby czuje się okropnie - mówi.

- Nie, Bobby jest w porządku.

- Potrzebuje pracy - mówi Beth. - Nie może dostać legitymacji związkowej.

Callan czuje się dziwnie, że zwraca się z tym do niego. Zwykle ludzie chodzili z takimi sprawami do Matty'ego.

- Taak, możemy to załatwić - mówi Callan. Może załatwić dokument ze związku kierowców ciężarówek, budowlanych, dowolnego. - Powiedz mu, żeby przyszedł. Dalej jesteśmy kumplami.

- A co ze mną? - pyta. - Też jesteśmy kumplami?

Lubił ją bzykać. Kurwa, uwielbiał ją bzykać. Ale teraz to byłoby co innego, to byłoby, jakby wziął ją, bo ona ma wobec niego dług. Bo on ma teraz władzę, a ona nie.

Mówi więc:

- Tak, jesteśmy kumplami.

Żeby wiedziała, że wszystko jest w porządku, jest świetnie, i nie musi mu się

podkładać.

- I to wszystko?

- Tak, Beth. To wszystko.

Czuje się źle, bo przecież ona się wystroiła, umalowała, i w ogóle, ale już nie chciał nigdy więcej iść z nią do łóżka.

To smutne, czy co.

W każdym razie Bobby przychodzi do niego, a on załatwia mu robotę - i Bobby nie rozczarował go w okazywaniu szacunku - a inni ludzie przychodzą złożyć uszanowanie, albo prosić o przysługę, i mniej więcej po miesiącu Callan i O-Bop odgrywają rolę młodych ojców chrzestnych ze stolika w Liffey Pub.

Dopóki nie zgłasza się prawdziwy ojciec chrzestny.

Ale Wielki Paulie Calabrese wyciąga rękę i wzywa ich do Queens, żeby wyjaśnili mu osobiście, dlaczego nie są martwi, skoro martwy jest jego kumpel i wspólnik, Matt Sheehan.

- Powiedziałem mu, że to wy stuknęliście Sheehana - tłumaczy się Brzoskwinia. Siedzą w Landmark Tavern, a Brzoskwinia próbuje zjeść jagnięcinę z ziemniakami oblanymi tłustym sosem. Przynajmniej zjedzą coś przyzwoitego przed spotkaniem z Wielkim Pauliem.

Może to ich ostatnia wieczerza, więc niech chociaż będzie przyzwoita.

- Dlaczego to zrobiłeś? - pyta Callan.

- Miał swoje powody - mówi O-Bop.

- Ślicznie - mówi Callan. - Jakie?

- Bo gdybym powiedział mu, że to ja - wyjaśnia ostrożnie Brzoskwinia - zabiłby mnie od razu.

- To świetny powód - mówi Callan do O-Bopa. A do Brzoskwini - teraz więc będzie musiał stuknąć nas.

- Niekoniecznie - mówi Brzoskwinia.

- Niekoniecznie?

- Nie - wyjaśnia Brzoskwinia. - Wy, chłopaki, nie należycie do rodziny. Nie jesteście poddani tej samej dyscyplinie. To jest tak: gdybym chciał zabić Matta Sheehana, musiałbym poprosić Calabrese'a o pozwolenie, którego by mi nigdy nie dał. Ale ponieważ poszedłem i to zrobiłem, mam teraz poważne kłopoty.

- Och, to wspaniałe nowiny - mówi Callan.

- Ale wy, chłopaki, nie potrzebujecie jego pozwolenia - mówi Brzoskwinia. - Potrzebujecie tylko dobrego powodu. I odpowiedniego nastawienia.

- Jakiego nastawienia?

- Nastawienia na przyszłość - mówi Brzoskwinia. - Nastawienia na przyjaźń.

Współpracę.

O-Bop głupiej. Wygląda to, jakby marzenie stawało się rzeczywistością.

- Calabrese chce nas przygarnąć? - pyta. Praktycznie zrywa się z krzesła.

- Nie wiem, czy chcę być przygarnięty - mówi Callan.

- To nasza szansa! To przecież cholerna rodzina Cimino! Chcą z nami pracować!

- Jest jeszcze coś - wyznaje Brzoskwinia.

- Świetnie - mówi Callan. - Miałem nadzieję, że to jeszcze nie wszystko.

- Chodzi o notes.

- A co konkretnie?

- Mój zapis - mówi Brzoskwinia. - Sto kawałków? Calabrese nie wie o tym. Jeśli się dowie, jestem martwy.

- Bo co?

- To jego pieniądze - oznajmia Brzoskwinia. - Sheehan zgarnął kilka setek Pauliego.

Pożyczyłem je od Matta.

- Więc oskubałeś Paula Calabrese - stwierdza Callan.

- My oskubaliśmy - poprawia go Brzoskwinia.

- Jezu Chryste - mówi Callan.

Nawet w O-Bopie zgasł wszelki entuzjazm.

- No nie wiem, Jimmy - mówi.

- Co jest, kurwa? - krzyczy Brzoskwinia. - Nie wiecie? Miałem was stuknąć. Takie dostałem zadanie i go nie wykonałem. Mogą mnie za to zabić. Uratowałem wasze pieprzone tyłki. Dwa razy. Najpierw was nie zabiłem, a potem wykończyłem dla was Matty'ego Sheehana. A wy nie wiecie?

Callan patrzy na niego, potem mówi:

- Wszystko zależy od tego spotkania. Albo będziemy bogaci, albo martwi.

- O to właśnie chodzi - mówi Brzoskwinia.

- Niech to szlag - przeklina Callan.

Bogaci albo martwi.

Bywają gorsze wybory.

*

Spotkanie odbywa się w salce na zapleczu restauracji w Bensonhurst.

- Goombah Central - mówi Callan.

Bardzo wygodne. Jeśli Calabrese postanowi nas zabić, będzie musiał tylko wyjść i

zamknąć za sobą drzwi. On wyjdzie od frontu, nasze zwłoki wejściem dla służby.

Albo wyjściem, wszystko jedno.

Myśli o tym patrząc w lustro i wiążąc krawat.

- Nosileś już kiedyś krawat? - pyta O-Bop. Głos ma wysoki, zdenerwowany.

- Pewnie, że tak - mówi Callan - na Pierwszej Komunii.

- Kurwa. - O-Bop podchodzi i próbuje zawiązać mu krawat. Potem mówi: - Odwróć się, nie potrafię go zawiązać stojąc z tyłu.

- Ręce ci się trzęsą.

- Tak, kurwa, trzęsą się.

Muszą iść na to spotkanie goli. Żadnej broni. Nikt nie ma broni na spotkaniu z szefem, z wyjątkiem ludzi szefa. Co jeszcze bardziej ułatwi ich likwidację.

Nie żeby zamierzali iść samotnie. Zabierają Bobby'ego Remingtona i Grubego Tima Healeya, i jeszcze jednego chłopaka z dzielnicy, Billy'ego Bohuna, mają zakotwiczyć w samochodzie przed restauracją.

Instrukcje O-Bopa są zupełnie jasne.

- Jeśli we frontowych drzwiach pojawi się ktoś inny niż my - mówi im - macie go zabić.

I jeszcze inny środek ostrożności: Beth i jej przyjaciółka będą jeść lunch w publicznej części restauracji. Beth i Moira będą miały w torebkach dwudziestkę dwójkę i czterdziestkę czwórkę, na wypadek gdyby wszystko się zraniło i chłopaki mieli szansę wylecieć z pokoju na tyłach.

Jak mówi O-Bop: „Jeśli bryknę do piekła, to zapchanym autobusem”.

Jadą do Queens metrem, ponieważ O-Bop twierdzi, że nie chce wyjść ze szczęśliwego, zakończonego sukcesem spotkania, wsiąść do swojego samochodu i wylecieć w powietrze.

- Włosi nie bawią się bombami - próbuje mu tłumaczyć Brzoskwinia. - To specjalność Irlandczyków.

O-Bop przypomina mu, że jest Irlandczykiem i wsiada do metra. Wsiadają na Bensonhurst i idą razem z Callanem ulicą do restauracji. Kiedy mijają róg, O-Bop mówi: „O żesz kurwa mać”.

- Co, o żesz kurwa. Co jest?

Przed restauracją stoi czterech czy pięciu goryli. Nic w tym dziwnego, przecież zawsze czterech czy pięciu takich osiłków stoi przed restauracją dla mafiosów - po to właśnie są.

- To Sal Scachi - mówi O-Bop.

Wielki, gruby facet po czterdziestce, błękitne oczy, siwe włosy. Wygląda na goryla, myśli Callan, a równocześnie nie wygląda. Nosi buty z kwadratowymi czubkami, tak

wypastowane, że błyszczą jak czarny marmur.

To prawdziwy pieprzony skurwysyn, myśli Callan.

- Co o nim wiesz? - pyta O-Bopa.

- Był pułkownikiem w cholernych zielonych beretach - mówi O-Bop.

- Jaja sobie robisz?

- Nie, co ty - mówi O-Bop. - Ma tony medali z Wietnamu i jest szalony. Jeśli postanowią wyrównać z nami rachunki, to Scachi załatwi odejmowanie.

Scachi odwraca się i widzi, że nadchodzą. Odchodzi od swojej grupy, zbliża się do O-Bopa i Callana, uśmiecha i mówi:

- Panowie, witam w ten pierwszy lub ostatni dzień reszty waszego życia. Bez obrazy, ale muszę sprawdzić, czy nie ukrywacie czegoś ciekawego.

Callan kiwa głową i podnosi ręce. Scachi płynnymi ruchami oklepuje go od góry do dołu, aż do samych kostek, potem to samo robi z O-Bopem.

- W porządku - mówi. - Zapraszam zatem na lunch.

Prowadzi ich do salki na zapleczu restauracji. Callan widział już ją wcześniej na około czterdziestu ośmiu filmach o mafii. Malowidła ścienne przedstawiają szczęśliwe obrazki ze słonecznej Sycylii. Stoi tam długi stół przykryty czerwono-białym obrusem. Kieliszki do wina, filizanki do kawy, małe kawałeczki masła na zmrożonych talerzykach.

Butelki czerwonego, butelki białego.

Chociaż przyszli dokładnie o umówionej porze, wszyscy już czekają. Zdenerwowany Brzoskwinia przedstawia ich Johnny'emu Boyowi Cozzo i Demonte oraz innym. Nagle drzwi się otwierają i wchodzi dwóch płatnych morderców, klatki piersiowe jak pniaki u rzeźnika, a za nimi pojawia się Calabrese.

Callan rzuca okiem na twarz Johnny'ego Boya i widzi uśmiech niebezpiecznie bliski złośliwego uśmieszku. Ale wszyscy odwalają całą tę sycylijską szopkę z uściskami i całowaniem, potem Calabrese siada u szczytu stołu, a Brzoskwinia dokonuje prezentacji.

Callanowi wcale się nie podoba, że Brzoskwinia wygląda na wystraszonego.

Brzoskwinia wymienia ich nazwiska, a Calabrese unosi rękę i mówi:

- Najpierw zjedzmy, potem załatwimy interesy.

Nawet Callan musi przyznać, że jedzenie jest niezziemskie. W życiu nie jadł nic równie pysznego. Na początek podano przystawkę z provolone i prosciutto oraz słodką czerwoną papryką. Cieniutkie plasterki szynki i małe pomidory, jakich Callan nigdy wcześniej nie widział.

Kelnerzy wchodzą i wychodzą jakby byli zakonnikami czekającymi na papieża.

Kończą przystawki i wjeżdża makaron. Nic wyszukanego, małe kulki spaghetti w czerwonym sosie. Potem piccata z kurczaka, cienkie plasterki piersi z kurczaka w białym winie, z cytryną i kaparami, a następnie pieczona ryba. Potem jeszcze sałatka i deser - słodkie białe ciasto nasączone anyżówką.

Wszystko to jest wnoszone i wynoszone, kiedy kelnerzy podają kawę Callan jest wypełniony połowicznie. Wtedy boss mówi:

- A teraz powiedzcie mi, dlaczego nie powinniśmy was zabić.

Coś w Callanie chce krzyknąć: nie powinniście nas zabić, bo Jimmy Piccone ukradł ci sto kawałków i możemy to udowodnić, ale trzyma buzię na kłódkę i próbuje wymyślić inną odpowiedź.

Wtedy słyszy, że Brzoskwinia mówi:

- To są dobrzy chłopcy, Paul.

Calabrese uśmiecha się.

- Ale ty nie jesteś dobrym chłopcem, Jimmy. Gdybyś był dobrym chłopcem, jadłbym dziś lunch z Mattem Sheehanem.

Patrzy na O-Bopa i Callana.

- Czekam na waszą odpowiedź.

Tak jak Callan. Próbuje się zdecydować, czy chce ją usłyszeć, czy raczej woli przedrzeć się przez dwa kawały mięcha pilnujące drzwi, dostać do restauracji, chwycić broń z torebki Beth i wrócić w kanonadzie strzałów.

Ale nawet jeśli uda mu się wyjść i wrócić, O-Bop będzie już wówczas martwy. Tak, ale mogą wsadzić go do wypchanego autobusu.

Próbuje niedostrzegalnie zsunąć się na brzeg krzesła i przygotowuje nogę, żeby je wykopać. Może prosto w Calabrese'a, przygwoździć go i wtedy do drzwi...

A potem dokąd? - myśli. Na księżyc? Dokąd moglibyśmy uciec, żeby rodzina Cimino nas nie znalazła?

Pieprzyć to, myśli. Lepiej iść po broń i odejść jak prawdziwi mężczyźni.

Sal Scachi potrząsa do niego głową zza stołu. Gest jest niemal niedostrzegalny, ale mówi mu, że jeśli się tylko poruszy, zginie.

Callan się nie porusza.

Wydaje mu się, że całe to myślenie trwa z godzinę, ale w rzeczywistości mija zaledwie kilka sekund, w pokoju, gdzie panuje, powiedzmy to sobie szczerze, coraz bardziej napięta atmosfera. Ze zdumieniem Callan słyszy wysoki głos O-Bopa:

- Nie powinniście nas zabijać, bo...

Bo... mmm...

- ...bo możemy zrobić dla was więcej, niż Sheehan kiedykolwiek mógł - mówi Callan. - Możemy przekazać wam Javits Center, związek kierowców ciężarówek i budowlańców. Nie jakieś gówna, z których nic nie macie. Dostaniecie dziesięć procent z każdego dolara, jakiego wyciśniemy na ulicy, możemy to wszystko dla was zabezpieczyć. Nie będziecie musieli nawet kiwnąć palcem.

Callan patrzy, jak Calabrese rozważa jego propozycję.

I zajmuje mu to potworną ilość czasu.

Co zaczyna wkurzać Callana. Prawie ma nadzieję, że Calabrese powie: Walcie się chłopaki, będą mogli przerwać to dyplomatyczne sranie i olać to.

Ale Wielki Paulie mówi:

- Istnieją pewne warunki i zasady. Po pierwsze, bierzemy trzydzieści, nie dziesięć, procent waszych dochodów. Po drugie, bierzemy pięćdziesiąt procent od kasy uzyskanej z działalności związkowej i budowlanej, oraz trzydzieści procent od dochodów z każdej innej działalności. W zamian gwarantujemy wam naszą przyjaźń i ochronę. Nie możecie zostać członkami rodziny, ponieważ nie jesteście Sycylijczykami, ale możecie zostać współnikami. Będziecie pracować pod nadzorem Jimmy'ego Brzoskwini. Czynię go osobiście odpowiedzialnym za wasze działania. Jeśli czegoś potrzebujecie, idziecie do Jimmy'ego. Jeśli macie problem, idziecie do Jimmy'ego. Koniec z nonsensami Dzikiego Zachodu. Nasze interesy kwitną najlepiej w atmosferze spokoju. Rozumiecie?

- Tak, panie Calabrese.

Calabrese kiwa głową.

- Od czasu do czasu mogę potrzebować waszej pomocy. Powiadomię o tym Jimmy'ego, a on powiadomi was. Oczekuję, że w zamian za przyjaźń i ochronę, jaką wam zapewnię, nie odwróćcie się plecami, kiedy wyciągnę do was rękę. Jeśli wasi wrogowie staną się moimi, moi wrogowie muszą być też waszymi.

- Tak, panie Calabrese.

Kiedy całuje jego pierścień, Callan zastanawia się, czy to wszystko.

- Jeszcze jedno - mówi Calabrese. - Prowadźcie interesy. Zarabiacie pieniądze. Rozwijajcie się. Róbcie, co musicie, z wyjątkiem jednego. Żadnych narkotyków. To zasada wprowadzona przez Carla i nadal obowiązuje. To zbyt niebezpieczne. Nie zamierzam spędzić starości w więzieniu, więc ta zasada jest niepodważalna: handlujesz, nie żyjesz.

Calabrese wstaje. Wszyscy inni idą w jego ślady.

Callan stoi, kiedy Calabrese wygłasza krótkie pożegnanie i dwa osiłki otwierają przed

nim drzwi.

Callanowi się to podoba, co w tym złego?

- Stevie, ten facet wychodzi - mówi.

O-Bop patrzy na niego, jakby mówił: O Boże.

- Stevie, ten facet wychodzi.

Wszyscy nieruchomieją. Brzoskwinia jest przerażony tym faux pas i mówi tak delikatnie, jak tylko może:

- Don zawsze wychodzi pierwszy.

- Jakiś problem? - pyta Scachi.

- Tak - mówi Callan. - Jest pewien problem.

O-Bop odwraca się do niego błąd jak ściana. Brzoskwinia zaciska szczękę tak mocno, że chyba potrzebny będzie rozwieracz, żeby mu ją otworzyć. Demonte patrzy na nich, jakby oglądał w „National Geographic” jakiś bardzo dziwny gatunek. Johnny Boy zastanawia się, czy to rodzaj żartu.

Ale nie Scachi.

- Jaki problem? - warczy.

Callan przełyka ślinę i mówi:

- Powiedzieliśmy naszym ludziom na ulicy, żeby zabili pierwszą osobę, jaka pojawi się w drzwiach, jeśli nie będzie to żaden z nas.

Chwila pełna napięcia.

Dwaj goryle Calabrese'a kładą ręce na broni. Podobnie Scachi, z tą różnicą, że jego czterdziestka piątka wycelowana jest prosto w głowę Callana.

Calabrese patrzy na Callana i O-Bopa kręcąc głową.

Jimmy Brzoskwinia próbuje sobie przypomnieć, jak brzmi akt skruchy.

Wtedy Calabrese wybucha śmiechem.

Śmieje się tak bardzo, że musi wyjąć białą chusteczkę z kieszeni marynarki i wytrzeć oczy. Nie może tego zrobić, z powrotem siada. Kiedy wreszcie przestaje, mówi do Scachiego:

- Na co czekasz? Zastrzel ich.

A potem szybko mówi:

- Żartowałem, żartowałem. A wy, chłopcy, myślicie, że jakbym wyszedł przez te drzwi, rozpętałaby się trzecia wojna światowa? Ha, ha, to zabawne.

Wskazuje im drzwi.

- Tym razem, proszę - mówi.

Wychodzą i drzwi zostają za nimi zamknięte. Jeszcze na sali restauracji słyszą za sobą

śmiech. Przechodzą obok Beth i jej przyjaciółki Moiry i wypadają na ulicę.

Ani śladu Bobby'ego Remingtona i grubego Tima Healeya.

Tylko szereg czarnych lincolnów, od rogu do rogu.

Wszędzie stoją gangsterzy.

- Jezu Chryste - mówi O-Bop. - Nie mogli zaparkować.

Później Bobby przepaszająco powie im, że jeździli w kółko, aż wreszcie zatrzymali ich jacyś faceci z mafii i kazali spieprzać. Więc spieprzyli.

Ale to będzie później.

Teraz O-Bop stoi przy ulicy, patrzy w błękitne niebo i mówi:

- Wiesz, co to oznacza?

- Nie, Stevie, co to oznacza?

- To oznacza - mówi O-Bop obejmując go ramieniem - że zostaliśmy królami West Side.

Królowie West Side.

To dobra wiadomość.

Zła wiadomość jest taka, że Jimmy Brzoskwinia wykręcił się ze stu kawałków i teraz jest wolny i usunięty z ostatniej woli i testamentu Matty'ego Sheehana. A kasę przeznaczył na zakup narkotyków.

Nie zwykłej heroiny ze zwykłego turecko-sycylijskiego źródła. Nie ze źródła marsylskiego. Nawet nie z nowego źródła laotańskiego, które założyło Santo Trafficante. Nie - gdyby kupił w jednym z tych miejsc, Calabrese wiedziałby o tym piętnaście sekund później, a jakiś tydzień później dryfujące ciało Jimmy'ego Brzoskwini przeraziłoby turystów na Circle Line.

Nie, on znalazł nowe źródło.

Meksyk.

3.

Dziewczyny z Kalifornii

*Szkoda, że wszystkie nie mogą być
dziewczynami z Kalifornii.*

Brian Wilson, *California Girls*

La Jolla, Kalifornia

1981

Nora Hayden ma czternaście lat, kiedy po raz pierwszy dobiera się do niej kolega jej taty.

Odwozi ją do domu po tym, jak opiekowała się jego dzieciakiem, nagle bierze jej rękę i kładzie sobie na kroczu. Nora chce od razu zabrać rękę, ale fascynuje ją wyraz jego twarzy.

I jakie to daje wrażenie.

Potężne.

Nie zabiera więc ręki. Nie porusza nią, nie robi nic, ale najwyraźniej to wystarcza, bo słyszy jego chrapliwy oddech, jego oczy robią się wielkie i zabawne, chce jej się śmiać, ale nie chce, no wiecie, żeby czar przysł.

Następnym razem mężczyzna trzyma swoją rękę na jej dłoni i porusza nią kolistymi ruchami. Nora czuje pod palcami, jak mu rośnie. Czuje, że drży. Jego twarz wygląda śmiesznie.

Po chwili zatrzymuje samochód i prosi, żeby go wyjęła.

A ona nienawidzi tego faceta.

Brzydzi się nim, ale robi to tak, jak jej pokazał. Czuje, że to ona tu rządzi, nie on. Może zrobić mu dobrze po prostu przerywając, a potem zaczynając on nowa.

- To nie penis - powie potem swojej przyjaciółce, Elizabeth. - To smycz.

- Nie, to raczej marionetka - mówi Elizabeth. - Bawisz się nią, głaszczesz, całujesz, dajesz ciepłą miejscówkę do spania, a ona przyniesie ci różne fajne rzeczy.

Ma czternaście lat, wygląda na siedemnaście. Jej mama to widzi, ale co może zrobić? Nora przebywa na zmianę z mamą i tatą, to się nazywa wspólna opieka nad dzieckiem. Jedyne co robią wspólnie, kiedy przebywa u ojca, to palenie trawki.

Tata to taki biały rastafarianin bez dredów i bez przekonań religijnych. Tata nie wie, gdzie na mapie znaleźć Etiopię, ale lubi tamtejszą trawkę. Na ten temat wie naprawdę dużo.

Mama z tym kończy i to jest główny powód ich rozvodu. Wyrasta z fazy hippisowskiej z zapalem, od hippisa do yuppie, od zera do sześćdziesiątki w pięć sekund. On zapada w Birdenstocks, jakby mu nogi wrosły w ziemię, ale ona gna dalej.

Tak naprawdę, dostaje naprawdę dobrą pracę w Atlancie i chce, żeby Nora pojechała z nią, ale Nora jest na nie: dopóki nie pokażesz mi, gdzie w Atlancie jest plaża, nigdzie nie jadę. Wreszcie sędzia pyta Norę, z którym z rodziców chce zamieszkać, a ona prawie mówi: „Z żadnym”, ale w końcu odpowiada: „Z tatą”, więc w wieku piętnastu lat jeździ do Atlanty na wszystkie ferie i miesiąc letnich wakacji.

Co byłoby do zniesienia, gdyby miała tam pod dostatkiem ziela.

Dzieciaki w szkole nazywają ją „Nora Kurwizson”, ale ona ma to w nosie, zresztą one też. Określenie to jest nie tyle wyzwiskiem, co odzwierciedleniem rzeczywistości. Co można powiedzieć o koleżance z klasy, która po lekcjach wsiada do porsche, mercedesów i limuzyn, nie należących bynajmniej do żadnego z jej rodziców?

Pewnego popołudnia Nora jest nagrzana i wypełniając jakiś głupi kwestionariusz dla pracownika poradni w rubryce „Zajęcia pozaszkolne” wpisuje: „Obciążanie lasek”. Zanim to zetrze, pokazuje swojej kumpeli Elizabeth i obie się zaśmiewają.

A limuzyny nie kierują się do knajpy dla kierowców Mickey D’s. Ani do Burger Kinga, Taco Bell, czy Jack in the Box. Nora ma twarz i ciało zasługujące na Las Brisas, Inn at Laguna, El Adobe.

Chcesz Norę, zapewnij jej dobre żarcie, dobre wino, dobrego skręta.

Jerry Ciemniak zawsze ma dobrą kokę.

Chce, żeby pojechała z nim do Cabo.

Jedzie, oczywiście. Jerry to czterdziestoczteroletni diler, który ma więcej wspomnień niż możliwości; ona ma szesnaście lat i ciało jak bogini. Kto nie chciałby jej zabrać na nieprzyzwoity weekend do Meksyku?

Nora kalkuluje to na zimno.

Ma szesnaście lat, ale nie jest słodką szesnastolatką.

Wie, że facio nie zakochał się w niej. Jest pewna jak cholera, że ona nie zakochała się w nim. Tak naprawdę uważa go za głupka w czarnej, jedwabnej marynarce i czarnej czapce przykrywającej przeredzone włosy. I te dekatyzowane dzinsy, i najki bez skarpetek. Nie, Nora doskonale o tym wie - facio jest przerażony, że robi się stary.

Bez obawy, faciu, myśli. Nie ma się czym martwić.

Ty po prostu jesteś stary.

Jerry Ciemniak ma tylko dwa mocne punkty.

Ale to naprawdę dobre punkty.

Kasa i koka.

W sumie to jedno i to samo. Ponieważ Nora wie, że jeśli ma się kasę, ma się kokę. A jeśli masz kokę, masz kasę.

Robi mu laskę.

Zajmuje to dużo czasu przez kokę, ale wszystko jej jedno, nie ma nic lepszego do roboty. A obciążanie Jerry'emu druta jest o wiele lepsze niż rozmawianie z nim lub, co gorsza, słuchanie go. Nie chce już więcej słuchać o jego byłych żonach, o dzieciach - kurwa, zna jego dzieci lepiej niż on; w końcu chodzi z nimi do szkoły - albo o tym, jak zdobył potrójną liczbę punktów w softballu, co dało jego drużynie zwycięstwo.

Kiedy skończyła, mężczyzna pyta:

- No to co, jedziesz?

- Dokąd?

- Do Cabo.

- Dobra.

- Kiedy chcesz jechać? - pyta Jerry Ciemniak.

- Wszystko jedno - wzrusza ramionami.

Ma właśnie wysiadać z samochodu, kiedy Jerry wręcza jej torebkę pełną trawy najwyższej jakości.

- Cześć - mówi do niej ojciec, kiedy Nora wchodzi do domu. Wyciągnięty na kanapie ogląda powtórkę *Eight is enough*. - Jak minął dzień?

- W porządku - rzuca torebkę na stolik. - Przesyłka od Jerry'ego.

- Dla mnie? Super.

Tak super, że aż siada. Nagle ożywiony zwija sobie przyjemnego skręta.

Nora idzie do swojego pokoju i zamyka drzwi.

Zastanawia się, co można myśleć o ojcu, który sprzedaje własną córkę za skręta.

*

Nora przeżywa w Cabo życiowy przełom.

Poznaje Haley.

Nora leży przy basenie obok Jerry'ego Ciemniaka, a ta laska na leżaku po drugiej stronie basenu najwyraźniej ją obserwuje.

Niezła szprycha.

Pod trzydziestkę, ciemne brązowe włosy przycięte krótko pod czarnym kapelusikiem przeciwśłonecznym. Szczupłe, wygimnastykowane ciało w ledwo zakrywającym cokolwiek dwuczęściowym kostiumie. Ładna biżuteria - skromna, złota, droga. Za każdym razem, gdy Nora podnosi wzrok, laska patrzy na nią.

Z porozumiewawczym, nieśmiałym uśmiechem.

I jest zawsze.

Nora zerka ze swojego leżaka - jest tam. Nora spaceruje po plaży - jest.

Je obiad w hotelowej restauracji - jest. Nora unika kontaktu wzrokowego; to zawsze ona pierwsza odwraca wzrok. Wreszcie nie może już tego znieść. Czeką aż Jerry zapadnie w swoją postkoitalną popołudniową drzemkę, wychodzi nad basen i siada w leżaku obok kobiety.

- Obserwujesz mnie - mówi.

- Tak.

- Nie jestem zainteresowana.

Kobieta wybucha śmiechem.

- Nawet nie wiesz, czy nie jesteś zainteresowana.

- Nie jestem lesbijką - mówi Nora.

W facetach nie gustuje, ale w babkach też nie. Zostają jej koty i psy, z tym, że na punkcie kotów też nie szaleje.

- Ja też nie - odpowiada kobieta.

- Więc?

- Pozwól zadać sobie pytanie - mówi kobieta. - Zarabiasz na tym jakąś kasę?

- Hę?

- Jako lala dilera - wyjaśnia kobieta. - Zarabiasz coś na tym?

- Nie.

Kobieta kręci głową i mówi:

- Dziewczyno, z taką twarzą i ciałem powinnaś świetnie zarabiać.

Zarabiać. Norze podoba się ten pomysł.

- W jaki sposób?

Kobieta sięga do torebki i daje Norze wizytówkę.

Haley Saxon i numer telefonu w San Diego.

- Zajmujesz się, hm, handlem? - pyta Nora.

- W pewnym sensie.

- Hę?

- Hę? - kpi Haley. - Właśnie między innymi to mam na myśli. Jeśli chcesz zarabiać, musisz przestać mówić „hę”.

- A może ja wcale nie chcę zarabiać.

- W takim razie, życzę miłego weekendu - mówi Haley. Podnosi swoją gazetę i zaczyna czytać. Ale Nora nie odchodzi, siedzi i czuje się głupio.

Dopiero po pięciu minutach znajduje w sobie siłę, żeby powiedzieć:

- No dobra, może jednak chcę zarabiać.

- Dobrze.

- A co sprzedajesz?

- Ciebie. Sprzedam cię.

Nora zaczyna mówić: „Hę”, potem poprawia się:

- Nie jestem pewna, co masz na myśli.

Haley uśmiecha się. Kładzie wypielegnowaną rękę na dłoni Nory i tłumaczy:

- To bardzo proste. Sprzedaję kobiety mężczyznom. Za pieniądze.

Do Nory wreszcie dociera.

- A więc chodzi o seks - mówi.

- Dziewczyno, zawsze chodzi o seks.

Haley wygłasza całą mowę, ale ogólnie rzecz biorąc sprowadza się ona do jednego: cały świat - przez cały czas - szuka okazji do bzykania.

Ciągnie swoją gadkę, mówiąc:

- Możesz rozdawać to za darmo, albo sprzedać tanio. Twoja sprawa. Jeśli chcesz sprzedać się za ciężkie pieniądze, to mój interes. A tak w ogóle, ile masz lat?

- Szesnaście - mówi Nora.

- Jezu - Haley potrząsa głową.

- Co?

- Wielki potencjał.

*

Najpierw głos.

- Jeśli chcesz robić laski w samochodzie za marne grosze, możesz na siebie mówić ulicznica - mówi jej Haley kilka tygodni po ich spotkaniu w Cabo. - Jeśli chcesz podbić świat...

Haley załatwia Norze zajęcia z pewnym alkoholikiem, który rzucił Royal Shakespeare Company. Obniża Norze głos o oktawę („To bardzo ważne”, tłumaczy Haley. „Głęboki głos sprawia, że fiut siada i słucha”). Pijaczek osłabia samogłoski Nory, wzmacnia spółgłoski.

Każe jej powtarzać monologi: Porcji, Rozalindy, Wioli, Pauliny...

Mów, tyranie podły,

Jakie wymyślnie tortury masz dla mnie?

*Chłostę? Łamanie kołem? Ogień? Wrzący Ołów, czy olej?*⁷

Jej głos staje się kulturalny. Głębszy, pełniejszy, niższy. To część pakietu. Jeszcze są ciuchy, które kupują z Haley. Książki, które Haley każe jej czytać. Gazety.

- I nie strony o modzie, dziewczyno, albo o rozrywce - mówi Haley. - Kurtyzana najpierw czyta rubrykę sportową, potem finansową, a potem ewentualnie wiadomości.

Zaczyna więc pokazywać się w szkole z poranną gazetą. Jej koleżanki na parkingu łapią ostatnie machy przed dzwonkiem, a Nora siedzi i sprawdza wyniki meczów, Dow Jonesa, przegląda wstępniaki. Czyta „National Review”, „Wall Street Journal”, cholerny „Christian Science Monitor”.

I wyłącznie tym zajmuje się na tylnym siedzeniu samochodu.

Do Cabo wyjechała Nora Kurwiszon, wróciła Nora Żelazna Dziewica.

- Została znowu dziewicą - tłumaczy Elizabeth zdumionym koleżankom. I nie traktuje tego jako niezyczliwość; wszystko wskazuje na to, że to prawda. - Pojechała do Cabo i tam zrekonstruowano jej błonę dziewiczą.

- Nie wiedziałam, że tak można - mówi Raven, jedna z koleżanek.

Elizabeth tylko wzdycha.

Raven prosi ją o nazwisko lekarza.

Nora staje się też demonem sportu, spędza wiele godzin na rowerku stacjonarnym, jeszcze więcej na ruchomej bieżni. Haley wynajmuje jej prywatną trenerkę, faszystkę, maniaczkę na punkcie zdrowia, o imieniu Sherry, którą Nora nazywa swoją „fizyczną dręczycielką”. Nazistka ma ciało jak charcica i przystępuje do wyrobienia ciała Nory w małą, ściśle zawiązaną paczkę, żeby Haley mogła je wystawić na wolnym rynku. Każe jej robić pompki, przysiady, a zaczyna od postawienia jej na wagę.

Interesujące jest, że Nora się w to wszystko wdraża.

We wszystko - w cały ten rygorystyczny umysłowy i fizyczny trening. Nora wstaje rano i myje twarz (specjalnym płynem, który Haley jej kupiła), patrzy w lustro i myśli: „No, no, kim jest ta kobieta?” Idzie do szkoły, słyszy samą siebie, jak robi wykład na temat spraw bieżących i myśli: „No, no, kim jest ta kobieta?”.

⁷ William Shakespeare, *Zimowa opowieść*, Poznań 1991, tłum. Stanisław Barańczak, akt III, scena druga.

Kimkolwiek jest, Nora ją lubi.

Tata nie zauważa przemiany. Jak miałyby to zrobić? myśli Nora. W końcu nie szeleszczę w torebce.

Haley zabiera ją na przejażdżkę po Sunset Strip w Los Angeles, żeby pokazać jej naćpane dziwki. Kokaina opanowała kraj jak wirus, a dziwki się nim zaraziły. Klęczą na ulicach, leżą na plecach w samochodach. Niektóre są bardzo młode, inne stare - Nora jest w szoku, że wszystkie wyglądają tak staro. I niezdrowo.

- Nigdy nie będę taka - mówi Nora.

- Owszem, będziesz - mówi Haley - jeśli nie pójdziesz prostą drogą. Trzymaj się z daleka od prochów, nie dopuść, żeby wyżarzy ci mózg. A przede wszystkim, odkładaj pieniądze. Będziesz mieć dziesięć do dwunastu lat najwyższych zarobków, jeśli o siebie zadbasz. Najwyżej. Potem będzie już coraz mniej. Musisz więc inwestować w akcje, obligacje, fundusze inwestycyjne. W nieruchomości. Załatwię ci mojego doradcę finansowego.

Ponieważ ta dziewczyna będzie go potrzebować, myśli Haley.

Nora jest kreowana.

Kiedy kończy osiemnaście lat, jest gotowa na Biały Dom.

*

Białe ściany, białe dywany, białe meble. Kupa zawracania dupy, żeby to wszystko utrzymać w czystości, ale warto, gdyż faceci wyciszają się gdy tylko tu wejdą. (W końcu każdy z nich bał się w dzieciństwie wylać coś na dowolny biały mebel swojej matki.) A kiedy Haley się tam pojawia, zawsze jest ubrana na biało: Dom jest mną, ja jestem domem. Jestem nietykalna, mój dom też jest nietykalny.

Jej dziewczyny za to zawsze ubrane są na czarno.

Wyłącznie czerń.

Haley chce, żeby jej dziewczyny rzucały się w oczy.

I zawsze są kompletnie ubrane. Żadnych negliży czy szlafroczków - Haley nie prowadzi jakiegoś taniego burdeliku. Jest znana z przebierania swoich dziewczyn w golfy, garnitury, w małe czarne, w suknie. Ubiera swoje dziewczyny w takie rzeczy, żeby mężczyźni mogli sobie wyobrazić jak je z nich zdejmują. I sprawia, że na to czekają.

Muszą pokonywać tor przeszkód, nawet w Białym Domu.

Na ścianach wiszą biało-czarne wizerunki piękności: Afrodyty, Nike, Wenus, Hedy Lamarr, Sally Rand, Marilyn Monroe. Nora uważa, że obrazy są intrygujące, szczególnie ten Monroe, ponieważ są do siebie podobne.

Bez żartów, naprawdę, Haley tak myśli.

Przedstawi Norę jako młodą Monroe, tylko szczuplejszą.

Nora jest zdenerwowana. Zerka w monitor przekazujący obraz z salonu, przygląda się mężczyznom, z których jeden stanie się jej pierwszym klientem. Nie uprawiała seksu od półtora roku, nie jest nawet pewna, czy pamięta, jak się to robi, już nie mówiąc o takim za pięćset dolców. Ma nadzieję, że przypadnie jej ten wysoki, nieśmiały brunet. Najwyraźniej Haley też manewruje w tym kierunku.

- Denerwujesz się? - pyta ją Joyce. Joyce jest jej zupełnym przeciwieństwem, chłopczyca o szerokiej klatce piersiowej upozowana na Paryż lat pięćdziesiątych - pseudonim Gigi - za pomocą makijażu i stroju, czarnej bluzki odsłaniającej szyję i czarnej spódnicy.

- Tak.

- Każda się denerwuje za pierwszym razem - mówi Joyce. - Potem to już rutyna.

Nora patrzy na czterech mężczyzn siedzących niezręcznie na wielkiej sofie. Wyglądają młodo, na dwadzieścia parę lat, ale nie przypominają bogatych rozpieszczonych dzieciaków z college'u, więc zastanawia się, skąd biorą kasę, żeby tu przychodzić. Skąd się w ogóle tu wzięli.

*

Callan zastanawia się nad tym samym.

Czyli, co oni do cholery tu robią?

Wielkiego Pauliego Calabrese zalałaby krew, gdyby dowiedział się, że Jimmy Brzoskwinia ma zamiar podłączyć rurociąg, którym jak przez wielką słomkę wysie całą kokainę z Kolumbii przez Meksyk na zachodnie wybrzeże.

- Uspokoisz się? - mówi Brzoskwinia. - Zaklepałem ci miejsce przy stoliku, że możesz kurwa siedzieć i jeść?

- „Handlujesz, nie żyjesz” - przypomina mu Callan. - Tak powiedział Calabrese.

- Ta, „handlujesz, nie żyjesz” - odpowiada Jimmy. - Ale jeśli nie zaczniemy handlować, to zdechniemy z głodu. Czy pieprzony Paulie dopuścił nas do związków? Nie. Łapówek? Nie. Transportu? Budownictwa? Nie. Pieprzyć go. Niech mnie dopuści do tych interesów, a potem niech każe nie handlować. A na razie handluję.

Boy hotelowy nie zamyka za nimi drzwi i Brzoskwinia mówi, że chce iść do pewnego burdelu, o którym słyszał.

Callanowi to nie w smak.

- Przelecieliśmy trzy tysiące mil, żeby się pieprzyć? - pyta. - Możemy to robić u siebie.

- Ale nie tak - mówi Brzoskwinia. - Podobno mają tam najlepsze laski na świecie.

- Seks to seks - mów Callan.

- Co ty możesz o tym wiedzieć? - pyta Brzoskwinia. - Jesteś Irlandczykiem.

Nie chodzi o to, że Callan nie ma ochoty. Tylko nastawił się na podróż w interesach, a kiedy Callan robi interesy - to robi interesy.

- Myślałem, że to podróż w interesach - mówi.

- Jezu, wyluzuj! - mówi Brzoskwinia. - Jak umrzesz, na nagrobku napiszą ci, że nigdy się nie zabawiałeś. Będziemy się pieprzyć i będziemy robić interesy. Możemy nawet znaleźć chwilę, żeby coś zjeść, jeśli ci to nie przeszkadza. Słyszałem, że mają tu niezłe owoce morza.

Tak, oto cały rozum Brzoskwini, myśli Callan. Patrząc przez okno na ocean, wyobraża sobie, że gdzieś tam ktoś myśli tylko o tym, jak przyrządzić rybę.

- Jesteś ponurym dupkiem, wiesz? - dodaje Brzoskwinia.

Tak, jestem ponurym dupkiem, myśli Callan. Skasował pięciu gości dla Cimino, a Brzoskwinia mi mówi, że jestem ponurym dupkiem.

- Kto dał ci ten numer? - pyta Callan. Nie podoba mu się to. Brzoskwinia dzwoni pod ten numer, jakaś lafirynda mówi mu, jasne, proszę przyjść, jadą do jakiegoś magazynu, gdzie czeka na nich wyłącznie to gówniane bzykanie.

- Sal Scachi dał mi numer, w porządku? - mówi Brzoskwinia. - Znasz Sala.

- Nie wiem - odpowiada Callan. Jeśli Calabrese dowie się o tym narkotykowym interesie, to pewnie Scachi ich wykończy.

- Wyluzuj - mówi Brzoskwinia. - Zaczynasz mnie denerwować.

- Chcę zostać żywy.

- Doceniam twój sentymentalizm, Callan, naprawdę. - Brzoskwinia łapie Callana za tył głowy i całuje go w policzek. - Teraz możesz iść do księdza i powiedzieć, że dopuściłeś się homoseksualnego aktu z makaroniarzem. Kocham cię, ty katolicki kutasie. Mówię ci, dzisiejszy wieczór przeznaczamy wyłącznie na przyjemności.

Jednak przed wyjściem Callan przypina swoją dwudziestkę dwójkę. Dojeżdżają do Białego Domu, a minutę później stoją w holu i się gapią.

Callan postanawia wypić piwo, a potem stoi i obserwuje wszystko dookoła. Gdyby ktoś zamierzał znokautować Brzoskwinię, musiałby poczekać aż Jimmy zajmie się panienką, a potem walnąć go od tyłu. Callan zamierza więc dopić piwo, wziąć O-Bopa i zadbać o bezpieczeństwo. Oczywiście, O-Bop każe mu spierdalać, on też chce bzykać, więc to głównie Callan będzie musiał pilnować. Dopija więc piwo, gdy Haley układa na szklanym stoliku do kawy kilka czarnych katalogów.

- Mamy tu dziś dużo młodych dam - mówi otwierając katalog. Na każdej stronie

znajduje się czarno-biała fotografia 8x10 w plastikowej koszulce, z mniejszą, przedstawiającą całą sylwetkę na odwrocie. Haley nie chodzi o wystawianie swoich dziewcząt jak na aukcji rogowizny. Nie, robi to z klasą, elegancko i pobudzając męską wyobraźnię.

- Ponieważ doskonale je wszystkie znam - mówi - z przyjemnością pomogę panu dokonać właściwego wyboru.

Kiedy pozostali mężczyźni już się zdecydowali, siada obok Callana. Zauważa, że nie może oderwać wzroku od fotografii Nory i szepce mu do ucha:

- Jej oczy cię wzywają.

Callan oblewa się rumieńcem.

- Chce pan ją poznać? - pyta Haley.

Udaje mu się kiwnąć głową.

Okazuje się, że mógłby.

*

I natychmiast się zakochuje.

Nora wchodzi do pokoju, patrzy na niego tymi swoimi oczami. On czuje dreszcz prosto z serca aż do pachwin i z powrotem, i już jest po nim. Nigdy dotąd nie widział kobiety tak pięknej. Nigdy nie sądził, że spotka go w życiu coś - ktoś - tak uroczy. A jednak.

Z trudem przełyka ślinę.

Ona ze swojej strony z ulgą przyjmuje fakt, że to właśnie on.

Wygląda nieźle i nie wydaje się wrednym typkiem.

Wyciąga rękę i uśmiecha się.

- Jestem Nora.

- Callan.

- Masz jakieś imię, Callanie? - pyta.

- Sean.

- Witaj, Seanie.

Haley uśmiecha się przebiegle na ich widok. Chciała, żeby ten nieśmiały przypadł Norze na jej pierwszy raz, więc tak manipulowała innymi, żeby wybrali bardziej doświadczone dziewczęta. Teraz wszyscy dobrani w pary zgodnie z jej życzeniem stoją, rozmawiają i szykują się, by iść do pokojów. Wymyka się do swojego gabinetu, skąd dzwoni do Adána i mówi mu, że jego klienci dobrze się bawią.

- Zapłacę rachunek - odpowiada Adán.

To pryszcz. Bez znaczenia wobec pieniędzy, jakie mogą mu przynieść interesy z braćmi Piccone. Adán może sprzedać większość kokainy w Kalifornii. Ma wielu klientów w San

Diego i Los Angeles. Ale rynek w Nowym Jorku może okazać się ogromny. Jeśli uda mu się wprowadzić produkt na ulice Nowego Jorku za pośrednictwem sieci dystrybucyjnej braci Cimino... cóż, Jimmy Brzoskwinia może mieć wszystkie dziwki, jakie zechce.

Adán już nie przychodzi do Białego Domu. Przynajmniej nie jako klient. Tarzanie się w rozpuście z prostytutkami, choćby najbardziej luksusowymi, nie przystoi mu jako poważnemu człowiekowi interesu.

Poza tym, jest zakochany.

Lucía pochodzi z klasy średniej. Urodzona w Stanach, „wygrała podwójną stawkę”, jak to ujął Raúl; to znaczy ma podwójne, amerykańskie i meksykańskie, obywatelstwo. Świeża absolwentka liceum Najświętszej Marii Panny w San Diego mieszka teraz ze starszą siostrą i chodzi na wykłady na Uniwersytet Stanowy w San Diego.

I jest piękna.

Jest drobną, naturalną blondynką o uderzająco ciemnych oczach i szczupłej figurze, którą Raúl wulgarnie komentuje przy każdej okazji.

- Te *chupas*, bracie - mówi - wyskakują jej spod bluzki. Możesz się na nie nadziać. Ona jest *chiflona*, niedobrze, niedobrze.

Wcale nie jest podpuszczalska, myśli Adán, jest damą. Dobrze wychowaną, kulturalną, wykształconą przez zakonnice, jednak musi przyznać, że frustrują go obściskiwanki na przednim siedzeniu jego samochodu, albo na sofie w mieszkaniu jej siostry w tych rzadkich chwilach, kiedy czujna *bruja* da im kilka chwil sam na sam.

Lucía nie zamierza tego zmieniać aż do ślubu.

A ja nie mam jeszcze tyle pieniędzy, żeby się żenić, myśli Adán. Nie z damą taką jak Lucía.

- Zrób jej przysługę - tłumaczy mu Raúl - i weź sobie jakąś dziwkę. Nie naciskaj jej tak bardzo. Właściwie, jesteś to winny Lucii, żeby iść do Białego Domu. Twoja moralność jest egoistyczną pobłażliwością.

Raúl z pewnością nie jest samolubny, jeśli tak na to patrzeć, myśli Adán. Jego wielkoduszność jest bezgraniczna. Mój brat, myśl Adán, wpada do Białego Domu jak kucharz do spiżarni i przejada wszystkie zyski.

- Taka już moja natura - mówi Raúl. - Co mam zrobić? Jestem tylko człowiekiem.

- Dziś wieczorem masz trzymać swoją naturę w spodniach - mówi mu teraz Adán. - Dziś wieczorem załatwiamy interesy.

Ma nadzieję, że w Białym Domu wszystko idzie jak trzeba.

- Czego się napijesz? - pyta Callan Nory.

- Soku grejpfrutowego.

- Tylko?

- Nie piję - mówi Nora.

Nie wie co zrobić, ani co powiedzieć, więc po prostu stoi i się na nią gapi.

Nora również patrzy na niego ze zdumieniem. Nie chodzi o to, co czuje, tylko o to, czego nie czuje.

Pogarda.

Nie dręczy jej uczucie pogardy.

- Seanie?

- Tak?

- Mam tutaj pokój. Pójdziemy tam?

Jest jej wdzięczny za przerwanie tej szopki. Nie będzie tu stał i czuł się jak palant.

Do diabła, pewnie, że chcę, myśli. Chcę tam iść i zedrzeć z ciebie ubranie, dotykać cię wszędzie, być w tobie, a potem chcę cię zabrać do domu. Zabrać do Kitchen i zrobić z ciebie Królową Zachodu. Chcę, żebyś była pierwszą rzeczą, jaką zobaczę budząc się rano i ostatnią zasypiając wieczorem.

- Tak. Tak, chodźmy.

Uśmiecha się, bierze go za rękę i prowadzi w stronę schodów, kiedy słyszą za sobą głos Brzoskwini.

- Hej, Callan!

Callan odwraca się i widzi go stojącego w rogu obok niskiej dziewczyny z krótkimi, ciemnymi włosami.

- Czego?

- Chcę się zamienić.

- Co? - pyta Callan.

- Myślę, że... - zaczyna Nora.

- Więc nie myśl - przerywa jej Brzoskwini. Patrzy na Callana. - No i?

Brzoskwini jest wkurwiony. Zauważył Norę, kiedy weszła do pokoju. Uznał ją za najładniejszą dupę, jaką w życiu widział. Gdyby mu ją wcześniej pokazano, na pewno by ją wybrał.

- Nie - mówi Callan.

- No, dalej. Bądź kumplem.

W pokoju zapada cisza.

O-Bop i Jimmy Brzoskwinia przestają gapić się na swoje dziewczyny i sprawdzają, co się dzieje.

Jest niedobrze, myśli O-Bop.

Bo chociaż Jimmy Brzoskwinia nie jest najbardziej szalonym z braci Piccone - ten zaszczyt przypada Małemu Brzoskwini - Jimmy ma temperamencik za nich obu. Dopada go nagle, pojawia się nie wiadomo skąd i nigdy nie wiesz, co Jimmy Brzoskwinia zrobi - lub, co gorsza, co tobie każe zrobić - pod wpływem chwilowego impulsu.

A Jimmy jest rozdrażniony z powodu Callana, ponieważ Callan jest - jaki? - humorzasty, milczący, odkąd wyjechali z Kalifornii. A to Jimmy'ego irytuje, bo potrzebuje Callana. Teraz zaś Callan idzie na górę, żeby bzyknąć dziewczynę, którą chce bzyknąć Brzoskwinia, a to nie jest w porządku, bo Brzoskwinia jest tutaj szefem.

Jest jeszcze coś, co sprawia, że sytuacja staje się jeszcze bardziej niebezpieczna. I oni wszyscy doskonale o tym wiedzą, chociaż nikt z drużyny Piccone'ów nie powie tego na głos: Brzoskwinia boi się Callana.

To bardzo proste. Wszyscy wiedzą, że Brzoskwinia jest dobry. Twardy, bystry i mądry.

Jest bezwzględny.

Ale ten Callan.

Callan jest najlepszy.

Callan to najbardziej bezwzględny zabójca ze wszystkich.

Jimmy Brzoskwinia potrzebuje go i boi się go, a to wybuchowa mieszanka. Jakby wieźć nitroglicerynę wyboistą drogą, myśli O-Bop. Wcale mu się to nie podoba. Wpakowali się w robotę z Cimino, robią kasę, a teraz wszystko ma szlag trafić przez byle gówno?

- Co jest, kurwa? - pyta O-Bop.

- No, właśnie, co? - pyta Brzoskwinia.

- Powiedziałem: nie - powtarza Callan.

Brzoskwinia wie, że Callan ma tę swoją dwudziestkę dwójkę i palnie mu kulę między oczy zanim zdąży mrugnąć. Ale wie też, że Callan nie może wybić całej zasranej rodziny Cimino, co musiałby zrobić, gdyby zabił Brzoskwinię.

Na tym właśnie opiera się Brzoskwinia.

Co naprawdę wkurwia Callana.

Rzygać mu się chce na myśl, że musi chronić tyłek tego makaroniarza.

Do diabła z Jimmym Brzoskwinią.

Do diabła z nim, z Johnnym Boyem, Saleem Scachim i Pauliem Calabrese. Nie spuszczać wzroku z Brzoskwini, pyta O-Bopa:

- Ubezpieczasz moje tyły?

- Ubezpieczam.

I o to chodzi.

Panują nad sytuacją.

I nie wydaje się, żeby miała się ona skończyć szczęśliwie dla którejkolwiek strony, aż wreszcie Nora mówi:

- Może to ja zdecyduję?

Brzoskwinia uśmiecha się.

- Tak będzie sprawiedliwie, prawda, Callan?

- Dobrze.

Myśli jednak, że wcale nie. Być blisko takiego piękna, że dech zapiera, a potem czuć, jak wyslizguje mu się z rąk. Ale jak do diabła można to rozegrać sprawiedliwie?

- No, dalej - mówi Brzoskwinia. - Wybieraj.

Callan czuje, że serce wyskakuje mu z piersi. Ma wrażenie, że wszyscy to widzą.

Nora patrzy na niego i mówi:

- Spodoba ci się Joyce. Jest piękna.

Callan kiwa głową.

- Przykro mi - szepce Nora.

I naprawdę jest jej przykro. Chciała iść z Callanem. Ale Haley, teraz już z powrotem w swoim gabinecie, robi wszystko, żeby rozładować sytuację, daje jej znak, a Nora jest bystra i rozumie, że ma wybrać tego ordynarnego wielkoluda.

Haley oddycha z ulgą. Wszystko idzie jak trzeba. Adán wyraźnie dał jej do zrozumienia, że dziś chodzi nie o jej interesy, ale o jego. I biorąc pod uwagę, że to Tió Barrera dał jej pieniądze, żeby otworzyła swój dom, powinna dbać o rodzinne interesy Barrerów.

- Nie przepraszaj - mówi Callan do Nory.

Nie idzie z Joyce.

- Bez urazy, ale dzięki - mówi jej. Wychodzi i staje koło samochodu. Wyciąga swoją dwudziestkę dwójkę, a kilka minut później chowa ją za plecami, bo podjeżdża samochód i wysiada z niego Sal Scachi.

Nosi swój codzienny kalifornijski strój, a do tego jak zwykle wypolerowane na wysoki połysk buty. Ci makaroniarze i ich buty, myśli Callan. Mówi Scachiemu, żeby zaparkował w tym miejscu i trzymał ręce na widoku.

- Hej, jest i nasz strzelec - mówi Scachi. - Nie martw się, Jimmy'emu Brzoskwini z

mojej strony nic nie grozi. Ale Paulie o tym nie wie...

Szczypie Callana w policzek i idzie do domu. Cieszy się jak cholera, że tu jest, ponieważ ostatnie kilka miesięcy spędził w zielonym mundurze na operacji CIA o kryptonimie Cerber. Scachi z drużyną innych facetów z sił specjalnych lokował trzy maszty radiowe w pieprzonej kolumbijskiej dżungli, a potem siedział tam, upewniając się, że nie obalą ich komunistyczni partyzanci.

Teraz musiał się upewnić, że Brzoskwinie kombinują z Adánem Barrerą. Co przypomniało mu...

Odwraca się i woła do Callana:

- Hej, chłopcze! Jedzie tu paru Meksykanów. Zrób mi przysługę, nie strzelaj do nich.

Śmieje się i wchodzi do środka.

Callan znowu patrzy w oświetlone okno.

*

Brzoskwinia daje jej wycisk.

Nora stara się go ostudzić, zmiękczyć, pokazać mu te wszystkie sztuczki, jakich nauczyła ją Haley, ale ten facet ma je w nosie. Jest dostatecznie podniecony swoim zwycięstwem na dole. Rzuca ją twarzą na łóżko, zdiera spódnice, majtki i wbija się w nią.

- Czujesz go, nie? - pyta.

Czuje.

Czuje ból.

Jest wielki, ona nie jest dostatecznie wilgotna, a gościu pcha mocno, więc musi to czuć. Czuje, jak wsuwa pod nią ręce, zdiera biustonosz i zaczyna brutalnie miętosić jej piersi. Najpierw próbuje z nim o tym rozmawiać, ale narasta w niej gniew i pogarda, i myśli sobie „rajcuj się sam, skurwielu”, wymykają jej się tylko jęki bólu, a on błędnie uznaje je za oznaki rozkoszy, więc uderza mocniej. Nora pamięta o zaciskaniu się na nim, żeby szybciej doszedł, ale on wychodzi z niej.

- Nie próbuj na mnie tych pierdolonych dziwkarskich sztuczek.

Odwraca ją na plecy i siada na niej okrakiem. Przyciska do siebie jej piersi, wkłada między nie fiuta i pcha w stronę jej ust.

- Ssij.

Robi co każe.

Robi to jak najlepiej, żeby dał jej spokój, gdy już się spuści, chce, żeby to się już skończyło. On zachowuje się jak w filmie porno, więc kończy szybko, łapie się za fiuta, kilkoma ruchami robi sobie dobrze i spuszcza się na jej twarz.

Wie, czego oczekuje.

Też oglądała filmy.

Bierze trochę na palec, wkłada do ust, patrzy mu w oczy i mruży: „Mmmmmm”.

Widzi, że się uśmiecha.

Kiedy Brzoskwinia wychodzi, Nora idzie do łazienki, myje zęby tak długo, że zaczynają jej krwawić dziąsła i całą minutę płucze usta płynem. Bierze długi, bardzo gorący prysznic, a potem zakłada szlafrok, podchodzi do okna i wygląda.

Widzi tego miłego, nieśmiałego, jak schyla się nad samochodem, i żałuje, że nie został jej chłopakiem.

Część druga

Cerber

4.

Meksykańska trampolina

Kto ma okręty? Kto ma samoloty?

Malcolm X

Guadalajara

Meksyk

1984

Art Keller obserwuje lądowanie DC-4.

Siedzi razem z Erniem Hidalgo w samochodzie na skarpie z widokiem na lotnisko w Guadalajarze. Art śledzi wzrokiem meksykańskich *federales* pomagających rozładować towar.

- Nie zawracają sobie nawet głowy, żeby zdjąć mundury - mówi Ernie.

- A po co? - odpowiada Art. - W końcu są w pracy, nie?

Art ustawia lornetkę na podczerwień na pas towarowy, który odchodzi od głównego. Przy bliższym końcu pasa znajdują się liczne hangary towarowe i kilka małych baraków, które służą za biura firmom przewozowym. Teraz przed hangarami parkują ciężarówki, a *federales* przenoszą do nich skrzynki z samolotu.

- Masz to? - pyta Erniego.

- Uśmiechnij się, jesteś w ukrytej kamerze - odpowiada Ernie. Elektryczny silnik jego kamery cicho szumi. Ernie wychował się wśród gangów w El Paso, widział, co narkotyki zrobiły z jego barrio, więc chce coś z tym zrobić. Kiedy więc Art zaproponował mu robotę w Guadalajarze, wszedł w to. Teraz pyta:

- Jak myślisz, co może być w tych skrzynkach?

- Ciasteczka czekoladowe? - sugeruje Art.

- Kapcie z króliczkami?

- Za to wiemy, czego na pewno tam nie ma - stwierdza Art. - Nie ma tam kokainy, ponieważ...

Obaj kończą zdanie.

- ...w Meksyku nie ma koki!

Śmieją się ze wspólnego żartu, rytualnego skandowania, sarkastycznego recytowania oficjalnego komunikatu przekazanego im przez szefów z DEA. Według ważniaków z Waszyngtonu samoloty pełne koki, które kursują regularniej i częściej niż United Airlines, są wytworem wyobraźni Arta Kellera.

Ważniacy wierzą, że meksykański handel narkotykowy został unicestwiony podczas operacji Kondor. Tak twierdzą oficjalne raporty, tak twierdzi DEA, tak twierdzi Departament Stanu, tak twierdzi prokurator generalny - nikt z wyżej wymienionych nie potrzebuje, żeby Art Keller snuł fantazje na temat meksykańskich „karteli” narkotykowych.

Art wie, co mówią na jego temat. Że staje się ropiejącym wrzodem na dupie, wypychającym co miesiąc notatki służbowe, próbującym stworzyć Federację ze stada badylarzy z Sinaloi, którzy zostali wygnani z gór dziewięć lat temu. Wkurzającym wszystkich stekiem bzdur o Frito Banditos, którzy wypuszczają trochę marihuany, no i może trochę heroiny, kiedy powinien sobie wreszcie uświadomić, że na ulicach Ameryki mamy do czynienia z epidemią cracku i że kokaina napływa z Kolumbii, a nie cholernego Meksyku.

Przysłali nawet z Meksyku Tima Taylora, żeby kazał mu skończyć z tym gównem. Człowiek kierujący operacją DEA w Meksyku zebrał Arta, Erniego Hidalgo i Shaga Wallace'a w pokoiku na tyłach biura DEA w Guadalajarze i powiedział:

- Słuchajcie, to nie nasza inicjatywa. Musicie wreszcie zrozumieć, że zamiast wymyślania...

- Niczego nie wymyślamy - wtrącił Art.

- Gdzie macie dowody?

- Pracujemy na tym.

- Nie - powiedział Taylor. - Nie pracujecie. Nie macie nad czym pracować. Prokurator generalny Stanów Zjednoczonych oświadczył w Kongresie...

- Czytałem tę mowę.

- ...że problem meksykańskich narkotyków nie istnieje. Próbujecie zrobić durnia z prokuratora generalnego?

- Myślę, że do tego nie potrzebuje naszej pomocy.

- Bądź pewny, że przekażę mu twoje słowa, Art - powiedział Taylor. - Nie będziecie, podkreślam, nie będziecie biegać po Meksyku i szukać śniegu, którego tam nie ma. Rozumiecie, co do was mówię?

- Jasne - powiedział Art. - Jeśli ktoś będzie próbował sprzedać mi meksykańską kokainę, powinienem odmówić.

Teraz, trzy miesiące później, obserwuje nieistniejących *federales* ładujących

nieistniejącą kokainę do nieistniejących ciężarówek, które dostarczą kokainę nieistniejącym członkom nieistniejącej Federacji.

To Prawo Niezamierzonych Skutków, myśli Art, patrząc na *federales*. Operacja Kondor miała usunąć sinaloańskiego raka z Meksyku, ale sprawiła tylko, że rozprzestrzenił się na cały organizm. Trzeba wyrazić uznanie mieszkańcom Sinaloi - genialnie odnaleźli się w nowej sytuacji. Gdzieś po drodze uświadomili sobie, że ich prawdziwym towarem nie są narkotyki, lecz długa na dwa tysiące mil granica ze Stanami Zjednoczonymi i możliwość przerzucania przez nią kontrabandy. Ziemię można spalić, zbiory wytruć, ludzi wygnać, ale granicy - granicy nie da się wymazać. Towar wart parę centów po jednej stronie granicy jest wart tysiące po drugiej.

Tym towarem - wbrew opinii DEA, Departamentu Stanu i rządu meksykańskiego - jest kokaina.

Federación zawarła bardzo prostą i korzystną umowę z kartelami Medellín i Cali: Kolumbijczycy płacą tysiąc dolarów za każdy kilogram kokainy, jaki Meksykanie bezpiecznie przewiozą im do Stanów Zjednoczonych. Mówiąc wprost, Federacja odeszła od rozwijania interesu narkotykowego i przerzuciła się na transport. Meksykanie odbierają kokainę od Kolumbijczyków, transportują ją w umówione miejsca przy granicy, przewożą do bezpiecznych melin w Stanach i oddają ją Kolumbijczykom, zarabiając tysiąc dolarów na kilogramie. Kolumbijczycy zabierają ją do swoich laboratoriów i przekształcają w crack, więc to gówno ląduje na ulicach w ciągu paru tygodni - czasem nawet dni - po opuszczeniu Kolumbii.

Nie przez Florydę - DEA przemierzała te trasy w tę i z powrotem - ale przez zlekceważone meksykańskie „tylne drzwi”.

Federación, myśli Art - przydaje się, gdy towar musi się znaleźć w obiegu w ciągu dwóch tygodni.

Ale jak? - zastanawia się. Nawet on musi przyznać, że z teorią jest kilka problemów. Jak samolot może przelecieć niepostrzeżenie z Kolumbii do Guadalajary, przez Amerykę Środkową, gdzie roi się nie tylko od ludzi z DEA, ale również, dzięki obecności komunistycznego reżimu sandinistycznego w Nikaragui, także z CIA? Szpiegowskie satelity, AWACS⁸ - żaden system nie wykrył tych lotów.

Pozostaje jeszcze problem paliwa. DC-4, taki jak ten, na który właśnie patrzy, nie ma na tyle dużego zbiornika paliwa, żeby wykonać taki lot jednym ciągiem. Musi lądować i tankować. Ale gdzie? Nie wydaje się to możliwe, jak radośnie wytyka mu jego szefostwo.

⁸ AWACS, Airborne Warning and Control System - powietrzny system ostrzegania i kontroli.

Tak, zapewne to niemożliwe, myśli Art. Ale nafaszerowany kokainą samolot ląduje na jego oczach. Prawdziwy, podobnie jak epidemia cracku, która wywołuje tyle cierpień w amerykańskich gettach. Wiem, że to robicie, myśli Art, patrząc na samolot. Tylko nie wiem jak.

Ale się dowiem.

A potem to udowodnię.

- A to co? - pyta Ernie.

Pod barak podjeżdża czarny mercedes. Kilku *federales* podbiega do niego truchtem i otwiera tylne drzwi. Wsiada wysoki, szczupły mężczyzna w czarnym garniturze. Art widzi po ogniku cygara, że mężczyzna przechodzi przez kordon *federales* do biura.

- Ciekawe, czy to on - zastanawia się Ernie.

- Kto?

- Mityczny M-1 - mówi Ernie.

„M-1” to meksykański kryptonim nieistniejącego szefa nieistniejącej Federacji.

Z tego, co Artowi udało się dowiedzieć przez ostatni rok, Federación owego M-1 została podzielona, jak Galia Cezara, na trzy części: stany nad Zatoką, Sonorę i Baję. Wszystkie tworzą pas przy granicy ze Stanami Zjednoczonymi. Każdą z tych trzech części prowadzi inny człowiek z Sinaloi wygnany z rodzimej prowincji przez operację Kondor. Art ustalił nawet ich nazwiska.

Zatoka: García Abrego.

Sonora: Chalino Guzmán, czyli El Verde, „Zielony”.

Baja: Güero Méndez.

A wierzchołek tego trójkąta znajduje się w Guadalajarze: M-1.

Jednak nie potrafią go namierzyć i zidentyfikować.

Ale ty potrafisz, nie, Art? - pyta sam siebie. Gdzieś tam w środku wiesz, kto jest patronem Federacji. Pomogłeś mu w wyniesieniu na tę godność.

Art zagląda przez noktowizor do małego biura, skupia się na mężczyźnie, który właśnie siada za biurkiem. Nosi tradycyjny czarny garnitur, rozpiętą pod szyję białą koszulę, bez krawata. Szczupłą, opaloną twarz zdobi mały wąsik. Pali cienkie, brązowe cygaro.

- Popatrz na nich - mówi Ernie. - Zachowują się jak podczas wizyty papieża. Nigdy nie widziałem tego faceta, a ty?

- Nie - mówi Art odkładając lornetkę. - Nie widziałem.

Od dziewięciu lat, w każdym razie.

Ale Tío niewiele się zmienił.

*

Althea śpi, kiedy Art wraca do ich wynajętego domu w Tlaquepaque, na zielonym przedmieściu jednorodzinnych domków, butików i modnych restauracji.

Dlaczego miałyby nie spać, myśli Art. Jest trzecia rano. Przez ostatnie dwie godziny uczestniczył w farsie, która miała na celu zidentyfikowanie M-1. Zakończoną sukcesem, myśli Art. Razem z Erniem pojechali za czarnym mercedesem autostradą, prosto do Guadalajary. Śledzili auto przez stare Centro Histórico i przez Krzyż Placów - Plaza e Armas, Plaza de la Liberación, Plaza de la Rotonda de los Hombres i Plaza Tapatía - z katedrą pośrodku. Potem przejechali przez nowoczesną dzielnicę biurowców i z powrotem znaleźli się na przedmieściu, gdzie czarny mercedes wreszcie zatrzymał się przed salonem samochodowym.

Import z Niemiec. Luksusowe samochody.

Zaparkowali przy następnej przecznicy i czekali, podczas gdy Tío przez kilka minut przebywał w biurze, skąd wyszedł z kluczykami i wsiadł do nowiutkiego mercedesa 510 - tym razem bez kierowcy, bez goryli. Pojechali za nim do bogatej, willowej dzielnicy, gdzie Tío zaparkował na podjeździe, wysiadł z samochodu i wszedł do swojego domu.

Jak zwykły biznesmen, który wraca do domu późno w nocy.

Rano, myśli Art, czeka mnie kolejna farsa, wprowadzenie adresu salonu samochodowego i domu do systemu, aby zidentyfikować naszego rzekomego M-1.

Miguela Ángela Barrerę.

Tío Ángela.

Art wchodzi do jadalni, otwiera barek i nalewa sobie johnniego walkera. Z drinkiem przechodzi przez hol, żeby zerknąć na dzieci. Cassie ma pięć lat i, dzięki Bogu, wygląda jak matka. Michael ma lat trzy i również jest podobny do matki, chociaż odziedziczył po Arcie mocną budowę ciała. Althea jest podekscytowana faktem, że dzięki meksykańskiej gosposi i meksykańskiej niani dzieci stają się dwujęzyczne. Michael nie prosi nigdy o chleb, tylko o *pan*; woda to dla niego *agua*.

Art bezszelestnie wsuwa się do ich pokoi, delikatnie całuje w policzki i przechodzi przez hol do największej sypialni, a stamtąd do łazienki, gdzie bierze długi prysznic.

Jeśli Althie zachwiała jego doktryną SOS, to dzieci były bombą, które ją rozsadziły. Kiedy zobaczył swoją świeżo narodzoną córeczkę w ramionach Althie, poczuł, że jego skorupka „dbaj sam o siebie” rozpada się w drobny mak. Kiedy urodził mu się syn, nie było lepiej, tylko inaczej, patrzeć na miniaturową wersję samego siebie. I przyszło objawienie - posiadanie złego ojca można odkupić tylko w jeden sposób: będąc dobrym ojcem.

I był nim. Ciepłym, kochającym ojcem dla swoich dzieci: wiernym, czułym mężem dla swojej żony. Gniew i gorycz z czasów własnej młodości zbladły, została tylko jedna rzecz - sprawa Tío Barrery.

Bo Tío wykorzystał mnie podczas operacji Kondor. Wykorzystał mnie, żeby wyeliminować rywali i założyć swoją Federación. Zrobił ze mnie durnia, pozwalając myśleć, że zniszczyłem siatkę narkotykową, podczas gdy tylko pomogłem mu zmontować większą i lepszą.

Przyznaj się do tego, myśli lejąc gorącą wodę na obolały kark, to po to tu przyjechałeś.

Ze zdziwieniem przyjęto prośbę bohatera operacji Kondor o przeniesienie na zadupie w rodzaju Guadalajary. Zlikwidowanie don Pedra nadało jego karierze rozmachu. Z Sinaloi trafił do Waszyngtonu, potem do Miami, a następnie do San Diego. Art Keller, Cudowne Dziecko, miał właśnie w wieku trzydziestu trzech lat zostać najmłodszym agentem rezydentem. Mógł zdobyć pozycję.

Wszystkich zaskoczyła jego prośba o skierowanie do Guadalajary.

Skierowanie kariery z głównej linii na boczny tor i wyhamowanie.

Koledzy, przyjaciele, ambitni rywale, wszyscy pytali dlaczego.

Art nie potrafił odpowiedzieć.

Nawet sam sobie, tak naprawdę.

Że chodzi o wyrównanie rachunków.

I może powinienem dać sobie z tym spokój, myśli, wychodząc spod prysznic i wycierając się ręcznikiem.

Najłatwiej byłoby nie schodzić z drogi wyznaczonej przez firmę. Zgarniać drobnych handlarzy marihuaną wystawionych przez Meksykan, pracowicie sporządzać raporty, które meksykański wydział antynarkotykowy będzie olewał (co byłoby niezłym żartem, biorąc pod uwagę, że finansowane przez Stany Zjednoczone meksykańskie samoloty dokonujące oprysków leją głównie wodę - czyli tak naprawdę podlewają plantacje marihuany i maków) i siedzieć sobie spokojnie na tyłku.

Żadnego tropienia M-1, żadnych rewelacji na temat Miguela Ángela Barrery.

To przeszłość, myśli. Trzeba sobie odpuścić.

Nie musisz całować kobry.

Tak, musisz.

Bo zżerała cię przez ostanie dziewięć lat. Całe to zniszczenie, cierpienie, ofiary operacji Kondor, wszystko po to, żeby Tío mógł założyć swoją Federación. Prawo Niezamierzonych Skutków, jedna wielka bzdura. Dokładnie o to chodziło Tío Barrerze, właśnie to planował i to

osiągnął.

Wykorzystał cię. Poszczył jak psem swoich wrogów.

A potem trzymałeś gębę na kłódkę.

Kiedy obwołali cię bohaterem, klepali po plecach, wreszcie dopuścili do zespołu. Ty żaloszny skurwysynu, o to ci przecież chodziło, prawda? Z taką desperacją chciałeś do nich należeć.

Sprzedajesz za to duszę.

A teraz myślisz, że możesz ją odkupić.

Zostaw to - musisz dbać o rodzinę.

Delikatnie wślizguje się do łóżka, żeby nie budzić Althei, ale się nie udaje.

- Która godzina? - pyta.

- Prawie czwarta.

- Rano?

- Spij jeszcze.

- O której wstajesz? - pyta.

- O siódmej.

- Obudź mnie, muszę iść do biblioteki.

Ma kartę czytelnika w bibliotece uniwersytetu w Guadalajarze, gdzie pisze pracę „Rolnicza siła robocza w przedrewolucyjnym Meksyku - prezentacja statystyczna”.

- A teraz, do roboty, leniu - mówi Althei.

- Jest czwarta rano.

- Nie pytam cię o godzinę i temperaturę powietrza - odpowiada. - Proszę, żebyś zrobił mi dobrze. Chodź tu.

Sięga po niego. Ma ciepłe ręce i po paru sekundach jest już w niej. Zawsze wtedy czuje, że wrócił do domu. Podczas orgazmu żona chwyta go za pośladki i mocno ścisza.

- Było cudownie, kotku - mówi. - A teraz wracam spać.

Art leży rozbudzony.

*

Rano Art ogląda zdjęcia samolotu, *federales* rozładowujących kokę, otwierających drzwi przed Tío, potem Tío siedzącego przy biurku w biurze.

Następnie słucha, jak Ernie streszcza wszystko, czego się do tej pory dowiedzieli.

- Sprawdziłem w EPIC - mówi Ernie, mając na myśli Centrum Wywiadowcze El Paso, komputerową bazę danych, która zestawia wszystkie informacje zebrane przez DEA, celników i wydział imigracyjny. - Miguel Ángel Barrera był policjantem stanowym Sinaloi, a

tak naprawdę obstawiał samego gubernatora. Ścisłe powiązania z meksykańskim DFS. A teraz uważaj: grał po naszej stronie. Był jednym z gliniarzy prowadzących operację Kondor w 1977 roku. Część raportów EPIC twierdzi, że Barrera własnoręcznie zdemontował starą sinalońską siatkę heroinową. Potem odszedł z policji i zniknął z radaru EPIC.

- Nic po 1975 roku? - pyta Art.

- *Nada* - opowiada Ernie. - Wątek odżywa tutaj, w Guadalajarze. Odnosi wielki sukces w interesach. Ma salon samochodowy, cztery restauracje, dwa apartamentowce i świetnie prosperującą firmę handlu nieruchomościami. Siedzi w zarządzie dwóch banków i ma rozległe powiązania w rządzie stanowym Jalisco i Mexico City.

- Nie wygląda na biografię barona narkotykowego - mówi Shag.

Shag to starszy facet z Tuscon, weteran z Wietnamu, który trafił do DEA z wywiadu wojskowego i na swój własny, spokojny sposób jest taką samą piłą jak Ernie. Wykorzystuje swoją „rozbrajającą” osobowość kowboja, żeby ukryć przenikliwy umysł. Wielu handlarzy narkotyków siedzi teraz w więzieniu dlatego, że nie doceniło Shaga Wallace’a.

- Poczekaj, aż zobaczysz, jak nadzoruje dostawę koki - mówi Ernie, wskazując na fotografię.

- Czy może to być M-1?

- Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać - oznajmia Art.

Robiąc, myśli, jeszcze jeden krok naprzód w stronę przepaści.

- Nie będzie żadnego śledztwa w sprawie kokainowych związków Barrery - mówi. - Jasne?

Ernie i Shag patrzą na niego w osłupieniu, ale kiwają głowami.

- Nie chcę widzieć ani śladu w waszych notatkach, ani nigdzie indziej - podkreśla. - Zajmujemy się tylko tropieniem marihuany. W związku z tym, Ernie, zajmij się swoimi meksykańskimi źródłami, sprawdź, czy nazwisko Barrera wzbudza jakiś alarm. Shag, pracuj nad samolotem.

- A co z obserwacją Barrery? - pyta Ernie.

Art potrząsa głową.

- Nie chcę go przedwcześnie spłoszyć. Musimy go osaczyć. Praca na ulicy, praca nad samolotem, zaprowadzi do jego osoby. Jeśli to właściwa osoba.

Kurwa, myśli Art. Ty wiesz, że tak.

N-3423VX to numer seryjny samolotu.

Shag przedziera się przez gąszcz dokumentów firm transportowych, kompanii naftowych i DBA. Trop wiedzie do lotniczej firmy przewozowej Servicios Turísticos -

SETCO - prowadzącej działalność z lotniska Aguacate w Tegucigalpa w Hondurasie.

Ktoś wywożący narkotyki z Hondurasu budzi takie samo zdumienie jak sprzedawca hot-dogów na jankeskim stadionie. Honduras, niegdyś „republika bananowa”, ma starą i wybitną tradycję w handlu narkotykami, sięgającą korzeniami początku dwudziestego wieku, kiedy to kraj został całkowicie opanowany przez kompanie Standard Fruit i United Fruit. Przedsiębiorstwa miały swe siedziby w Nowym Orleanie, a tamtejszy port znajdował się w rękach nowoorleańskiej mafii, która opanowała związek pracowników portowych, więc jeśli firmy handlujące owocami chciały rozładowywać tu honduraskie banany, musiały pod owocami przywozić coś jeszcze.

Ponieważ większość narkotyków wjeżdżała do kraju tymi bananowymi statkami, mafia zaczęła nazywać heroinę *banana*. Honduraska rejestracja nie jest czymś zaskakującym, myśli Art, i jednocześnie odpowiada na pytanie, gdzie DC-4 tankuje.

Właściciele SETCO również nikogo nie zaskakują.

Dwaj wspólnicy - David Núñez i Ramón Mette Ballasteros.

Núñez jest kubańskim emigrantem obecnie mieszkającym w Miami. Nic w tym nadzwyczajnego. Za to nie jest zupełnie zwyczajne, że Núñez brał udział w operacji 40, akcji CIA, podczas której kubańskich expatriantów przygotowywano do przejęcia kontroli politycznej po sukcesie inwazji w Zatoce Świń. Z tym, że, nie da się ukryć, inwazja zakończyła się fiaskiem. Niektórzy uczestnicy operacji 40 zginęli na plaży, inni przed plutonami egzekucyjnymi. Kilku szczęściarzom udało się wrócić do Miami.

Núñez był jednym z nich.

Art w zasadzie nie musiał nawet czytać akt Ramóna Mette Ballasterosa. Wiedział już, co tam jest. Mette był chemikiem *gomeros* w najlepszych heroinowych czasach. Tuż przed akcją Kondor wyjechał do rodzimego Hondurasu i tam wszedł do kokainowego interesu. Podobno Mette osobiście sfinansował spisek, który niedawno obalił honduraskiego prezydenta.

W porządku, myśli Art, widać tutaj dwa wątki. Główny handlarz kokainą posiada linię lotniczą, którą wykorzystuje do przewożenia koki do Miami. Ale przynajmniej jeden z samolotów SETCO kursuje do Guadalajary i to nie zgadza się z oficjalnymi twierdzeniami.

W normalnej sytuacji następnym krokiem byłby telefon do biura DEA w Tegucigalpie w Hondurasie, ale to niemożliwe, ponieważ zostało ono w zeszłym roku zamknięte w związku z „brakiem zainteresowania”. Honduras i Salvador zostały teraz podczipione pod Gwatemalę, więc Art łapie Warrena Farrara, rezydenta w Gwatemali.

- SETCO - mówi mu Art.

- Co: SETCO? - pyta Farrar.

- Ty mi powiedz.

Zapada cisza, Arta korci, żeby ją określić jako „brzemienną”, potem Farrar mówi:

- Nie mogę z tobą gadać na ten temat, ani współpracować, Art.

Doprawdy, myśli Art. Dlaczego nie, do cholery? Mamy tylko osiem tysięcy konferencji rocznie po to, żebyśmy mogli razem gadać i współpracować, przede wszystkim w sprawach takich jak ta.

Zaczyna więc z innej beczki.

- Warren, dlaczego biuro w Hondurasie zostało zamknięte?

- Po co się w to wpierdalasz, Art?

- Właśnie nie wiem. Dlatego pytam.

Bo zastanawiam się, czy skoro Mette sfinansował zamach stanu, to czy nowy rząd nie wyrzucił przypadkiem DEA.

Farrar nie odpowiada i rozłącza się.

Wielkie dzięki, Warren. Co cię tak zdenerwowało?

Następnie Art dzwoni do biura wspierania walki z narkotykami Departamentu Stanu, nazwa ta jest tak nasączona ironią, że łezka mu się kręci w oku, ponieważ w grzeczny, biurokratyczny sposób każą mu się odpiardolić.

Następnie Art dzwoni do biura łącznikowego w CIA, przedstawia swoją prośbę i jeszcze tego samego popołudnia odbiera telefon. Nie spodziewał się, że oddzwoni do niego John Hobbs.

Sam John Hobbs.

Niegdyś Hobbs był szefem operacji Feniks. Art spotykał się z nim kilka razy. Hobbs proponował mu nawet pracę rok po powrocie do kraju, ale wówczas Arta już skusiło DEA.

Teraz Hobbs jest szefem rezydentury CIA na Amerykę Środkową.

To ma sens, myśli Art. Zimny gracz idzie tam, gdzie trwa zimna wojna.

Przez kilka chwil toczą grzecznościową rozmowę (jak ma się Althea i dzieciaki? Jak podoba ci się Guadalajara?), potem Hobbs pyta:

- W jaki sposób możemy ci pomóc, Arthurze?

- Chciałem prosić was o jakieś wiadomości na temat transportowej firmy lotniczej SETCO - oznajmia Art. - Jej właścicielem jest Ramón Mette.

- Tak, moi pracownicy przekazali mi twoją prośbę - mówi Hobbs. - Odpowiedź jest niestety negatywna.

- Negatywna.

- Tak - potwierdza Hobbs. - Czyli nie.

Tak, nie mamy bananów, myśli Art. Dziś nie mamy bananów.

- Nie mamy nic na temat SETCO - ciągnie Hobbs.

- Cóż, w takim razie dziękuję za telefon.

- Co ty tam wykombinowałeś, Arthurze? - pyta Hobbs.

- Mam pewne niewyraźne sygnały - kłamie Art - że SETCO może mieć związek z przewozem marihuany.

- Marihuany?

- Owszem - mówi Art. - To jedyne, co zostało dziś Meksykowi.

- W takim razie życzę powodzenia, Arthurze. Przykro mi, że nie możemy ci pomóc.

- Doceniam wasze wysiłki - kończy Art.

Rozłącza się, zastanawiając, dlaczego szef operacji w Ameryce Łacińskiej poświęca tyle swojego cennego czasu, kiedy zajęty jest sprawą sandinistów, żeby zadzwonić do niego i skłamać.

Nikt nie chce rozmawiać o SETCO, myśli Art, żaden z moich kumpli z DEA, nikt z Departamentu Stanu, nawet nikt z CIA.

Cały międzyagencyjny alfabet układa się w napis: SOS.

Troszcz się Sam O Siebie.

*

Ernie zgłasza ten sam problem.

Rzuca nazwisko Barrera zwykłym informatorom, a oni się zamykają. Nawet najbardziej gadatliwi donosiciele dostają szczękoscisku. Barrera jest najważniejszym człowiekiem interesu w mieście, tyle, że nikt o nim nie słyszał.

Rzuć to, mówi sobie Art. To twoja szansa.

Nie mogę.

Dlaczego?

Po prostu nie mogę.

Przynajmniej bądź szczery.

Dobra. Może nie chcę dać mu wygrać. Może powinienem dać mu popalić? Tak, na razie to on daje popalić tobie. I nawet się nie ujawnia. Nie możesz mu rzucić rękawicy.

To prawda - nie mogą przebić się w pobliże Tío.

A potem dzieją się paskudne rzeczy.

Tío przychodzi do nich.

*

Pułkownik Vega, wysoki rangą *federale* w Jalisco, człowiek, z którym teoretycznie Art powinien współpracować, wchodzi do gabinetu Arta, siada i mówi ze smutkiem:

- Będę z panem szczery, señor Keller. Kazano mi tu przyjść i poprosić pana grzecznie, acz stanowczo, żeby przestał pan nękać don Miguela Ángela Barrerę.

Przez kilka chwil patrzą sobie w oczy, potem Art przerywa milczenie:

- Z przyjemnością chciałbym panu pomóc, pułkowniku, ale w tym gabinecie nie prowadzi się żadnego śledztwa w sprawie señora Barrery. Chyba, że o czymś nie wiem.

Krzyczy w stronę biura:

- Shag, zajmujesz się sprawą señora Barrery?

- Nie, proszę pana.

- Ernie?

- Nie.

Art rozkłada ręce.

- Señor Keller - mówi Vega, patrząc przez otwarte drzwi na Erniego - pański pracownik używał nazwiska don Miguela w bardzo nieodpowiedzialny sposób. Señor Barrera jest szanowanym przedsiębiorcą i ma wielu przyjaciół w rządzie.

- I, najwyraźniej, również w policji federalnej.

- Jest pan Meksykaninem, prawda? - pyta Vega.

- Jestem Amerykaninem. - Do czego zmierzasz, facet?

- Ale mówi pan po hiszpańsku?

Art kiwa głową.

- Zna pan więc takie słowo *intocable* - mówi Vega i wstaje do wyjścia. - Señor Keller, don Miguel jest *intocable*.

Nietykalny.

Mówiąc to, Vega wychodzi.

Ernie i Shag przychodzą do gabinetu Arta. Shag zaczyna coś mówić, ale Art ucisza go gestem i gestem prosi, żeby wyszli na zewnątrz. Idą za nim prawie do następnej przecznicy i dopiero tam Art mówi:

- Skąd Vega wie, że zajmujemy się Barrerą?

Wracają z powrotem do biura i już po kilku minutach znajdują mały mikrofon zamontowany pod biurkiem Arta. Ernie chce go wyrwać, ale Art łapie go za nadgarstek.

- Mam ochotę na piwo - mówi Art. - A wy, chłopaki?

Idą do baru w centrum.

- Ślicznie - mówi Ernie. - W Stanach gliny zakładają podsłuch złym ludziom. Tutaj zli

ludzie podsłuchują gliny.

Shag potrząsa głową.

- A więc wiedzą tyle, co my.

Wiedzą, myśli Art, że podejrzewamy, iż Tío jest M-I. Wiedzą, że wysledziliśmy samolot Núñeza i Mette. I wiedzą, że ciągle nic nie mamy. Co więc ich tak zdenerwowało? Dlaczego wysłali Vegę, żeby zamknął śledztwo, które prowadzi donikąd?

I dlaczego właśnie teraz?

- No, dobra - mówi Art. - Będziemy robić dla nich audycje. Niech myślą, że odpuściliśmy. Wy, chłopaki, wycofacie się z tego na jakiś czas.

- A ty, szefie, co planujesz?

Ja? Ja planuję dotknąć nietykalnego.

Po powrocie do biura z żalem informuje Erniego i Shaga, że przerywają śledztwo w sprawie Barrery. Potem dzwoni do Althei.

- Nie wrócę dziś do domu na kolację.

- Przykro mi.

- Mnie również - mówi. - Ucałuj ode mnie dzieciaki na dobranoc.

- Dobrze. Kocham cię.

- Ja też cię kocham.

Każdy człowiek ma jakiś słaby punkt, myśli Art, sekret, który się za nim wlecze. Muszę to wiedzieć. Znam swój, ale jaki jest twój, Tío?

*

Art nie wraca do domu tego wieczora i przez pięć kolejnych.

Jestem jak alkoholik, myśli Art. Jakby słyszał byłych pijaków, którzy mówią, że pojechaliby do sklepu z alkoholem, cały czas przysięgając, że nie pojedą, potem jadą tam przysięgając, że nic nie kupią, potem kupują przysięgając, że nie wypiją trunku, który właśnie kupili.

A potem piją.

Jestem taki, jak oni, myśli Art, ciągnie mnie do Tío jak pijaka do butelki.

Wieczorem zamiast udać się do domu siedzi w samochodzie zaparkowanym o półtorej przecznicy od salonu samochodowego Tío i obserwuje biuro we wstecznym lusterku. Tío musi sprzedawać mnóstwo samochodów, gdyż siedzi tu do dwudziestej, czy dwudziestej trzydzieści, potem wsiada do samochodu i jedzie do domu. Art czatuje do północy u wylotu drogi, jedyne go wjazdu i wyjazdu z osiedla, ale Tío nigdzie nie wyjeżdża.

Wreszcie szóstego wieczora Art ma szczęście.

Tío wychodzi z biura o wpół do siódmej i jedzie nie na przedmieścia, ale do centrum. Art trzyma się w pewnej odległości, ale udaje mu się nie zgubić mercedesa, który przejeżdża przez Centro Histórico i zatrzymuje się przy restauracji *tapas*.

Na zewnątrz restaurację obstawia trzech *federales*, dwóch policjantów stanowych Jalisco i paru facetów, którzy wyglądają jak agenci DFS. Na drzwiach wisi tabliczka *Cerrado* - zamknięte. Jeden z *federales* otwiera przed Tío drzwi. Tío wysiada z samochodu, a *federale* odprowadza mercedesa jak jakiś chłopak parkingowy. Policjant otwiera drzwi restauracji i Tío wchodzi do środka. Drugi policjant macha na Artę, żeby szybciej przejeżdżał.

Art opuszcza szybę.

- Chciałbym coś przekąsić.

- To prywatne przyjęcie.

Jasne, jakżeby inaczej, myśli Art.

Parkuje dwie przecznice dalej, bierze swojego nikon z obiektywem 70-300 i chowa go pod płaszczem. Przechodzi przez ulicę i idzie pół przecznicy, potem skręca w lewo na tyły budynku, który znajduje się naprzeciwko restauracji. Sięga po drabinę przeciwpożarową i opuszcza ją. Wspina się po metalowych szczeblach osadzonych w murze i wreszcie wchodzi na dach dwupiętrowego budynku.

Rezydent DEA nie powinien wykonywać tego typu zadań - powinien siedzieć w biurze i współpracować ze swoimi meksykańskimi odpowiednikami. Ale biorąc pod uwagę, że moi meksykańscy odpowiednicy pilnują na ulicy mojego obiektu, myśli Art, współpraca nie przebiegałaby owocnie.

Schyla się i idzie po dachu, potem kładzie się przy niskim parapecie okalającym budynek. Obserwacja wywiadowcza źle wpływa na rachunki z pralni, myśli, wyciągając się na brudnym dachu. Opiera obiektyw na parapecie i ustawia go na restaurację. I tego również nie da się wpisać na rachunek firmy.

Nastawia się na czekanie, ale nie musi czekać długo. Pod restaurację Talavery podjeżdża kawalkada samochodów. Tryb jest ten sam - policja z Jalisco robi za parkingowych, a grube ryby meksykańskiego handlu narkotykami wchodzi do restauracji.

Wygląda to jak hollywoodzka ceremonia wręczenia nagród dla narkotykowych gwiazd.

Ze swojego mercedesa wysiada García Abrego, szef kartelu nad Zatoką. Starszy mężczyzna wygląda dystyngowanie ze swoją srebrzystą czupryną, przyciętym wąsem i w szarym garniturze. Güero Méndez, kartel Baja, wygląda jak narkokowboj. Jego jasne włosy - od których wziął się przydomek Güero, „Blondyn” - wystają spod białego kowbojskiego kapelusza. Ma na sobie czarną jedwabną koszulę wypuszczoną na czarne jedwabne spodnie, a

do tego nabijane srebrnymi ćwiekami czarne kowbojki ze spiczastymi czubkami. Chalino Guzmán w swojej źle dopasowanej starej marynarce, źle leżących spodniach i zielonych butach wygląda jak wieśniak, którym zresztą jest.

Jezu, myśli Art, to pieprzone spotkanie w Apalachin⁹, z tym, że żaden z tych facetów nie wygląda na zatroskanego zawirowaniami politycznymi. To tak, jakby ojcowie chrzestni rodzin Cimino, Genovese i Colombo zorganizowali spotkanie pilnowane przez FBI. Tyle że gdyby to była mafia sycylijska, nigdy nie udałoby mi się podejść tak blisko. Ale ci goście są bardzo pewni siebie. Myślą, że nic im nie grozi.

I prawdopodobnie się nie mylą.

Arta dziwi i zastanawia wybór tej konkretnej restauracji. Tío jest właścicielem pół tuzina knajp w Guadalajarze, ale Talavera do nich nie należy. Dlaczego nie zorganizowali tego zjazdu w jednym z jego lokali?

Ale moim zdaniem to rozwiewa wszelkie wątpliwości, że Tío jest M-1.

Ruch przed wejściem ustaje i Art przygotowuje się na dłuższe czekanie. Nie istnieje coś takiego jak szybka kolacja u Meksykanów, a ci chłopcy prawdopodobnie mają ją w programie. Jezu, co ja bym dał, żeby mieć tam zainstalowany mikrofon.

Wyciąga batonik Kitkat z kieszeni spodni, rozwija, przełamuje i jedną część chowa na później, bo nie wie, kiedy trafi się następna okazja, żeby coś zjeść. Potem przewraca się na plecy, krzyżuje ramiona na piersi, żeby mu było cieplej i drzemie, łapiąc kilka godzin niespokojnego snu, zanim budzą go głosy i trzask drzwi samochodowych.

Zaczyna się przedstawienie.

Przetacza się z powrotem na brzuch i widzi ich wszystkich na chodniku. Jeśli Federacja naprawdę nie istnieje, myśli, robią jej cholernie dobrą imitację. Są bezczelni do granic, stoją na chodniku, śmieją się, ściskają sobie ręce i odpalają od siebie nawzajem kubańskie cygara, czekając aż *federales* przyprowadzą ich samochody.

Kurwa, myśli Art, prawie czuć zapach dymu i testosteronu władzy.

Atmosfera zmienia się nagle, kiedy nadchodzi dziewczyna.

Jest oszałamiająco piękna, myśli Art. Młoda Liz Taylor, ale z oliwkową cerą i czarnymi oczami. I długimi rzęsami, którymi trzepocze do wszystkich mężczyzn, podczas gdy starszy mężczyzna, który prawdopodobnie jest jej ojcem, czeka w drzwiach, uśmiechając się nerwowo i machając *gomerros* na pożegnanie.

Ale oni nie odjeżdżają.

Güero Méndez jest pod największym wrażeniem. Nawet zdejmuje przed dziewczyną

⁹ Spotkania w Apalachin - legendarne spotkania mafii w latach pięćdziesiątych.

swój kowbojski kapelusz, zauważa Art. Może to nienajlepszy pomysł, Güero, trzeba było najpierw umyć włosy. Ale Güero kłania się - i jest to prawdziwy ukłon - zamiatając kapeluszem chodnik i uśmiecha się do dziewczyny.

Jego srebrne zęby błyszczą w blasku latarni.

Tak, Güero, to na pewno ją skusi, myśli Art.

Tío ratuje dziewczynę. Podchodzi, w ojcowski sposób obejmuje Güero i łagodnie popycha go do samochodu, który właśnie podjeżdża. Ściskają się na pożegnanie, a Güero zerka na dziewczynę znad ramienia Tío, zanim wsiada do samochodu.

To musi być prawdziwa miłość, myśli Art. Albo przynajmniej prawdziwa żądza.

Następnie odjeżdża Abrego, który nie obejmuje Tío, tylko ściska jego rękę. Tío wraca do dziewczyny, schyla się i całuje ją w rękę.

Latynoska galanteria? - zastanawia się Art.

Albo...

Nie...

*

Następnego dnia Art je lunch u Talavery.

Dziewczyna ma na imię Pilar i z całą pewnością jest córką Talavery.

Siedzi w kantorku na zapleczu i udaje, że studiuje podręcznik, co chwilę zerkając spod tych długich rzęs, żeby sprawdzić, czy ktoś jej nie obserwuje.

Wszyscy faceci w tym lokalu, myśli Art.

Nie wygląda na piętnaście lat, poza resztkami dziecięcej pulchności na twarzy i zupełnie dorosłym wydęciem przedwcześnie pełnych ust. I chociaż Art poczuł się w tym momencie jak pedofil, musiał przyznać, że ma figurę zdecydowanie nie jak nastolatka. Art poznał jej wiek wyłącznie z jej kłótni z matką, która siedziała w kantorku i kilka razy głośno przypominała jej, że ma dopiero piętnaście lat.

A tatuś niespokojnie zerkał za każdym razem, kiedy otwierały się drzwi. Dlaczego, do cholery, jest tak bardzo zdenerwowany? - zastanawia się Art.

Dowiaduje się tego po chwili.

W drzwiach staje Tío Barrera.

Art siedzi plecami do drzwi i Tío przechodzi tuż za nim. Nie zauważa nawet swojego zaginionego dawno temu siostrzeńca, myśli Art, tak bardzo skupiony jest na dziewczynie. I te kwiaty w jego ręku - jak rany, w swoich długich palcach naprawdę ściska kwiaty - i, wielkie nieba, pudełko czekoladek pod drugim ramieniem.

Tío przyjechał w zaloty.

Teraz Art rozumie, czego tak bardzo bał się Talavera. Wiedział, że Miguel Ángel Barrera hołduje wiejskim tradycjom Sinaloi, według których dziewczęta w tym wieku, czy nawet młodsze, są rozdzewiczone przez dominujących *gomeros*.

I właśnie to ich martwi. Że ten wpływowy człowiek, ten żonaty mężczyzna, zamierza zrobić z ich bezcennej, pięknej, dziewiczej córeczki swoją *segundera*, kochankę. Wykorzystać ją i porzucić, zepsuć jej reputację, zniszczyć szansę na dobre małżeństwo.

I nie mają na to najmniejszego wpływu.

Tío nie zgwałci dziewczyny, Art o tym wie. Nie weźmie jej siłą. To mogłoby się zdarzyć na wzgórzach Sinaloi, ale nie tutaj. A jeśli ona go zaakceptuje, jeśli pójdzie z nim z własnej woli, rodzice będą bezradni. A co piętnastolatka może sobie pomyśleć, kiedy zainteresuje się nią bogaty i wpływowy mężczyzna? Dziewczyna nie jest głupia, wie, że teraz to są kwiaty i czekoladki, ale potem może to być biżuteria, ubrania, wycieczki i wakacje. Stoi przed zakrętem, ale z miejsca, w którym się znajduje, nie widzi, co znajduje się dalej - nie widzi, że pewnego dnia w miejsce biżuterii i ciuchów znowu pojawią się kwiaty i czekoladki, a potem nie będzie już nic więcej.

Tío stoi plecami do Arta, który zostawia kilka peso na stoliku, wstaje najciszej jak potrafi, podchodzi do kontuaru i płaci rachunek.

Tobie, Tío, może wydaje się, że patrzysz właśnie na młodą, miłą panienkę.

Dla mnie ona jest koniem trojańskim.

*

O dziewiątej tego wieczora Art wskakuje w parę dżinsów i sweter. Idzie do łazienki, gdzie Althea bierze prysznic.

- Kotku, muszę wyjść.

- Teraz?

- Tak.

Jest zbyt mądra, żeby pytać dokąd się wybiera. Jest żoną gliniarza, poza tym przez ostatnie osiem lat była z nim w DEA, zna tryb postępowania. Jednak ta wiedza nie sprawia, że nie będzie się martwić. Odsuwa drzwi do kabiny i całuje go na pożegnanie.

- Rozumiem, że mam nie czekać?

- Dobrze rozumiesz.

Co ty robisz?, pyta sam siebie, jadąc w stronę domu Talaverów na przedmieściach.

Nic, zamierzam się napić.

Znajduje adres i parkuje pół przecznicy dalej, po drugiej stronie ulicy. To spokojna dzielnica wyższej średniej klasy, na tyle spokojna, że uliczne latarnie zapewniają

bezpieczeństwo.

Siedzi w ciemnym miejscu i czeka.

Tego wieczoru i przez trzy kolejne.

Jest tam każdego wieczora, kiedy rodzina Talaverów wraca do domu z restauracji. W pokoju na piętrze zapala się światło, potem gaśnie, kiedy Pilar kładzie się spać. Art czeka jeszcze pół godziny, potem jedzie do domu.

Może się pomyliłeś, myśli.

Nie, nie pomyliłeś się. Tío dostaje, czego chce.

Art ma właśnie odjechać do domu czwartego wieczora, kiedy pojawia się mercedes, wyłącza światła i zatrzymuje się nieopodal domu Talaverów.

Jak zawsze szarmancki, myśli Art, Tío wysłała samochód z kierowcą. Nie zamawia taksówki dla małej dupy. To żalotne, myśli, patrząc, jak Pilar wymyka się przez frontowe drzwi i pędzi do samochodu.

Art odczekuje chwilę i dopiero rusza za nimi.

Samochód parkuje przed małym apartamentowcem na wzgórzu na zachodnim przedmieściu. Jest to miła, spokojna dzielnica, niedawno wybudowana, dla indywidualistów wijących gniazdko wśród drzew różanych. Art nie zna tego adresu, nie występuje w spisie nieruchomości należących do Tío. Jakie to słodkie, myśli Art, nowe gniazdko dla nowej ukochanej.

Tío już czeka. Kierowca wysiada i otwiera drzwi przed Pilar. Tío wita ją przy drzwiach i wprowadza do środka. Padają sobie w objęcia, jeszcze zanim zamykają się drzwi.

Jezu, myśli Art, gdybym ja pieprzył piętnastolatkę, przynajmniej zasłoniłbym okno.

Czujesz się bezpiecznie, prawda, Tío?

A najbardziej niebezpiecznym miejscem na ziemi...

Jest to, w którym czujesz się zupełnie bezpieczny.

*

Art wraca do gniazdka miłości (jak je nazywa) późnym rankiem, kiedy Tío ma być w biurze, a Pilar w - powiedzmy - szkole. Ma na sobie roboczy kombinezon i trzyma sekator. Przycina kilka rozwichrzonych gałęzi drzew różanych i przeprowadza rekonesans. Sprawdza kolor tynku, położenie kabli telefonicznych, okien, basenu, spa, wszystkich przybudówek.

Tydzień później, po wizycie w sklepie żelaznym i modelarskim oraz telefonie do sklepu wysyłkowego ze sprzętem technicznym w San Diego, wraca w tym samym stroju i ucina jeszcze kilka gałęzi, potem skrada się pod krzakami, które zostały zasadzone pod oknem sypialni. Podoba mu się to miejsce nie z powodów lubieżnych - o tym aspekcie wolałbym nie

pamiętać - ale dlatego, że tędy prowadzą kable telefoniczne do sypialni. Wyciąga z kieszeni mały śrubokręt i delikatnie jak chirurg robi małeńki otwór w metalowym parapecie. W otworze umieszcza miniaturowy mikrofon FX-101, wyjmując z kieszeni tubkę szczeliwa i zakleja otwór, następnie bierze buteleczkę zielonej farby, prawie identycznej z oryginalnym odcieniem, i pędzelkiem do malowania modeli samolotów nanosi farbę na szczeliwo. Dmucha delikatnie, żeby farba szybciej wyschła, a następnie ocenia swoje dzieło.

Pluskwa, nielegalna i zainstalowana bez pozwolenia, jest również niewykrywalna.

FX-101 wychwytuje dźwięk z odległości prawie dziesięciu metrów i przekazuje go na pięćdziesiąt, co daje Artowi niezłe możliwości. Wychodzi z rezydencji i podchodzi do otworu ściekowego. Wyjmuje element zawierający odbiornik i reagujący na głos magnetofon i instaluje je nad kanałem ściekowym. Teraz łatwo będzie mógł wymienić kasetę.

Wie, że gra w ciemno, ale potrzeba mu tylko trochę szczęścia. Tío będzie używał tego gniazdka przede wszystkim do schadzek z Pilar, ale ma tu telefon. Może zorganizuje tu jakieś spotkania. Nawet najbardziej ostrożny przestępca nie może całkiem oddzielić interesów od życia osobistego.

Oczywiście, przyznaje, ty też nie.

*

Kłamie Erniemu i Shagowi.

Zaczęli uprawiać razem jogging. Rzekomo chodzi o to, żeby pracownicy Arta dbali o formę, ale tak naprawdę to pretekst do rozmów, których nie mogą teraz odbywać w biurze. Trudno podsłuchać ruchomy obiekt, szczególnie na otwartych *plazas* w centrum Guadalajary, więc codziennie przed lunchem przebierają się w dresy i trampki i udają na przebieżkę.

- Mam ZI - mówi im. Zaufanego Informatora.

Źle się czuje z tymi kłamstwami, ale chodzi mu o ich bezpieczeństwo. Jeśli wszystko pójdzie nie tak, a prawie na pewno tak będzie, chce wziąć wszystko na siebie. Jeśli kumple dowiedzieliby się, że zainstalował nielegalną pluskwę, powinni powiadomić o tym szefostwo. W przeciwnym razie zostaliby posądzeni o posiadanie wiedzy o przestępstwie, a to zrujnowałoby ich kariery. Wie, że nigdy by go nie sypnęli, więc wymyślił zaufanego informatora.

Wymyślony przyjaciel, myśli Art. Przynajmniej zachowuję pewną konsekwencję - nieistniejący informator o nieistniejącej kokainie, i tak dalej...

- To super, szefie - mówi Ernie. - Kto...

- Przykro mi - przerywa mu Art. - To dopiero początek. Jesteśmy umówieni.

Łapią, o co chodzi. Kontakty z wtyczką są jak związki z dziewczynami. Flirtujesz,

uwodzisz, kusisz. Kupujesz prezenty, mówisz jak bardzo ich potrzebujesz, że nie możesz bez nich żyć. A kiedy wreszcie pójda z tobą do łóżka, nikomu nie mówisz, nawet - szczególnie - chłopakom w szatni.

Przynajmniej dopóki interes nie zostanie ubity, a w chwili, kiedy fakt ten stawał się wiedzą powszechną, wszystko jest już skończone.

Zatem tak teraz wygląda dzień Arta: odsiaduje godziny pracy w biurze, idzie do domu, wychodzi późnym wieczorem, żeby zmienić kasetę, potem wraca do domu i przesłuchuje ją.

Tak mijają dwa bezowocne tygodnie.

Taśmy zawierają głównie miłosne i seksualne pogaduszki, kiedy Tío uwodzi swoją młodą kochankę i stopniowo wprowadza ją w kolejne tajniki uprawiania miłości. Art większość z nich przewija, ale wychwytuje główny wątek.

Pilar Talavera szybko się uczy, a Tío zaczyna wprowadzać pewne interesujące nutki do muzyki miłości. Interesujące, jeśli kogoś bawią takie rzeczy. Art zdecydowanie do takich nie należy. Wręcz przeciwnie, rzygać mu się chce.

- Byłaś niegrzeczną dziewczynką.

- Naprawdę?

- Tak, i musisz zostać ukarana.

Na tym głównie polega obserwacja: nasłuchasz się gówna, jakiego nigdy nie chciałeś słyszeć.

Potem, raczej rzadko, w kupie gnoju natykasz się na różę.

Którejś nocy Art przynosi kasetę do domu i sącząc whisky przebija się przez dzisiejszą porcję nudów. W pewnym momencie słyszy, jak Tío potwierdza dostawę „trzystu sukien ślubnych” na adres w Chula Vista, miejscowości położonej między San Diego i Tijuaną.

*

Teraz, jak już to masz, myśli Art, co zamierzasz z tym zrobić?

Procedury operacyjne wymagają, żeby taką wiadomość przekazać meksykańskim kolegom i jednocześnie do biura DEA w stolicy Meksyku, skąd zostanie przekazana do biura w San Diego. Ale jeśli zwrócę się do swojego meksykańskiego odpowiednika, wiadomość dotrze prosto do Tío, a gdybym zgłosił się do Tima Taylora, powtórzy mi oficjalną gadkę, że przez Meksyk nie przejeżdżają żadne „suknie ślubne”. I będzie chciał wiedzieć, skąd mam takie informacje.

A ja nie będę mógł mu tego powiedzieć.

Omawiają to na porannym joggingu.

- Jesteśmy udupieni - mówi Ernie.

- Nie, wcale nie - odpowiada Art.

Czas wykonać następny krok w stronę przepaści.

Po lunchu wychodzi z biura i idzie do budki telefonicznej. W Stanach, myśli, to przestępcy muszą się wymykać i korzystać z budek telefonicznych. Tutaj gliny.

Dzwoni do znajomego z wydziału narkotykowego policji z San Diego. Russa Dantzlera poznał kilka miesięcy temu na międzyagencyjnej konferencji. Wydał mu się przyzwoitym facetem, typem gracza.

Tak, a teraz zdecydowanie potrzebuję gracza.

I to z jajami.

- Russ? Mówi Art Keller, z DEA. Wypiliśmy parę piwek, chyba w lipcu?

Dantzler przypomina go sobie.

- Co tam, Art?

Art opowiada.

- Może to jakaś ściema - kończy - ale nie sądzę. Pomyślałem, że może będziesz chciał coś z tym zrobić.

Do cholery, tak, chce coś z tym zrobić. A prokurator generalny, Departament Stanu i cały rząd federalny nie może zrobić nic. Federalni zwalają wszystko na policję z San Diego, a gliniarze mówią im, żeby się sami pieprzyli z takim gównem.

Z właściwym szacunkiem dla policyjnej etykiety Dantzler pyta:

- Czego oczekujesz z mojej strony?

- Nie chcę mieć z tym nic wspólnego, a chcę w tym siedzieć - odpowiada Art. - Zapomnij, że dałem ci cynk, ale podziel się ze mną wszystkimi informacjami.

- Stoi - mówi Dantzler. - Ale muszę mieć jakieś podstawy. Tylko na wszelki wypadek, gdybyś zapomniał jak to wszystko działa w demokracji, która skrupulatnie chroni prawa obywateli.

- Mam wtyczkę - kłamie.

- Ok.

Nie muszą już nic więcej mówić. Dantzler przekaże informację jednemu ze swoich ludzi, ten porozumie się z własną wtyczką, a ta z kolei powiadomi Dantzlera, który skontaktuje się z sędzią i nada bieg sprawie.

Następnego dnia o umówionej godzinie Dantzler oddzwania do Arta do budki i krzyczy:

- Trzysta funtów kokainy! To jest sześć milionów dolarów po cenach detalicznych! Art, dopilnuję, żeby tobie przypisano całą zasługę!

- Mowy nie ma - mówi Art. - Po prostu pamiętaj, że jesteś mi coś winien.

Dwa tygodnie później policja z El Paso, również dzięki Artowi, przejmuje ciężarówkę pełną kokainy. Miesiąc później Art daje Russowi Dantzlerowi następny cynk, o pewnym domu w Lemon Grove.

Kolejny nalot przynosi marny zysk w postaci pięćdziesięciu funtów kokainy.

Plus cztery miliony dolarów w gotówce, trzy maszyny do liczenia pieniędzy oraz stos interesujących dokumentów, w którym znalazły się bankowe dowody wpłaty. Dowody wpłaty są na tyle interesujące, że Dantzler zabiera je do sądu federalnego, a sędzia zamraża dodatkowe piętnaście milionów dolarów w aktywach złożonych pod kilkoma różnymi nazwiskami w pięciu bankach San Diego. Chociaż żadne z tych kont nie należy do Miguela Ángela Barrery, każdy cent stanowi własność albo jego, albo członków kartelu, którzy płacą mu za przechowywanie swoich środków.

A Art dowiaduje się z rozmów telefonicznych, że żaden z nich nie jest szczególnie zadowolony.

Podobnie jak Tim Taylor.

Szef DEA patrzy na przefaksowany artykuł z „The San Diego Union-Tribune” z krzyżącym nagłówkiem: „Wielki nalot na handlarzy narkotyków w Lemon Grove”, z aluzjami do Federacji, i kolejny faks, z biura prokuratora generalnego: „Co tam się, kurwa, dzieje?”. Łapie za słuchawkę i dzwoni do Arta.

- Co się, kurwa, dzieje?

- O co ci chodzi?

- Do diabła, wiem, co robisz!

- To podziel się ze mną tą informacją.

- Masz wtyczkę! Dajesz cynk innym agencjom i, do cholery, Art, obyś to nie ty załatwił przeciek do prasy!

- Nie, to nie ja - zgodnie z prawdą odpowiada Art. Załatwiam przeciek do innych agencji, a oni sami dbają o przeciek do prasy.

- Kim jest ta wtyczka?

- Nie ma żadnej wtyczki - odpowiada Art. - Nie mam z tym nic wspólnego.

Tak, tylko trzy tygodnie później nadaje policji dwustufuntową partię w Hacienda Heights. Policja stanowa Arizony przejmuje ciężarówkę ze 160 kilogramami I-10. Gliniarze z Anaheim zgarniają melinę z gotówką i towarem wartości dziesięciu milionów.

Wszyscy zaprzeczają, że cokolwiek od niego dostali, ale powtarzają jego mantrę: *La Federación, La Federación, La Federación*, teraz, i na zawsze, i na wieki wieków, amen.

Do ołtarza przybył nawet rezydent z Bogoty.

Pewnego dnia Shag odbiera telefon, przykłada słuchawkę do piersi i mówi:

- To sam Wielki Facet. Prosto z pierwszej linii frontu wojny narkotykowej.

Jeszcze dwa miesiące temu Chris Conti, rezydent w Kolumbii, nie dotknąłby Arta Kellera przysłowiowym kijem. Teraz nawet Conti najwyraźniej stał się wyznawcą jego religii.

- Art - mówi - natknąłem się na coś, co być może cię zainteresuje.

- Wpadniesz do mnie? - pyta Art. - Czy ja mam pojechać do ciebie?

- A może spotkamy się w połowie drogi? Byłeś ostatnio w Kostaryce?

Oznaczało to, że nie chce, aby Tim Taylor i ktokolwiek inny dowiedział się, że kombinuje z Artem Kellerem. Spotykają się w Quepos. Siedzą pod palmami na plaży. Conti przywozi niespodziankę: na stoliku rozkłada szereg dowodów wpłaty. Pasują do czeków bankierskich pokwitowanych przez Bank of America w San Diego, które przejęto podczas ostatniego nalotu. Dokumentacja jest dowodem na powiązania organizacji Barrery z kolumbijską kokainą.

- Skąd to wzięłeś? - pyta Art.

- Z małych banków miejskich z okolic Medellín.

- Wielkie dzięki, Chris.

- Niczego ode mnie nie dostałeś.

- Jasne.

Conti kładzie na stole niewyraźne zdjęcie.

Pas startowy w środku dżungli, paru facetów stojących wokół DC-4 o numerze N-3423VX. Art od razu rozpoznaje Ramóna Mette, ale na widok drugiego z facetów zaczyna dzwonić alarm. W średnim wieku, króciutkie jak u wojskowego włosy i mundur do butów wypolerowanych na wysoki połysk.

Minęło już tyle czasu.

To było tak dawno.

Wietnam. Operacja Feniks.

Już wtedy Sal Scachi lubił błyszczące buty.

- Myślisz to samo, co ja? - pyta Conti.

Hm, jeśli myślisz, że facet wygląda jak z Firmy, nie mylisz się. Ostatnim razem, kiedy słyszałem coś na temat Scachiego, był pułkownikiem w siłach specjalnych, potem zniknął z pola widzenia. Co również należy do trybu postępowania Firmy.

- Wiesz - mówi Conti - doszły do mnie pewne plotki.

- Plotki to moja praca. Dawaj.

- Słyszałem o trzech masztach radiowych w dżungli na północ od Bogoty. Nie mogę przedostać się w pobliże, żeby to sprawdzić.

- Mieszkańcy Medellín są dobrzy w tego rodzaju technologiach - mówi Art. To wyjaśnialoby, w jaki sposób samoloty SETCO nie są wykrywane przez radary. Trzy nadajniki radiowe emitujące sygnały VOR mogą przeprowadzić je w tę i z powrotem.

- Kartel Medellín dysponuje technologią, żeby je zbudować - ciągnie Conti. - Ale w jaki sposób mogą sprawić, żeby zniknęły?

- Co masz na myśli?

- Zdjęcia satelitarne.

- Aha.

- Nie widać ich na nich - mówi Conti. - Żadnych trzech masztów, ani dwóch, ani nawet jednego. Możemy odczytać z tych zdjęć tablice rejestracyjne, Art. A nie pokazują masztów VOR? Skorzystałem z systemu AWACS i też nic. Każdy samolot z Kolumbii do Hondurasu musi przelecieć nad Nikaraguą, krajem sandinistów, a to miejsce nasze Oko z Nieba ma pod szczególną kontrolą.

To prawda, myśli Art. Nikaragua to sól w oku administracji Reagana, komunistyczny reżim w samym sercu doktryny Monroe'a¹⁰. Administracja finansowała siły Contras, które otoczyły Nikaraguę od strony Hondurasu na północy i właśnie tu, w Kostaryce, od południa, ale Kongres uchwalił poprawkę Bolanda zakazującą udzielania pomocy wojskowej Contras.

A teraz były członek sił specjalnych i gorliwy antykomunista. (Oni są ateistami, prawda? Niech ich szlag) pojawia się w towarzystwie Ramóna Mettego Ballasterosa przy samolocie SETCO.

Art wyjeżdża z Kostaryki jeszcze bardziej ogłupiały niż w chwili przybycia.

*

Po powrocie do Guadalajary Art wysyła Shaga na misję do Stanów. We wszystkich brygadach antynarkotykowych i oddziałach DEA na południowym zachodzie siedzą kowboje, a on mówi im po kowbojsku, lekko przeciągając samogłoski: „Ta sprawa w Meksyku dzieje się naprawdę. Wreszcie wybuchnie, a kiedy to się stanie, nie chcielibyście, żeby dopadli was w samych gaciach i kazali się tłumaczyć, dlaczego nie zauważyliście, co się święci. Do cholery, oficjalnie możecie się trzymać oficjalnej linii, ale prywatnie pewnie wolelibyście grać z nami, bo kiedy trąby zagrają, *amigos*, będziemy pamiętać, kto z was był ziarnem, a kto

¹⁰ Doktryna Monroe'a - ogłoszona w 1823 roku przez prezydenta Jamesa Monroe'a doktryna, która głosiła, że kontynent amerykański nie może podlegać dalszej kolonizacji ani ekspansji politycznej ze strony Europy, a w zamian gwarantowała, że Stany Zjednoczone nie będą ingerowały w sprawy państw europejskich i ich kolonii.

plewą”.

Chłopaki w Waszyngtonie nic nie mogą zrobić. Co niby mieliby zrobić - powiedzieć amerykańskim glinom, żeby nie robiły nalotów na ich terenie? Departament Sprawiedliwości chce ukrzyżować Artę. Podejrzewają, że to on wszystko rozpętał, ale nie mogą go tknąć, nawet jeśli Departament Stanu zadzwoni, wrzeszcząc o „nieodwracalnym uszczerbku w relacjach z naszym ważnym sąsiadem”.

Biuro prokuratora generalnego chciałoby wychłostać Artę Kellera na Pennsylvania Avenue, a potem nabić go na pal na Wzgórzu Kapitołińskim, ale niestety nie mogą mu nic udowodnić. I nie mogą usunąć go z Guadalajary, gdyż media uczepliły się La Federación, więc jakby to wyglądało?

Gryzą się zatem w narastającej frustracji, podczas gdy Art Keller buduje imperium oparte na doniesieniach niewidzialnego, nieznanego, nieistniejącego ZI-D0243.

- ZI-D0243 brzmi trochę bezosobowo, prawda? - pyta Shag pewnego dnia. - To znaczy, jak na gościa, któremu tak wiele zawdzięczamy.

- A jak chcesz go nazywać? - pyta Art.

- Głębokie Gardło - sugeruje Ernie.

- To już było - mówi Art. - Ale w pewnym sensie jest to meksykańskie Głębokie Gardło.

- *Chupar* - mówi Ernie. - Nazwijmy go Źródło Chupar. Obciążacz. *Chupar* otwiera Artowi rachunek w każdej agencji ochrony porządku publicznego przy granicy. Zaprzeczają, że cokolwiek od niego dostają, ale wszystko zawdzięczają jemu. Mają wobec niego dług? Nie, oni go kochają. DEA nie może funkcjonować bez lokalnej współpracy, a jeśli chcą tej współpracy, muszą liczyć się z Artem Kellerem.

Art Keller szybko staje się *intocable*.

*

Chociaż w zasadzie wcale nie jest.

Wyczerpuje go prowadzenie akcji przeciwko Tío i jednocześnie udawanie, że tego nie robi. Powroty do domu późno w nocy, utrzymywanie wszystkich działań w tajemnicy, ukrywanie własnej przeszłości, czekanie, aż Tío trafi do niego i wówczas przypomni sobie o ich wspólnej przeszłości.

Tío i jego *sobrino*.

Art nie je, nie śpi.

Rzadko kochają się z Altheą. Żona beszta go, że stał się rozdrażniony, tajemniczy, zamknięty w sobie.

Nietykalny.

Art myśli, siedząc na brzegu wanny o czwartej rano. Właśnie zwymiotował resztki *mole* z kurczaka, które Althea zostawiła mu w lodówce i które zjadł o wpół do czwartej rano. Nie, przeszłość cię nie dogoni, to ty idziesz prosto na nią. Stanowczo, krok za krokiem, marsz w stronę otchłani.

*

Tío nie śpi po nocach, tylko próbuje dojść, kto jest *soplón* - informatorem. *Patrónes* Federacji - Abrego, Méndez, El Verde - ponieśli poważne straty i naciskają, żeby coś z tym zrobił. Ponieważ to oczywiste, że problem jest tu, w Guadalajarze.

Ponieważ uderzono we wszystkie trzy *plazas*. Abrego, Méndez, El Verde upierają się, że *soplón* musi siedzieć w organizacji M-l.

Znajdź go, mówią. Zabij. Zrób coś.

Albo my coś zrobimy.

Pilar Talavera leży obok niego, oddycha równo i spokojnie w głębokim młodzieńczym śnie. Patrzy na jej błyszczące czarne włosy, długie czarne rzęsy, pełną górną wargę wilgotną od potu. Kocha jej świeży, młodzieńczy zapach.

Sięga do nocnego stolika, bierze cygaro i zapala je. Dym nie obudzi dziewczyny. Ani zapach. Zdążył ją do niego przyzwyczaić. Poza tym, myśli, nic jej nie obudzi po sesji, jaką właśnie odbyliśmy. Jakie to dziwne, odkryć w tym wieku, że jest się zakochanym. Jakie dziwne i jakie wspaniałe. Jest moim szczęściem, myśli - *la sonorisa de mi corazón* - uśmiechem mego serca. Za rok będzie moją żoną. Szybki rozwód, jeszcze szybszy ślub.

A Kościół? Kościół się kupi. Pójdę do samego kardynała i zaoferuję mu szpital, szkołę, sierociniec. Weźmiemy ślub w katedrze.

Nie, Kościół to żaden problem.

Problemem jest *soplón*.

Condenado „Chupar”.

Kosztuje mnie miliony.

Co gorsza, naraża moje bezpieczeństwo.

Prawie słyszę teraz Abrego, zazdrosnego *zorro viejo*, starego lisa, jak szepce za moimi plecami: „M-l nie radzi sobie. Wydaje fortunę na ochronę i nie ma jej. W jego organizacji jest *soplón*”.

Abrego pragnie zostać *patrón* organizacji. Ile to jeszcze potrwa, zanim pomyśli, że jest już dość silny, by przystąpić do czynów? Przyjdzie do mnie sam, czy wyśle kogoś innego?

Nie, myśli, będziemy dalej razem współpracować, jeśli wytropię *soplón*.

*

Zaczęło się w Boże Narodzenie.

Dzieciaki męczyły Arta, żeby zabrał je pod wielką choinkę do centrum. Miał nadzieję, że zadowolą się *posados*, nocnym przemarszem dzieci chodzących od domu do domu w całej dzielnicy Tlaquepaque, przebranych za Marię i Józefa szukających schronienia. Ale mała procesja rozochociła tylko dzieci i chciały zobaczyć choinkę i *pastorales*, zabawne, krótkie komedijki o narodzinach Chrystusa wystawiane pod katedrą.

To nie jest dobry czas na komedie. Art właśnie odsłuchiwał rozmowę Tío o tysiącu sześciuset funtach kokainy w ośmiuset pudłach opakowanych w jaskrawy świąteczny papier, ze wstążkami i kokardkami.

Świąteczne prezenty warte trzydzieści milionów dolarów w melinach w Arizonie. Art jeszcze nie zdecydował, komu to nada.

Zdaje sobie jednak sprawę, że zaniedbuje rodzinę, więc w sobotę przed świętami zabiera Altheę, dzieci, gosposię Josefinę i pokojówkę Gudelupę na zakupy w supermarkecie w starej dzielnicy.

Musi przyznać, że spędza cudownie czas. Kupuje prezenty dla każdego i wiele ozdób choinkowych. Jedzą na lunch świeże *carnitas* i zupę z czarnej fasoli, potem słodkie *sopapillas* z miodem na deser.

Potem Cassie zwraca uwagę na fantazyjny powóz konny, lakierowany na czarno, z czerwonymi poduszkami i koniecznie chce się przejechać. „Tato, proszę, proszę” i Art negocjuje cenę z woźnicą w jasnym stroju gauczo, a potem siadają z tyłu i przykrywają nogi kocem. Michael siada na kolanach u Arta i zasypia wśród monotonnego postukiwania końskich kopyt o bruk *plaza*. Cassie nie; wychodzi z siebie z podekscytowania, patrzy na białe konie w czaprakach, z czerwonymi kitami na uprzężach, a potem na jasno oświetloną choinkę wysoką na osiemnaście metrów, a Art, czując głęboki oddech syna na piersi, wie, że nie może być szczęśliwszy.

Kiedy przejażdżka się kończy, jest już ciemno. Delikatnie budzi Michaela i podaje go Josefinie. Potem idą przez Plaza Tapatía do katedry, gdzie ustawiono małą scenę i właśnie zaczyna się przedstawienie.

Wtedy dostrzega Adána.

Jego stary *cuate* ubrany jest w pomięty garnitur. Wygląda na zmęczonego, jakby właśnie wrócił z ciężkiej podróży. Widzi Arta i wchodzi do publicznej toalety na drugim końcu *plaza*.

- Muszę iść do toalety - mówi Art. - Michael, idziesz ze mną?

Nie, chłopcze, powiedz nie.

- Byłem w restauracji.

- Idź na przedstawienie. Zaraz do was dołączę.

Adán opiera się o ścianę, kiedy wchodzi Art. Art chce się upewnić, że nikogo nie ma w kabinach, ale Adán mówi:

- Już sprawdziłem. Nikt tu nie przyjdzie. Dawno się nie widzieliśmy, Arturo.

- Czego chcesz?

- Wiemy, że to ty.

- O czym ty mówisz?

- Daruj sobie te gierki - mówi Adán. - Po prostu powiedz mi, co ty wyprawiasz?

- Taką mam pracę - odpowiada Art. - To nic osobistego.

- To bardzo osobiste - mówi Adán. - Kiedy człowiek odwraca się od przyjaciół to jest, kurwa, bardzo osobiste.

- Nie jesteśmy już przyjaciółmi.

- Mój wuj jest z tego powodu bardzo niezadowolony.

Art wzrusza ramionami.

- Nazywałeś go Tío - ciągnie Adán. - Tak jak ja.

- To było kiedyś - mówi Art. - Teraz wszystko się zmieniło.

- Nic się nie zmieniło. To trwa wiecznie. Przyjąłeś jego opiekę, radę, pomoc. Sprawiał, że jesteś tym, kim jesteś.

- I nawzajem.

Adán potrząsa głową.

- Tak wiele za odrobinę lojalności. I wdzięczności.

Sięga do wewnętrznej kieszeni marynarki i Art robi krok do tyłu, na wypadek, gdyby wyjął broń.

- Spokojnie - mówi Adán. Wyciąga kopertę i kładzie ją na brzegu umywalki. - Tu jest sto tysięcy dolarów w gotówce. Ale jeśli chcesz, możemy ci je zdeponować na Kajmanach albo Kostaryce...

- Nie jestem na sprzedaż.

- Doprawdy? A cóż się zmieniło?

Art doskakuje do niego, przyciska do ściany i zaczyna przeszukiwać.

- Masz mikrofon? Co? Wrabiasz mnie? A gdzie, kurwa, kamery?

Art puszcza go i przeszukuje pomieszczenie. W górnych rogach, w kabinach, pod umywalkami. Nie znajduje nic. Przestaje szukać i wykończony opiera się o ścianę.

- Sto tysięcy teraz za dobrą wolę - mówi Adán. - Drugie sto tysięcy za podanie nazwiska twojego *soplón*. A potem dwadzieścia miesięcznie za bezczynność.

Art potrząsa głową.

- Mówiłem Tío, że nie weźmiesz - stwierdza Adán. - Wolisz inny rodzaj waluty. W porządku, załatwimy ci dość transportów marihuany, aby twoja gwiazda mogła znowu zabłysnąć. To plan A.

- A jaki jest plan B?

Adán podchodzi, obejmuje Arta i mocno ściska. Mówi mu cicho do ucha:

- Arturo, jesteś niewdzięcznym, niereformowalnym, kiepskim naśladowcą *güero*. Ale wciąż jesteś moim przyjacielem i kocham cię. Weź pieniądze albo ich nie bierz, ale się wycofaj. Nie wiesz, w co się wpierdasz.

Adán przybliżył twarz do twarzy Arta. Ich nosy niemal się dotykają. Patrzy mu w oczy i powtarza:

- Nawet nie wiesz, w co się wpierdasz.

Cofa się, bierze kopertę i pyta:

- Nie?

Art potrząsa głową. Adán wzrusza ramionami i chowa kopertę z powrotem do kieszeni.

- Arturo? - mówi. - Nie wysłuchałeś nawet planu B.

Po czym wychodzi.

Art podchodzi do umywalki, odkręca kran i przyska sobie zimną wodą na twarz. Potem wyciera się i idzie do swojej rodziny.

Stoją z brzegu małego tłumku przed sceną, dzieciaki podskakują z radości, obserwując błazeństwa dwóch aktorów przebranych za archanioła Gabriela i Lucyfera, którzy walą się po głowach kijami walcząc o duszę Dzieciątka.

*

Kiedy wieczorem opuszczają parking, spod krawężnika rusza ford bronco i jedzie za nimi. Dzieci nic nie zauważają, oczywiście -- zasnęły - podobnie Althea, Josefina i Guadalupe, ale Art śledzi go wzrokiem we wstecznym lusterku. Art bawi się z nim chwilę na zatłoczonej ulicy, ale samochód uparcie trzyma się z tyłu. Nawet nie próbuje się ukrywać, myśli Art, jakby chciał w ten sposób przesłać wiadomość.

Gdy Art wjeżdża na podjazd, samochód mija ich, zawraca i parkuje po drugiej stronie ulicy, pół przecznicy dalej.

Art wchodzi ze wszystkimi do domu, po czym wraca pod pretekstem, że zostawił coś w samochodzie. Podchodzi do forda i puka w okno. Kiedy szyba się opuszcza, Art pochyla się,

przyciska mężczyznę do siedzenia, sięga do jego lewej kieszeni na piersi i wyciąga portfel.

Rzuca portfel z odznaką policji stanowej Jalisco z powrotem na kolana gliny.

- Tam jest moja rodzina - mówi Art. - Jeśli ich zaniepokoiacie, wystraszyacie, jeśli w ogóle was tu zauważą, wrócę i wsadzę ci w dupę twój własny pistolet, tak głęboko, że ci wyjdzie ryjem. Zrozumiałeś, bracie?

- Ja tylko wykonuję moją pracę, bracie.

- To wykonuj ją lepiej.

Ale wiadomość od Tío trafiła do adresata, myśli Art, idąc z powrotem do domu - przyjaciół nie robi się w konia.

*

Art wstaje po niemal bezsennej nocy, robi sobie kawę i syczy ją, czekając, aż wszyscy się obudzą. Potem robi dzieciom śniadanie, całuje Altheę na pożegnanie i jedzie do biura.

Po drodze zatrzymuje się przy budce telefonicznej, żeby popelnić zawodowe samobójstwo - dzwoni do biura szeryfa hrabstwa Pierce w Arizonie.

- Wesołych świąt - mówi i przekazuje wiadomość o ośmiuset pudłach kokainy.

Potem idzie do biura i czeka aż zadzwoni jego własny telefon.

*

Następnego ranka Althea wraca ze sklepu, a za nią jedzie dziwny samochód. Nie bawi się w żadne subtelności, po prostu trzyma się blisko niej. Althea nie wie, co robić. Boi się podjechać pod dom i wysiąść z samochodu, boi się również jechać gdziekolwiek indziej, kieruje się więc do biura DEA. Jest przerażona - na tylnym siedzeniu wiezie dzieci. Trzy przecznice od biura samochód zajeżdża jej drogę i wysiada z niego czterech facetów z bronią.

Ich szef macha jej przed nosem odznaką policji stanowej Jalisco.

- Señora Keller? Proszę o dowód tożsamości - mówi.

Kobieta drżącą ręką sięga po prawo jazdy. Policjant zagląda przez okno na tylne siedzenie i mówi:

- Fajne dzieciaki.

Althea czuje się głupio, słysząc swoją odpowiedź.

- Dziękuję.

Podaje mu prawo jazdy.

- Paszport?

- Mam w domu.

- Powinna nosić go pani ze sobą.

- Wiem, ale mieszkamy tu już tak długo i...

- Może zbyt długo - mówi policjant. - Niestety, musi się pani udać ze mną.

- Ale przecież jestem z dziećmi.

- Widzę, señora, ale musi pani pójść ze mną.

Althei łzy napływają do oczu.

- A co mam zrobić z dziećmi?

Policjant przeprasza ją na chwilę i podchodzi do swojego auta. Althea siedzi przez minutę i próbuje się opanować. Walczy z pokusą, żeby we wstecznym lusterku sprawdzić, co się dzieje, żeby szybko wyjść z samochodu, zabrać dzieci i ruszyć przed siebie. Wreszcie policjant wraca. Schyla się do okna i z wyszukaną grzecznością mówi:

- W Meksyku bardzo cenimy sobie spokój rodziny. Miłego dnia.

*

Art odbiera telefon.

Dzwoni Tim Taylor. Mówi, że doszły go niepokojące wieści i muszą porozmawiać.

Taylor wciąż jeszcze dziamgocze, kiedy padają pierwsze strzały.

Plan B.

Najpierw słyszą ryk rozpędzonego samochodu, potem kakofonię AK-47, a wtedy wszyscy padają na podłogę za biurkami. Art, Ernie i Shag przeczekują kilka minut po ustaniu strzelaniny i wychodzą na zewnątrz obejrzeć samochód Arta. Ford taurus ma rozbite szyby, cztery flaki i parę tuzinów dużych dziur w karoserii.

- Nie sądzę, żeby to trafiło do Błękitnej Księgi¹¹, szefie - odzywa się Shag.

Po kilku minutach zjawiają się *federales*.

Jakby ich tu nie było wcześniej, myśli Art.

Zabierają go na komisariat, gdzie pułkownik Vega patrzy na niego z głęboką troską.

- Dzięki Bogu, że nie było pana w samochodzie - mówi. - Kto mógłby zrobić coś takiego? Ma pan jakichś wrogów w mieście, panie Keller?

- Doskonale wie pan, kto za tym stoi - rzuca Art. - Pański chłopaczek, Barrera.

Vega patrzy na niego szeroko otwartymi ze zdumienia oczami.

- Miguel Ángel Barrera? Dlaczego miałby to robić? Przecież sam mi pan powiedział, że nie prowadzicie śledztwa w jego sprawie.

Vega przetrzymuje Arta w pokoju przesłuchań przez trzy i pół godziny, szczegółowo wypytyując o wszystkie prowadzone przez niego sprawy, pod pretekstem ustalenia motywów sprawcy ataku.

¹¹ Projekt Błękitnej Księgi (Project Blue Book) - wojskowy projekt armii Stanów Zjednoczonych poświęcony wyłącznie obserwacjom Niezidentyfikowanych Obiektów Latających (UFO). Trwał od 1952 do 1970 roku.

Ernie jest przerażony, że szef tak długo nie wychodzi. Instaluje się w poczekalni i odmawia wyjścia, dopóki Art nie pojawia się w drzwiach. W tym samym czasie Shag jedzie do domu Kellerów i mówi Althei:

- Z Artem jest wszystko w porządku, ale...

Kiedy Art wraca do domu, Althea pakuje się w sypialni.

- Mamy bilety na wieczorny lot do San Diego - mówi. - Pojedziemy na trochę do rodziców.

- O czym ty mówisz?

- To był straszny dzień, Art. - Opowiada mu o spotkaniu z policją Jalisco, o tym, co czuła, gdy dowiedziała się o ostrzeleniu jego samochodu i że jest na komisariacie *federale*. - Nigdy nie bałam się tak bardzo, Art. Chcę wyjechać z Meksyku.

- Nie ma się czego bać.

Patrzy na niego jak na wariata.

- Ostrzelali twój samochód, Art.

- Wiedzieli, że mnie tam nie ma.

- A jak podłożą bombę w domu, upewnią się wcześniej, że mnie i dzieci nie ma?!

- Oni nie krzywdzą rodzin.

- A co to niby ma być? - pyta. - Jakaś reguła?

- Coś w tym rodzaju - odpowiada Art. - W każdym razie chodzi im o mnie. To sprawa czysto osobista.

- Co to znaczy „osobista”?

Kiedy nie odpowiada przez trzydzieści sekund, powtarza:

- Co to znaczy, Art?

Siadają na łóżku i opowiada jej o znajomości z Tío i Adánem Barrerami. Mówi o zasadzce w Badiraguato, egzekucji sześciu więźniów i o tym, że nikomu o tym nie powiedział. Jak dzięki temu Tío stworzył swoją Federación, która teraz zalewa amerykańskie ulice crackiem, i o swoim pragnieniu, żeby coś z tym zrobić.

Żona patrzy na niego z niedowierzaniem.

- I ty masz to wszystko na głowie?

Przytakuje.

- Musisz być strasznie silnym facetem, Art. Myślałeś, że co możesz zrobić? Przecież to nie twoja wina. Nie miałeś pojęcia, do czego dąży Barrera.

- Myślę, że gdzieś w środku wiedziałem - mówi Art. Tylko nie chciałem się do tego przyznać.

- I czujesz, że musisz to odpokutować? - pyta Althea. - Doprowadzając Barrerę do upadku? Nawet jeśli kosztować cię to będzie życie?

- Coś w tym rodzaju.

Wstaje i idzie do łazienki. Artowi wydaje się, że siedzi tam całe wieki, ale w rzeczywistości mija tylko kilka minut. Althea wychodzi, idzie do szafy, wyjmuje jego walizkę i rzuca ją na łóżko.

- Jedź z nami.

- Nie mogę.

- Ta kruczjata jest dla ciebie ważniejsza od rodziny? - pyta.

- Nie ma dla mnie nic ważniejszego od rodziny.

- Udowodnij to. Jedź z nami.

- Altheo...

- Chcesz tu zostać i bawić się w szlachetnego szeryfa, w porządku. Jeśli chcesz, żeby rodzina została razem, pakuj się. To za dużo jak na kilka dni. Tim Taylor obiecał, że załatwi spakowanie i odesłanie reszty naszych rzeczy.

- Rozmawiałaś o tym z Timem Taylorem?!

- Zadzwoił - odpowiedziała. - W przeciwieństwie do ciebie.

- Przesłuchiwali mnie!

- I uważasz, że to poprawi mi samopoczucie?

- Do diabła, Althie! Czego ty ode mnie chcesz?

- Żebyś wyjechał z nami!

- Nie mogę!

Siedzi na łóżku, za nim leży pusta walizka jako dowód, że nie kocha swojej rodziny. Kocha ich wszystkich - bardzo - ale po prostu nie może zrobić tego, o co prosi go żona.

Dlaczego, pyta sam siebie. Może Althea ma rację? Czy zależy mi na kruczacie bardziej niż na rodzinie?

- Nie rozumiesz? - pyta Althea. - Tu wcale nie chodzi o Barrerów. Chodzi o ciebie. Chodzi o to, że nie potrafisz sobie przebaczyć. To nie ich chcesz obsesyjnie ukarać, tylko siebie.

- Wielkie dzięki za wielopoziomową psychoterapię.

- Odwal się, Art - Althea z hukiem zamyka walizkę. - Dzwonię po taksówkę.

- Pozwól chociaż, że pojedę z wami na lotnisko.

- Tylko wtedy, jeśli wsiądziesz do samolotu. To zbyt trudne dla dzieci.

Bierze bagaże i znosi je na dół. Stoi tam z walizką w ręku, ściskając ją z Josefina i

placzą. Art schodzi pożegnać się z Cassie i Michaeliem. Michael nie bardzo rozumie, co się dzieje. Art ma mokry policzek od łez Cassie.

- Dlaczego nie jedziesz z nami, tatusiu? - pyta Cassie.

- Mam tu jeszcze do załatwienia parę spraw w pracy - odpowiada Art. - Dojadę do was trochę później.

- Ale ja chcę, żebyś pojechał z nami!

- Będziesz się świetnie bawić u dziadka i babci.

Słychać klakson i Art wynosi bagaże na zewnątrz.

Ulica zablokowana jest przez *posada*, tłum dzieciaków poprzebieranych za Józefa, Marię, królów i pasterzy. Pasterze stukają laskami przystrojonymi wstążkami i kwiatami w rytm muzyki małej orkiestry, która idzie na czele pochodu. Art musi podawać walizki taksówkarzowi nad głowami dzieci.

- *Aeropuerto* - mówi Art.

- *Yo sé* - odpowiada kierowca.

Kiedy taksówkarz układa walizki w bagażniku, Art wsadza dzieci na tylne siedzenie. Jeszcze raz ściska je i całuje, stara się cały czas uśmiechać. Althea stoi niezręcznie przy drzwiach pasażera. Art obejmuje ją i chce pocałować, ale ona odwraca głowę i nadstawia policzek.

- Kocham cię - mówi.

- Uważaj na siebie, Art.

Wsiada do auta. Art stoi, dopóki tylne światła taksówki nie rozplywają się w mroku. Potem odwraca się i przedziera przez *posada* do wtóru piosenki:

Przybądź święty pielgrzymie

W te nasze skromne progi,

Dom skromny jest i ubogi,

Ale to dar prosto z serca.

Dostrzega, że biały ford ciągle parkuje na ulicy i rusza w jego stronę. Wpada na małego chłopca, który zadaje mu zwyczajowe pytanie:

- Nocleg na dzisiaj, señor? Ma pan pokój dla nas?

- Co?

- Nocleg na...

- Nie, nie dziś.

Podchodzi do forda i puka w szybę. Kiedy okno się otwiera, wyciąga gliniarza przez okno, serwuje mu trzy proste i jeden prawy, a potem rzuca na ulicę. Trzymając go za przód koszuli wali nim o ziemię raz po raz i krzyczy:

- Mówiłem, łapy precz od mojej rodziny! Mówiłem, łapy precz od mojej rodziny!

Odciąga go dwóch sąsiadów.

Wyrywa się im i idzie w stronę domu. Widzi, że glina wciąż leżąc na ziemi, sięga po pistolet.

- Zrób to! - mówi Art. - Zrób to, skurwysynu.

Policjant opuszcza broń.

Art przedziera się przez zszokowany tłumek i wchodzi do domu. Wypija dwie mocne whisky, potem kładzie się spać.

*

Art spędza święta z Ernie'm i Teresą Hidalgo, po wielu naleganiach z ich strony i obiekcjach z jego. Przychodzi późno, żeby nie patrzeć, jak Ernesto junior i Hugo otwierają swoje prezenty. Też przynosi im zabawki, a chłopcy, oszalałi z podekscytowania, podskakują i krzyczą:

- Tío Arturo! Tío Arturo!

Udaje, że ma apetyt. Teresa zadała sobie wiele trudu i przyrządziła tradycyjnego indyka (tradycyjnego dla niego, a nie w latynoskim domu), więc wmusza w siebie ogromne ilości mięsa i tłuczonych ziemniaków, na co absolutnie nie ma ochoty. Upiera się, żeby pomóc przy sprzątanii ze stołu, a kiedy są w kuchni, Ernie mówi mu:

- Szefie, dostałem propozycję przeniesienia do El Paso.

- Och?

- Zamierzam ją przyjąć.

- W porządku.

Ernie ma łzy w oczach.

- To przez Teresę. Jest przerażona. Boi się o mnie i chłopców.

- Przecież nie musisz mi się tłumaczyć.

- Tak, ale chcę.

- Nie czuj się winny.

Tío napuścił swoich *federales*, żeby dręczyli agentów DEA w Guadalajarze. *Federales* wpadali do biura i przeszukiwali je w poszukiwaniu broni, nielegalnego sprzętu podsłuchowego, a nawet narkotyków. Zatrzymywali agentów w samochodach po trzy razy dziennie pod naciąganyimi pretekstami. A *sicarios* Tío nocą przejeżdżali koło ich domów albo

parkowali po drugiej stronie ulicy i machali im na powitanie, kiedy rano wychodzili po gazety.

Art nie wini więc Erniego za to, że chce się zmyć. To, że straciłem swoją rodzinę, myśli, nie znaczy, że Ernie ma stracić swoją. Mówi mu więc:

- Postępujesz właściwie, Ernie.

- Przepraszam, szefie.

- Nie przepraszaj.

Mocno się obejmują.

Potem Ernie mówi:

- Nowe stanowisko obejmuję dopiero za miesiąc, więc...

- Jasne. Naszkodziemy trochę, zanim wyjedziesz.

Art wychodzi pod byle wymówką po deserze. Nie może znieść myśli o powrocie do pustego domu, więc jeździ po mieście, aż znajduje otwarty bar. Siada na stołku i wypija dwa drinki, co nie odrętwia go na tyle, żeby mógł wrócić do domu. Jedzie więc na lotnisko.

Siedzi w samochodzie obok lotniska i obserwuje lądowanie SETCO. „Pada pada śnieg, dzwonią dzwonki sań”. Nadciąga święty Mikołaj z workiem prezentów dla grzecznych dzieci.

Możemy przejąć dość śnieżnego pyłu, żeby zrobić zimę w Minnesocie, myśli, a ten śnieg właśnie przyleciał. Możemy przejąć dość gotówki, żeby spłacić dług narodowy, a gotówka właśnie napływa. Dopóki działa meksykańska trampolina, nie ma to znaczenia. Kokaina przeskakuje z Kolumbii do Hondurasu, do Meksyku, a potem do Stanów. Zostaje przetworzona na crack i trafia na ulice.

Biały DC-4 siada na pasie.

Tej kokainy nikt nie będzie wdychał. Ta kokaina ma zostać przerobiona na crack - sprzedana po dziesięć kawałków za kostkę biednym, przede wszystkim czarnym i Latynosom. Ta koka nie jedzie na Wall Street ani do Hollywood: trafi do Harlemu i Watts, do południowego Chicago i wschodniego Los Angeles, do Roxbury i Barrio Logan.

Art siedzi i patrzy, jak *federales* kończą ładować kokainę do ciężarówek. Zwykły tryb postępowania SETCO, myśli, płynny i *intocable*. Właśnie chce odjechać, kiedy dostrzega coś niezwykłego.

Federales zaczynają coś pakować do samolotu. Art patrzy, jak windują skrzynkę za skrzynką na pokład DC-4.

Co jest grane, myśli.

Przesuwa lornetkę i widzi Tío nadzorującego załadunek.

Co jest, do diabła? Co też mogą ładować do samolotu?

*

Zastanawia się nad tym całą drogę do domu.

No dobra, myśli, macie samoloty, które wywożą kokę z Kolumbii. Samoloty nie są prowadzone przez sygnały radiowe, więc przelatują pod radarem. Lądują i tankują w Hondurasie po ochroną Ramóna Mette, którego partnerem jest kubański uczestnik operacji 40.

Następnie samoloty lecą do Guadalajary, gdzie pod okiem Tío zostają rozładowane, a towar trafia do jednego z trzech karteli

- Zatoki, Sonory lub Baja. Kartele przerzucają kokę przez granicę do meksykańskich miast, a potem przekazują ją z powrotem Kolumbijczykom po tysiąc dolarów za kilogram. Po czym meksykańskie kartele płacą Tío procent od tej sumy.

To meksykańska trampolina, myśli Art, przerzucająca kokainę z Medellín do Hondurasu, potem do Meksyku i do Stanów. Biuro DEA w Hondurasie zostało zamknięte, w Meksyku nie chcą o tym słyszeć, a DEA, Departament Sprawiedliwości i Departament Stanu nie chcą o tym wiedzieć. Nikt nic złego nie widzi, nikt nic złego nie słyszy i, na litość boską, nikt nic złego nie mówi.

To wiadomo od dawna.

Co my tu mamy nowego?

Nowością jest transport dwustronny. Teraz tą samą drogą coś wraca.

Tylko co?

Myśląc o tym, otwiera drzwi i wchodzi do pustego domu.

I czuje lufę pistoletu przytkniętą z tyłu głowy.

- Nie odwracaj się.

- Nie zamierzam - kurwa, nie zamierzam. Wystarczająco przeraża mnie, że czuję broń.

Nie muszę jej widzieć.

- Widzisz, jakie to łatwe, Art? - mówi mężczyzna. - Jak łatwo cię dopaść?

Akcent amerykański, myśli Art, ze wschodniego wybrzeża. Nowy Jork. Rzykuje i zerka w dół, ale widzi tylko czubki męskich butów.

Czarne, wypolerowane na wysoki połysk.

- Widzę, Sal - mówi Art.

Zapada cisza, która świadczy o tym, że trafił.

- To było, kurwa, naprawdę głupie - mówi Sal.

Pociąga za spust.

Art słyszy suchy, metaliczny dźwięk.

- Jezu Chryste - nogi drżą mu jak galareta, jakby zaraz miał upaść na ziemię. Serce mu wali, ciało oblewa pot. Nie może oddychać.

- Następną komora nie jest pusta, Art.

- Przyswajam.

- Zostaw to gówno - mówi Sal. - Nawet nie wiesz, w co się wpierdaliasz.

To samo mówił Adán, myśli Art, dokładnie to samo.

- Barrera cię przysłał? - pyta.

- Będziesz zadawał pytania, kiedy to ty przystawisz mi lufę do głowy - mówi Sal. - Powtarzam, trzymaj się z daleka od lotniska. Następnym razem, a lepiej, żeby go nie było, Arthurze, następnym razem nie będziemy rozmawiać. Będziesz w jednej chwili żywy, a w następnej martwy. Czaisz?

- Tak.

- To dobrze. Teraz sobie pójdę. Nie odwracaj się. I, Arturze?

- Hm?

- Cerber.

- Co?

- Nic. Nie odwracaj się.

Art nie odwraca się, słyszy, że Sal wychodzi. Nie rusza się jeszcze przez minutę, dopóki nie słyszy odjeżdżającego samochodu.

Potem siada i zaczyna się trząść. Trwa to kilka minut i musi zaserwować sobie szkocką, ale mimo to próbuje myśleć.

Trzymaj się z daleka od lotniska.

Cokolwiek ładowali do tego samolotu, myśli Art, są na tym punkcie bardzo drażliwi.

I co to, do diabła, jest Cerber?

Wygląda przez okno. Na posterunku tkwi kolejny gliniarz z Jalisco. Przechodzi do gabinetu i dzwoni do Erniego do domu.

- Mógłbyś przyprowadzić tu samochód? Przyjedź okrężną drogą i zaparkuj o dwie przecznice na południe. I wróc taksówką do domu.

Korzysta z kuchennych drzwi, wspina się na tylne ogrodzenie do ogródka sąsiadów i przedostaje na równoległą ulicę. Znajduje samochód Erniego tam, gdzie powinien być, ale jest pewien problem.

Ernie wciąż w nim siedzi.

- Mówiłem, żebyś wrócił taksówką do domu - rzuca, wsiadając.

- Powiedzmy, że tego nie dosłyszałem.

- Jedź do domu - nalega Art, a kiedy Ernie nie rusza się z miejsca, dodaje - posłuchaj, nie chcę spieprzyć również twojego życia.

- Kiedy zamierzasz mi powiedzieć o wszystkim? - pyta Ernie, wychodząc z samochodu.

- Kiedy już będę wiedział, co robię - odpowiada Art.

Czyli, być może, nigdy.

Art rusza i jedzie samochodem Erniego do La Casa del Amor.

A co, jeśli już tu na mnie czekają? - myśli, podchodząc do muru, żeby wyjąć kasetę.

Będziesz w jednej chwili żywy, a w następnej martwy.

Klik.

Ma kasetę.

Starając się nie myśleć o strachu, przedziera się przez krzaki do ściany. Zerka w górę i widzi światło w sypialni Tío. Przykuca pod oknem i podłącza słuchawkę do magnetofonu, więc może słuchać na żywo.

A mówią, że ci, co podsłuchują nigdy nie usłyszą na swój temat nic miłego, myśli Art.

- Podziałało? - pyta Tío.

- Nie wiem - Sal mówi świetnie po hiszpańsku, stwierdza Art, ale to na pewno ten sam głos. - Tak myślę. Facet był nieźle wystraszony.

Jasne, myśli Art. Niech no ja przystawię ci lufę do łba i zobaczymy, jaki jesteś dzielny.

- Wie coś na temat Cerbera?

- Nie sędzę. Nic nie odpowiedział.

Spokojnie, myśli Art. Nic nie wiem. Cokolwiek to jest.

Potem znowu słyszy głos Tío.

- Nie możemy ryzykować. Następnej wymiany...

Wymiany? - myśli Art. - Jakiej wymiany?

- ...dokonamy w El Norte.

El Norte, myśli Art.

W Stanach.

Dobra, myśli Art. Zrób to, Tío.

Przerzuć to przez granicę.

Ponieważ, jeśli to zrobisz, dopadnę i złapię ten samolot w locie.

Borrego Springs Kalifornia

styczeń 1985

Samolot, praktycznie każdy samolot, leci kierując się sygnałem VOR. Sygnał VOR - Variable Oscillation Radio - to rodzaj radiowej latarni morskiej, ale zamiast wiązki światła emituje fale dźwiękowe, które są rejestrowane w postaci sygnałów przez radio w samolocie lub jako pulsujące światelko na jego panelu sterowania. Wszystkie lotniska, nawet małe, korzystają z systemu VOR.

Ale samolot nafaszerowany narkotykami na pewno nie będzie lądował na lotnisku w Stanach Zjednoczonych, nawet na małym. Ten samolot na pewno skorzysta z pasa wybudowanego na jakimś odległym pustkowiu. Sygnały VOR nadal mają decydujące znaczenie, ponieważ pilot musi zlokalizować miejsce lądowania dokonując pomiaru triangulacyjnego między trzema sygnałami VOR, w tym przypadku muszą to być sygnały z Borrego Springs, Ocotillo Well i Blythe. Co będzie, jeśli ludzie na ziemi za pomocą radia ADF przekażą mu namiary, połączone z obliczeniem odległości i pozycją kompasu - zwane w terminologii nawigacyjnej „wektorami” - z trzech znanych lokalizacji VOR?

Zakotwiczą na końcu tego pasa, a kiedy zobaczą samolot, staną się wieżą kontrolną, wysyłając sygnały świetlne reflektorami. Kierując się tymi światłami, pilot spokojnie wylądowuje ze swoim cennym ładunkiem.

Ze względów bezpieczeństwa ludzie na ziemi nie podadzą pilotowi położenia lądowiska, dopóki będzie się znajdował w powietrzu, chociaż, co może się wtedy stać?

Może się wydarzyć wiele rzeczy, ponieważ F w ADF oznacza „frequency”, częstotliwość, i właśnie tego Art dowiedział się z podsłuchiwanej rozmowy Tío. Zamierza się więc do niej dostroić i pozna położenie lądowisk w tej samej chwili, co pilot. Ale jest pewien słaby punkt - ludzie Arta nie mogą czekać na lądowanie, a potem wszystkich zgarnąć, gdyż nie mogą niezauważenie podejść na tyle blisko, zanim samolot się tam znajdzie.

Z małego miasteczka Borrego Springs w Kalifornii wyjeżdża się wprost na pustynię Anza-Borrego ciągnącą się przez miliony akrów, a jeśli zapali się latarkę, wydaje się, że to jupiter. Panuje tam cisza, więc silnik dżipa brzmi jak zbrojna kolumna. Nie uda ci się podjechać dość blisko, nawet jeśli na czas poznasz lokalizację.

To dlatego Art decyduje się na zupełnie inne rozwiązanie - nie zamierza śledzić samolotu, a potem się do niego przemykać. Chce sprawić, żeby wylądował na jego własnym pasie startowym.

Ten plan to skandal. Jest tak szalony, że nikt go nie chce zaakceptować.

Po pierwsze, potrzebny jest pas.

Dowiaduje się, że Shag zna ranczera w okolicy, gdzie dla wyżywienia jednej krowy przeznaczona jest sto akrów. Stary kumpel Shaga ma więc parę tysięcy akrów i nawet własny pas

startowy, gdyż, jak Shag tłumaczy Artowi, „stary Wayne lata do Ocotillo na zakupy”, i nie żartuje. Do tego stary Wayne ma taki sam stosunek do dilerów narkotykowych, jak on do rządu federalnego i z radością użyczy miejsca na zasadzkę, a z jeszcze większą radością nie piśnie o tym nikomu słowa.

Po drugie, Art potrzebuje wspólnika, gdyż rzeczony Waszyngton dostałby dreszczy na samą myśl, że rezydent z Guadalajary miałby brać udział w takim szaleństwie, i to kilkaset mil od wyznaczonego terytorium. Art potrzebuje kogoś, kto może dokonać aresztowania i przejścia mienia, ma dojście do prasy i odesłałby samolot z powrotem bez ingerencji DEA i Departamentu Stanu. Dlatego właśnie obok Arta siedzi Russ Dantzer.

Ponadto, Art musi zagłuszyć ADF pilota, przekierować go na nową częstotliwość i sprowadzić go na rancho starego Wayne'a.

A najważniejszą rzeczą, jakiej potrzebuje Art, jest, jak to ujął stary Wayne, od chuja szczęścia.

*

Adán siedzi na przednim siedzeniu Land Rovera na środku *chingada* pustyni z koką wartą parę milionów dolców w powietrzu i ma własną przyszłość w swoich rękach.

A teraz *chingada* radio nie chce działać.

- Co jest grane? - denerwuje się.

- Nie wiem - odpowiada młody technik, który kręci gałkami, tarczami i pokrętłami i próbuje odzyskać sygnał. - Burza elektroniczna, coś w samolocie... staram się.

Chłopak jest przerażony. I nic dziwnego - Raúl przystawił mu do głowy lufę czterdziestki czwórki.

- Staraj się bardziej.

- Zabierz to - mówi Adán. - To nic nie pomoże.

Raúl wzrusza ramionami i chowa broń.

Ale ręka chłopaka i tak drży na pokrętle. Nie tego się spodziewał - miał dostać furę koki za łatwą robotę, a teraz grożą, że mu wysadzą mózg, jeśli nie złapie ADF samolotu.

A on nie może tego zrobić.

Jedyne, co łapie, to jazgot w stylu odjechanych riffów gitarowych Led Zeppelin. Ręka lata mu na pokrętłach.

- Spokojnie - mówi Adán. - Tylko znajdź ten samolot.

- Robię, co mogę. - Chłopak wygląda, jakby się zaraz miał rozplakać.

Adán patrzy na Raúla spojrzeniem mówiącym: widzisz, co narobiłeś?

Raúl marszczy brwi.

Tym bardziej, że Jimmy Brzoskwinia puka w szybę i pyta.

- Kurwa, no co jest?

- Próbuje złapać samolot przez radio - odpowiada Adán.

- Długo jeszcze? - pyta Brzoskwinia.

- Jak będziesz przeszkadzał, to jeszcze dłużej - mówi Raúl.

- Wracaj do ciężarówki, wszystko gra.

Nic nie gra, myśli Brzoskwinia, idąc do ciężarówki. Po pierwsze, jestem tu, odgrywając Lawrence'a z Arabii na tym zadupiu, po drugie, siedzę w ciężarówce pełnej kontrabandy, po trzecie, dokonałem bezzwrotnej inwestycji w ciężarówkę, w którą załadowałem kasę innych ludzi, po czwarte, ci inni ludzie to Johnny Boy Cozzo, brat Johnny'ego Gene'a, i Sal Scachi, a żaden z nich nie charakteryzuje się łagodnością, z czego wynika punkt piąty, czyli, jeśli Wielki Paulie zwietrzy, że kombinujemy coś z narkotykami, rozwali nas - „nas” oznacza, że zacznie ode mnie - a z tego wynika szósty punkt, czyli to, że cała koka jest teraz w samolocie, gdzieś na niebie, a te meksykańce nie mogą go znaleźć.

- Nie mogą znaleźć tego pieprzonego samolotu - mówi do Małego Brzoskwini, wsiadając do ciężarówki.

- Co ty mówisz? - pyta Mały Brzoskwinia.

- Którego słowa, kurwa, nie rozumiesz?

- Aleś drażliwy.

- Tak, kurwa, drażliwy.

Jadę tu z Kalifornii ciężarówką pełną broni, i to nie zwykłych pistoletów, ale bardziej wyszukanej broni - M-16, Ar-15, amunicji, a jest nawet kilka wyrzutni rakiet, diabli wiedzą, do czego one pieprzonym Meksykancom. Ale taka była umowa - tym razem Meksy zażądali zapłaty w broni, więc wziąłem pieniądze od braci Cozzo i Sala, potajemnie dorzuciłem trochę od siebie i wiozę przez wschodnie wybrzeże cały ten pieprzony arsenał. Potem jadę przez pół kraju i sram w gacie za każdym razem, kiedy widzę policjanta stanowego, bo za plecami mam prawdziwy arsenał.

Brzoskwinia jest również rozdrażniony, bo sprawy w rodzinie Cimino nie idą najlepiej.

Po pierwsze, Wielki Paulie trzęsie portkami z powodu procesu, ponieważ prokurator okręgowy wschodniego Nowego Jorku, Giuliani, zagroził szefom czterech głównych rodzin co najmniej stuletnimi wyrokami. Paulie nie pozwoli im więc robić nic, żeby zarobili na życie. Żadnych kradzieży, napadów, ani, oczywiście, narkotyków. A kiedy narobili szumu, że przymierają, kurwa, głodem, przyszła odpowiedź, że powinni inwestować swoje pieniądze.

Powinni założyć legalne interesy.

Co Brzoskwinia uważa za jedną wielką bzdurę. Pokonać tyle cholernych przeszkód i po co? Żeby sprzedawać buty?

Pieprzyć to.

Pieprzenie Pauliego jest jak pieprzenie baby.

Brzoskwinia nawet zaczął nazywać go matką chrzestną.

Jakoś tak na dniach gadał o tym z Małym Brzoskwinią przez telefon.

- Hej - mówi Brzoskwinia. - Wiesz, że pokojówka matki chrzestnej jest w ciąży? Czujesz fazę? Słyszałem, że on ma takiego pompowanego kutasa.

- Jak to działa? - pyta Mały Brzoskwinia.

- Wołałbyś nie wiedzieć - mówi Brzoskwinia. - Myślę, że to tak, jak z flakiem w oponie, pompujesz i robi się twarda.

- Czyli ma coś jakby rurkę w kutasie?

- Tak sądzę. W każdym razie źle robi, że posuwa pokojówkę w domu, w którym mieszka jego żona. To niegodne. Dzięki Bogu, że Carlo tego nie dożył.

- Gdyby Carlo żył, nie byłoby tego - stwierdza Mały Brzoskwinia. - Paulie nie miałby jaj, nie mówiąc o dmuchanym fiucie, żeby bzykać jakąś dziwkę tuż pod nosem siostry Carla. Paulie byłby trupem, ot co.

- Święte słowa - mówi Brzoskwinia. - Chcesz się wygłupiać, fajnie, wygłupiaj się. Chcesz robić coś na boku, rób, ale na boku, nie we własnym domu. Ten dom, to dom twojej żony. Trochę szacunku. Tak powinno być.

- Co racja, to racja.

- Wszystko teraz jest do dupy - ciągnie Brzoskwinia. - A kiedy Neill wreszcie zejdzie... Mówię ci, zastępcą szefa powinien zostać Johnny Boy.

- Paulie nie zrobi Johna swoją prawą ręką - stwierdza Mały Brzoskwinia. - Za bardzo się go boi. Zobaczysz, że mianuje Bellavię.

- Tommy Bellavia to szofer Pauliego - prycha Wielki Brzoskwinia. - To kierowca, na litość boską. Nie będę składał raportów szoferowi. Mówię ci, to powinien być John.

- W każdym razie żaden z nas nie ma szans - wzdycha Mały.

- Dobra, a teraz zajmijmy się zgarnięciem szmalu.

- Słyszałem to.

*

Callan myśli dokładnie o tym samym. Siedzi na tyle ciężarówki na pustyni w środku zimnej nocy. Żałuje, że ma na sobie tylko starą skórzaną kurtkę.

- Kto wiedział - mówi do niego O-Bop - że na tej pustyni jest tak kurewsko zimno?

- Co się dzieje? - pyta Callan.

Nie podoba mu się to gównu. Nie podoba mu się wyjazd z Nowego Jorku, to, że siedzi pośrodku pustkowia, nie podoba mu się to, co robią. Widzi, co dzieje się na ulicach, co crack robi z dzielnicą, z całym miastem. Czuje się źle - to nie jest właściwy sposób zarabiania na życie. Związki zawodowe to jedno, budownictwo to drugie, lichwiarstwo, hazard - nawet kontrakty - ale nie podoba mu się, że pomaga Brzoskwini wprowadzać crack na ulicę.

- Co mieliśmy zrobić? - powiedział O-Bop. - Odmówić?

- Właśnie tak.

- Wszystko się pieprzy, a chodzi też o nasze tyłki.

- Wiem.

Siedzą więc na tyle ciężarówce załadowanej taką ilością broni, że można podbić małą republikę bananową, i czekają na samolot, żeby dokonać wymiany i wrócić do domu.

Chyba że Meksykanie ich wykiwają, a w takim przypadku Callan ma dziesięć nabojów w magazynku swojej dwudziestki dwójki.

- Masz tu cały arsenał - mówi O-Bop. - Na co ci dwudziestka dwójka?

- Wystarczy.

Tak, kurwa, na pewno, myśli O-Bop, wspominając Eddiego Friela.

Tak, kurwa, na pewno.

- Zapytaj, co się dzieje - mówi Callan.

O-Bop wali pięścią w ścianę.

- Co się dzieje?

- Nie mogą znaleźć tego pieprzonego samolotu!

- Żartujesz?

- Tak, żartuję! - wrzeszczy Brzoskwini. - Samolot wylądował, zrobiliśmy wymianę, a teraz siedzimy w Rocco i zremy linguini z małżami w sosie!

- Jak można zgubić samolot? - pyta Callan.

Nic już tu nie było do roboty.

*

W tym właśnie problem. Pilot jest osiem tysięcy stóp nad pustynią i wokół widzi tylko ciemność. Widzi Borrego Springs, widzi Ocotillo Well i Blythe, ale jeśli ktoś nie poda mu lokalizacji lotniska, ma takie same szanse znaleźć je, jak zobaczyć Cubsów wygrywających World Series.

Zgrzyt.

Problem w tym, że ma tylko tyle paliwa, żeby zrobić jeszcze jedno kółko i zawrócić do

Salwadoru. Ponownie próbuje nawiązać łączność przez radio, ale wciąż słyszy ten sam metaliczny zgrzyt. Przekręca nieco gałkę i słyszy...

- Odbiór, odbiór.

- Gdzie do cholery byliście? - pyta pilot. - Jesteś na złej częstotliwości.

I ty to mówisz, myśli Art.

*

Święty Antoni jest patronem spraw beznadziejnych i Art zapisuje sobie w pamięci, żeby zapalić mu świeczkę i dać dwadzieścia dolców, kiedy Shag mówi do mikrofonu:

- Zamierzasz pierdolić głupoty, czy chcesz wylądować?

- Chcę wylądować.

Grupka mężczyzn pochylonych nad radiem w tę mroźną noc popatrzyła na siebie z szerokim uśmiechem. Myśl, że za chwilę wyląduje tu pełny kokainy samolot SETCO, porządnie ich rozgrzała.

Chyba, że coś pójdzie nie tak.

A było to możliwe.

Shag ma to w nosie.

- Moja kariera i tak już jest spieprzona.

Podaje pilotowi współrzędne lądowiska.

- Za dziesięć minut - mówi pilot.

- Rozumiem, bez odbioru.

- Dziesięć minut - mówi Art.

- Długie dziesięć minut - mówi Dantzler.

W ciągu tych dziesięciu minut wiele może się zdarzyć. W ciągu dziesięciu minut pilot może zgłupieć, zmienić zdanie i zawrócić. W ciągu dziesięciu minut ci z prawdziwego pasa mogą przełamać zagłuszanie Dantzlera, nawiązać kontakt z samolotem i skierować go na właściwe lądowisko. W ciągu dziesięciu minut może nastąpić trzęsienie ziemi, wyrwać dziurę w połowie pasa i pochłonąć ich wszystkich. W ciągu dziesięciu minut...

Głęboko wzdycha.

- Żadne takie - mówi Dantzler.

Shag uśmiecha się do niego.

*

Adán Barrera nie uśmiecha się.

Skręca go w brzuchu, szczękę ma mocno zaciśniętą. Tío ostrzegł go, że nie można przewalić tej akcji. Wymiana musi się odbyć.

Z wielu powodów, myśli Adán.

Jest już mężczyzną żonatym. Pobrali się z Lucią w Guadalajarze, a ceremonię poprowadził sam ojciec Juan. Był to cudowny dzień i jeszcze cudowniejsza noc, po latach frustracji wreszcie znalazł się w Lucii. W łóżku okazała się zaskakującą, więcej niż ochoczą partnerką, która się entuzjastycznie wije i napina, woła jego imię, a jej blond włosy nieświadomie rozsypały się na poduszce symetrycznie do jej rozłożonych nóg.

Małżeństwo jest świetną rzeczą, ale niesie ze sobą odpowiedzialność, zwłaszcza że Lucía jest w ciąży. To wszystko zmienia, myśli Adán, siedząc na pustyni. Teraz gra idzie o wszystko. Za moment staniesz się *papá*, a przyszłość rodziny leży w twoich rękach. Nie przeraża go to - wręcz przeciwnie, wzięcie na siebie męskiej odpowiedzialności ekscytuje go, myśl o własnym dziecku zachwyca - ale to oznacza, że ta akcja, bardziej niż wszystkie inne do tej pory, musi się udać.

- Spróbuj na innej częstotliwości - mówi do technika.

- Próbowałem na wszystkich...

Widzi, że Raúl dotyka kabury z pistoletem.

- Spróbuję jeszcze raz - mówi, chociaż teraz jest już przekonany, że to nie częstotliwość, tylko sprzęt, samo radio. Kto wie, co z nim zrobiły wstrząsy, co się tam obija w środku? Ludzie są zawsze tacy sami, myśli. Mają miliony dolarów w kokainie, która krąży gdzieś tam w górze, ale żałują kilkuset dolców na porządne radio. A teraz muszę pracować na tym tanim gównie.

Oczywiście nie wypowiada tego na głos.

Tylko kręci dalej gałkami.

Adán wpatruje się w rozgwieżdżone niebo.

Gwiazdy wydają się tak bliskie i jasne. Sprawiają wrażenie, jakby można do nich było sięgnąć wyciągniętą ręką. Żałuje, że nie może zrobić tego z samolotem.

*

Podobnie jak Art.

Ponieważ w górze nie ma nic, nic oprócz gwiazd i srebrzystego księżyca.

Patrzy na zegarek.

Głowy zwracają się w jego stronę, jakby wyciągnął broń.

Dziesięć minut minęło.

Minęło twoje dziesięć minut, myśli. Dziesięć minut drżenia z nerwów, ściskania w żołądka, mocnego bicia serca, więc skończmy tę grę. Przerwijmy tortury.

Znowu patrzy na niebo.

Robią to wszyscy. Stoją na zimnie i patrzą na niebo jak jakieś prehistoryczne plemię, próbując dojść, o co w tym wszystkim chodzi.

- To koniec - stwierdza Art minutę później. - Musiał się zorientować.

- Kurrrrrwa - mówi Shag.

- Przykro mi, Art - rzuca Dantzler.

- Przykro mi, szefie.

- W porządku - odpowiada Art. - Zrobiliśmy, co mogliśmy.

Ale nic nie było w porządku. Już pewnie nigdy nie będą mieć podobnej szansy, żeby zdobyć fizyczny dowód na istnienie meksykańskiej trampoliny.

Dopadną nas w biurze w Guadalajarze i będzie po wszystkim.

- Damy mu jeszcze dziesięć minut, a potem...

- Zamknij się - przerywa mu Shag.

Wszyscy gapią się na niego - to zupełnie nietypowa dla niego kowbojska szorstkość.

- Słuchajcie - mówi.

Teraz wszyscy to słyszą.

Dźwięk silnika.

Silnika samolotu.

Shag biegnie do ciężarówki, zapala silnik i włącza światła.

Światła samolotu mrugają w mroku. Mijają dwie minuty i Art obserwuje, jak z czerni wyłania się maszyna i płynnie ląduje.

Pilot oddycha z ulgą na widok grupki ludzi.

A potem ci ludzie przystawiają mu lufę do twarzy.

- Niespodzianka, gnoju - mówi Russ Dantzler. - Masz prawo zachować milczenie...

Milczenie?

Faceta kompletnie zatkało.

*

Ale nie Shaga. Siedzi w samochodzie Arta i udaje Bordiniego Browna.

- Szefie, jesteś wielki! Masz łapy długie jak orangutan! Jesteś King Kongiem! Wyciągnąłeś rękę i ściągnąłeś ten samolot!

Art śmieje się. Potem widzi, że Dantzler podchodzi do samochodu. Głowa z San Diego kręci głową. Nawet w tym kiepskim świetle wygląda blado.

Jest wstrząśnięty.

- Art - zaczyna Dantzler. - Ten facet... pilot... on mówi...

- Co?

- On mówi, że pracuje dla nas.

*

Art otwiera drzwi i patrzy na pilota siedzącego na tylnym siedzeniu.

Phil Hansen powinien być bardzo zdenerwowany, ale nie jest. Rozparł się, jakby czekał na mandat, który i tak zostanie anulowany. Art najchętniej zmasakrowałby mu tę jego głupkowato uśmiechniętą gębę.

- Kopę lat, Keller - mówi swobodnie, jakby to wszystko było dobrym kawałem.

- Co ty, kurwa, mówisz? Jak to pracujesz dla nas?

Hansen patrzy na niego spokojnie.

- Cerber.

- Co?

- No, bez takich. Cerber? Ilopongo? Hangar Czwarty?

- O czym ty do cholery mówisz?

Uśmiech znika z twarzy Hansena. Wygląda na zaalarmowanego.

- Myślałeś, że co, że masz wolną rękę? - pyta Art. - Przewozisz paręset kilo koki do Stanów i myślisz, że masz wolną rękę? I niby dlaczego tak myślisz, dupku?

- Powiedzieli, że byłeś...

- Co, co takiego powiedzieli?

- Nic.

Hansen odwraca głowę i wygląda przez okno.

- Jeśli myślisz, że masz kartę wyjścia z więzienia, to możesz ją teraz pizdnąć do kosza.

Dawaj nazwisko, Phil. No, do kogo mam dzwonić?

- Dobrze wiesz.

- Nie, nie wiem, powiedz mi.

- Mowy nie ma.

Ciągle gapi się za okno.

- Ktoś cię wrobił, Phil - mówi Art. - Nie wiem kto i co ci powiedział, ale jeśli myślisz, że gramy po tej samej stronie, to się mylisz. Grozi ci od trzydziestu lat do dożywocia, Phil. Co najmniej piętnaście. Ale jeszcze nie jest za późno, żebyś znalazł się po właściwej stronie barykady. Pracuj z nami, a jeśli się nam powiesz, uznam, że się wywiązałeś.

Kiedy Hansen odwraca się do niego twarzą, ma łzy w oczach.

- W Hondurasie mam żonę i dzieci.

Ramón Mette, myśli Art. Facet jest przerażony, że Mette odegra się na jego rodzinie. Straszne gówno - ale trzeba było o tym pomyśleć, zanim zacząłeś latać z koką.

- Chcesz je zobaczyć, zanim będą miały własne dzieci? Gadaj!

Art widywał już wcześniej to spojrzenie - nazywa je ważeniem szans: facet czuje się winny i rozważa wszystkie opcje, ku swemu przerażeniu uświadamia sobie, że nie ma dobrego wyjścia z sytuacji. Musi wybrać mniejsze zło. Czekają, aż dotrze to do Hansena.

Hansen kręci głową.

Art zamyka drzwi i na minutę odchodzi na pustynię. Może teraz zająć ten samolot, ale co mu z tego przyjdzie? Będzie miał dowód na to, że SETCO przewozi narkotyki, ale to już przecież wie. I nie dowie się, jaki ładunek miał odlecieć z powrotem, ani dla kogo.

Teraz nadszedł czas na kolejną wielką szansę.

Podchodzi do Dantzlera.

- Zmienimy plany. Odeślemy samolot z powrotem.

- Co?

- Dzięki temu sprawdzimy trzy rzeczy - mówi Art. - Zobaczymy, dokąd trafia koka, skąd napływają pieniądze, no i dowiemy się, co odlatuje samolotem w drugą stronę.

Dantzler zgadza się. W co on się zamierza wpakować? Art kiwa głową i wraca do samochodu.

- Rutynowy sprawdzian - mówi do Hansena. - Zdałeś. Możesz lecieć.

Art obserwuje start samolotu.

Potem wraca do radia, żeby powiadomić Erniego o powrocie samolotu SETCO, że ma go sfotografować i puścić.

Ale Ernie nie odpowiada.

Ernie Hidalgo zniknął z radaru.

5.

Narcosantos

Są dwie rzeczy, których nie życzą sobie Amerykanie: drugiej Kuby na głównym lądzie Ameryki Środkowej i drugiego Wietnamu.

Ronald Reagan

Meksyk

Styczeń 1985

Sześć godzin po tym, jak Ernie zniknął, Art wpada do biura pułkownika Vega.

- Zaginął jeden z moich ludzi - mówi. - Żądam, żeby miasto zostało przetrząśnięte od góry do dołu. Żądam aresztowania Miguela Ángela Barrery i nie chcę słyszeć już ani jednej bzdury...

- Señor Keller...

- ...że pan nie wie, gdzie on jest, i że jest niewinny. Chcę, żeby zamknął pan ich wszystkich: Barrerę, jego siostrzeńców, Abrego, Méndeza, wszystkich tych pierdolonych lachociągów, a ja...

- Nie ma pan pewności, że został porwany - wtrąca Vega. - Może ma romans, może leży gdzieś pijany. Nie ma pan pewności, że pan Barrera ma z tym cokolwiek...

Art podchodzi do biurka i patrzy pułkownikowi prosto w oczy.

- Jak zdobędę tę pewność - mówi Art - rozpocznę prawdziwą wojnę.

Zrobi to. Będzie ich wzywał pod byle pretekstem, groził, że pójdzie do prasy, chodził do prasy, groził, że pójdzie do kongresmenów, chodził do kongresmenów - ściągnie oddział marines z Camp Pendleton i zacznie prawdziwą, cholerną wojnę, jeśli tylko ma to uratować Erniego Hidalgo.

Jeśli - o Boże, proszę Cię, Jezu i Mario, Matko Boska - Ernie jeszcze żyje.

Sekundę później dodaje:

- No, czego tu jeszcze siedzicie?

Wypadają na ulice.

Nagle, w cudowny sposób. Vega wie, gdzie szukać *gomeros*. To prawdziwy cud, myśli Art. Vega wie, gdzie mieszkają, odpoczywają i robią interesy miejscowi *narcotraficante*

niższej i średniej rangi. Dopadają ich wszystkich - *federales* Vega przetrząsają miasto jak gestapo, z tym, że nie znajdują ani Miguela Ángela, ani Adána, ani Raúla, ani Méndeza, ani Abrego. Ta sama stara sztuczka, myśli Art, ta sama zabawa w szukaj tak, żeby nie znaleźć. Wiedzą, gdzie ci goście byli przed chwilą, ale wciąż nie wiedzą, gdzie są teraz.

Vega przeprowadza nawet nalot na garsonierę Barrery, nagle zna jej adres, ale kiedy tam wpadają, okazuje się, że Miguel Ángel zniknął. Znajdują za to coś innego, coś, przez co Art wpada w prawdziwy szal.

Zdjęcie Erniego Hidalgo.

Zdjęcie z legitymacji, zrobione w biurze policji federalnej w Guadalajarze.

Art łapie je i podtyka Vedze pod nos.

- Patrz! - wrzeszczy. - Może to zdjęcie zrobili pańscy ludzie? Pańscy pierdoleni ludzie je zrobili?

- Z całą pewnością nie.

- Akurat - mówi Art.

Wraca do biura i dzwoni do Tima Taylora do Meksyku.

- Powiadomiono mnie - mówi Taylor.

- I co robisz w tej sprawie?

- Byłem u ambasadora - odpowiada Taylor. - Zamierza osobiście spotkać się z prezydentem. Odesłałeś Teresę i dzieci?

- Nie chciała jechać, ale...

- Cholera.

- Ale zawieźliśmy ją z Shagiem na lotnisko - mówi Art. - Powinni być teraz w San Diego.

- A co z Shagiem?

- Pracuje w terenie.

- Wycofuję twoich ludzi.

- Tak, kurwa, właśnie ich wycofujesz.

Zapada chwila ciszy, potem Taylor pyta:

- Potrzebujesz czegoś, Art?

- Tak, uczciwego gliny - odpowiada Art. Mówi Taylorowi o zdjęciu znalezionym w mieszkaniu Barrery, potem stwierdza:

- Nie chcę już więcej mieć do czynienia z tymi dupkami z federalnej. Przyślij mi kogoś czystego, wyższej rangi.

Po południu do Guadalajary przyjeżdża Antonio Ramos.

*

Adán słucha krzyku mężczyzny.

I ten sam, spokojny głos cierpliwie zadaje to samo pytanie, raz za razem.

- Kim jest Chupar? Kim jest Chupar? Kim jest Chupar? Ernie ciągle powtarza, że nie wie. Przesłuchujący nie wierzy mu i znowu wbija mu szpikulec do lodu w pieszczel.

Pytanie pada ponownie.

- Na pewno wiesz. Powiedz nam. Kim jest Chupar?

Ernie rzuca nazwiska. Wszystkie, jakie przychodzą mu do głowy. Pomniejszych dilerów, ważnych dilerów, *federales*, policjantów stanowych Jalisco - wszystkich *gomeró* i sprzedajnych gliniarzy. Wszystko mu jedno, byle przestali.

Nie przestają. Nie kupują żadnego z tych nazwisk. Doktor - wszyscy nazywają tego człowieka Doktorem - wciąż pracuje szpikulcem do lodu, powoli, cierpliwie, skrupulatnie, niewzruszony krzykami Erniego. Bez pośpiechu.

- Kim jest Chupar? Kim jest Chupar? Kim jest Chupar?

- Nie wiiiiiiiiieem...

Szpikulec ustawia się pod innym kątem i znajduje nienaruszony kawałek ciała.

Roztrzęsiony Güero Méndez wypada z pokoju.

- Nie sądzę, żeby wiedział - mówi.

- Wie - mówi Raúl. - Tylko udaje macho, twardy sukinsyn.

Miejmy nadzieję, że nie jest zbyt twardy, myśli Adán. Jak tylko poda nazwisko *soplón*, wypuścimy go, zanim sprawy zajdą za daleko. Znam Amerykanów lepiej niż ty, powiedział Adán wujowi. Mogą wysadzać, palić i truc ludzi, ale jeśli jednemu z nich stanie się krzywda, reagują brutalnie, przekonani o własnej nieomyślności.

W kilka godzin po zaginięciu agenta armia agentów DEA wdarła się do meliny Adána na rancho w Santa Fe.

To był największy nalot antynarkotkowy w historii.

Dwa tysiące funtów kokainy wartej trzydzieści siedem i pół miliona dolarów, dwie tony sinsemilli wartej kolejne pięć milionów, plus dwadzieścia siedem milionów w gotówce, plus maszyny do liczenia pieniędzy, wagi i inne wyposażenie handlarzy narkotyków. Nie wspominając o piętnastu nielegalnych meksykańskich robotnikach, których zatrudniali przy ważeniu i pakowaniu kokainy.

Ale to kosztowało o wiele więcej, myśli Adán, próbując nie słuchać jęków bólu dobiegających z sąsiedniego pokoju. O wiele więcej. Narkotyki, pieniądze, to wszystko można odzyskać, ale dziecko...

- Wodniak torbielowaty szyi - nazwali to lekarze. - Cystic lymphangioma.

Powiedzieli, że nie ma to nic wspólnego ze stresem związanym z ich nagłym wyjazdem z domu w San Diego, ucieczką przed DEA, nic wspólnego z szaloną przeprawą przez granicę do Tijuany, nic wspólnego z lotem do Guadalajary. Lekarze powiedzieli, że rozwija się we wczesnej ciąży, nie w ostatnich miesiącach, i że tak naprawdę nie wiedzą, co go wywołuje, tylko tyle, że naczynia chłonne córeczki Adána i Lucíi nie rozwinęły się właściwie, a ponieważ jej twarz i szyja zostały zdeformowane, nie ma szansy na leczenie i wyzdrowienie. I chociaż długość życia pozostaje zwykle normalna, istnieje ryzyko infekcji, udaru lub trudności z oddychaniem...

Lucía go obwinia.

Nie bezpośrednio jego, ale ich styl życia, interesy, *pista secreta*. Gdyby mogli zostać w Stanach, gdzie mają doskonałą opiekę prenatalną, gdyby dziecko urodziło się w Scripps Clinic, jak planowali, gdyby w tych pierwszych chwilach, kiedy zorientowali się, że coś jest nie tak, okropnie nie tak, gdyby mieli pod ręką najlepszych lekarzy na świecie... może, może... chociaż lekarze w Guadalajarze zapewnili ją, że nie zrobiłoby to żadnej różnicy.

Lucía chciała wracać do Stanów, żeby urodzić dziecko, ale nie chciała jechać bez niego, a on nie mógł. Wydano nakaz aresztowania go, a Tío nie dopuścił do jego wykonania.

Ale gdybym wiedział, myśli, gdyby istniał cień podejrzeń, że coś może być nie tak z dzieckiem, podjąłbym ryzyko. I wszystkie jego konsekwencje.

Pieprzeni Amerykanie.

Pieprzony Art Keller.

Adán wezwał ojca Juana w tych pierwszych, najcięższych godzinach. Lucía cierpiała katusze, wszyscy oni cierpieli, a ojciec Juan popędził prosto do szpitala. Przyszedł, wziął dziecko i od razu je ochrzcił na wszelki wypadek. Potem wziął Lucię za rękę i długo do niej mówił, modlił się, tłumaczył, że będzie wspaniałą matką dla szczególnego, cudownego dziecka, które bardzo jej potrzebuje. Potem Lucía wreszcie przyjęła środki uspokajające i zasnęła, a ojciec Juan i Adán wyszli na parking, żeby biskup mógł zapalić.

- Powiedz mi, co myślisz - spytał ojciec Juan.

- Myślę, że Bóg mnie ukarał.

- Bóg nie karze niewinnych dzieci za grzechy ich ojców - odpowiedział Parada. Chociaż Biblia tak twierdzi, pomyślał.

- Niech mi więc ojciec wytłumaczy, czy w ten właśnie sposób Bóg kocha dzieci? - spytał Adán.

- Czy kochasz swoje dziecko bez względu na wszystko?

- Oczywiście.
- Więc Bóg kocha je przez ciebie.
- To nie jest satysfakcjonująca odpowiedź.
- Ale jedyna, jakiej ci mogę udzielić.

Nie, nie jest satysfakcjonująca, pomyślał Adán, i tak samo myśli teraz. A porwanie tego Hidalgo zniszczy nas wszystkich, jeśli już nie zniszczyło.

Porwanie Hidalgo poszło łatwo. Chryste, przecież zrobiła to dla nich policja. Trzech gliniarzy zgarnęło Hidalgo przy La Plaza de Armas i przywiozło go do Raúla i Güero, którzy go nafaszerowali narkotykiem, zawiązali oczy i przywieźli tu, do tego domu.

Tutaj Doktor doprowadził go do porządku i zaczął czynić swoją powinność.

Co, jak dotąd, nie przyniosło żadnych efektów.

Słyszał łagodny, cierpliwy głos Doktora dobiegający z sąsiedniego pokoju.

- Wymień nazwiska urzędników rządowych - mówi Doktor - którzy są na usługach Miguela Ángela.

- Nie znam ich.

- Czy Chupar podał ci te nazwiska? Powiedziałeś, że tak. Wymień je.

- Kłamałem. Zmyśliłem to. Nie znam żadnych nazwisk.

- Powiedz mi więc, kim jest Chupar - mówi Doktor. - Wtedy zapytamy jego zamiast ciebie. Wtedy jemu to zrobimy, a nie tobie.

- Nie wiem, kim on jest.

Czy to możliwe, zastanawia się Adán, żeby ten człowiek naprawdę nie wiedział? Słyszy echo swego własnego pełnego przerażenia głosu sprzed ośmiu lat, z czasu operacji Kondor, kiedy DEA i *federales* biciem i torturami próbowali wydobyć z niego informację, której nie znał. Powiedzieli mu, że muszą się upewnić, że naprawdę nie wie, więc kontynuowali tortury, jeszcze trochę i jeszcze. Nie wiem.

- Chryste - mówi - a jeśli on naprawdę nie wie?

- No to co? - Raúl wzrusza ramionami. - Tak czy siak może to tych pieprzonych Amerykanów czegoś nauczyć.

Adán słyszy, że w sąsiednim pokoju nauka trwa dalej. Hidalgo jęczy, a szpikulec do lodu zgrzyta po jego kości piszczelowej. W tle słychać łagodny, stanowczy głos Doktora.

- Na pewno chcesz zobaczyć żonę i dzieci. Z pewnością jesteś im winny więcej niż temu informatorowi. Pomyśl: założyliśmy ci opaskę na oczy. Po co mielibyśmy to robić, gdybyśmy chcieli cię zabić? Mamy zamiar cię wypuścić. Wrócisz do rodziny. Do Teresy i Ernesto, i Hugo. Pomyśl o nich. Jak bardzo się teraz martwią. Jak przerażeni muszą być twoi

mali synkowie. Jak bardzo chcą, żeby ich *papá* wrócił do domu. Chcesz, żeby dorastali bez ojca? Kim jest Chupar? Co ci powiedział? Jakie podał ci nazwiska?

A potem odpowiedź Hidalgo przerwana szlochem.

- Nie... wiem... kim... on... jest...

- *Pues...*

I wszystko zaczyna się od nowa.

*

Antonio Ramos wychował się na śmietnikach Tijuany.

W sensie dosłownym.

Mieszkał w szopie przy wysypisku i śmieci zapewniały mu jedzenie, ubranie, a nawet schronienie. Kiedy w pobliżu zbudowali szkołę, Ramos chodził do niej codziennie, a kiedy jakiś dzieciak wyśmiewał go, że wali od niego śmietnikiem, Ramos spuszczał mu manto. Ramos był duży - chudy z niedożywienia, ale wysoki, o bardzo szybkich rękach.

Po jakimś czasie nikt już mu nie dokuczał.

Gdy skończył szkołę i przyjęto go do policji w Tijuanie, poczuł się jak w raju. Dobra pensja, dobre jedzenie, czyste ubrania. Stracił swoją chudość i zaokrąglił się, a jego przełożeni dowiedzieli się o nim czegoś nowego. Wiedzieli, że jest twardy; nie wiedzieli, że jest bystry.

Zauważono to również w DFS, meksykańskich służbach bezpieczeństwa, i został zwerbowany.

Jeśli jakaś sprawa wymagała kogoś twardego i bystrego, zwykle przydzielano do niej Ramosa.

Teraz otrzymał zadanie, żeby za wszelką cenę odnaleźć tego amerykańskiego agenta, Hidalgo.

Art wyszedł po niego na lotnisko.

Ramos ma złamany nos i kilka kostek w dłoniach. Gęste czarne włosy opadają mu na czoło i, mimo wielu prób, nie potrafi ich okiełznać. W ustach trzyma swój znak szczególny, czarne cygaro.

- Każdy gliniarz potrzebuje czegoś charakterystycznego - mówi swoim ludziom. - Chodzi o to, żeby źli ludzie spojrzeli i mówili: „Uważajcie na tego macho z czarnym cygarem”.

I uważają.

Mówią tak, uważają na niego i boją się go, ponieważ Ramos ma zasłużoną reputację człowieka, który stosuje swoją własną, brutalną sprawiedliwość. Ludzie osaczeni przez

Ramosa często wzywają policję. Policja nie przyjeżdża - też nie chce mieć do czynienia z Ramosem.

Przy Avenida Revolución w Tijuanie jest uliczka nazywana La Universidad de Ramos, zaśmiecona niedopałkami cygar i zasmrodzona tabaką. To właśnie tutaj Ramos, kiedy jeszcze był krawężnikiem, udzielał lekcji chłopakom, którym się zdawało, że są bardzo źli.

- Wcale nie jesteście źli - mówił im. - To ja jestem zły.

A potem pokazywał im, jak bardzo jest zły. Jeśli potrzebowaliby przypomnienia, wystarczyło spojrzenie w lustro jeszcze wiele lat potem.

Sześciu złych *hombres* próbowało zabić Ramosa. Ramos poszedł na wszystkie sześć pogrzebów, tak na wszelki wypadek, gdyby któryś z żałobników miał chęć na zemstę. Żaden nie miał. Swoje uzi nazywa „Mi Esposa” - swoją żoną. Ma trzydzieści dwa lata.

W ciągu kilku godzin wsadza do paki trzech policjantów, którzy porwali Erniego Hidalgo. Jednym z nich jest szef policji stanowej Jalisco.

- Możemy zrobić to szybko lub powoli - mówi Ramos Artowi.

Ramos wyciąga dwa cygara z kieszeni koszuli, podaje jedno Artowi, wzrusza ramionami, gdy ten odmawia. Długo zapala cygaro, wałkuje je, żeby się równo paliło, potem porządnie się zaciąga i unosi czarne brwi, patrząc na Arta.

Teologowie mają rację, myśli Art - stajemy się tym, czego nienawidzimy.

Potem się odzywa.

- Wolę szybszy sposób.

- Więc wróć tu za jakiś czas - mówi Ramos.

- Nie - odpowiada Art. - Chcę zrobić swoją część.

- Oto odpowiedź prawdziwego mężczyzny - mówi Ramos - ale ja nie życzę sobie żadnych świadków.

*

Ramos prowadzi szefa policji Jalisco i dwóch *federales* do celi w suterenie.

- Nie mam czasu, żeby się z wami cackać - oznajmia Ramos. - W tym cały problem: teraz boicie się Miguela Ángela Barrery bardziej niż mnie. Musimy to zmienić.

- Proszę - mówi szef - jesteśmy policjantami.

- Nie, to ja jestem policjantem - mówi Ramos wciągając czarne, specjalnie wzmocnione rękawiczki. - Człowiek, którego porwaliście, jest policjantem. Wy jesteście kupą gówna.

Podnosi ręce i pokazuje im rękawiczki.

- Nie lubię brudzić sobie rąk - oznajmia.

- Na pewno razem coś wymyślimy - próbuje szef policji.

- Na pewno nie - mówi Ramos.

Zwraca się do wyższego, młodszego *federate*.

- Podnieś ręce do góry i broń się.

Federate otwiera szeroko oczy z przerażenia. Potrząsa głową, nie podnosi rąk.

- Jak chcesz - wzrusza ramionami Ramos.

Wali go w twarz, a potem całą swoją siłą wkłada w trzy lewe sierpowe w żebra. Rękawice roztrzaskują kość i chrząstkę. Policjant zaczyna upadać, ale Ramos chwytą go lewą ręką, a prawą uderza go jeszcze trzy razy. Potem rzuca nim o ścianę, obraca i zadaje ciosy z prawej i z lewej w nerki. Przytrzymuje go przy ścianie za kark i mówi:

- Przyniosłeś wstyd swojemu krajowi. Co gorsza, przyniosłeś wstyd mojemu krajowi - i trzymając go jedną ręką za kark, drugą łapie za pas i z całej siły rzuca nim przez pokój na przeciwległą ścianę. Głowa *federates* z głuchym odgłosem uderza o beton. Kark mu trzeszczy. Ramos powtarza tę czynność kilka razy, wreszcie pozwala mężczyźnie osunąć się na podłogę.

Ramos siedzi na trzynożnym drewnianym stołku i pali cygaro, a pozostali dwaj gliniarze gapią się na swojego nieprzytomnego kolegę, który leży twarzą do dołu, ze spazmatycznie drżącymi nogami.

Ściany zbryzgane są krwią.

- Teraz - mówi Ramos - boicie się mnie bardziej niż Barrery, więc możemy zacząć. Gdzie jest ten amerykański policjant?

Opowiadają mu wszystko, co wiedzą.

- Zawieźli go do Güero Méndeza i Raúla Barrery - informuje Ramos Arta. - Jest tam doktor Álvarez, więc myślę, że wasz przyjaciel raczej jeszcze żyje.

- Skąd ta myśl?

- Álvarez pracował kiedyś w DFS - mówi Ramos. - Jako przesłuchujący. Hidalgo musi wiedzieć coś, czego oni potrzebują, *si?*

- Nie - mówi Art. - On nic nie wie.

Arta ściska w żołądku. Torturują Erniego, żeby dowiedzieć się, kim jest Chupar.

A Chupar nie istnieje.

*

- Powiedz mi to - mówi Tío.

- Nie wiem - jęczy Ernie.

Tío kiwa głową doktorowi Álvarezowi. Doktor zakłada rękawicę kuchenną i bierze rozpalony do białości pręt, który wkłada...

- Boże! - krzyczy Ernie. Potem oczy wychodzą mu na wierzch, a głowa pada na stół, do którego przypięli go pasami. Ma zamknięte oczy, jest nieprzytomny, a serce, które jeszcze przed chwilą waliło jak szalone, teraz niebezpiecznie zwalnia.

Doktor zdejmując rękawicę i wstrzykuje Erniemu w ramię lidokainę. Narkotyk utrzyma go przy świadomości, ale będzie czuł ból. Podtrzyma również pracę serca. Chwilę później Amerykanin podrywa głowę i otwiera oczy.

- Nie pozwolimy ci umrzeć - mówi Tío. - Teraz porozmawiajmy. Powiedz mi, kim jest Chupar.

Wiem, że Art mnie teraz szuka, myśli Ernie.

Porusza niebo i ziemię.

- Nie wiem - dyszy. - Nie wiem, kim jest Chupar.

Doktor sięga po metalowy pręt.

Chwilę później Ernie krzyczy:

- O Bożeeeeeee...!

*

Art patrzy, jak zapala się płomyk, potem się chwieje, a następnie strzela prosto w niebo. Klęczy przed rzędem świec wotywnych i modli się za Erniego. Do Marii Dziewicy, do świętego Antoniego, do samego Chrystusa.

Główną nawą katedry nadchodzi wysoki, postawny mężczyzna.

- Ojciec Juan.

Ksiądz niewiele się zmienił przez te dziewięć lat. Jego siwe włosy nieco się przerzedziły, brzuch mu trochę urósł, ale w szarych oczach wciąż płonie ten sam ogień.

- Modlisz się - mówi Parada. - Myślałem, że nie wierzysz w Boga.

- Teraz zrobię wszystko.

Parada kiwa głową.

- Mogę ci jakoś pomóc?

- Znasz Barrerów.

- Chrzcilem ich, udzielałem im pierwszej komunii, bierzmowałem ich. - Dałem ślub Adánowi, myśli Parada. Trzymałem jego zniekształcone, śliczne maleństwo w ramionach.

- Muszę się z nimi skontaktować.

- Nie wiem, gdzie teraz są.

- Myślałem o radiu - mówi Art. - O telewizji. Szanują księdza. Wysłuchają.

- No, nie wiem - odpowiada Parada - ale mogę spróbować.

- Teraz? Zaraz?

- Oczywiście - stwierdza Parada, i dodaje - mogę wysłuchać twojej spowiedzi.

- Teraz nie ma na to czasu.

Jadą więc do rozgłośni radiowej i Parada nadaje swoją wiadomość „dla tych, którzy porwali amerykańskiego policjanta”. Błaga ich, w imię Boga Ojca, Jezusa Chrystusa i Najświętszej Marii Panny oraz wszystkich świętych, żeby uwolnili mężczyznę. Prosi ich, aby zajrzeli w głąb swoich dusz, a potem, ku zaskoczeniu Arta, posuwa się do ostatecznego argumentu i grozi im ekskomuniką, jeśli policjantowi stanie się jakakolwiek krzywda.

Skazuje ich z całą swą władzą i mocą na wieczne piekło.

Potem jeszcze raz mówi o nadziei na zbawienie.

- Uwolnijcie go i wróćcie do Boga. Jego wolność będzie też waszą wolnością.

- ...dali mi adres - mówi Ramos.

- Co takiego? - pyta Art. Właśnie słuchał audycji Parady w biurze.

- Powiedziałem, że dali mi adres - powtarza Ramos. Przez ramię przewiesił uzi. - Mi esposa. Idziemy.

Dom znajduje się na niczym nie wyróżniającym się przedmieściu. Dwa fordy Ramosa z członkami sił specjalnych DFS zajeżdżają z rykiem. Wyskakują z nich ludzie. Z okien rozpoczyna się ostrzał - długie, chaotyczne serie z AK. Ludzie Ramosa padają na ziemię i zaczynają strzelać krótkimi seriami. Strzelanina ustaje. Ubezpieczony przez swoich ludzi Ramos wraz z dwoma innymi mężczyznami forsuje drzwi taranem i wdzierają się do środka.

Art wbiega za nim.

Nie widzi nigdzie Erniego. Zagląda do każdego pokoju w małym domu, ale znajduje tylko pod oknami dwóch martwych *gomer*os, każdego z dziurą w czole. O przeciwległą ścianę opiera się ranny. Drugi stoi z rękami w górze.

Ramos wyciąga pistolet i przystawia go do głowy rannego.

- *Dónde?* - pyta Ramos. Gdzie?

- *No sé.*

Art wzdraga się, gdy Ramos pociąga za spust i mózg mężczyzny rozpryskuje się na ścianie.

- Jezu! - krzyczy Art.

Ramos jakby go nie słyszał. Przystawia pistolet do skroni drugiego *gomer*os.

- *Dónde?*

- *Sinaloa!*

- *Dónde?*

- *Un rancho de Güero Méndez!*

- *Cómo lo encuentro?*

- *No sé! No sé! No sé! Por favor! Por favor! Por el amor de Dios!*

Art łapie Ramosa za nadgarstek.

- Nie.

Ramos przez chwilę wygląda, jakby chciał zastrzelić Artę. Potem opuszcza pistolet i mówi:

- Musimy znaleźć tę farmę, zanim przeniosą go gdzie indziej. Powinieneś mi pozwolić zastrzelić tego gnoja, żeby nie mógł gadać.

Gomero zaczyna szlochać.

- *Por el amor de Dios!*

- Ty nie masz żadnego boga, sukinsynu - mówi Ramos i wali go w tył głowy. - *Te voy a mandar pa'l carajo!*

Zaraz wyślę cię do piekła.

- Nie - mówi Art.

- Jeśli *federales* dowiedzą się, że wiemy o Sinaloi - oznajmia Ramos - przeniosą Hidalgo, zanim zdążymy go znaleźć.

Jeśli go znajdziemy, myśli Art. Sinaloa to wielki, rolniczy region. Zlokalizowanie farmy, to tak jak znalezienie konkretnej farmy w Iowa. Ale zabicie tego faceta i tak nic nie pomoże.

- Odizolujmy go - mówi Art.

- *Ay, Dios! Qué chingón que eres!* - wrzeszczy Ramos.

- O Boże! Jesteś wrzodem na dupie!

Jednak Ramos rozkazuje jednemu ze swoim ludzi, żeby zabrał *gomero* i wycisnął z niego resztę informacji.

- I na miłość boską, nie pozwól mu z nikim rozmawiać - ostrzega - bo inaczej wepchnę ci jaja w gębę.

Potem Ramos patrzy na leżące zwłoki.

- I wyrzućcie tego śmiecia - mówi.

*

Adán Barrera słyszy wezwanie Parady przez radio.

Znajomy głos biskupa przemawia w tle rytmicznych jęków Hidalgo.

Potem pada groźba ekskomuniki.

- Gówniane przesady - mówi Güero.

- To był błąd - mówi Adán.

Wpadka. Wielka omyłka. Amerykanie zareagowali gwałtowniej niż się tego spodziewał i wywarli ogromny ekonomiczny i polityczny nacisk na Mexico City. Pieprzeni Amerykanie zamknęli granicę i zostawili tysiące ciężarówek uwięzionych na drodze z gnijącym w upale ładunkiem, generując koszty. Do tego Amerykanie grożą wypowiedzeniem pożyczek, przyduszeniem Meksyku przez Międzynarodowy Fundusz Walutowy, wywołaniem kryzysu walutowego, co praktycznie zniszczy peso. Zatem nawet nasze kupowanie przyjaciół w Meksyku zwraca się przeciwko nam, i dlaczego nie? *Federales* i DFS oraz armia odpowiadają na groźby Amerykanów, maglują wszystkich członków kartelu, jakich mogą dopaść, robią naloty na domy i rancza... chodzą nawet słuchy, że pułkownik DFS pobił podejrzanego na śmierć i zastrzelił trzech innych, więc zginęło już czterech Meksykan za tego jednego Amerykanina, ale najwyraźniej nikt o to nie dba, bo to tylko Meksykanie.

To porwanie było olbrzymim błędem, tym większym, że mimo wszelkich wysiłków nie poznali tożsamości Chupara.

Ten Amerykanin też jej chyba nie zna.

Powiedziałby. Nie zniósłby skrobienia po kościach, elektrod, rozgrzanego pręta. Gdyby wiedział, powiedziałby. Teraz leży i jęczy w sypialni, która stała się salą tortur. Nawet Doktor poddał się i powiedział, że więcej od niego nie wydobędzie, a jankesi i ich *lambiosos* deptają mi po piętach, nawet mój stary ksiądz posyła mnie do piekła.

„Uwolnijcie go i wróćcie do Boga”.

„Uwolnijcie go i wróćcie do Boga”.

Może, myśli Adán.

Może masz rację.

*

Ernie Hidalgo egzystuje teraz w dwubiegunowym świecie.

Jest ból, albo nie ma bólu, i to wszystko.

Jeśli życie oznacza ból, jest złe.

Jeśli śmierć oznacza brak bólu, jest dobra.

Próbuje umrzeć. Utrzymują go przy życiu kroplówkami z roztworu soli fizjologicznej. Próbuje zasnąć. Utrzymują go w stanie czuwania zastrzykami z lidokainy. Monitorują jego serce, puls, temperaturę, nie pozwalają mu umrzeć i przerwać bólu.

I w kółko te same pytania: Kim jest Chupar? Co ci powiedział? Jakie nazwiska ci podał? Kto z nich jest w rządzie? Kim jest Chupar?

I zawsze te same odpowiedzi: Nie wiem. Powiedziałem wam wszystko, co wiem. Nikt. Nie wiem.

Potem znowu ból, potem zabiegi lekarskie, potem znowu ból.

Potem pytanie.

Ni stąd, ni zowąd, nowe pytanie i nowe słowo.

- Co to jest Cerber? Słyszałeś o Cerberze? Czy Chupar mówił cokolwiek o Cerberze?
Co ci powiedział?

- Nie wiem. Nie, nie słyszałem. Nie, nie mówił. Nic mi nie powiedział. Przysięgam na Boga. Przysięgam na Boga. Przysięgam na Boga.

- A co z Artem? Rozmawiał z tobą o Cerberze? Czy kiedykolwiek wspominał o Cerberze? Czy słyszałeś, żeby z kimś rozmawiał o Cerberze?

- Cerber, Cerber, Cerber...

- Znasz przecież to słowo.

- Nie. Przysięgam na Boga. Przysięgam na Boga. Boże, pomóż mi. Boże, pomóż mi.
Proszę, Boże, pomóż mi.

Doktor wychodzi z pokoju i zostawia go sam na sam z bólem. Ernie zostaje sam i zastanawia się, gdzie jest Bóg, gdzie jest Arthur? Gdzie są Jezus, Matka Boska i Duch Święty? Maryjo, okaż mi litość.

Litość nadchodzi, ale, niespodziewanie, w osobie Doktora.

Raúl to zasugerował.

- Kurwa, te jęki doprowadzają mnie do szału - mówi Doktorowi. - Nie możesz sprawić, żeby się zamknął?

- Mogę mu coś dać.

- To daj - mówi Adán. Jego również dręczą te jęki. A skoro planują wypuścić Amerykanina, lepiej go zostawić w jak najlepszym stanie. I tak kiepsko z nim, ale przynajmniej jest żywy. Poza tym Adán ma pomysł, jak zwrócić tego gliniarza, a w zamian dostać to, czego chcą.

Musi znowu dopaść Arturo.

- Heroinę? - pyta Doktor.

- Ty jesteś lekarzem - mówi Raúl.

Heroinę, myśli Adán. Rodzime meksykańskie błoto. Co za ironia.

- Daj mu - poleca Doktorowi.

Ernie czuje igłę w ramieniu. Znajome ukłucie i szczypanie, a potem coś innego - błogosławiona ulga.

Nie ma bólu.

Nie tyle, że go nie ma; raczej można to porównać do obojętności, jakby unosił się na

chmurze, wysoko, ponad bólem. Obserwowany i obserwator. Ból ciągle jest, ale gdzieś daleko.

Eloi, eloi, dzięki ci.

Matko Boska meksykańskiego błota.

Mmmmmmm...

*

Art i Ramos studiują w gabinecie Kellera mapy Sinaloi i porównują je z raportami wywiadu na temat pól marihuany i Güero Méndeza. Próbuje zawęzić obszar. W telewizji pracownik biura meksykańskiego prokuratora generalnego zapewnia: „W Meksyku nie istnieje coś takiego jak gang narkotykowy”.

- Mógłby pracować dla nas - mówi Art.

Może i nie istnieje w Meksyku kategoria gangu narkotykowego, myśli Art, ale z pewnością istnieje w Stanach Zjednoczonych. W chwili, gdy dostali informację o zniknięciu Erniego, Dantzler zablokował transport kokainy w dwóch kierunkach.

Adán o włos wymknął mu się z meliny domu w San Diego, ale nalot był imponujący.

Na wschodnim wybrzeżu znowu trafił na żyłę złota i przymknął Jimmy'ego „Wielkiego Brzoskwinie”, *capo* w rodzinie Cimino. FBI z Nowego Jorku przekazało wszystkie zdjęcia członków grupy, jakie tylko miało. Art ogląda je, kiedy widzi coś, przez co robi mu się zimno w jaja.

Fotografia została najwyraźniej zrobiona przed jakimś ulubionym miejscem spotkań. Jest na niej gruby Jimmy Piccone i jego równie otyły młodszy brat, i paru innych kolesi, a także ktoś jeszcze.

Sal Scachi.

Art dzwoni natychmiast do Dantzlera.

- Taak, to Salvatore Scachi - mówi Dantzler. - Ważna postać w rodzinie Cimino.

- W grupie Picconów?

- Chyba jednak nie - odpowiada Dantzler. - Jest kimś w rodzaju cyngla bez przydziału. Odpowiada bezpośrednio przed samym Calabrese. I posłuchaj tego, Art. Facet był pułkownikiem w amerykańskiej armii.

Niech to szlag, myśli Art.

- Jest coś jeszcze, Art - ciągnie Dantzler. - Ten Piccone, Jimmy Brzoskwinia. FBI ma go na oku od kilku miesięcy. Jest bardzo przedsiębiorczy. Macza paluchy w rozmaitych interesach.

- Koka?

- Tak jest - mówi Dantlzer. - I broń. Wygląda na to, że jego grupa jest zaangażowana w sprzedaż zrabowanej broni.

Art słyszy, że dzwoni telefon na drugiej linii i wpada Shag.

- Art!

Art kończy rozmowę z Dantzlerem i odbiera drugi telefon.

- Musimy pogadać - słyszy głos Adána.

- Skąd mam wiedzieć, że go macie?

- Wewnątrz obrączki ślubnej ma wygrawerowany napis *Eres toda mi vida*.

Jesteś całym moim życiem.

- Skąd mam wiedzieć, że jeszcze żyje?

- Chcesz, żeby krzyknął?

- Nie! - mówi Art. - Gdzie?

- W katedrze. Ojciec Juan zagwarantuje bezpieczeństwo nam obu. Zobaczę jednego glinę, Art, i twój człowiek jest martwy.

W tle słyszy jęki Erniego i coś jeszcze, coś, przez co robi mu się jeszcze zimniej.

- Co wiesz o Cerberze?

*

Art klęczy w konfesjonale.

Zasłona jest zaciągnięta. Art nie może zobaczyć twarzy człowieka z drugiej strony i podejrzewa, że jest to element tej świętokradczej maskarady.

- Ostrzegaliśmy cię, wciąż i wciąż - mówi Adán. - A ty nie posłuchałeś.

- Żyje?

- Żyje - odpowiada Adán. - A teraz od ciebie zależy, czy będzie żył dalej.

- Jeśli umrze, znajdę cię i zabiję.

- Kim jest Chupar?

Art już to przemyślał - jeśli powie Adánowi, że Chupar nie istnieje, Ernie dostanie kulkę w łeb. Musi więc to przeciągnąć.

- Najpierw oddajcie Hidalgo - mówi więc.

- Tak to nie przejdzie.

Art czuje, że serce niemal przestaje mu bić, kiedy mówi:

- W takim razie nie mamy o czym rozmawiać.

Zaczyna wstawać. Wtedy zatrzymuje go głos Adána:

- Musisz mi coś dać, Art. Coś, na co mogę się powołać.

Art klęka z powrotem. Ojczy, wybacz mi, za chwilę zgrzeszę.

- Przerwę wszystkie operacje przeciwko Federacji - mówi. - Wyjadę z kraju, odejdę z DEA.

Bo tak, do cholery, będzie lepiej? Przecież wszyscy tego oczekują - przełożeni, rząd, nawet żona. Jak tylko skończę tę głupią wymianę za życie Erniego...

- Wyjedziesz z Meksyku? - pyta Adán.

- Tak.

- I zostawisz naszą rodzinę w spokoju? Teraz, kiedy już doprowadziłeś do kalectwa mojej córki.

- Tak.

- Skąd mam wiedzieć, że dotrzymasz słowa?

- Przysięgam na Boga.

- To za mało.

Za mało?

- Wezmę pieniądze - mówi Arthur. - Otwórzcie dla mnie rachunek, ja podejmę pieniądze. Wtedy uwolnicie Erniego. Kiedy go zobaczę, powiem ci, kim jest Chupar.

- I wyjedziesz.

- Nie zostanę tu ani sekundy dłużej niż będzie to konieczne, Adanie.

Art czeka całą wieczność, aż Adán rozważy propozycję. Modli się w duchu jednocześnie do Boga i do diabła, żeby się zgodził.

- Na konto w First Georgetown Bank na Kajmanach zostanie przelane sto tysięcy - mówi Adán. - Zadzwoń do ciebie i podam ci numer. Podejmiesz siedemdziesiąt drogą elektroniczną. Kiedy tylko transakcja zostanie dokonana, uwolnimy twojego człowieka. Następnym lotem wylatujecie z Meksyku. I, Art, nigdy tu nie wracaj.

Zamyka z trzaskiem okienko.

*

Fale narastają, a potem rozbijają o jego ciało.

Fale bólu, za każdym razem coraz mocniejszego.

Ernie chce jeszcze narkotyku.

Słyszy, że drzwi się otwierają.

Czy niosą mu narkotyk?

A może znowu zadadzą mu ból?

Güero patrzy z góry na amerykańskiego gliniarza. Tuziny okrągłych ranek od szpikulca do lodu są obrzmiałe i zainfekowane. Facet ma posiniaczoną i opuchniętą od bicia twarz. Nadgarstki, stopy i genitalia są popalone elektrodami, jego tyłek... Smród jest niesamowity -

zainfekowane rany, siki, gówno, pot.

Oporządź go, rozkazał mu Adán. Jakim prawem Adán Barrera wydaje mu rozkazy? Kiedy ja zabijałem ludzi, on sprzedawał dzinsy małodatom. A teraz wrócił, zawarł układ - bez wiedzy i zgody M-1 - i uwolni tego człowieka, i za co? Za puste obietnice amerykańskiego gliny? Który nie wiadomo co robi, myśli Güero, kiedy zobaczy swojego okaleczonego przyjaciela? Kogo Adán chce oszukać? Hidalgo będzie miał szczęście, jeśli przeżyje jazdę samochodem. A nawet jeśli, to prawdopodobnie straci nogi. I pewnie ręce też. Jaki spokój zamierza kupić Adán za ten strzęp krwawiącego, śmierdzącego, gnijącego ciała?

Pochyla się nad Hidalgo i mówi:

- Zabieramy cię do domu.

- Do domu?

- *Sí* - mówi Güero. - Wracasz do domu. Teraz uśniesz, a jak się obudzisz, będziesz w domu.

Wbija igłę w żyłę Erniego i naciska tłok.

Meksykańskie błoto działa już po sekundzie.

Ernie podskakuje i niekontrolowanie wierzga nogami.

Mówią, że uderzenie heroiny jest jak pocałunek Boga.

*

Art patrzy na nagie ciało Erniego.

Leży w pozycji embrionalnej owinięty w kawał czarnej folii w rowie przy gruntowej drodze w Badiraguato. Jego zaschnięta krew odcina się od błyszczącej czarnej powierzchni folii. Na oczach ciągle ma czarną opaskę. Poza nią nie ma na sobie nic. Art widzi otwarte rany w miejscach, gdzie wbijali mu szpikulec i robili dziury w kościach, oparzenia od elektrod, ślady gwałtu analnego, ślady ukłuć na ramionach po wstrzykiwaniu lidokainy i heroiny.

Co ja zrobiłem, pyta sam siebie Art. Dlaczego ktoś inny musiał zapłacić za moją obsesję?

Przykro mi, Ernie. Cholernie mi przykro.

Są tu gliniarze - *federales* i policja stanowa Sinaloi - wszędzie. Najpierw przyjechała policja stanowa i zabezpieczyła teren, niewyraźne ślady opon, odciski stóp i palców, wszystkie dowody, które mogą pomóc w ustaleniu mordercy. Teraz kontrolę przejmują *federales* i robią to wszystko jeszcze raz, upewniając się, że nic nie zostało przeoczone.

Do Arta podchodzi *comandante* i mówi:

- Niech się pan nie martwi. Zrobimy wszystko, żeby dowiedzieć się, kto to zrobił.

- Wiemy, kto to zrobił - odpowiada Art. - Miguel Ángel Barrera.

Shag Wallace traci panowanie nad sobą.

- Do diabła, to trzech waszych pierdolonych ludzi go porwało!

Art odciąga go na bok. Prowadzi go do samochodu, kiedy z rykiem silnika zajezdza dżip i wyskakuje z niego Ramos.

- Znaleźliśmy go - mówi.

- Kogo?

- Barrerę. Musimy tam jechać, szybko.

- Gdzie on jest?

- W Salwadorze.

- W jaki...

- Najwyraźniej mała laseczka M-1 zatęskniła za domem - wyjaśnia Ramos. - Zadzwoń do mamusi i tatusia.

Salwador

Luty 1985

Salwador, El Salvador, „Zbawca”, to mały kraj rozmiaru stanu Massachusetts położony na wybrzeżu Pacyfiku na przesmyku Ameryki Środkowej. Nie jest to republika bananowa jak sąsiedni Honduras, ale republika kawowa, gdzie robotnicy cieszą się opinią tak pracowitych, że nazywa się ich „Niemcami Ameryki Środkowej”.

Ciężka praca nie przynosi im dobrobytu. Tak zwane Czterdzieści Rodzin, około dwóch procent trzypółmilionowej obecnie populacji, od zawsze posiada niemal całą żyzną ziemię, w większości w postaci olbrzymich *fincas* - plantacji - kawowych. Ponieważ większość ziemi przeznaczona jest pod uprawę kawy, niewiele zostaje na uprawę żywności, więc do połowy dziewiętnastego wieku większość zapracowanych salwadorskich *campesinos* praktycznie głodowała.

Art patrzy na zielony krajobraz. Z góry wygląda tak spokojnie - naprawdę ładnie - ale wie, że ta ziemia zabija.

Do pierwszych większych rzezi doszło w latach osiemdziesiątych, kiedy *campesinos* zaczęli masowo wstępować do Frontu Wyzwolenia Narodowego imienia Martíego lub do związków zawodowych, a studenci i księża zorganizowali ruch na rzecz robotników i reform ziemskich. W odpowiedzi Czterdzieści Rodzin utworzyło prawicową milicję zwaną ORDEN - akronim hiszpańskiego słowa oznaczającego „porządek” - mając na myśli przywrócenie

starego porządku.

ORDEN, której większość członków stanowili czynni oficerowie salwadorskiej armii, otrzymało prawo do działania. *Campesinos*, robotnicy, studenci i księża zaczęli znikać, ich ciała znajdowano na poboczach dróg, a głowy na boiskach szkolnych jako przestroga dla obywateli.

Z pomocą ruszyły Stany Zjednoczone realizujące swój zimnowojenny program. Wielu oficerów ORDEN przeszło szkolenia w amerykańskich szkołach. Armia salwadorska otrzymała w darze od Amerykanów helikoptery Bell, samoloty transportowe C-47, karabiny M-16 i karabiny maszynowe M-60 w ramach wsparcia polowania na partyzantów FWNM, rolników, studentów i księży. Zabili wielu partyzantów, ale również setki studentów, nauczycieli, rolników, robotników i duchownych.

Nie, żeby członkowie FWNM byli aniołami, myśli Art. Sami mordowali i organizowali porwania. Ale ich wyczyny bladły w porównaniu ze świetnie zorganizowaną, doskonale wyposażoną armią salwadorską i jej *doppelgänger* ORDEN.

Siedemdziesiąt pięć tysięcy ofiar, myśli Art, kiedy samolot ląduje w kraju, który stał się masowym grobowcem. Milion uchodźców, milion bezdomnych. Z populacji liczącej pięć i pół miliona.

*

Główny hol Sheratona jest błyszczący i czysty.

Dobrze ubrani, zamożni ludzie relaksują się w klimatyzowanym holu lub chłodnym, ciemnym barze. Wszyscy są tacy czysti i ładnie ubrani - w cienkie płótna, białe suknie i jasne marynarki charakterystyczne dla tropików.

Tak tu miło, myśli Art. I tak amerykańsko.

Wszędzie widzi Amerykanów. Piją piwo w barze, sączą colę w kawiarni, a większość z nich do doradcy wojskowi. Są po cywilnemu, ale i tak zdradza ich wojskowy wygląd - króciutko ostrzyżone włosy, koszulki polo z krótkim rękawem, dżinsy i tenisówki lub błyszczące brązowe wojskowe buty.

Kiedy w Nikaragui władzę przejęli sandiniści, Salwador stał się amerykańskim gettem wojskowym. Amerykanie są tutaj rzekomo po to, aby doradzać armii salwadorskiej podczas wojny z partyzantami FWNM, ale oprócz tego pilnują, żeby Salwador nie stał się następną przewróconą kostką domina w Ameryce Środkowej. Są tu więc amerykańscy wojskowi doradzający Salwadorczykom, amerykańscy wojskowi doradzający Contras i są szpiedzy.

Typków z Firmy równie łatwo rozpoznać jak żołnierzy po służbie. Ubierają się lepiej - noszą szyte na miarę garnitury z koszulą bez krawata, zamiast sportowych ubrań. Mają

eleganckie fryzury - nawet jeśli trochę za długie jak na aktualną modę latynoamerykańską - i noszą drogie buty. Jeśli zobaczysz szpiega w tenisówkach, myśli Art, to znaczy, że gra on właśnie w tenisa.

Są więc żołnierze i szpiegzy, i są ludzie z ambasady - którzy mogą nie być ani żołnierzami, ani szpiegami, mogą być jednym albo drugim, albo i jednym, i drugim. Oficjalnie to dyplomaci i pracownicy konsulatu, którzy zajmują się zwykłymi sprawami, wizami, zgubionymi paszportami i amerykańskimi dziećmi aresztowanymi za wagary i/lub używanie narkotyków. Są tam jeszcze attaché kulturalni, sekretarki, maszynistki; są też attaché wojskowi, którzy wyglądają tak samo, jak doradcy wojskowi, tylko są trochę lepiej ubrani; są też pracownicy ambasady noszący fikcyjne tytuły, a w rzeczywistości będący szpiegami. Siedzą w ambasadach i kontrolują transmisje radiowe z Managui, nadstawiając uszu na wszelki ślad kubańskiego akcentu, a jeszcze lepiej rosyjskiego. Albo też pracują „na ulicy”, jak to nazywają, i spotykają się ze swoimi informatorami właśnie w takich miejscach jak bar w Sheratonie. Próbuje dowiedzieć się, który pułkownik jest na wylocie, kto może planować następny *golpe* - przewrót - i czy to dobrze, czy źle.

Mamy tu więc waszych wojskowych, szpiegów, pracowników ambasady i szpiegów z ambasady, a ponadto mamy tu waszych ludzi interesu.

Kupców kawy, kupców bawełny, kupców cukru.

Kupcy kawy wyglądają na zadomowionych. Przynajmniej powinni, myśli Art. Ich rodziny są tu od pokoleń. Cieszą się przywilejami posiadaczy tego miejsca - to ich bar, ich i salwadorskich hodowców, z którymi jedzą lunch na przestronnym patio. Kupcy bawełny i cukru bardziej przypominają typowych amerykańskich korporacjonistów - ci są świeżsi w salwadorskim krajobrazie - i dopiero muszą weń wrosnąć. Wyglądają nieszczęśliwie, dziwnie nie na miejscu bez krawatów.

Mamy tu więc wielu Amerykanów i wielu bogatych Salwadorczyków, pozostali Salwadorczycy, jakich możesz oglądać, to pracownicy hotelowi i tajna policja.

Tajna policja, myśli Art. Teraz jest to tylko oksymoron. Jeśli chodzi o tajną policję, to jedyną tajemnicą jest to, w jaki sposób udaje im się tak bardzo rzucać w oczy. Art stoi w holu i namierza ich jak bombki na choince. To proste - tanie garnitury kiepsko imitują drogie, szyte na miarę ubrania wyższej klasy. I chociaż starają się wyglądać jak ludzie interesu, zdradzają ich brązowe, zniszczone twarze *campesinos*. Żaden *ladino* z Czterdziestu Rodzin nie zamierza wstępować do policji, tajnej czy jakiegokolwiek innej, więc faceci przeznaczeni do monitorowania gości Sheratona wciąż wyglądają jak wieśniacy, którzy przyjechali do miasta na ślub kuzyna.

Jednak Art wie, że tajna policja w społeczeństwie takim jak to nie ma się wtapiać w tło, lecz być widoczna. Zauważalna. By wszyscy wiedzieli, że Wielki Brat patrzy.

I robi notatki.

Ramos znajduje faceta, którego szuka. Idą do pokoju i zaczynają negocjacje. Godzinę później Ramos i Art są w drodze do domu, gdzie Tío zaszył się ze swoją lolką.

Droga przez Salvador jest długa, przerażająca i smutna. Salvador to najgęściej zaludniony kraj w Ameryce Środkowej, a gęstość zaludnienia ciągle jeszcze wzrasta. Art wszędzie widzi na to dowody. Małe nędzne wioski zdają się zajmować każde wolne miejsce przy drodze - w kulawych straganach z tektury, zardzewiałej blachy, sklejki lub po prostu z ziemi sprzedaje się wszystko, co mogą kupić ludzie, którzy nie mają za co kupować. Sprzedawcy zrywają się na widok dżipa z gringo na przednim siedzeniu. Samochód okrążają dzieci proszące o jedzenie, pieniądze, cokolwiek.

Art nie zatrzymuje się.

Musi dostać się do posiadłości, zanim Tío znowu zniknie.

W Salvadorze ludzie znikają cały czas.

Czasem kilkaset osób tygodniowo. Porywani przez prawicowe plutony egzekucyjne po prostu znikają. A jeśli ktoś zacznie o nich pytać, znika także.

Wszystkie slumsy Trzeciego Świata są takie same, myśli Art - jest tu takie samo błoto lub kurz, w zależności od klimatu i pory roku, ten sam zapach węglowych kuchenek i otwartych kanałów ściekowych, ta sama rozdzierająco monotonna sceneria z niedożywionymi dziećmi z wyдутymi brzuchami i wielkimi oczami.

To nie Guadalajara, gdzie liczna i nieźle prosperująca klasa średnia wypełnia nieco przepaść między bogatymi i biednymi. Nie w Salvadorze, myśli Art, gdzie nędzne slumsy oblepiają błyszczące wieżowce jak kryte strzechą chaty średniowiecznych wieśniaków mury zamków. Z tym wyjątkiem, że tych zamków strzegą prywatni ochroniarze z automatycznymi karabinami i pistoletami maszynowymi. A nocą ci strażnicy wyjeżdżają zza zamkowych murów i robią sobie rajd przez wioski - w dżipach zastępujących końskie grzbiety - i zarzynają wieśniaków, porzucają ich ciała na skrzyżowaniach lub na środku wioskowych placów, gwałcą i mordują kobiety, zabijają dzieci na oczach rodziców.

Żeby ci, co przetrwają, znali swoje miejsce.

To zabójcza ziemia, myśli Art.

Salwador.

Zbawiciel, a niech mnie.

Budynek stoi wśród palm sto metrów od plaży.

Dom, garaż i mieszkania służby otacza kamienny mur z drutem kolczastym na szczycie. Potężna drewniana brama i budka strażnika bronią dostępu od prywatnej drogi.

Art i Ramos koczują pod murem trzydzieści metrów od bramy.

Kryjąc się przed blaskiem księżyca w pełni.

Tuzin salwadorskich komandosów rozmieścili co parę metrów wzdłuż muru.

Salwadorczycy zgodzili się na współpracę dopiero po wielu godzinach ciężkich negocjacji, ale wreszcie porozumienie zostało zawarte: mogą wejść, zgarnąć Barrerę, przewieźć go do amerykańskiej ambasady, wywieźć do Nowego Orleanu na pokładzie samolotu Departamentu Stanu i oskarżyć go o morderstwo pierwszego stopnia oraz rozprowadzanie narkotyków.

Przerażony agent nieruchomości został wyciągnięty z łóżka i zawleczony do biura, gdzie dał komandosom plan posiadłości.

Wstrząśnięty mężczyzna będzie przetrzymany pod kluczem do końca nalotu. Art i Ramos zapoznali się z planem i nakreślili koncepcję operacji. Ale muszą zrealizować ją szybko, zanim protektorzy Barrery w rządzie meksykańskim coś zwietrzą i dadzą mu cynk; muszą działać czysto - żadnego zamieszania, awantur, a przede wszystkim żadnych ofiar wśród obywateli Salwadoru.

Art sprawdza godzinę - jest 4.57.

Trzy minuty do godziny H.

Wiatr szarpie gałęziami drzew różanych, co przypomina Artowi Guadalajarę. Dostrzega wierzchołki drzew nad murem, ich fioletowe liście mieniają się srebrem w blasku księżyca. Z tyłu dobiega delikatny chłopot fal na plaży.

Sielanka kochanków, myśli.

Pachnący ogród.

Raj.

Miejmy nadzieję, że tym razem raj zostanie utracony na dobre, myśli. Miejmy nadzieję, że Tío mocno śpi, oszołomiony seksualnym wyczerpaniem, i że zostanie brutalnie z tego snu obudzony. Art oczyma wyobraźni widzi, jak Tío wleczony jest z gołą dupą do czekającego vana. Im więcej upokorzenia, tym lepiej.

Słyszy odgłos stóp, potem widzi, że idzie w ich stronę jeden ze strażników z prywatnej ochrony posiadłości, uważnie sprawdzając światłem latarki, czy pod ogrodzeniem nie czai się jakiś włamywacz. Art powoli przyciska się mocniej do muru.

Światło latarki pada mu prosto na twarz.

Strażnik sięga po pistolet, ale wtedy na jego szyi zaciska się pasek materiału, a potem Ramos podnosi go do góry. Strażnikowi oczy wychodzą na wierzch, a z ust wysuwa się język, wtedy Ramos opuszcza go na ziemię.

- Nic mu nie będzie - mówi.

Dzięki Bogu, myśli Art, ponieważ cywilna ofiara rozbija cały misterny układ. Patrzy na zegarek, jest dokładnie piąta i komandosi właśnie rozpoczynają akcję, bo Art słyszy stłumiony odgłos eksplozji, która rozsadza mur przy bramie.

Ramos patrzy na Arta.

- Twoja broń.

- Co?

- Powinna być w twojej ręce.

Art zawsze o tym cholerstwie zapomina. Wyciąga broń z kabury i biegnie za Ramosem przez wysadzoną bramę do ogrodu. Mijają mieszkania służby i leżących na ziemi przerażonych pracowników, w których celuje komandos z M-16. Art biegnie w stronę domu i próbuje przypomnieć sobie plan, ale buzująca adrenalina wypłukuje mu wszystko z pamięci, więc myśli: daj sobie spokój i po prostu biegnie za Ramosem, który porusza się przed nim szybkim, lecz spokojnym krokiem z esposą opartą na biodrze.

Art patrzy na ubranych na czarno snajperów, którzy obsiedli mur jak wrony i mierzą w dom z karabinów, gotowi strzelić do każdego, kto będzie próbował uciec. Nagle, tuż przed budynkiem, Ramos chwyta go i przyciska do ziemi. Rozlega się huk drugiej eksplozji i frontowe drzwi rozpadają się w drzazgi.

Ramos odsuwa szczątki desek.

Potem wchodzi do środka.

Art za nim.

Próbuje sobie przypomnieć - sypialnia, gdzie jest sypialnia?

*

Pilar siada na łóżku i krzyczy, kiedy wpadają przez drzwi.

Przyciska do piersi kołdrę i krzyczy jeszcze raz.

Tío - Art nie może w to uwierzyć, wszystko jest takie surrealistyczne - chowa się pod kołdrę. Owinął sobie głowę prześcieradłem jak małe dziecko, które myśli: jeśli ja nie widzę ich, to oni też mnie nie widzą. Art jednak widzi go wyraźnie. Pod wpływem adrenaliny Keller zdiera prześcieradło, łapie Tío za kark, szarpie do góry jak sztangę, a potem rzuca twarzą do dołu na drewnianą posadzkę.

Tío nie ma gołego tyłka, ma na sobie czarne jedwabne bokserki. Art czuje jak zjeżdżają

do dołu, kiedy przyciska Tío kolanem do ziemi, łapie go za podbródek i odchyła głowę do tyłu tak, że prawie łamie mu kark, a potem przystawia pistolet do skroni.

- Nie róbcie mu nic złego! - krzyczy Pilar. - Nie chcę, żeby coś mu się stało!

Tío wyrywa głowę z uścisku Arta, odwraca się w stronę dziewczyny. W jednym słowie zawiera najczystsza nienawiść:

- *Chocho.*

Suka.

Dziewczyna blednie, jest przerażona.

Art przyciska Tío twarzą do podłogi. Krew ze złamanego nosa Tío spływa po wypastowanej podłodze.

- Dawaj, dawaj, musimy się śpieszyć.

Art sięga po kajdanki przypięte do paska.

- Nie zapinaj go - mówi Ramos z nieskrywaną irytacją.

Art mruga.

A potem łapie - nie strzela się do człowieka, który próbuje uciekać, jeśli ma na rękach kajdanki.

- Chcesz to załatwić tutaj, czy na zewnątrz? - pyta Ramos.

On się spodziewa, myśli Art, że ja zastrzelę Barrerę. Myśli, że dlatego tak nalegałem na udział w akcji, bo chcę to zrobić. Kręci mu się w głowie, kiedy uświadamia sobie, że pewnie wszyscy tego oczekują. Wszyscy kumple z DEA, Shag - przede wszystkim Shag - spodziewa się, że wykorzysta starą zasadę, iż zabójca policjanta nigdy nie wraca do domu, bo zabójca policjanta zawsze ginie podczas próby ucieczki.

Chryste, naprawdę się tego spodziewają?

Tío na pewno tak. Mówi cicho, spokojnie, szyderczo.

- *Me maravilla que todavía estoy vivo.*

Dziwię się, że jeszcze żyję.

Nie dziw się aż tak bardzo, myśli Art, odciągając bezpiecznik.

- *Date prisa* - mówi Ramos.

Pośpiesz się.

Art patrzy na niego - Ramos zapala cygaro. Dwaj komandosi gapią się na niego niecierpliwie i zastanawiają, dlaczego ten głupi gringo nie zrobił jeszcze tego, co powinien.

Cały plan przewiezienia Tío do ambasady to jedna wielka ściema, myśli Art. Farsa mająca zadowolić dyplomatów. Pociągnę za spust, a wszyscy przysięgną, że Barrera stawiał opór przy aresztowaniu. Wyciąga broń. Muszę go zabić. Do ekspertyzy też nikt się specjalnie

nie przyłoży.

- *Date prisa.*

Z tym, że tym razem mówi to Tío. Jest rozdrażniony, wręcz znudzony.

- *Date prisa, sorbino.*

Pośpiesz się, siostrzeńcze.

Art łapie go za włosy i podnosi mu głowę do góry.

Przypomina sobie okaleczone ciało Erniego leżące w rowie.

Przybliża usta do ucha Tío i szepce:

- *Vete al demonio, Tío.*

Idź do diabła, wuju.

- Spotkamy się tam - odpowiada Tío. - To miałeś być ty, Arturo. Ale namówiłem ich, żeby zamiast ciebie porwać Hidalgo, ze względu na stare czasy. W przeciwieństwie do ciebie szanuję więzy rodzinne. Ernie Hidalgo zginął za ciebie. A teraz zrób to. Bądź mężczyzną.

Art kładzie palec na spuście. Ciężko jest, musi użyć więcej siły niż powinno.

Tío szeroko się do niego uśmiecha.

Art czuje obecność czystego zła.

Z psich pazurów.

Szarpnięciem stawia Tío na nogi.

Barrera uśmiecha się pogardliwie.

- Co robisz? - pyta Ramos.

- To, co zaplanowaliśmy - chowa pistolet i spina ręce Tío kajdankami na plecach. -
Idziemy.

- Ja to zrobię - mówi Ramos - jeśli jesteś nadwrażliwy.

- Nie, nie jestem - odpowiada Art. - *Vámonos.*

Jeden z komandosów zaczyna zarzucać kaptur na głowę Tío. Art powstrzymuje go, patrzy Tío prosto w twarzy i mówi:

- Zastrzyk albo komora gazowa, Tío. Pomyśl nad tym.

Tío tylko się uśmiecha.

Uśmiecha się do niego.

- Kaptur - rozkazuje Art.

Komandos naciąga Tío czarny kaptur i zawiązuje u dołu. Art łapie aresztowanego za skute kajdankami ręce i wyprowadza na zewnątrz.

Do pachnącego ogrodu.

Gdzie, myśli Art, drzewa różane nigdy jeszcze nie pachniały tak słodko. Słodko i

mdląco, myśli Art, jak kadzidło w kościele, które pamięta z czasów dzieciństwa. Pierwszy wdech był przyjemny; po następnym robiło mu się niedobrze.

Tak właśnie czuł się teraz, gdy prowadzili Tío do vana czekającego na ulicy, z tym, że przy vanie czeka dwadzieścia luf karabinów wycelowanych prosto w niego.

Nie w Tío.

W Arta Kellera.

Są to żołnierze z zawodowej armii salwadorskiej, a z nimi jankes w cywilnym ubraniu i błyszczących czarnych butach.

Sal Scachi.

- Mówiłem ci, Keller, że następnym razem cię zastrzelę.

Art rozgląda się i widzi snajperów przycupniętych na murze.

- W rządzie Salwadoru doszło do małej różnicy zdań - mówi Scachi. - Musieliśmy się tym zająć. Przykro mi, chłopcze, ale nie możemy go wypuścić.

Kiedy Art zastanawia się, kogo ma na myśli mówiąc „my”, Scachi daje znak głową i dwaj salwadorscy żołnierze zdejmują kaptur z głowy Tío. Nic dziwnego, że się sukinsyn uśmiechał, myśli Art. Wiedział, że odsiecz jest już blisko.

Kilku żołnierzy wyprowadza Pilar. Ma na sobie negliż, który jednak więcej podkreśla niż ukrywa, więc żołnierze otwarcie się na nią gapią. Gdy przechodzi obok Tío, szlocha:

- Przepraszam!

Tío pluje jej w twarz. Żołnierze trzymają ją za splecione na plecach ręce, więc nie może się wytrzeć. Ślina spływa jej po policzku.

- Nigdy ci tego nie zapomnę - mówi Tío.

Żołnierze prowadzą Pilar do vana.

Tío odwraca się do Arta.

- Tobie też nigdy tego nie zapomnę.

- Dobra, już dobra - mówi Scachi. - Nikt nikomu nie zapomni. Don Miguelu, proszę się w coś ubrać i zjeżdżamy stąd. A jeśli chodzi o was, Keller i Ramos, miejscowa policja chętnie wsadziłaby was do paki, ale pogadaliśmy z nimi i poprzestaną na deportacji. Samolot wojskowy już czeka. Więc jeśli rozwiązujemy to pizamowe przyjęcie...

- Cerber - mówi Art.

Scachi łapie go i odprowadza na bok.

- Co żeś kurwa powiedział?

- Cerber - powtarza Art. Wydaje mu się, że już wszystko rozumie. - Lotnisko w Ilopongo, Sal? Hangar numer 4?

Scachi gapi się na niego i mówi:

- Właśnie jako pierwszy wszedłeś do Panteonu Dupków.

Pięć minut później Art siedzi na przednim siedzeniu dżipa.

- Przysięgam na Chrystusa - mówi Scachi zza kierownicy - że gdyby to zależało ode mnie, dostałbyś z miejsca kulkę w tył głowy.

Ilopongo to oblegane lotnisko. Wszędzie stoją samoloty wojskowe, helikoptery i transportowce wraz z całym niezbędnym do ich obsługi personelem.

Sal kieruje dżipa w stronę rzędu dużych hangarów oznaczonych numerami od 1 do 10. Drzwi hangaru 4 otwierają się i Sal wjeżdża do środka.

Drzwi się zamykają.

W hangarze trwa krzątania. Parę tuzinów ludzi, niektórzy w mundurach, niektórzy w kombinezonach, wszyscy uzbrojeni, rozładowują samolot SETCO. Trzej mężczyźni stoją obok i rozmawiają. Z doświadczenia Art wie, że jeśli grupa ludzi pracuje, a kilku stoi obok i rozmawia, to ci, którzy rozmawiają kierują akcją.

Dostrzega ich twarze.

David Núñez. Wspólnik Ramóna Mette w SETCO, kubański emigrant, weteran operacji 40.

Núñez przerywa rozmowę i podchodzi do stosu skrzyń. Rzuci rozkaz i jeden z robotników otwiera skrzynię. Art patrzy, jak Núñez wyjmie granatnik jakby to był kultowy posążek. Zgorzkniali ludzie obchodzą się z bronią inaczej niż reszta z nas, myśli. Wydaje się, że między nimi a bronią istnieje jakaś instynktowna więź, jakby z cyngla wychodził drut biegnący przez ich kutasy do serca. A Núñez ma ten błysk w oku - kocha broń. Na plaży w Zatoce Świń zostawił swoje jaja i serce, a broń uosabia jego nadzieję na wymierzenie sprawiedliwości.

Na nowo nawiązały się stare narkotykowe koneksje Kuba-Miami-mafia, myśli Art, a koka lata z Kolumbii do Ameryki Środkowej, do Meksyku i do dilerów mafii w Stanach Zjednoczonych. Mafia płaci bronią dla Contras.

Meksykańska trampolina.

Sal wyskakuje z dżipa i podchodzi do młodego Amerykanina, który musi być oficerem po cywilnemu.

Znam tego gościa, myśli Art. Tylko skąd? Kim on jest?

Wtedy powraca wspomnienie. Kurwa, oczywiście, że znam tego faceta - razem zastawialiśmy w Wietnamie nocną zasadzkę podczas operacji Feniks. Cholera, jak on się nazywa? Wtedy był w siłach specjalnych, kapitan... Craig, tak.

Scott Craig.

Kurwa, Hobbs ma tu całą starą drużynę.

Art obserwuje, jak Scachi i Craig rozmawiają wskazując na niego. Uśmiecha się i macha. Craig łapie za radio i zaczyna z kimś gadać. Za nim Art widzi piętrzące się do sufitu paki z kokainą.

Scachi i Craig podchodzą do niego.

- To chciałeś zobaczyć, Art? - mówi Scachi. - Zadowolony?

- Tak, jestem wstrząśnięty do głębi.

- Daruj sobie te żarty - mówi Scachi.

Craig rzuca mu złe spojrzenie.

Nie wychodzi mu. Wygląda jak harcerzyk, myśli Art. Chłopięca buzia, krótkie włosy, czyste niewinne spojrzenie. Skaut starający się o sprawność Wymiany Narkotyków na Broń.

- Pytanie brzmi - zwraca się Craig do Arta - czy chcesz przystąpić do drużyny?

Byłby to mój pierwszy raz, prawda? - myśli Art.

Scachi najwyraźniej myśli o tym samym.

- Keller ma opinię kowboja - mówi. - Z samotnej prerii...

- Niedobre miejsce - mówi Craig.

- Samotny, płytki grób - dodaje Scachi.

- Opis tego wszystkiego znajduje się w pewnym sejfie - kłamie Art. - Jeśli coś mi się stanie, wszystko to trafi do „Washington Post”.

- Błefujesz, Art - mówi Scachi.

- Chcesz się o tym przekonać?

Scachi podchodzi do radia. Wraca chwilę później i rzuca rozkaz:

- Założyć skurwysynowi kaptur.

*

Art czuje, że jedzie odkrytym samochodem, prawdopodobnie dżipem. Czuje, że jadą. Wie, że dokądkolwiek go wiozą, jest to daleka droga, bo wydaje mu się, że jazda trwa wiele godzin. Tak mu się wydaje, ale nie wie na pewno, gdyż nie może popatrzeć na zegarek, ani na nic innego. Teraz rozumie przerażający, dezorientujący efekt kaptura. Dziwne, nieprzyjemne uczucie, że nie można patrzeć, ale można słuchać, a każdy dźwięk wywołuje coraz bardziej przerażające urojenia.

Dżip zatrzymuje się i Art czeka na metaliczny szczęk zamka karabinu lub kliknięcie odbezpieczanego pistoletu, lub, co gorsza, świst opadającej maczety, a potem...

Czuje, że silnik znowu zaczyna pracować i dżip rusza. Zaczyna drżeć. Nogi trzęsą mu

się niekontrolowanie, nie może tego powstrzymać, nie może też wyrzucić z głowy obrazu stortuowanego ciała Erniego. Nie może powstrzymać myśli: nie pozwólcie im zrobić mi tego samego, co zrobili Erniemu, i jej logicznego następstwa: lepiej jemu niż mnie.

Jest zawstydzony, jak ostatni nędznik, uświadamiając sobie, gdy przerażająca rzeczywistość znajduje się na wyciągnięcie dłoni, że naprawdę wolałby, by to wszystko zrobili komuś innemu - nie zamieniłby się z Erniem miejscami, gdyby mógł.

Próbuje przypomnieć sobie akt żalu, którego zakonnice uczyły go w szkole podstawowej - jeśli wiesz, że umierasz, a nie ma księdza, żeby udzielił ci rozgrzeszenia, to jeśli szczerze odmówisz akt żalu, nadal możesz iść do nieba. To pamięta; niestety, nie może sobie przypomnieć samej pieprzonej modlitwy.

Dżip zatrzymuje się.

Silnik gaśnie.

Ktoś łapie Arta pod łokcie i wyprowadza z auta. Pod stopami czuje liście; potyka się o jakieś zielsko, ale czyjeś ręce powstrzymują go od upadku. Uświadamia sobie, że prowadzą go do dżungli. Ktoś popycha go na kolana. Nie musi włożyć w to wiele siły - nogi ma jak z galarety.

*

- Zdjąć mu kaptur.

Art zna głos wydający ten rozkaz. John Hobbs, szef rezydentury CIA.

Znajdują się w czymś w rodzaju bazy wojskowej, obozu szkoleniowego głęboko w dżungli. Z prawej strony młodzi żołnierze pokonują tor przeszkód - idzie im kiepsko. Z lewej widzi mały pas startowy, który wykarczowano w dżungli. Przed sobą ma małą, zadbaną twarz Hobbsa - gęste siwe włosy, jasne, błękitne oczy, pogardliwy uśmiech.

- Rozkuć go.

Art czuje, że wraca mu krącenie w nadgarstkach, czemu towarzyszy uczucie gorąca i tysiąca kłujących igiełek. Hobbs gestem każe mu iść za sobą. Wchodzą do namiotu, gdzie znajduje się kilka wyplatanych krzesel, stolik i łóżko polowe.

- Usiądź, Arthurze.

- Wolałbym przez chwilę postać.

Hobbs wzrusza ramionami.

- Musisz zrozumieć, Arthurze, że jeśli nie wejdiesz do „rodziny”, zostaniesz natychmiast usunięty. A teraz, co to za bzdura o sejfie?

Teraz Art wie, że miał rację, że jego wyszeptane jednym tchem *Zdrowaś Mario* odniosło skutek - gdyby wywóz kokainy z hangaru 4 był wyłącznie robotą renegatów,

wykończyliby go po drodze. Powtarza tę samą groźbę, co Scachiemu.

Hobbs patrzy na niego przez chwilę, potem pyta:

- Co wiesz o Czerwonej Mgle?

Co to jest do cholery Czerwona Mgła, zastanawia się Art.

- Posłuchaj, wiem tylko wszystko o Cerberze - mówi Art. - A to, co wiem, wystarczy, żeby was pogrążyć.

- Zgadzam się z twoimi wnioskami - stwierdza Hobbs. - A teraz, do czego to nas zaprowadzi?

- Do tego, że wzajemnie rzucimy się sobie do gardeł - odpowiada Art. - I żaden z nas nie puści.

- Przejdźmy się.

Spacerują po obozie, obok toru przeszkód, strzelnicy, polanki, gdzie siedzący na ziemi żołnierze słuchają wykładu instruktorów na temat zastawiania zasadzek.

- Cały ten obóz szkoleniowy - mówi Hobbs - sfinansował Miguel Ángel Barrera.

- O Jezu.

- Barrera rozumie.

- Co rozumie?

Hobbs prowadzi go stromą ścieżką na szczyt wzgórza. Pokazuje rozciągającą się poniżej dżunglę.

- Co widzisz? - pyta.

- Lasy deszczowe - wrusza ramionami Art.

- A ja widzę - mówi Hobbs - nos wielbłąda. Znasz tę starą mądrość arabską: jeśli wielbłąd wsadzi nos do namiotu, wielbłąd znajdzie się w środku. To Nikaragua, nos komunistycznego wielbłąda w namiocie przesmyku Ameryki Środkowej. To nie wyspa, jak Kuba, którą możemy odizolować naszą flotą, ale część amerykańskiego lądu. Jak tam z twoją geografiją?

- Znośnie.

- Zatem wiesz - ciągnie Hobbs - że południowa granica Nikaragui, na którą właśnie patrzymy, biegnie trzysta mil od Kanału Panamskiego. Na północy graniczy z niestabilnym Hondurasem i jeszcze mniej stabilnym Salwadorem, oba te państwa walczą z komunistycznymi powstaniem. Jest też Gwatemala, kolejna kostka domina, która może upaść. Jeśli przywołasz całą swoją wiedzę geograficzną, zorientujesz się, że między Gwatemalą a południowymi stanami Meksyku, Jukatanem, Quintana Roo i Chiapas znajduje się tylko niewielki obszar górskiej dżungli. Stany te są w przeważającej części rolnicze i

biedne, zamieszkane przez nieposiadających ziemi helotów, którzy są idealnymi ofiarami komunistycznego powstania. Co będzie, jeśli komuniści przejmą Meksyk, Arthurze? Kuba jest wystarczająco groźna. Teraz wyobraź sobie, że mamy długą na dwa tysiące mil granicę z radzieckim satelitą. Wyobraź sobie radzieckie pociski rozmieszczone w silosach w Jalisco, Durango, Baja.

- No i co, potem wezmą się za Teksas?

- Nie, zajmą Europę Zachodnią - mówi Hobbs. - Ponieważ wiedzą, że nawet Stany Zjednoczone nie dysponują takimi zasobami wojskowymi i finansowymi, żeby obronić długą na dwa tysiące mil granicę z Meksykiem i „żelazną kurtynę” jednocześnie.

- To szaleństwo.

- Doprawdy? - pyta Hobbs. - Nikaraguańscy już eksportują broń przez granicę dla Frontu Wyzwolenia Narodowego z Salwadoru. Ale nie patrzmy aż tak daleko. Po prostu wyobraź sobie Nikaragę, radzieckiego satelitę w Ameryce Środkowej. Wyobraź sobie radzieckie okręty podwodne bazujące na Pacyfiku od strony Zatoki Fonseca, albo na Atlantyku w Zatoce Meksykańskiej. Mogą zamienić Zatokę i Karaiby w radzieckie jezioro. A pomyśl: jeśli mamy trudności z namierzeniem silosów na Kubie, spróbuj wykryć je w tych górach, w Cordillera Isabelia. Pociski średniego zasięgu spokojnie doleczą do Miami, Nowego Orleanu i Houston i zostawią nam niewiele czasu na odpowiedź. Nie wspominając o zagrożeniu uderzeniem z okrętów podwodnych stacjonujących w Zatoce Meksykańskiej czy na Karaibach. Nie możemy dopuścić do tego, żeby Nikaragua została radzieckim klientem. To proste. Contras zajmą się tym z ochotą, chyba że wolisz zobaczyć, jak w tej dżungli walczą i umierają amerykańscy chłopcy? Możesz wybierać.

- Chcecie, żebyśmy wybrał właśnie to? Szmuglujących narkotyki Contras? Kubańskich terrorystów? Salwadorskie oddziały śmierci, które mordują kobiety, dzieci, księży i zakonnice?

- Są brutalni, niegodziwi i źli - odpowiada Hobbs. - Gorszi od nich są moim zdaniem tylko komuniści.

- Popatrz na kulę ziemską - ciągnie Hobbs. - Pojawiliśmy się w Wietnamie, a komuniści wyciągnęli z tego właściwe wnioski. W mgnieniu oka zajęli Kambodżę. Nie zrobiliśmy nic. Pomaszerowali na Afganistan, nie zrobiliśmy nic z wyjątkiem wycofania lekkoatletów z olimpiady. Tyle, jeśli chodzi o Afganistan. Potem był Pakistan, a potem Indie. A teraz jest już po wszystkim, Arthurze, cała Azja jest czerwona. Mamy radzieckich satelitów w Mozambiku, Angoli, Etiopii, Iraku i Syrii. A my nie robimy nic, więc oni sobie myślą: super, sprawdźmy, czy w Ameryce Środkowej też nic nie zrobią. Wpychają się więc do Nikaragui, a my czym

odpowiadamy? Poprawką Bolanda.

- To jest prawo.

- To samobójstwo - mówi Hobbs. - Tylko głupiec lub Kongres nie dostrzega, że pozwolenie na istnienie radzieckiej marionetki w sercu Ameryki Środkowej jest szaleństwem. Głupotą nie do opisania. Musimy coś zrobić, Arthurze.

- Więc CIA bierze na siebie...

- CIA nic na siebie nie bierze - przerywa mu Hobbs. - Właśnie to próbuję ci powiedzieć, Arthurze. Cerber to idea najwyższych kręgów władzy w kraju.

- Ronald Reagan...

- ...jest jak Churchill - mówi Hobbs. - W krytycznym momencie historii dostrzegł prawdę i postanowił działać.

- Chcesz mi powiedzieć...

- Oczywiście, nie zna wszystkich szczegółów - mówi Hobbs. - Po prostu rozkazał nam odwrócić przyływ w Ameryce Środkowej i obalić sandinistów wszelkimi metodami, jakie okażą się niezbędne. Przeczytam ci właściwy rozdział i wers, Arthurze, Dyrektywa numer trzy Departamentu Bezpieczeństwa Narodowego upoważnia wiceprezydenta do podjęcia działań przeciwko komunistycznym terrorystom operującym w Ameryce Łacińskiej. W związku z tym wiceprezydent utworzył TIWG - Grupę Roboczą do spraw Incydentów Terrorystycznych - działającą w Salwadorze, Hondurasie i na Kostaryce, która z kolei przekształciła się w NHAO - Narodową Operację Wsparcia Humanitarnego - która zgodnie z warunkami Poprawki Bolanda ma zapewnić „humanitarną” pomoc uchodźcom z Nikaragui, czyli Contras. Akcji Cerber nie prowadzi Firma - tu się pomyliłeś - ale biuro wiceprezydenta. Scachi podlega bezpośrednio mnie, a ja wiceprezydentowi.

- Dlaczego mi to wszystko mówisz?

- Apeluję do twojego patriotyzmu.

- Kraj, który kocham, nie brata się z ludźmi, którzy torturują swoich własnych agentów na śmierć.

- A więc do twojego pragmatyzmu - mówi Hobbs. Z kieszeni wyjmuję jakieś dokumenty. - Wyciągi bankowe. Przelewy na twoje rachunki na Kajmanach, Kostaryce, w Panamie... wszystkie wystawione przez Miguela Ángela Barrerę.

- Nic o tym nie wiem.

- Zlecenia wypłat - ciągnie Hobbs. - Z twoim podpisem.

- Musiałem zawrzeć pewną umowę.

- No tak, mniejsze zło. Bardzo dobrze rozumiem twoje rozterki. Teraz proszę, abys

zrozumiał nasze. Zachowaj nasze sekrety, my zachowamy twój.

- Pierdol się.

Art odwraca się i zaczyna schodzić ścieżką.

- Keller, jeśli myślisz, że tak po prostu pozwolimy ci stąd odejść...

Art pokazuje mu środkowy palec i nie zatrzymuje się.

- Musimy się jakoś dogadać.

Art kręci głową. Mogą sobie wziąć swoją teorię domina, myśli, i wsadzić sobie w tyłek.

Czy Hobbs może zaproponować mi coś, co zwróci nam Erniego?

Nic.

Nic na świecie nie może tego zrobić. Nic nie możecie zaoferować człowiekowi, który stracił wszystko - rodzinę, pracę, przyjaciela, nadzieję, zaufanie, wiarę we własny kraj. Nie możecie nic zaoferować człowiekowi, który nic nie znaczy.

Ale okazuje się, że jednak jest coś.

Teraz Art rozumie - Cerber nie jest strażnikiem, tylko odźwiernym. Ziejącym, wyszczerzonym portierem z wywalonym językiem, który ochoczo zaprasza cię do podziemnego świata.

A ty nie możesz się mu oprzeć.

6.

Łoskot wstrząsnął aż do dna

*Rygle i wszystkie zasuwę z żelaza
Lub z twardej skały otwarła z łatwością;
Nagle rozwarły się z wielkim impetem
I grzmiotem bramy piekielne, a loskot
Zawiasów wstrząsnął Erebem aż do dna
John Milton, Raj utracony*

*Mexico City
19 września 1985*

Łóżko drży.

Drzenie wdziera się do jej snu, potem budzi ją myśl: łóżko drży.

Nora siada na łóżku i patrzy na zegarek, ale trudno jej skupić wzrok na cyfrach, bo dziwnie wibrują, niemal rozpływają się w oczach. Bierze zegarek do ręki - jest 8.18. Wtedy uświadamia sobie, że stół się trzęsie - wszystko się trzęsie: stół, lampy, krzesło, łóżko.

Jest w pokoju na szóstym piętrze hotelu Regis, wytwornego, starego budynku przy Avenida Juárez obok parku La Alameda, w samym centrum miasta. Sprowadził ją tu minister, żeby mu pomogła uczcić Dzień Niepodległości. Spędza tu już trzeci dzień. Minister wieczorami wraca do domu i żony. Popołudniami przychodzi do Regisu czcić swoją niezależność.

Nora myśli, że chyba jeszcze dalej śpi, że to sen, bo teraz poruszają się też ściany.

Jestem chora? - zastanawia się. Czuje zawroty głowy, mdłości, a wszystko to nasila się, kiedy wstaje z łóżka. Nie może iść, nie może nawet stać, gdyż podłoga faluje pod jej nogami.

Patrzy w ogromne lustro zawieszone na przeciwległej ścianie, ale nie wygląda blade. Tylko jej głowa lata po całym lustrze, a samo lustro nagle spada i roztrzaskuje się w drobny mak.

Zasłania oczy ramieniem i czuje, jak uderzają w nią odłamki szkła. Wtedy słyszy ten dźwięk, jakby padał wielki deszcz, jednak to nie jest deszcz - to sypie się gruz z wyższych pięter. A potem podłoga obniża się, jak metalowa platforma w ruchomym domu w wesołym

miasteczku, ale to wcale nie jest zabawne - jest przerażające.

Byłaby jeszcze bardziej przerażona, gdyby mogła wyrzeć na zewnątrz. Zobaczyłaby, jak hotel faluje, jak jego szczyt chwieje się i praktycznie zderza ze szczytem sąsiedniego budynku. Ale słyszy to. Słyszy okropny, głuchy trzask, gdy pada ściana nad łóżkiem, a wtedy otwiera drzwi i wypada na korytarz.

Mexico City targają śmiertelne konwulsje.

Miasto zostało zbudowane na piaszczystym dnie wyschniętego jeziora, położonego na wielkiej tektonicznej Płycie Kokosowej, która ciągle wędruje pod Meksykiem. Miasto i jego słaby fundament znajduje się dwieście mil od krańca płyty i jednego z największych na świecie uskoków, Rowu Środkowoamerykańskiego, biegnącego pod Pacyfikiem od meksykańskiego kurortu Puerto Vallarta do Panamy.

Od lat notowano małe wstrząsy na północnym i południowym krańcu płyty, ale nigdy w samym centrum, nie koło Mexico City, które naukowcy nazywają „dziurą sejsmiczną”. Geolodzy porównują ją do sznura petard, które eksplodują na obu końcach, ale nie pośrodku. Mówią, że prędzej czy później środek musi zapalić się i wybuchnąć.

Problemy zaczynają się jakieś trzydzieści kilometrów pod powierzchnią ziemi. Przez miliony lat Płyta Kokosowa próbowała zanurzyć się i wślizgnąć pod płytę leżącą na wschodzie. Tego ranka jej się udało. Prawie trzysta kilometrów od wybrzeża, tysiąc siedemset kilometrów na zachód od Mexico City, ziemia pękła, co wywołało olbrzymi wstrząs w litosferze.

Gdyby miasto znajdowało się bliżej epicentrum, mogłoby lepiej to znieść. Wieżowce być może przetrwałyby wysoką częstotliwość, nagle kołysanie, które wystąpiło tuż obok samego wstrząsu. Budynek podskoczyłyby, wylądowały, popękały, ale przetrwały.

Ale w miarę jak wstrząs się rozchodzi, jego energia rozprasza się, co, wbrew logice, zwiększa niebezpieczeństwo ze względu na miękką glebę. Wstrząs przechodzi w długi, powolny falisty ruch - serię potężnych fal, które wbiegają pod piaszczyste dno jeziora i podrzucają galaretowate podłoże pod miastem - galareta zaczyna falować, wprawiając w kołysanie budynki, nie tyle pionowo, co poziomo. I to właśnie jest problem.

Każde piętro wieżowca porusza się na boki bardziej niż niższe poziomy. Źle wyważone budynki pochylają się, zderzają szczytami i odsuwają od siebie. Przez dwie długie minuty budynki kiwają się tak w powietrzu, a potem rozpadają.

Betonowe bloki spadają na ulicę. Pękają okna; ogromne, ostre kawały szkła wylatują w powietrze jak pociski. Wewnętrzne ściany i wsporniki padają. Basen na dachu pęka i tony wody powodują zapadanie się sufitów niższych pięter.

Niektóre budynki po prostu łamią się na wysokości trzeciego czy czwartego piętra, co powoduje, że dwa, trzy, osiem, dwanaście pięter cegieł, betonu i stali spada w dół na ulicę, grzebiąc tysiące ludzi.

Budynek za budynkiem - dwieście pięćdziesiąt w cztery minuty - zawala się podczas wstrząsu. Rząd rozpada się w sensie dosłownym - sekretariat marynarki, sekretariat handlu i sekretariat komunikacji leży w gruzach. Turystyczne centrum miasta wygląda jak lista ofiar, nazwa po nazwie - hotel Monte Carlo, hotel Romano, hotel Versailles, Roma, Bristol, Ejecutivo, Palacio, Reforma, Inter-Continental i Regis, wszystkie się walą. Budynek hotelu Caribe łamie się w połowie, wyrzucając prosto na ulicę materace, bagaże, zasłony i gości. Cała dzielnica znika z powierzchni ziemi - Colonia Roma, Colonia Doctores, Unidad Aragón i Tlatelolco Housing Project, gdzie dwudziestodwupiętrowy apartamentowiec grzebie swoich mieszkańców. W szczególnie złośliwym spazmie trzęsienie niszczy General Hospital of Mexico i Juárez Hospital, zabijając i więżąc pacjentów oraz rozpaczliwie potrzebnych lekarzy i pielęgniarki.

Nora nie wie o tym wszystkim. Biegnie korytarzem, a leżące drzwi od pokoi wyglądają jak karty w wymyślnym domku z kart, który zaczyna się walić. Biegnąca przed nią kobieta dopada windy i naciska przycisk.

- Nie! - krzyczy Nora.

Kobieta odwraca się i patrzy na nią rozszerzonymi z przerażenia oczami.

- Niech pani nie jedzie windą - mówi Nora. - Trzeba zejść po schodach.

Kobieta dalej się na nią patrzy.

Nora próbuje sobie przypomnieć jakieś hiszpańskie słowa, ale nie może.

Wtedy otwierają się drzwi od windy i wylewa się z nich woda, jak w jakimś kiepskim, groteskowym horrorze. Kobieta odwraca się, patrzy na Norę, śmieje się i mówi:

- *Aqua*.

- *Vámos* - mówi Nora. - *Vámonos*, wszystko jedno. Idziemy.

Łapie kobietę za rękę i próbuje pociągnąć za sobą korytarzem, ale ona nie rusza się z miejsca. Wrywa rękę i raz za razem przyciska guzik ze strzałką w dół.

Nora zostawia ją i szuka drzwi na klatkę schodową. Podłoga drży i faluje pod jej stopami. Znajduje schody. Czuje się jak w długim, rozkołysanym pudle. Ogromna siła rzuca nią od ściany do ściany, kiedy biegnie po schodach. Przed nią i za nią są ludzie; na schodach robi się tłok. Dźwięki, te potworne dźwięki, odbijające się echem w zamkniętej przestrzeni: trzask, łamanie, hałas walących się budynków - i krzyki - krzyki kobiet i, co gorsza, piski dzieci. Nora chwyta za poręcz, żeby złapać równowagę, ale poręcz także się rusza.

Jedno piętro, dwa, próbuje liczyć podesty, ale mylą jej się. Ile ich było, trzy, cztery, pięć? Wie, że powinno być ich siedem. Idiotyczne, nie może sobie przypomnieć, jak w Meksyku liczą piętra. Zaczynają od parteru, potem pierwsze, drugie? Czy traktują parter jako pierwsze piętro, potem drugie, trzecie, czwarte...?

Jakie to teraz ma znaczenie? Po prostu biegnij, mówi do siebie, wtedy okropne szarpnięcie, jak na rozkołysanym statku, rzuca ją na ścianę z lewej strony. Jakoś utrzymuje równowagę. Po prostu biegnij, biegnij, wyjdź z budynku, zanim zwali ci się na głowę. Po prostu biegnij po tych schodach.

Myśli o stromych schodach na Montmartre przy place Willette, że niektórzy ludzie korzystają z kolejki linowej, ale ona zawsze idzie schodami, bo to dobrze robi na figurę, poza tym lubi to i skoro idzie zamiast jechać, może pozwolić sobie na *chocolat chaud* w tej ślicznej kawiarence na dole. Chcę tam jeszcze pojechać, myśli, chcę usiąść znowu przy stoliku i zobaczyć uśmiechniętego kelnera, patrzeć na ludzi, patrzeć na dziwną katedrę, Basilique du Sacré Coeur na szczycie, tę, która wygląda jakby została zrobiona z waty cukrowej.

Myśl o tym, a nie o śmierci w tej pułapce, w tej zatłoczonej, rozhuśtanej, falującej pułapce. Boże, jak tu gorąco, Boże, przestańcie krzyczeć, to nic nie da, zamknijcie się. Nagle czuje powiew powietrza, przed nią wszyscy się tłoczą przy przejściu, a potem wypada za innymi ludźmi do holu.

Kandelabry spadają z sufitu jak zgniłe owoce z drzewa, spadają i rozbijają się na starych płytach podłogi. Omija kawałki szkła i biegnie do obrotowych drzwi. Ale tłok - czeka na swoją kolej - wpycha się. Nie musi pchać, napiera na nią tłum z tyłu. Łapie haust świeżego powietrza - jak cudownie, widzi światło słoneczne, jest już prawie na zewnątrz...

Wtedy budynek wali się na nią.

*

Właśnie odprawia mszę, gdy nadchodzi wstrząs.

Dziesięć mil od epicentrum, w katedrze Ciudad Guzmán, arcybiskup Parada unosi nad głową hostię i ofiarowuje modlitwę Bogu. To jedna z korzyści i przywilejów arcybiskupa archidiecezji w Guadalajarze, że może tu przyjechać i czasem odprawić mszę w małym miasteczku. Kocha klasyczną architekturę katedry w stylu churrigueryzmu, unikalne połączenie europejskiego gotyku z tradycjami pogańskich Azteków i Majów. Dwie wieże katedry wieńczy kopuła ozdobiona panoplią z kolorowych płytek. Nawet teraz, gdy stoi przed *retablo* za ołtarzem, widzi złożone drewniane rzeźby - europejskie cherubiny i ludzkie głowy, ale też rodzime owoce, kwiaty i ptaki.

Miłość do koloru, natury, radości życia - to właśnie zachwyca go w meksykańskim

odłamie chrześcijaństwa, ściśle połączenie rdzennego pogaństwa z emocjonalną, niezachwianą wiarą w Jezusa. Nie jest to sucha, oszczędna religia europejskiego intelektualizmu, z jego nienawiścią do naturalnego świata. Nie, Meksykanie charakteryzują się wewnętrzną mądrością, duchową hojnością - jakby to ująć? - mają ramiona długie na tyle, żeby otoczyć ten świat i tamten ciepłym objęciem.

To dobre, myśli, odwracając się do wiernych. Muszę to wykorzystać w jakimś kazaniu.

Tego ranka katedrę wypełniają wierni - chociaż to czwartek - bo to on odprawia mszę. Mam na tyle rozbudowane ego, myśli, żeby się z tego cieszyć. To prawda, że jest ogromnie popularnym arcybiskupem - wychodzi do ludzi, dzieli ich zmartwienia, myśli, radości, posiłki. Och, Boże, myśli, jak ja lubię z nimi jeść. Wie, że we wszystkich odwiedzanych przez niego wioskach i miasteczkach, krąży dowcip: „Poszerzcie krzesło u szczytu stołu, arcybiskup Juan przychodzi na obiad”.

Bierze hostię i zaczyna kłaść ją na języku klęczącego przed nim wiernego.

Wtedy podłoga pod nim podskakuje.

Dokładnie tak to odczuwa, jakby podłoga skakała. I jeszcze raz, i jeszcze, aż wreszcie skoki przechodzą w serię wstrząsów.

Czuje coś mokrego na rękawie.

Patrzy w dół i widzi, że to wino z kielicha trzymanego przez stojącego za nim ministranta. Obejmuje chłopaka za ramiona.

- Przejdź pod łukami - mówi - i wyjdź na zewnątrz. Niech wszyscy wyjdą, spokojnie i po cichu.

Lekko popycha chłopca.

- No idź.

Chłopiec rusza spod ołtarza.

Parada czeka. Będzie tak czekał, dopóki wszyscy nie opuszczą kościoła. Spokojnie, mówi do siebie. Jeśli ty będziesz spokojny, oni też. Jeśli wybuchnie panika, ludzie zادةpczą się nawzajem.

Stoi więc i rozgląda się dookoła.

Rzeźbione zwierzęta ozywają.

Podskakują i drżą.

Rzeźbione twarze kiwają się w górę i w dół.

Jakby się zmówiły, myśli Parada. Tylko, zastanawiam się, na co?

Na zewnątrz trzęsą się dwie wieże.

Zostały zbudowane ze starego kamienia. Pięknie wyrzeźbionego przez miejscowych

artystów. Tyle miłości w nie przelano, tyle troski. Ale stoją w miasteczku Ciudad Guzmán, w prowincji Jalisco, która wzięła nazwę od pierwotnych mieszkańców Tarascan i oznacza „piaszczyste miejsce”. Kamienie z wież są dobre, mocne i równe, ale zaprawę zrobiono z tej piaszczystej gleby.

Oparły się wielu czynnikom, wiatrowi, deszczowi, czasowi, ale nie ma mowy, żeby wytrzymały trzęsienie ziemi o sile 7,8 stopnia, sięgającego dwadzieścia mil w głąb ziemi i na dziesięć mil dookoła.

Tak więc wierni cierpliwie wychodzą, wieże drżą, zaprawa się kruszy, wreszcie padają na prawnanuków ludzi, którzy je zbudowali i unieruchamiają ich. Wieże padają na kopułę i grzebią dwudziestu pięciu wiernych.

Gdyż kościół jest tego ranka zatłoczony.

Z miłości do biskupa Juana.

Który stoi nietknięty na ołtarzu, w szoku i przerażeniu patrząc, jak ludzie przed nim po prostu znikają w chmurze żółtego pyłu.

W rękę ciągle trzyma hostię.

Ciało Chrystusa.

*

Nora cudem uniknęła śmierci.

Życie ocalił jej stalowy wspornik. Upadając ukośnie do fragmentu muru zatrzymuje lecącą na nią kolumnę. Pod nim zostaje trochę miejsca i powietrza, więc Nora leży pod gruzami hotelu Regis, ale przynajmniej może oddychać.

Choć prawdę mówiąc, nie bardzo jest czym, gdyż w powietrzu unosi się mnóstwo kurzu.

Dławi się nim, kaszle, nic nie widzi, ale wszystko słyszy. Mija kilka minut, godzin? Nora nie wie, ale przez cały ten czas zastanawia się, czy umarła. A może jest już w piekle - uwięziona w ciasnej, gorącej szczelinie, gdzie nic nie widzi i dusi się od kurzu. Umarłam, myśli, umarłam i zostałam pochowana. Słyszy jęki, okrzyki bólu i zastanawia się, czy to się kiedyś skończy. Może tak będzie wyglądała jej wieczność. Wieczność dziwki po śmierci.

Ma na tyle miejsca, żeby położyć głowę na ramieniu. Może uda się przespać to piekło, myśli, przespać całą wieczność. Boli.

Dostrzega, że ma całą rękę we krwi. Przypomina jej się rozbite lustro i latające kawałki szkła. Wcale nie umarłam, myśli, czuję wilgotną krew. Martwi ludzie nie krwawią.

Nie umarłam, myśli.

Zostałam pogrzebana żywcem.

Zaczyna narastać w niej panika.

Oddycha szybko, za szybko, chociaż wie, że nie powinna, że tylko zużywa skąpy zapas tlenu, ale nie może się opanować. Myśl o pogrzebaniu żywcem w tej trumnie pod gruzami przypomina jej jakieś głupie opowiadanie Poe'go, które czytali w szkole. Pęknięcia na wieku trumny...

Chce jej się krzyknąć.

Nie ma sensu zużywać resztek powietrza na wygłupy, myśli. Może wykorzystać je lepiej.

- Ratunku! - krzyczy po prostu.

Raz za razem. Z całych sił.

Słyszy syreny, kroki, tupot stóp prosto nad głową.

- Ratunku!

Chwila ciszy i...

- *Dónde estás?*

- Tutaj! - krzyczy. Po chwili namysłu krzyczy znowu: - *Aquí!* Słyszy nad sobą chrobot gruzu. Ktoś wydaje rozkazy, nakazuje ostrożność. Wyciąga rękę jak może najdalej. Po chwili czuje niewiarygodne ciepło czyjejś dłoni na swojej. Czuje, że ją ciągną, a potem nagle znajduje się na otwartej przestrzeni. W pewnym sensie otwartej. W górze zostało coś w rodzaju sufitu. Ściany i kolumny niebezpiecznie się pochylają. Jakby stała w jakichś zabytkowych ruinach.

Ratownik prowadzi Norę pod rękę, zerkając na nią z zaciekawieniem.

Wtedy dziewczyna czuje jakiś dziwny zapach. Słodki, mdlący. Boże, co to jest?

Nagle do gazu dociera iskra i następuje wybuch.

Nora słyszy ostry trzask, potem niski grzmot, który sprawia, że serce podskakuje jej w piersi, wtedy wpada do jakiejś dziury. Kiedy podnosi wzrok, wszędzie widzi ogień. Jakby płonęło całe powietrze.

Ogień pędzi w jej stronę.

- *Vámonos! Ahorita!*

Uciekaj! Szybko!

Jeden z mężczyzn chwytą Norę za rękę i pcha ją przed sobą. Dookoła są płomienie, płonące kawałki gruzu spadają im na głowy, ciągle słyszy trzaski, czuje gryzący dym, cierpki dym, a mężczyzna zaczyna klepać ją po głowie. Zapaliły jej się włosy, a ona nawet tego nie poczuła. Mężczyzna rękawem gasi ogień, ale nie przestają biec, pcha ją przed sobą, nagle wypadają na świeże powietrze. Nora chce paść na ziemię, ale ratownik jej nie pozwala, ciągle

ją popycha i popycha, bo za nimi ruiny hotelu Regis rozpadają się i płoną.

Pozostali dwaj mężczyźni nie biegną za nimi. Dołączają do stu dwudziestu ośmiu bohaterów, którzy zginęli, ratując ludzi uwięzionych w wyniku trzęsienia ziemi.

Nora jeszcze o tym nie wie, gdy truchtem biegnie Avenida Benito Juárez do względnie bezpiecznej otwartej przestrzeni parku La Alameda. Pada na kolana, a policjantka z drogówki zarzuca jej na głowę kurtkę i dogasza ogień.

Nora ogląda się - z hotelu Regis zostało nieco płonącego gruzu. Obok magazyn handlowy Salinas y Rocha wygląda jakby został przecięty w pół. Nad ściętym szkieletem budynku unoszą się w powietrzu czerwone, zielone i białe serpentyny, resztki dekoracji z Dnia Niepodległości. Wszędzie dookoła, jak sięga okiem, przez tumany kurzu widać zawalone lub przecięte na pół budynki. Na ulicach leżą kawały kamienia, betonu i poskręcana stal.

I ludzie. Park pełen jest klęczących i modlących się ludzi.

Niebo jest ciemne od dymu i pyłu.

Nie dociera tu światło słoneczne.

Nora słyszy, że wszyscy szepczą to samo: *El fin del mundo*.

Koniec świata.

Nora ma całkiem spalone włosy z prawej strony; lewa ręka krwawi i naszpikowana jest drobnymi kawałkami szkła. Szok i adrenalina zagłuszyły ból, ale teraz staje się on realny.

*

Parada klęczy przy zwłokach.

Udziela im ostatniego namaszczenia.

Czeka na niego rząd zwłok. Dwadzieścia pięć ciał owiniętych w prowizoryczne całuny - koce, ręczniki, obrusy, wszystko, co było pod ręką. Leżą w równym szeregu na ziemi przed ruinami katedry, a mieszkańcy miasta gorączkowo przeszukują jeszcze gruzy. Szukają swoich ukochanych, zaginionych, uwięzionych pod kamieniami. Rozpaczliwie, z nadzieją, nasłuchują jakichkolwiek oznak życia.

Usta arcybiskupa szepczą łacińskie sentencje, ale serce...

Coś w nim pękło, tak głęboko, jak pękła ziemia. Między mną a Bogiem pojawił się uskok, myśli.

Bogiem, który jest, Bogiem, którego nie ma.

Nie może tego im powiedzieć - to byłoby okrutne. Oczekują, że wyśle dusze ich bliskich do nieba. Nie może ich rozczarować, nie tym razem, może nigdy. Ludzie potrzebują nadziei, nie mogę im jej odebrać. Nie jestem tak okrutny jak Ty, myśli.

Odmawia więc modlitwy. Namaszcza olejkiem i odprawia cały ceremoniał.

Nadchodzi ksiądz.

- Ojcie Juanie?

- Nie widzisz, że jestem zajęty?

- Jest ojciec potrzebny w Mexico City.

- Jestem potrzebny tutaj.

- Takie są polecenia.

- Jakie polecenia?

- Nuncjusza papieskiego - mówi ksiądz. - Wszyscy mają się zebrać, żeby zorganizować pomoc. Ojciec już tu i tak wiele zrobił, więc...

- Mam tu jeszcze tuziny zmarłych...

- W Mexico City są ich tysiące - mówi ksiądz.

- Tysiące?

- Nikt nie wie, jak wielu. I dziesiątki tysięcy bezdomnych.

A więc to tak, myśli Parada. Trzeba służyć żyjącym.

- Jak tylko tu skończę - mówi Parada.

Wraca do udzielania ostatniego namaszczenia.

*

Nie mogą jej zmusić, żeby stamtąd odeszła.

Próbuje wiele osób - policja, ratownicy, sanitariusze - ale Nora nie chce zgłosić się po pomoc lekarską.

- Pani ręka, señorita, pani twarz...

- To nic - mówi. - Są o wiele cięższej ranni. Nic mi nie jest.

Boli, myśli, ale nic mi nie jest. To zabawne, jeszcze wczoraj wydawało mi się, że te dwie rzeczy nie mogą iść w parze, ale dziś wiem, że tak. Boli ją ręka, głowa, twarz, opalona ogniem jak przy ciężkim oparzeniu słonecznym, boli, ale czuje się dobrze.

Więcej, czuje się silna.

Ból?

Pieprzyć ból - tu umierają ludzie.

Nie chce teraz żadnej pomocy - ona sama chce pomagać.

Siedzi więc i skrupulatnie wyciąga kawałki szkła z ręki, potem myje ją w wodzie ciekącej z pękniętej rury. Odrywa rękaw płóciennej pizamy, którą wciąż ma na sobie (zadowolona, że zawsze wołała płótno od śliskiego jedwabiu), i opatruje sobie ranę. Odrywa drugi rękaw i obwiązuje sobie nos i usta, bo dusi się od kurzu i dymu, no i ten zapach...

Zapach śmierci.

Trudno go sobie wyobrazić, jeśli się go nigdy nie czuło, ale gdy się raz poczuje, nie zapomina się nigdy.

Przyciska materiał mocniej do twarzy i idzie poszukać czegoś, co mogła by założyć na nogi. Nie jest to trudne, gdyż cały towar z wielkiego sklepu wypadł prosto na ulicę. Wybiera sobie parę gumowych japonek, nie uznaje tego za grabież (to nie grabież - w obliczu nędzy wielu mieszkańców miasta, to nie grabież) i dołącza do ochotników grzebiących w ruinach hotelu, w poszukiwaniu tych, którzy przeżyli. Setki, tysiące ochotników przeczesują gruzy w całym mieście, za pomocą łopat, kilofów, lewarków, prętów zbrojeniowych czy po prostu gołymi rękami wygrzebując uwięzionych pod zwałami ludzi. Przenoszą zmarłych i rannych w kocach, prześcieradłach, zasłonkach od prysznic, robią wszystko, żeby pomóc rozpaczliwie zapracowanemu personelowi medycznemu. Inni ochotnicy starają się usunąć gruz z ulic, aby oczyścić drogę dla karettek i wozów strażackich. Helikoptery ratownicze krążą nad płonącymi budynkami i opuszczają ratowników na linach, żeby wyciągali ludzi, do których nie można się dostać z ziemi.

Cały czas przez radio odczytywane są listy, przerywane okrzykami rozpacz lub radości słuchaczy, gdy wyczytywane są nazwiska zmarłych i ocalałych.

Są też inne dźwięki - jęki, stękanie, modlitwy, krzyki, wołanie o pomoc - wszystko stłumione, dochodzące z głębi ruin. Głosy ludzi uwięzionych pod tonami gruzu.

Ratownicy nie przerywają pracy. Spokojnie, uparcie, ochotnicy i profesjonaliści szukają ocalałych. Obok Nory kopie zastęp skautek. Dziewczynki nie mają więcej niż dziewięć lat, myśli Nora, patrząc na ich poważne, zdeterminowane twarze, które już doświadczyły ciężaru życia. Są tu dziewczęce i chłopięce drużyny skautów, sportowcy z klubów piłkarskich, członkowie kółek brydżowych i indywidualiści, tacy jak Nora, łączący się we własne zespoły.

Lekarze i pielęgniarki, ci nieliczni, którzy opuścili szpitale, przedzierają się przez ruiny ze stetoskopami, osłuchują kamienie w poszukiwaniu jakichkolwiek oznak życia. Wtedy robotnicy przestają kuć, milkną syreny, kierowcy wyłączają silniki samochodów, wszyscy zachowują idealną ciszę. A kiedy lekarz uśmiechnie się lub kiwnie głową, ostrożnie, delikatnie, ale z uporem odsuwają kamienie, stal i kawałki betonu. Czasem następuje szczęśliwe zakończenie i ktoś zostanie wyciągnięty spod zwałów. Czasem smutne - gruz nie został usunięty dostatecznie szybko: jest za późno i znajdują już tylko zwłoki.

Ale ciągle nie przerywają pracy.

Cały dzień i całą noc.

Nora robi sobie w nocy jedną przerwę. Pije herbatę i zjada kromkę chleba w specjalnym

punkcie. Park zatłoczony, pełen jest bezdomnych i ludzi, którzy boją się zostać w swoich domach. Przypomina ogromny obóz uchodźców, którym, myśli Nora, faktycznie jest.

Z tą różnicą, że tu panuje cisza. Odbiorniki radiowe zostały przyciszone, ludzie szepczą modlitwy, cicho przemawiają do dzieci. Nie ma kłótni, przepychanek, awantur o skromne zapasy jedzenia i wody. Ludzie cierpliwie stoją w kolejce, zanoszą skąpe posiłki starszym i dzieciom, pomagają roznosić wodę, konstruują prowizoryczne namioty i kopia latryny. Ci, których domy nie zostały zniszczone, przynoszą koce, czajniki, garnki, jedzenie, ubrania.

Kobieta wręcza Norze džinsy i flanelową koszulę.

- Proszę to wziąć.

- Nie mogę.

- Robi się zimno.

Nora bierze ubranie.

- Dziękuję. *Gracias*.

Nora przebiera się za drzewem. Założenie ubrania nigdy nie sprawiło jej takiej przyjemności. Flanela jest cudownie miękka i daje ciepło. W domu ma szafy pełne ubrań, myśli, z czego większość założyła tylko raz, czy dwa. Dużo by teraz dała za parę skarpet. Wie, że miasto leży ponad milę nad poziomem morza, ale czuje, że noc robi się chłodna. Myśli o ludziach uwięzionych pod gruzami. Zastanawia się, czy nie zmarzną.

Kończy herbatę i chleb, z powrotem zawiązuje oberwany rękaw na twarzy i wraca do ruin hotelu. Klęka przy jakiejś kobiecie w średnim wieku i zaczyna odrzucać kamienie.

*

Parada czuje się jak w piekle.

Przy pękniętych rurach z gazem szaleje pożar. Płomienie buzują też w murach zrujnowanych budynków, rozświetlając egipskie ciemności. Ostry dym gryzie go w oczy. Kurz wpada mu do nosa i płuc, zaczyna kasłać. Dławi go smród rozkładających się zwłok i spalonych ciał. Ponad nie wybija się przytępiony, ale i tak intensywny odór ludzkich odchodów, gdyż wylały kanały ściekowe.

Robi się coraz gorzej, w miarę jak arcybiskup idzie naprzód. Spotyka błakające się i płaczące dzieci, które szukają mam i tatusiów. Niektóre są w samej bieliźnie lub piżamie, inne w szkolnym mundurku. Zbiera je wszystkie wokół siebie. Na jednej ręce niesie małego chłopczyka, drugą prowadzi dziewczynkę, która z kolei trzyma za rękę inne dziecko, a to następne...

Kiedy dochodzi do parku La Alameda jest już z nim ponad dwadzieścioro dzieci. Szuka namiotu, gdzie mieści się katolicki punkt pomocy.

Parada odnajduje jakiegoś księdza i pyta:

- Nie widziałeś Antonucciego?

Ma na myśli kardynała Antonucciego, nuncjusza papieskiego, najwyższego przedstawiciela Watykanu w Meksyku.

- Odprawia mszę w katedrze.

- Miastu niepotrzebna jest teraz msza - mówi Parada. - Potrzebna jest organizacja i woda. Jedzenie, krew i osocze.

- Duchowe potrzeby społeczeństwa...

- *Si, si, si* - przerywa mu Parada i odchodzi. Musi pomyśleć, zebrać myśli. To wszystko go przerasta. Wyciąga z kieszeni paczkę papierosów i zaczyna jednego zapalać.

Z ciemności dobiega go głos, kobiecy głos:

- Oszalał pan? Proszę to schować.

Zdmuchuje zapalną. Zapala latarkę i oświetla twarz kobiety. Nadzwyczaj piękną twarz, choć brudną.

- Popękały rury z gazem - mówi. - Chce nas pan wysadzić w powietrze?

- I tak wszędzie się pali.

- Nie chcemy więc chyba jednego pożaru więcej, co nie?

- Nie, chyba nie - mówi Parada. - Jesteś Amerykanką?

- Tak.

- Szybko przyjechałaś.

- Byłam tu, kiedy to się stało - odpowiada Nora.

- Aha.

Przygląda się jej. Gdzieś w środku delikatnie iskrzy się dawno zapomniane uczucie. Kobieta jest niska, ale ma w sobie coś wojowniczego. I prawdziwą ranę na ramieniu. Chce walczyć, tylko nie wie jak.

Zupełnie tak jak ja, myśli.

Wyciąga rękę.

- Juan Parada.

- Nora.

Tylko Nora, zauważa Parada. Bez nazwiska.

- Mieszkaś w Mexico City, Noro?

- Nie, przyjechałam w interesach.

- A czym się zajmujesz? - pyta.

Nora patrzy mu w prosto w oczy.

- Jestem call girl.

- Obawiam się, że nie...

- prostytutką.

- Ach.

- A czym ty się zajmujesz?

Uśmiecha się.

- Jestem księdzem.

- Nie jesteś ubrany jak ksiądz.

- A ty nie jesteś ubrana jak prostytutka - odpowiada. - Tak naprawdę jestem czymś więcej niż księdzem. Biskupem. Arcybiskupem, ściśle mówiąc.

- Czy to coś lepszego niż biskup?

- Jeśli oceniać według rangi - mówi. - Byłem szczęśliwszy jako ksiądz.

- Dlaczego więc z powrotem nie zostaniesz księdzem?

Parada uśmiecha się, kiwa głową i mówi:

- Założę się, że jesteś bardzo dobrą call girl.

- Tak jest - odpowiada Nora. - Założę się, że jesteś bardzo dobrym arcybiskupem.

- Szczerze mówiąc, myślę, żeby odejść.

- Dlaczego?

- Nie jestem pewny, czy dalej w coś wierzę.

Nora wzrusza ramionami i mówi:

- Możesz udawać.

- Udawać?

- To łatwe. Robię to cały czas.

- Och, ooch, rozumiem - Parada czuje, że się rumieni. - Ale dlaczego miałbym udawać?

- Żeby zachować władzę - mówi Nora. Widząc zdumione spojrzenie biskupa, ciągnie - arcybiskup musi mieć sporą władzę, prawda?

- W pewnym sensie.

Nora kiwa głową.

- Spałam z wieloma ludźmi władzy. Wiem, że kiedy czegoś chcą, dopinają swego.

- No i?

- Tutaj - podbródkiem wskazuje park - jest wiele rzeczy do zrobienia.

- Aha.

Prawda płynie z ust dzieci, myśli Parada. Nie wspominając o prostytutkach.

- Bardzo miło się z tobą rozmawiało - mówi. - Powinniśmy pozostać w kontakcie.

- Dziwka i biskup?

- Pewnie nigdy nie czytałaś Biblii - mówi Parada. - Nowy Testament? Maria Magdalena? Obiło ci się o uszy?

- Nie.

- W każdym razie, moglibyśmy zostać przyjaciółmi - i szybko dodaje - oczywiście, nie w tym sensie. Składałem śluby... Chodzi mi po prostu... że miło by mi było, gdybyśmy się zaprzyjaźnili.

- Mnie też będzie miło.

Biskup wyjmuje z kieszeni wizytówkę.

- Zadzwoń, jak się to wszystko trochę uspokoi?

- Na pewno.

- To dobrze. No cóż, muszę już iść. Mam parę spraw do załatwienia.

- Ja też.

Parada idzie do punktu katolickiego.

- Spisz imiona i nazwiska tych dzieci - poleca księdzu. - Potem sprawdź listy ofiar, zaginionych i ocalałych. Gdzieś ktoś na pewno ma listę rodziców szukających dzieci. Zestawcie te nazwiska.

- Kim pan jest? - pyta ksiądz.

- Arcybiskupem Guadalajary - odpowiada. - Pośpiesz się teraz. I niech ktoś zdobędzie dla dzieci coś do jedzenia i jakieś koce.

- Tak, Wasza Eminencjo.

- I potrzebny mi samochód.

- Wasza Eminencjo?

- Samochód - powtarza Parada. - Potrzebny mi samochód, żeby dojechać do nuncjatury.

Papieska nuncjatura, rezydencja Antonucciego na południu miasta, leży daleko od obszaru największych zniszczeń. Tam na pewno jest prąd, światło. I, co najważniejsze, działają telefony.

- Wiele ulic jest zablokowanych, Wasza Eminencjo.

- A wiele nie jest - odpowiada arcybiskup. - Jeszcze tu jesteś?

Dwie godziny później nuncjusz papieski kardynał Girolamo Antonucci wraca do swojej rezydencji. Zastaje tam zdenerwowany personel i arcybiskupa Paradę w swoim gabinecie, z nogami na biurku, z papierosem w ustach, wydającego polecenia przez telefon.

Parada podnosi wzrok na wchodzącego Antonucciego.

- Może nam ojciec załatwić dużo kawy? - pyta Parada. - Czeka nas długa noc.
I jeszcze dłuższy dzień.

*

Grzeszne przyjemności.

Gorąca, mocna kawa. Czyste, ciepłe łóżko.

Dzięki Bogu, Antonucci jest Włochem i pali, myśli Parada, rozkoszując się tą najbardziej grzeszną z grzesznych przyjemności, jedną z nielicznych dozwolonych księżom.

Wypuszcza dym i patrzy jak unosi się do sufitu. Słyszy brzęk odstawianej przez Antonucciego filiżanki i jego rozmowę z ministrem spraw wewnętrznych.

- Rozmawiałem osobiście z Jego Świątobliwością. Pragnie on zapewnić rząd swojego umiłowanego narodu meksykańskiego, że Watykan jest gotów zapewnić wszelką możliwą pomoc, pomimo faktu, że nie utrzymujemy oficjalnych stosunków dyplomatycznych z rządem Meksyku.

Antonucci wygląda jak ptak, myśli Parada.

Jak ptaszek z małym, zgrabnym dzióbkiem.

Został przysłany z Rzymu osiem lat temu z misją formalnego ponownego sprowadzenia Meksyku do owczarni po ponad stu latach panowania antyklerykalnego rządu, odkąd Ley Lerdo w 1856 roku zagarnął większość kościelnych hacjend oraz innych posiadłości i sprzedał je. Rewolucyjna konstytucja z 1857 roku okroiła władzę Kościoła w Meksyku, a Watykan rzucał ekskomunikę na każdego Meksykanina, który złożył przysięgę konstytucyjną.

Zatem przez ponad sto lat w relacjach Watykanu z rządem meksykańskim panował niespokojny rozejm. Oficjalne stosunki nigdy nie zostały przywrócone, ale nawet najbardziej fanatyczni socjaliści z PRI - Partido Revolucionario Institucional, Tradycyjnej Partii Rewolucyjnej, która rządziła Meksykiem poprzez jednopartyjny, pseudodemokratyczny rząd od 1917 roku - nie próbowali całkowicie zlikwidować Kościoła w tym kraju pobożnych wieśniaków. Dochodziło do drobnych tarć, takich jak zakaz noszenia strojów duchownych, ale zasadniczo między rządem a Watykanem istniało niechętne ciche porozumienie.

Jednak Watykan przez cały czas dążył do odzyskania oficjalnego statusu w Meksyku i, jak polityk z arcykonserwatywnego skrzydła Kościoła, Antonucci, oznajmił Paradzie i innym biskupom, „nie możemy stracić wierzącego Meksyku na rzecz bezbożnego komunizmu”.

To naturalne, myśli Parada, że Antonucci chce wykorzystać trzęsienie ziemi jako swoją szansę. Uznać dziesięć tysięcy ofiar wśród wiernych jako sposób Boga, żeby rzucić rząd na kolana.

Konieczność zmusi rząd do łyknięcia jeszcze wielu gorzkich pigułek w ciągu

następnych dni; nie zniżył się jeszcze, żeby przyjąć pomoc od Amerykanów, ale będzie musiał. Nie płaszczył się dotąd przed Kościołem o wsparcie, ale do czasu.

A wtedy damy im pieniądze.

Pieniądze, które zbieraliśmy wśród wiernych, bogatych i ubogich, przez wieki. Monety rzucane na tacę, bez podatku, inwestowane z dużym zyskiem. Teraz więc, myśli Parada, podyktujemy cenę zdruzgotanemu krajowi, żeby oddać mu pieniądze, które najpierw mu zabraliśmy.

Chrystus by zapłakał.

Lichwiarze w świątyni?

To my jesteśmy lichwiarzami w świątyni.

- Potrzebne wam pieniądze - mówi Antonucci do ministra. - Potrzebne są wam szybko, a ciężko wam będzie je pożyczyć, biorąc pod uwagę, że rząd i tak ma już niepewną zdolność kredytową.

- Wydamy obligacje.

- I kto je kupi? - pyta Antonucci z cieniem szyderczego uśmiešku w kącikach ust. - Nie możecie zaproponować dostatecznie interesujących warunków, żeby przyciągnąć inwestorów do tego rodzaju pieniędzy. Nie możecie obsłużyć, nie wspominając o spłacie, dotychczasowych długów. Kto ma to wiedzieć, jak nie my; już mamy stos meksykańskich papierów wartościowych.

- Mamy ubezpieczenia.

- Jesteście ubezpieczeni poniżej wartości - mówi Antonucci. - Wasze Ministerstwo Spraw Wewnętrznych przymykało oko na praktyki hoteli zaniżających koszty ubezpieczenia, żeby skusić turystów. Sklepy, apartamentowce, to samo. Nawet ministerstwa, które upadły, miały rażąco niskie ubezpieczenie. Lub stosowały samoubezpieczenie, śmiem dodać, nie mając żadnych funduszy na jego pokrycie. Obawiam się, że to już mały skandal. Ale, podczas gdy wasz rząd oficjalnie gardzi Watykanem, instytucje finansowe mają o nas znacznie lepszą opinię.

Machiavelli mógł być tylko Włochem, myśli Parada.

Gdyby to nie było podstępne i cyniczne wymuszenie, można by go wręcz podziwiać.

Ale jest zbyt wiele do zrobienia, i to pilnie, więc Parada mówi:

- Darujmy sobie te dyrdymały. Z przyjemnością zapewnimy wam wszelką pomoc, finansową i materialną, jak również nieformalną. W zamian wy pozwolicie naszym duchownym nosić krzyże i wyraźnie zaznaczycie, jak duża pomoc materialna nadeszła ze strony Kościoła rzymskokatolickiego. Zagwarantujecie też, że następna administracja w ciągu

trzydziestu dni po objęciu urzędu dobrowolnie rozpocznie negocjacje w sprawie ustanowienia oficjalnych stosunków między państwem i Kościołem.

- To będzie w 1988 roku - rzuca Antonucci. - Za niecałe trzy lata.

- Tak, umiem dodawać - mówi Parada i znowu zwraca się do ministra: - To co, zawieramy układ?

Zawierają.

- Co ojciec sobie wyobraża? - naskakuje na niego Antonucci po wyjściu ministra. - Nigdy więcej niech ojciec nie wtrąca mi się w negocjacje. Już go miałem na widelcu.

- Na tym teraz polega nasza rola? - pyta go Parada. - Trzymanie ludzi w potrzebie na widelcu?

- Nie ma ojciec władzy, żeby...

- Czy zostaną zaprowadzony do drewnitni? - wtrąca Parada.

- Jeśli tak, to niech Wasza Wielbność się pośpieszy. Mam wiele pracy.

- Zapomina chyba ojciec, że jestem bezpośrednim przełożonym.

- Nie możesz zapomnieć o czymś, czego najpierw nie zaakceptowałeś - mówi Parada. - Nie jest ojciec moim zwierzchnikiem. Jest politykiem przysłanym przez Rzym do zajmowania się polityką.

- Trzęsienie ziemi zostało zesłane przez Boga...

- Nie mogę uwierzyć w to, co słyszę.

- ...i stało się szansą na zbawienie dusz milionów Meksykan.

- Niech ojciec nie ratuje ich dusz! - krzyczy Parada. - Niech ratuje ich samych!

- To zwykła herezja!

- I dobrze!

To nie są po prostu ofiary trzęsienia ziemi, myśli Parada. To miliony istnień żyjących w nędzy. Niezliczone miliony w slumsach Mexico City, ludzie żyjący na wysypiskach śmieci w Tijuanie, bezrolni chłopcy w Chiapas, którzy tak naprawdę są prawie poddanyimi.

- Ta „teologia wyzwolenia” zupełnie do mnie nie trafia - przyznaje Antonucci.

- Mam to w nosie - mówi Parada. - Nie odpowiadam przed ojcem. Odpowiadam przed Bogiem.

- Mogę podnieść teraz słuchawkę i wyląduje ojciec w podrzędnej kaplicy w Tierra del Fuego.

Parada sięga po telefon i podaje mu.

- Niech ojciec to zrobi. Z radością zostaną proboszczem gdzieś na końcu świata. Dlaczego jeszcze nie wykręca ojciec numeru? Mam to sam zrobić? Odkryję ojca karty.

Zadzwońię do Rzymu, a potem do gazet i wyjaśnię im, dlaczego mam zostać przeniesiony.

Widzi, że na policzkach Antonucciego wyskakują czerwone plamy. Ptaszek się wkurzył, myśli Parada. Zwichrzyłem mu delikatne piórka. Ale Antonucci odzyskuje spokój i wraca do swojej niewzruszonej postawy, a kiedy odkłada słuchawkę, na jego twarz wypływa nawet pełen samozadowolenia uśmiezek.

- Dobry wybór - mówi Parada z pewnością siebie, której wcale nie czuje. - Będę dalej niósł pomoc humanitarną, będę prał pieniądze Kościoła tak, by nie stawiać w trudnym położeniu rządu, zamierzam przywrócić Kościół w Meksyku.

- Czekam na *quid* - mówi Antonucci. - *W pro quo*.

- Watykan mianuje mnie kardynałem.

Ponieważ władza czynienia dobra pojawia się tylko, no cóż, z władzą.

- Ojciec sam staje się politykiem - mówi Antonucci.

To prawda, myśli Parada.

I dobrze.

Niech tak będzie.

- Rozumiemy się? - pyta Parada.

Teraz bardziej przypomina kota niż ptaka, myśli Parada. Jakby właśnie pożarł kanarka. Jakbym sprzedał mu właśnie duszę w imię własnych ambicji. Transakcja, którą jego mózg jest w stanie pojąć.

I dobrze, niech tak myśli.

Udawaj, jak to powiedziała moja kochana amerykańska prostytutka.

Ma rację - to łatwe.

Tijuana

1985

Adán Barrera rozważa umowę, jaką zawarł z PRI.

To było naprawdę bardzo proste, myśli. Idziesz na śniadanie z walizką pełną kasy, a wracasz bez niej. Stoi pod stołem przy twoich nogach, nie mówi się o niej, chociaż wszyscy wiedzą, że tam jest, milczące porozumienie: chociaż Amerykanin naciskał na coś innego, Tío wróci do ojczyzny z wygnania w Hondurasie.

I przejdzie na emeryturę.

Tío będzie żył sobie spokojnie w Guadalajarze i prowadził swoje legalne interesy. To plus tej umowy.

Minusem jest to, że García Abrego zrealizuje swoje ambicje i zastąpi Tío jako el Patrón. Może to nie jest takie złe. Tío podupał na zdrowiu i, nie ukrywajmy tego, zmienił się, odkąd ta kurwa Talavera go zdradziła. Boże, on naprawdę kochał swoją małą *segundera*, chciał się z nią ożenić, a teraz nie jest już tym samym człowiekiem.

Abrego obejmie zatem przywództwo w Federación ze swojego terytorium nad Zatoką Meksykańską. El Verde dalej będzie działał w Sonorze; Güero Méndez zachowa Baja Plaza.

A meksykański rząd federalny będzie patrzył w drugą stronę.

Dzięki trzęsieniu ziemi.

Rząd potrzebuje pieniędzy na odbudowę, a teraz może liczyć tylko na dwa źródła gotówki - na Watykan i handlarzy narkotykami. Adán wie, że Kościół już im dokopał, a teraz kolej na nas. Ale będzie *quid pro quo*, a rząd to uszanuje.

W dodatku Federación poniesie również koszty, aby zapewnić PRI wygrane wybory, tak jak przed rewolucją. Nawet teraz Adán pomaga Abrego zorganizować zbiórkę dwudziestu pięciu milionów dolarów, w której zobowiązany jest uczestniczyć każdy człowiek interesu narkotykowego w Meksyku.

Jeśli, oczywiście, chce zostać w interesie.

A teraz interesy są nam potrzebne bardziej niż zwykle, myśli Adán. Przede wszystkim zakłóciła je ta sprawa z Hidalgo, ale skoro Arturo wyjechał z kraju i wszystko się uspokoiło, jest jeszcze wiele pieniędzy do zarobienia. Teraz, kiedy nasze stosunki z Mexico City znowu stoją na solidnej podstawie, możemy wrócić do interesów.

Czyli ukraść Güero Baja Plaza.

*

To Tío wymyślił, żeby jego siostrzeńcy spenetrowali Tijuane.

Jak kukułki.

Ponieważ długoterminowy plan zakłada powolne zdobywanie bogactwa, władzy i wpływów oraz wyrzucenie Güero z jego gniazdka. I tak jest nieobecny właścicielem, próbującym zarządzać Baja Plaza z rancza pod Culiacán. Güero w codziennych sprawach w La Plaza polega na swoich adiutantach, oddanych mu dilerach, Juanie Esparagozie i Tito Micalu.

Oraz Adanie i Raúl Barrerach.

Tío wymyślił, żeby Adán i Raúl wkupili się w łaski establishmentu Tijuany.

- Stańcie się osnową materiału, wtedy, żeby was wyprać, będą musieli spruć całą tkaninę. A tego nie zrobią.

Róbcie to powoli, starannie, tak, żeby Güero nic nie zauważył.

- Zaczynjcie od dzieci - poradził im. - Senior zrobi wszystko, żeby ochronić Juniora.

Adán i Raúl rozpoczęli więc ofensywę. Kupili drogie domy w ekskluzywnej Colonia Hipódromo i po prostu nagle się tam znaleźli. Wszędzie. Jakby jednego dnia nie istniał Raúl Barrera, a następnego dnia był wszędzie, gdzie się nie ruszysz. Idziesz do klubu, Raúl właśnie płaci rachunek; idziesz na plażę, Raúl już tam jest i ćwiczy kata karate; idziesz na wyścigi, Raúl stawia kupę szmalu na fuksa; idziesz do dyskoteki, Raúl zalewa ją dom pérignon. Zaczyna skupiać wokół siebie grupkę potomków społeczeństwa Tijuany, dziewiętnasto- i dwudziestoletnich synów bankierów, prawników, lekarzy i urzędników rządowych, którzy lubią parkować samochody wzdłuż muru przy ogromnym, starożytnym dębnie i gadać o bzdurach z Raúlem.

Błyskawicznie drzewo staje się „tym drzewem” - a każdy, kto coś znaczy, spędza czas w El Arbol.

Na przykład Fabián Martínez.

*

Fabián jest przystojny jak aktor filmowy.

Zupełnie nie przypomina swego imiennika - piosenkarza i aktora z dawnych czasów - wygląda raczej jak młody Latynos Tony Curtis. Fabián jest przystojny i wie o tym. Wszyscy powtarzają mu to, odkąd skończył sześć lat, a lustro tylko potwierdza ich słowa. Jest wysoki, ma miedzianą skórę i szerokie, zmysłowe usta. Gęste, czarne włosy zaczesuje do tyłu. Ma błyszczące, białe zęby - efekt lat pracy drogich ortodontów - i uśmiech uwodziciela.

Wie o tym, bo wykorzystuje go - i to często.

Pewnego dnia zbijający bąki Fabián słyszy takie słowa:

- Zabijmy kogoś.

Fabián patrzy na swojego *cuate* Alejandro.

Brzmi więcej niż fajnie.

Prawie jak z *Człowieka z blizną*.

Chociaż Raúl Barrera zupełnie nie wygląda jak Al Pacino. Raúl jest wysoki i dobrze zbudowany, ma szerokie ramiona i kark idealnie pasujący do ciosów karate, które ciągle demonstruje. Dziś ubrany jest w czarną skórzaną kurtkę i baseballówkę San Diego Padres. Bizuteria jednak - w stylu Pacino. Raúl jest nią obwieszony - gruby złoty łańcuch na szyi, złote bransolety na nadgarstkach, złote sygnety i obowiązkowy rolex.

Tak naprawdę, myśli Fabián, to starszy brat Raúla bardziej przypomina Ala Pacino, ale na tym podobieństwo do „człowieka z blizną” się kończy. Fabián spotkał się z Adánem Barrerą kilka razy: w nocnym klubie z Ramónem, na meczu bokserskim, w „El Big” - barze z

hamburgerami Teda Big Boya przy Avenida Revolución. Adán wygląda bardziej jak księgowy niż *narcotraficante*. Żadnych futer z norek, biżuterii, pełnia spokoju. Gdyby ktoś nie pokazałby ci go palcem, nawet byś nie zauważył jego obecności.

Raúl daje się zauważyć od razu.

Dziś opiera się o swoje jaskrawoczerwone porsche targa i mówi od niechcienia o zabijaniu.

Kogokolwiek.

- Kogo nie lubicie? - pyta Raúl. - Kogo chcielibyście sprzątnąć z ulicy?

Fabián i Alejandro znowu wymieniają spojrzenia.

Są *cuates* - kumplami - od bardzo dawna, prawie od urodzenia, biorąc pod uwagę, że urodzili się w odstępie kilku tygodni w tym samym szpitalu - Scripps w San Diego. To powszechna praktyka wyższej klasy Tijuany nawiązująca do końca lat sześćdziesiątych: załatwiają sobie poród za granicą, żeby dziecko miało podwójne obywatelstwo. Tak więc Fabián i Alejandro, podobnie jak większość ich *cuates*, urodzili się w Stanach, chodzili razem do przedszkola i podstawówki w ekskluzywnej dzielnicy Hipódromo na wzgórzach nad centrum Tijuany. Kiedy szli do piątej czy szóstej klasy, ich matki przeprowadzały się z powrotem do San Diego, żeby dzieci mogły uczęszczać do gimnazjum i liceum w Stanach, nauczyć się angielskiego, stać się całkowicie ludźmi dwóch kultur i nawiązać kontakty, tak ważne, żeby później osiągnąć w życiu sukces. Ich rodzice wiedzą, że chociaż Tijuana i San Diego leżą w dwóch innych państwach, to łączy je wspólnota interesów.

Fabián, Alejandro i pozostali ich koledzy chodzili do katolickiej szkoły dla chłopców im. świętego Augustyna; ich siostry uczęszczały do Najświętszej Marii Panny Pokoju. (Ich rodzice przyjrzeni się publicznym szkołom w San Diego i doszli do wniosku, że nie chcą, aby ich dzieci przyswajały tę drugą kulturę w ten sposób). Tydzień spędzali u księży, a na weekendy przyjeżdżali do Tijuany, balowali w ekskluzywnych klubach rekreacyjno-sportowych lub wylegiwali się na plaży w kurortach Rosario i Ensenada. Czasem zostawali w San Diego i zajmowali się tym samym gównem, co amerykańskie nastolatki w weekendy - latali po centrach handlowych i kupowali ciuchy, chodzili do kina, jechali do Pacific Beach lub La Jolla Shores, imprezowali w domach tych znajomych, których rodzice wyjechali na weekend (a wyjeżdżało ich sporo - oto jeden z przywilejów dzieci z bogatych rodzin, że rodzice mają kasę na podróżowanie), pili, bzykali się i palili trawę.

Synowie bogaczy mieli gotówkę w kieszeni i nosili super ciuchy. Zawsze - w podstawówce, w szkole średniej. Fabián, Alejandro i ich towarzystwo ubierali się według najnowszej mody, a zakupy robili w najlepszych sklepach. Nawet teraz, kiedy obaj uczą się w

college'u w Baja, mają takie kieszonkowe, że mogą wciągać na grzbiet najdroższe rzeczy. Większość czasu, kiedy nie są w dyskoteci, klubie lub nie przesiadują tutaj, pod El Arbol, spędzają na zakupach. O wiele więcej pieniędzy wydają na zakupy niż na same studia, to pewne.

Nie żeby któryś z nich był głupi.

Nie są głupi.

Szczególnie Fabián - jest bardzo bystry. Potrafi zdać śpiewająco egzamin z podstaw przedsiębiorczości z zamkniętymi oczami - które zresztą ma zwykle zamknięte przez połowę czasu spędzonego na zajęciach. Fabián umie zestawić w głowie odsetki szybciej, niż ty wbijesz wszystkie cyferki w kalkulator. Mógłby być najlepszym studentem.

Ale nie ma takiej potrzeby. Nie to zakłada plan.

Plan jest taki: idziesz do szkoły średniej w Stanach, wracasz i wstępujesz do college'u, tatuś wprowadza cię w interesy, ty, wykorzystując wszystkie kontakty nawiązane po obu stronach granicy, robisz pieniądze.

Tak wygląda życiowy plan.

Ale plan nie przewidział, że w mieście pojawią się bracia Barrerowie. Nigdzie nie zostało zapisane, że Adán i Raúl Barrera wprowadzą się do Colonia Hipódromo i wynajmą wielką, białą rezydencję na wzgórzu.

Fabián poznaje Raúla w dyskoteci. Siedzi przy stoliku z przyjaciółmi, kiedy wchodzi ten niezwykły facet - w długim futrze z nerek, jaskrawozielonych kowbojkach i czarnym kowbojskim kapeluszu. Fabián patrzy na Alejandra i pyta:

- Widzisz to, co ja?

Myślą, że gościu robi sobie jaja, ale te jaja wyglądają tak, że wzywa kelnera i zamawia trzydzieści butelek szampana.

Trzydzieści butelek szampana.

I to nie jakiegoś taniego gówna, tylko dom perignon.

I płaci za niego gotówką.

Potem pyta:

- Czy ktoś ma chęć się do mnie przy siaść?

Jak się okazuje, wszyscy.

Raúl Barrera rozkręca imprezę.

Impreza się rozkręca.

A potem pewnego dnia okazuje się, że to on może wszystko.

Pewnego dnia siedzą pod El Arbol, palą jakieś zioło i trenują ciosy karate, a Raúl

zaczyna mówić o Felizardo.

- To ten bokser? - pyta Fabián. Cesar Felizardo, jeden z największych bohaterów Meksyku.

- Nie, robotnik rolny - odpowiada Raúl. Kończy wykop z półobrotu i patrzy na Fabiána.

- Tak, bokser. W przyszłym tygodniu walczy tu z Pérezem.

- Nie dostaniesz biletów.

- Nie, to wy nie dostaniecie biletów - mówi Raúl.

- A ty dostaniesz?

- Pochodzi z mojego miasta - odpowiada Raúl. - Z Culiacán. Byłem kiedyś jego menadżerem. To mój *viejo*. Jak chcecie iść, mogę wam to załatwić.

Tak, chcą iść, tak. Raúl to załatwia. Miejsca siedzące przy samym ringu. Walka nie trwa długo - Felizardo nokautuje Péreza w trzeciej rundzie - ale to i tak frajda. Największą frajdą jest to, że Raúl zabiera ich do szatni - poznają Felizardo osobiście. Stoi z nimi i rozmawia, jakby byli starymi kumplami.

Fabián zauważa jeszcze coś: Felizardo traktuje ich jak kumpli, podobnie Raúla traktuje jak *cuate*, ale zupełnie inaczej bokser odnosi się do Adána. Adán nie zostaje długo, przychodzi tylko na chwilę, cicho gratuluje bokserowi i wychodzi.

Ale na te kilka chwil wszystko w pomieszczeniu zamiera.

Tak, Fabián orientuje się, że nie chodzi o to, że Barrerowie mogą wiele załatwić i to nie stojące miejsca na mecz piłki nożnej (Raúl kiedyś ich zabrał), ani wejściówki na Padres (Raúl kiedyś ich zabrał); czy nawet wypad do Vegas, gdzie wszyscy lecą miesiąc później, mieszkają w Mirage'u, wydają pieprzone pieniądze i patrzą, jak Felizardo rozdeptuje niczym gównem Rodolfo Aguilara w sześciu rundach, żeby zachować tytuł mistrza wagi lekkiej, a potem imprezują w towarzystwie najdroższych dziwki w apartamencie Raúla i następnego popołudnia wracają do domu - skacowani, wyżyci i szczęśliwi. Nie, chodzi o to, że Barrerowie mogą załatwić ci rozrywki w tempie, jakiego ty nie osiągniesz po wielu latach, jeśli w ogóle, pracując po czternaście godzin na dobę w firmie tatusia.

Słyszysz różne rzeczy na temat Barrerów - że pieniądze, którymi tak szastają, pochodzą z narkotyków - ale przede wszystkim słyszysz różne rzeczy na temat Raúla. Jedna z opowiadanych szeptem historii o Raúlu brzmi tak:

Siedzi sobie w swoim aucie przed domem, słucha muzyki *bandera* przez głośniki, a basy ma pokręcone na maksa. Wtedy podchodzi do niego sąsiad i puka w szybę.

Raúl otwiera okno.

- Czego?

- Możesz to przykręcić?! - facet próbuje przekrzyczeć muzykę. - Słyszać to u mnie w domu! Szyby brzęczą!

Raúl chce się trochę powygłupiać.

- Co?! - wrzeszczy. - Nic nie słyszę!

Facet nie jest w nastroju do żartów. Poza tym też jest niezłym osiłkiem. Krzyczy więc:

- Muzyka! Ścisz to! Jest, kurwa, za głośno!

Raúl wyjmując z kieszeni pistolet, przystawia mężczyźnie do piersi i pociąga za spust.

- Teraz już ci nie jest za głośno, *pendejo*?

Ciało znika i już nikt więcej nie skarży się na Raúla.

Fabián i Alejandro rozmawiają o tej historii, dochodzą do wniosku, że to jakaś bzdura, to niemożliwe, jest za bardzo gangsterskie, żeby było prawdziwe, ale teraz Raúl kończy skręta i proponuje: „Zabijmy kogoś”, jakby proponował wypad do Baskin-Robbinsa na lody.

- No, dalej - mówi Raúl. - Musi być ktoś, z kim macie na pieńku.

Fabián uśmiecha się do Alejandra i mówi:

- No, dobra...

Ojciec Fabiána dał mu mazdę miata; rodzice Alejandra szarpnęli się dla niego na lexusa. Nocami lubili urządzać sobie wyścigi. Ale pewnej nocy Fabián ściga się z Alejandrem na dwupasmowej drodze, kiedy z naprzeciwka nadjeżdża samochód. Fabián chowa się na swój pas o włos unikając wypadku z tym *pelo del chocho*. Okazuje się, że facet pracuje w biurówcu jego ojca i rozpoznaje samochód. Dzwoni do ojca Fabiána, który dostaje furii i zabiera mu miatę na pół roku. W związku z czym Fabián aktualnie nie ma wozu.

Fabián opowiada o tym nieszczęściu Raúlowi.

To przecież żarty, nie? Głupie dyrdymały dla jaj.

Z tym że tydzień później facet znika.

Jednego z tych nielicznych wieczorów, kiedy ojciec Fabiána wraca do domu na kolację, opowiada przy stole, że w jego biurówcu zaginął pracownik, po prostu zapadł się pod ziemię. Fabián przeprasza i wstaje od stołu. Idzie do łazienki i chlapie sobie na twarz lodowatą wodą.

Później spotyka się w klubie z Alejandrem i rozmawiają o tym zagłuszeniu przez grzmiącą muzykę.

- O żesz kurwa - mówi Fabián. - Myślisz, że on to zrobił?

- Nie wiem - odpowiada Alejandro. Potem patrzy na Fabiána, śmieje się i mówi: - Niiieeee...

Ale facet nie wraca. Raúl nigdy nie pisał na ten temat ni słowa, ale mężczyzna nie wraca już nigdy. A Fabián jest przerażony. To nie był żart, po prostu sprawdzał, chciał się

przekonać, czy te bzdury o Raúlu są prawdziwe, a teraz ten gość z tego powodu nie żyje.

I, jakby zapytał szkolny psycholog, jak się z tym czujesz?

Fabián jest zaskoczony odpowiedzią.

Jest przerażony, ma poczucie winy i czuje się...

Dobrze.

Czuje się potężny.

Kiwniesz palcem i...

Adiós, skurwielu.

To jest jak seks, tylko jeszcze lepsze.

Dwa tygodnie później zdobywa się na to, żeby porozmawiać z Raúlem o interesach.

Wsiadają do czerwonego porsche i jadą się przejechać.

- Jak mogę w to wejść? - pyta Fabián.

- W co?

- *La pista secreta* - mówi Fabián. - Nie mam za wiele pieniędzy. To znaczy, nie mam za wiele własnych pieniędzy.

- Nie potrzebujesz pieniędzy - mówi Raúl.

- Nie?

- Masz zieloną kartę?

- Tak.

- Wystarczy.

To łatwe. Dwa tygodnie później Raúl daje Fabiánowi forda explorera i każe mu przekroczyć granicę w Otay Mesa. Mówi mu, o której godzinie ma to zrobić, z którego pasa korzystać. Fabián boi się jak cholera, ale to dziwny, podniecający strach - potężna dawka adrenaliny. Przejeżdża przez granicę, jakby w ogóle jej nie było; strażnik po prostu przepuszcza go machnięciem. Jedzie pod podany przez Raúla adres, gdzie do jego explorera wsiada dwóch gości, a on przesiada się do ich auta i wraca do Tijuany.

Raúl daje mu dziesięć tysięcy dolarów.

Gotówką.

Fabián wciąga w to również Alejandra.

Są przecież *cuates*, kumplami.

Alejandro robi parę rundek jako jego skrzydłowy, a potem pracuje na własną rękę.

Wszystko gra. Zarabiają kupę kasy, ale...

- Ale to nie są prawdziwe pieniądze - mówi do Alejandro pewnego popołudnia.

- Według mnie są całkiem realne.

- Prawdziwe pieniądze można zrobić na kokainie.

Idzie do Raúla i mówi, że jest gotowy na kolejny krok.

- To super, bracie - mówi Raúl. - Wszystkim chodzi o to, żeby piąć się w górę.

Opowiada Fabiánowi, jak to wszystko działa, poznaje go nawet z Kolumbijczykami. Siedzi z nimi, kiedy zawierają standardowy kontrakt - Fabián przejmie pięćdziesiąt kilo koki, podrzucone przez łódź rybacką do Rosarito. Przerzuci je przez granicę po tysiąc za kilogram. Dziesięć procent z tego trafia jednak do Raúla za ochronę.

Bam.

Czterdzieści kawałków tak po prostu.

Fabián załatwia jeszcze dwa kontrakty i kupuje sobie mercedesa.

Możesz więc sobie wziąć miatę, tatusiu. Trzymaj sobie w garażu tę japońską kosiarkę. A potem możesz przestać martwić się o moje stopnie, bo ja już zdobyłem certyfikat Marketing 101. Jestem już doskonałym pośrednikiem handlowym, tatusiu. Nie troszcz się o to, kiedy będziesz mnie mógł wepchnąć do firmy, bo ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebuję, jest PRACA.

Poza tym, nie stać cię na mnie.

Jeśli myślisz, że Fabián zajmuje się wrywaniem lasek, to powinieneś go teraz zobaczyć.

Fabián ma PIENIĄDZE.

Ma dwadzieścia jeden lat i żyje na poziomie.

Inni to widzą, inni synowe lekarzy, prawników i maklerów. Widzą to i też tak chcą. W krótkim czasie większość chłopaków, którzy tworzą niewielki krąg wokół Raúla w El Arbol - ćwicząc ciosy karate i paląc trawę - też wchodzi do interesu. Przewożą towar do Stanów, albo zawierają własne kontrakty i opłacają się Raúlowi.

Tkwią w tym - kolejne pokolenie struktury władzy Tijuany - tkwią po same uszy.

W krótkim czasie grupa zdobywa sobie przydomek.

Juniorzy.

Fabián staje się Juniorem.

Pewnego wieczora błąka się po Rosarito i wpada na boksera Erica Casavalesa i jego menadżera, starszego faceta José Mirandę. Eric jest całkiem dobrym bokserem, ale dziś jest pijany i nie zauważa nawet, że potrafił tego yuppie na ulicy. Wylane drinki, zaplamione koszule, wymiana zdań. Śmiech. Casavales wyszarpuje pistolet zza paska i macha nim Fabiánowi przed nosem, aż José odciąga go na bok.

Casavales zatacza się, wyśmiewa przerażony wyraz twarzy bogatego szczeniaka, który

dostrzega nagle lufę pistoletu. Śmieje się dalej, kiedy Fabián idzie do swojego mercedesa, wyciąga własny pistolet ze schowka, wraca do Casavalesa i Mirandy stojących przy samochodzie boksera i zabija ich obu.

Fabián wyrzuca pistolet do oceanu, wsiada do mercedesa i wraca do Tijuany.

Czuje się wspaniale.

Jest z siebie zadowolony.

To jedna z wersji tej historii. Inna - popularna u Teda Big Boya - głosi, że konfrontacja Martineza z bokserem wcale nie była przypadkowa, że menadżer Casavalesa opóźnił walkę, której potrzebował Cesar Felizardo, żeby awansować, i pozostawał niewzruszony, nawet wówczas, kiedy Adán Barrera przyszedł do niego osobiście z bardzo kuszącą ofertą. Nikt nie znał prawdziwego powodu, ale Casavales i Miranda giną, a pod koniec roku Felizardo stacza swoją walkę o mistrzostwo wagi lekkiej i wygrywa.

Fabián zaprzecza, że zabił kogokolwiek, ale im bardziej zaprzecza, tym więcej ludzi wierzy w te opowieści.

Raúl nadaje mu przydomek.

El Tiburón.

Rekin.

Ponieważ porusza się jak rekin w wodzie.

*

Adán nie urabia dzieciaków - zajmuje się dorosłymi.

Lucía, ze swoim pochodzeniem i tradycyjnym wychowaniem, ogromnie mu pomaga. Zabiera go do dobrego krawca, kupuje klasyczne, drogie garnitury i inne ubrania (Adán próbuje, jednak bez skutku, żeby Raúl przeszedł tę samą przemianę. Ale jego brat nosi się coraz bardziej ekstrawagancko, dorzucając, na przykład, do swojej szafy narkokowboja z Sinaloi długie do kostek futro z norek). Zabiera go do prywatnych klubów, do francuskich restauracji w dzielnicy Río, na przyjęcia w prywatnych domach w Hipódromo, Chapultepec i Río.

I oczywiście chodzą do kościoła. W każdą niedzielę rano są na mszy. Zostawiają duże czeki na tacy, dokonują wielkich darowizn na rzecz funduszu budowlanego, funduszu dla sierot, funduszu dla wiekowych księży. Zapraszają ojca Riverę do domu na obiad, urządzają przyjęcia w ogrodzie, zostają rodzicami chrzestnymi dla coraz większej grupki młodych małżeństw, które właśnie zakładają rodziny. Zachowują się jak każda inna młoda, pnąca się w górę para w Tijuanie - on jest poważnym przedsiębiorcą z pierwszą, potem drugą, potem piątą własną restauracją; ona młodą żoną człowieka interesu.

Lucía chodzi na siłownię, na lunch z innymi młodymi mężatkami, jeździ do San Diego do sklepów w Fashion Valley i Horton Plaza. Traktuje to jako obowiązki wobec swojego męża biznesmena, ale ogranicza się tylko do obowiązków. Inne żony to rozumieją - biedna Lucía musi spędzać dużo czasu ze swoim biednym dzieckiem, chce być w domu, wypełniać swoje obowiązki wobec Kościoła.

Jest teraz matką chrzestną pół tuzina dzieci. To ją rani - czuje się jak skazaniec z przyklepionym do twarzy uśmiechem, kiedy trzyma przy chrzcielnicy czyjeś zdrowe dziecko.

Adán, jeśli nie jest w domu, przebywa w swoim gabinecie na tyłach jednej z restauracji, sączy kawę i sumuje coś w notesie. Ktoś, kto nie wie, jakimi interesami się tak naprawdę zajmuje, nigdy by się tego nie domyślił. Wygląda na młodego księgowego, gryzipiórka. Jeśli ktoś nie przyjrzy się uważnie nakreślonym ołówkiem liczbom, nigdy by nie pomyślał, że to kalkulacje: x kilogramów kokainy razy opłata od Kolumbijczyków minus koszty transportu, pensje dla pracowników i inne koszty, dziesięć procent dla Güero, dziesięć dla Tío. Są tu też bardziej prozaiczne rozliczenia, takie jak koszty połędwicy wołowej, lnianych serwetek, środków czyszczących i tak dalej dla pięciu restauracji, których jest właścicielem, ale większość czasu poświęca jednak na bardziej skomplikowane obliczenia dotyczące przerzutu ton kolumbijskiej kokainy, jak również sinsemilli Güero i małej ilości heroiny, tylko tyle, żeby utrzymać rękę na pulsie rynku.

Rzadko, jeśli w ogóle, ma do czynienia z narkotykami w naturze, jak również z dostawcami i klientami. Adán po prostu zarządza pieniędzmi - pobiera je, liczy, pierze. Ale nie zbiera - to domena Raúla.

Raúl radzi sobie ze swoimi interesami.

Weźmy tę sprawę dwóch kurierów, którzy wzięli dwieście kilo od Barrerów, przewieźli je przez granicę i zamiast pojechać w stronę Tijuany, udali się do Monterrey. Jednak meksykańskie autostrady są długie i koło Chihuahua *federales* zatrzymali tych dwóch *pendejos* i przytrzymali ich na tyle długo, żeby Raúl zdążył dojechać.

Raúl nie jest zadowolony.

Kładzie ręce kuriera na gilotynie do cięcia papieru i pyta go:

- Mamusia nie uczyła cię, żebyś trzymał rączki przy dupie?

- Uczyła! - krzyczy kurier, a oczy wychodzą mu z orbit.

- To trzeba było jej słuchać - mówi Raúl. Potem całym ciałem opiera się na ostrzu, które opada na nadgarstki kuriera. Gliny odwożą gościa do szpitala, bo Raúl chce mieć całkowitą pewność, że bezręki facet przeżyje i będzie chodził jako żywy przykład dla innych.

Drugi kurier dociera do Monterrey - skuty łańcuchem i zapakowany do bagażnika

samochoду, którym Raúl jedzie na pustkowie, gdzie polewa go benzyną i podpala. Potem Raúl osobiście zawozi gotówkę do Tijuany, je lunch z Adánem i idzie na mecz piłki nożnej.

Przez długi czas nikt nie próbuje sobie przywłaszczyć pieniędzy Barrerów.

Adán nie ma nic wspólnego z całym tym gównem. On jest przedsiębiorcą; dla niego to zwykły eksport-import - eksport narkotyków, import gotówki. Potem tylko problem, jak rozdysponować te pieniądze. Taki problem chciałby mieć każdy biznesmen - co ja zrobię z taką kasą? - ale wciąż pozostaje problemem. Adán może uprać pewną część w swoim restauracjach, ale pięć restauracji nie przynosi milionów dolarów, więc ciągle musi szukać innych pralni.

To wszystko jednak tylko cyfry.

Od wielu lat nie widział na oczy narkotyków.

I krwi.

Adán Barrera nigdy nikogo nie zabił.

Co najwyżej zaciskał pięści w gniewie. Nie, cała mokra robota, użycie siły spadało na Raúla. Nie przeszkadzało mu to, przeciwnie. Dzięki temu podziałowi pracy, Adánowi było łatwiej kłamać, jak naprawdę zarabia na życie.

I tym właśnie ma się zajmować, zarabianiem pieniędzy.

7.

Boże Narodzenie

A starcy z gruźlicą

U Nelsona rzeźą i kaszlą

I nikt nie pojedzie na południe

Dopóki się tam nie uspokoi...

Tom Waits, *Small Change*

Nowy Jork

Grudzień 1985

Callan hebluje deskę.

Długim powolnym ruchem przejeżdża strugiem z jednego końca deski na drugi, potem robi krok do tyłu, żeby ocenić swoją pracę.

Wygląda nieźle. Bierze papier ścierny, owija go dookoła kawałka drewna i zaczyna wygładzać krawędź, którą właśnie stworzył.

Wszystko idzie dobrze.

Przede wszystkim, uważa Callan, idzie dobrze, bo idzie tak źle.

Weźmy wielki kokainowy wynik Brzoskwini: zero.

A właściwie minus zero.

Callan nie dostał z tego złamanego centa, zważywszy, że cała kokaina skończyła w magazynie u federalnych, zanim trafiła na ulice. Federalni musieli mieć ją na oku cały czas, ponieważ gdy tylko Brzoskwini przywiózł kokę do wschodniego okręgu, wyszkoleni funkcjonariusze Giulianiego zlecieli się do niej jak muchy do gówna.

A Brzoskwini został oskarżony o posiadanie z zamiarem dystrybucji.

Poważny zarzut.

Brzoskwini chce przeżyć kryzys wieku średniego w Ossining, o ile tak długo pożyje, i musi skombinować forszę na kaucję, nie wspominając o wynagrodzeniu prawnika i o tym, że dopóki się z tym wszystkim nie upora, nie zarabia. Brzoskwini obwieszcza więc: „Podnosimy cenę, chłopaki, przyszła pora na rozliczenie podatkowe”, więc Callan i O-Bop stracili nie tylko to, co zainwestowali w kokę, musieli też dołożyć się do Funduszu na Obronę

Wielkiego Brzoskwini, co pochłonęło większość ich pieniędzy z łapówek, wyłudzeń i lichwy.

Dobra wiadomość brzmi, że to oni nie zostali oskarżeni. Mimo wszystkich swoich grzechów, Brzoskwinią jest równym gościem - tak jak Mały Brzoskwinią - i chociaż federalni wycisnęli z Brzoskwini zeznania na temat każdego kumpla w Greater New York Metropolitan Area, nie trafili do O-Bopa i Callana.

Co, myśli Callan, jest wielkim pieprzonym błogosławieństwem.

Taka ilość koki to trzydzieści lat, a nawet dożywocie.

Dobrze więc.

To sprawia, że powietrze staje się słodkie, po prostu dlatego, że możesz je czuć i będziesz je czuć.

Masz przed sobą kolejny dzień.

Ale Brzoskwinią jest przygwożdżony, podobnie jak Mały Brzoskwinią, a wieść niesie, że federalni dopadli Cozzo, brata Cozzo i paru innych, a teraz próbują skłonić Wielkiego Brzoskwinię, by ich wkopał.

Powodzenia, myśli Callan.

Brzoskwinią należy do starej szkoły.

Ludzie starej szkoły nie wykładają się na byle czym.

Ale trudne czasy to najmniejszy problem Brzoskwini, gdyż federalni oskarżyli Wielkiego Paula Calabrese.

Nie za kokainę, ale z paragrafu o przestępczości zorganizowanej, i Wielki Paulie naprawdę poci się jak mysz, bo minęło zaledwie kilka miesięcy, odkąd Giuliani przywalił po sto lat więzienia czterem innym bossom. Wydawało się, że Wielki Paulie będzie następny.

Ten Giuliani to cwany kutas, doskonale zna włoski toast, który brzmi „Cent anni” - żyj sto lat - z tym, że on ma na myśli „żyj sto lat w pudle”. Giuliani chce iść na całość - zapuszkować wszystkie głowy pięciu starych Rodzin, i wygląda na to, że Paulie lada moment upadnie. Co rozumiałe, Paulie nie życzy sobie umrzeć za kratkami, więc jest lekko zdenerwowany.

Wygląda na to, że chce zrzucić część swojej *aguila* na Wielkiego Brzoskwinię.

Handlujesz, nie żyjesz.

Brzoskwinią zarzeka się, że jest niewinny, że federalni go wrobili, że nie śmiałyby sprzeciwić się szefowi i handlować narkotykami, ale do Calabrese docierają plotki o taśmach, na których Brzoskwinią mówi o kokainie i parę innych oburzających rzeczy o samym Paulu Calabrese. Brzoskwinią stale rżnie głupa. Taśmy? Jakie taśmy? A federalni nie przekażą taśm Pauliemu, ponieważ nie zamierzają ich wykorzystać jako dowodu w sprawie Calabrese'a - na

razie - Calabrese wie jednak, że z całą pewnością wykorzystają je przeciwko Brzoskwini w jego sprawie, więc Brzoskwinią je ma. Paulie żąda, żeby przyniósł je do domu na Todt Hill.

Brzoskwinią jest zdeterminowany, by tego nie robić, ponieważ równie dobrze mógłby sobie wsadzić granat w dupę i wyciągnąć zawleczkę. Na tych taśmach mówi bowiem rzeczy w rodzaju: „Hej, a wiecie, że matka chrzestna pieprzy pokojówkę? Czujecie fazę? Słyszałem, że używa do tego pompowanego kutasa...”

I inne tego typu pikantne szczegóły o matce chrzestnej i o tym, jakim jest syfiastym, nędznym dupkiem, nie wspominając o innych słownych zniewagach całego rodu Cimino, więc Brzoskwinią nie życzy sobie, żeby Paulie przesłuchał taśmy.

Sytuację zaostrza jeszcze fakt, że rak wreszcie zabiera Neilla Demonte, prawą rękę szefa ze starej szkoły Cimino i jedyne go człowieka, który powstrzymywał odłam rodziny Cozzo od otwartego buntu. Chodzi nie tylko o to, że zniknął czynnik hamujący, ale o to, że zwolniło się stanowisko prawej ręki szefa, a Cozzo mają w związku z tym pewne nadzieje.

Spodziewają się, że to Johnny Boy, a nie Tommy Bellavia, zostanie nową prawą ręką.

„Nie będę składał raportów szoferowi”, odgraża się Brzoskwinią, jakby już nie stąpał po cienkim lodzie. Jakby miał szansę składać raporty komuś innemu niż klawisz albo święty Piotr.

Callan wie to wszystko od O-Bopa, który nie chce słyszeć, że Callan się wycofuje.

- Nie możesz się wycofać.

- Dlaczego?

- Myślisz, że możesz tak po prostu odejść? - pyta O-Bop. - Myślisz, że możesz otworzyć drzwi i wyjść?

- Tak właśnie myślę - mówi Callan. - A ty zamierzasz dalej w tym siedzieć?

- Nie - szybko odpowiada O-Bop. - Ale są ludzie, którzy, no wiesz, żywią urazę. Nie chcesz chyba znaleźć się sam poza tym wszystkim.

- Tego właśnie chcę.

Nie, może niezupełnie.

Prawda jest taka, że Callan się zakochał.

Kończy heblowanie deski i idzie do domu myśląc o Siobhan.

*

Spotkali się w pubie Glocca Mora na rogu Dwudziestej Szóstej i Trzeciej. Callan siedzi przy barze z piwem, słucha Joe Burke'a grającego na flecie i dostrzega ją z grupą przyjaciółek przy stoliku z przodu. Najpierw rzucają mu się w oczy jej długie, czarne włosy. Potem dziewczyna odwraca się i widzi jej twarz, te szare oczy, i już jest po nim.

Podchodzi do stolika i siada. Okazuje się, że ma na imię Siobhan i pochodzi z Belfastu - wychowała się przy Kashmir Road.

- Mój tata jest z Clonnard - mówi Callan. - Nazywa się Kevin Callan.

- Słyszałam o nim - odpowiada dziewczyna, a potem się odwraca.

- O co chodzi?

- Przyjechałam tutaj, żeby odciąć się od tego wszystkiego.

- Dlaczego więc przyszedłeś tutaj? - pyta. Kurwa, każda jedna piosenka, jaką się tu śpiewa, jest o tym - o Problemach, przeszłych, teraźniejszych i przyszłych. Nawet teraz Joe Burke odłożył flet, wziął banjo i zespół zaintonował *Ludzi za drutem kolczastym*:

Pancerne samochody, czołgi i karabiny

Przybyły, by zabrać naszych synów.

Ale wszyscy ludzie staną za nimi,

Ludzie za drutem kolczastym.

- Nie wiem - odpowiada - to idzie wszędzie za Irlandczykami, prawda?

- Są przecież inne miejsca - mówi Callan. - Jadłeś już kolację?

- Jestem tu z przyjaciółkami.

- Na pewno z nimi będzie miło.

- Ale nie mnie.

Zarumieniła się.

- Może innym razem - proponuje dziewczyna.

- Innym razem w sensie „spływaj”? - pyta Callan. - Czy innym razem umówimy się na randkę?

- Jestem wolna w czwartek wieczorem.

Zabiera ją do drogiego lokalu w Restaurant Row, tuż poza Kitchen, ale jeszcze w sferze wpływów jego i O-Bopa. Żaden czysty obrus nie trafi tutaj bez jego i O-Bopa wiedzy, inspektor do spraw pożarowych nie zauważa, że tylne wyjście jest zamknięte, policjant na obchodzie zawsze chętnie przechodzi obok, a czasami parę skrzynek whisky spada wprost z ciężarówki bez faktury, więc Callan dostaje świetny stolik i jest doskonale obsłużony.

- Jezu - mówi Siobhan, studiując menu. - Stać cię na to?

- Taa.

- Co robisz? - pyta. - W sensie, w pracy?

Niewygodne pytanie.

- To i owo.

„To”, czyli wymuszanie okupów, lichwiarstwo i kontraktowe morderstwa; „owo”, czyli narkotyki.

- To musi być bardzo opłacalne to i owo - mówi dziewczyna.

Callan myśli, że Siobhan natychmiast wstanie i wyjdzie, ale ona zamawia filet z soli. Callan nie zna się na cholernym winie, ale po południu wpadł do restauracji i umówił się, że cokolwiek jego partnerka zamówi, kelner ma przynieść odpowiednie wino.

Przynosi.

Na koszt firmy.

Siobhan rzuca na Callana zdumione spojrzenie.

- Czasem dla nich coś załatwiam - wyjaśnia chłopak.

- To i owo.

- Właśnie tak.

Kilka minut później Callan wychodzi do toalety, odnajduje kierownika sali i mówi:

- Słuchaj, podajcie mi dziś rachunek, dobra?

- Sean, właściciel by mnie zabił, gdybym dał ci rachunek.

Ponieważ taka jest umowa. Umowa polega na tym, że kiedykolwiek Sean Callan czy Stevie O'Leary wpadają na obiad, rachunek nie pojawia się, a oni zostawiają tylko wysoki napiwek dla kelnera. Zrozumiałe, jak również to, że nie przychodzą tu zbyt często, ale rozdzielają te wizyty na wszystkie restauracje w Restaurant Row.

Jest zdenerwowany - nie chodził na zbyt wiele randek, a jeśli już to do Gloc albo Liffey i jeśli w ogóle coś jedli, to był to burger, albo jakiś gulasz jagnięcy. Zwykle chlali na umór, potem zataczając się wychodzili i odwalali szybki numer, a rano niewiele pamiętali. Do tego typu miejsc przychodzili tylko w interesach, żeby - jak to mawia O-Bop - się pokazać.

- To było najlepsze jedzenie, jakie w życiu jadłam - mówi Siobhan, oblizując resztki czekoladowego musu z warg.

Przynoszą rachunek i jest on kurewsko wysoki.

Kiedy Callan na niego patrzy, zastanawia się, jak przeciętnego człowieka stać na życie. Wyciąga z kieszeni plik banknotów i kładzie je na tacy. To wywołuje kolejne zdziwione spojrzenie Siobhan.

Potem z kolei on jest zaskoczony, kiedy dziewczyna zaprasza go do swojego mieszkania i prowadzi prosto do sypialni. Tam ściąga przez głowę sweter i rozpuszcza włosy, potem rozpina stanik, zrzuca buty, zdejmuje dżinsy i wskakuje pod kołdrę.

- Jeszcze skarpetki - mówi Callan.

- Mam zimne stopy - odpowiada. - Idziesz?

Rozbiera się do bielizny i dopiero pod kołdrą zdejmuje bokserki. Dziewczyna kieruje nim tak, że już po chwili znajduje się w niej. Szybko szczytuje, a kiedy on już dochodzi i chce się z niej wysunąć, ona zaciska nogi i nie pozwala mu na to.

- W porządku, biorę pigułki. Chcę, żebyś skończył we mnie.

Potem faluje biodrami i to załatwia sprawę do końca.

Rano wstaje wcześniej, żeby iść do spowiedzi. W przeciwnym razie, mówi mu, w niedzielę nie będzie mogła przystąpić do komunii.

- Chcesz się z tego spowiadać? - pyta Callan.

- Oczywiście.

- I obiecasz, że już tego nie zrobisz? - pyta, bojąc się, że padnie twierdząca odpowiedź.

- Nie skłamałabym księdzu - odpowiada. Potem wychodzi. Callan z powrotem zasypia. Kiedy się budzi, czuje, że Siobhan znowu jest z nim w łóżku. Ale kiedy do niej sięga, ona odmawia mówiąc, że musi poczekać do jutrzejszej mszy, by mogła przyjąć komunię.

Katolickie dziewczyny, myśli Callan.

Zabiera ją na mszę o północy.

Wkrótce spędzają ze sobą większość czasu.

Za dużo, według O-Bopa.

Potem zamieszkują razem. Aktorka, od której Siobhan podnajęła chatę, wraca z trasy i dziewczyna musiała znaleźć sobie nowe mieszkanie, co nie jest takie łatwe w Nowym Jorku za pensję kelnerki, więc Callan zasugerował, żeby się po prostu wprowadziła do niego.

- Sama nie wiem - odpowiada. - To poważna decyzja.

- Przecież i tak sypiamy ze sobą prawie co noc.

- Prawie jest tutaj słowem kluczowym.

- Skończy się na tym, że będziesz musiała zamieszkać na Brooklynie.

- Brooklyn jest w porządku.

- W porządku, ale metro jedzie tam strasznie długo.

- Naprawdę chcesz, żebym z tobą zamieszkała?

- Naprawdę chcę, żebyś ze mną zamieszkała.

Jest tylko jeden problem. Mieszkanie Callana to nora na drugim piętrze przy rogu Czterdziestej Szóstej i Jedenastej. Jeden pokój i łazienka. Ma tam łóżko, krzesło, telewizor, piekarnik, którego nigdy nie używa, i mikrofalówkę.

- Zarabiasz tyle kasy - pyta Brzoskwinia - i tak mieszkasz?

- Nie potrzebuję nic więcej.

Ale teraz zaczyna się rozglądać za jakimś mieszkaniem.

Myśli o Upper West Side.

O-Bopowi się to wcale nie podoba.

- Nie będzie dobrze, jeśli wyniesiesz się z dzielnicy - mówi.

- Tutaj nie ma nic ciekawego - odpowiada Callan. - Wszystko zajęte.

Okazuje się, że to nieprawda. O-Bop rozpoczyna wici wśród administratorów, kilka zaliczek zostaje wycofanych i Callan ma do wyboru cztery czy pięć fajnych mieszkań. Wybiera to przy rogu Pięćdziesiątej i Dwunastej, z małym balkonem i widokiem na Hudson.

Zaczynają się urządzać ze Siobhan.

Dziewczyna kupuje rzeczy do mieszkania - koce, prześcieradła, poduszki, ręczniki i babskie gadżety do łazienki. Oraz garnki, rondle, naczynia, obrusy i inne bzdury, które najpierw go wkurzają, ale które potem zaczyna lubić.

- Możemy częściej jadać w domu - mówi Siobhan - i zaoszczędzić masę pieniędzy.

- Jadać w domu? - pyta Callan. - Przecież my nigdy nie jemy w domu.

- Właśnie - odpowiada. - O to chodzi. Wydajemy fortunę, którą moglibyśmy zaoszczędzić.

- Na co?

Nie rozumie tego.

- Mężczyźni żyją chwilą obecną - tłumaczy mu Brzoskwinia.

- Jedźmy teraz, pijmy teraz, idźmy do łóżka teraz. Nie myślimy, co będziemy jeść później, pić później, pieprzyć się później - jesteśmy szczęśliwi teraz. Kobiety żyją przyszłością. I tego się musisz nauczyć, głupi ajryszu: kobieta zawsze buduje gniazdo. Wszystko, co naprawdę robi, to gromadzenie gałązek i listków i wszelkiego innego gówna do gniazda. A gniazdo nie jest dla ciebie. Nie jest nawet dla niej. Gniazdo jest dla *bambino*.

Siobhan zaczyna więcej gotować i na początku mu się to nie podoba - brakuje mu tłumów i hałasu, i rozmów - ale potem zaczyna lubić. Lubi ciszę, lubi patrzeć na nią jak je i czytać gazetę, lubi zmywać naczynia.

- Po jaką cholere wycierasz talerze? - pyta go O-Bop. - Kup zmywarkę.

- Zmywarki są drogie.

- Nie, nie są - mówi O-Bop. - Idź do Handrigana, wybierz zmywarkę, ona wypadnie z ciężarówki, a Handriganowi wypłacą ubezpieczenie.

- Po prostu będę zmywał naczynia.

Ale tydzień później, kiedy Callan i O-Bop wychodzą gdzieś w interesach, a Siobhan zostaje w domu sama, dzwoni dzwonek do drzwi i wchodzi dwóch facetów ze zmywarką w

pudle na wózku.

- Co to jest? - pyta Siobhan.

- Zmywarka.

- Nie zamawialiśmy zmywarki.

- Hej - mówi jeden z facetów. - Przytargaliśmy to tutaj i nie ma mowy, żebyśmy zabrali z powrotem. I na pewno nie powiem O-Bopowi, że nie zrobiliśmy tego, co nam kazał. Bądź więc grzeczną dziewczynką i daj nam zainstalować zmywarkę.

Wpuszcza ich, ale dyskusja wybucha, kiedy Callan wraca do domu.

- Co to jest? - pyta Siobhan.

- Zmywarka.

- Wiem, co to jest - odpowiada dziewczyna. - Mam na myśli, o co tu chodzi?

Przypierdolę cholernemu Steviemu, myśli Callan, ale głośno mówi:

- Prezent na nowe mieszkanie.

- O-Bop jest bardzo hojny. Jest kradziona, prawda?

- To zależy, co masz na myśli mówiąc „kradziona”.

- Wraca tam, skąd przyszła.

- To będzie trudne.

- Co w tym trudnego?

Callan nie chce jej tłumaczyć, że Handrigan już pewnie wystąpił o odszkodowanie, podobnie jak za trzy czy cztery inne sztuki, które sprzedał za pół ceny na boku. Mówi więc:

- Trudne i tyle.

Nikt nic jej nie powiedział, ale chyba sama się zorientowała. Mieszka w dzielnicy - chodzi do sklepu, do pralni, załatwia sprawy z listonoszem, hydraulikiem - na pewno czuje różnicę, z jaką jest traktowana. Chodzi o drobiazgi: parę gruszek dorzuconych ekstra do koszyka, ubrania gotowe na następny dzień, a nie na pojutrze, niezwykajna uprzejmość taksówkarza, właściciela kiosku z gazetami, facetów na budowie, którzy jej nie zaczepiają i nie gwizdzą na jej widok.

Nocą w łóżku odzywa się:

- Wyjechałam z Belfastu, bo miałam dość gangsterów.

Callan wie, co ma na myśli - Provos stali się niemal zwykłymi opryszkami, w Belfaście trzymają rękę prawie na wszystkim, podobnie jak on i O-Bop w Kitchen. Domyśla się, co Siobhan chce mu powiedzieć. Chce ją błagać, żeby została, ale zamiast tego mówi:

- Próbuję się z tego wycofać.

- Nie próbuj, po prostu to zrób.

- To nie takie proste.

- To bardzo proste.

Stara bajka o zrobieniu pierwszego kroku jest tym, czym jest - bajką. Możesz odejść, ale to trudne. Nie da się po prostu wstać i wyjść. Trzeba to zrobić ostrożnie, inaczej rodzą się niebezpieczne podejrzenia.

I co miałbym potem robić? - zastanawia się.

Jak zarabiać?

Niewiele udało mu się odłożyć. Oto biadolenie człowieka interesu - wiele wpływa, ale równie wiele wypływa. Ludzie tego nie rozumieją - jest działka dla Calabrese'a, dla Brzoskwini. Potem łapówki - dla urzędników, dla glin. Potem załoga, o którą trzeba zadbać. Resztę zgarniają z O-Bopem i jest tego nadal dużo, ale nie aż tak dużo, jak się wydaje. A teraz jeszcze muszą dołożyć się do Funduszu na Obronę Wielkiego Brzoskwini... nie zostaje wiele na emeryturę, za mało, żeby uruchomić legalny interes.

A nawet jakby, myśli, co to by miało być? Co ja takiego potrafię? Umiem wyłącznie wyłudzać, wymuszać i - powiedzmy to sobie szczerze - załatwiać facetów odmownie.

- Co ja według ciebie miałbym robić, Siobhan?

- Cokolwiek.

- Co? Zostać kelnerem? Nie widzę siebie ze ścierką przewieszoną przez ramię.

W ciemności zapada dłuższa cisza. Potem dziewczyna mówi:

- W takim razie ja nie widzę siebie z tobą.

Kiedy Callan wstaje rano, Siobhan siedzi przy stole, pije herbatę i pali papierosa. (Możesz mieć dziewczynę z Irlandii, ale... myśli). Siada z drugiej strony stołu.

- Nie mogę wycofać się tak po prostu. Tak się nie da. Potrzebuję trochę czasu.

Siobhan przechodzi od razu do sedna, to jedna z rzeczy, które w niej kocha.

- Ile?

- Nie wiem, może rok.

- To za długo.

- Ale to może tyle potrwać.

Kiwa głową kilka razy, a potem mówi:

- Dobrze, ale pod warunkiem, że będziesz cały czas kierował się do wyjścia.

- Dobrze.

- Mam na myśli, zdecydowanie w stronę wyjścia.

- Tak. Rozumiem.

A teraz, kilka miesięcy później, próbuje wytłumaczyć to O-Bopowi.

- Posłuchaj, to wszystko to jedno wielkie gówno. Ja nawet nie wiem, jak do tego wszystkiego doszło. Pewnego popołudnia siedziałem sobie spokojnie w barze, kiedy wparował Eddie Friel i wszystko wymknęło się spod kontroli. Nie winię cię za to. Nie winię nikogo, ale wiem, że to się musi skończyć. Ja wypadam.

I jakby chciał to wszystko uciąć, pakuje swoją broń w papierową torbę i wrzuca do rzeki. Potem idzie do domu porozmawiać z Siobhan.

- Myślę o stolarce - mówi. - No wiesz, witryny sklepowe, drobiazgi do domu, takie tam duperele. W przyszłości mógłbym robić szafy, biurka i inne meble. Myślałem, żeby iść pogadać z Patrickiem McGuiganem, może wzięłyby mnie na bezpłatne praktyki. Mam dość pieniędzy, żeby przeżyć, dopóki nie zacząłbym naprawdę pracować.

- Brzmi jak plan.

- Będziemy biedni.

- Zawsze byłam biedna - odpowiada. - I było mi z tym dobrze.

Następnego dnia rano Callan idzie więc do zakładu McGuigana przy rogu Jedenastej i Czterdziestej Ósmej.

Idą razem do Sacred Heart i rozmawiają przez kilka minut o studiach, potem kilka minut o hokeju, a potem Callan pyta, czy mógłby u niego pracować.

- Jaja sobie ze mnie robisz? - pyta McGuigan.

- Nie, mówię poważnie.

Poważnie jak cholera - Callan gorliwie uczy się rzemiosła.

Codziennie o siódmej rano pojawia się z torebką z drugim śniadaniem w ręku i pełen oczekiwania na przerwę śniadaniową.

McGuigan nie jest pewny, czego ma się po nim spodziewać, ale na pewno nie spodziewa się, że Callan będzie wołem roboczym. Zawsze uważał go za pijaka i skacowanego ćpuna, a nie obywatela, który codziennie rano przychodzi do pracy.

Nie, facet jednak przychodzi do pracy i zaczyna się uczyć.

Callan lubi pracować własnymi rękami.

Na początku czuje się jak ostatni krety, ale potem przyzwyczajają się. A McGuigan widzi, że Callan traktuje pracę poważnie i jest cierpliwy. Poświęca mu czas i uczy różnych rzeczy. Callan psuje wiele drobiazgów, ale wreszcie nadchodzi moment, że potrafi coś zrobić dobrze.

Wieczorami Callan wraca do domu zmęczony.

Pod koniec dnia czuje się fizycznie wypluty, jest obolały, ale lekko mu na duszy. Jest zrelaksowany, o nic się nie martwi. Za dnia nie robi nic takiego, co może stać się sennym

koszmarem nocą.

Przestaje zaglądać do barów i pubów, gdzie zwykle upijali się z O-Bopem. Nie zachodzi do Liffey i Landmark. Najczęściej wraca do domu, jedzą z Siobhan szybką kolację, oglądają chwilę telewizję i idą spać.

Pewnego dnia w zakładzie stolarskim pojawia się O-Bop.

Przez minutę stoi jak głupi w drzwiach, ale Callan nawet na niego nie patrzy, tak jest zajęty swoim papierem ściernym. O-Bop odwraca się i odchodzi. McGuigan zastanawia się, czy może powinien coś powiedzieć, ale właściwie nie było nic do powiedzenia. Niech Callan się tym zajmie, McGuigan nie będzie się martwił o to, czy faceci z West Side przychodzą, czy nie.

Jednak po pracy Callan idzie i szuka O-Bopa. Znajduje go na rogu Jedenastej i Czterdziestej Trzeciej. Idą razem na nabrzeże.

- Pierdol się - mówi O-Bop. - Co to, kurwa, było?

- Mówiłem ci, że jak jestem w pracy, to jestem w pracy.

- No co, nawet nie mogę przyjść powiedzieć: cześć?

- Nie kiedy pracuję.

- To co, nie jesteśmy już kumplami? - pyta O-Bop.

- Oczywiście, że jesteśmy.

- No nie wiem - stwierdza O-Bop. - Nie przychodzisz, nie spotykamy się. Nie chodzimy na piwko.

- Już nie szwendam się po barach.

O-Bop wybucha śmiechem.

- Zostałeś normalnym pieprzonym harcerzykiem?

- Śmieję się, jak chcesz.

- Tak, będę.

Stoją i patrzą na rzekę. To zimny wieczór. Woda jest czarna i gęsta.

- Dla mnie nie musisz nic robić - mówi O-Bop. - Odkąd zostałeś cholernym bohaterem klasy pracującej już nie jesteś zabawny. Tylko ludzie o ciebie pytają.

- Kto się pyta?

- Ludzie.

- Brzoskwinia?

- Posłuchaj - mówi O-Bop. - Teraz jest gorączkowy okres. Duże napięcie. Ludzie denerwują się, że inni ludzie mogą narobić wielkich szkód głupim gadaniem.

- Z nikim nie rozmawiam.

- Właśnie widzę.

Callan łapie Steviego za klapę od płaszcza.

- Czemu się na mnie wyżywasz, Stevie?

- Wcale nie.

Lekki jęk.

- Nie musisz się na mnie wyżywać, Stevie.

- Ja tylko chcę powiedzieć... no wiesz.

Callan puszcza go.

- No wiem.

Wie.

O wiele trudniej jest w to wejść, niż wyjść. Ale on to robi. Odchodzi i codziennie jest dalej. Z każdym dniem zbliża się do swojego nowego życia i to nowe życie bardzo mu się podoba. Podoba mu się, że rano wstaje, idzie do pracy, ciężko pracuje, a potem wraca do domu, do Siobhan. Jedzą kolację, idą wcześniej spać, wstają i wszystko zaczyna się od nowa.

Jest im z Siobhan cudownie. Rozmawiają nawet o ślubie. Wtedy umiera Neill Demonte.

*

- Muszę iść na pogrzeb - mówi Callan.

- Dlaczego?

- Żeby okazać szacunek.

- Jakemuś gangsterowi?

Jest wkurzona. Zdenerwowana i przerażona. Że Callan wraca do wszystkiego. Bo ciągle walczy z demonami przeszłości i teraz najwyraźniej wraca do tego wszystkiego, chociaż tyle ciężkiej pracy włożył w to, żeby się wyrwać.

- Po prostu pójdę, złożę wyrazy szacunku i wrócę - mówi.

- A co z okazywaniem szacunku mnie? - pyta Siobhan. - Co z szacunkiem dla naszego związku?

- Szanuję go.

Dziewczyna macha rękami.

Chciałby to wszystko wytłumaczyć, ale nie chce jej straszyć. Że jego nieobecność mogłaby zostać mylnie odebrana. Że ludzie, którzy już odnoszą się do niego z podejrzliwością, staną się jeszcze bardziej podejrzliwi, że to może wywołać u nich panikę i wtedy będą musieli zrobić coś ze swoimi podejrzeniami.

- Myślisz, że chcę tam iść?

- Musisz, skoro to robisz.

- Nic nie rozumiesz.

- Właśnie. Nie rozumiem.

Wychodzi, zamyka za sobą z hukiem drzwi od sypialni i przekręca klucz. Callan chce wyważyć drzwi, ale potem myśli, że lepiej nie, wali więc pięścią w ścianę i wychodzi.

Trudno znaleźć miejsce do parkowania przy cmentarzu, na którym znajdują się wszyscy mafiosi z miasta, nie wspominając o oddziałach miejscowej, stanowej i federalnej policji. Jeden z gliniarzy robi Callanowi zdjęcie, ale Callan ma to gdzieś.

Odwalcie się wszyscy.

I boli go ręka.

- Kłopoty w rajku? - pyta O-Bop na widok jego ręki.

- Odwal się.

- Znaczy się, że tak - mówi O-Bop. - Teraz nie dostaniesz odznaki najmilszego uczestnika pogrzebu.

Ale nie mówi nic więcej, bo chmurna twarz Callana mówi mu, że nie jest w nastroju do żartów.

Są tutaj wszyscy mafiozi, których Giulani nie wsadził jeszcze do paki. Są bracia Cozzo, wszyscy ogoleni na zero w szytych na miarę garniturach, są Piccone, jest Sammy Grillo i Frankie Lorenzo, Mały Nick Corotti, Leonard DiMarsa, Sal Scachi. Jest cała rodzina Cimino plus kilku genueńskich kapitanów - Barney Bellomo i Dom Cirillo. I paru ludzi Lucchese - Tony Ducks i Mały Al D'Arco. I ci, którzy zostali z rodziny Colombo teraz, kiedy Persico odsiaduje swoje sto lat, a nawet kilku chłopaków Bonanno - Sonny Black i Lefty Ruggiero.

Wszyscy przyszli tutaj oddać hołd Aniello Demonte. Wszyscy przyszli tutaj, żeby wywęszyć, jak stoją sprawy teraz, kiedy Demonte nie żyje. Wiedzą, że wszystko zależy od tego, kogo Calabrese wybierze na swojego zastępcę. Zważywszy, że Paulie wkrótce odejdzie, nowy zastępca zostanie następnym szefem. Jeśli Paulie wskaże Cozzo, spokój w rodzinie zostanie zachowany. Ale jeśli będzie to ktoś inny... Trzeba uważać. Zatem wszystkie szychy są tutaj i próbują zorientować się w sytuacji.

Wszyscy są.

Z jednym wyjątkiem.

Nie ma Wielkiego Pauliego Calabrese.

Brzoskwinia nie może w to uwierzyć. Wszyscy czekają na czarną limuzynę, ceremonia nie może się zacząć, ale limuzyna nie zajeżdża. Wdowa jest przerażona, nie wie co robić, aż wreszcie Johnny Cozzo podchodzi i mówi:

- Zaczynamy.

- Facet nie przyjechał na pogrzeb swojej prawej ręki? - mówi Brzoskwinia po ceremonii. - Niedobrze. Bardzo niedobrze.

Zwraca się do Callana.

- Ale cieszę się, że ciebie widzę. Gdzieś ty się, kurwa, podziewał?

- Tu i ówdzie.

- Owdzie, ale nie ze mną.

Callan nie jest w nastroju.

- Nie jestem waszą własnością, makaroniarze - mówi.

- Uważaj, kurwa, co mówisz.

- Daj spokój, Jimmy - wtrąca O-Bop. - Gościu jest w porządku.

- Słyszałem - Brzoskwinia znowu zwraca się do Callana - że jesteś teraz tym, no, stolarzem?

- Tak.

- Słyszałem o jednym stolarzu, który zawisł na krzyżu - mówi Brzoskwinia.

- Jak będziesz się po mnie wybierał - odpowiada Callan - przyjedź karawanem, bo jak ode mnie wyjdiesz, to będziesz się nadawał tylko do niego.

Między nich wchodzi Cozzo.

- Co jest, kurwa? - pyta. - Chcesz nagrać jeszcze parę taśm dla federalnych? Co to ma być, „Jimmy Brzoskwinia na żywo”? Macie się trzymać razem. Uściskać sobie łapy.

Brzoskwinia wyciąga rękę do Callana.

Callan ją przyjmuje, a Brzoskwinia drugą ręką łapie Callana za kark i przyciska go do piersi.

- Kurde, facet, sorry. To wszystko z nerwów i ze zmartwień.

- Wiem, mam to samo.

- Kocham cię, ty głupi, pieprzony ajryszu - mówi mu Brzoskwinia do ucha. - Chcesz się wycofać, no i dobrze. Rób te swoje szafy i biurka i bądź szczęśliwy, dobra? Życie jest krótkie, ciesz się szczęściem, póki możesz.

- Dzięki, Jimmy.

Brzoskwinia rozluźnia uścisk i mówi głośno.

- Ubiłem dobry interes, będzie impra, dobra?

- Dobra.

Callan otrzymuje zaproszenie do Ravenite z całą resztą, ale nie idzie.

Wraca do domu.

Znajduje miejsce na parkingu, wchodzi po schodach i przez minutę stoi pod drzwiami,

żeby zapanować nad nerwami. Dopiero potem przekręca klucz w zamku.

Siobhan jest tam.

Siedzi na krześle przy oknie i czyta książkę.

Na jego widok zaczyna płakać.

- Nie wiedziałam, czy wrócisz.

- Nie wiedziałem, czy będziesz tu czekać.

Schyla się i mocno ją przytula.

Ona obejmuje go i mówi:

- Pomyślałam sobie, że moglibyśmy kupić sobie choinkę.

Wybierają bardzo fajne drzewko. Jest nieduże i nie bardzo gęste. Średnio się nadaje na świąteczną choinkę, ale im się podoba.

Włączają świąteczną muzykę i przez resztę wieczoru zajmują się przystrajaniem drzewka. Nie wiedzą, że Paulie Calabrese wybrał na swoją prawą rękę Tommy'ego Bellavię.

*

Przychodzą po niego następnego dnia wieczorem.

Callan wraca do domu po pracy. Na dzinsach i czubkach butów ma trociny. Jest zimno, więc postawił kołnierz płaszcza, a na uszy naciągnął czapkę.

Nie słyszy samochodu, który za nim jedzie.

Okno się opuszcza.

- Wsiadaj.

Żadnej broni, żadnego nakłaniania. Nie ma potrzeby. Callan wie, że prędzej czy później i tak znalazłby się w samochodzie - nie tym, to innym - więc po prostu wsiada. Wślizguje się na przednie siedzenie, podnosi ręce i pozwala, żeby Sal Scachi go przeszukał.

- A więc to prawda - mówi Scachi. - Przeszedłeś do cywila.

- Tak.

- Obywatel - mówi Scachi. - Co to, kurwa, jest? Trociny?

- Tak, trociny.

- Kurwa, mam w tym cały płaszcz.

Fajny płaszcz, myśli Callan. Musiał kosztować z pięć paczek.

Scachi wjeżdża na West Side Highway, jedzie przez miasto, a potem zjeżdża pod most i zatrzymuje się.

Nieźle miejsce, zauważa Callan, żeby wsadzić komuś kulkę.

Woda blisko.

Słyszy jak łomocze mu serce.

Scachi też.

- Nie ma się czego bać, dzieciaku.

- Czego ode mnie chcesz, Sal?

- Żebyś zrobił dla nas ostatnią robotę.

- Już się tym nie zajmuję.

Patrzy na rzekę, na światła Jersey. Może trzeba było przenieść się z Siobhan do Jersey, myśli, jak najdalej od tego gówna. Mogliby spacerować nad rzeką i patrzeć na światła Nowego Jorku.

- Nie masz wyboru - mówi Scachi. - Albo jesteś z nami, albo przeciwko nam. Jesteś zbyt niebezpieczny, żebyś mógł być przeciwko nam. Jesteś Billy the Kid Callan. Mam na myśli, że wypłynąłeś pewnego dnia, kiedy posmakowałeś zemsty. Pamiętasz Eddiego Friela?

Tak, pomyślał Callan, pamiętam Eddiego.

Pamiętam, jak bałem się o siebie i o Steviego, i jak broń sama wskoczyła mi do ręki, pamiętam wyraz oczu Friela, kiedy pocisk roztrzaskiwał mu twarz.

Pamiętam, że miałem wtedy siedemnaście lat.

I dałbym wszystko, by tamtego popołudnia nie znaleźć się w tym barze.

- Niektórzy ludzie muszą odejść - mówi Scachi. - I byłoby... niepolityczne... gdyby zrobił to ktoś z rodziny. Rozumiesz.

Rozumiem, myśli Callan. Wielki Paulie chce przetrzebić odłam rodziny Cozzo - Johnny Boy, Jimmy Brzoskwinia, Mały Brzoskwinia - ale chce również móc zaprzeczyć, że to zrobił. Zrzucić całą winę na dzikich Irlandczyków. Musimy zabić własnych rodaków.

Ale ja mam wybór, myśli.

Albo zabiję, albo zostanę zabity.

- Nie - mówi.

- Co: nie?

- Już nie zabijam ludzi.

- Posłuchaj...

- Nie zrobię tego - przerywa Callan. - Jeśli chcecie mnie zabić, proszę bardzo.

Nagle czuje się wolny, jakby jego dusza uleciała w powietrze i szybowała nad tym parszywym miastem. Krążyła wśród gwiazd.

- Masz dziewczynę, prawda?

Bum.

Spada na ziemię.

- Ma takie zabawne imię - mówi Scachi. - Irlandzkie, prawda? Jakby, ten, no, szlaban?

Jak to szło?

Z powrotem w tym parszywym świecie.

- Myślisz - ciągnie Scachi - że jak coś ci się stanie, pozwolą jej iść do Giulianiego, żeby powtórzyła mu twoje wszystkie gadki do poduszki?

- Ona o niczym nie wie.

- Taak, ale kto zaryzykuje?

Nic nie mogę zrobić, myśli Callan. Nawet jeśli dopadnę teraz Sala i wpakuję mu w gębę cały magazynek - co mógłbym zrobić - Scachi to człowiek z mafii, zabiją mnie, a potem zabiją Siobhan.

- Kto to ma być?

W sensie, kogo mam zabić?

*

Nora odbiera telefon.

Obudził ją. Jest zaspana, bo wczoraj miała długą randkę.

- Masz ochotę na obsługę przyjęcia? - pyta Haley.

- Chyba nie - odpowiada Nora. Jest zaskoczona, że Haley ją o to pyta. Już od bardzo dawna nie zajmowała się obsługą przyjęć.

- Ale to szczególna okazja - mówi Haley. - Ma to być przyjęcie jedna na jednego. Poproszono specjalnie o ciebie.

- Takie świąteczne przyjęcie firmowe?

- Coś w tym rodzaju.

Nora patrzy na cyfrowy budzik w radiu. Jest 10.35. Musi wstać, wypić kawę, zjeść grejpfruta i iść do siłowni.

- To jak? - pyta Haley. - Będzie zabawnie. Ja też jadę.

- A gdzie to ma być?

- To kolejna zabawna rzecz - mówi Haley.

Przyjęcie będzie w Nowym Jorku.

*

- Ale choinka - mówi Nora do Haley.

Stoją przy lodowisku w Rockefeller Plaza i patrzą na olbrzymie drzewko. Plaża pęka w szwach od turystów. Z głośników lecą kolędy, Mikołajowie z Armii Zbawienia dzwonią dzwoneczkami, uliczny handlarz sprzedaje prażone orzeszki.

- Widzisz? - mówi Haley. - Mówiłam, że będzie fajnie.

I tak było, musi przyznać Nora.

Poleciały w sześć, pięć pracujących dziewcząt i Haley, pierwszą klasą nocnym lotem. Z La Guardia dwie limuzyny przewiozły je do Plaza Hotel. Nora, oczywiście, była już tu wcześniej, ale nie w święta, a to duża różnica. Piękny budynek w starym stylu udekorowany świątecznie, jej pokój z widokiem na Central Park, gdzie nawet konie przystrojono w świąteczne wieńce i gwiazdy betlejemskie.

Nora zdrzemnęła się, wzięła prysznic, a potem ruszyły z Haley na poważną ekspedycję zakupową do Tiffany'ego, Bergdorfa, i Saksa - Haley kupuje, Nora głównie ogląda.

- Kup sobie coś - mówi Haley. - Jesteś taka skąpa.

- Nie jestem skąpa - odpowiada Nora. - Jestem konserwatywna.

Ponieważ dla niej tysiąc dolarów, to nie jest po prostu tysiąc dolarów. To lokata zawarta, powiedzmy, na dwadzieścia lat. To mieszkanie na Montparnasse i możliwość życia na poziomie. Nie wydaje więc pieniędzy ot tak sobie, gdyż chce, aby leżały sobie w banku i pracowały dla niej. Ale kupuje dwa kaszmirowe szale - jeden dla siebie, drugi dla Haley - bo jest bardzo zimno i chce zrobić Haley prezent.

- Proszę - mówi, kiedy wychodzą na ulicę. Wyciąga z torby szal. - Owiń się.

- Dla mnie?

- Żebyś się nie przeziębiła.

- Jak milutko z twojej strony.

Nora owija się własnym szalem, potem zakłada futrzany kaptur i stawia kołnierz od płaszcza.

Jest jeden z tych ostrych, zimnych nowojorskich dni, kiedy oddycha się lodowatym powietrzem, a wiatr hula wąwozami ulic, uderza cię w twarz i wyciska łzy z oczu.

Kiedy więc Nora patrzy na Haley zażawionymi oczami, mówi jej, że to z zimna.

- Widziałaś kiedyś choinkę? - pyta Haley.

- Jaką choinkę?

- W Rockefeller Center.

- Chyba nie.

- No to idziemy.

Stoją więc teraz i patrzą na olbrzymie drzewo, a Nora musi przyznać, że jest naprawdę fajnie.

*

Ostatnie święta.

Tak mówi Jimmy Brzoskwinia do Sala Scachiego.

- To moje ostatnie pieprzone święta na powietrzu - mówi. Chodzi od budki do budki,

żeby federalni nie mogli podsłuchiwać jego rozmów. - Na cholernie długi czas. Mają mnie w garści, Sally. Dostanę trzydzieści lat albo dożywocie. Pierdolona ustawa Rockefellera. Kiedy znowu dorwę jakąś dupę, pewnie już nie będę mógł.

- Ale...

- Ale nic - mówi Brzoskwinia. - To moje przyjęcie. I zjem cholerny ogromny stek, chcę iść do Copa ze śliczną laską u boku, chcę słuchać Vica Damone'a, a potem chcę pieprzyć najlepszą dupę na świecie, dopóki mnie fiut nie rozboli.

- Pomyśl, jak to będzie wyglądało, Jimmy.

- Mój fiut?

- To, że na imprezę sprowadzasz pięć dziwek - mówi Sal. Jest wkurzony, zastanawia się, kiedy i czy w ogóle Jimmy Brzoskwinia dorośnie. Facet jest nieodpowiedzialny. Wypruwasz sobie flaki, żeby wszystko zorganizować, a potem ten kutas sprowadza sobie z Kalifornii pięć dziwek. Tylko tego mu brakowało - w jednym pomieszczeniu pięciu ludzi, których w ogóle nie powinno tu być. Pięciu niewinnych jebanych świadków.

- A co na to John?

- John myśli, że to moje przyjęcie.

Gówno prawda, myśli Brzoskwinia. John jest ze starej szkoły, John ma klasę, nie tak jak ten pieprzony stary fiut, który jest teraz ich szefem. John jest wdzięczny, że zamierzam zachować się jak mężczyzna i stawić czoło temu, co mnie czeka, nie próbując zerwać umowy, nie wymieniam żadnych nazwisk, a szczególnie jego.

Co myśli John? John ma zapłacić pieprzony rachunek.

- Wszystko, co chcesz, Jimmy. Wszystko. To twój wieczór. Na mój koszt.

A Jimmy chce iść do Sparks Steak House, do Copa, i chce tę laskę, Norę, najpiękniejszą, najrozkoszniejszą laskę, jaką kiedykolwiek miał. O pośladkach jak dojrzała brzoskwinia. Nie potrafił o niej zapomnieć... Każe jej stanąć na czworaka i weźmie od tyłu, żeby patrzeć na te połówki brzoskwini.

- No dobra - mówi Sal. - A może z kobietami spotkamy się w Copa, po Sparks?

- Pieprzyć to.

- Jimmy...

- Czego?

- Dziś wieczorem czeka nas poważna robota.

- Wiem.

- To znaczy, że nie może już być poważniejsza.

- Właśnie dlatego zamierzam się poważnie zabawić.

- Posłuchaj - mówi Sal bardziej stanowczo. - Mam zadbać o bezpieczeństwo całego tego...

- Więc zadbaj, żebym był bezpieczny - przerywa mu Brzoskwinia. - Tylko tyle, Sal. A potem o wszystkim zapomnij.

- Nie podoba mi się to.

- I nie musi - mówi Brzoskwinia. - Wal się. Wesołych świąt.

Tak, myśli Sal i rozłącza się.

Wesołych świąt, Jimmy.

Prezent dla ciebie już czeka.

*

Pod choinką leży kilka paczek.

Mała choinka to supersprawa, bo prezentów nie jest wiele, z kasą jest kruczo. Ale kupił swojej dziewczynie zegarek, srebrną bransoletę i kilka jej ulubionych waniliowych świec. Są też paczuszki dla niego - pewnie ubrania, których bardzo potrzebuje. Może nowa koszula do pracy, dzinsy.

Miłe, skromne święta.

Planowali iść na pasterkę.

Rano mieli otworzyć prezenty, spróbować przyrządzić indyka, obejrzeć po południu jakiś film.

Miłe, skromne, spokojne święta.

Ale nic z tego nie będzie, myśli Callan.

Nie teraz.

I tak wszystko by się skończyło, ale kończy się jeszcze szybciej, bo Siobhan znajduje inną paczkę, tę, którą schował pod łóżkiem. Tego wieczoru wraca wcześniej z pracy, a ona siedzi tam z podłużnym pudłem pod nogami.

Włączyła lampki. Błyskają za nią na czerwono, zielono i biało.

- Co to jest? - pyta go.

- Jak to znalazłaś?

- Odkurzałam pod łóżkiem. Co to jest?

To szwedzka wersja pistoletu maszynowego Carl Gustaf 45 kaliber 9 milimetrów. Ze składaną metalową kolbą i magazynkiem na trzydzieści sześć nabojów. Nawet za dobry do zadania, które go czeka. Numery zostały zatarte. Długi zaledwie na pół metra, ze składaną kolbą. Waga trzy i pół kilo. Może nieść pudło przez miasto jak świąteczny prezent. Może wyrzucić pudło i schować broń pod paltem.

Pistolet dostarczył Sal.

Nie mówi jej tego wszystkiego. To, co mówi, jest głupie i oczywiste.

- Nie powinnaś była tego zobaczyć.

Dziewczyna wybucha śmiechem.

- Myślałam, że to prezent dla mnie. Czułam się winna, że zaglądam.

- Siobhan...

- Wracasz do tego wszystkiego, prawda? - pyta. Szare oczy są twarde jak głazy. -

Będziesz coś dla nich robił?

- Muszę.

- Dlaczego?

Chce jej to wszystko powiedzieć, ale nie chce, żeby dźwigała ten ciężar do końca życia.

- Nie zrozumiesz - mówi zamiast tego.

- Zrozumiem. Pochodzę z Kashmir Road, zapomniałeś już? Z Belfastu. Dorastałam patrząc, jak moi bracia i wujowie wychodzili z domu z małymi paczkami w świątecznym papierze, szli zabijać ludzi. Widziałam już wcześniej karabiny pod łóżkiem. Dlatego właśnie wyjechałam. Rzygać mi się chce od zabijania. I od morderców.

- Takich jak ja.

- Myślałam, że się zmieniłeś.

- Bo tak jest.

Siobhan wskazuje pudło.

- Muszę - powtarza Callan.

- Dlaczego? Co jest takie ważnego, żeby warte było czyjejs śmierci?

Ty, myśli Callan.

Ty.

Ale stoi tam i milczy. Niemy świadek przeciwko sobie samemu.

- Tym razem, gdy wrócisz, mnie tu nie będzie - mówi Siobhan.

- Nie wrócę - mówi. - Muszę wyjechać na parę dni.

- Jezu, kiedy zamierzałeś mi o tym powiedzieć? I dokąd w ogóle jedziesz?

- Myślałem, że pojedziemy razem.

To prawda. Ma dwa paszporty, dwa bilety. Wyrzebuje je z dna szuflady biurka i kładzie na pudle, które ciągle leży u jej stóp. Nie podnosi ich. Nawet nie patrzy.

- Tak po prostu?

Coś w nim krzyczy: powiedz jej. Powiedz, że robisz to dla niej, dla was obojga. Błagaj, żeby z tobą pojechała. Zaczyna mówić, ale nie może. Ona nigdy by tego sobie nie wybaczyła.

I nigdy nie wybaczyłyby tobie.

- Kocham cię - mówi Callan. - Tak bardzo cię kocham.

Siobhan wstaje z krzesła.

Podchodzi do niego i oznajmia:

- A ja cię nie kocham. Kochałam, ale już nie. Nie mogę kochać mordercy.

Callan kiwa głową.

- Masz rację.

Przechodzi obok niej, chowa swój bilet i paszport do kieszeni, zamyka pudło i bierze je pod ramię.

- Możesz tu mieszkać, jeśli chcesz - mówi. - Czynsz jest opłacony.

- Nie mogę tu mieszkać.

To dobre miejsce, myśli Callan, rozglądając się po małym mieszkaniu. Najszczęśliwsze, najlepsze miejsce w jego życiu. To miejsce i ten czas spędzony z nią. Stoi i myśli, co jej powiedzieć, ale nic nie przychodzi mu do głowy.

- Wyjdź - mówi Siobhan. - Wyjdź i idź zabić tego kogoś. Bo to właśnie masz zamiar zrobić?

- Tak.

Wychodzi na ulicę. Leje jak cholera. Zimny, lodowaty deszcz. Stawia kołnierz od płaszcza i patrzy w okna mieszkania. Widzi, że dziewczyna ciągle siedzi przy oknie.

Schylona, z twarzą ukrytą w rękach.

Za nią na czerwono, zielono i biało migają lampki.

*

Jej sukienka mieni się w świetle.

Z czerwonych i zielonych cekinów.

Bardzo świąteczna, powiedziała Haley, i bardzo seksowna.

Trés décolleté.

Jimmy Brzoskwinia nie może się powstrzymać i wciąż gapi się na jej sukienkę.

Poza tym, Nora musi to przyznać, zachowuje się jak dżentelmen. Prezentuje się zaskakująco dobrze w swoim stalowoszarym garniturze od Armaniego. Wizerunku nie psuje nawet czarna koszula i krawat. Rys mafijnego szyku, ale nie bardzo rażący.

Podobnie restauracja. Spodziewała się jakiegoś krzykliwego sycylijskiego horroru, ale Sparks Steak House, poza prozaiczną nazwą, okazała się lokalem urządzonym w bardzo dobrym guście. Nie w jej guście - ściany wyłożone dębową boazerią z obrazami przedstawiającymi polowanie, głównie w stylu angielskim, nie bardzo jej się podobają, ale

same w sobie są stylowe. Spodziewała się jakiejś zatłoczonej mordowni.

Przyjechali kilkoma limuzynami, a portier trzymał nad nimi parasol, kiedy przechodzili te parę centymetrów między samochodem a długą zieloną markizą. Zrobili niezłe wejście, mafiosi pod rękę ze swoimi laleczkami. Goście siedzący przy stolikach w głównej sali przestali jeść i otwarcie się na nich gapili. Właściwie, czemu nie, myśli Nora.

Dziewczyny są fantastyczne.

Najlepsze dziewczyny Haley, zgodnie z zamówieniem.

Wybrane pod kątem koloru włosów, twarzy, figur.

Fajne, śliczne, wyrafinowane kobiety. Nikt nie zgadłby, czym się zajmują. Elegancko ubrane, nienagannie uczesane, o doskonałych manierach. Mężczyźni pękają z dumy wprowadzając je do restauracji. Kobiety nie - przyjmują pochlebstwa, jakby im się należały z racji urodzenia. Wydaje się, że w ogóle nie zwracają na to uwagi.

Usłużny kierownik sali prowadzi ich do prywatnej sali.

Wszyscy patrzą, jak tam wchodzi.

Nie, jednak nie wszyscy.

Nie Callan.

Nie zauważa ich. Stoi za rogiem Trzeciej Alei i czeka na znak, żeby podejść bliżej. Widzi przyjazd limuzyn, jak przedzierają się przez zatłoczone o tej porze ulice, a potem skręcają w Czterdziestą Szóstą do Sparks, więc wie, że Johnny Boy, bracia Piccone i O-Bop przybyli na przyjęcie.

Patrzy na zegarek.

Jest 17.30 - czas zgonu.

*

Scachi czeka, aby ich powitać, wszystkich mafiozów i ich dziewczyny. Jest dziś gospodarzem, zorganizował to spotkanie. Nawet (przesunawszy wzrokiem po sukience) całuje Norę w rękę.

- Bardzo mi miło - rzuca. Boże, już wie, dlaczego Brzoskwinia zażądał jej w ramach ostatniego życzenia. Jest niewiarygodnie piękna. Wszystkie te dziewczyny są piękne, ale ta...

Johnny Boy bierze Scachiego pod rękę.

- Sal - mówi - chciałem ci podziękować za zorganizowanie tego wszystkiego. Wiem, że wymagało to wiele dyplomacji, załatwienia kupy drobiazgów. Jeśli nasz plan wypali, może w rodzinie zapanuje spokój.

- Tylko tego pragnę, Johnny.

- I dla ciebie znajdzie się miejsce przy stole.

- Nie zabiegam o to - mówi Scachi. - Po prostu kocham rodzinę, Johnny. Kocham naszą rodzinę. I chcę, żeby pozostała silna, zjednoczona.

- My też tego chcemy, Sally.

- Muszę wyjść sprawdzić, czy wszystko gra.

- Jasne - odpowiada Johnny Boy. - Teraz możesz zadzwonić do króla i powiedzieć, że może robić swoje wielkie wejście, bo wszyscy wieśniacy już tu są.

- Posłuchaj, to ta cała atmosfera...

Johnny Boy wybucha śmiechem.

- Wesołych świąt, Sal.

Obejmują się i całują w policzki.

- Wesołych świąt, Johnny. - Sal wkłada płaszcz i zaczyna wychodzić. - A, Johnny?

- Co?

- Szczęśliwego pieprzonego Nowego Roku.

Sal wychodzi na zewnątrz pod markizę. Cholerny, parszywy wieczór. Zaczyna lodowaty deszcz, który w każdej chwili może zamienić się w burzę śnieżną. Jazda powrotna na Brooklyn zapowiada się koszmarnie.

Z wewnętrznej kieszeni płaszcza wyjmuje małe walkie-talkie i pod kołnierzem przysuwa do ust.

- Jesteś tam?

- Tak - odpowiada Callan.

- Dzwonię do szefa - mówi Sal. - Odliczaj czas.

- Wszystko gra?

- Tak jak się umówiliśmy - odpowiada Sal. - Masz dziesięć minut, chłopcze.

Callan podchodzi do pojemnika na śmieci. Wyrzuca pudełko i wsuwa broń pod płaszcz. Zaczyna spacerować wzdłuż Czterdziestej Szóstej.

W najgorszy deszcz.

*

Szampan wylewa się z kieliszków.

Słychać śmiech i chichoty.

- Co jest? - pyta Brzoskwinia. - To przecież szampan.

Dopełnia kieliszki.

Nora podnosi swój. Wcale nie chce jej się pić, ale pociąga łyk, żeby spełnić toast. Poza tym lubi jak bąbelki łaskoczą ją w nos.

- Teraz toast - mówi Brzoskwinia. - Mieliśmy gorsze chwile w życiu, ale mieliśmy też

lepsze. Niech więc nikt nie będzie smutny w te święta. Życie jest piękne. Mamy wiele rzeczy do uczczenia.

To pora wielkich nadziei, myśli Nora.

Wtedy rozpętuje się piekło.

*

Callan rozpiną płaszcz i wyjmuję pistolet.

Odbezpiecza zamek i namierza cel w ulewnym deszczu.

Bellavia dostrzega go pierwszy. Właśnie otwiera drzwi przed panem Calabrese, podnosi wzrok i widzi Callana. W świńskich oczkach mężczyzny widać błysk rozpoznania, potem zaniepokojenie; otwiera usta, żeby spytać: „Co ty tu do cholery robisz?”, ale odpowiedź dociera do niego pierwsza, z lufy ukrytej pod płaszczem.

Dużo za późno.

Wyrzuca ramię w powietrze, kiedy seria z parabellum kalibru 9 milimetrów przesywa mu pierś. Pada na drzwi czarnego lincolna continentalą, a potem osuwa się na chodnik.

Callan kieruje broń na Calabrese'a.

Na ułamek sekundy ich oczy się spotykają, a potem Callan naciska ponownie spust. Starszy mężczyzna słania się i wygląda, jakby się roztopiał w kałuży.

Callan podchodzi do dwóch skrzyconych ciał. Przystawia lufę do głowy Bellavii i dwa razy pociąga za spust. Potem przystawia ją do skroni Calabrese'a i znów strzela.

Callan rzuca pistolet, odwraca się i idzie w stronę Drugiej Alei.

Za nim krew spływa do rynsztoka.

*

Nora słyszy krzyki.

Drzwi otwierają się gwałtownie.

Wpada kierownik sali i krzyczy, że pod restauracją kogoś zastrzelono. Nora wstaje, wszyscy wstają, chociaż nie wiedzą po co. Nie mają pojęcia, czy wybiec na zewnątrz, czy zostać na miejscu.

Wtedy wchodzi Sal i rozkazuje:

- Nie ruszajcie się stąd. Ktoś zabił szefa.

Szefa? Jakiego szefa? - myśli Nora.

Zewsząd rozlega się dźwięk syren i Nora podskakuje jak...

Bach.

Serce podchodzi jej do gardła. Wszyscy patrzą jak Johnny Boy, wciąż siedząc, nalewa szampana do swojego kieliszka.

*

Samochód czeka za rogiem.

Tylne drzwi otwierają się i Callan wsiada. Samochód rusza na wschód Czterdziestą Siódmą, wjeżdża na FDR i oddala się od centrum. Na siedzeniu leży nowe ubranie. Callan się przebiera. Kierowca nic nie mówi, po prostu toruje sobie drogę przez zatłoczone miasto.

Jak na razie, myśli Callan, wszystko przebiega zgodnie z planem. Bellavia i Calabrese spodziewali się, że trafią na scenę zbrodni, że zastaną swoich towarzyszy brutalnie zamordowanych i będą mogli odegrać scenę szlochania, zaciskania zębów i krzyków: „Przybyliśmy tutaj, żeby zapewnić spokój w naszej rodzinie”.

Tyle że Sal Scachi i reszta rodziny miała inne plany.

Handlujesz, nie żyjesz, ale jeśli nie handlujesz i tak umierasz, ponieważ tak się dzieje tam, gdzie chodzi o pieniądze i władzę. A jeśli pozwolisz reszcie rodziny zgarnąć całą forszę i władzę, lądujesz na drodze do powolnego samobójstwa. Do takiego wniosku doszedł Scachi i miał rację.

Zatem Calabrese musiał odejść.

A Johnny Boy musiał zostać królem.

- To prawo natury - tłumaczył Sal podczas ich długiego spaceru po Riverside Park. - Młodzi muszą zastąpić starych.

Oczywiście, będzie musiało minąć trochę czasu, zanim się dobrze tym wszystkim potrząśnie.

Johnny Boy zaprzeczy, że miał cokolwiek wspólnego z zabójstwem, gdyż szefowie pozostałych czterech Rodzin, czy też tego, co z nich zostało, nigdy by nie zaakceptowali, że zrobił to na własną rękę, bez ich zgody, której by mu w życiu nie dali. („Król - tłumaczył mu Scachi - nigdy nie udzieli zgody na zamordowanie drugiego króla”). Johnny Boy trzęsie więc portkami, żeby nie wytropili tego sukinsyna, który zabił szefa. No i zostaje jeszcze garstka krnąbrnych lojalistów Calabrese'a, którzy muszą powędrować na tamten świat za swoim szefem, ale tym należy zająć się na końcu.

Johnny Boy z niechęcią pozwoli wybrać się na nowego szefa.

Inni szefowie zaakceptują jego wybór.

I strumień narkotyków popłynie na nowo.

Z Kolumbii do Hondurasu, a stamtąd do Meksyku.

I do Nowego Jorku.

Gdzie, mimo wszystko, będą białe święta.

Ale ja nie zamierzam tego oglądać, myśli Callan.

Otwiera torbę stojącą na podłodze.

Zgodnie z umową jest tam sto tysięcy dolarów gotówką, paszport, bilety na samolot. Sal Scachi załatwił wszystko. Podróż do Ameryki Południowej i nową robotę.

Samochód przedziera się przez Triborough Bridge.

Callan wygląda przez okno i nawet mimo deszczu widzi na horyzoncie zarys Manhattanu. Gdzieś tam było całe moje życie. Kitchen, Sacred Heart, Liffey Pub, Landmark, Glocca Morra, Hudson. Michael Murphy, Kenny Maher i Eddie Friel. Jimmy Boylan, Larry Moretti i Matty Sheehan.

A teraz jeszcze Tommy Bellavia i Paulie Calabrese.

I żywe duchy.

Jimmy Brzoskwinia.

I O-Bop.

Siobhan.

Znowu patrzy na Manhattan i widzi ich mieszkanie. Jak w sobotnie poranki Siobhan siada do śniadania. Potargana, bez makijażu, taka piękna. Siedzi tam z filiżanką kawy i gazetą, której wcale nie czyta, tylko patrzy na szarą Hudson i Jersey na jej drugim brzegu.

Callan dorastał na bajkach.

Cuchulain, Edward Fitzgerald, Wolfe Tone, Roddy McCorley, Pádraic Pearse, James Connelly, Sean South, Sean Barry, John Kennedy, Bobby Kennedy, Krwawa Niedziela, Jezus Chrystus.

Wszyscy oni źle skończyli.

Część trzecia

NAFTA

8.

Dni niewinnych

Krzyk usłyszano w Rama, płacz jęk i wielki. Rachel oplakuje swe dzieci i nie chce utulić się w żalu, bo ich nie ma.

Mt 2,18

Tegucigalpa, Honduras

San Diego, Kalifornia

Guadalajara, Meksyk

1992

Art siedzi na parkowej ławce w Tegucigalpie i obserwuje mężczyznę w bordowym dresie Adidasa, który wychodzi z domu po drugiej stronie ulicy.

Ramón Mette ma siedem dresów - po jednym na każdy dzień tygodnia. Co dzień zakłada świeży i rusza z willi na przedmieściu Tegus na trzymilowy jogging, obstawiony przez dwóch ochroniarzy w stosownych strojach. Ich dresy wybrzuszają się w dziwnych miejscach, tam gdzie ukrywają się Mac-10, dzięki którym zapewniają szefowi bezpieczeństwo podczas przebieżek.

Tak więc Mette wychodzi co rano. Przebiega trzy mile, wraca do posiadłości i bierze prysznic, podczas gdy ochroniarze robią mu w mikserze koktajl owocowy. Mango, papaja, grejpfrut i - w końcu jesteśmy w Hondurasie - banany. Potem Mette zabiera napój na patio i sączy go, czytając gazetę. Przeprowadza kilka rozmów telefonicznych, załatwia drobne interesy, a potem w prywatnej siłowni wyciska sztangi.

Rutyna.

Jak w zegarku, codziennie.

Od miesiący.

Poza dzisiejszym porankiem. Ochroniarz otwiera drzwi, spocony, zdyszany Mette wchodzi do domu, a rękojeść pistoletu spada na jego skroń.

Osuwa się na kolana przed Artem Kellerem.

Goryl stoi bezradnie z rękoma w górze, a czarno odziany żołnierz honduraskich sił specjalnych celuje w jego głowę z M-16. Dokoła stoi z pięćdziesięciu komandosów. To

dziwne, myśli Mette przez mgłę bólu i dezorientacji, bo ja nie mam służb specjalnych.

Faktycznie, bo żaden z nich nawet palcem nie kiwa, gdy Art Keller kopie Mette w zęby. Stoi nad nim i mówi:

- Mam nadzieję, że miło ci się biegało, bo to był twój ostatni raz.

Mette zamiast owocowego koktajlu łyka więc własną krew, Art nakłada mu na głowę czarny kaptur, mocno zawiązuje i wyprowadza do czekającego vana z przyciemnianymi szybami. I znów nikt się nie sprzeciwia, gdy przewożą Mette do wojskowego samolotu i transportują do Republiki Dominikany. Tam trafia do amerykańskiej ambasady, zostaje aresztowany za zamordowanie Erniego Hidalgo, wsadzony do kolejnego samolotu i dostarczony do San Diego, gdzie staje przed sądem. Nie może wyjść za kaucją i zajmuje pojedynczą celę w federalnym areszcie.

Wszystko to wywołuje zamieszki na ulicach Tegucigalpy, gdzie tysiące gniewnych ludzi, poruszonych i opłaconych przez prawników Mette, palą amerykańską ambasadę w proteście przeciwko jankeskiemu imperializmowi. Chcą wiedzieć, skąd u tego amerykańskiego gliny tyle *huevos*, żeby wdrzeć się do ich kraju i porwać jednego z wpływowych obywateli.

Mnóstwo ludzi w Waszyngtonie zastanawia się nad tym samym. Chcieliby też wiedzieć, skąd Art Keller, zhańbiony eksrezydent z zamkniętego biura w Guadalajarze, miał tyle śmiałości, żeby wywołać międzynarodowy incydent. Nie śmiałości, wręcz bezczelności.

Jak do cholery do tego doszło?

*

Quito Fuentes to drobna płotka.

Jest nią teraz i był nią w 1985 roku, kiedy zabrał storturowanego Erniego Hidalgo z bezpiecznego domu w Guadalajarze na rancho w Sinaloi. Obecnie mieszka w Tijuanie, gdzie robi drobne narkotykowe interesy z Amerykanami, którzy przekraczają granicę, żeby szybko zdobyć towar.

Jak się robi w takim biznesie, to człowiek nie może wyglądać na mięczaka, na wypadek, gdyby któryś z tych jankeskich dzieciaków uznał, że jest prawdziwym twardzielem, zgarnął towar i chciał uciec do granicy. Nie, trzeba mieć kawałek żelaza w kieszeni, a obecny gnat Quito jest, no cóż, beznadziejny.

Quito potrzebuje nowego pistoletu.

A o to, wbrew powszechnemu mniemaniu, w Meksyku wcale nie jest tak łatwo. Tu *federales* i policjanci lubią mieć monopol na broń palną. Na szczęście Quito, jako mieszkaniec Tijuany, ma pod bokiem największy na świecie skład z bronią, Los Estados

Unidos, więc zamienia się cały w słuch, kiedy dzwoni Paco Méndez z Chula Vista i mówi, że ma dla niego propozycję. Do upłynnienia jest czysty Mac-10.

Quito musi go tylko odebrać.

Ale Quito nie chce już jeździć na północ od granicy.

Nie od tego zajścia z jankeskim gliniarzem, Hidalgo.

Quito wie, że w Meksyku nie może zostać za to aresztowany, ale w Stanach to co innego, więc dziękuje Paco, ale nie skorzysta. Czy nie może po prostu przywieźć broni do Tijuany? Beznadziejne, nierealistyczne pytanie, ponieważ trzeba być albo doskonale ustawionym, albo zasranym idiotą, żeby próbować przeszmuglować do Meksyku jakąkolwiek broń, o pistolecie maszynowym nie wspominając. Jeśli cię złapią *federales*, najpierw spuszczą ci potężny łomot, a potem dostajesz minimum dwa lata odsiadki w meksykańskim więzieniu. Paco wie, że w pudle nie karmią - tym martwi się rodzina, a Paco już nie ma krewnych w Meksyku. Nie ma też koneksji, ani nie jest idiotą, więc odpowiada Quito, że nie przyjedzie.

Ponieważ jednak Paco musi szybko zamienić pistolet na gotówkę, mówi Quito:

- Pomyślę nad tym. Zadzwonię.

Rozłącza się i informuje Arta Kellera:

- On nie przyjedzie.

- Więc masz poważny problem - odpowiada Art.

Bez kitu, poważny problem - kokaina i strzelanina, ale na wypadek gdyby Paco jeszcze nie był odpowiednio przyciśnięty, Art dorzuca:

- Zrobię z tego sprawę federalną i poproszę sędziego o wyrok konsekwentny.

- Robię co mogę - jęczy Paco.

- Same wysiłki się nie liczą.

- Jesteś prawdziwą mendą, wiesz?

- Wiem - mówi Art. - Ale czy ty to wiesz?

Paco ciężko opada na krzesło.

- Dobra - stwierdza Art. - Po prostu zwab go na granicę.

- Taa?

- My zrobimy resztę.

Więc Paco chwyta za słuchawkę i umawia się na uobicie interesu przy ogrodzeniu z łańcuchów na granicy w Coyote Canyon.

To ziemia niczyja.

Jeśli ruszasz do Coyote Canyon nocą, lepiej weź ze sobą broń, a nawet to może nie wystarczyć, ponieważ mnóstwo ludzi ma broń w Coyote Canyon, w wielkiej bliźnie między

wzgórzami nagiego piasku, które flankują ocean wzdłuż granicy. Kanion biegnie od północnego krańca Tijuany mniej więcej dwie mile w głąb Stanów Zjednoczonych; to ziemia bandytów. Późnym popołudniem tysiące imigrantów zaczynają zbierać się w wąwozie, na grzbiecie ponad suchym akweduktem, który oznacza granicę. Kiedy słońce zachodzi, ruszają przez kanion, po prostu zdeptując nielicznych agentów patroli granicznych. Rządzi prawo liczb - więcej przechodzi niż zostaje złapanych. A nawet jeśli kogoś złapią, zawsze jest jutro.

Może.

Ponieważ do kanionu wchodzi prawdziwi bandyci i czają się niczym drapieżniki na stado *mojados*. Wyłap słabych i rannych. Rabuj, gwałć i morduj. Zabierz te marne grosze, które mają nielegalni imigranci, zaciągnij kobiety w krzaki i zgwałć, potem może poderżnij im gardła.

Kto chce zrywać pomarańcze w Los Estados Unidos, musi przebyć Coyote Canyon. A w tym chaosie, w kurzu podnoszonym przez tysiące biegnących stóp, w ciemności pełnej krzyków, strzałów i błyszczących ostrzy, wśród ryku pojazdów straży granicznej, która niczym kowboje pilnujący stada (są kowbojami, mają stado), jeździ po wzgórzach, wzdłuż płotu można załatwić mnóstwo interesów.

Umowy dotyczące narkotyków, seksu, broni.

I to właśnie robi Quito, gdy kuca przy dziurze wyciętej w ogrodzeniu.

- Dawaj broń.

- Dawaj forszę.

Quito widzi Maca-10 błyszczącego w świetle księżyca, więc ma pewność, że jego stary *cuate* Paco nie robi go w konia. Sięga więc przez dziurę, by wręczyć Paco pieniądze, a Paco łapie...

...nie szmal, ale jego nadgarstek.

I trzyma.

Quito próbuje się uwolnić, ale teraz trzyma go już trzech jankesów, a jeden z nich mówi:

- Jesteś aresztowany za zamordowanie Erniego Hidalgo.

A Quito odpowiada:

- Nie możesz mnie aresztować, jestem w Meksyku.

- To żaden problem - stwierdza Art.

Potem zaczyna przeciągać go do Stanów, po prostu przewleka go przez dziurę, ale jeden z drutów zaczepia o spodnie Quito. Jednak Art nie puszcza i ostry drut przebija pośladek Quito, a potem wychodzi drugą stroną.

Leży więc z lewym poślądkiem nadzianym na drut i wrzeszczy:

- Utknąłem! Utknąłem!

Art się nie przejmuje - opiera stopy o amerykańską stronę płotu i po prostu ciągnie. Drut rozdziera pośladek Quito, a ten zaczyna krzyczeć, bo jest ranny, krwawi, znalazł się w Ameryce, jankesi go biją, a potem wciskają szmatę w usta, żeby go uciszyć. Skuwają i wloką go do dzipa. Quito widzi funkcjonariuszy straży granicznej i próbuje wołać o pomoc, ale *migra* po prostu się odwraca, jakby nic nie widział.

Quito opowiada to wszystko sędziemu, który spogląda poważnie na Artę i pyta, gdzie doszło do aresztowania.

- Oskarżony został aresztowany w Stanach Zjednoczonych, wysoki sędzie - odpowiada Art. - Był na amerykańskiej ziemi.

- Oskarżony twierdzi, że przeciągnął go pan przez ogrodzenie.

Wtedy, gdy obrońca z urzędu zaczyna dosłownie podskakiwać z oburzenia, Art stwierdza:

- Nie ma w tym słowa prawdy, wysoki sędzie. Pan Fuentes znalazł się w naszym kraju z własnej woli, żeby kupić nielegalną broń. Możemy przedstawić świadka.

- Czy to pan Méndez?

- Tak, wysoki sędzie.

- Wysoki sędzie - mówi adwokat - pan Méndez z pewnością zawarł układ z...

- Nie było żadnego układu - zaprzecza Art. - Klnę się na Boga.

Znowu.

*

Z Doktorem nie pójdzie tak łatwo.

Doktor Álvarez prowadzi świetnie prosperującą praktykę ginekologiczną w Guadalajarze i nigdzie nie wyjeżdża. Nic na świecie nie skłoni go do przekroczenia granicy, ani nawet do pojawienia się w jej pobliżu. Zdaje sobie sprawę, że DEA wie, jaką rolę odegrał w zamordowaniu Hidalgo, jak bardzo Keller chce go dopaść, więc dobry doktorek nie rusza się miasta.

- Mexico City robi szum o Quito Fuentes - mówi Tim Taylor Artowi.

- Niech sobie pokrzyczą.

- Łatwo ci mówić.

- Faktycznie.

- Posłuchaj, Art - stwierdza Taylor. - Nie możemy tak po prostu wpaść i złapać Doktora, a Meksykanie tego dla nas nie zrobią. Nie zgodzą się też na ekstradycję. To nie

Honduras, to nie Coyote Canyon. Sprawa zamknięta.

Może dla ciebie, myśli Art.

Nie dla mnie.

Nigdy nie będzie zamknięta, dopóki wszyscy zamieszani w zamordowaniu Erniego nie zginą lub nie znajdą się za kratkami.

Skoro my nie możemy, a meksykańskie gliny nie chcą, muszę znaleźć kogoś, kto się tego podejmie.

Art jedzie do Tijuany.

Tam Antonio Ramos prowadzi własną małą restaurację.

Znajduje eksgliniarza przed lokalem, z nogami na stole, cygarem w ustach i zimnym tecade pod ręką. Ramos zauważa go i mówi:

- Jeśli szukasz doskonałego *chile verde*, to źle trafiłeś.

- Nie tego szukam - odpowiada Art, siadając. Zamawia *cerveza* u kelnerki, która przebiegała obok.

- Więc czego?

- Nie czego, tylko kogo - prostuje Art. - Doktora Humberta Álvareza.

Ramos potrząsa głową.

- Jestem na emeryturze.

- Pamiętam.

- Poza tym, złamali DFS - dorzuca Ramos. - Zrobiłem jeden wielki gest w życiu, a oni go zlekceważyli.

- Wciąż potrzebuję twojej pomocy.

Ramos zdejmuje nogi ze stołu i nachyla się, by znaleźć się bliżej twarzy Arta.

- Pomagam ci, pamiętasz? Wystawiłem ci Barrerę i nie musiałeś nawet pociągać za spust. Nie chciałeś zemsty, tylko sprawiedliwości. A teraz nie masz ani jednego, ani drugiego.

- Nie zrezygnowałem.

- A trzeba było - mówi Ramos. - Ponieważ nie ma sprawiedliwości, a ty nie traktujesz zemsty poważnie. Nie jesteś Meksykaninem. Niewiele rzeczy traktujemy poważnie, ale zemsta jest jedną z nich.

- Jestem poważny.

- Nie sądzę.

- Jestem poważny na sto tysięcy dolarów.

- Oferujesz mi sto kawałków za zabicie Álvareza?

- Nie za zabicie. Porwij go, zwiąż, wsadź do samolotu do Stanów, gdzie zaciągnę go

przed sąd.

- Dokładnie to miałem na myśli - stwierdza Ramos. - Jesteś mięczakiem. Chcesz zemsty, ale brakuje ci jaj, żeby jej dokonać. Musisz ją maskować tym gównem o „sprawiedliwym procesie”. Łatwiej będzie go po prostu zastrzelić.

- Nie interesuje mnie pójscie na ławiznę - rzuca Art. - Interesuje mnie długie, głębokie cierpienie. Chcę go zamknąć w jakimś federalnym kiciu do końca życia i mam nadzieję, że długo pożyje. Sam jesteś mięczakiem, skoro chcesz go przed tym uchronić.

- Nie wiesz...

- Miękki i znudzony - mówi Art. - Nie wmawiaj mi, że się nie nudzisz. Siedzisz tu dzień w dzień, podając *tamales* turystom. Usłyszałeś nowiny. Wiesz, że już dopadłem Mette i Fuentesę. A teraz chcę mieć Doktora, z tobą czy bez ciebie. Potem przyjdzie kolej na Barrerę. Z tobą czy bez ciebie.

- Sto patyków.

- Sto patyków.

- Będę potrzebował paru ludzi...

- Mam na tę robotę sto kawałków - stwierdza Art. - Dziel je jak chcesz.

- Twardziel.

- Żebyś wiedział.

Ramos pociąga cygaro, wydmuchuje idealne kółka dymu i obserwuje, jak płyną w powietrzu. Potem rzuca:

- Kurwa, i tak nie zarabiam tu żadnej kasy. Dobra. *Acuérdate*.

- Chcę go mieć żywego - dorzuca Art. - Przywieź mi trupa i pożegnasz się z kasą.

- *Sí, sí, sí...*

*

Doktor Humberto Álvarez Machain kończy badać ostatnią pacjentkę, szarmancko odprowadzają do drzwi, żegna się z recepcjonistką i wraca do gabinetu, żeby przed wyjściem do domu zabrać kilka dokumentów. Nie słyszy, jak przez drzwi przechodzi siedmiu mężczyzn. Nie słyszy nic, póki Ramos nie wkracza do gabinetu, wymierza pistolet w jego kostkę i strzela.

Álvarez pada na podłogę i wije się z bólu.

- Widziałeś swoją ostatnią *funciete*, doktorze - mówi Ramos.

- Tam, gdzie się znajdziesz, nie będzie *chocho*.

I strzela ponownie. Ramos stwierdza:

- Boli jak cholera, co?

- Tak - jęczy Álvarez.

- Gdyby to ode mnie zależało, wpakowałbym ci kulkę prosto w łeb - rzuca Ramos. - Na szczęście dla ciebie, nie ja decyduję. A teraz zrobisz to, co ci każę, jasne?

- Tak.

- Świetnie.

Zawiązują mu oczy, okręcają nadgarstki kablem od telefonu i wyciągają do samochodu czekającego w alejce. Wpychają na tylne siedzenie i każą położyć się na podłodze. Ramos wsiada i stawia nogi na szyi Álvareza. Jadą do bezpiecznego domu na przedmieściach.

Prowadzą doktora do zaciemnionego salonu i zdejmują opaskę z oczu.

Álvarez zaczyna płakać, gdy dostrzega wysokiego mężczyznę wyciągniętego w krzesło naprzeciwko.

- Wiesz, kim jestem? - pyta Art. - Ernie Hidalgo był moim bliskim przyjacielem. *Un hermano. Sangre de mi sangre.*

Teraz Álvarez trzęsie się w niekontrolowany sposób.

- Ty go męczyłeś - mówi Art. - Ty skrobałeś jego kości szpikulcami, wbijałeś w niego rozżarzone do białości metalowe pręty. Robiłeś mu zastrzyki, żeby utrzymać go przy życiu i przytomnego.

- Nie - zaprzecza Álvarez.

- Nie kłam - stwierdza Art. - Bo się bardziej rozgniewam. Mam cię na taśmie.

Z przodu spodni doktora pojawia się plama i rozszerza w dół nogawki.

- Zsikał się - mówi Ramos.

- Rozbierzcie go.

Ściągają mu koszulę i zostawiają wiszącą wokół związanych nadgarstków. Spuszczają spodnie i majtki do kostek. Oczy Álvareza rozszerzają się ze zgrozy. Zwłaszcza gdy Kleindeist mówi:

- Powąchaj. Co czujesz?

Álvarez potrząsa głową.

- Z kuchni - dorzuca Kleindeist. - Pomyśl chwilę... już to wcześniej czułeś. Nic? Dobra - rozgrzany metal. Kawał pręta, na kuchence.

Jeden z ludzi Ramosa wchodzi, trzymając kuchenną rękawicą rozgrzany do czerwoności metal.

Álvarez mdleje.

- Ocućcie go - nakazuje Art.

Ramón strzela mu w łydkę.

Doktor dochodzi do siebie i wrzeszczy.

- Przerzućcie go przez kanapę.

Kładą Álvareza na oparciu kanapy. Dwaj ludzie trzymają go za ramiona i rozciągają je. Dwaj inni trzymają jego stopy przy podłodze. Piąty mężczyzna wnosi rozżarzony pręt i pokazuje go lekarzowi.

- Nie, proszę, nie...

- Nazwiska - mówi Art - wszystkich, których widziałeś w domu z Erniem Hidalgo. I to zaraz.

No problema.

Álvarez zaczyna wyrzucać z siebie nazwiska niczym karabin.

- Adán Barrera, Raúl Barrera, Ángel Barrera, Güero Méndez.

- Co?

- Adán Barrera, Raúl Barrera...

- Nie - warczy Art. - Ostatnie.

- Güero Méndez.

- On tam był?

- *Sí, sí, sí.* On dowodził, señor. - Álvarez nabiera powietrza, a potem mówi: - On zabił Hidalgo.

- Jak?

- Przedawkowanie heroiny. Wypadek. Zamierzaliśmy go uwolnić. Przysięgam. *La verdad.*

- Podnieście go.

Art spogląda na łkającego doktora i stwierdza:

- Napiszesz oświadczenie. Ze szczegółami twojego udziału. Wszystko o Barrerach i Méndezie. *De acuerdo?*

- *De acuerdo.*

- A potem napiszesz drugie oświadczenie, z potwierdzeniem, że nie byłeś torturowany ani w inny sposób zmuszany do jego złożenia. *De acuerdo?*

- *Sí* - wtedy, odzyskawszy spokój, zaczyna się targować.

- Będę coś miał ze współpracy?

- Powiem za tobą dobre słowo - mówi Art.

Sadzają Álvareza przy kuchennym stole z długopisem i papierem. Godzinę później oba oświadczenia są skończone. Art czyta je, wkłada do teczki i oznajmia:

- A teraz pojedziesz na małą wycieczkę.

- Nie, señor - krzyczy Álvarez. Wie wszystko o małych wycieczkach. Zwykle ich częścią są szpadle i płytkie groby.

- Do Stanów Zjednoczonych - uzupełnia Art. - Samolot czeka na lotnisku. Wyjedziesz dobrowolnie, jak sądzę.

- Tak, oczywiście.

Pewnie, kurwa, że oczywiście, myśli Art. Facet właśnie zasypał Barrerów i Güero Méndeza. Jego szanse na przeżycie w Meksyku są równe zeru. Art ma nadzieję, że doceni dożywocie w federalnym więzieniu w Marion.

Dwie godziny później mają Álvareza, umytego i świeżych spodniach, na pokładzie samolotu do El Paso, gdzie zostanie aresztowany i oskarżony o brutalne morderstwo Erniego Hidalgo. W areszcie jest sfotografowany, nagi, od stóp do głów, na dowód, że go nie torturowano.

A Art, wierny swej obietnicy, wstawia się za Álvarezem. Dzięki oskarżycielom federalnym nie będzie mu grozić kara śmierci.

Czeka go dożywocie bez prawa do zwolnienia warunkowego.

Życie bez nadziei.

Rząd meksykański składa protest, dołącza do niego grupa amerykańskich prawników, specjalistów od praw obywatelskich, ale Mette i Álvarez siedzą w pilnie strzeżonym federalnym więzieniu w Marion, czekając na apelacje, Quito Fuentes jest w celi w San Diego i nikt nie może powstrzymać Arta Kellera.

Ci, którzy chcieli, nie mogli.

A ci, którzy mogli, nie chcieli.

*

Ponieważ skłamał.

Art kłamał jak najęty przed senacką komisją badającą plotki, że CIA była zamieszana w wymianę przez Contras broni za narkotyki. W głowie Arta wciąż pobrzmiwa jego zeznanie, niczym ścieżka dźwiękowa filmu, którego nie można wyłączyć.

P: Czy słyszał pan kiedykolwiek o lotniczym przedsiębiorstwie transportowym SETCO?

O: Nie.

P: Czy słyszał pan kiedykolwiek, że samoloty SETCO używane były do transportowania kokainy?

O: Nic mi na ten temat nie wiadomo.

P: Czy słyszał pan kiedykolwiek o tak zwanej meksykańskiej trampolinie?

O: Nie.

P: Czy mogę przypomnieć, że zeznaje pan pod przysięgą?

O: Tak.

P: Czy słyszał pan o TIWG?

O: A co to?

P: Grupa Robocza do spraw Incydentów Terrorystycznych

O: Nie, aż do teraz.

P: Co pan wie o Dyrektywie nr 3 Departamentu Bezpieczeństwa Narodowego?

O: Nic.

P: A o NHAO, Narodowej Operacji Wsparcia Humanitarnego?

Prawnik Arta nachyla się i mówi do mikrofonu:

- Panie prokuratorze, jeśli chce pan łowić ryby, to czy mogę panu zasugerować wynajęcie łodzi?

P: Czy kiedykolwiek słyszał pan o NHAO?

O: Niedawno, w wiadomościach.

P: Czy ktokolwiek z NHAO naciskał na pana w kwestii pańskiego zeznania?

- Nie pozwolę ciągnąć tego dłużej - oznajmia prawnik Arta.

P: Na przykład, czy naciskał na pana pułkownik Craig?

To pytanie miało poruszyć prasę.

Pułkownik Scott Craig wsadził amerykańską flagę, z drzewcem i całą resztą, w tyłek innej komisji, która próbowała przygwoździć go za wymianę zakładników za broń z Irańczykami. Podczas procesu Craig stał się ludowym bohaterem, pupilkiem mediów, telewizyjnym patriotą. Kraj skupił się na aferze Iran-Contras, gównianej wymianie zakładników za broń, i nigdy nie dowiedział się o prawdziwym skandalu - o tym, że administracja pomogła Contras wymieniać narkotyki na broń. Tak więc sugestia, że pułkownik Craig, którego Art ostatnio widział w Ilopongo przerzucającego kokainę, naciskał na Kellera, żeby milczał, miała dramatyczny wydźwięk.

- To oburzające, panie prokuratorze - stwierdza prawnik Arta.

P: Zgadzam się. Czy pański klient odpowie na pytanie?

O: Przyszedłem tu, by odpowiadać na pytania dokładnie i zgodnie z prawdą, i to właśnie zamierzam robić.

P: Więc odpowie pan na pytanie?

O: Nigdy nie spotkałem pułkownika Craiga, ani nigdy nie rozmawiałem z nim na żaden temat.

Media znów zapadły w letarg.

P: A co z „Cerberem”, panie Keller? Słyszał pan o tym?

O: Nie.

P: Czy „Cerber” miał cokolwiek wspólnego z zamordowaniem agenta Hidalgo?

O: Nie.

Po tej odpowiedzi Althea opuszcza galerię. Później, w Watergate, mówi mu:

- Może banda senatorów nie potrafi zorientować się, kiedy kłamiesz, ale ja potrafię.

- Nie możemy po prostu zjeść miłego obiadu z dziećmi? - spytał Art.

- Jak mogłeś?

- Co?

- Stanąć w jednym rzędzie z bandą prawicowych...

- Przestań.

Podnosi rękę i obraca się plecami do żony. Ma dość wysłuchiwanie wyrzutów.

Ma dość słuchania wszystkiego, myśli Althea. Chociaż był nieobecny duchem podczas ich ostatnich kilku miesięcy w Guadalajarze, to i tak przypominało to cholerny miesiąc miodowy w porównaniu z jego nastrojem po powrocie z Meksyku. A może on wcale nie wrócił, to nie jest jej mąż. Nie chce rozmawiać, nie chce słuchać. Przez większość urlopu samotnie siedzi nad basenem u jej rodziców, chodzi na długie, samotne spacerunki przez Pacific Palisades albo po plażę. Przy kolacji ledwo się odzywa, albo, co gorsza, zagłębia się w gniewnych przemówieniach, że polityka to gówno, a potem przeprosza, idzie na górę, sam, albo wychodzi na nocną przechadzkę. Późną nocą leży w łóżku i bawi się pilotem, przeskakując z kanału na kanał, określając każdy program mianem śmiecia. Przy coraz rzadszych okazjach, gdy się kochają (jeśli można to tak nazywać), jest agresywny i szybki, jak gdyby chciał po prostu rozładować gniew, a nie wyrazić miłość czy choćby żądę.

- Nie jestem workiem treningowym - powiedziała pewnej nocy, gdy leżał na niej w przyływie jednej ze swych postkoitalnych depresji.

- Nigdy cię nie uderzyłem.

- Nie to miałam na myśli.

Pozostał obowiązkowym, chociaż sztywnym, ojcem. Robił wszystko, co zwykli robić tatusiowie, ale teraz było to odruchowe. Jak robot Art zabierał dzieci do parku, robot Art pokazywał Michaelowi jak pływać na desce, Art robot grał w tenisa z Cassie. Dzieci to dostrzegały.

Althea próbowała go namówić na wizytę.

Zaśmiała się.

- Psychiatra?

- Psychiatra, doradca, ktokolwiek.

- Oni tylko dają leki - odparł.

Chryste, więc weź je, pomyślała.

Sytuacja się pogarsza, gdy przychodzi wezwanie do sądu.

Spotkania z urzędnikami z DEA, urzędnikami administracji, śledczymi Kongresu. I prawnikami - Boże, z iloma prawnikami. Martwiła się, że opłaty dla nich ich zrujnują, ale Art powiedział tylko, żeby się nie martwiła:

- Wszystko załatwione.

Nigdy się nie dowiedziała, skąd wzięły się pieniądze, ale znalazły się, gdyż nigdy nie ujrzała żadnego rachunku od prawnika.

Art, oczywiście, odmówił rozmowy na ten temat.

- Jestem twoją żoną - poprosiła pewnej nocy. - Dlaczego mi nie powiesz?

- Są rzeczy, o których nie powinnaś wiedzieć - odparł.

Chciał z nią porozmawiać, opowiedzieć o wszystkim, znów się do niej zbliżyć, ale nie mógł. Jakby pojawił się niewidzialny mur, jakieś pole siłowe z filmu science fiction - nie między nimi, ale wewnątrz niego - którego nie mógł zburzyć. Było tak, jakby chodził przez wodę, pod wodą, dostrzegając światło prawdziwego świata, ale widząc tylko zniekształcone twarze żony i dzieci. Niezdolny wypłynąć, przebić się i ich dotknąć. Niezdolny, żeby dać się im dotknąć.

Pogrązał się głębiej.

Zapadł w milczenie, powolną trucizną małżeństwa.

Tego dnia w Watergate spojrzął na Altheę i zrozumiał: ona wiedziała, że się pogrążył - skłamał dla rządu, pomógł im ukryć gówniany interes, dzięki któremu crack trafiał na ulice amerykańskich gett.

Nie znała tylko przyczyny.

Oto przyczyna, myśli teraz Art, gdy przez szparę w roletach spogląda przez ulicę na 2718 Cosmos Street, gdzie melinuje się Tío Barrera.

- Mam cię, skurwysynu - mówi Art. - Tym razem nikt mi cię nie odbierze.

Tío zmieniał kwatery co kilka dni, przemieszczając się między swymi licznymi mieszkaniami i apartamentami w Guadalajarze. Czy z obawy przed aresztowaniem, czy - jak głosiła plotka - z powodu popalania własnego produktu, Tío stawał się paranoikiem.

Ma powody, uważa Art. Obserwuje Tío w tym mieszkaniu od trzech dni. Jak na niego, to długo w jednym miejscu. Pewnie przeprowadzi się dziś po południu.

Albo myśli, że się przeprowadzi.

Art ma własne plany w kwestii kolejnego ruchu Tío.

Musi to jednak dobrze rozegrać.

Jego rząd obiecał władzom meksykańskim, że wszystko odbędzie się bez hałasu. Przede wszystkim bez dodatkowych ofiar. A Art ma zniknąć możliwie jak najszybciej - musi to wyglądać na meksykańską operację, triumf *federales*.

Wszystko jedno, uważa Art.

Nieważne, Tío, dopóki to doprowadzi cię do więziennej celi.

Przykuca przy oknie i wygląda ponownie. Nagroda za Moje Lata na Pustyni, jak zwykł nazywać straszliwy okres między osiemdziesiątym siódmym a osiemdziesiątym dziewiątym, kiedy manewrował między polami minowymi śledztw, pocił się na myśl o wyroku za krzywoprzysięstwo, który nigdy nie zapadł, obserwował jak odchodzi prezydent, a jego wiceprezydent - ten sam człowiek, który prowadził potajemną wojnę z sandinistami, obejmuje urząd. Moje Lata na Pustyni, wspomina Art, przenoszenie się od jednej papierkowej roboty do drugiej, podczas gdy jego małżeństwo usychało: wrócili z Altheą do oddzielnych pokoi i oddzielnych żyć, aż wreszcie Althea zażądała rozwodu. Musiał to wszystko znieść.

Nawet teraz świeży stos dokumentów rozwodowych leży niepodpisany na kuchennym stole w pustym mieszkaniu w centrum San Diego.

- Nigdy nie pozwolę ci zabrać moich dzieci - powiedział Art żonie.

Wreszcie zapanował pokój.

Nie między Kellerami, ale w Nikaragui.

Przeprowadzono wybory, obalono sandinistów, tajna wojna zakończyła się i mniej więcej pięć minut później Art zgłosił się do Johna Hobbsa po swoją nagrodę.

Zniszczenie każdego człowieka zamieszanego w zamordowanie Ernego Hidalgo.

Spis celów: Ramón Mente, Quito Funetes, doktor Álvarez, Güero Méndez.

Raúl Barrera.

Adán Barrera.

I Miguel Ángel Barrera,

Tío.

Bez względu na opinię Arta o prezydencie, John Hobbs, pułkownik Scott Craig i Sal Scachi są ludźmi dotrzymującymi słowa. Art Keller dostaje wolną rękę i wszechstronną pomoc. Rusza do akcji.

- W wyniku tego - powiedział Hobbs - mamy spaloną ambasadę w Hondurasie i szalejącą batalię o prawa obywatelskie, a nasze stosunki dyplomatyczne z Meksykiem legły w

gruzach. Rozciągając metaforę do granic wytrzymałości, Departament Stanu powinien urządzić ci auto da fé, na które Departament Sprawiedliwości przyniesie chipsy.

- Jestem jednak pewien - mówi Art - że mam pełne wsparcie Białego Domu i prezydenta.

W ten sposób Art przypomina Hobbsowi, że zanim obecny prezydent zasiadł w Białym Domu, zajmował się finansowaniem kokainy dla Contras, więc nie mówmy już więcej o „Departamencie Stanu” i „Departamencie Sprawiedliwości”.

Wymuszenie zadziało. Art dostał zgodę na wyprawę po Tío.

A wcale nie było to łatwe.

Negocjacje na najwyższym szczeblu, a Art w nich nie uczestniczył.

Hobbs pojechał do Los Pinos, rezydencji prezydenta, by zawrzeć układ: aresztowanie Miguela Ángela Barrery usunie ostatnią przeszkodę na drodze do NAFTA.

NAFTA to klucz, absolutnie podstawowy, do modernizacji Meksyku. Dzięki niemu Meksyk wkroczy w kolejne stulecie. Bez niego gospodarka stanie i upadnie, a kraj na zawsze pozostanie w Trzecim Świecie, pogrążony w ubóstwie.

Przehandlowują więc Barrerę jako część NAFTA.

Jest też drugi, bardziej kłopotliwy warunek: to ostatnie aresztowanie. To zamyka sprawę zamordowania Hidalgo. Potem Art Keller nie ma prawa wjazdu do kraju. Dostanie więc Barrerę, ale nie Adána, Raúla czy Güero Méndeza.

W porządku, myśli Art.

Mam wobec nich swoje plany.

Ale najpierw Tío.

Tak więc teraz Art obserwuje i czeka.

Problem w tym, że Tío ma trzech ochroniarzy (znowu Cerber, myśli Art, nieustraszonego trzygłowy pies), uzbrojonych w dziewięciomilimetrowe pistolety maszynowe, AK-47 i granaty ręczne. I skłonnych ich użyć.

To akurat niezbyt martwi Arta. Jego ekipa też ma broń. Dysponuje dwudziestoma pięcioma *federales* z M-16, karabinami snajperskimi i całym arsenałem sił specjalnych policji, nie wspominając o Ramosie i jego grupie najemników. Ale żądanie Meksykanów brzmi: „Absolutnie nie może dojść do jakiegokolwiek strzelaniny na ulicach Guadalajary”, Art zaś postanowił dotrzymać umowy.

Próbują więc znaleźć rozwiązanie.

Pomaga im dziewczyna.

Ostatnia kochanka Barrery.

Nie przyrządzała posiłków.

Art obserwował przez ostatnie trzy poranki, jak ochroniarze wychodzili do miejscowej *comida* na śniadanie. Słuchał przez detektory dźwięku kłótni, jej krzyków, ich zrzędzenia, gdy wychodzili i wracali po dwudziestu minutach, najedzeni i gotowi do całodziennego pilnowania Miguela Ángela.

Nie dziś, myśli Art.

To będzie krótki dzień.

- Wychodzą - mówi do Ramosa.

- Nie martw się.

- Muszę. A co jeśli ona dostanie nagłego napadu domatorstwa?

- Ta Świnia? - pyta Ramos. - Zapomnij. Gdyby to była moja kobieta, przygotowywałyby śniadanie. Budziłaby się rano podśpiewując i pełna chęci, żeby mi zrobić dobrze. Najszczęśliwsza kobieta w Meksyku.

Ale on też jest spięty. Szczęki zaciska na nieodłącznym cygarze, a palce wybijają werbel na kolbie esposy, gdy dorzuca:

- Muszą jeść.

Miejmy nadzieję, myśli Art. Jeśli nie, jeśli stracimy szansę, to całe kruche porozumienie z meksykańskim rządem legnie w gruzach. Ci niepewni sojusznicy już są nerwowi. Sekretarz spraw wewnętrznych i gubernator Jalisco dosłownie zdystansowali się od operacji; są wiele mil stąd, na morzu, na trzydniowej „wyprawie nurkowej”. W ten sposób chcą zadowolić społeczeństwo i ocalałych braci Barrery. Operacja składa się z tylu niepewnych elementów, które trzeba skoordynować, że wszystko może się zawalić od najdrobniejszego opóźnienia.

Grupa *federales* z Mexico City jest już na miejscu, czekając na złapanie Barrery. Równocześnie na skraju miasta przyczał się specjalny oddział wojska, gotowy do wkroczenia i powstrzymania całej policji z Jalisco, jej dowódcy i gubernatora stanu do chwili, gdy Barrera znajdzie się w stolicy, zostanie oskarżony i uwięziony.

To zamach stanu, zaplanowany co do sekundy, a jeśli przegapi się stosowny moment, nie da się utrzymać tajemnicy przez kolejny dzień. Policja z Jalisco wycofa swojego człowieka, gubernator będzie udawał, że nic nie wie, i wszystko się skończy.

To musi stać się teraz.

Obserwuje frontowe drzwi domu.

Proszę, Boże, niech będą głodni.

Niech wyjdą na śniadanie.

Wpatruje się w drzwi, jakby mógł sprawić, że się otworzą.

*

Tío to narkoman.

Uzależniony od fajek.

To tragiczne, myśli Adán, gdy patrzy na wuja. To, co zaczęło się jako farsa upośledzenia, stało się realne, gdy Tío wszedł w rolę, od której nie może się uwolnić. Zawsze szczupły, jest chudszy niż kiedykolwiek, nie je, pali jednego papierosa za drugim. Kiedy nie wdycha dymu, kaszle. Niegdyś atramentowoczarne włosy posiwiały, a skóra pożółkła. Jest podłączony do woreczka z glukozą, zawieszonego na ruchomym stojaku, który ciągnie wszędzie za sobą jak szczeniaka.

Ma pięćdziesiąt trzy lata.

Młoda dziewczyna - Chryste, która to już? Piąta lub szósta od czasów Pilar - wchodzi, usadza swój obfity tyłek na fotelu i włącza telewizor pilotem. Raúl jest zszokowany brakiem szacunku, a jeszcze bardziej wstrząsa nim to, że jego wuj mówi łagodnie: *Calor de mi vida*, mówimy o interesach.

Słońce mego życia, moja dupa, myśli Adán. Dziewczyna - nie pamięta nawet jej imienia - to kolejna błada imitacja Pilar Talavery Méndez. Dwadzieścia funtów cięższa, kulejąca, o tłustych włosach, z twarzą, którą wiele *camitas* dzieli od urody, ale istnieje nikłe podobieństwo. Adán może zrozumieć tę obsesję na tle Pilar

- Boże, jaka była piękna - ale z tą *segundera* nie może tego pojąć. Zwłaszcza gdy dziewczyna wydyma swoje grube usta i kwili: „Zawsze rozmawiacie o interesach”.

- Zrób jakiś obiad - rzuca Adán.

- Nie gotuję - uśmiecha się drwiąco i odchodzi. Słyszą głośny dźwięk drugiego telewizora z pokoju obok.

- Uwielbia opery mydlane - wyjaśnia Tío.

Adán do tej pory milczy, siedząc na krześle i obserwując wuja z rosnącą troską. Jego złe zdrowie, słabość, próby zastąpienia Pilar, próby tyle uporczywe co katastrofalne. Tío Ángel szybko staje się żalną postacią, chociaż nadal jest *patrón pasador*.

Tío nachyla się i szepcze:

- Widujesz ją?

- Kogo, Tío?

- Ją - chrypi Tío. - *Mujer Méndeza*, Pilar.

Güero poślubił dziewczynę. Spotkał ją, gdy wysiadła z samolotu po salvadorskim „miesiącu miodowym” z Tío, i naprawdę ożenił się z dziewczyną, której nie tknęłyby większość Meksykanów, ponieważ nie była dziewicą, była kochanką Barrery, jego

segundera.

Tak bardzo Güero kocha Pilar Talavera.

- *Sí*, Tío - mówi Adán. - Widuję ją.

Tío przytakuje. Szybko zagląda do salonu, żeby się upewnić, że dziewczyna wciąż ogląda telewizję, a potem szepcze:

- Czy wciąż jest piękna?

- Nie, Tío - kłamie Adán. - Jest gruba. I brzydka.

Ale nie jest.

Jest przepiękna, myśli Adán. Jeździ na rancho Méndeza w Sinaloi co miesiąc z ich haraczem i widuje ją tam. Jest teraz młodą matką, z trzyletnią córeczką oraz chłopcem niemowlakiem i wygląda ślicznie. Zniknęła dziecięca tusza i zmieniła się w piękną kobietę.

A Tío wciąż ją kocha.

Adán próbuje wrócić do rzeczy.

- Co z Kellerem?

- A co ma być? - pyta Tío.

- Wyciągnął Mette z Hondurasu - wyjaśnia Adán - a teraz porwał Álvareza z Guadalajary. Jesteś następny?

To prawdziwe zmartwienie, uważa Adán.

Tío wzrusza ramionami.

- Mette popadł w samozadowolenie, Álvarez był nieostrożny, a ja taki nie jestem. Uważam, zmieniam domy co kilka dni. Chroni mnie policja z Jalisco. Poza tym mam innych przyjaciół.

- Masz na myśli CIA? - pyta Adán. - Wojna z Contrás się skończyła. Nie jesteś im już potrzebny.

Ponieważ lojalność nie leży w charakterze Amerykanów, myśli Adán, ani pamiętliwość. Jeśli tego nie wiesz, zapytaj Manuela Noriegi z Panamy. Też był kluczowym partnerem w Cerberze, ważnym ogniwem meksykańskiej trampoliny i gdzie jest teraz? W tym samym miejscu co Mette i Álvarez, w amerykańskim więzieniu, tyle że to nie Art, ale stary przyjaciel Noriegi, George Bush, go tam wsadził. Najechał kraj, zgarnął go i wywiózł.

Jeśli więc liczysz na amerykańską wdzięczność za swą lojalność, Tío, to się mylisz. Oglądałem występ Arta w CNN. To jest cena za jego milczenie, a ceną możesz być ty, możemy być my wszyscy.

- Nie martw się, *mi sobrino* - mówi Tío. - Los Pinos jest naszym przyjacielem.

Los Pinos, rezydencja prezydenta Meksyku.

- A skąd ta przyjaźń?

- Z dwudziestu pięciu milionów moich dolarów - odpowiada Tío. - I z innych rzeczy.

Adán wie, co to za „inne rzeczy”.

Federación pomogła prezydentowi wygrać wybory. Cztery lata temu, w osiemdziesiątym ósmym, wygrana kandydata opozycji, lewicowego Cárdenasa, wydawała się pewna, a z nią obalenie PRI, która dzierżyła władzę od rewolucji 1917 roku.

Wtedy zdarzyła się zabawna rzecz.

Komputery liczące głosy w magiczny sposób przestały działać.

Przewodniczący komisji wyborczej pojawił się w telewizji, by wzruszyć ramionami i oznajmić, że komputery się zepsuły, a policzenie głosów i wyłonienie zwycięzcy zajmie kilka dni. A podczas tych kilku dni w rzece znaleziono ciała dwóch opozycyjnych mężów zaufania, którzy nadzorowali komputery - ludzi, którzy mogli znać i potwierdzić prawdę, że Cárdenas zdobył pięćdziesiąt pięć procent głosów.

A przewodniczący ponownie wystąpił w telewizji i z kamienną twarzą ogłosił, że PRI wygrało wybory.

Obecny *presidente* objął urząd i przystąpił do nacjonalizacji banków, firm telekomunikacyjnych, pól naftowych; wszystkie kupili poniżej cen rynkowych ci sami ludzie, którzy uczęszczali na bankiety połączone ze zbieraniem pieniędzy na jego fundusz wyborczy i zostawili dwadzieścia pięć milionów dolarów od osoby na stole w charakterze napiwku.

Adán wie, że Tío nie zorganizował morderstw mężów zaufania - zrobił to García Abrego - ale Tío wiedział o tym i dał swoje przyzwolenie. A ponieważ Abrego pozostaje w zażyłych stosunkach z Los Pinos - jest partnerem El Bagmana, brata prezydenta, który ma trzecią część udziałów w transportach kokainy, jakie Abrego szmugluje za pośrednictwem swego kartelu znad Zatoki

- Tío ma podstawy, by wierzyć, że Los Pinos będzie wobec niego lojalne.

Adán ma wątpliwości.

Teraz patrzy na wuja i widzi, że niecierpliwie czeka na koniec spotkania. Tío chce zapalić swój crack i nie zrobi tego przy Adánie. To smutne, myśli wychodząc, patrząc, co narkotyki zrobiły z tym wspaniałym człowiekiem.

Adán jedzie taksówką do centrum i wchodzi do katedry, żeby prosić o cud.

Bóg i nauka, myśli.

Niekiedy współpracujące, niekiedy sprzeczne potęgi, ku którym zwracają się Adán i Lucía, by pomogły ich córce.

Lucía bardziej ufa Bogu.

Chodzi do kościoła - modli się, zamawia msze i błogosławieństwa, klęczy przed relikwiami. Kupuje *milagros* przed katedrą i składa je w ofierze, zapala świece, daje pieniądze, spełnia dobre uczynki.

Adán chodzi do kościoła w niedziele, składa ofiary, odmawia modlitwy, przyjmuje komunię, ale to gesty, ukłon w stronę Lucii. Już nie wierzy, że pomoc nadejdzie z tej strony. Klęczy więc, mamrocze słowa, wykonuje gesty, ale są one puste. Podczas regularnych podróży do Culiacán z haraczem dla Güero Méndeza zatrzymuje się w kaplicy Santo Jesúa Malverde i odmawia *manda*.

Modli się do *narcosanto*, ale większą nadzieję pokłada w lekarzach.

Adán handluje narkotykami; wierzy w biofarmakologię.

Neurologzy dziecięcy, neuropsycholodzy, psychoneurologzy, endokrynolodzy, specjaliści od mózgu, chemicy, zielarze, uzdrowiciele, szarlatani, konowałowie. Lekarze wszędzie - w Meksyku, Kolumbii, Kostaryce, Anglii, Francji, Szwajcarii, a nawet tuż za granicą, w Stanach.

Adán nie może chodzić na te wizyty.

Nie może towarzyszyć żonie i córce w ich smutnych, daremnych wędrówkach do specjalistów w Scripps w La Jolla albo w Mercy w Los Angeles. Wysyła Lucię z pisemnymi notatkami, zapisanymi pytaniami, plikami dokumentów medycznych, historii choroby, wynikami badań. Lucía zabiera Glorię, przekracza granicę pod swym panieńskim nazwiskiem - wciąż ma obywatelstwo - i niekiedy nie ma ich całymi tygodniami, nawet miesiącami, a Adán tęskni za córką. Zawsze wracają z tym samym.

Nic się nie zmieniło.

Nikt nie odkrył żadnego cudownego leku.

Ani nie wynalazł.

Ani Bóg, ani lekarz.

Nic nie mogą zrobić.

Adán i Lucía pocieszają się nadzieją i wiarą - którą Lucía ma, a Adán udaje - oraz miłością.

Adán głęboko kocha żonę i córkę.

Jest dobrym mężem i cudownym ojcem.

Inni mężczyźni, Lucía to wie, mogliby odwrócić się od zdeformowanego dziecka, mogliby unikać dziewczynki, domu, znajdować tysiące wymówek, żeby nie wracać.

Nie Adán.

Jest w domu niemal co noc, niemal w każdy weekend. Rano zawsze wchodzi do pokoju

Glorii, żeby ją ucałować na dzień dobry i uściskać; przed wyjściem do pracy robi jej śniadanie. Po powrocie najpierw zagląda do niej. Czyta dziewczynce, opowiada bajki, bawi się.

Adán nie ukrywa też swego dziecka jak czegoś wstydliwego. Zabiera ją na długie spacerunki po dzielnicy Río. Do parku, na obiad, do cyrku, wszędzie. Często się ich widuje w lepszych dzielnicach Tijuany - Adána, Lucię i Glorię. Wszyscy sklepikarze znają dziewczynkę - dają jej cukierki, kwiaty, ozdóbki, spinki do włosów, bransoletki, drobiazgi.

Kiedy Adán wyjeżdża w interesach - jak teraz, w regularną trasę do Guadalajary, by odwiedzić Tío, a potem do Culiacán z teczką pieniędzy dla Güero - dzwoni codziennie, kilka razy dziennie, żeby porozmawiać z córeczką. Opowiada jej historyjki, zabawne wydarzenia. Przywozi prezenty z Guadalajary, Culiacán, Badiguarato.

I wyjeżdża na wszystkie wizyty do lekarzy, na które może - poza tymi do Stanów Zjednoczonych. Stał się ekspertem od wodniaka torbielowatego; czyta, studiuje, zadaje pytania, rozdaje zachęty i nagrody. Łoży poważne sumy na badania, po cichu nakłania do tego swoich partnerów w interesach. On i Lucía mają mnóstwo pięknych rzeczy, ładny dom, ale mieliby ich więcej, dużo większy dom, gdyby nie wydawali tyle na lekarzy. Oraz darowizny, msze, modlitwy, place zabaw i kliniki.

Lucía jest z tego zadowolona. Nie potrzebuje ładniejszych rzeczy, większego domu. Nie potrzebuje - i nie chce - ogromnych i, szczerze mówiąc, kiczowatych rezydencji, jakie ma część *narcotraficantes*.

Lucía i Adán oddaliby wszystko, tak jak wszyscy rodzice, każdemu lekarzowi lub każdemu Bogu, który uleczyłby ich dziecko.

Im bardziej zawodzi nauka, tym bardziej Lucía zwraca się w stronę religii. Pokłada większą nadzieję w boskim cudzie niż w bezwzględnych danych medycznych badań. Błogosławieństwo od Boga, świętych, Naszej Pani z Guadalupy zmieniłoby te liczby w mgnieniu oka. Odwiedza kościół, codziennie przyjmuje komunię, zaprasza proboszcza, ojca Riverę, na obiady do domu, na prywatne modlitwy i dla wysłuchania rad, dla studiowania Biblii. Bada głębiej własnej wiary („Może to moje wątpliwości blokują *milagro*”), bada szczerowość Adána. Nakłania go, żeby częściej pojawiał się na mszy, żarliwiej się modlił, dawał więcej pieniędzy Kościołowi, rozmawiał z ojcem Riverą, by „wyznawał mu, co ma na sercu”.

Chce jej dogodzić, więc odwiedza księdza.

Rivera to niezły facet, chociaż trochę głupawy. Adán siedzi w gabinecie proboszcza, po drugiej stronie biurka i mówi:

- Mam nadzieję, że ojciec nie utwierdza Lucíi w przekonaniu, że to jej brak wiary

uniemożliwia wyleczenia naszej córki.

- Oczywiście, że nie. Nigdy nie sugerowałem ani nawet nie pomyślałem nic takiego.

Adán kiwa głową.

- Ale pomówmy o tobie - mówi Rivera. - Jak ci mogę pomóc, Adanie?

- Naprawdę, nic mi nie jest.

- To nie jest łatwe...

- Nie jest. Ale takie jest życie.

- A jak stosunki między tobą a Lucią?

- Świetnie.

Rivera rzuca mu przebiegłe spojrzenie i pyta:

- A w sypialni? Mogę zapytać? Jak obowiązki...

Adánowi udaje się zdusić uśmiešek. Zawsze go bawi to, że księża, ci kastraci z własnego wyboru, chcą doradzać w sprawach seksu. To jakby wegetarianin oferował się upiec stek na grillu. Mimo to jest jasne, że Lucía omawia z księdzem ich pożycie intymne, inaczej Rivera nie miałby odwagi podnieść tej kwestii.

Bo tak naprawdę nie ma o czym rozmawiać.

Nie ma pożycia. Lucię przeraża myśl o ciąży. A ponieważ Kościół zabrania antykoncepcji, ona zaś nie postąpi wbrew prawu kościelnemu...

Sto razy jej mówił, że szanse urodzenia kolejnego dziecka z wadą wrodzoną wynoszą tysiąc do jednego, milion do jednego, ale logika do niej nie przemawia. Wie, że mąż ma rację, ale wśród szlochów wyznaje mu pewnej nocy, że nie może znieść myśli o tej chwili w szpitalu, kiedy jej powiedziano, kiedy zobaczyła...

Nie może znieść myśli o ponownym przeżywaniu tego momentu.

Próbowała kochać się z nim kilka razy, kiedy wypadały nieplodne dni, ale po prostu sztywniała. Strach i poczucie winy, zauważa Adán, nie są afrodyzjakami.

Chętnie by jednak powiedział Rivierze, że to nie jest dla niego ważne. Że jest zajęty w pracy, zajęty w domu, że całą jego energię pochłaniają interesy (o których specyficznej naturze nigdy nie mówią), troska o poważnie chorą, kalekę córkę i próby znalezienia lekarstwa dla niej. W porównaniu z cierpieniem dziecka brak seksu nie ma znaczenia.

- Kocham moją żonę - odpowiada księdzu.

- Zachęcałem ją, aby miała więcej dzieci - stwierdza proboszcz. - Żeby...

Dość, myśli Adán. To już jest obraźliwe.

- Ojczy - mówi - teraz możemy zajmować się wyłącznie Glorią.

Zostawia czek na biurku.

Wraca do domu i oznajmia Lucii, że rozmawiał z ojcem Riverą i że rozmowa wzmocniła jego wiarę.

Jednak Adán tak naprawdę wierzy tylko w liczby.

Boli go, gdy ogląda tę smutną, daremną wiarę żony; wie, że Lucía co dzień rani siebie głębiej, ponieważ jedynym pewnikiem dla Adána jest to, że liczby nie kłamią. Zajmuje się nimi cały dzień, codziennie. Podejmuje kluczowe decyzje w oparciu o liczby i wie, że arytmetyka to podstawowe prawo wszechświata, że dowód matematyczny jest jedynym dowodem.

A liczby twierdzą, że stan ich córki będzie się pogarszać, a nie poprawiać, wraz z wiekiem, że żarliwe modlitwy jego żony pozostaną niewysłuchane i bez odpowiedzi.

Pokłada więc wiarę w nauce, że ktoś gdzieś wynajdzie (dosłownie) nową formułę, cudowny lek, zabieg chirurgiczny, który zatriumfuje nad Bogiem i Jego bezużytecznymi świętymi.

Tymczasem nic nie można zrobić poza stawianiem kroku za krokiem w tym daremnym maratonie.

Ani Bóg, ani nauka nie mogą pomóc jego córce.

*

Skóra Nory jest zaróżowiona, zarumieniona od kąpieli.

Ma na sobie gruby biały szlafrok frotte, ręcznik niczym turban na głowie. Opada na sofę, kładzie nogi na stoliku i bierze list.

- Chcesz to zrobić? - pyta.

- Co? - rzuca Parada, bo pytanie wyrywa go ze słodkiego rozmarzenia wywołanego przez płytę Coltrane'a.

- Zrezygnować.

- Nie wiem - odpowiada. - Chyba tak. Dostałem list od samego *Il Papa*.

- Ale mówiłeś, że to była prośba - mówi Nora. - On prosi, a nie rozkazuje.

- To tylko kurtuazja - stwierdza Parada. - Wychodzi na to samo. Nie odmawia się prośbie papieża.

Nora wzrusza ramionami.

- Zawsze musi być ten pierwszy raz.

Parada uśmiecha się. Ech, ta beztraska odwaga młodości. Jest wadą i cnotą młodych, że nie zważają na tradycję, a jeszcze mniej na autorytety. Przełożony prosi cię o zrobienie czegoś, czego nie chcesz zrobić? Po prostu odmów.

Tak łatwo było na to przystać. To nie łatwe - to kuszące. Zrezygnować i znów zostać

plebanem, albo przyjąć skierowanie do klasztoru - na „okres refleksji”, jakby to zapewne nazwali. Czas na kontemplację i modlitwę. Brzmi cudownie, w przeciwieństwie do nieustannego stresu i odpowiedzialności. Niekończące się negocjacje polityczne, nieustanne wysiłki, żeby zdobyć żywność, kwatery, lekarstwa. Nie wspominając o nałogowym alkoholizmie, przemocy w rodzinie, bezrobociu i nędzy oraz tysiącach nieszczęść, które z nich wynikają. To ciężar, myśli, zdając sobie sprawę z tego, że się nad sobą rozczuła, a teraz *Il Papa* nie tylko chce mi wyjąć puchar z rąk, ale żąda, bym się poddał.

Wydrze mi go siłą, jeśli nie wyrzeknę się go dobrowolnie.

Tego właśnie Nora nie rozumie.

To jedna z niewielu rzeczy, których ona nie rozumie.

Przyjeżdżała w gości od lat. Najpierw były to kilkudniowe wizyty, pomoc w sierocińcu pod miastem. Potem przyjeżdżała na coraz dłużej, na kilka tygodni, a następnie tygodnie zmieniły się w miesiące. Wtedy wracała do Stanów, zarabiała trochę grosza i znów przyjeżdżała; pobyty w sierocińcu stawały się coraz dłuższe i dłuższe.

A to świetnie się składa, bo jest tu nieoceniona.

Ku swemu zaskoczeniu okazała się doskonała w robieniu tego, co akurat musiało być zrobione. Czasem opiekowała się przedszkolakami, innym razem nadzorowała naprawy nieustannie psującej się hydrauliki albo negocjowała z budowlańcami koszty nowej sypialni. Albo jechała na wielki targ w Guadalajarze i kupowała żywność na cały tydzień.

Najpierw, gdy pojawiał się jakieś zadanie, powtarzała ten sam refren: „Nie znam się na tym” - a siostra Camella nieodmiennie odpowiadała: „Nauczysz się”.

I rzeczywiście. Stała się prawdziwym znawcą sekretów instalacji sanitarnych Trzeciego Świata. Miejscowi fachowcy kochają ją i nienawidzą równocześnie - jest taka piękna i taka bezwzględna, a oni są zszokowani i zachwyceni zarazem widząc, jak podchodzi do nich kobieta i obwieszcza łamaną, ale dobitną hiszpańszczyzną: *No me quiebres el culo*.

Nie truj mi dupy.

Innym razem jest tak urocza i uwodzicielska, że dają jej wszystko po cenie kosztu. Nachyla się i patrzy tymi swoimi oczami, uśmiecha i mówi, że dach nie może czekać, aż będą mieli pieniądze - nadciągają deszcze, chyba nie patrzyli ostatnio na niebo.

Nie patrzyli. Za to widzą jej twarz i figurę oraz, nie ukrywajmy, duszę, więc idą i reperują ten *condenada* dach. Wiedzą, że umie zdobywać pieniądze, bo w końcu kto w diecezji mógłby jej odmówić?

Nikt.

Nikt nie ma odwagi.

A na targu? *Dios mío*, sieje postrach. Przesuwa się wzdłuż straganów z warzywami niczym królowa, żądając najlepszego towaru, najświeższego. Maca i wacha, prosi o kawałek na spróbowanie.

Pewnego ranka wkurzony sprzedawca zapytał:

- Dla kogo niby pani kupuje? Dla gości luksusowego hotelu?

Odpowiada:

- Moje dzieci zasługują na coś równie dobrego, albo i lepszego. Zgadza się pan?

Dostaje najlepszą żywność za najlepszą cenę.

Krąży o niej plotki. Jest aktorką - nie, dziwką - nie... kochanką kardynała. Nie, była luksusową kurtyzaną, a teraz umiera na AIDS, przyjechała do sierocińca, by pokutować za grzechy, zanim stanie przed Bogiem.

Jednak opowieść blaknie z upływem lat - dwóch, pięciu, potem siedmiu - gdy wciąż przyjeżdża do sierocińca, w dobrym zdrowiu i z kwitnącą urodą; spekulacje na temat jej przeszłości cichną.

Podczas wizyt w mieście rozkoszuje się jedzeniem. Je niemal w stanie zamroczenia, potem zabiera kieliszek wina do wielkiej łazienki z prawdziwymi płytkami i moczy się w ciepłej wodzie dopóki nie poróżowieje jej skóra. Potem wyciera się wielkimi, puszystymi ręcznikami (te w sierocińcu są małe i niemal przezroczyste), przychodzi pokojówka z czystym ubraniem, wypranym podczas gdy ona siedziała w wannie. Potem nastaje wieczór, a Nora z ojcem Juanem wieczorem rozmawiają, słuchają muzyki lub oglądają filmy. Wie, że on, kiedy ona się kąpie, wymyka się do ogrodu na papierosa (doktorzy nieustannie mu tego zakazywali, ale ojciec Juan odpowiadał: „A co, jeśli rzucę palenie, a potem wpadnę pod samochód? Całe poświęcenie na nic!”). Potem ssie miętówkę, jak gdyby mógł kogokolwiek oszukać, jak gdyby musiał ją zwodzić.

Faktycznie, zwykli mierzyć jej kąpiele ilością papierosów

- „Wezmę kąpiel na pięć papierosów” albo, jeśli czuje się szczególnie brudna i zmęczona, „To będzie kąpiel na osiem papierosów” - ale on wciąż udaje, że nic szczególnego nie robi, i nadal ssie cukierka.

Ta gra ciągnie się już niemal siedem lat.

Siedem lat - Nora nie może w to uwierzyć.

Tym razem przyszła rano, bo w nocy przywiozła do miejskiego szpitala chore dziecko i doglądała je do świtu. Kiedy kryzys minął, przyjechała taksówką do rezydencji Juana i skorzystała z kąpiele i śniadania. Teraz siedzi w jego jaskini i słucha muzyki.

- Na czym to wszystko minęło? - pyta Nora, solo Coltrane'a przechodzi w crescendo, a

potem znów ucicha.

- Co?

- Te siedem lat.

- Na tym, co zawsze - odpowiada ojciec Juan. - Na robieniu koniecznych rzeczy.

- Tak sędzę.

Martwi się o niego.

Wygląda na zmęczonego, wyczerpanego. Poza tym, chociaż z tego żartują, stracił ostatnio na wadze i łapie wszystkie przeziębienia i grypy.

Nie chodzi jednak wyłącznie o jego zdrowie.

Również o bezpieczeństwo.

Nora boi się, że chcą go zabić.

To już nie tylko nieustanne polityczne kazania i organizowanie ruchu związkowego; przez ostatnie kilka lat coraz więcej czasu ojciec Juan spędza w stanie Chiapas, przekształcając tamtejszy Kościół w centrum ruchu emancypacji Indian, co rozwściecza właścicieli ziemskich. Jest coraz bardziej otwarty na wszelkie kwestie społeczne, zawsze niebezpiecznie lewicowy, a nawet występuje przeciwko traktatowi NAFTA, który, jak twierdzi, jedynie bardziej zuboży biednych i pozbawionych ziemi.

Protestuje przeciwko temu z ambony, doprowadzając do furii swych kościelnych przełożonych i meksykańskich prawicowców.

Jego los, dosłownie, jest wypisany na murze.

Kiedy pierwszy raz ujrzała jeden z tych plakatów, w gniewie zaczęła go zdzierać, ale ją powstrzymał. Uważał, że to zabawne, jego karykatura z napisem EL CARDENAL ROJO - Czerwony Kardynał - i ogłoszeniem: NIEBEZPIECZNY PRZESTĘPCA - POSZUKIWANY ZA ZDRADĘ SWOJEGO KRAJU. Zdobył jeden egzemplarz i oprawił w ramki.

To go nie przeraża - zapewnia Norę, że nawet prawicowcy nie zabijają księdza. Jednak zamordowali Oscara Romero w Gwatemali, czyż nie? Jego sutanna nie odbiła kul. Prawicowy szwadron śmierci wkroczył do kościoła, gdy odprawiał mszę i zastrzelił go. Więc ona boi się meksykańskiej Guardia Blanca i tych plakatów, które zachęcają jakiegoś samotnego szaleńca, żeby zabił zdrajcę i zdobył sławę bohatera.

- Po prostu próbują mnie zastraszyć - powiedział Juan, gdy po raz pierwszy zobaczył afisze.

Ale to właśnie ją przeraża - świadomość, że on nie da się zastraszyć. A jeśli przeciwnicy to zrozumieją, co uczynią? Może więc „prośba” o rezygnację to dobre wyjście, myśli. Dlatego nawiązała do pomysłu rezygnacji. Jest za sprytna, by otwarcie wytykać mu

słabe zdrowie, zmęczenie i groźby, ale chce mu zostawić otwarte drzwi do odejścia.

Po prostu do odejścia.

Żywemu.

- Nie wiem - stwierdza ostrożnie. - Może to nie jest taki zły pomysł.

Opowiada jej o sporze, kiedy to nuncjusz papieski wezwał go do Mexico City, by wyjaśnił swe „ciężkie pastoralne i doktrynalne błędy” w Chiapas.

- To „teologia wyzwolenia” - zaczął Antonucci.

- Nie obchodzi mnie teologia wyzwolenia.

- Miło to słyszeć.

- Interesuje mnie wyłącznie wyzwolenie.

Ptasia twarz Antonucciego mrocznieje, gdy oznajmia:

- Chrystus wyzwala naszą duszę od piekła i śmierci i wydaje mi się, że to dostateczne wyzwolenie. To dobra nowina ewangelii i tego powinien ojciec nauczać wiernych w swej diecezji. I to, nie polityka, powinno skupiać ojca uwagę.

- Troszczyć się głównie o to - odpowiedział Parada - by ewangelia stała się dobrą nowiną dla ludzi teraz, a nie po śmierci z głodu.

- Ta koncepcja polityczna była w modzie po Vaticanum Secundum - stwierdza Antonucci - i być może umknęło ojca uwagi to, że mamy teraz innego papieża.

- Tak, i on niekiedy robi rzeczy na opak: wszędzie, gdzie się pojawia całuje ziemię, a stąpa po ludziach.

- To nie jest zabawne - oznajmia Antonucci. - Jest prowadzone śledztwo.

- Przez kogo?

- Biuro do spraw Ameryki Łacińskiej w Watykanie. Biskup Gantin. Chce odwołania ojca.

- Na jakiej podstawie?

- Herezji.

- To śmieszne!

- Czyżby? - Antonucci podnosi teczkę z biurka. - Czy nie odprawiał ojciec w maju mszy w wiosce w Chiapas, odziany w szaty Majów i w pierzastym przybraniu głowy?

- To symbole, żeby miejscowi...

- Więc odpowiedź brzmi twierdząco. Otwarcie angażuje się ojciec w pogański kult.

- Czyżby Bóg przybył tu razem z Kolumbem?

- Cytuje ojciec sam siebie - mówi Antonucci. - Tak, mam tu ten fragment. Popatrzmy. Tak. „Bóg kocha całą ludzkość...”

- Czyżby wasza wielebność miał jakieś wątpliwości?

- „...a tym samym objawił swą »Boskość« wszystkim kulturalnym i etnicznym grupom na świecie. Zanim jakkolwiek misjonarz przybył, żeby mówić o Chrystusie, proces zbawienia już tu trwał. Wiemy, że tak naprawdę Kolumb nie przywiózł Boga na pokładzie swych statków. Nie, Bóg już jest obecny we wszystkich tych kulturach, więc dzieło misjonarzy ma zupełnie inne znaczenie - głoszenie obecności Boga, który już tu jest”. Wyprze się ojciec tych słów?

- Nie, wręcz przeciwnie.

- Byli zbawieni przed Chrystusem?

- Tak.

- Czysta herezja.

- Wcale nie. To czyste zbawienie. To proste stwierdzenie, że Kolumb nie przywiózł ze sobą Boga, uczyniło więcej niż tysiąc katechizmów dla rozpoczęcia duchowego odrodzenia w Chiapas, gdy tubylcy zaczęli badać własną kulturę w poszukiwaniu oznak objawionego Boga. I znaleźli je - w swych zwyczajach, gospodarowaniu ziemią, starożytnych prawach o tym, jak traktować braci i siostry. Dopiero wtedy, gdy odkryli Boga w sobie, mogli naprawdę przyjąć dobrą nowinę o Jezusie Chrystusie. Oraz nadzieję na odkupienie. Z pięciuset lat niewolnictwa. Z pięciu stuleci ucisku, upokorzenia i skrajnej, rozpaczliwej, morderczej nędzy. A jeśli Chrystus nie przyszedł, by odkupić, to nie przyszedł wcale.

- A co ojciec powie o tym? - zapytał Antonucci. - „Tajemnica Trójcy nie jest matematyczną zagadką Trzech w Jednym. To objawienie Ojca w polityce, Syna w gospodarce, a Ducha Świętego w kulturze”. Czy ojciec naprawdę tak myśli?

- Tak. Tak, ponieważ wszystko to - polityka, gospodarka i kultura - pozwala Bogu objawić się w całej potędze. To dlatego przez ostatnie siedem lat budowaliśmy ośrodki kultury, szpitale, spółdzielnie rolne i organizacje polityczne.

- Sprowadza ojciec - stwierdza Antonucci - Boga Ojca do polityki, a Jezusa Chrystusa, Jego Syna Zbawiciela Naszego, do poziomu naczelnika jakiegoś trzeciorzędnego marksistowskiego wydziału gospodarczego?! Nawet nie skomentuję błuznierczego łączenia Ducha Świętego z miejscową pogańską kulturą, cokolwiek to znaczy.

- Jeśli wasza wielebność nie wie, co to znaczy, to jest to problem.

- Nie, problem stanowi to, co ojciec wyprawia.

- Czy wasza wielebność wie, o co pewnego dnia spytał mnie stary Indianin?

- Nie wątpię, że mi to ojciec powie.

- Zapytał: „Czy ten wasz Bóg zbawia tylko nasze dusze? Czy też zbawia również nasze

ciała?”

- Drzę na myśl o tym, co mu ojciec odpowiedział.

- I słusznie.

Siedzieli po dwóch stronach biurka, wpatrując się w siebie. Parada rozluźnił się nieco i próbował wyjaśnić:

- Spójrzmy, co osiągnęliśmy w Chiapas: mamy sześć tysięcy tubylczych katechetów rozsianych po wioskach, głoszących ewangelię.

- Tak, spójrzmy, co ojciec osiągnął w Chiapas - powtórzył Antonucci. - Mamy tam największy odsetek nawróceń na protestantyzm w całym Meksyku. Tylko niecała połowa mieszkańców to katolicy, najniższy odsetek w całym Meksyku.

- A więc o to chodzi - zachnął się Parada. - Coca-cola martwi się utratą udziałów w rynku na rzecz Pepsi.

Natychmiast jednak pożałował żartu. Był kiepski i pełen pychy; utracił wszelkie szanse na zbliżenie.

A twierdzenie Antonucciego jest prawdziwe.

Wyruszyłem na prowincję, aby nawracać Indian.

Zamiast tego oni nawrócili mnie.

A teraz straszliwa NAFTA pozbawi ich i tych skrawków ziemi, które im pozostały, by zrobić miejsce dla bardziej „wydajnych” wielkich gospodarstw. By otworzyć drogę większym kawowym *fincas*, kopalniom, wyrębowi lasów i, rzecz jasna, wydobywaniu ropy.

Czy wszystko, zastanawia się, trzeba złożyć w ofierze na ołtarzu kapitalizmu?

Teraz wstaje, ścisza muzykę i rozgląda się po pokoju w poszukiwaniu papierosów. Zawsze musi ich szukać, podobnie jak okularów. Nora nie pomaga, mimo iż widzi je na bocznym stoliku. Parada za dużo pali. Nie trzeba mu ułatwiać.

- Dym mi przeszkadza - mówi.

- Nie chcę go zapalać - odpowiada ojciec Juan, znajdując paczkę. - Zamierzam go ssać.

- Spróbuj gumy.

- Nie lubię.

Siada naprzeciwko niej i stwierdza:

- Chcesz, żebym się wycofał.

Nora potrząsa głową.

- Chcę, żebyś robił to, co chcesz.

- Przestań robić uniki. Po prostu powiedz, co myślisz.

- Sam chciałeś. Zasłużyłeś na jakieś życie. Zapracowałeś sobie. Jeśli zrezygnujesz, nikt

nie będzie cię winił. Cała wina spadnie na Watykan, a ty będziesz mógł odejść z podniesioną głową.

Nora podnosi się z sofy, podchodzi do barku i nalewa sobie kieliszek czerwonego wina. Chce wina, ale bardziej chce uniknąć jego wzroku. Nie chce, żeby patrzył na nią, gdy mówi:

- Jestem egoistką, jasne? Nie zniósłabym, gdyby ci się coś stało.

- Ach.

Wspólna, niewypowiedziana myśl zawisa ciężko między nimi: gdyby zrezygnował nie tylko z kardynałatu, ale i z kapłaństwa, wtedy mogliby...

Ale on nigdy tego nie robi, myśli Nora, a ja tak naprawdę tego nie chcę.

Jesteś wyjątkowo głupim starcem, myśli Parada. Ona jest młodsza od ciebie o czterdzieści lat, a ty jesteś też księdzem. Mówi więc:

- Obawiam się, że to ja jestem samolubny. Może nasza przyjaźń powstrzyma cię przed znalezieniem związku...

- Nie.

- ...który zaspokoiłby więcej twoich potrzeb.

- Zaspokajasz wszystkie moje potrzeby.

Wyraz jej twarzy jest tak poważny, że aż go zaskakuje na chwilę. Te poważne błyszczące oczy. Odpowiada:

- Z pewnością nie wszystkie.

- Wszystkie.

- Nie chcesz mieć męża? Rodziny? Dzieci?

- Nie.

Nora chce krzyknąć: „Nie zostawiaj mnie. Nie każ mi ciebie zostawiać”. Nie potrzebuję męża, rodziny ani dzieci. Nie potrzebuję seksu, pieniędzy, luksusu ani bezpieczeństwa.

Potrzebuję ciebie.

Ma to pewnie miliard psychologicznych przyczyn - obojętnego ojca, dysfunkcję seksualną, strach przed związaniem się z aktualnie dostępnym mężczyzną; psychiatra miałby kopalnię możliwości - ale nic mnie to nie obchodzi. Jesteś najlepszym mężczyzną, jakiego znałam. Najmądrzejszym, najłagodniejszym, najzabawniejszym, najlepszym, jakiego znałam i nie wiem, co zrobię, jeśli cokolwiek ci się stanie, więc nie odchodź, proszę. Nie każ mi odchodzić.

- Nie zamierzasz zrezygnować, prawda? - pyta.

- Nie mogę.

- W porządku.

- Na pewno?

- Jasne.

Nigdy nie myślała, że mógłby złożyć dymisję.

Ciche pukanie do drzwi i jego asystent szepcze, że ma niezapowiedzianego gościa, któremu powiedział...

- Kto to? - dopytuje się Parada.

- Señor Barrera - odpowiada asystent. - Powiedziałem mu...

- Porozmawiam z nim.

Nora wstaje.

- I tak już muszę lecieć.

Obejmują się, a kobieta wychodzi, żeby się ubrać.

Parada wchodzi do gabinetu; Adán już tam siedzi.

Zmienił się, stwierdza duchowny.

Nadal ma chłopięcą twarz, ale to chłopiec z troskami. I nic dziwnego, z takim chorym dzieckiem. Parada podaje mu rękę. Adán chwyta ją i, niespodziewanie, całuje pierścień.

- To nie było konieczne - mówi Parada. - Tyle lat, Adanie.

- Prawie sześć.

- Czemu więc...

- Dziękuję za prezenty dla Glorii.

- Nie ma za co. Odprawiam też msze w jej intencji. I modlę się za nią.

- Bardzo to doceniamy.

- Jak się ma Gloria?

- Bez zmian.

Parada przytakuje.

- A Lucía?

- Świetnie, dziękuję.

Parada siada za biurkiem. Opiera się na blacie, łączy palce i patrzy na Adána wystudiowanym spojrzeniem duchownego.

- Sześć lat temu zwróciłem się do ciebie i poprosiłem o litość dla bezbronnego człowieka. W odpowiedzi zabiłeś go.

- To był wypadek - mówi Adán. - Sprawy wymknęły się spod kontroli.

- Możesz okłamywać siebie i mnie. Boga nie oszukasz.

Czemu nie, myśli Adán. On nas okłamuje.

Ale odpowiada:

- Na życie żony i dziecka, zamierzałem uwolnić Hidalgo. Jeden z moich kolegów przypadkiem dał mu za dużą dawkę, chcąc uśmierzyć jego ból.

- Co było niezbędne, ponieważ go torturowaliście.

- Nie ja.

- Dość, Adánie - rzuca Parada, machając ręką, jakby chciał odpędzić wymówki. - Dlaczego przyszedłeś? Jak mogę ci pomóc?

- Nie może ojciec.

- Więc...

- Proszę o duchową posługę dla mojego wuja.

- Jezus chodził po wodzie - odpowiada Parada. - Nie wiedziałem, że od tamtej pory jeszcze komuś się udało.

- To znaczy?

- To znaczy - wyjaśnia biskup, bierze paczkę papierosów z biurka, wkłada sobie jednego do ust i zapala - że pomimo oficjalnej wersji muszę wierzyć, iż niektórzy ludzie nie dostąpią odkupienia. Prosisz o cud.

- Myślałem, że ojciec jest ekspertem od cudów.

- Jestem. Na przykład teraz próbuję nakarmić tysiące głodnych ludzi, zapewnić im czystą wodę, porządne domy, leczenie, edukację i jakąś nadzieję na przyszłość. Realizacja któregośkolwiek z celów będzie cudem.

- Jeśli to kwestia pieniędzy...

- Pieprzę twoje pieniądze - rzuca Parada. - To jasne?

Adán uśmiecha się, przypominając sobie, za co kocha tego człowieka. I dlaczego ojciec Juana jest zapewne jedynym odpowiednio twardym księdzem, żeby pomóc Tío. Mówi:

- Mój wuj przeżywa męki.

- Dobrze. Tak powinno być.

Gdy Adán unosi brwi, Parada wyjaśnia:

- Nie jestem pewien, czy wierzę w ogniste piekło, Adánie, ale jeśli ono istnieje, twój wuj bez wątpienia tam trafi.

- Jest uzależniony od cracku.

- Pozostawię ironię tego faktu bez komentarza. Czy znasz koncepcję karmy?

- Słabo. Wiem, że on potrzebuje pomocy. I wiem, że ojciec nie odmówi pomocy cierpiącej duszy.

- Duszy, która prawdziwie żałuje, pragnąc zmienić swe postępowanie. Czy ten opis odpowiada twojemu wujowi?

- Nie.

Parada wstaje.

- O czym więc mamy rozmawiać?

- Proszę go odwiedzić - mówi Adán. Wyjmuje z kieszeni notes i zapisuje adres Tío. -
Gdyby przekonał go ojciec, że powinien trafić do kliniki, szpitala...

- W mojej diecezji są setki takich, którzy pragną opieki, a nie stać ich na nią.

- Proszę posłać pięciu z nich z moim wujem, a ich rachunki przysłać do mnie.

- Jak już wspomniałem...

- Wiem, pieprzy ojciec moje pieniądze. Ojca zasady, ich cierpienie.

- Pieniądze ze sprzedaży narkotyków. - Mówi z papierosem w ustach.

Adán opuszcza głowę, wpatruje się przez chwilę w podłogę, a potem mówi:

- Przykro mi, że przyszedłem z taką prośbą. Powinienem to przemyśleć przed drzwiami.

Parada zaciąga się papierosem, podchodzi do okna i spogląda na *zócalo*, gdzie uliczni sprzedawcy rozłożyli koce i wyłożyli *milagros* na sprzedaż.

- Zobaczę się z Miguelem Ángelem - odpowiada. - Ale wątpię, że to coś da.

- Dziękuję, ojciec Juanie.

Parada kiwa głową.

- Ojciec Juanie?

- Tak?

- Mnóstwo ludzi chciałoby znać ten adres.

- Nie jestem policjantem - stwierdza duchowny.

- Nie powinienem był tego mówić - mówi Adán. Podchodzi do drzwi. - Do widzenia,
ojciec. Dziękuję.

- Zmień swoje życie, Adánie.

- Już za późno.

- Gdybyś w to wierzył, nie przyszedłbyś tutaj.

Parada odprowadza Adána do małego holu, gdzie stoi kobieta z małą torbą podróżną na ramieniu.

- Muszę lecieć - informuje Nora Paradę. Patrzy na Adána i uśmiecha się.

- Nora Hayden - mówi Parada. - Adán Barrera.

- *Mucho gusto* - stwierdza Adán.

- *Mucho gusto* - Nora odwraca się do Parady. - Wrócę za kilka tygodni.

- Będę czekał - kobieta idzie do drzwi.

- Ja też wychodzę - rzuca Adán. - Mogę wziąć pani torbę? A może złapię taksówkę?

- To miłe.

Nora całuje Paradę w policzek.

- *Adiós.*

- *Buen viaje.*

Na *zócalo* kobieta mówi:

- Ten chytry uśmiech na pańskiej twarzy...

- Czy ja się w ogóle uśmiecham?

- ...jest nie na miejscu. To nie tak, jak pan myśli.

- Pani nie rozumie - odpowiada Adán. - Kocham i szanuję tego człowieka. Nie żałuję mu żadnej radości, jaką może znaleźć.

- Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

- Skoro pani tak mówi.

- Naprawdę.

Adán rozgląda się po placu.

- Tam jest miła kawiarnia. Właśnie miałem iść na śniadanie, a nienawidzę jeść w samotności. Ma pani czas i ochotę, żeby się do mnie przyłączyć?

- Jeszcze nie jadłam śniadania.

- Więc chodźmy - gdy idą przez plac, Adán dodaje - przepraszam, muszę zadzwonić.

- Śmiało.

Wyciąga komórkę i wybiera numer Glorii.

- *Hola, sonrisa de mi alma* - mówi, gdy dziewczynka odbiera. Ona jest uśmiechem jego duszy. Jej głos to jego świt i zmierzch.

- Jak się masz?

- Dobrze, tatusiu. Gdzie jesteś?

- W Guadalajarze. Odwiedzam Tío.

- Co u niego?

- Też wszystko dobrze - odpowiada Adán. Rozgląda się po placu, gdzie zebrało się mnóstwo handlarzy. - *Ensacho de mi corazón*, radości mego serca, sprzedają tu śpiewające ptaszki. Przywieźć ci jednego?

- A jakie piosenki śpiewają, tatusiu?

- Nie wiem. Chyba sama musisz je nauczyć piosenek. Znasz jakąś?

- Tatusiu - śmieje się, bo wie, że ojciec się z nią przekomarza - przecież cały czas ci śpiewam.

- Wiem. Twoje piosenki łamią mi serce.

- Bardzo bym chciała ptaszka.
- Jakiego koloru?
- Żółtego.
- Chyba widzę jakiegoś żółtego.
- Albo zielonego. Albo jakiegokolwiek. Tatusiu, kiedy wracasz?
- Jutro wieczorem. Muszę się zobaczyć z Tío Güero, a potem jądę do domu.
- Tęsknię za tobą.
- Ja też za tobą tęsknię.
- Kocham cię.
- To ja cię kocham.

Rozłącza się.

- Pańska dziewczyna?
- Miłość mojego życia - wyjaśnia Adán. - Moja córeczka.
- Ach.

Wybierają stolik na zewnątrz. Adán odsuwa jej krzesło, potem siada. Spogląda przez stolik w te wspaniałe niebieskie oczy. Nora nie odwraca wzroku, nie mruga, nie rumieni się. Patrzy wprost na niego.

- A pańska żona?
- Co z nią?
- No właśnie o to pytałam - mówi Nora.

*

Łomot drzwi brzmi jak wystrzał.

Drewno uderzające w metal.

Ángel wyslizguje się z dziewczyny, odwraca się i widzi *federales* wdzierających się przez drzwi.

Art uważa, że to niemal śmieszne, gdy Tío powłóczy nogami z majtkami wokół kostek w groteskowej imitacji biegu; stojak na kółkach podąza za nim jak służący, gdy próbuje dotrzeć do broni złożonej w kącie pokoju. Wtedy stojak przewraca się z łomotem, wrywając mu igłę z ramienia, a Tío upada w rogu na karabiny; podnosi się z granatem w dłoni i siedzi, bawiąc się zawleczką, dopóki *federale* nie łapie go i nie wrywa mu granatu z ręki.

Thusty, biały tylek nadal sterczy z kuchennego stołu niczym gigantyczne ciasto. Słychać plask, gdy Ramos przechodzi obok i wali pośladek swym karabinem.

Dziewczyna wydaje obojętne „au”.

- Powinnaś była przygotować śniadanie, leniwa dziwko.

Chwyta ją za włosy i unosi.

- Wkładaj majtki, nikt nie chce patrzeć na twoją *nalgas grandes*.

Twoją wielką dupę.

- Dam wam pięć milionów dolarów - mówi Ángel do *federales*. - Pięć milionów, jeśli mnie puścicie. - Potem dostrzega Artę i wie, że pięć baniek nic nie załatwi, że to za mało. Zaczyna płakać. - Zabij mnie. Proszę, zabij mnie od razu.

I to jest twarz diabła, myśli Art.

Smutna burleska.

Facet siedzi w kącie bez majtek i błaga mnie, żebym go zabił.

Żaloszne.

- Trzy minuty - mówi Ramos.

Do powrotu ochroniarzy.

- W takim razie zabierajmy stąd to gówno - zarządza Art. Przykłęka tak, by jego usta znalazły się przy uchu wuja i szepcze:

- Tío, powiem ci coś, co zawsze chciałeś wiedzieć.

- Co?

- Kto to był Chupar.

- Kto?

- Güero Méndez - kłamie Art.

Güero Méndez, ten skurwysyn.

- Nienawidził cię - dodaje Art - za to, że odebrałeś mu tę małą dziwkę i zniszczyłeś ją. Wiedział, że może ją odzyskać tylko, jeśli pozbędzie się ciebie.

Może i nie mogę dopaść Adána, Raúla i Güero, stwierdza Art, ale zrobię coś równie dobrego.

Sprawię, że zniszczą się nawzajem.

*

Adán opada na ciało Nory. Ona gładzi jego szyję i mierzwi mu włosy.

- To było niesamowite - mówi.

- Od dawna nie miałeś kobiety.

- To takie oczywiste?

Wyszli z kawiarni i poszli od razu do pobliskiego hotelu. Palce mu drżały, gdy rozpinał Norze bluzkę.

- Nie miałaś orgazmu.

- Będę miała, następnym razem.

- Następnym razem?

Godzinę później wpiera ręce w parapet, jej nogi tworzą muskularne V, gdy Adán bierze ją od tyłu. Powiew z za otwartego okna chłodzi jej spoconą skórę, gdy jęczy i skomle w cudownie udawanym orgazmie, dopóki on nie jest usatysfakcjonowany i sam dochodzi.

Potem, leżąc na podłodze, mężczyzna mówi:

- Chcę cię znów zobaczyć.

- To da się załatwić - odpowiada Nora.

To po prostu interes.

*

Tío siedzi w celi.

Postawienie w stan oskarżenia nie poszło dobrze - w ogóle nie powinno do tego dojść.

- Nie wiem, dlaczego łączą mnie z biznesem kokainowym - mówi z ławy oskarżonych.

- Jestem sprzedawcą samochodów. o handlu narkotykami wiem tyle, ile przeczytam w gazetach.

A ludzie w sali sądowej zaśmiali się.

Zaśmiali, a sędzia zatrzymał go do procesu. Żadnej kaucji - niebezpieczny przestępca, powiedział sędzia. Poważne ryzyko ucieczki. Zwłaszcza w Guadalajarze, gdzie podsądny ma poważne wpływy wśród stróżów prawa. Muszą więc zaprowadzić go - w kajdankach - na pokład samolotu wojskowego i przetransportować do Mexico City. Pod specjalną ochroną od samolotu do vana z zamalowanymi oknami. Potem do więzienia Almoloya i do pojedynczej celi.

Gdzie ziąb przenika go do szpiku kości.

Wszechogarniająca potrzeba cracku gryzie jego ciało niczym głodny pies. Pies go żuje, żuje, spragniony kokainy.

Ale gorszy od tego jest gniew.

Wściekłość na zdradę.

Zdrada przez sojuszników - ponieważ musiała nastąpić zdrada na najwyższym szczeblu, skoro znalazł się w tej celi.

Ten *hijo de puta* i jego brat w Los Pinos. Których kupiliśmy, opłaciliśmy i umieściliśmy na stołkach. Wybory, które zostały skradzione Cárdenasowi dzięki moim pieniądзом i pieniądзом, które załatwiłem im w kartelu - a oni mnie tak zdradzili. Skurwysyny, *cabrones*, *lambiosos*.

I Amerykanie, Amerykanie, którym pomogłem w wojnie z komunistami, też mnie zdradzili.

I Güero Méndez, który ukradł moją miłość. Méndez, mający kobietę, która powinna być moja, i dzieci, które powinny być moje.

I Pilar, ta kurwa, która mnie zdradziła.

Tío siedzi na podłodze celi, z ramionami wokół nóg, kiwając się w tył i w przód od narkotykowego głodu i wściekłości. Cały dzień zajmuje mu znalezienie strażnika, który sprzeda mu crack. Wdycha cudowny dym i przytrzymuje go w płucach. Niech przenika do mózgu. Daje mu euforię, a potem jasność.

Wtedy dostrzega wszystko.

Zemstę.

Na Méndezie.

Na Pilar.

Zasypia z uśmiechem.

*

Fabián Martínez - vel El Tiburón - jest twardym zabójcą.

Młodziak stał się jednym z głównych *sicarios* Raúla, jego najskuteczniejszym cynglem. Ten dziennikarz z Tijuany, którego dziennikarstwo śledcze stało się nazbyt śledcze - El Tiburón zdjął go niczym cel w grze wideo. Ten frajer, kalifornijski surfer i handlarz, któremu podrzucono na plażę koło Rosarity trzy tony *yerba*, ale który nie zapłacił za towar - El Tiburón przekuł go jak balonik, a potem poszedł balować. A ci trzej kompletnie popieprzeni idiotyczni *pendejos* z Durango, którzy zrobili *tombe*, napad z morderstwem, na ładunek koki objęty gwarancją Barrerów - cóż, El Tiburón wziął AK i sprzątnął ich z ulic jak psie gówno, potem polał ich ciała benzyną i zapalił niczym *luminarias*. Miejscowi strażacy bali się, całkiem rozsądnie, ich dotknąć, a plotka głosi, że dwaj faceci wciąż oddychali, kiedy El Tiburón rzucił na nich zapalną.

- To bzdura - mawiał Fabián, zaprzeczając. - Użyłem zapalniczki.

Nieważne.

Zabija bez uczuć czy wyrzutów sumienia.

Tego właśnie potrzebujemy, myśli Raúl, gdy siedzi w samochodzie z dzieciakiem i prosi go, by wyświadczył przysługę *pasador* Barrery.

- Chcemy, żebyś przejął dostawy gotówki do Güero Méndeza - mówi mu Raúl. - Został nowym kurierem.

- To wszystko? - pyta Fabián.

Myślał, że chodzi o coś innego, mokrą robotę, coś, co zapewni ostry, słodki przyływ adrenaliny jak przy zabijaniu.

Właściwie, to chodzi o coś innego.

*

Dzieci Pilar są miłością jej życia.

Jest młodą madonną, z trzyletnią córeczką i chłopczykiem niemowlęciem; twarz i ciało ma dojrzałe, a wokół oczu pojawiły się zmarszczki, których wcześniej nie miała. Siedzi na krawędzi basenu i przebiera bosymi stopami w wodzie.

- To dzieci są *la sonriza de mi corazón* - mówi Fabiánowi Martinezowi. Potem dodaje znacząco, smutno - a nie mój mąż.

Fabián myśli, że *estancia Güera Méndeza* jest naprawdę ogromna.

- Szyk *traficante* - tak Pilar prywatnie opisała mu rezydencję, a jej ton nawet nie próbował ukrywać niechęci. - Próbuję coś tu zmienić, ale on ma ten obraz w głowie...

Narcovaquero, stwierdza Fabián.

Narkotykowy kowboj.

Zamiast uciekać od swych wiejskich korzeni, Güero szyci się nimi. Tworzy groteskową, współczesną wersję wielkich właścicieli ziemskich z przeszłości - donów, ranczerów, *vaqueros*, którzy nosili szerokoskrzydłe kapelusze, wysokie buty i czapsy, ponieważ potrzebowali ich w mesquite, przy wypasie bydła. Teraz *narcos* stawiają ten wizerunek na głowie: czarne poliestrowe kowbojskie koszule z guzikami z fałszywej masy perłowej, poliestrowe czapsy w jaskrawych pastelach - limonkowej zieleni, kanarkowej żółci, koralowym różu. Buty na obcasach. Niepraktyczne traperki, ale szpiczaste jankeskie kowbojki, wykonane z rozmaitych materiałów, im egzotyczniejszych, tym lepiej - strusia, aligatora - ufarbowanych na jaskrawe czerwienie i zielenie.

Dawni *vaqueros* uśmiełby się.

Albo przewrócili w grobach.

A dom...

Pilar się go wstydziła.

Nie jest w stylu klasycznej *estancia* - jedno piętro, dachówki, subtelny, wdzięczny portyk - to dwupiętrowe monstrum z żółtej cegły, kolumnami i płotem z kutego żelaza. A wewnątrz - skórzane fotele z krowimi rogami jako oparciami i podkówkami zamiast nóg. Sofy z czerwonej i białej wołowej skóry. Stołki barowe z siodłami w charakterze siedzisk.

- Z takimi pieniędzmi - wzdycha Pilar - mógłby wiele zrobić...

Skoro już o pieniądzach mowa, Fabián ma w ręku teczkę.

Dodatkowa kasa dla Güero Méndeza na jego wojnę z dobrym smakiem. Fabián jest teraz kurierem, pod pretekstem, że po tym, co spotkało Miguela Ángela, kręcenie się w tę i z

powrotem jest zbyt niebezpieczne dla braci Barrerów.

Muszą przeczekać.

Więc to Fabián będzie co miesiąc dostarczał gotówkę i raporty z frontu.

Na ranczo trwa weekendowe przyjęcie. Pilar odgrywa wytworną gospodynię, a Fabián ze zdziwieniem łapie się na myśli, że ona jest wytworna - urocza, czarująca i subtelna. Oczekiwał jakiegoś czupiradła - ale ona nim nie jest. Przy kolacji, wieczorem, w wielkiej jadalni pełnej gości, widzi jej twarz w świetle świec - i jest to przepiękna twarz.

Spogląda na niego i widzi, że się w nią wpatruje.

Ten chłopak jest przystojny jak gwiazdor filmowy, w eleganckim ubraniu.

Już wkrótce spacerują razem nad basenem, a potem Pilar mówi Fabiánowi, że nie kocha męża.

Nie wie, co powiedzieć, więc po prostu milczy. Jest zaskoczony, gdy kobieta ciągnie:

- Byłam taka młoda. On też i *muy guapo, no?* No i zamierzał wyratować mnie przed don Ángelem. Zrobił to. Chciał zrobić mnie wielką damą. I zrobił. Nieszczęśliwą wielką damą.

Fabián pyta głupio:

- Jest pani nieszczęśliwa?

- Nie kocham go - odpowiada. - Czy to nie okropne z mojej strony? Jestem okropna. Traktuje mnie dobrze, daje mi wszystko. Nie ma innych kobiet, nie chodzi na dziwki... Jestem miłością jego życia i to wpędza mnie w takie poczucie winy. Güero mnie wielbi, a ja nim za to pogardzam. Kiedy jest ze mną, nic nie czuję... nic. A potem zaczynam układać listę rzeczy, których w nim nie lubię: jest głupim, prymitywnym wieśniakiem bez gustu. Nienawidzę tego miejsca. Chcę wrócić do Guadalajary. Prawdziwe restauracje, prawdziwe sklepy. Chcę chodzić do muzeów, na koncerty, do galerii. Chcę podróżować - zobaczyć Rzym, Paryż, Río. Nie chcę się nudzić - moim życiem, moim mężem.

Pilar uśmiecha się, potem spogląda na gości zebranych wokół wielkiego barku po drugiej stronie basenu.

- Oni wszyscy uważają mnie za dziwkę.

- Wcale nie.

- Oczywiście, że tak. Tylko nikt nie ma odwagi powiedzieć tego głośno.

Jasne, że nie, myśli Fabián - wszyscy znają historię Rafaela Barragosa.

Ciekawe, czy ona ją zna.

„Rafi” przyjechał na ranczo na grilla tuż po ślubie Güero i Pilar. Stał z kilkoma *cuates*, gdy Güero wyszedł z domu pod ramię z Pilar. I Rafi zachichotał, a pod nosem rzucił dowcip o

Güero, który zatrzymał swój wóz przy *puta* Barrery. Jeden z koleś poszedł do Güero i wszystko mu opowiedział. Tej samej nocy Rafiego wyciągnięto z gościnnego pokoju, a na jego oczach stopiono srebrną tacę, którą dał w prezencie ślubnym. Potem wetknięto mu w usta lejek i wiano w niego płynne srebro.

A Güero patrzył.

Tak znaleziono ciało Rafiego - zwisające do góry nogami ze słupa telefonicznego przy drodze 30 kilometrów od rancza, z oczami rozszerzonymi w agonii, z otwartymi ustami pełnymi stwardniałego srebra. Nikt nie ośmielił się zdjąć ciała, nawet policja, nawet rodzina, i przez lata starzec pasący tam kozy opowiadał o dziwnym dźwięku, jaki wydawały dzioby wron, gdy dziobały policzki Rafiego i natrafiały na metal.

To miejsce przy drodze zyskało nazwę *Donde los Cuervos son Ricos* - gdzie wrony są bogate.

Tak, myśli Fabián, gdy patrzy na Pilar, na której skórze igrają złociste refleksy wody z basenu, wszyscy boją się nazwać cię *puta*.

Prawdopodobnie boją się nawet tak pomyśleć.

I, sądzi Fabián, jeśli Güero zrobił coś takiego facetowi, który cię obraził, to co spotka tego, który cię uwiedzie? Czuje ukłucie strachu, ale potem zmienia się ono w podniecenie. To go kręci; czyni dumnym z własnej zimnej odwagi, swej sprawności kochanka.

Potem Pilar zbliża się do niego i, ku jego wstrząsowi i ekscytacji, szepcze:

- *Yo quiero rabiar.*

Chcę płonąć.

Chcę szaleć.

Chcę zwariować.

*

Adán krzyczy, gdy ma orgazm.

Opada na miękkie piersi Nory, a ona trzyma go ciasno w ramionach i ścisza rytmicznie wewnątrz siebie.

- Mój Boże - szepcze mężczyzna.

Nora uśmiecha się.

- Doszłaś?

- O tak - kłamie. - To było cudowne.

Nie chce mu powiedzieć, że nigdy nie przeżyła orgazmu z mężczyzną, że później, w samotności, użyje palców, by sobie ulżyć. Bezcelowe byłoby informowanie o tym Adána, a ona nie chce ranić jego uczuć. Nawet go lubi, czuje jakiś rodzaj uczucia, a poza tym nie mówi

się takich rzeczy facetowi, którego próbuje się zadowolić.

Spotykają się regularnie od miesiący, od swego pierwszego spotkania w Guadalajarze. Zwykle, tak jak dziś, wynajmują pokój hotelowy w Tijuanie, dokąd ona może łatwiej dotrzeć z San Diego i co jest dogodniejsze dla niego. Tak więc mniej więcej raz w tygodniu Adán znika ze swych restauracji i spotyka się z Norą w hotelowym pokoju. Banalna „popołudniowa miłość”; on zawsze wraca do domu wieczorem.

Adán postawił sprawę jasno od samego początku.

- Kocham żonę.

Słyszała to tysiące razy. Wszyscy oni kochają swoje żony. Większość z nich naprawdę. Chodzi o seks, nie o miłość.

- Nie chcę jej zranić - oświadczył Adán, jakby układał strategię biznesową. Co, jak uznała Nora, właściwie robił. - Nie chcę, żeby musiała się wstydzić albo została upokorzona. To wspaniała kobieta. Nigdy nie opuszczę ani jej, ani mojej córki.

- Dobrze - powiedziała Nora.

Oboje są ludźmi interesu, dochodzą do porozumienia szybko i bez emocjonalnego zamieszania. Ona nie chce oglądać żadnych pieniędzy. On otwiera dla niej konto i przelewa co miesiąc pewną sumę. On wybiera daty i pory spotkań, a ona się stawia, pod warunkiem, że zostanie zawiadomiona tydzień wcześniej. Jeśli Adán chce widywać ją częściej niż raz w tygodniu, to nie ma sprawy, ale musi uprzedzić z wyprzedzeniem.

Raz w miesiącu do jego biura dyskretnie przychodzi wynik badania jej krwi, potwierdzający stan zdrowia. On robi to samo dla niej, mogą więc obyć się bez irytującej prezerwatywy.

Zgadniają się w jeszcze innej kwestii - ojciec Juan nie może się o niczym dowiedzieć.

To szaleństwo, ale czują się, jakby go oszukiwali - ona w kwestii ich platonicznej przyjaźni, Adán - ich dawnej znajomości.

- Czy on wie, jak zarabiasz na życie? - spytał ją.

- Tak.

- I aprobuję to?

- I tak jesteśmy przyjaciółmi - odpowiada Nora. - A czy wie, jak ty zarabiasz na utrzymanie?

- Jestem restauratorem.

- Jasne.

Nie wierzyła w to wówczas i na pewno nie wierzy teraz, po miesiącach spotkań z nim. Słabo pamiętała nazwisko, padło w nocy niemal dziesięć lat temu w Białym Domu, gdy

Jimmy Picone tak brutalnie wprowadził ją w nowe rzemiosło. Po powrocie z Guadalajary zadzwoniła więc do Haley, wypytała o Adána Barrerę i dostała komplet informacji.

- Bądź ostrożna - doradziła Haley. - Barrerowie są niebezpieczni.

Być może, uważa Nora, gdy Adán popada w postkoitalny sen. Nigdy jednak nie poznała Adána z tej strony i wątpi, że ona w ogóle istnieje. Był dla niej miły, wręcz słodki. Podziwia jego lojalność wobec chorej córki i oziębłej żony. Ma potrzeby i próbuje zaspokoić je w najbardziej etyczny sposób.

Jak na stosunkowo wyrafinowanego faceta jest poważnie niedouczony w łóżku. Musiała wprowadzić go w pewne praktyki, nauczyć pozycji i technik; mężczyzna jest zadziwiony głębią rozkoszy, jaką Nora dała mu poczuć.

I jest niesamolubny, myśli. Nie idzie do łóżka z nastawieniem konsumenta, jakie ma wielu klientów, z tym poczuciem posiadania, które bierze się z platynowych kart kredytowych. Chce ją zaspokoić, chce, żeby była zadowolona tak jak on, chce, by czuła tę samą radość.

Nie traktuje mnie jak maszyny. Włóż ćwierć dolara, pociągnij za rączkę i weź batonik.

Cholera, lubię go.

Adán zaczyna się otwierać, seksualnie i osobiście. Rozmawiają w przerwach między stosunkami. Nie o biznesie narkotykowym, rzecz jasna - on wie, że ona wie, czym on się zajmuje, ale nie poruszają tej kwestii - ale o restauratorstwie, licznych problemach związanych z karmieniem i zabawianiem klientów. Mówili o sportach - z radością odkrył, że Nora zna się na boksie i potrafi rozróżnić prawy sierpowy od lewego prostego - i o giełdzie; ona sprytnie inwestowała i zaczynała dzień od tego samego, co on, od *Wall Street Journal* przy porannej kawie. Dyskutowali o menu, rankingu zawodników wagi średniej, rozważali zalety i wady funduszy wzajemnych i obligacji municypalnych.

Wiedziała, że to kolejny stereotyp, równie wyświechtany jak miłość po południu, ale faceci przychodzili do dziwek, żeby rozmawiać. Żony na całym świecie wychodziły z siebie, gdy mąż zerkał na rubrykę sportową, spędzał kilka minut oglądając ESPN albo *Wall Street Week*. Ich małżonkowie chętnie spędziliby godziny na debatach o uczuciach, gdyby tylko ich żony zechciały pogadać o konkretach.

Jest to więc częścią jej pracy, ale naprawdę lubi rozmawiać z Adánem. Interesują ją te tematy i lubi omawiać je właśnie z nim. Przywykła do inteligentnych mężczyzn sukcesu, ale Adán naprawdę jest inteligentny. Nieustannie analizuje, bada sprawy z każdej strony, dokonuje intelektualnej sekcji, póki nie dotrze do samego sedna.

Przyznaj się, mówi sobie Nora, że pociąga cię jego smutek. Żal, który znosi z taką cichą

godnością. Myślisz, że zdołasz złagodzić jego ból, i podoba ci się to. Nie chodzi o zwykłą płytką satysfakcję wodzenia faceta za nos, ale o zajęcie się mężczyzną zbolełym i sprawienie, żeby na chwilę zapomniał o cierpieniu.

Tak, siostra Nora.

Florence Pieprzona Nightingale z minetą zamiast latarni.

Nachyla się i łagodnie dotyka jego szyi, dopóki nie otworzy oczu.

- Musisz wstawać - mówi. - Masz za godzinę spotkanie, pamiętasz?

- Dzięki - odpowiada sennie. Wstaje i idzie pod prysznic. Tak jak niemal we wszystkim, co robi, jest energiczny i skuteczny - nie pławi się w strumieniach ciepłej wody, ale myje, wyciera, wraca do pokoju i zaczyna się ubierać.

Ale dziś, zapinając koszulę, stwierdza:

- Chciałbym cię mieć na wyłączność.

- Och, Adanie, to będzie sporo kosztowało - mówi, nieco zakłopotana, złapana zniecka. - To znaczy, jeśli chcesz mnie mieć cały czas, musisz zapłacić za cały czas.

- Wziąłem to pod uwagę.

- Stać cię na to?

- To nie pieniądze przysparzają mi problemów.

- Adanie, nie chcę odbierać pieniędzy twojej rodzinie.

Natychmiast żałuje tych słów, ponieważ widzi, że jest urażony.

Spogląda na nią tak, jak nigdy dotąd, i rzuca:

- Myślałem, że już wiesz, że pewnych rzeczy nigdy bym nie zrobił.

- Wiem, przepraszam.

- Wynajmę ci apartament tu, w Tijuanie. Możemy umówić się na roczną rekompensatę i renegotjować ją pod koniec każdego roku. Poza tym nigdy nie będziemy rozmawiać o pieniądzach. Będziesz po prostu moją...

- Utrzymanką.

- Myślałem raczej o słowie „kochanka”. Noro, kocham cię, chcę, żebyś była w moim życiu, ale tak niewiele już w nim zostało miejsca.

- Rozumiem.

- Wiem. I doceniam to, bardziej niż myślisz. Wiem, że mnie nie kochasz, ale chyba jestem dla ciebie kimś więcej niż tylko klientem. Ten układ nie jest idealny, ale może spełnić większość naszych oczekiwań.

Przygotował się do tego, stwierdza Nora. Przemyślał to, wybrał najlepsze słowa i przecwiczyl.

Powinam chyba uznać to za żalosne, ale właściwie jestem poruszona.

Że znalazł czas i pomyślał.

- Adánie, to mi pochlebia - mówi - i kusi. To miła propozycja. Czy dasz mi trochę czasu, żebym to mogła przemyśleć?

- Oczywiście.

Rozmyśla głęboko po jego wyjściu.

Ocenia.

Masz dwadzieścia dziewięć lat, mówi sobie, tylko i aż dwadzieścia dziewięć, a mimo to już z górki. Piersi wciąż twarde, tyłek jędrny, brzuch płaski. To jeszcze trochę potrwa, ale z każdym rokiem coraz trudniej będzie utrzymać ten stan, nawet przy morderczym treningu. Czas zbierze swe żniwo.

I wciąż pojawiają się młodsze dziewczyny, z długimi nogami i sterczącymi piersiami, dla których grawitacja nadal jest sojuszniczką. Dziewczyny, które utrzymują figurę bez godzin na rowerku treningowym i bieżni, bez przysiadów i podnoszenia ciężarów, bez diet. I to tych dziewczyn pożądamy dupki z platynowymi kartami kredytowymi.

Ile lat ci zostało?

Lat na szczycie, ponieważ nie chcesz być w środku stawki i nie pragniesz spaść na dno. Ile lat ci zostało, zanim Haley zacznie wysyłać cię do klientów drugiej kategorii, a potem przestanie cię w ogóle wysyłać?

Dwa, trzy, pięć?

A potem co?

Czy zaoszczędzisz dość, żeby przejść na emeryturę?

Zależy od rynku, od inwestycji. Za dwa, trzy, pięć lat mogę mieć dość pieniędzy, żeby mieszkać w Paryżu, albo będę musiała pracować - jako kto?

Są dwa główne nurty w seksbiznesie.

Prostytucja i porno.

Pewnie, jest jeszcze striptease, ale od tego zaczyna większość dziewczyn i długo się tego nie trzymają. Albo znikają, albo zajmują się prostytutką lub pornografią. Ominęła cię faza tańczenia - dzięki tobie, Haley - i trafiłaś prosto na szczyt prostytucji, ale co będzie potem?

Jeśli nie przyjmiesz propozycji Adána, a rynek się załamie?

Porno?

Miała oferty. Niezłe płacą, jeśli się ciężko pracuje. I słyszała, że bardzo dbają o kwestie zdrowotne, ale, na Boga... jest coś w robieniu tego przed kamerą, co ją odpycha.

Poza tym, ile to może potrwać?

Sześć, siedem lat, góra.

A potem stroma jazda w dół do niskobudżetowych filmów wideo. Pieprzenie się na materacu na podwórku jakiegoś domu w Dolinie. Dueciki z dziewczynami; sceny orgii; role napalonych, gorących gospodyń, nimfomańskich teściowych, spragnionych seksu, chętnych starszych pań.

Zabijesz się po roku.

Brzytwą po nadgarstkach albo za dużą dawką narkotyków.

Ten sam nieuchronny upadek jako call-girl. Widziałaś to, kulilaś się na samą myśl, żalowałaś kobiet, które zbyt długo pracowały, nie oszczędziły nic, nie wyszły za mąż, nie związały się na stałe z jakimś facetem. Patrzyłaś, jak ich twarze się marszczyły, ciała starzały, duch w nich podupadał i żalowałaś ich.

Litość.

Dla siebie czy nie, nie wytrzymasz tego.

Przyjmij propozycję tego faceta.

Kocha cię, dobrze traktuje.

Przyjmij, póki jeszcze jesteś piękna, dopóki wciąż cię chce, dopóki wciąż możesz dać mu więcej przyjemności niż zaznał kiedykolwiek. Weź jego pieniądze i odłóż, a kiedy znuży się tobą, kiedy zacznie oglądać się za młodszymi, zacznie patrzeć na nie tak, jak teraz patrzy na ciebie, będziesz mogła wycofać się z godnością i wizją przyzwoitego życia przed sobą.

Odejść z branży i po prostu żyć.

Postanawia zgodzić się na ofertę Adána.

Guamuchilito, Sinaloa, Meksyk

Tijuana, Meksyk

Kolumbia

1992

Fabián płonie.

Płonie od tego, co szepnęła mu Pilar.

Yo quiero rabiar.

Czy powiedziała mi, zastanawia się, to, co wydaje mi się, że powiedziała? To prowadzi go do innych myśli, o jej ustach, nogach, stopach muskających wodę, zarysie łona pod szlafrokiem.

I fantazje - o sięganiu ręką pod szlafrok, dotykaniu jej piersi, drażnieniu jej *chocho*, słuchaniu jak jęczy, o byciu w niej i...

I czy miała na myśli *rabiar*? Hiszpański to język subtelny, w którym każde słowo ma wiele znaczeń. *Rabiar* może znaczyć być spragnionym, płonąć, szaleć, zwariować - wszystko to pewnie miała na myśli. Może się też odnosić do sadomasochizmu, więc Fabián zastanawia się, czy może Pilar chciałaby być więziona, chłostana, ostro pieprzona - a to sprowadza jeszcze bardziej hipnotyzujące fantazje. Zaskakujące wizje, jakich nigdy wcześniej nie miał. Wyobraża sobie, jak ją wiąże jedwabnymi szarfami, chłoszcze jej piękny tyłek, biczuje ją. Widzi siebie za nią, ona na czworakach, bierze ją od tyłu; Pilar krzyczy, żeby ciągnął ją za włosy. A on chwyta garść tych gęstych, błyszczących włosów i szarpie je niczym wodze konia, aż jej szyja wygina się w łuk i rozciąga, a ona krzyczy z bólu i rozkoszy.

- *Yo quiero rabiar.*

- *Ay, Dios mío!*

Gdy następnym razem przyjeżdża na rancho Méndeza (tygodnie później - niekończące się tygodnie później), ledwo może oddychać, wysiadając z samochodu. Czuje ucisk w piersi, ma zawroty głowy. I poczucie winy. Zastanawia się, czy Güero powita go uściskiem, czy pożądanie cudzej żony nie uwidacznia się na jego twarzy. A musi, gdy ona podchodzi do drzwi i uśmiecha się. Niesie dziecko, a ramieniem otacza małą dziewczynkę, do której mówi:

- *Mira, Claudia, Tío Fabián está aquí.*

Wujek Fabián.

Czuje ukłucie wstydu, jakby powiedział „Cześć Claudio, wujek Fabián chce zerznąć twoją mamusię”.

Fatalnie.

Całuje ją tej nocy.

Pierdolony Güero zostawia ich samych w salonie, żeby odebrać telefon; oni stoją przy ogniu, a Pilar pachnie kwiatem mimozy. Serce Fabiána wali, jakby zamierzało eksplodować; patrzą na siebie i całują się.

Usta ma zaskakująco miękkie.

Jak przejrzałe brzoskwinie.

Fabián czuje zawrót głowy.

Pocałunek się kończy, a oni odrywają się od siebie.

Zadziwieni.

Przestraszeni.

Podnieceni.

On przechodzi na drugą stronę pokoju.

- Nie chciałam tego - mówi kobieta.

- Ani ja.

Ale chciał.

To plan.

Plan, w który wtajemniczył go Raúl, ale Fabián jest pewien, że wymyślił go Adán. A może sam Miguel Ángel Barrera.

A Fabián realizuje plan.

Wkrótce więc wymieniają ukradkowe pocałunki, uściski, muśnięcia rąk, znaczące spojrzenia. To szaleńczo niebezpieczna gra, szaleńczo podniecająca. Flirt z seksem i śmiercią, ponieważ Güero z pewnością zabije ich oboje, jeśli kiedykolwiek się dowie.

- Nie sądzę - mówi Pilar Fabiánowi. - Raczej zabije tylko ciebie, ale potem będzie krzyczał, płakał i mi przebaczy.

Mówi to niemal ze smutkiem.

Nie chce uzyskać przebaczenia.

Chce płonąć.

Mimo to stwierdza:

- Między nami nigdy do niczego nie dojdzie.

Fabián przytakuje. Słownie. W myślach odpowiada: „owszem, dojdzie”. Tak. To moja praca, mój cel, moje zadanie: „Uwiedz żonę Güero. Zabierz ją ze sobą”.

Zaczyna od magicznych słów „a gdyby”.

Dwa najpotężniejsze słowa w każdym języku.

A gdybyśmy spotkali się wcześniej? A gdybyśmy byli wolni? A gdybyśmy razem podróżowali - Paryż, Río, Rzym? A gdybyśmy uciekli? A gdybyśmy zabrali dość pieniędzy, żeby zacząć nowe życie?

A gdybyśmy, a gdybyśmy.

Są jak para dzieci grająca w jakąś grę (a gdyby te skały były złote?). Zaczynają wyobrażać sobie szczegóły własnej ucieczki - kiedy wyruszą, jak, co ze sobą wezmą. Jak mogą się oddalić bez wiedzy Güero? Co z ochroniarzami? Gdzie się spotkają? Co z dziećmi? Nie zostawi ich. Nigdy.

Dzieli się tymi fantazjami w urywanych rozmowach, chwilach kradzionych Güero - ona już jest niewierna mężowi w myślach i sercu. A w sypialni - kiedy Güero leży na niej, myśli o Fabianie. Güero jest zadowolony z siebie, kiedy Pilar krzyczy z rozkoszy (to nowe, świeże), ale ona marzy o Fabianie. Nawet to odbiera mężowi.

Niewierność stała się faktem - poza fizycznymi szczegółami.

Możliwość zmienia się w fantazję, fantazja staje się spekulacją, spekulacja przechodzi w planowanie. To rozkoszne, planować nowe życie. Zajmują się tym w najdrobniejszych szczegółach. Spędzają cenne minuty na dyskusji, co zapakują, co kupią tam („tam” to Paryż, Rzym lub Río).

Albo poważniejsze detale: czy powinni zostawić Güero liścik? Czy po prostu zniknąć? Powinniśmy odejść razem, czy gdzieś się spotkać? A jeśli spotkanie, to gdzie? A może powinniśmy uciec oddzielnie, tym samym lotem? Wymieniają znaczące spojrzenia przez przejście - długi, nocny lot będący seksualną męczarnią, potem odłożenie dzieci do łóżek i spotkanie w jego pokoju w paryskim hotelu.

Rabiar.

Nie, nie mogę czekać, mówi Pilar do Fabiána. Pójdę do toalety w samolocie. Ty za mną. Drzwi będą otwarte. Nie, spotkają się w barze w Río. Będą udawać, że się nie znają. On pójdzie za nią w alejkę, przycisnie ją do ogrodzenia.

Rabiar.

Skrzywdzisz mnie?

Jeśli zechcesz.

Tak.

A potem ja skrzywdzę ciebie.

On jest tym, czym nie jest Güero: wykształcony, przystojny, dobrze ubrany, modny, seksowny. I uroczy. Bardzo uroczy.

Pilar jest gotowa.

Pyta go, kiedy.

- Wkrótce - słyszy. - Chcę z tobą uciec, ale...

Ale.

Straszliwa przeciwwaga dla „a gdybyśmy”. Wtargnięcie rzeczywistości. W tym przypadku...

- Będziemy potrzebować pieniędzy - stwierdza Fabián.

- Mam trochę, ale to nie wystarczy, żebyśmy się mogli ukrywać tyle, ile trzeba.

Wie, że to drażliwa kwestia. To delikatny moment, kiedy balonik może pęknąć. Unosi się teraz na fali romantyzmu, ale przyziemne, brutalne szczegóły finansowe mogą go przekłuć w mgnieniu oka. Przybiera maskę wrażliwości, połączonej z zawstydzeniem, i wpatrując się w podłogę, mówi:

- Musimy poczekać, dopóki nie zbiorę więcej pieniędzy.

- Ile to potrwa? - Pilar wydaje się zraniona, rozczarowana, na skraju łez.

Fabián musi uważać. Bardzo.

- Niedługo - odpowiada. - Rok. Może dwa.

- To za długo!

- Przykro mi. Co mogę zrobić?

Zawiesza pytanie w powietrzu, jak gdyby nie było na nie odpowiedzi. Pilar mówi to, czego chciał i oczekiwał:

- Ja mam pieniądze.

- Nie - odpowiada twardo. - Nigdy.

- Ale dwa lata...

- Wykluczone.

Jakby ich flirt był wykluczony, ich pocałunki były wykluczone, ich ucieczka...

- Ile będziemy potrzebować? - pyta Pilar.

- Milion. Dlatego zajmie to...

- Mogę wypłacić tyle z banku.

- Nie pozwolę na to.

- Myślisz tylko o sobie. Ta twoja męska duma. Machismo. Jak możesz być takim egoistą?

I to jest klucz. Wszystkie elementy równania wskoczyły na swoje miejsca. Teraz wzięcie jej pieniędzy stanie się aktem hojności i altruizmu z jego strony. Teraz kocha ją tak bardzo, że gotów jest poświęcić swą dumę, swą męskość.

- Nie kochasz mnie - Pilar wydyma wargi.

- Kocham cię nad życie.

- Nie kochasz mnie na tyle, żeby...

- Tak - odpowiada. - Tak.

Obejmuje go.

Kiedy Fabián wraca do Tijuany, odnajduje Raúla i oznajmia mu, że układ zawarty.

Zajęło to miesiące, ale Rekin zostanie nakarmiony.

Dobra koordynacja, uważa Raúl.

Ponieważ to czas na rozpoczęcie wojny z Güero Méndezem.

*

Pilar starannie składa i pakuje małą czarną.

Razem z czarnym stanikiem, majtkami i inną bielizną.

Fabián lubi ją w czerni.

Chce mu zrobić przyjemność. Pragnie być doskonała podczas pierwszego razu z nim. *Pues, a menos que la fantasía sea mejor que e acto* - dopóki fantazja nie okaże się lepsza niż prawdziwe rżnięcie. Ale to niemożliwe. Żaden mężczyzna nie mówi tak jak on, nie używa takich słów jak on, nie ma takich pomysłów i nie może wcielić ich w czyn. Ona podnieca się na sam dźwięk jego słów - co będzie, jeśli Fabián weźmie ją w ramiona?

Pozwolę mu zrobić wszystko, co zechce.

Chcę, żeby zrobił wszystko, co zechce.

„Skrzywdzisz mnie?”

„Jeśli zechcesz”.

„Tak”.

„A potem ja skrzywdzę ciebie”.

Ma nadzieję, że tak się stanie, że on tego chce, że nie onieśmieli go jej uroda i nie straci odwagi.

W żadnej z kwestii - ponieważ ona chce nowego życia z daleka od sinaloańskiej prowincji z mężem i jego prostackimi przyjaciółmi. Chce lepszego życia dla swoich dzieci - dobrego wykształcenia, kultury, poczucia, że świat jest większy i lepszy niż groteskowa forteca przycupnięta na peryferiach izolowanego, górskiego miasta.

A Fabián ma to poczucie - rozmawiali o tym. Mówił jej o nawiązywaniu przyjaźni poza wąskim kręgiem *narcotraficantes*, o zaznajamianiu się z bankierami, inwestorami, a nawet artystami i pisarzami.

Ona chce tego dla siebie.

Chce tego dla swoich dzieci.

Tak więc, kiedy przy śniadaniu Güero wyszedł, a Fabián nachylił się i szepnął: „dziś”, poczuła dreszcz, który targnął jej sercem. To było niczym orgazm.

- Dziś? - upewniła się.

- Güero wyjeżdża na wieś - powiedział Fabián - żeby skontrolować uprawy.

- Tak.

- Więc kiedy pojedę na lotnisko, wyruszysz ze mną. Zarezerwowałem bilety na lot do Bogoty.

- A dzieci?

- Oczywiście też. Możesz spakować nieco rzeczy? Szybko? Pilar słyszy teraz kroki Güero w holu. Wsuwa walizkę pod łóżko.

Mąż dostrzega porozrzucane ubrania.

- Co robisz?

- Zastanawiam się nad pozbyciem się tych starych szmat. Zaniosę je do kościoła.

- A potem na zakupy? - pyta Güero z uśmiechem, drażniąc się z nią. Lubi, kiedy Pilar jedzie na zakupy. Lubi, kiedy wydaje pieniądze. Zachęca ją do tego.

- Być może.

- Jadę. Na cały dzień. Może nawet przenocuję.

Żona całuje go ciepło.

- Będę tęskniła.

- Ja też. Może złapię *una nena*, żeby mnie ogrzała.

Bardzo bym chciała, myśli Pilar. Może potem nie przychodziłbyś do naszego łóżka z taką desperacją. Ale odpowiada:

- Nie ty. Nie jesteś jednym z tych starych *gomeros*.

- I kocham moją żonę. Czy Fabián już wyjechał?

- Nie, chyba się pakuje.

- Pójdę się z nim pożegnać.

- I ucałuj dzieciaki.

- Jeszcze nie śpią?

- Śpią, ale będzie im miło, że je ucałowałaś przed wyjazdem. Zbliży się do niej i całuje ponownie.

- *Eres toda mi vida.*

Jesteś całym moim życiem.

Zaraz po wyjściu męża zamyka drzwi i wyciąga walizkę spod łóżka.

*

Adán żegna się z rodziną.

Idzie do pokoju Glorii i całuje ją w policzek.

Dziewczynka uśmiecha się.

Mimo wszystko się uśmiecha, myśli Adán. Jest taka radosna, taka dzielna. W tle ćwierka ptaszek, którego przywiózł jej z Guadalajary.

- Nadałaś ptaszekowi jakieś imię? - pyta.

- Gloria.

- Na swoją cześć?

- Nie - dziecko chichocze. - Glorii Trevi.

- Aha.

- Wyjeżdżasz, prawda?

- Tak.

- Tatusiuuu...
- Tylko na tydzień.
- Dokąd?
- W kilka miejsc. Kostaryka, może Kolumbia.
- Po co?
- Żeby kupić kawę do restauracji.
- Nie możesz kupić kawy tutaj?
- Nie jest dość dobra dla naszych restauracji.
- Mogę pojechać z tobą?
- Nie teraz. Może następnym razem.

Jeśli będzie jakiś następny raz, myśli Adán. Jeśli wszystko dobrze pójdzie w Badiraguato, w Culiacán i na moście nad Río Magdalena, dokąd jedzie na spotkanie z Orejuelami.

Jeśli wszystko dobrze pójdzie, skarbie.

Jeśli nie, to Lucía wie, gdzie leżą polisy na życie i jak dostać się do kont na Kajmanach, papierów wartościowych w schowkach depozytowych, do pakietów akcji. Jeśli w podróży coś mu się stanie, jeśli Orejuelowie zrzucą jego ciało z mostu, żona i dziecko będą zabezpieczone do końca życia.

Podobnie jak Nora.

Zostawił konto i instrukcje w swoim banku.

Jeśli nie wróci, Nora będzie miała dość środków, by rozkręcić jakiś interes, zacząć nowe życie.

- Co ci przywieźć? - pyta córeczki.

- Po prostu wróć.

Intuicja małych dzieci. Czytają ci w myślach i sercu z niesamowitą dokładnością.

- Zrobię ci niespodziankę. Dasz tacie buziaka?

Czuje jej suche wargi na policzku, a potem szczupłe ramionka wokół szyi, które nie chcą go puścić. To łamie mu serce. Nie chce jej opuszczać i przez moment sądzi, że nie pojedzie. Uwolni się od *pista secreta* i prowadzenia restauracji. Ale na to już za późno - nadchodzi wojna z Güero, a jeśli go nie zabiją, to Güero zabije ich.

Zbiera się w sobie, uwalnia z uścisku i prostuje.

- Do widzenia, *mi alma*. Będę dzwonił codziennie.

Odwraca się szybko, żeby nie widziała łez w jego oczach. To by ją przestraszyło. Wychodzi z pokoju, Lucía czeka w salonie z walizką i marynarką.

- Wrócę gdzieś za tydzień - mówi Adán.
- Będziemy tęsknić.
- Ja też - całuje żonę w policzek, zabiera marynarkę i idzie do drzwi.
- Adánie?
- Słucham.
- Wszystko w porządku?
- Tak. Jestem trochę zmęczony.
- Może prześpisz się w samolocie.
- Może - otwiera drzwi, ale potem odwraca się. - Lucío, wiesz, że cię Kocham.
- Ja też cię Kocham.

Mówi to, jakby przepraszała. I może przeprasza: za to, że się z nim nie Kocha, że ich łóżko jest zimne, że nie umie tego zmienić. Mówi mu, że to nie oznacza, że już go nie Kocha.

Adán uśmiecha się smutno i wychodzi.

W drodze na lotnisko dzwoni do Nory i oznajmia, że nie zobaczy się z nią w tym tygodniu.

Może już nigdy, myśli, rozłączając się.

Zależy od tego, co wydarzy się w Culiacán.

Gdzie właśnie otworzono banki.

*

Pilar wypłaca siedem milionów dolarów.

Z trzech różnych banków w Culiacán.

Kierownicy dwóch placówek mają obiekcje i chcą skontaktować się najpierw z señorem Méndezem - ku zgrozie Fabiána jeden nawet podnosi słuchawkę - ale Pilar jest stanowcza, informując przestraszonych bankierów, że jest señorą Méndez, a nie jakąś kurą domową z przekroczonym debetem,

Słuchawka zostaje odłożona na widełki.

Dostaje pieniądze.

Zanim dotrą do samolotu, Fabián skłania ją, żeby przelała dwa miliony na konta w różnych bankach na całym świecie.

- Teraz możemy żyć - oznajmia Fabián. - Nie znajdzie nas, nie znajdzie pieniędzy.

Pakują dzieci do samochodu i jadą na lotnisko na prywatny lot do Mexico City.

- Jak to załatwiłeś? - Pilar pyta Fabiána.

- Mam wpływowych przyjaciół - brzmi odpowiedź.

Kobieta jest pod wrażeniem.

Güerito jest, rzecz jasna, za mały, żeby zrozumieć, co się dzieje, ale Claudia chce wiedzieć, gdzie jest tatuś.

- Bawimy się z tatusiem w grę - wyjaśnia Pilar. - W chowanego.

Dziewczynka przyjmuje wyjaśnienie, ale Pilar widzi, że wciąż ją coś gnębi.

Jazda na lotnisko jest straszliwa i ekscytująca; oglądają się za siebie, zastanawiając, czy Güero i jego *sicarios* już nadjeżdżają. Docierają na lotnisko, wjeżdżają na pas, gdzie czeka prywatny samolot. Siedząc w oczekiwaniu na zgodę na start, Fabián wygląda przez okno i widzi Güero i kilku mężczyzn wysypujących się z dwóch dzipów.

Bankier jednak musiał zadzwonić.

Pilar wpatruje się w niego oczami rozszerzonymi ze strachu.

I podniecenia.

Güero wyskakuje z dzipa, a Pilar widzi, jak kłóci się ze strażnikiem, a potem patrzy wprost na nią przez małe okienko samolotu i wskazuje na maszynę. Fabián spokojnie nachyla się i całuje kobietę prosto w usta, następnie zwraca się w stronę kokpitu i krzyczy: *Vámonos*.

Samolot zaczyna kołować, Güero wskakuje do dzipa i pędzi po pasie za maszyną, ale Pilar czuje, że koła odrywają się od ziemi i lecą, a Güero i cały mały świat Culiacán stają się jeszcze mniejsi.

Pilar czuje, że mogłaby zaprowadzić Fabiána do małej łazienki i kochać się tam z nim, ale dzieci na nią patrzą, więc musi poczekać; frustracja i podniecenie tylko narastają.

Lecą najpierw do Guadalajary, żeby zatankować, a potem do Mexico City; tam zostawiają prywatny samolot i przesiadają się na turystyczny rejs do Belize, gdzie, jak sądzi Pilar, zamieszkają w jakimś kurorcie przy plaży, a ona będzie mogła nieco odetchnąć, ale na małym lotnisku w Belize znów zmieniają samolot. Tym razem udają się do San José w Kostaryce, gdzie, jak ma nadzieję kobieta, zatrzymają się na co najmniej jeden dzień, ale tam zgłaszają się na lot do Caracas, jednak nie wchodzą na pokład.

Zamiast tego rejsową maszyną lecą do Cali w Kolumbii.

Z różnymi paszportami i pod fałszywymi nazwiskami.

To takie pobudzające i ekscytujące, że kiedy wreszcie docierają do Cali, Fabián oznajmia, że zatrzymają się tam na kilka dni. Taksówką jadą do Hotel International, gdzie mężczyzna wynajmuje dwa sąsiadujące pokoje na dwa różne nazwiska. Pilar czuje, że eksploduje, gdy siedzą w jednym z pokoiów, czekając aż dzieci zasną.

Bierze ją za rękę i prowadzi do swojej sypialni.

- Chcę wziąć prysznic - oznajmia Pilar.

- Nie.

- Nie?

Nie przywykła do tego słowa.

- Zdejmij ubranie. Teraz.

- Ale...

Uderza ją w twarz. Potem siada na krześle w kącie i patrzy jak rozpina bluzkę. Skopuje buty z nóg, ściąga spodnie i stoi w czarnej bieliźnie.

- Zdejmij.

Boże, jego członek nabrzmiewa. Jej białe piersi w czarnym staniku są hipnotyzujące. Chce ich dotknąć, pieścić, ale wie, że kobieta nie tego chce, a on nie śmie jej rozczarować.

Pilar rozpina stanik i jej piersi opadają, ale minimalnie. Potem zdejmuje majteczki i patrzy na Fabiana. Rumieni się gwałtownie, gdy pyta:

- Co teraz?

- Na łóżko - poleca mężczyzna. - Na czworakach. Pokaż mi się.

Pilar drży, gdy wspina się na łóżko i opuszcza głowę na rękę.

- Jesteś gotowa?

- Tak.

- Chcesz, żebym cię zerznął?

- Tak.

- Poproś.

- Proszę.

- Jeszcze nie.

Fabian zdejmuje pasek. Chwyta jej rękę, unosi - Boże, jakie piękne są jej drżące piersi - owija pas wokół nadgarstków kobiety, a potem wokół przętów wezłowia.

Teraz chwyta garść jej włosów, szarpie jej głowę w tył, wyginając szyję Pilar. Ujeżdża ją jak konia, bije w tyłek, przyspieszając na finiszu. Ona uwielbia ostry dźwięk klapsów, ból; odczuwa go w głębi siebie, bicie wyzwala falę orgazmu.

Boli.

Rabiar.

Pilar płonie. Jej skóra płonie, tyłek płonie, pochwa płonie, gdy ją uderza, chłoscze, rżnie. Wije się na łóżku, na kolanach, ze związanymi nadgarstkami, przywiązana do wezłowia.

Tak boli, bo długo czekała. Miesiące flirtu, potem fantazjowanie, następnie planowanie, ale również podniecenie ucieczką.

Ach. Ach. Ach. Ach.

Uderza ją w rytm jęków.

Plask. Plask. Plask. Plask.

- *Voy a morir! Voy a morir!* - jęczy Pilar.

Dochodzę. Umieram.

- *Voy a volar!*

Lecę! Ekspłoduję!

A potem krzyczy.

Długi, dziki, drżący krzyk.

*

Pilar wychodzi z łazienki i siada na łóżku. Prosi go, żeby zasunął jej sukienkę. Zasuwa. Jej skóra jest piękna, włosy też. Fabián gładzi jej włosy wierzchem dłoni i całuje ją w kark.

- Później, *mi amor* - mruczy kobieta. - Dzieci czekają w samochodzie.

On znów gładzi jej szyję. Sięga drugą ręką zza jej pleców i pieści jej sutek. Pilar wzdycha i odchyła się. Wkrótce znów pada na czworaka, czekając (każe jej czekać; ona to uwielbia) aż Fabián w nią wejdzie. Kochanek łapie ją za włosy i odciąga jej głowę.

Wtedy czuje ból.

Najpierw myśli, że to kolejna zabawa sado-maso, że on ją dusi, ale mężczyzna nie przestaje, a ból jest...

Wije się.

Płonie.

Rabiar.

Walczy, a jej nogi wierzgają mimowolnie.

Fabián syczy jej w ucho:

- To za don Miguela Ángela, *bruja*. Przesyła ci ucałowania.

Ściska i ciągnie, dopóki drut nie przetnie jej gardła, a potem kręgu. Wtedy jej głowa podskakuje, zanim spadnie na podłogę twarzą w dół z głuchym łomotem.

Krew spryskuje sufit.

Fabián podnosi głowę za lśniące czarne włosy. Gapią się na niego martwe oczy. Wkłada ją do lodówki, zamyka, a potem wkłada do pudła, które zostało już zaadresowane. Owija karton ciasno kilkoma warstwami papieru pakowego.

Potem bierze prysznic.

Jej krew tańczy mu na stopach, a potem znika w odpływie.

Wyciera się, wkłada świeże ubranie i wynosi pudło na ulicę, gdzie czeka samochód.

*

Dzieci siedzą na tylnym siedzeniu.

Fabián wślizguje się do środka i skinieniem każe Manuelowi odjeżdżać.

- Gdzie jest mamusia? Gdzie mama? - pyta Claudia.

- Spotka się z nami potem.

- Gdzie? - Claudia zaczyna płakać.

- W specjalnym miejscu - odpowiada Fabián. - Niespodzianka.

- Jaka niespodzianka? - drąży Claudia. Skuszona, przestaje płakać.

- Jeśli ci powiem, to już nie będzie niespodzianka, prawda?

- W pudle też jest niespodzianka?

- W jakim pudle?

- Tym, które włożyłeś do bagażnika - mówi Claudia. - Widziałam.

- To tylko coś, co muszę wysłać.

Fabián wchodzi na pocztę i stawia karton na ladzie. Zaskakująco ciężka jest ta jej głowa. Pamięta grzywę jej włosów, ich ciężar w swych dłoniach, gdy bawił się nimi, gładził, uwodząc Pilar. Była cudowna w łóżku. Czuje - ku swej lekkiej zgrozie, zważywszy na to, co zrobił - dreszcz seksualnego pożądania.

- Jak chce pan to wysłać? - pyta urzędnik.

- Ekspresem.

Pocztowiec kładzie paczkę na wadze:

- Chce pan ubezpieczenie?

- Nie.

- To i tak drogo wyjdzie - stwierdza mężczyzna. - Nie chce pan wysłać jako zwykłej przesyłki? Dojdzie za dwa lub trzy dni.

- Nie, musi dotrzeć jutro.

- Prezent?

- Tak.

- Niespodzianka?

- Mam taką nadzieję - odpowiada Fabián. Płaci i wraca do samochodu.

Podczas postoju Claudia znów zaczęła się bać.

- Chcę do mamy.

- Zabieram cię do niej.

*

Most Santa Ysabel spina wawóz o tej samej nazwie, przez który, 200 metrów niżej, Río Magdalena płynie po ostrych kamieniach w długą, męczącą podróż od swego źródła w

Cordillera Occidental do Morza Karaibskiego. Po drodze przecina większość środkowej Kolumbii, przepływając obok miast Cali i Medellín.

Adán rozumie, dlaczego bracia Orejuela wybrali to miejsce - odosobnione, a z obu końców mostu można dostrzec każdą zasadzkę w promieniu kilometrów. Przynajmniej taką mam nadzieję, myśli Adán. Mogliby nawet teraz odciąć drogę za mną, a ja bym się nie zorientował. Należy jednak wykorzystać szansę. Bez kokainy od Orejuelów *pasador* nie może liczyć na wygranie wojny z Güero i resztą Federación.

Wojny, która już teraz została wypowiedziana.

El Tiburón już powinien uciec z Pilar Méndez, przekonawszy ją do skradzenia milionów dolarów mężowi. W każdej chwili może się tu pojawić z gotówką na podkupienie Orejuelów Federación. To wszystko elementy planu Tío, by zemścić się na Méndezie, robiąc z niego rogowca, a potem pogłębiając upokorzenie tym, że własna żona dostarczyła środków na wojnę przeciwko niemu.

A może Fabián zwisa ze słupa telegraficznego z ustami pełnymi srebra, a Orejuelowie nadciągają, żeby mnie zabić.

Słyszy nadjeżdżający drogą za jego plecami samochód. Kulka w plecy, zastanawia się, czy Fabián z kasą? Odwraca się i widzi...

...Fabiána Martineza z szoferem i, na tylnym siedzeniu, dziećmi Güero. O co tu chodzi? Adán wysiada z wozu i podchodzi do nich. Pyta Fabiána:

- Masz pieniądze?

Fabián uśmiecha się niczym gwiazdor filmowy.

- Nawet z dodatkiem.

Wręcza Adánowi walizkę z pięcioma milionami.

- Gdzie Pilar?

- W drodze do domu - odpowiada Fabián z grymasem, który przyprawia Adána o gęsią skórkę.

- Odjechała bez dzieci? - pyta Adán. - Co one tu robią? Co...

- Wypełniam instrukcje Raúla. Adánie...

Fabián wskazuje na drugą stronę mostu, dokąd powoli toczy się czarny land rover.

- Poczekaj tu - poleca Adán. Bierze walizkę i zaczyna iść przez most.

Fabián słyszy głosik małej dziewczynki, która pyta:

- To tutaj spotkamy się z mamusią?

- Tak - odpowiada mężczyzna.

- Gdzie ona jest? Z tamtymi ludźmi? - Claudia wskazuje wóz po drugiej stronie

wąwozu, z którego właśnie wychodzą Orejuelowie.

- Tak, chyba tak.
- Chcę tam iść!
- Musisz poczekać kilka minut.
- Chcę teraz!
- Najpierw musimy porozmawiać z tymi panami.

Adán dochodzi do środka mostu, jak uzgodniono. Ze strachu ma zeszywniałe nogi. Jeśli mają snajpera na wzgórzach, to jestem trupem, mówi do siebie. Ale mogli mnie zabić w każdej chwili w Kolumbii, więc na pewno chcą usłyszeć, co mam do powiedzenia.

Staje w połowie drogi i czeka na podejście Orejuelów. Dwaj bracia, Manuel i Gilberto, niscy, śniadzi i przysadziści. Ścisną sobie dłonie, a potem Adán pyta:

- Możemy przejść do interesu?
- Po to tu jesteśmy - mówi Gilberto.
- Ty prosiłeś o to spotkanie - dorzuca Manuel.

Szorstko, myśli Adán. Niegrzecznie. Wszystko mu jedno. Domyśla się, że Gilberto skłania się do układu, a Manuel jest przeciwny. Dobra. Zaczynajmy.

- Zamierzam odłączyć nasz *pasador* od Federación - stwierdza Adán. - I chcę mieć pewność, że mimo to będziemy mieć kontakty w Kolumbii.

- Nam jest po drodze z Abrego - odpowiada Manuel - i Federación.

- Założmy - rzuca Adán - ale na każdy kilogram waszej kokainy Federación sprzedaje pięć kilo towaru z Medellín.

Widzi, że poruszył czułą strunę, zwłaszcza u Gilberta. Bracia są zazdrośni o większych rywali z Medellín i ambitni. A ponieważ amerykańska DEA uderza mocno na kartel z Medellín i jego florydzkie placówki, to Orejuelowie mają szansę zrobić ruch.

Gilberto pyta:

- A ty oferujesz nam umowę na wyłączność?
- Jeśli zgodzicie się dostarczać mi swoją kokainę, będziemy rozprowadzać tylko towar z Cali.

- To bardzo szczodra oferta - mówi Manuel - tyle że don Abrego nie spodoba się, że ci pomagamy, więc nas wywali.

Ale Gilberto szuka odpowiedzi na ten argument, myśli Adán. Odczuwa pokusę.

- Don Abrego to przeszłość - rzuca Adán - a my to przyszłość.

- Trudno w to uwierzyć - stwierdza Manuel - skoro szef waszego *pasador* siedzi w więzieniu. W Meksyku chyba wszyscy uważają, że ich przyszłością jest Abrego. A po nim...

Méendez.

- Pokonamy Méndeza.

- Czemu tak myślicie? - zadaje pytanie Manuel. - Będziecie musieli walczyć z Méendezem, a Abrego go poprze, podobnie jak inne *pasadores*. I *federales*. Bez obrazy, Adánie Barrero, ale wydaje mi się, że patrzę na trupa, który stoi tu i proponuje mi wyłączność, jeśli rzucę interesy z żywymi, żeby robić biznes z nieboszczykiem. Ile kokainy potrafisz rozprować z grobu?

- My jesteśmy *pasador* Barrery - odpowiada Adán. - Wygraliśmy wcześniej, wygramy i...

- Nie - ucina Manuel. - Wybacz mi, ale już nie jesteście *pasador* Barrery. Twój wujek, zgoda, mógłby pokonać Abrego i Méndeza i cały meksykański rząd, ale ty nie jesteś swoim wujkiem. Jesteś bardzo bystry, ale sam intelekt nie wystarczy. Jak twardy jesteś? Powiem ci prawdę, Adánie - dla mnie wyglądasz na mięczaka. Nie sądzę, żebyś mógł zrobić to, co powiedziałeś, że zrobisz, to, co będziesz musiał zrobić.

Adán przytakuje, a potem prosi o pozwolenie na otwarcie walizki. Zgadniają się, więc się schyla, otwiera wieko, pokazuje im pieniądze i stwierdza:

- Pięć milionów od Güero Méndeza. Wypieprzyliśmy jego żonę w dupę, a ona dała nam kasę. Jeśli nadal sądzicie, że go nie pokonamy, to zabierzcie pieniądze, zastrzelcie mnie, zrzućcie moje ciało z mostu i dalej zadowolajcie się ochłapami od Federación. Jeśli uznacie, że zdołamy pokonać Méndeza, to przyjmijcie to jako wyraz naszej dobrej woli i zaliczkę na konto naszych wspólnych zysków.

Stara się zachować spokój na twarzy, ale widzi, że na dwoje babka wróżyła.

Fabián czuje to samo.

A w tej sytuacji instrukcje El Tiburóna są jasne. Rozkazy Raúla, które płyną wprost od legendarnego M-1.

- *Vengan* - mówi Fabián do dzieci. - Chodźmy.

- Zobaczmy teraz mamę? - pyta Claudia.

- *Sí* - Fabián bierze ją za rękę, a Güerita przytula do siebie. Zaczynają iść w kierunku środka mostu.

*

- *Mi esposa, mi esposa linda!*

Krzyk Güera echem odbija się w wielkim, pustym domu.

Służący się chowają. Ochroniarze znikają, gdy Güero błąka się po rezydencji, rzuca meblami, tłucze szkło, pada na skórzaną sofę i ukrywa twarz w poduszce, płacząc.

Znalazł jej liścik: JUŻ CIĘ NIE KOCHAM. WYJECHAŁAM Z FABIANEM I ZABRAŁAM DZIECI. CZUJĄ SIĘ DOBRZE.

Ma złamane serce. Zrobiłby wszystko, żeby ją odzyskać. Przyjąłby żonę z powrotem i pogodził się z nią. Mówi to wszystko poduszce. Potem unosi głowę i krzyczy:

- *Mi esposa, mi esposa linda!*

Ochroniarze, dwunastu *sicarios* obstawiających mury i bramy *estancia*, słyszą go na zewnątrz. To ich przeraża, a i tak już się ledwo trzymają, odkąd od aresztowania don Miguela Ángela Barrery wiedzą, że może dojść do wojny. A na pewno do niepokojów, zwykle połączonych z rozlewem krwi.

A teraz *jefe* siedzi w domu, rycząc niczym baba na każdego, kto go może usłyszeć.

To *inquietante* - niepokojące.

I tak będzie przez cały dzień.

Furgonetka FedEksu nadjeżdża drogą.

Śledzi ją tuzin AK-47.

Strażnicy zatrzymują wóz tuż przy bramie. Jeden mierzy z karabinu maszynowego w kierowcę, a drugi zagląda na tył samochodu. Pyta drżącego kuriera:

- Czego chcesz?

- Przesyłka dla señora Méndeza.

- Od kogo?

Kierowca wskazuje na adres zwrotny na paczce.

- Od jego żony.

Teraz ochroniarz się martwi - don Güero polecił, żeby mu nie przeszkadzano, ale skoro to od señory Méndez, to lepiej weźmie przesyłkę.

- Zaniosę mu.

- Musi się podpisać.

Strażnik celuje w twarz kuriera i stwierdza:

- Ja podpiszę za niego, dobra?

- Oczywiście.

Ochroniarz podpisuje, niesie paczkę do domu i dzwoni do drzwi. Otwiera pokojówka.

- Don Güero nie pozwolił...

- Przesyłka od señory. Federal Express.

Güero pojawia się za służącą. Oczy ma zapuchnięte, twarz czerwoną, z nosa mu cieknie.

- Co to? - warczy. - Powiedziałem, do cholery...

- Paczka od señory.

Güero zabiera ją i zatrzaskuje drzwi.

Rozrywa karton.

W końcu to od niej.

Otwiera pudło, a w środku jest mała lodówka. Otwiera blokadę i unosi wieko. Widzi jej czarne lśniące włosy.

Jej martwe oczy.

Otwarte usta.

A w zębach kartkę.

Krzyczy i krzyczy.

Spanikowani strażnicy wykopują drzwi.

Wdzierają się do pokoju, a tam *jefe*, obok pudła, krzyczy i krzyczy. Ochroniarz, który przyniósł przesyłkę zagląda do środka, odwraca się i wymiotuje. Odcięta głowa Pilar spoczywa w kałuży zakrzepłej krwi, zęby zaciskają się na kartce.

Wiadomość nie ma sensu:

HOLA, CHUPAR.

Drugi strażnik próbuje zaprowadzić Güero na kanapę, ale szef wyrywa kartkę, czyta ją i błędnie jeszcze bardziej, o ile to możliwe. Wrzeszczy:

- *Dios mío, mis nenes! Dónde están mis nenes?!*

O Boże, moje dzieci!

Gdzie są moje dzieci?!

*

- *Dónde está mi madre? Yo quiero mi madre!*

- Gdzie mama? Gdzie jest mamusia? - zawodzi Claudia, ponieważ nie widzi matki na moście, tylko grupę dziwnych mężczyzn wpatrujących się w nich. Güerito wyczuwa jej panikę i zaczyna płakać. A Claudia wyrywa się. Wije się, walczy w ramionach Fabiána i krzyczy: *Mi madre! Mi madre!*

Ale Fabián wciąż idzie ku środkowi mostu.

Adán widzi ich.

Jak koszmar, jak wizję z piekła rodem.

Czuje się sparaliżowany, stopy wrosły mu w drewno mostu i tak stoi, podczas gdy Fabián uśmiecha się do braci Orejuela i mówi:

- Don Miguel Ángel Barrera zapewnia was, że jego krew płynie w żyłach jego siostrzeńca.

Adán wierzy w liczby, w naukę, fizykę. A dokładnie w tym momencie pojmując naturę zła, to, że zło ma własny impet i raz go nabrawszy, nie da się zatrzymać. To prawo fizyki - ciało w spoczynku pozostanie w spoczynku; ciało wprowadzone w ruch będzie się poruszać.

Dopóki coś go nie zatrzyma.

A plan Tío jest, jak zwykle, rewelacyjny. Nawet jego całkowita, inspirowana crackiem deprawacja jest śmiertelnie ścisła w rozumieniu jednostkowej natury ludzkiej. Tío to geniusz - wie, że człowiek, który nie wahał się wprowadzić wielkie zło w ruch, nie ma siły, żeby powstrzymać jego impet. Że najtrudniejszą rzeczą na świecie nie jest powstrzymanie się od oddania się złu, ale powstrzymanie go.

Postawienie czyjegoś życia na drodze fali przyływu.

Tak właśnie jest, myśli Adán, czując gonitwę myśli. Jeśli to powstrzymam, okaże słabość wobec Orejuelów - słabość, która natychmiast albo na końcu okaże się śmiertelna. Jeśli okaże najdrobniejszą niezgodność z Fabiánem, to również zagwarantuje naszą klęskę.

Tío to geniusz - ustawił mnie dokładnie w takiej sytuacji, wiedząc, że nie będę miał realnego wyboru.

- Chcę do mamy! - krzyczy Claudia.

- Cicho - szepcze Fabián. - Zabiorę cię do niej.

Czeka na sygnał Adána.

A Adán wie, że da sygnał.

Ponieważ muszę chronić rodzinę, myśli, i nie ma innego wyboru. Albo rodzina Méndeza, albo moja.

Gdyby był tu Parada, ująłby to inaczej. Powiedziałby, że pod nieobecność Boga pozostaje tylko natura, a ona ma swoje okrutne prawa. Że pierwszą czynnością nowego przywódcy jest zabicie potomstwa starego. Bez Boga chodzi tylko o jedno: o przetrwanie.

Cóż, nie ma Boga, myśli Adán.

Kiwa głową.

Fabián zrzuca dziewczynkę z mostu. Jej włosy rozwiewają się niczym niepotrzebne skrzydła i spada, podczas gdy Fabián chwytając chłopczyka i bez wysiłku ciska go za barierkę.

Adán zmusza się, żeby popatrzeć.

Ciała dzieci spadają dwieście metrów i rozbijają się o kamienie w dole.

Potem patrzy na braci Orejuelów, pobladłych od szoku. Ręka Gilberta drży, gdy zamyka walizkę, chwytając ją i niepewnie odchodzi.

Poniżej Río Magdalena omywa ciała i krew.

9.

Dni zmarłych

Czy nikt nie uwolni mnie od tego wścibskiego klechy?

Henryk II

San Diego

1994

Jest Święto Zmarłych.

Ważny dzień w Meksyku.

Tradycja sięga czasów Azteków i czci boginię Mictecacihuatl, „Panią Śmierci”, jednak hiszpańscy księża adaptowali ją i przenieśli z lata na jesień, by zbiegała się ze Wszystkimi Świętymi. Faktycznie, myśli Art, jezuci osiągają wszystko, czego chcą - w końcu i tak nadal chodzi o La Muerte.

Meksykanie nie stronią od mówienia o śmierci. Mają dla niej wiele nazw - Piękna Dama, Chuda, Kostucha albo po prostu La Muerte. Nie próbują trzymać jej na dystans. Są z nią w bliskich stosunkach, w zażyłości. Trzymają swą śmierć blisko siebie. W El Día de los Muertos żywi idą odwiedzać umarłych. Gotują wyszukane potrawy i zabierają je na cmentarze, siadają i dzielą się posiłkiem ze swymi drogimi zmarłymi.

Kurwa, myśli Art, ja chciałbym zjeść obiad z moją żyjącą rodziną. Mieszkają w tym samym mieście, dzielą tę samą przestrzeń i czas, a jednak żyją na odrębnych płaszczyznach.

Podpisał dokumenty rozwodowe zaraz po otrzymaniu wiadomości o zamordowaniu Pilar Méndez i jej dzieci. Proste uznanie nieuchronnej rzeczywistości, zastanawiał się, czy forma pokuty? Wiedział, że jest po części odpowiedzialny za śmierć dzieci, że pomógł wprowadzić tę piekielną maszynę w ruch, kiedy szepnął Tío do ucha fałszywą informację, że Güero Méndez był wymyślonym źródłem Chupar. Kiedy więc kanałami wywiadowczymi rozeszła się wieść - plotka, że Barrerowie obcięli głowę Pilar i zrzucili jej dzieci z mostu w Kolumbii - Art wreszcie chwycił za długopis i podpisał papiery rozwodowe, które od miesięcy leżały na biurku.

Przekazał pełnię opieki nad dziećmi Althei.

- Jestem ci wdzięczna, Art - powiedziała. - Ale dlaczego teraz?

Kara, pomyślał.

Ja też straciłem dwoje dzieci.

Nie stracił ich, rzecz jasna. Widuje je w każdy weekend i przez miesiąc wakacji. Chodzi na mecze siatkówki Cassie i baseballowe występy Michaela. Regularnie uczęszcza na szkolne zgromadzenia, zabawy, przedstawienia baletowe, wywiadówki.

Ale robi to z przymusem. Z definicji w wyznaczonym czasie nie może zdarzyć się nic spontanicznego, a on tęskni za takimi drobiazgami. Przygotowywanie im śniadań, czytanie opowiadań, zapasy na podłodze. Smutna rzeczywistość jest taka, że nie ma „czasu przyjemności”, jest tylko „czas”, więc mu tego brakuje.

Brakuje mu też Althie.

Boże, jak on za nią tęskni.

Ale ją rzuciłeś, myśli.

I po co?

Żeby zostać „panem granicy”? Tak nazywają teraz Artę w DEA - za jego plecami, rzecz jasna. Poza Shagiem, który mówi mu to w twarz. Przynosi kawę do biura i pyta:

- Jak samopoczucie, panie granicy?

Teoretycznie jest szefem Południowo-Zachodnich Operacyjnych Sił Granicznych i kieruje grupą koordynacyjną wszystkich agencji toczących wojnę z narkotykami: DEA, FBI, straż graniczna, celnicy i imigracyjny, policja lokalna i stanowa - wszyscy składają meldunki Artowi Kellerowi. W San Diego ma wielkie biuro z odpowiednim personelem.

To potężne stanowisko, dokładnie takie, jakiego zażądał od Johna Hobbsa.

Należy też do małej grupy - złożonej z Artę i Johna Hobbsa - która koordynuje działania DEA i CIA w obu Amerykach, żeby agencje nie deptały sobie po piętach. To oficjalny powód; nieoficjalnie chodzi o to, żeby Art nie spieszył żadnych planów Firmy.

To było *quid pro quo*. Art dostaje Południowo-Zachodnie Operacyjne Siły Graniczne, żeby móc prowadzić wojnę z Barrerami, a w zamian zostaje wzięty na smycz.

Święto Zmarłych - zastanawia się, gdy wsiada do samochodu zaparkowanego na ulicy w La Jolla. Równie dobrze mogę położyć cukierka na własnym grobie.

Wtedy zauważa Norę Hayden wychodzącą z butik.

Nora ma swoje przyzwyczajenia, a Art obserwował ją przez wiele miesięcy. Uwagę na nią zwróciły mu jego źródła w Tijuanie. Przekazały pogłoskę, że Adán Barrera ma dziewczynę, kochankę, że wynajął mieszkanie w dzielnicy Río i regularnie ją tam odwiedza.

Nietypowa nieostrożność Adána, wziąć sobie Amerykankę, myśli Art, gdy patrzy na kobietę idącą chodnikiem z torbami w rękach. Nie w stylu Adána, który miał - przynajmniej

do niedawna - opinię człowieka oddanego rodzinie.

Ale Art rozumie pokusę, gdy spogląda na Norę.

To najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widział.

W każdym razie z powierzchowności, myśli, przypominając sobie, że ta cizia pieprzy się z Adánem Barrerą.

Profesjonalistka.

Puścił za nią ogon trzy miesiące temu, gdy wróciła zza granicy. Zdobył nazwisko i adres, a wkrótce coś jeszcze.

Haley Saxon.

DEA zna tę damę od lat. Podobnie, jak się okazuje, służby skarbowe. Policja San Diego wie wszystko o Białym Domu, rzecz jasna, ale nikt go nie rusza, bo lista klientów Haley Saxon to polityczne gniazdo szerszeni i nikt o zdrowych zmysłach go nie tknie.

A teraz okazuje się, że *segundera* Adána jest jedną z najlepszych pracownic Haley. Cholera, myśli Art, gdyby Haley Saxon była Mary Kay, Nora Hayden miałyby już garaż pełen różowych cadillaków¹².

Czeka, aż kobieta podejdzie bliżej, wtedy wychodzi z samochodu i pokazuje odznakę.

- Pani Hayden, musimy porozmawiać.

- Nie sądzę.

Ma zadziwiająco niebieskie oczy, a głos kulturalny i pewny siebie. Art nie może się nadziwić, że Nora jest zwykłą dziewczyną.

- Może wsiądziemy do mojego samochodu? - sugeruje Keller.

- A czemu mielibyśmy wsiąść?

Kobieta zaczyna odchodzić, ale on łapie ją za łokieć.

- A czemu miałbym nie aresztować pani przyjaciółki Haley Saxon za prowadzenie domu publicznego? - pyta Art. - Czemu miałbym jej na dobre nie udupić?

Nora pozwala się doprowadzić do samochodu. Keller otwiera przednie drzwi pasażera i kobieta wsiada. Wtedy on obchodzi wóz i siada na fotelu kierowcy.

Nora znacząco spogląda na zegarek.

- Chcę zdążyć na film o pierwszej piętnaście.

- Porozmawiajmy o pani chłopaku - mówi Art.

- Moim chłopaku?

- A może Barrera to pani „klient”? Albo „gach”? Proszę mnie wtajemniczyć w żargon.

¹² Mary Kay - założycielka firmy kosmetycznej, której przedstawicielki osiągające najlepsze wyniki sprzedaży otrzymywały w nagrodę różowe cadillaki.

Nawet nie mrugnęła.

- To mój kochanek.

- Płaci za ten przywilej?

- Nie pański interes.

- Czy wie pani, jak pani kochanek zarabia na życie?

- Jest restauratorem.

- Bez żartów, Noro.

- Panie Keller - odpowiada - powiedzmy, że mam nieco sympatii dla przyjemności, które społeczeństwo uważa za nielegalne.

- W porządku. Dla morderstwa też? To też pani popiera?

- Adán nigdy nikogo nie zabił.

- Proszę go spytać o Ernego Hidalgo. A jeśli już pani będzie przy tym temacie, to od razu i o Pilar Méndez. Odciął jej głowę. I jej dzieci. Czy wie pani, co pani chłopak z nimi zrobił? Zrzucił je z mostu.

- To kłamstwo, które rozgłasza Güero Méndez, żeby...

- Tak pani Adán powiedział?

- Czego pan chce, panie Keller?

To kobieta interesu, myśli Art. Zmierza do sedna. Dobrze. Czas na argumenty. Nie spieszc tego.

- Współpracy - mówi Keller.

- Chce pan, żebym donosiła...

- Powiedzmy, że jest pani w wyjątkowej sytuacji, żeby...

Nora otwiera drzwi samochodu.

- Spóźnię się na film.

Łapie ją i zatrzymuje.

- Są późniejsze seanse.

- Nie ma pan prawa przetrzymywać mnie wbrew mojej woli. Nie popełniłam żadnego przestępstwa.

- Wyjaśnijmy sobie kilka spraw - oznajmia Art. - Wiemy, że Barrerowie inwestują w interes Haley Saxon. Tylko to utrzymuje ją na powierzchni. Gdyby kiedykolwiek użyli jej domu na spotkanie, osobiście bym wsadził ją na dwadzieścia lat do dożywocia, i to byłaby pani wina. Miałaby pani mnóstwo czasu na przeproszenie jej, bo zamknąłbym was w jednej celi. Czy może się pani wytłumaczyć ze wszystkich swoich dochodów, pani Hayden? Może pani udokumentować pieniądze, które Adán płaci za bycie pani „kochankiem”? Czy też może

on pierze pieniądze z narkotyków razem z brudnymi prześcieradłami? Siedzi pani po uszy, pani Hayden. Ale może się pani uratować. A może nawet ocalić swoją kumpelkę Haley. Wyciągam do pani rękę. Proszę ją przyjąć.

Kobieta spogląda na niego z nieskrywaną odrazą.

To świetnie, myśli Art. Nie musisz mnie kochać, chcę tylko, żebyś robiła to, czego ja chcę.

- Gdyby mógł pan zrobić Haley to, o czym pan mówi - spokojnie oznajmia Nora - to już by pan to zrobił. A co do tego, co mi może pan zrobić - proszę się bardziej postarać.

Znów zaczyna wysiadać.

- A co z Paradą? - pyta Art. - Też mu pani robi dobrze?

Widzieli ją kilka razy jak odwiedzała biskupa w Guadalajarze, a nawet w San Cristóbal.

Kobieta odwraca się i patrzy na niego.

- Jest pan odrażający.

- Nie da się ukryć.

- A tak dla pańskiej informacji, Juan i ja jesteśmy przyjaciółmi.

- Naprawdę? A on nadal będzie pani przyjacielem, gdy dowie się, że jest pani dziwką?

- On to wie.

I tak mnie kocha, myśli Nora.

- A czy wie, że sprzedaje się pani temu gównianemu mordercy, Adánowi Barrerze? Pozostanie pani przyjacielem, jeśli się tego dowie? Czy mam zadzwonić i mu o tym powiedzieć? Znamy się.

Wiem, myśli Nora. Opowiadał mi o tobie. Nie powiedział tylko, jak straszny jesteś.

- Niech pan robi, co chce, panie Keller. Wszystko mi jedno. Mogę odejść?

- Chwilowo.

Kobieta wysiada z samochodu i odchodzi, ze spódnicą falującą wokół pięknych, opalonych nóg.

Wygląda, myśli Art, jakby właśnie wypła herbatę z przyjacielem.

Ty cholerny dupku, całkowicie to spieprzyłeś.

Ale chciałbym wiedzieć, Noro, czy opowiesz Adánowi o naszej pogawędce.

Meksyk

1994

Adán spędził cały dzień na cmentarzach.

Musiał odwiedzić dziewięć grobów, postawić dziewięć kapliczek, rozłożyć dziewięć wyszukanych posiłków. Dziewięciu członków rodziny zabitych przez Güero Méndeza w jedną noc niecały miesiąc wcześniej. Jego ludzie, ubrani w czarne mundury *federales*, wyciągnęli ich z domów lub porwali z ulic, w Mexico City i Guadalajarze, wywieźli na meliny i torturowali, a potem wyrzucili ciała na rogach ulic, by odnaleźli je zamiatacze.

Dwóch wujów, ciotka i sześcioro kuzynów - w tym dwie kobiety.

Jedna z kuzynek była prawniczką pracującą dla *pasador*, ale pozostali nie mieli związków z narkotykowym biznesem. Po prostu byli krewnymi Miguela Ángela, Adána i Raúla, to wystarczyło. W końcu wystarczyło w przypadku Pilar, Güerita i Claudii, czyż nie? - myśli Adán. To nie Méndez zaczął mordowanie rodzin.

To my.

Tak więc wszyscy w Meksyku, którzy wiedzieli cokolwiek o handlu narkotykami, mogli się tego spodziewać, „krwawego września” Méndeza. Lokalna policja ślamazarnie prowadziła śledztwa. „Czego się spodziewali? - powiadano. - W końcu zabili mu żonę i dzieci”. Nie tylko zabili, ale wysłali Méndezowi głowę Pilar i taśmę wideo, na której sfilmowano, jak jego dzieci spadają z mostu. Tego było za wiele, nawet jak na Meksyk, nawet dla *narcotraficantes* - *pasador* Barrery znalazł się na marginesie. A jeśli Méndez zemścił się, zabijając członków rodziny Barrerów, no cóż, tego należało się spodziewać.

Tak więc Adán miał pracowity dzień, rozpoczęty bladym świtem od wizyt na grobach w Mexico City; potem lot do Guadalajary, żeby tam spełnić obowiązki, szybki lot do Puerto Vallarta, gdzie jego brat Raúl, jakże typowo dla siebie, urządził przyjęcie.

- Baw się - mówi Raúl do Adána, gdy ten wchodzi do klubu.

- Jest El Día de los Muertos.

Pewnie, trochę oberwali, ale sami też zadali parę ciosów.

- Może na ich groby też powinniśmy zanieść jedzenie - stwierdza Adán.

- Kurwa, zbankrutowalibyśmy - odpowiada Raúl - karmiąc wszystkich, których wysłaliśmy na tamten świat. Pieprzyć ich, niech rodziny ich karmią.

Barrerowie kontra reszta świata.

Kokaina z Cali kontra koka z Medellín

Gdyby Adán nie zawarł porozumienia z braćmi Orejuela, to Barrerowie przyjmowaliby dziś cukierki i kwiaty. Ale dzięki stałemu dopływowi towaru z Cali mają ludzi i pieniądze na toczenie wojny. A bitwa o La Plaza była krwawa, ale prosta. Raúl postawił miejscowych dilerów przed łatwym wyborem: chcecie być dystrybutorem coca-coli czy pepsi? Musicie wybrać; nie możecie być jednym i drugim. Cola albo pepsi, ford albo Chevrolet, Hertz albo

Avis - jedno albo drugie.

Alejandro Cazares, na przykład, wybrał colę. Rekin rynku nieruchomości, biznesmen i handlarz narkotykami opowiedział się za Güero Méndezem, a jego ciało znaleziono w samochodzie na zakurzonej ulicy w San Ysidro. A Billy Brennan, inny handlarz z San Diego, znalazł się w kulką w głowie w motelu w Pacific Beach.

Amerykańscy gliniarze dziwili się, czemu obie ofiary miały puszki od pepsi wepchnięte do ust.

Güero Méndez wziął odwet, rzecz jasna. Eric Mendoza i Salvador Marechal odeszli od pepsi, a ich zwęglone zwłoki odkryto we wciąż dymiących samochodach na pustym parkingu w Chula Vista. Barrerowie odpowiedzieli i przez kilka tygodni w Chula Vista parkowały płonące wozy ze spalonymi ciałami w środku.

Jednak Barrerowie osiągnęli cel: my jesteśmy tutaj, *pendejos*. Güero próbuje kierować La Plaza z Culiacán, ale my jesteśmy tu. Jesteśmy miejscowi. Możemy się ruszyć i osiągnąć każdego - w Baja czy w San Diego - a skoro z Güero taki twardziel, czemu nie dopadnie nas na swym własnym terytorium w Tijuanie? Czemu Güero nie kazał nas zabić? Odpowiedź jest prosta, przyjaciele - bo nie może. Zaszył się w rezydencji w Culiacán, a jeśli chcecie trzymać jego stronę, to śmiało, jednak, bracia, on jest tam, a my tu.

Bezczynność Güero jest oznaką słabości, nie siły, ponieważ tak naprawdę kończą mu się zasoby. Może i trzyma twardą ręką Sinaloę, ale ich ukochany stan nie ma dostępu do morza. Bez La Plaza Güero musi płacić El Verde, by przewozić narkotyki przez Sonorę, albo płacić Abrego, żeby transportował je przez Zatokę. Bez wątpienia ci dranie zedrą z niego skórę za każdy gram towaru, który przechodzi przez ich terytoria.

Nie, Güero jest niemal skończony, a zmasakrowanie wujów, ciotki i kuzynów Barrerów to jego ostatnie podrygi.

Jest Święto Zmarłych, Adán i Raúl wciąż żyją, a to powód do świętowania.

Świętują więc w nowej dyskotecie w Puerto Vallarta.

*

Güero Méndez pielgrzymuje na cmentarz Jardines del Valle w Culiacán, do krypty z rzeźbionymi marmurowymi kolumnami, płaskorzeźbami i kopułą ozdobioną freskami dwóch aniołków. Wewnątrz znajdują się groby jego żony i dwójki dzieci. Na ścianie wiszą kolorowe fotografie zamknięte w szklanych gablotkach.

Claudia i Güerito.

Jego dwa aniołki.

I Pilar.

Jego *esposa* i *querida*.

Uwiedziona, ale wciąż kochana.

Güero przyniósł ze sobą *ofrenda a los muertos*, ofiary dla zmarłych.

Dla swoich *angelitos* ma *papel picado*, bibułę wycinaną we wzorek złożony ze szkieletów, czaszek i zwierzątek. Oraz ciasteczka i cukierki w kształcie czaszek, z ich imionami wypisanymi lukrem. I zabawki - laleczki dla niej, żołnierzyki dla niego.

Dla Pilar przyniósł kwiaty - tradycyjne chryzantemy, nagietki i celozje - ułożone w krzyże i wieńce. I trumnę z cukru oraz ciasteczka z ziarnami amarantu, które tak bardzo lubiła.

Klęka przy trumnach i składa swe ofiary, potem nalewa czystej wody do trzech miseczek, żeby zmarli mogli umyć ręce przed ucztą. Na zewnątrz mały zespół *norteño* gra wesoło pod czujnym okiem plutonu *sicarios*. Güero kładzie czysty ręczniczek przy każdej misce, następnie ustawia ołtarzyk, starannie rozmieszczając wotywny świece i naczynia z ryżem i fasolą, *polio* w sosie *mollo*, kandyzowaną dynię i słodkimi ziemniakami. Później zapala kadzidelko o zapachu *campol* i siada na podłodze.

Dzieli z nimi wspomnienia.

Piękne wspomnienia z pikników, kąpeli w górskich jeziorach, rodzinnych meczów futbolowych. Mówi na głos, słyszy ich odpowiedzi w głowie. Muzyka słodsza od tej, którą grają na zewnątrz.

Wkrótce do was dołączę, mówi żonie i dzieciom.

Nie natychmiast, ale wkrótce.

Najpierw muszę skończyć robotę.

Muszę zastawić stół dla Barrerów.

Zastawić gorzkimi owocami.

Cukrowymi czaszkami z ich imionami: Miguel Ángel, Raúl, Adán.

Posłać ich dusze do piekła.

W końcu mamy Święto Zmarłych.

*

Dyskoteka, uważa Adán, to pomnik kiczu.

Raúl urządził La Sirena jak podwodny świat. Groteskowa neonowa syrena (sama La Sirena) wisi nad głównym wejściem, a w środku ściany tworzą rafy koralowe i podwodne groty.

Cała lewa ściana to wielkie akwarium z dwoma tysiącami litrów wody morskiej. Adán wzdryga się na myśl o cenie szklanej ściany, nie wspominając o kosztach egzotycznych ryb

tropikalnych - żółtych, niebieskich i purpurowych pokolców po dwieście dolarów sztuka, diodon za trzysta, rogatnica okazała za pięć setek, z pięknymi żółtymi i czarnymi plamkami. Poza tym znajdowały się tam drogie koralowce i oczywiście Raúl musiał ich mieć kilka gatunków: trachyphyllia, „słoniowe ucho”, eusmilia i anthelia, w kształcie palców utopionego marynarza. Oraz „żywe skały” z zielenicami błyszczącymi fioletem w świetle. Węgorze - czarno-białe węgorze śnieżnobiałe i brązowe mureny w czarne paski - wystawiają łebki z dziur w skałach i koralach, kraby pełzają po kamieniach, a krewetki pływają w wytwarzanym przez elektryczność prądzie.

Prawą stronę klubu zdominował wodospad. („To bez sensu - Adán sprzeciwił się bratu, kiedy go budowano. - Skąd wzięłeś wodospad pod wodą?”. „Po prostu go chciałem” - odparł Raúl. Tak, to wszystko wyjaśnia, pomyślał Adán, po prostu go chciał.) A pod wodospadem znajduje się grotka z płaskimi kamieniami, które służą jako siedziska dla par. Adán cieszy się, że z powodów higienicznych grotka jest regularnie spryskiwana przez wodospad.

Stoliki wykonano z poskręcane go, pordzewiałego żelaza, blaty zaś z macicy perłowej inkrustowanej muszlami. Parkiet do tańca pomalowano tak, by przypominał dno oceanu, a kosztowne oświetlenie tworzy efekt błękitnych refleksów, jakby tancerze pływali pod wodą.

To miejsce kosztowało fortunę.

- Możesz je wybudować - ostrzegał Adán Raúla - ale lepiej, żeby dawało zyski.

- A któreś nie daje? - pyta Raúl.

To prawda, musi przyznać Adán. Raúl może i ma szokujący gust, ale jest geniuszem w kreowaniu modnych nocnych klubów i restauracji, zyskownych i pozwalających prac narkodolary napływające na południe z El Norte niczym rwąca zielona rzeka.

W lokalu jest tłum.

Nie tylko dlatego, że jest El Día de los Muertos, ale dlatego, że La Sirena jest przebojem nawet w tym pełnym konkurencji kurorcie. A podczas dorocznej orgii pijackiej, znanej jako ferie wiosenne, dzieciaki z amerykańskich college'ów napłyną do klubu, wydając jeszcze więcej (czystych) amerykańskich dolarów.

Dziś wieczorem jednak dominują Meksykanie, głównie przyjaciele i współpracownicy braci Barrerów, którzy świętują wraz z nimi. Jest paru amerykańskich turystów i garstka Europejczyków, ale nie ma w tym nic złego. Dziś wieczorem nie będzie się ubijać interesów, zresztą nigdy się tego tu nie będzie robić -- niepisana zasada głosi, że w legalnych firmach w kurortach nie prowadzi się żadnej działalności związanej z narkotykami. Żadnego handlu prochami, żadnych spotkań, a przede wszystkim żadnej przemocy. Po narkotykach turystyka to największe źródło dewiz, nikt więc nie chce odstraszać Amerykanów, Brytyjczyków,

Niemców i Japończyków, którzy zostawiają swoje dolary, funty, marki i jeny w Mazatlán, Puerto Vallarúa, Cabo San Lucas i Cozumel.

Wszystkie kartele mają w tych miastach nocne kluby, restauracje, dyskoteki i hotele, muszą więc chronić swe interesy, którym poważnie zaszkodziłby turysta, który oberwie przypadkową kulą. Nikt nie chce wziąć do ręki gazety i ujrzeć nagłówków informujących o krwawej strzelaninie z fotografiami ciał leżących na ulicach. Tak więc *pasadores* i rząd zawarli porozumienie: „Róbcie to gdzie indziej, chłopcy”. Za dużo forsy jest do stracenia.

Możecie się bawić w tych miastach, ale grzecznie.

I faktycznie bawią się dziś wieczorem, myśli Adán, gdy obserwuje Fabiána Martineza tańczącego z trzema czy czterema blond Niemkami.

Jest kupa roboty, nieprzerwany obieg towaru na północ i pieniędzy na południe. Stale trzeba coś ustalać z Orejuelami, doglądać transportu kokainy z Kolumbii do Meksyku, nieustannie dbać o jej bezpieczny przetrzut do Stanów i przerabianie na crack, sprzedaż detalistom, zbieranie pieniędzy, przekazywanie ich do Meksyku i pranie.

Część pieniędzy idzie na zabawę, ale większość na łapówki.

W srebrze lub ołowiu.

Plata o plomo.

Jeden z ludzi Barrerów po prostu idzie z torbą pieniędzy do *comandante* lokalnej policji lub dowódcy wojskowego i daje mu wybór, mówiąc właśnie te słowa: *Plata o plomo?*

To wszystko. Sens jest jasny - zostaniesz bogaty albo martwy. Ty wybierasz.

Jeśli wybiorą bogactwo, to sprawa Adána. Jeśli śmierć - zajmuje się tym Raúl.

Większość wybiera bogactwo.

Coño, myśli Adán, większość glin spodziewa się wzbogacenia. Muszą przecież kupować stanowiska od swych przełożonych albo płacić co miesiąc dolę od *mordida*. To jak operacja franczyzowa. Burger King, Taco Bell, McŁapówka. Najłatwiejsza kasa na świecie. Pieniądze za nic. Po prostu patrzeć w drugą stronę, być gdzie indziej, nie widzieć zła, nie słyszeć zła, nie mówić o niczym złym, a miesięczna pensja będzie w pełnej wysokości i na czas.

Wojna zaś, zdaje sobie sprawę Adán, obserwując gości tańczących w migotliwym błękitnym świetle, to kolejne dobrodziejstwo dla gliniarzy i wojskowych. Méndez opłaci swoich policjantów, żeby przymknęli naszych dilerów, my opłacimy naszych, żeby przymknęli handlarzy Méndeza. To dobry interes dla wszystkich poza facetem, którego towar przepadnie. Powiedzmy, że policja stanu Baja zwinie wartą milion dolarów kokainę Güero. My zapłacimy im sto tysięcy „znależnego”, oni wyjdą na bohaterów w gazetach i porządnych

facetów w oczach jankesów, a gdy minie odpowiednia ilość czasu, sprzedadzą nam towar wartości miliona za pięćset tysięcy.

Wszyscy wychodzą na swoje.

A to tylko w samym Meksyku.

Trzeba jeszcze opłacić amerykańskich celników, żeby patrzyli w drugą stronę, kiedy samochody wyładowane koką lub trawą przejeżdżają przez ich posterunki - trzydzieści tysięcy dolarów za transport, bez względu na jego zawartość. A mimo to nie ma gwarancji, że twój samochód dotrze do „czystego” przejścia, choćbyś wykupił mieszkania w wieżowcach z widokiem na placówki graniczne i miał tam obserwatorów, którzy przez radio naprowadziliby kierowców na „właściwe” przejścia. Celnicy zmieniają się jednak często i chaotycznie, a inni agenci monitorują częstotliwości radiowe, więc jeśli wyśle się tuzin samochodów równocześnie na przejścia w San Ysidro i Otay Mesa, to przebiję się dziewięć lub dziesięć z nich.

Są jeszcze łapówki dla policjantów w San Diego, Los Angeles, San Bernardino, czy gdzie tam jeszcze potrzeba. Dla policji stanowej, biur szeryfów. Oraz sekretarek i maszynistek w DEA, które mogą dać cynk o przebiegu dochodzeń. Albo nawet dla tych rzadkich, bardzo rzadkich agentów DEA, z którymi ma się dobre stosunki. Jest ich niewielu, ponieważ między DEA a meksykańskimi kartelami nadal trwa krwawa wojna z powodu zabicia Erniego Hidalgo.

Art Keller dba o to.

I dzięki Bogu za to, myśli Adán, ponieważ obsesja Kellera na punkcie zemsty na krótką metę może wydawać się kosztowna, ale na dłuższą metę przysparza dochodów. Amerykanie chyba tego po prostu nie rozumieją - że po prostu sami windują ceny i wzbogacają nas. Bez nich każdy *bobo* ze starą ciężarówką albo przeciekającą łodzią mógłby przemycać narkotyki do El Norte. Wtedy skórka nie byłaby warta wyprawki. Ale w obecnej sytuacji trzeba milionów, by szmuglować towar, więc ceny są odpowiednio wyśrubowane. Amerykanie biorą coś, co dosłownie rośnie na drzewach i zmieniają to w cenny towar. Bez nich kokaina i marihuana byłyby niczym pomarańcze, a on sam, zamiast zarabiać miliony na ich szmuglowaniu, zarabiałby grosze na jakimś kalifornijskim polu, zbierając cytrusy.

Na dodatek sam Keller to kolejny produkt, ponieważ zarabiam miliony na ochronie przed nim, pobierając od indywidualnych kontrahentów, którzy chcą przesyłać swój towar przez La Plaza, tysiące dolarów na opłacenie naszych gliniarzy, żołnierzy, celników, strażników wybrzeża, sprzętu do obserwacji i łączności... Meksykańscy policjanci to doceniają, amerykańscy nie. Jesteśmy partnerami, *mi hermano Arturo*, w tym samym

przedsięwzięciu.

Towarzysze w wojnie z narkotykami.

Nie możemy bez siebie istnieć.

Adán obserwuje, jak dwie dziewczyny w typie nordyckim stoją pod wodospadem, pozwalając, żeby krople moczyły ich koszulki, ukazując piersi ewentualnym wielbicielom, których jest zadziwiająco niewielu. Dudni dyskotekowa muzyka, trwają gorączkowe tańce, pije się ostro, szybko i nieustannie. To El Día de los Muertos, a większość ludzi tutaj to starzy przyjaciele z Culiacán lub Badiraguato. Jeśli jesteś *narco* z Sinaloi, to masz mnóstwo zmarłych, o których musisz pamiętać.

Mnóstwo duchów uczestniczy w tym przyjęciu.

To była krwawa wojna.

Ale, myśli Adán, na szczęście już się prawie kończy, a my wrócimy do interesów.

Ponieważ Adán Barrera zreformował narkotykowy biznes.

Tradycyjnie każda z meksykańskich *pasadores* miała kształt piramidy. Podobnie jak w rodzinach mafii sycylijskiej, był ojciec chrzestny, szef, potem kapitanowie, żołnierze, a każdy szczebel podporządkowany wyższemu. Niższe szczeble zarabiały niewiele, bo musiały zarabiać na tych wyżej, którzy z kolei odpłacali się, ale w niewielkim stopniu. Tylko głupiec nie zrozumiałby, co jest nie tak z piramidą - jeśli wszedłeś w nią wcześniej, miałeś bogactwo, jeśli późno, byłeś dymany. Wszystko to, według Adána, zachęcało do wyłamania się i założenia nowej piramidy.

Piramida była też podatna na brutalne działania wymiaru sprawiedliwości. Wystarczyło popatrzeć, co zdarzyło się amerykańskiej mafii. Jeden *dedo*, jeden kapuś, jeden niezadowolony żołnierz mógł zdradzić glinom całą zintegrowaną strukturę piramidy. Wszyscy szefowie pięciu nowojorskich rodzin siedzieli teraz w więzieniu, a ich rodziny staczały się ku nieuchronnemu upadkowi.

Adán rozerwał więc piramidę i zastąpił ją strukturą poziomą. No, prawie poziomą. Jego organizacja miała tylko dwa szczeble: bracia Barrera na szczycie i cała reszta poniżej.

Ale na tym samym poziomie.

- Chcemy przedsiębiorców, nie pracowników - Adán wyjaśnił Raúlowi. - Pracownicy kosztują, a przedsiębiorcy zarabiają.

Nowa struktura stworzyła rosnącą grupę niezwykle zmotywowanych, szczerze nagradzanych niezależnych biznesmenów, którzy płacili Barrerom dwanaście procent od przychodów i czynili to z radością. Wspierali tylko jeden poziom i prowadzili własny interes, podejmując samodzielnie ryzyko i zgarniając zyski.

A Adán dbał o to, żeby zachęcać początkujących przedsiębiorców. Przebudował swój kartel w Baja na tej zasadzie, zezwalając swym ludziom - nie, zachęcając ich - by prowadzili interesy na własną rękę: obniżając im „podatki” do dwunastu procent, dając niskoprocentowane pożyczki na rozruch, zapewniając dostęp do usług finansowych - to jest do pralni pieniędzy - wszystko w zamian za lojalność wobec kartelu.

- Dwanaście procent od wielu - wyjaśniał Adán Raúlowi swą propozycję drastycznej obniżki haraczu - to więcej niż trzydzieści od nielicznych. - Obserwował rewolucję Reagana. Można zarobić więcej obniżając podatki niż podnosząc je, ponieważ niższe obciążenia umożliwiają rozpoczęcie działalności większej liczbie przedsiębiorców, którzy zarabiają i płacą więcej podatków.

Raúl uważa, że to przywództwo, a nie nowy model gospodarczy, pozwala wygrywać wojnę z Méndezem i w pewnym sensie ma rację. Jednak Adán jest przekonany, że najpotężniejszym czynnikiem jest tu czysta siła ekonomii - Barrerowie po prostu konkurują cenami z Güero Méndezem. Możesz sprzedawać colę z trzydziestoprocentowym zyskiem, albo pepsi z dwudziestoprocentowym - sam wybierasz. A wybór jest prosty: sprzedajesz pepsi i zarabiasz krocie albo colę i zarabiasz mniej, dopóki Raúl cię nie zabije. Nagle liczba dystrybutorów pepsi wzrosła. Trzeba być głupcem, żeby przedkładać ołowianą colę nad srebrną pepsi.

Srebro lub ołów.

Jin i jang nowego kartelu z Baja.

Układ z Adánem i masz srebro albo układ z Raúlem i zarabiasz ołów. Struktura, która w Baja przeważała szalę na niekorzyść Güero Méndeza. Po prostu za wolno załapał, a gdy już to zrobił, nie mógł sobie pozwolić na obniżenie cen, ponieważ nie był w stanie przetransportować dość kokainy przez La Plaza i musiał płacić trzydzieści kawałków, żeby przewieźć ją przez Sonorę lub Zatokę.

Tak, musiał później przyznać Raúl, układ z dwunastoma procentami to był przejaw czystego geniuszu.

Jest doskonały dla chłopaków w rodzaju Fabiána Martineza i reszty młodziaków.

Zasady były proste.

Mówisz Barrerom, kiedy przywieziesz towar, co to będzie (kokaina, marihuana czy heroina), ile waży i jaką cenę sprzedaży ustaliłeś - zwykle między czternaście a szesnaście tysięcy dolarów za kilogram - oraz którego dnia planujesz przekazać go detaliście w Stanach. Masz czterdzieści osiem godzin po tej dacie, by zapłacić Barrerom dwanaście procent od umówionej ceny sprzedaży. (Cena ta była po prostu gwarancją minimum - jeśli sprzedałeś za

mniej, płaciłeś procent od sumy ustalonej; jeśli za więcej, płaciłeś od wyższej ceny). Jeśli nie dostarczyłeś pieniędzy w ciągu dwóch dni, powinieneś usiąść z Adánem i opracować plan spłaty długu albo usiąść z Raúlem i...

Srebro lub ołów.

Dwanaście procent za przewóz narkotyków przez La Plaza. Jeśli chciałeś poczynić dodatkowe ustalenia z lokalną policją, *federales* lub *comandante* armii, żeby gwarantowali bezpieczeństwo twojego ładunku, to nie ma sprawy, ale jeśli wpadłeś i tak byłeś winien dwanaście procent. Jeśli chciałeś, żeby to Barrerowie zadbali o bezpieczeństwo, nie było problemu, ale to kosztowało - koszta *mordida* plus opłata manipulacyjna. Jednak w takim przypadku Barrerowie ręczyli za bezpieczeństwo towaru po meksykańskiej stronie granicy. Jeśli został przejęty, zwracali pełną cenę. To znaczy, w przypadku kokainy, Barrerowie wypłacali cenę zakupu, jaką wynegocjowałeś z kartelem Orejuelów w Cali, a nie cenę detaliczną, jaką chciałeś uzyskać w Stanach. Wykupienie pakietu bezpieczeństwa u Barrerów dawało gwarancję, że twój ładunek był całkowicie bezpieczny od momentu, gdy znalazł się w Baja, aż do chwili dostarczenia na granicę. Żaden inny handlarz nie próbował go przejąć, żaden bandyci nie próbowali go porwać. Pilnowali tego Raúl i jego *sicarios* - trzeba było być poważnie stukniętym, żeby kraść ładunek, za który odpowiadał Raúl Barrera.

Barrerowie oferowali też usługi finansowe. Adán chciał maksymalnie ułatwić wejście do interesu możliwie wielu ludziom, więc utrzymano dwanaście procent. Nie płaciłeś, dopóki nie sprzedałeś. Zawsze z dołu. Jednak Barrerowie poszli o krok dalej - pomagali ci wyprać pieniądze, gdy już sprzedałeś ładunek; sownie się im to opłacało. Prowizja za wypranie forsy wynosiła sześć i pół procenta, jednak przekupieni bankierzy dawali Barrerom rabat w wysokości pięciu procent, więc Adán zarabiał półtora procenta na każdym dolarze klienta. Nie musiałeś, oczywiście, prac swoich pieniędzy za pośrednictwem Barrerów - byłeś niezależnym przedsiębiorcą, robiłeś co chciałeś. Jednak jeśli poszedłeś gdzie indziej, a twój szmal zagrabiono, oszukano cię, pieniądze zarekwirowali amerykańscy celnicy na granicy - to był twój pech, podczas gdy Barrerowie dawali gwarancję. Każdą sumę brudnych dolarów dostawałeś z powrotem wypraną w ciągu trzech dni roboczych - minus sześć i pół procent.

I to była „rewolucja w Baja” Adána - wprowadzenie narkotykowego biznesu na nowe tory.

- Miguel Ángel Barrera wprowadził handel narkotykami w dwudziesty wiek - tak ujął to jeden z *narcotraficante*. - Adán prowadzi go w dwudziesty pierwszy.

I pobije Güero Méndeza, skoro już przy tym jesteśmy, myśli Adán. Jeśli nie zdoła przewieźć kokainy, nie będzie mógł zapłacić *mordida*. A jeśli nie zapłaci *mordida*, nie

przewiezie kokainy. Tymczasem my tworzymy sieć, która jest szybka, skuteczna i wydajna, używając najnowszej i najlepszej technologii oraz mechanizmów finansowych.

Życie jest dobre, myśli Adán, w to Święto Zmarłych.

*

Święto Zmarłych, myśli Callan.

Wielka rzecz.

Tak jakby każdy dzień nie był dniem zmarłych.

Wypił kilka głębszych przy barze w La Sirena. Potrzebujesz wyzwania, to spróbuj zamówić czystą whisky w meksykańskim barze przy plaży. Powiedz facetowi, że chcesz drinka bez cholernej parasolki, a spojrzy na ciebie jakbyś mu zepsuł cały zasrany dzień.

Callan i tak to robi.

- Ty, *viejo*, czy tu pada?

- Nie.

- Więc tego nie potrzebuję.

A gdybym chciał soku, tobym go zamówił. Potrzebuję tylko soku z jęczmienia.

Irlandzkiej witaminy C.

Starych wód życia.

Co jest dość zabawne, zważywszy, jak zarabiam na życie, a właściwie jak zawsze zarabiałem.

Anulując ludziom rezerwacje.

„Przykro mi proszę pana, ale wymeldowuje się pan wcześniej”.

„Tak, ale...”

„Tak, ale bez gadania. Wysiadka”.

Już nie dla rodziny Cimino, ale Sal Scachi wciąż poszukuje cyngli. Callan przyczał się w Kostaryce, czekając aż burza w Nowym Jorku ucichnie, kiedy odwiedził go Scachi.

- Co byś powiedział na wyjazd do Kolumbii? - spytał Callana.

- Po co?

Żeby przyłączyć się do czegoś zwanego „MAS”, brzmiała odpowiedź.

Muerte a Secuestradores - Śmierć Porywaczom. Scachi wyjaśnił, że rozpoczęło działalność w osiemdziesiątym pierwszym, kiedy lewicowa grupa M-19 porwała dla okupu siostrę kolumbijskiego barona narkotykowego Fabiána Ochoy.

Faktycznie, świetny plan, uznał Callan, porwać siostrę bossa.

I niby Ochoa miał zapłacić, tak?

Zamiast tego, powiedział Scachi, kokainowy magnat zebrał dwustu dwudziestu trzech

wspólników i zmusił każdego z nich do wyasygnowania dwudziestu tysięcy dolarów gotówką i dziesięciu najlepszych strzelców. Prosty rachunek - wojna z budżetem czterech i pół miliona dolarów i armią ponad dwóch tysięcy cyngli.

- Wyobraź sobie - dorzucił Scachi. - Ci faceci praktycznie nadlecieli nad stadion piłkarski w helikopterze i zrzucili ulotki z informacją, co zamierzają zrobić.

A właściwie przemknęli przez Cali i Medellín jak wściekłe psy. Wdzierali się do domów, wyciągali studentów z wykładów, niektórych zabijali na miejscu, innych zabierali do melin na „przesłuchania”.

Siostrę Ochoy zwolniono nietkniętą.

- Co to ma wspólnego ze mną? - spytał Callan.

Scachi mówi mu. W osiemdziesiątym piątym rząd zawarł rozejm z różnymi lewicowymi grupami, które utworzyły sojusz zwany Unión Patriótica. W osiemdziesiątym szóstym zdobył on czternaście miejsc w parlamencie.

- W porządku - powiedział Callan.

- Nie w porządku - odparł Scachi. - Ci ludzie to komuniści, Sean.

Scachi wdał się w jakąś pieprzoną tyradę, sednem której było to, że my walczyliśmy z komunistami, żeby naród mógł żyć w demokracji, a następnie niewdzięczne skurwysyny odwróciły się do nas plecami i głosowały na komunistów. Callan domyślał się, że według Sala ludzie powinni mieć demokrację, ale nie taką.

Mają absolutną swobodę wyboru tego, co my chcemy.

- MAS zamierza coś z tym zrobić - mówił Scachi. - Mogą wykorzystać faceta z twoimi talentami.

Może i mogą, pomyślał Callan, ale nie dostaną faceta z moimi talentami. Nie wiem, co Sal ma wspólnego z tym MAS, ale ja nie zamierzam.

- Myślę o powrocie do Nowego Jorku - odpowiedział Callan. W końcu Johnny Boy silną ręką rządzi rodziną, a Johnny Boy na pewno będzie miał dla Callana przyjaźń i bezpieczną przystań.

- Tak, możesz to zrobić - odparł Scachi. - Poza tym, że czeka na ciebie około trzech tysięcy oskarżeń federalnych.

- Za co?!

- Za co? Handel kokainą, wymuszenia, rekietierstwo. Wiem, że poszukują cię też za tę sprawę z Wielkim Pauliem.

- A ciebie nie poszukują za sprawę z Wielkim Pauliem, Sal?

- Co ty gadasz?

- Przecież ty mnie w to wplątałeś.

- Posłuchaj, chłopcze, mogę chyba coś na to poradzić, ale nie zaszkodziłoby, gdybyś zechciał nam pomóc.

Callan nie pytał, jak Sal Scachi może coś poradzić na oskarżenie, wysyłając go do Kolumbii, żeby przyłączył się do grupy antykomunistycznie nastawionych kokainowych *vigilantes*. Są rzeczy, o których nie chce się wiedzieć. Po prostu wziął bilet na samolot i nowy paszport, poleciał do Medellín i zgłosił się do MAS.

Śmierć Porywaczom okazała się być Śmiercią Kandydatom Zwycięskiej Unii Patriótica. Sześciu z nich dostało kulkę w łeb zamiast zaprzysiężenia na urządzie. (Święta Zmarłych, myśli teraz Callan, pijąc drinka. Święta Zmarłych).

Potem, jak pamięta, wszystko rozegrało się samo. M-19 zemściło się, zdobywając Pałac Sprawiedliwości, a ponad sto osób, w tym kilku sędziów Sądu Najwyższego, zginęło podczas pieprzonej próby odbicia. Tak to jest, myśli Callan, gdy używa się glin i wojska zamiast profesjonalistów.

Oni wykorzystali zawodowców, by dopaść przywódcy Unii Patriótica. Callan nie pociągnął za spust, ale uczestniczył w zamachu na Jaime Pardo Leala. To było dobre uderzenie - czyste, skuteczne, profesjonalne.

Okazało się, że to dopiero rozgrzewka.

Prawdziwe zabijanie zaczęło się w osiemdziesiątym ósmym.

Pieniądze na organizację pochodziły od samego Pablo Escobara., kokainowego barona z Medellín.

Najpierw Callan nie mógł zrozumieć, dlaczego Escobar i inni kokainowi bossowie mieszają się w politykę. Ale potem pojął, że chłopaki z kartelu zainwestowali mnóstwo brudnych pieniędzy w posiadłości ziemskie, wielkie stada bydła, których nie chcieli stracić w wyniku jakiegoś lewicowego planu parcelacji.

Callan miał bardzo dobrze poznać jedno z takich rancz.

Latem osiemdziesiątego siódmego MAS wysłała go do Las Tangas, wielkiej *finca* braci Carlosa i Fidela Cardonów. Kiedy byli nastolatkami, ich ojca porwali i zabili komunistyczni partyzanci. Gdy Callan ich. poznał, uznał, że całe to gadanie o polityce jest głównie o sprawy osobiste. Zawsze.

Las Tangas było nie tyle ranczem, co jakimś zasranym fortem. Callan widywał tam niewiele bydła, a głównie podobnych sobie zabójców.

Było tam mnóstwo Kolumbijczyków, wypożyczonych żołnierzy kartelu, ale również Południowoafrykańczycy i Rodezyjczycy, którzy przegrali własną wojnę i zamierzali wygrać

tę. Poza tym przebywali na ranczo Izraelczycy, Libańczycy, Rosjanie, Irlandczycy i Kubańczycy. Cholerna wioska olimpijska dla zabójców.

Ciężko trenowali.

Pewien facet, podobno izraelski pułkownik, przyjechał z gromadą zasranych Brytyjczyków, ekszołnierzy SAS, a w każdym razie tak o nich mówiono. Jako porządny ajrysz Callan nienawidził Angoli i SAS, ale musiał przyznać, że oni wiedzieli, co robią.

Callan nieźle posługiwał się dwudziestką dwójką, ale musiał się jeszcze wiele nauczyć; wkrótce przeszkolono go w używaniu i obsłudze M-16, AK-47, M-60 i karabinu snajperskiego, dziewięćdziesiątki Barrett-Model.

Uczono go też walki wręcz - jak zabić nożem, garotą, rękoma i nogami. Część instruktorów stanowili faceci z amerykańskich sił specjalnych - w tym weterani operacji „Feniks” z Wietnamu. Wielu z nich było oficerami armii kolumbijskiej, mówiącymi po angielsku jakby pochodzili z Mayberry w Stanach.

Callan dziwił się ich specyficznemu akcentowi zawsze, gdy któryś z Kolumbijczyków otworzył usta. Potem dowiedział się, że część z tych facetów szkoliła się w Fort Benning w Georgii.

W miejscu zwanym Szkołą Ameryk.

Co to za pieprzona szkoła, zastanawiał się Callan. Czytanie, pisanie i bicie. W każdym razie nauczyli się paskudnych sztuczek i z radością przekazywali je grupie, która zyskała miano Los Tangueros.

Było też mnóstwo zajęć praktycznych.

Pewnego dnia grupka Tangueros urządziła zasadzkę na operujący w okolicy oddział partyzancki. Oficer armii dostarczył fotografie sześciu celów, zamieszkujących w wioskach niczym normalni *campesinos*, kiedy nie zajmowali się gównianą partyzantką.

Akcją dowodził sam Fidel Cardona. Cardona stał się fachowcem, sam siebie nazywał „Rambo” i ubierał się jak bohater filmu. W każdym razie wyruszyli i zastawili zasadzkę przy polnej drodze, którą mieli iść ci faceci.

Tangueros rozproszyli się w perfekcyjną formację w kształcie U, tak jak ich nauczono. Callanowi nie podobało się leżenie w zaroślach, noszenie munduru, pocenie się w upale. Jestem gościem z miasta, myśli. Kiedy wstąpiłem do pieprzonej armii?

Faktem jest, że był poirytowany. Nie przestraszony, raczej pełen obaw, gdyż nie wiedział, czego się spodziewać. Nigdy wcześniej nie walczył z partyzantami. Uznał, że na pewno będą dobrzy, świetnie wyszkoleni, z lepszą znajomością terenu i świadomi, jak go wykorzystać.

Partyzanci weszli prosto w otwarte U.

To nie byli twardzi bojownicy w mundurach maskujących z AK. Ci goście wyglądali jak chłopci, w starych dżinsowych koszulach i krótkich spodenkach. I nie poruszali się jak żołnierze - rozproszeni, czujni. Po prostu szli drogą.

Callan wycelował swój karabin w faceta najdalej z lewej. Celował nieco niżej, w jego brzuch, w razie gdyby karabin kopnął. Poza tym nie chciał patrzeć mężczyźnie w twarz, ponieważ miał dziecięce oblicze, rozmawiał z przyjaciółmi i śmiał się. Normalnie, jak to z kolegami pod koniec dnia pracy. Callan więc wbił wzrok w niebieską koszulę, ponieważ dzięki temu celował w coś, jak w tarczę.

Począł aż Fidel strzeli pierwszy, a kiedy usłyszał strzał, dwukrotnie nacisnął spust.

Facet padł.

Wszyscy padli.

Biedni frajerzy nie dostrzegli niebezpieczeństwa, nigdy się nie dowiedzieli, kto ich dosięgnął. Po prostu salwa z krzaków za drogą i sześciu partyzantów padło, krwawiąc na ziemię.

Nie mieli czasu, by wyciągnąć broń.

Callan zmusił się, żeby podejść do zabitego przez siebie mężczyzny. Leżał martwy, twarzą w pył. Callan dźgnął ciało stopą. Facet miał tylko maczetę, jakiej *campesinos* używali do ścinania bananów.

Callan rozejrzał się i zauważył, że żaden z partyzantów nie miał broni.

To nie przeszkadzało Fidelowi. Chodził, strzelając chłopom dla pewności w tył głowy, a potem przez radio złożył meldunek do Las Tangas. Wkrótce przyjechała ciężarówka z ubraniami, jakie zwykle nosili komunistyczni partyzanci. Fidel rozkazał swoim ludziom przebrać trupy w nowe ubrania.

- Chyba sobie, kurwa, jaja ze mnie robisz - powiedział Callan

Rambo nie żartował. Kazał brać się do roboty.

Callan siedział na poboczu.

- Nie jestem jakimś pieprzonym grabarzem - rzucił Fidelowi. Siedział więc i patrzył, jak pozostali Tangueros zmieniali trupom odzież, a potem fotografowali zabitych „partyzantów”.

Fidel darł się na niego całą drogę powrotną.

- Wiem, co robię - twierdził. - Chodziłem do szkoły.

Taa, ja też chodziłem do szkoły, powiedział mu Callan. Brałem lekcje w Hell's Kitchen.

- Jednak faceci, których ja zabijałem, Rambo - dorzucił - zwykle mieli broń w rękach.

Rambo musiał poskarżyć się Scachiemu, ponieważ Sal pojawił się kilka tygodni później

na ranczu, żeby odbyć z Callanem rozmowę wychowawczą.

- Masz jakiś problem? - spytał go Scachi.

- Tak, ze strzelaniem do pieprzonych chłopów. Mieli puste ręce, Sal.

- Nie bawimy się tu w Wersal - odparł Sal. - Tu nie ma kodeksu honorowego. Chciałeś natknąć się na nich w dżungli, z AK w rękach? Poczuliś się lepiej, gdybyś miał ofiary? To jest cholerna wojna, Sparky.

- Tak, wiem, że to wojna.

- Płacą ci, prawda?

Jasne, pomyślał Callan, płacą mi.

Orzeł krzyczy dwa razy w miesiącu, gotówką.

- I dobrze cię traktują?

Jak jakiegoś króla, musi przyznać Callan. Steki co wieczór, jeśli tylko chcesz. Darmowe piwo, whisky, koka, jeśli wolisz. Callan czasami wciągał nieco koki, ale nie działało to na niego tak jak gorzała. Wielu Tangueros zażywa góry kokainy, a potem bierze kurwy, które zwożą im w weekendy, i rżnie je całą noc.

Callan kilka razy skorzystał z dziwek. Facet ma swoje potrzeby, ale to wszystko, po prostu zaspokojenie. Nie były to wysokiej klasy panienki, jak te z Białego Domu - głównie indiańskie kobiety przywiezione z pól naftowych na zachodzie. To nawet nie były kobiety, szczerze mówiąc. Głównie dziewczęta w tanich kieckach i z grubym makijażem.

Po tym, jak skorzystał z pierwszej, Callan czuł się bardziej smutny niż zaspokojony. Poszedł do małej kabiny na tyłach baraków. Gołe ściany z desek i wyrko z materacem. Dziewczyna próbowała mówić mu podniecające rzeczy, sądząc, że chce ich słuchać, ale wreszcie kazał jej się zamknąć i po prostu robić swoje.

Leżał tam potem, marząc o blondynce z San Diego.

Miała na imię Nora.

Była piękna.

Ale to było inne życie.

Po rozmowie ze Scachim Callan wziął się w garść i uczestniczył w kolejnych misjach. Los Tangueros dopadli kolejnych sześciu nieuzbrojonych „partyzantów” na brzegu rzeki, zastrzelili pół tuzina innych na placyku w sąsiedniej wiosce.

Fidel miał jedno słowo na określenie ich działań.

Limpieza, tak to nazywał.

Oczyszczanie.

Oczyszczali region z partyzantów, komunistów, przywódców robotniczych, agitatorów

- całego tego zasranego śmiecia. Callan podsłuchał, że nie tylko oni się tym zajmowali. Było wiele innych grup, innych rancz, innych ośrodków szkoleniowych w całym kraju. Wszystkie grupy miały przydomki - Muerte a Revolucionarios, ALFA 13, Los Tinados. W ciągu dwóch lat zabili ponad trzy tysiące działaczy, organizatorów, stronników i partyzantów. Do większości tych mordów doszło w oddalonych wioskach, zwłaszcza w twierdzy Medellín w dolinie Magdaleny, gdzie wszystkich wieśniaków płci męskiej zganiano i rozstrzelowano z karabinów maszynowych. Albo rozsiekivano maczetami, jeśli kule wydawały się za drogie.

Pozbyto się też mnóstwa innych ludzi poza komunistami - bezdomnych dzieciaków, homoseksualistów, narkomanów, włóczęgów.

Pewnego dnia Tangueros wyruszyli, by zlikwidować paru partyzantów, którzy przemieszczali się z jednej bazy do drugiej. Tak więc Callan i inni czekali przy drodze na autokar, zatrzymali go i wygonili wszystkich prócz kierowcy. Fidel przechodził wśród pasażerów, porównując ich twarze z fotografiami, które trzymał w ręku, a potem wypchnął z grupy pięciu mężczyzn i kazał ich wgonić do rowu.

Callan patrzył, jak mężczyźni klękają i zaczynają się modlić.

Nie wyszli poza *Nuestro Padre*, gdy Tangueros podziurawili ich pociskami. Callan odwrócił się i ujrzał, jak dwóch jego towarzyszy przykuwa szofera do kierownicy.

- Co wy robicie, do cholery? - wrzasnął.

Spuścili benzynę z baku do plastikowego wiadra i wylewali ją na kierowcę, a gdy mężczyzna błagał o litość, Fidel zwrócił się do pasażerów i obwieścił:

- To kara za przewożenie partyzantów!

Dwóch Tangueros odciągnęło Callana, gdy Fidel rzucił zapalniczkę na autobus.

Callan widział oczy szofera, słyszał krzyki i obserwował, jak jego ciało zwija się i tańczy w płomieniach.

Nigdy nie pozbędzie się wspomnienia tego smrodu.

(Siedząc teraz w tym barze w Puerto Vallarta, wciąż czuje palone mięso. Nie ma dość whisky na całym świecie, żeby zabić ten śwąd).

Tej nocy Callan się urznął. Napił się porządnie i pomyślał o przyłożeniu pocziwej dwudziestki dwójki do twarzy Fidela. Uznał jednak, że nie ma ochoty na samobójstwo, i zaczął się pakować.

Zatrzymał go jeden z Rodezyjczyków.

- Nie zwiejesz stąd na własnych nogach - powiedział mu.

- Zabiją cię, zanim przejdiesz kilometr.

Facet ma rację, nie przejdę tyle.

- Nic nie możesz zrobić - oznajmił Rodezyjczyk. - To Czerwona Mgła.

- Co to jest Czerwona Mgła? - spytał Callan.

Koleś spojrzał na niego dziwnie, a potem wzruszył ramionami.

- Skoro nie wiesz...

- Co to jest Czerwona Mgła? - Callan zadał pytanie Scachiemu podczas kolejnej wizyty Sala w Las Tangas. Przyjechał, żeby poprawić coraz bardziej gówniany nastrój Callana. Cholerny ajrysz siedział w baraku, spędzając czas z Johniem Walkerem.

- Gdzie usłyszałeś o Czerwonej Mgle? - zapytał Scachi.

- Nieważne.

- Więc lepiej zapomnij, że o tym słyszałeś.

- Kurwa, Sal. Jestem częścią czegoś i chcę wiedzieć, co to jest.

*

Nie, nie jesteś, pomyślał Scachi.

A nawet gdybyś był, nie mogę ci powiedzieć.

Czerwona Mgła to krytonim operacji koordynującej liczne działania zmierzające do „neutralizowania” ruchów lewicowych w Ameryce Łacińskiej. Program „Feniks” dla Ameryki Południowej i Środkowej. Poszczególni uczestnicy nie wiedzieli, że są koordynowani w ramach Czerwonej Mgły, ale Scachi, jako przedstawiciel Johna Hobbsa, musiał dbać o dzielenie się informacjami, dystrybucję środków, realizację celów i upewniać się, że nikt nikomu nie wlezie na ogon.

To nie była łatwa robota, ale Scachi idealnie się do niej nadawał. Zielony beret, okazjonalny współpracownik CIA, członek mafii, Sal miał po prostu zniknąć z armii i pracować jako przedstawiciel Hobbsa. A roboty było mnóstwo: Czerwona Mgła wymagała dosłownie setek prawicowych milicjantów i ich narkotykowych mecenasów, tysiąca oficerów i kilkuset żołnierzy, tuzinów oddzielnych agencji wywiadowczych i sił policyjnych.

I Kościoła.

Sal Scachi był kawalerem maltańskim i członkiem Opus Dei, żarliwie prawicowej, antykomunistycznej tajnej organizacji biskupów, kapłanów i oddanych świeckich w rodzaju Sala. Kościół katolicki toczył wojnę sam ze sobą, jego konserwatywni przywódcy walczyli z „teologami wyzwolenia” - lewicowymi, często marksistowskimi kapłanami i biskupami Trzeciego Świata - o duszę samego Kościoła. Kawalerowie maltańscy i Opus Dei działali ręką w rękę z prawicowymi milicjami, oficerami armii, a nawet - w razie potrzeby - z kartelami narkotykowymi.

A krew płynęła niczym wino podczas komunii.

Za większość płacono, bezpośrednio lub pośrednio, amerykańskimi dolarami. Bezpośrednio z amerykańskiej pomocy dla lokalnych armii, których oficerowie stanowili trzon szwadronów śmierci; pośrednio przez amerykańskie zakupy narkotyków - pieniądze z tego trafiały do karteli opłacających szwadrony śmierci.

Miliardy dolarów z pomocy gospodarczej, miliardy dolarów z narkotyków.

W Salwadorze prawicowe szwadrony śmierci mordowały lewicowych polityków i związkowców. W 1989 roku w kampusie Uniwersytetu Ameryki Środkowej w San Salvador oficerowie salwadorskiej armii zastrzelili z karabinów snajperskich sześciu jezuitów, służącą i jej córeczkę. W tym samym roku rząd Stanów Zjednoczonych przekazał pół miliarda dolarów na pomoc salwadorskiemu rządowi. Pod koniec lat osiemdziesiątych zginęło około siedemdziesięciu pięciu tysięcy ludzi.

Gwatemala podwoiła tę liczbę.

W długiej wojnie z marksistowskimi rebeliantami zginęło ponad sto pięćdziesiąt tysięcy osób, a kolejnych czterdziestu tysięcy nigdy nie odnaleziono. Na ulicach strzelano do bezdomnych dzieci. Mordowano studentów. Ścięto amerykańskiego hotelarza. Profesor uniwersytetu została zadżgana w sali wykładowej. Amerykańską zakonnice zgwałcono, zabito i rzucono na zwłoki jej towarzyszek. Równocześnie amerykańscy żołnierze szkolili, doradzali i dostarczali sprzęt, włącznie z helikopterami, którymi transportowano zabójców na miejsca masakr. Pod koniec lat osiemdziesiątych prezydent George Bush był tak zniesmaczony rzezią, że ostatecznie odciął fundusze i dostawy dla gwatemalskiej armii.

Wszędzie w Ameryce Łacińskiej działo się to samo - długi cień wojny między posiadającymi a nieposiadającymi, między prawicowcami a marksistami, z liberałami tkwiącymi między młotem a kowadłem.

Wszędzie panowała Czerwona Mgła.

Operację nadzorował John Hobbs.

Sal Scachi pracował dzień po dniu.

Kontakty z oficerami szkolonymi w Szkole Ameryk w Fort Benning w Georgii. Organizacja treningów, doradztwa technicznego, sprzętu, informacji. Pożyczanie środków latynoamerykańskim armiom i milicjom.

Jednym z tych środków był Sean Callan.

Ten facet to cholerny brudas, pomyślał Scachi, patrząc na Callana - długie, brudne włosy, skóra pożółkła po całych dniach chlania. Nie przypomina wojownika, ale wygląd bywa mylący.

Bez względu na wszystko, Callan ma talent.

A talent trudno znaleźć, więc...

*

- Zabieram cię z Las Tangas - powiedział Scachi.

- Świetnie.

- Mam dla ciebie inną robotę.

I faktycznie miał, wspomina Callan.

Luis Carlos Galán, kandydat partii liberalnej na prezydenta, który przodował w rankingach, został usunięty latem osiemdziesiątego dziewiątego. Bernardo Jaramillo Osa, przywódca Unión Patriótica, został zastrzelony, gdy wysiadał z samolotu w Bogocie rok później. Carlos Pizarro, kandydat M-19 na prezydenta, zginął od kuli zaledwie kilka tygodni później.

W związku z tym Seanowi Callanowi w Kolumbii grunt zaczął palić się pod nogami.

Scachi przestawiał go niczym konika na szachownicy. To tu, to tam, wykorzystując go do zbijania innych figur. Guadalupe Salcedo, Héctor Oqueli, Carlos Toledo - a potem tuziny innych. Callan zaczął gubić się w nazwiskach. Może i nie wiedział dokładnie, czym naprawdę jest Czerwona Mgła, ale cholernie dobrze wiedział, czym jest dla niego - krwią, czerwoną mgłą wypełniającą mu głowę.

Następnie Scachi przeniósł go do Meksyku.

- Po co? - spytał Callan.

- Dać ci trochę odsapnąć - padła odpowiedź. - Po prostu będziesz ochraniał kilka osób.

Pamiętasz braci Barrerów?

Jak mógłby zapomnieć? Całe to gówno w osiemdziesiątym piątym rozpoczęła wymiana kokainy za broń. Jimmy Brzoskwinia stanął po stronie Wielkiego Pauliego, który zaczął własną dziwną podróż.

Tak, Callan ich pamiętał.

Co z nimi?

- Są naszymi przyjaciółmi - powiedział Scachi.

Naszymi przyjaciółmi, pomyślał Callan. Dziwny dobór słów, zwrot, którego mafiosi używają na określenie innych mafiosów. Ja z pewnością nie należę do mafii, stwierdził Callan, a para meksykańskich handlarzy koką też nie, więc po co to pieprzenie?

- To dobrzy ludzie - wyjaśnił Scachi. - Wspomagają nasze wysiłki.

Tak, i to robi z nich zasrane anioły, uznał Callan.

Ale pojechał do Meksyku.

Bo niby dokąd mógłby się udać?

Teraz jest tu, w tym nadmorskim kurorcie, na przyjęciu z okazji Święta Zmarłych.

Postanowił wypić parę głębszych, ponieważ są w bezpiecznym miejscu w święto, więc nie powinno być żadnych kłopotów. A nawet jeśli będą, to jestem teraz lepszy na lekkim rauszu niż zupełnie trzeźwy.

Dopija ostatniego drinka, wtedy widzi, jak roztrzaskuje się wielkie akwarium, woda wylewa się, a dwóch ludzi pada w ten szczególny sposób, w jaki padają tylko zastrzeleni.

Callan kryje się za barowym stołkiem i wyciąga swoją dwudziestkę dwójkę.

Przez frontowe drzwi wdziera się około czterdziestu *federales* w czarnych mundurach, strzelających z biodra z M-16. Kule uderzają w pseudokamienne ściany jaskini; to świetnie, że są podrabiane, gdyż pociski wbijają się w nie, zamiast rykoszetować w tłum.

Potem jeden z *federales* odczepia granat z paska.

Callan wrzeszczy: „Na podłogę!”, jakby ktokolwiek mógł go usłyszeć albo zrozumieć. Strzela dwukrotnie w głowę funkcjonariusza, a ten pada, zanim zdążył odbezpieczyć granat, który toczy się nieszkodliwie po podłodze. Jednak kolejny *federale* rzuca drugi granat, który trafia w parkiet i wybuchu w dyskotekowym błysku. Kilku balangowiczów leży, wrzeszcząc z bólu, gdyż odłamki poharatały im nogi.

Ludzie po kostki brodzą w krwistej wodzie, wśród trzepoczących ryb. Callan czuje, że coś uderza go w stopę, ale to nie pocisk, tylko niebieski pokolec, piękny i zjadliwie niebieski w światłach klubu. Zatraca się na chwilę, obserwując rybę. W La Sirena wybuchu pandemonium, ludzie krzyczą i płaczą, próbując się wydostać, ale nie ma wyjścia, gdyż *federales* blokują drzwi.

I strzelają.

Callan cieszy się, że jest lekko zawiany. Działa na alkoholowo-irlandzkim autopilocie zawodowego zabójcy, jego umysł jest czysty i chłodny. Wie, że strzelcy nie są *federales*. To nie oblawa, tylko atak, a jeśli napastnicy są gliniarzami, to nie na służbie i zarabiają sobie na boku na wakacje. Szybko dociera do niego, że nikt nie przedostanie się przez frontowe drzwi - w każdym razie nikt żywy - i że musi być tylne wyjście, więc zanurza się w wodzie i zaczyna czołgać się w stronę zaplecza.

*

Ściana wody ratuje życie Adánowi.

Strąca go ze stołka i rzuca na podłogę, więc pierwsze serie i odłamki przelatują mu nad głową. Zaczyna się podnosić, ale wtedy instynkt bierze górę, gdy słyszy kule świszczące mu nad głową, i znowu opada na podłogę. Patrzy głupawo na pociski siekające kosztowny koral, teraz suchy i widoczny zza popękanych szyb, a potem podskakuje, gdy murena śmiga koło

niego. Spogląda na drugą ścianę, gdzie za wodospadem Fabián Martínez próbuje założyć majtki, podczas gdy jedna z Niemek, siedząca na skalnej półce, robi to samo. Raúl stoi ze spodniami wokół kostek i pistoletem w dłoni, strzelając przez wodospad.

Falszywi *federales* nie widzą przez wodną zasłonę. To ratuje życie Raúlowi, który stoi tam i strzela, dopóki nie kończy mu się amunicja. Wtedy rzuca broń, schyla się i wciąga spodnie. Następnie chwyta Fabiána za ramię i mówi:

- Rusz się, musimy stąd spadać.

Teraz bowiem *federales* torują sobie drogę przez tłum, szukając braci Barrerów. Adán widzi, że się zbliżają, wstaje i kieruje się na zaplecze, ślizga się i upada, wstaje znów, a wtedy *federale* wymierza karabin w jego twarz, uśmiecha się i Adán jest martwy. Tyle że uśmiech policjanta znika w gejzerze krwi, ktoś chwyta Adána za nadgarstek i pociąga w dół. Leży w wodzie na podłodze, twarzą twarz z jankesem, który mówi:

- Leż, dupku.

Wtedy Callan zaczyna strzelać do zbliżających się *federales* krótkimi, skutecznymi seriami - tratata, tratata - strącając ich niczym kaczki na strzelnicy. Adán spogląda w dół na martwego napastnika i ku swej zgrozie widzi, że kraby zdołały już wygryźć dziurę w jego twarzy.

Callan podczołguje się i zabiera dwa granaty zastrzelonym przez siebie facetom, potem szybko przeładowuje broń, wraca, chwyta Adána i strzelając do tyłu z drugiej ręki, popycha go w stronę zaplecza.

- Mój brat! - wrzeszczy Adán. - Muszę znaleźć brata!

- Padnij! - ryczy Callan, gdy eksplodują nad nimi pociski. Adán pada, a kule uderzają go w tył prawego uda. Zanurza twarz w wodzie, gdzie leży idiotycznie, obserwując, jak krew cieknie mu z nosa.

Nie może się ruszyć.

Mózg próbuje mu powiedzieć, żeby wstał, ale nagle czuje się wyczerpany, zbyt zmęczony, by się ruszyć.

Callan przykuca, chwyta Adána za ramię i wlecze w stronę drzwi z napisem BANOS. Niemal tam dociera, gdy Raúl uwalnia go od brzemienia.

- Trzymam go - mówi Raúl.

Callan kiwa głową. Kolejny cyngiel Barrerów osłania im tyły, strzelając za nimi w chaosie klubu. Callan kopem otwiera drzwi i chroni się w miarę spokojnym małym holu.

Z prawej widnieją drzwi oznaczone SIRENAS, z sylwetką syrenki; na drzwiach z lewej napisano POSEIDONES, widnieje na nich postać mężczyzny z długimi, kręconymi włosami i

brodą. Na wprost jest SALIDA i Raúl kieruje się do tego wyjścia.

Callan krzyczy: „Nie!” i odciąga go za kołnierz. W samą porę, ponieważ pociski wpadają przez otwarte drzwi, zupełnie jakby się tego spodziewał. Każdy, kto ma czas i dość ludzi, by zorganizować taką akcję, ustawi paru strzelców za tylnymi drzwiami.

Wpycha więc Raúlą w drzwi z napisem POSEIDONES. Za nim pojawia się kolejny strzelec. Callan wyciąga zawleczkę z jednego z granatów i rzuca go przez tylne drzwi, by zniechęcić kogokolwiek stamtąd do wejścia.

Potem wskakuje do męskiej łazienki i zamyka za sobą drzwi.

Słyszy, jak granat upada z głuchym łomotem.

Raúl sadza Adána na toalecie, a kolejny strzelec pilnuje drzwi, podczas gdy Callan ogląda zranioną nogę Adána. Pociski przeszły czysto na wylot, trudno jednak stwierdzić, czy złamały jakieś kości. Albo naruszyły tętnicę udową, w którym to przypadku Adán wykrwawi się, zanim zdołają mu pomóc.

Prawdę mówiąc, nic nie mogą zrobić, bo są w pułapce. Kurwa, myśli, zawsze wiedziałem, że umrę w sraczu. Potem rozgląda się; nie ma okna, czego się można spodziewać w amerykańskiej łazience, ale za to, wprost nad jego głową, widnieje świetlik.

Świetlik w męskim kiblu?

To kolejny z pomysłów Raúlą.

- Chcę, żeby łazienki wyglądały jak kabiny pasażerskie odwrócone na bok - wyjaśnił Adánowi, kiedy brat wyklócał się o świetliki. - No wiesz, jakby statek się przewrócił.

Świetlik więc ma kształt luku, łazienki są ozdobne i wszystko, poza umywalką i sedesem, jest przewrócone na bok. Tego właśnie pragniesz, myśli Callan, gdy wypileś kilka margarit i chcesz się wysiusiać - ataku choroby morskiej. Zastanawia się, ilu studentów wchodziło tu w całkiem niezłej formie, a potem wyrzygiwało się, gdy tylko rozejrzało się na boki. Nie zastanawia się nad tym dłużej, ponieważ ten cholerny luk nad nimi jest drogą wyjścia, więc wspina się na umywalkę i otwiera okno. Podskakuje, chwytą się krawędzi i podciąga; znajduje się na dachu. Powietrze jest słone i ciepłe. Wtyka głowę do środka i mówi:

- Dalej!

Fabián podskakuje i przedostaje się przez luk, następnie Raúl winduje Adána, a Callan i Fabián wciągają go na dach. Raúl ma problem z przecięnięciem się przez mały otwór, ale udaje mu się to akurat w chwili, gdy *federales* wywalają drzwi i zasypują pomieszczenie pociskami.

Wtedy ruszają, spodziewając się ujrzeć trupy i krzyczących, wijących się rannych. Nic z tego i zadziwieni rozglądają się, dopóki któryś nie zauważy otwartego luku i nie wespie się

do niego. Jednak następną rzeczą, jaką widzi, jest ręka Callana zrzucająca granat. Luk zamyka się; teraz w męskiej toalecie w La Sirena są martwi i krzyczące, poskręcane ciała.

Callan prowadzi przez dach na tył budynku. Alejki na zapleczu pilnuje tylko jeden *federale*; Callan neutralizuje go szybko dwoma strzałami w tył głowy. Potem z Raúlem ostrożnie opuszczają Adána do czekającego Fabiána.

Biegną alejką, Raúl z Adánem przerzuconym przez ramię, w stronę bocznej uliczki, gdzie Callan strzela w okno forda explorera i otwiera drzwi. Około trzydzieści sekund zabiera mu zwarcie przewodów i odpalenie silnika.

Dziesięć minut później są w izbie przyjęć szpitala Naszej Pani z Gwadelupy, gdzie rejestratorka słyszy nazwisko Barrera i nie zadaje dalszych pytań.

Adán ma szczęście - udo jest poszarpane, ale nie złamane, a arteria udowa nietknięta.

Raúl oddaje krew, trzymając telefon w drugiej ręce, a natychmiast jego *sicarios* ruszają w stronę szpitala lub przeszukują okolicę La Sirena w poszukiwaniu jakiegoś marudzącego człowieka Güero. Nie znajdują nikogo; oznajmiają tylko, że sześciu gości zginęło, a dziesięciu „*federales*” jest martwych lub rannych.

Jednak strzelcy Méndeza nie zdołali zabić braci Barrerów.

Dzięki Seanowi Callanowi.

- Wszystko, czego chcesz - mówi mu Adán.

W to Święto Zmarłych.

Musisz tylko poprosić.

Czego tylko zapragniesz.

*

Nastolatka przygotowuje własny *pan de muerto*.

Chleb zmarłych.

Tradycyjny słodki wypiek z ukrytą w środku niespodzianką, który - jak wie - don Miguel Ángel Barrera szczególnie lubi. A ponieważ osoba, która po ugryzieniu znajduje niespodziankę, ma szczęście, przygotowuje jedną bułkę specjalnie dla niego, żeby mieć pewność, że niespodzianka trafi wyłącznie do don Miguela.

Chce, żeby w tę specjalną noc wszystko było jak trzeba.

Ubiera się więc szczególnie starannie: w prostą, ale elegancką czarną sukienkę, czarne pończochy i szpilki. Powoli robi makijaż, szczególną uwagę zwracając na nakładanie tuszu do rzęs, a potem rozczesuje długie czarne włosy, dopóki nie zaczną lśnić. Sprawdza efekt w lustrze i to, co widzi, zadowala ją - skórę ma gładką i bladą, ciemne oczy błyszczą, włosy opadają miękko na ramiona.

Wchodzi do kuchni i kładzie specjalny *pan de muerto* na srebrnej tacy, otacza pomarańczowymi świecami, zapala je i idzie do celi jadalnej.

Barrera wygląda majestatycznie w bordowej marynarce od smokingu na srebrnej pizamie. Siostrzeńcy don Miguela dbają, żeby wuj miał wszelkie luksusy, które uczynią znośnym życie w więzieniu - dobre ubrania, dobre jedzenie, dobre wina i, cóż, ją.

Ludzie szepczą, że Adán Barrera tak troszczy się o wuja, żeby zduścić poczucie winy, ponieważ woli, by wuj siedział w więzieniu niż wtrącał się w kierowanie *pasador* Barrerów. Bardziej złośliwe języki twierdzą, że Adán sam wydał wuja, by przejąć rządy.

Dziewczyna nie wie, co z tego jest prawdą, i nie obchodzi jej to. Wie tylko, że Adán Barrera wyratował ją od nędzy życia w burdelu w Mexico City i wybrał na towarzyszkę dla swego wuja. Plotki mówią, że przypomina kobietę, którą niegdyś kochał don Miguel.

Na szczęście dla mnie.

Wymagania don Miguela nie są kłopotliwe. Gotuje dla niego, pierze mu ubrania, zaspokaja męskie potrzeby. Prawda, bije ją, ale nie tak często i mocno jak jej ojciec, a jego seksualne potrzeby nie są tak częste. Biję ją, potem ją bzyka, a jeśli jego *floto* nie staje, wpada w gniew i bije ją, dopóki nie wróci mu erekcja.

Można żyć gorzej, myśli dziewczyna.

A Adán Barrera wysyła jej pokazną sumę.

Ale nie tak pokazną jak...

Wyrzuca tę myśl z głowy i daje don Miguelowi *pan de muerto*.

Ręce jej się trzęsą.

Tío zauważa to.

Jej małe ręce drżą, gdy kładzie bułeczkę przed nim, a kiedy patrzy jej w oczy, są wilgotne, na skraju łez. Czy to smutek, pyta siebie. Czy strach? A gdy zagląda jej głębiej w oczy, dziewczyna spogląda na *pan de muerto*, a potem na niego. On już wie.

- Jest śliczna - mówi mężczyzna, spoglądając na wypiek.

- Dziękuję.

Czy słyszy drżenie w jej głosie? Lekkie wahanie?

- Usiądź, proszę - mówi, wstając i odsuwając dla niej krzesło. Dziewczyna siada, z rękoma zaciśniętymi na krawędziach mebla.

- Proszę, ugryź pierwsza - proponuje, wróciwszy na swoje miejsce.

- Och nie, to dla ciebie.

- Nalegam.

- Nie mogę.

- Nalegam.

To rozkaz.

Nie może się sprzeciwić.

Odłamuje więc kawałek bułki i podnosi do ust. W każdym razie próbuje - ręka jej drży tak bardzo, że z trudem trafia do ust. Mimo że stara się powstrzymać łzy, wypełniają jej oczy, a potem spływają, razem z tuszem, po policzkach, zostawiając na nich czarne smugi.

Patrzy na niego i pociąga nosem.

- Nie mogę.

- A mimo to chcesz mnie tym nakarmić.

Znów pociąga nosem, jednak dalej jej z niego cieknie.

Mężczyzna wręcza jej lnianą serwetkę.

- Wytrzymaj nos - mówi.

Dziewczyna wyciera.

Potem don Miguel stwierdza:

- Musisz zjeść ten chleb, który dla mnie upiekłaś.

- Proszę.

Potem dziewczyna spogląda w dół.

Czy moi siostrzeńcy już nie żyją, zastanawia się Tío. Güero nie ośmieliłby się mnie zabić, o ile nie usunąłby Adána i Raúla. Albo więc są martwi, albo niedługo będą, chyba że Güero znów coś schrzanił. Miejmy nadzieję, że tak, myśli i zapisuje w pamięci, żeby przy pierwszej okazji skontaktować się z siostrzeńcami, gdy tylko skończy się ta *triste* sprawa.

- Méndez zaproponował ci fortunę, prawda? - Miguel Ángel pyta dziewczynę. - Nowe życie dla ciebie, dla całej rodziny?

Ona przytakuje.

- Masz młodsze siostry, prawda? Twój ojciec pijak je molestuje? Z pieniędzmi Méndeza mogłabyś je stamtąd zabrać, stworzyć im dom?

- Tak.

- Rozumiem - mówi Tío.

Spogląda na niego z nadzieją.

- Jedz. To miłosierna śmierć, czyż nie? Wiem, że nie chciałybyś, żebym umierał wolno i w męczarniach.

Dziewczyna wzdraga się przed wzięciem chleba do ust. Ręka jej się trzęsie, pozostawiając okruszki przylepione do czerwonej szminki. A teraz wielkie, ciężkie łzy kapią na pieczywo, niszcząc cukrową polewę, którą tak starannie nałożyła.

- Jedz.

Odgryza kawałek, ale nie może przełknąć, więc mężczyzna nalewa kieliszek czerwonego wina i wkłada jej w rękę. Ona sączy płyn i to chyba pomaga, splukuje nim bułkę, a potem znów gryzie i znów pije.

Tío nachyla się nad stołem i gładzi jej włosy wierzchem dłoni. Cicho mruczy: „Wiem, wiem”, a drugą ręką wkłada dziewczynie do ust kolejny kawałek wypieku. Ona rozchyła wargi, kęs spoczywa na języku, zapija go winem. Wtedy strychnina zaczyna działać; głowa jej opada, oczy rozszerzają, a śmiertelny bełkot gulgocze między rozchylonymi wargami.

Każę rzucić jej ciało psom za płot.

*

Parada zapala papierosa.

Zaciąga się, gdy schyla się, wkłada buty i zastanawia, czemu go obudzono bladym świtem, jaka to „pilna osobista sprawa” nie mogła poczekać do wschodu słońca. Mówi gosposi, żeby zaprowadziła ministra edukacji do gabinetu, a on zaraz wróci.

Parada zna Cerro od lat. Był biskupem w Culiacán, kiedy Cerro zajmował stanowisko gubernatora Sinaloi, a nawet ochrzcił dwoje nieślubnych dzieci polityka. Czy Miguel Ángel Barrera w obu przypadkach nie był ojcem chrzestnym? - pyta się Parada. Z pewnością to Barrera załatwiał z nim wszystkie sprawy, duchowe i świeckie, nieślubnego potomstwa Cerro, kiedy gubernator wykorzystał pewną dziewczynę z wioski. No cóż, przynajmniej przyszli do mnie, a nie na skrobankę, to nieco świadczy na jego korzyść.

Ale, myśli, wciągając przez głowę stary sweter, jeśli to kolejna nastolatka jest w stanie błogosławionym, to się poważnie wkurzę. Cerro powinien nabrać rozważli z wiekiem. Z pewnością mógłby uczyć się na własnych błędach, ale dlaczego - zerka na zegar - musi to być o czwartej rano?

Dzwoni po gospodynię.

- Kawę poproszę - mówi jej Parada. - Dla dwóch osób, do gabinetu.

Ostatnio jego kontakty z Cerro oscylowały między dyskutowaniem a pochlebianiem, zebraniem a grożeniem, gdy prosił ministra edukacji o nowe szkoły, książki, dożywianie i więcej nauczycieli. Były to nieustanne negocjacje, w czasie których Parada balansował na krawędzi szantażu, zapewniając Cerro, że wioski nie powinny być traktowane jak „bękart” - aluzja najwyraźniej warta dwóch podstawówek i tuzina nowych nauczycieli.

Być może to zemsta Cerro, myśli Parada, schodząc na dół. Ale gdy otwiera drzwi do swego gabinetu i widzi twarz ministra, wie, że sprawa jest dużo poważniejsza.

Cerro przechodzi od razu do sedna.

- Umieram na raka.

Parada jest ogłuszony.

- Bardzo mi przykro. Czy mogę jakoś...

- Nie. Nie ma nadziei.

- Chciałbyś, żebym cię wypowiedział?

- Nie, od tego mam księdza - odpowiada Cerro.

Wręcza Paradzie aktówkę.

- Przyniosłem to ojcu. Nie znam nikogo innego, komu mógłbym to dać.

Parada otwiera teczkę, patrzy na papiery i taśmy i stwierdza:

- Nie rozumiem.

- Uczestniczyłem - oznajmia Cerro - w wielkiej zbrodni. Nie mogę umrzeć... Boję się umrzeć... z tym grzechem na duszy. Muszę przynajmniej spróbować zadośćuczynić.

- Na pewno, jeśli wyznasz wszystko, otrzymasz rozgrzeszenie. Ale jeśli to są dowody, to czemu mi je przyniosłeś.? Dlaczego nie do prokuratora, albo...

- Jego głos jest na tych taśmach.

Tak, to może być powód, myśli Parada.

Cerro nachyla się i szepcze:

- Prokurator generalny, sekretarz spraw wewnętrznych, przewodniczący PRI. Prezydent. Oni wszyscy. My wszyscy.

Dobry Boże, myśli biskup.

Co jest na tych taśmach?

Wypala półtorej paczki, słuchając nagrań.

Odpalając jednego papierosa od drugiego, słucha taśm i czyta dokumenty. Notatki ze spotkań, zapiski Cerro. Nazwiska, daty i miejsca. Zapis piętnastu lat korupcji - nie, nie zwykłej korupcji. To byłoby smutną normą, a to jest niezwykle. Więcej niż niezwykle - trudno znaleźć słowa.

Najprościej mówiąc, sprzedali kraj *narcotraficantes*.

Nie uwierzyłyby, gdyby nie usłyszał na własne uszy: taśmy z obiadu - dwadzieścia pięć milionów dolarów od talerza - żeby pomóc wybrać obecnego prezydenta. Morderstwa komisarzy wyborczych, a potem kradzież samych wyborów. Głosy brata prezydenta i prokuratora generalnego planujących te zbrodnie.

I nagabywanie mafiosów, żeby za to zapłacili. I popełnili morderstwa. Oraz torturowanie i zamordowanie amerykańskiego agenta Hidalgo.

Była jeszcze operacja „Cerber”, spisek, żeby opłacić, wyposażyć i wyszkolić Contrás za

pieniądze ze sprzedaży kokainy.

I operacja „Czerwona Mgła”, morderstwa opłacane częściowo przez kartele narkotykowe z Kolumbii i Meksyku i wspierane przez PRI.

Nic dziwnego, że Cerro boi się piekła - pomógł stworzyć je tutaj.

Rozumiem już, czemu przyniósł dowody do mnie. Głosy na taśmach, nazwiska w notatkach - prezydent, jego brat, sekretarz stanu, Miguel Ángel Barrera, García Abrego, Güero Méndez,

Adán Barrera, tłumy oficerów policji, armii i wywiadu, urzędnicy PRI - nikt w Meksyku nie zająłby się tym.

Więc Cerro przynosi je do mnie. Chce, żebym przekazał je...

Komu?

Zamierza zapalić kolejnego papierosa, ale ku swemu zaskoczeniu czuje, że ma dość palenia - czuje niesmak w ustach. Idzie na górę i myje zęby, potem bierze bardzo gorący prysznic, pozwalając wodzie masować kark. Może powinien przekazać dowody Arthurowi Kellerowi.

Utrzymuje regularną korespondencję z Amerykaninem, obecnie niestety *persona non grata* w Meksyku, opętany obsesją zniszczenia karteli narkotykowych. Ale przemyśli to, mówi sobie: jeśli dasz to Arthurowi, co się stanie, zważywszy szokujące rewelacje o operacji „Cerber” i współpracy CIA z Barrerami w zamian za fundusze dla Contras? Czy Arthur ma dość wpływów, żeby się tym zająć, czy też zdławi go obecna administracja? Czy którakolwiek administracja, zwłaszcza tak skupiona na traktacie NAFTA?

NAFTA, myśli Parada z niechęcią. Urwisko, w stronę którego zmierzamy razem z Amerykanami. Ale jest nadzieja. Nadchodzą wybory prezydenckie, a kandydat PRI - który, z konieczności, wygra - wydaje się dobrym człowiekiem. Luis Donaldo Colosio jest nieodrodnym synem lewicy, który posłucha rozsądku. Parada rozmawiał z nim, a facet jest życzliwy.

A jeśli te zadziwiające dowody, które przyniósł umierający Cerro, zdyskredytują dinozaury z PRI, to może to pomóc Colosio w podążaniu za własnymi prawdziwymi instynktami. Czy powinienem jemu przekazać informację?

Nie, myśli Parada, Colosio nie może wiedzieć, co szykuje się przeciwko jego partii - to pozbawiłoby go nominacji.

Więc kto, zastanawia się Parada, gdy mydli twarz i zaczyna się golić, ma autonomię, władzę, prawo moralne, by wyciągnąć na światło dzienne fakt, iż cały rząd państwa sprzedał się kartelowi handlarzy narkotyków? Kto?

Odpowiedź przychodzi nagle.

To oczywiste.

Czeka do przyzwoitej pory, a potem dzwoni do Antonucciego i mówi mu, że chciałby powierzyć ważną informację papieżowi.

*

Opus Dei założył w 1928 roku bogaty hiszpański prawnik, który został księdzem, Josemaría Escrivá, przekonany, że Uniwersytet Madrycki stał się matczynikiem lewicowego radykalizmu. Był tym tak zmartwiony, że jego nowa organizacja katolickiej elity walczyła po stronie faszystów w hiszpańskiej wojnie domowej, a przez następne trzydzieści lat pomagała umacniać władzę generała Franco. Pomysł polegał na werbowaniu utalentowanych, młodych świeckich konserwatystów, których kierowano do rządu, prasy i wielkiego biznesu, by przepajali je „tradycyjnymi” katolickimi wartościami - szczególnie antykomunizmem - i w swych dziedzinach wykonywali zadania Kościoła.

Salvatore Scachi - pułkownik sił specjalnych, cenny nabytek CIA, kawaler maltański i doradca mafii - jest wypróbowanym i lojalnym członkiem Opus Dei. Spełnił wszystkie wymagania - uczęszczał codziennie na mszę, spowiadał się jedynie księdzu z Opus Dei i regularnie udawał się do ośrodków Opus Dei.

I był dobrym żołnierzem. Walczył z komunistami w Wietnamie, Kambodży i Żłotym Trójkącie. Toczył wojny w Meksyku, w Ameryce Środkowej za pośrednictwem „Cerbera”, a Ameryce Południowej poprzez „Czerwoną Mgłę” - wszystkim tym operacjom grozi ujawnienie przez teologa wyzwolenia Paradę. Siedzi teraz w gabinecie Antonucciego, rozważając, co zrobić z informacją, którą kardynał Juan Parada chce przekazać Watykanowi.

- Mówisz, że Cerro przyszedł do niego? - pyta Scachi Antonucciego.

- Tak mi powiedział Parada.

- Cerro wie dość, żeby obalić rząd.

- Nie możemy obciążać Ojca Świętego tą informacją - stwierdza Antonucci. Ten papież wspierał Opus Dei, nawet ostatnio beatyfikował ojca Escrivę, co stanowi pierwszy krok do kanonizacji. Zmuszenie go do poznania dowodów zamieszania zakonu w brutalne akcje przeciwko światowemu spiskowi komunistycznemu byłoby co najmniej krępujące. Jeszcze gorszy byłby skandal dotyczący obecnego rządu w chwili, gdy trwają negocjacje w sprawie przywrócenia Kościołowi pełnego statusu prawnego w Meksyku. Nie, te rewelacje obaliłyby rząd wraz z negocjacjami i nadały impetu heretyckim teologom wyzwolenia - w tym wielu mającym dobre intencje „pożytecznym idiotom”, którzy pomogliby komunistom zdobyć władzę.

Wszędzie to samo, myśli Antonucci - głupi, zmyleni, liberalni księża pomagają przejąć ster komunistom, potem czerwoni mordują kapłanów. Tak było w Hiszpanii i dlatego błogosławiony Escrivá założył zakon.

Jako członkowie Opus Dei Antonucci i Scachi doskonale znali koncepcję mniejszego zła, a dla Sala Scachiego zło korupcji było mniej istotne niż pokonanie komunizmu. Myślał też o czymś innym - o traktacie NAFTA, wciąż dyskutowanym w Kongresie. Jeśli Parada ujawni swoje dowody, pogrzyży traktat. A bez niego nie będzie szans na rozwój meksykańskiej klasy średniej, co stanowi jedyne długofalowe antidotum na trujący jad komunizmu.

Teraz Antonucci mówi:

- Mamy szansę zrobić coś wielkiego dla dusz milionów wiernych - przywrócić prawdziwy Kościół narodowi meksykańskiemu, zaskarbiając sobie wdzięczność rządu Meksyku.

- Jeśli ukryjemy tę informację.

- Właśnie.

- Ale to nie takie proste - mówi Scachi. - Parada najwyraźniej wie coś, co ujawni, jeśli nie zauważy...

Antonucci wstaje.

- Muszę zostawić takie przyziemne szczegóły braciom świeckim. Nie znam się na takich rzeczach.

Ale Scachi się zna.

*

Adán leży w łóżku na Rancho las Bardas, wielkiej posiadłości-twierdzy Raúla obok drogi między Tijuana a Tecate.

Główna część mieszkalna, złożona z oddzielnych domów dla Adána i Raúla, otoczona jest przez prawie trzymetrowy mur zwieńczony drutem kolczastym i tłuczonym szkłem. Są tu dwie bramy, każda z masywnymi, wzmocnionymi stalą wrotami. Wieże z reflektorami umieszczono w rogach, obsadzają je strażnicy z AK-47, karabinami maszynowymi M-50 i chińskimi wyrzutniami raketowymi.

Aby tu dotrzeć, należało pojechać dwie mile w bok od autostrady polną drogą; wjazd w tę drogę był trudny, gdyż skrzyżowania z autostradą przez okrągły tydzień pilnowali policjanci stanu Baja po cywilnemu.

Tutaj więc przyjechali bracia zaraz po ataku na dyskotekę La Sirena; rancho żyło teraz w stanie podwyższonej gotowości. Strażnicy patrolowali mury dzień i noc, drużyny w

dżipach objeżdżały okolicę, technicy elektronicznie przeszukiwali obszar w poszukiwaniu transmisji radiowych i kart SIM.

A Manuel Sánchez siedzi pod oknem sypialni Adána niczym wierny pies. Jesteśmy teraz bliźniakami, myśli Adán, z identycznym bezwładem. Mój jest jednak tymczasowy, a jego stały i dlatego zatrudniam go jako ochroniarza od tylu lat, od operacji „Kondor”.

Sánchez nie opuści posterunku - nie będzie jadł ani spał.

Po prostu oprze się o ścianę z karabinem na kolanach, a z rzadka wstanie i przejdzie się wzdłuż muru.

- Powinienem tam być, *patrón* - powiedział Adánowi ze łzami ciekącymi po twarzy. - Powinienem być z panem.

- Masz chronić mój dom i rodzinę - odpowiedział Adán. - I nigdy mnie nie zawiodłeś.

I nigdy nie zawiedzie.

Nie opuści okna Adána. Kucharze przynoszą mu talerze z ciepłymi tortillami z *refritas* i papryką oraz miski gorącej *albóndigas*, a on je, siedząc pod oknem. Ale nie odejdzie: don Adán ocalił mu życie i nogę, a don Adán, jego żona i córka są w tym domu. Jeśli *sicarios* Güero jakoś się przedrą przez mur, będą musieli pokonać Manuela Sáncheza, żeby ich dostać.

A nikt nie pokona Manuela.

Adán cieszy się, że jest tutaj, choćby dlatego, że to daje Lucii i Glorii poczucie bezpieczeństwa. Są po denerwujących przejściach, obudzone w środku nocy przez *sicarios* Barrery i zabrane na wieś bez szansy na spakowanie się. Zamęt doprowadził do poważnego epizodu z respiratorem; do chorej dziewczynki trzeba było sprowadzić lekarza, z zasłoniętymi oczami. Kosztowny i delikatny sprzęt medyczny - respiratory, namioty tlenowe, nawilżacze - spakowano w domu i przywieziono w środku nocy, a nawet teraz, kilka tygodni później, Gloria wciąż ma objawy.

A gdy zobaczyła go kulejącego, zboląłego, przeżyła kolejny szok; fatalnie się czuł, kłamiąc, że miał wypadek motocyklowy. Zełgał jeszcze, że muszą przez jakiś czas zostać na wsi, bo tutejsze powietrze lepiej jej posłuży.

Gloria jednak nie jest głupia. Widzi wieżyczki, broń, strażę i wkrótce przejrzy ich wyjaśnienie, że rodzina jest bardzo bogata i potrzebuje ochrony.

A wtedy zacznie zadawać trudniejsze pytania.

Na które trudniej odpowiedzieć.

Jak tata zarabia na życie.

Czy zrozumie? - zastanawia się Adán. Jest niespokojny, podminowany, zmęczony rekonwalescencją. I szczerze mówiąc - tęskni za Norą, mówi sobie. Tęsknisz za nią w twoim

łóżku i przy twoim stole. Dobrze byłoby porozmawiać z nią o tej sytuacji.

Zdołał zadzwonić do Nory dzień po ataku na La Sirena. Wiedział, że widziała wszystko w telewizji albo czytała w gazetach i chciał jej powiedzieć, że z nim wszystko w porządku, że minie kilka tygodni zanim znowu się zobaczą. A najważniejsze, żeby trzymała się przez ten czas z daleka od Meksyku, dopóki nie da jej sygnału, że jest bezpiecznie.

Odpowiedziała dokładnie tak, jak sobie wyobrażał, jak liczył. Podniosła słuchawkę po pierwszym dzwonku i Adán wyczuł jej ulgę, kiedy usłyszał jego głos. Potem szybko zaczęła żartować, mówiąc, że jeśli dał się uwieść innej syrenie niż ona, to dostał to, na co zasłużył.

- Dzwon do mnie - powiedziała.

Chciałbym, myśli, boleśnie rozciągając nogę. Nawet nie wiesz, jak bardzo bym chciał.

Męczy go leżenie w łóżku więc siada, powoli opuszczając ranną nogę, po czym wstaje. Chwyta laskę i kuśtyka do okna. Jest piękny dzień. Słońce przygrzewa, ptaki ćwierkają - dobrze jest żyć. Noga zdrowieje szybko, nie ma zakażenia - wkrótce odzyska sprawność. To dobrze, ponieważ wiele jest do zrobienia, a czasu mało.

Prawda, martwi się. Atak na La Sirena, fakt, że użyli mundurów i oznak *federales* - to musiało kosztować setki tysięcy w *mordida*. A to, że Güero czuł się dość silny, by złamać zakaz przemocy w kurorcie, musi oznaczać, że jego interes idzie lepiej niż myśleli.

Ale jakim cudem? - zastanawia się Adán. Jak ten facet przewozi swój towar przez La Plaza, którą zamknęło przed nim *pasador* Barrerów? I jak Güero zdobył poparcie Mexico City i jego *federales*?

Czy Abrego dołączył do Güero? Czy Güero przypuściłby szturm na La Sirena bez zgody starego? A jeśli tak, za wsparciem Abrego pójdzie pomoc ze strony brata prezydenta, El Bagmana, i całego rządu federacyjnego.

Nawet w Baja toczy się wojna między lokalnymi gliniarzami

- Barrerowie mają policję stanową, a Güero *federales*. Miejska policja Tijuany pozostaje mniej więcej neutralna, pojawił się jednak nowy gracz w mieście - Specjalna Grupa Taktyczna, elitarna grupa w rodzaju Niedotykalnych, dowodzona przez samego nieprzekupnego Antonia Ramosa. Jeśli on kiedykolwiek sprzymierzy się z *federales*...

Dzięki Bogu, że nadchodzą wybory, myśli Adán. Jego ludzie dyskretnie zbliżyli się do faworyta PRI, Colosia, ale bez skutku. Ale Colosio przynajmniej daje gwarancję, że jest wrogiem handlu narkotykami - po wyborze z równą energią będzie zwalczał Barrerów i Méndeza.

Tymczasem jednak to pojedynek my - kontra reszta świata, myśli Adán.

I tym razem reszta świata wygrywa.

*

Callanowi wcale się to nie podoba.

Siedzi na tylnym siedzeniu skradzionego, krwiście czerwonego suburbana - ulubionego pojazdu kowbojów *narcotraficante* - obok Raúla Barrery, który krąży po Tijuanie jakby był cholernym burmistrzem. Jadą bulwarem Díaz Ordaz, jedną z najruchliwszych ulic miasta. Kieruje oficer policji stanowej, drugi siedzi na miejscu pasażera. Ma na sobie kompletny strój kowboja z Sinaloi, od butów do czarnej koszuli z perłowymi guzikami i białego kowbojskiego kapelusza.

Nie tak się prowadzi wojnę, myśli Callan. Ci faceci powinni działać jak starzy Sycylijczycy - wejść na matę, przyciąć się, ruszyć zniecka. Ale to nie po meksykańsku, dowiedział się Callan. Nie, Meksykanin działa jak macho - idzie i macha chorągwią.

Raúl więc chce być widziany.

Callana nie dziwi to, że dwa czarne suburbany pełne *federales* w czarnych mundurach zaczynają jechać za nimi bulwarem. To niedobrze, uważa Callan.

- Raúl...

- Widzę ich.

Każe kierowcy skręcić w prawo w boczną uliczkę, obok gigantycznego pchłego targu.

Güero siedzi w drugim czarnym suburbanie. Wygląda i widzi jak ten jaskrawoczerwony wóz skręca w prawo, a z tyłu, jak sądzi, zauważa Raúla Barrerę.

A właściwie najpierw zauważa klauna.

Głupio roześmiana twarz klauna została namalowana na murze gigantycznego targowiska, które rozciąga się wzdłuż dwóch przecznic. Klaun ma ten charakterystyczny wielki czerwony nos, białą twarz, perukę i wszystkie atrybuty; Güero mruga i potem skupia uwagę na facecie na tylnym siedzeniu czerwonego suburbana z kalifornijską rejestracją; z całą pewnością cholernie przypomina Raúla.

- Zepchnij go - poleca szoferowi.

Prowadzący czarny suburban rusza do przodu i zmusza czerwony samochód do zjechania do krawężnika. Pojazd Güero staje za nim i blokuje czerwone SUV.

O kurwa, myśli Callan, gdy *comandante federale* wysiada i podchodzi do nich, celując z M-16, z dwoma swoimi chłopakami z tyłu. To nie mandat za szybką jazdę. Opuszcza się nieco na siedzeniu, powoli wyjmuje dwudziestkę dwójkę z kabury i kładzie pod lewym przedramieniem.

- Mamy obstawę - mówi Raúl.

Callan nie jest taki spokojny, ponieważ lufy karabinów sterczą z okien czarnych

suburbanów niczym muszkiety z wozów na Dzikim Zachodzie. Jeśli wkrótce nie nadjedzie kawaleria, nie będzie nawet co pochować na tej prerii.

Zasrany Meksyk.

Güero opuszcza prawe tylne okno, kładzie swoje AK na krawędzi drzwi, przesuwa przełącznik na ogień ciągły i jest gotów zmieść Raúla.

*

Kierowca, gliniarz z policji stanowej, opuszcza szybę i pyta:

- Jakiś problem?

Tak, najwyraźniej tak, ponieważ *comandante federale* dostrzega Raúla kątem oka i zaczyna naciskać spust swojego M-16.

Callan strzela z biodra.

Dwa pociski trafiają *comandante* w czoło.

M-16 uderza o chodnik w chwili jego śmierci.

Dwaj stanowi policjanci z przedniego siedzenia strzelają wprost przez przednią szybę. Raúl siedzi z tyłu, posyła kule między uszami chłopaków z przodu; wrzeszczy i strzela, ponieważ jeśli to ostatnia *Arriba*, zamierza odejść z klasą. W stylu, o którym *narcocorridos* będą śpiewać latami.

Tyle, że on nie odejdzie.

Güero namierzył jaskrawoczerwonego suburbaną, ale nie zauważył niepozornego forda aerostara i volkswagena jetty, które wlokły się za nim; teraz dwa skradzione wozy ryczą silnikami i osaczają *federales*.

Fabián wyskakuje z aerostara i kosi *federale* serią z AK przez pierś. Raniony policjant próbuje schować się pod czarnym suburbanem, ale jeden z jego kolegów, zauważywszy, że przewaga jest po stronie przeciwnika, zmienia front. Podnosi M-16 i gdy mężczyzna prosi o litość, skraca jego męki, strzelając w podniesione ręce i w twarz, a potem szuka akceptacji u Fabiána.

Ten zabija go dwoma strzałami w głowę.

Kto by potrzebował takiego tchórza?

Callan przyciska Raúla do siedzenia i krzyczy:

- Musimy cię stąd zabrać!

Callan otwiera drzwi i wytacza się na chodnik. Strzela pod samochodem do wszystkiego, co ma czarne spodnie, podczas gdy Raúl wylazi za nim. Ostrzeliwując się, zaczynają torować sobie drogę do głównego bulwaru.

Totalna porażka, myśli Callan.

Gliniarze nadjeżdżają ze wszystkich stron, samochodami, motocyklami i pieszo. Federalni, stanowi i miejscy - nie wiedzą, kto jest kim - to jakaś cholerna wolnoamerykanka.

Każdy usiłuje zrozumieć, do kogo ma strzelać i równocześnie do kogo nie. Strzelcy Fabiána przynajmniej wiedzą, do kogo celować i metodycznie eliminują *federales*. Ale ci faceci są twardzi, ostrzeliwiają się, a pociski latają we wszystkie strony; jakiś głupek po drugiej stronie ulicy stoi ze swoją ośmiomilimetrową kamerą Sony, próbując sfilmować całą rozróbę. Opatrzność czuwa nad idiotami i pijanymi, więc przeżywa dziesięciominutową strzelaninę, ale wielu innych nie.

Trzej *federales* są martwi, trzej inni ranni. Dwóch *sicarios* Barrery - włącznie z jednym policjantem stanowym - padło, dwaj odnieśli poważne rany, podobnie jak siedmiu postrzelonych gapiów. I w pewnej surrealistycznej chwili, jaka może się wydarzyć tylko w Meksyku, pojawia się biskup Tijuany, który przypadkiem był w okolicy. Chodzi od jednego ciała do drugiego, udzielając ostatniego namaszczenia zmarłym i pocieszając żywych. Nadjeżdżają karetki, radiowozy i wozy telewizyjne. Brakuje tylko stadka karłów wysypujących się z małego samochodu.

Klaun już się nie śmieje.

Uśmiech został dosłownie zdarty z jego twarzy, nos ma podziobany przez pociski; na krawędziach źrenic pojawiły się świeże dziury, więc wygląda jakby zezował.

Güero dał za wygraną - większość strzelaniny spędził na podłodze swojego suburbana, a potem wyslizgnął się przez przeciwległe drzwi i oddalił się chyłkiem tak, że nikt go nie widział.

Jednak mnóstwo osób widziało Raúla. On i Callan wycofywali się ulicą, ramię w ramię. Raúl ostrzeliwał się z AK, Callan precyzyjnie mierzył ze swej dwudziestki dwójki.

Callan widzi Fabiána wskazującego do aerostara. Cofa wóz, mimo iż opony zostały przestrelone. Jedzie na felgach - spod kół pryskają iskry - zrównuje się z Callanem i Raulem. Krzyczy:

- Wsiadajcie!

Nie ma sprawy, myśli Callan. Ledwo wcisnął się w drzwi, a już Fabián naciska na gaz i pędzi ulicą. Wtedy uderza w kolejnego pieprzonego suburbana, który zablokował przecnicę. Samochód wypełniają detektywi po cywilnemu, z uniesionymi w gotowości M-16.

Callan czuje ulgę, gdy Raúl rzuca AK, unosi rękę i uśmiecha się.

*

Tymczasem Ramos i jego chłopcy gotowi są kopać tyłki, tyle że większość tyłków leży we krwi na chodniku albo dawno związała. Na ulicy brzęczy niczym w ulu, Ramos słyszy

plotkę, że policja aresztowała jednego z Barrerów.

To był Adán.

Nie, Raúl.

Nieważne, który to z cholernych Barrerów, myśli Ramos, został aresztowany, tylko dokąd go zabrali?! To istotne, ponieważ jeśli to byli *federales*, to zapewne wywieźli go na jakiś śmietnik i tam go zastrzelą. Jeśli natomiast to policja stanowa, to zabiorą go w bezpieczne miejsce, a jeśli miejska - to Ramos wciąż może odbić Barrerę.

Byłoby dobrze, gdyby chodziło o Adána.

Równie dobrze, gdyby to był Raúl.

Ramos przepytuje kolejnych świadków, dopóki nie zjawia się umundurowany miejski glina, który mówi, że detektywi z miejskiego wydziału zabójstw skuli jednego z Barrerów i dwóch innych facetów i odjechali z nimi.

Ramos gna do komendy.

Papieros tkwi w jego ustach, esposa leży na biodrze, gdy wdziera się do pomieszczeń wydziału zabójstw akurat w chwili, kiedy głowa Raúla znika za tylnymi drzwiami. Ramos unosi pistolet, żeby posłać kulkę w tył tej głowy, ale gliniarz łapie go za lufę.

- Spokojnie - mówi detektyw.

- Kto to był, do cholery? - pyta Ramos.

- Kto był kim, do cholery?

- Ten facet, który właśnie zastrzelił kupę gliniarzy. Chyba że nic to was nie obchodzi.

Najwyraźniej nie, ponieważ funkcjonariusze od zabójstw wypuszczają Raúla, Fabiána i Callana, a jeśli wstydzą się tego, to Ramos nie dostrzega tego uczucia na ich twarzach.

*

Adán ogląda wszystko w telewizji.

Wszędzie wiadomości.

Słyszy, jak reporterzy bez tchu donoszą, że został aresztowany. Albo jego brat, zależnie od tego, którą stację włączy. Jednak wszystkie kanały komentują, że już drugi raz w ciągu paru tygodni bezbronni obywatele znaleźli się w środku strzelaniny pomiędzy rywalizującymi gangami narkotykowymi w sercu miasta. Coś trzeba zrobić, żeby położyć kres przemocy między kartelami z Baja.

I coś wkrótce zostanie zrobione, myśli Adán. Mieliśmy szczęście, że przeżyliśmy dwa ataki, ale w końcu fart nas opuści.

Będziemy skończeni.

A kiedy zginę, Güero wytropi Lucię i Glorię i zamorduje je. Chyba że znajdę - i

zlikwiduję źródło nowo zdobytej potęgi Güera.

Skąd ona pochodzi?

*

Ramos i jego ludzie pustoszą magazyn koło granicy, po stronie meksykańskiej. Doprowadził ich tam dobry cynk i znaleźli stopy pakowanej próżniowo kokainy. Skuli około tuzina robotników Güero Méndeza, a Ramos zauważa, że wszyscy zerkają na wózek widłowy zaparkowany w kącie.

- Gdzie są kluczyki? - pyta kierownika magazynu.

- W górnej szufladzie biurka.

Ramos wydostaje kluczyki, wskazuje na wózek i cofa. Ledwo wierzy własnym oczom.

Wejście do tunelu.

- Robicie mnie w konia? - pyta głośno Ramos.

Schodzi z wózka, chwytając kierownika i stawia go na nogi.

- Są tam ludzie? Miny pułapki?

- Nie.

- Jeśli są, wróć i zabiję cię.

- Przysięgam.

- Są tam światła?

- *Sí*.

- Włącz je.

Pięć minut później Ramos z esposą w jednej ręce schodzi po drabinie przymocowanej do ściany tunelu.

Dwadzieścia metrów głębokości.

Szyb ma około dwóch metrów wysokości i jednego szerokości, z betonową posadzką i ścianami. Do sufitu przymocowano fluorescencyjne oświetlenie. System wentylacyjny pompuje świeże powietrze. Na podłodze ułożono wąskie tory, po których można pchać wózki.

- Chryste - myśli Ramos - dobrze, że nie ma lokomotywy. Na razie.

Idzie wzdłuż tunelu na północ, w stronę Stanów Zjednoczonych. Potem przychodzi mu do głowy, że powinien skontaktować się z kimś po drugiej stronie zanim przekroczy granicę, nawet pod ziemią. Wychodzi na powierzchnię i dzwoni w kilka miejsc. Dwie godziny później znów schodzi po drabinie z Artem Kellerem, za nimi oddział Specjalnej Grupy Taktycznej oraz stadko agentów DEA.

Po amerykańskiej stronie armia agentów DEA, INS, ATF, FBI i celników stoi w

gotowości na obszarze nad tunelem, czekając na wiadomość, by ruszyć we właściwe miejsce.

- Niewiary-kurwa-godne - mówi Shag Wallace, gdy schodzi na dół. - Ktoś włożył w to kupę pieniędzy.

- Ktoś wyciągnął z tego kupę pieniędzy - stwierdza Art. Zwraca się do Ramosa:

- Wiemy, że to był Méndez, a nie Barrerowie?

- To Güero - odpowiada Ramos.

- Czyżby ktoś pokazał mu na wideo *Wielką ucieczkę?* - pyta Shag.

- Powiedzcie mi, kiedy miniemy granicę - prosi Ramos.

- Spróbuję zgadnąć - mówi Art. - Chryste, jak daleko ciągnie się ten tunel?

Przeszli czterysta dwadzieścia metrów, mniej więcej, zanim dotarli do kolejnego pionowego szybu. Żelazna drabina przymocowana do betonowych ścian prowadziła do wjazdu.

Art włącza system GPS.

Posiłki nadchodzą.

Patrzy na wjazd.

- No więc - mówi - kto chce pierwszy przez to przejść?

- Jesteśmy na twoim terenie - odpowiada Ramos.

Art wspina się po drabinie, z Shagiem za plecami. Balansują z jedną ręką na szczeblu, podczas gdy drugą usiłują otworzyć wjazd.

To musiała być poważna operacja, myśli Art, przenosić w górę ładunek narkotyków. Zapewne łańcuch mężczyzn ustawionych na kolejnych szczeblach drabiny. Ciekawe, czy planowali zbudowanie windy.

Wjazd otwiera się, a światło wlewa do szybu.

Art mocniej chwyta pistolet i wynurza się.

Chaos.

Mężczyźni kłębią się jak karaluchy, gdy zapala się światło, a gliniarze w niebieskich mundurach zgarniają ich, rzucają na podłogę i związują im ręce na plecach kablem telefonicznym.

To fabryka konserw, zauważa Art.

Są tu trzy czyste, uporządkowane pasy transmisyjne, stopy pustych puszek, maszyny zamykające i metkujące. Art odczytuje jedną z nalepek: CALIENTE CHILI PEPPERS. I rzeczywiście są też hałdy czerwonych papryczek chili gotowych do rzucenia na taśmy.

Ale są też cegiełki kokainy.

Art podejrzewa, że koka była puszkowana ręcznie.

Podchodzi do niego Russ Dantzler.

- Güero Méndez - Willy Wonka puszkowanej kokainy.

- Kto jest właścicielem budynku? - pyta Art.

- Trzymaj się mocno. Bracia Fuentes.

- Jaja sobie robisz.

- Nie.

Three Brothers Foods, myśli Art. Nieźle, nieźle - rodzina Fuentesów to ważna część meksykańsko-amerykańskiej społeczności. Wpływowi biznesmeni z południowej Kalifornii, wspierający Partię Demokratyczną. Ciężarówki Fuentesów wyjeżdżają z fabryk konserw i magazynów w San Diego i Los Angeles do miast w całym kraju.

Gotowy system dystrybucyjny dla kokainy Güero Méndeza.

- Geniusz, no nie? - stwierdza Dantzler. - Sprowadzają kokę tunelem, puszkują jako Caliente Chili Peppers i rozsyłają dokąd chcą. Ciekawe, czy kiedyś coś spieprzyli - to znaczy ciekawe, czy ktoś kiedyś w Detroit kupił sobie puszkę chili, a skończył z kulką w głowie. W każdym razie daj mi miseczkę tego chili, jeśli wiesz, o czym mówię. Co zamierzasz zrobić z braćmi Fuentes?

- Przymknąć ich - odpowiada Art.

Co będzie bardzo interesujące. Fuentesowie nie tylko wspierają Partię Demokratyczną, ale także opłacają kampanię prezydencką Luisa Donalda Colosio.

*

Nowiny docierają do Adána w jakieś trzydzieści siedem sekund. Teraz wie, jak Méndez transportuje kokainę przez La Plaza. Przewozi ją pod nią. Znamy też źródło jego poparcia w Mexico City. Kupił następcę tronu, Colosio.

Więc to tak.

Güero kupił Los Pinos i jesteśmy skończeni.

Wtedy dzwoni telefon.

Sal Scachi proponuje pomoc.

Kiedy mówi, co pociąga za sobą jego oferta, Adán natychmiast odmawia. Twardo, bezwarunkowo, absolutnie odpowiedź brzmi nie.

To nie do pomyślenia.

Chyba że...

Adán pyta, czego chce w zamian.

Quid pro quo.

Dyskretne negocjacje trwają kilka dni, ale Scachi wreszcie się zgadza.

Ale Adán musi działać szybko.

Świetnie, myśli Adán

Będziemy potrzebowali do tego ludzi.

Dzieciaki.

To właśnie widzi Callan - dzieciaki.

Siedzi w piwnicy domu w Guadalajarze. To miejsce to jakaś cholerna zbrojownia. Wszędzie wala się broń, nie tylko typowe AR i AK.

To ciężki sprzęt: karabiny maszynowe, granatniki, kevlarowe kamizelki. Callan siedzi na metalowym składanym krzeselku, patrząc na nastoletnich Latynosów z San Diego. Oni obserwują, jak Raúl Barrera przypina fotografię do tablicy.

- Zapamiętajcie tę twarz - mówi im Raúl. - To Güero Méndez.

Młodziaki spinają się. Szczególnie gdy Raúl powoli i dramatycznie wyciąga pliki banknotów z torby i układa je na stole.

- Pięćdziesiąt tysięcy dolarów amerykańskich - mówi. - Gotówką. Dla pierwszego z was, który...

Robi dramatyczną pauzę.

- ...zastrzeli Güero Méndeza.

Ruszają na „polowanie na Güero”, oznajmia Raúl. Będą się poruszać konwojami opancerzonych pojazdów, dopóki nie znajdą Méndeza, a potem użyją połączonej siły ognia, żeby posłać go do piekła.

- Jakież pytania? - rzuca Raúl.

Tak, kilka, myśli Callan. Przede wszystkim, jak do cholery twoja gromada dzieciaków ma rywalizować z zawodowcami Güero? To znaczy, czy tylko to nam zostało? To wszystko, na co stać *pasador* Barrerów, z jego kasą i siłą? Gromada młodocianych gangsterów z San Dog?

To cholerne błazny, z ksywami typu Flaco, Marzyciel, Poptop i - jak Boga kocham - Scooby Doo. Fabián zwerbował ich w barrio, mówi, że to zabójcy, doświadczeni.

Tak, być może, sądzi Callan. Może i tak, ale jest pewna różnica między strzeleniem z przejeżdżającego samochodu do jakiegoś palanta palącego trawkę na werandzie a walką z profesjonalnymi zabójcami.

Banda dzieciaków w walce o wszystko? Będą zbyt zajęci siusianiem w majtki i strzelaniem do siebie nawzajem - mam nadzieję, że nie do mnie - kiedy spanikują i zaczną walić do wszystkiego, co mignie im w zasięgu wzroku. Nie, Callan wciąż nie rozumie, o co chodzi Raúlowi z tą kruczają dziecięcą. Będzie z tego jeden wielki bajzel, a Callan liczy tylko

na to, że w chaosie znajdzie Méndeza i go zabije i że uda mu się to zrobić, zanim przez pomyłkę zastrzeli go któryś z dzieciaków.

Wtedy przypomina sobie, że miał tylko siedemnaście lat, gdy załatwił Eddiego Friela w Kitchen. Tak, ale to było co innego. Ty byłeś inny. Te dzieciaki nie wyglądają na zabójców.

Chce więc zadać Raúlowi pytanie: jesteś pijany? Odebrało ci rozum, do kurwy nędzy? Jednak nie mówi tego. Przechodzi do bardziej praktycznej kwestii.

- Skąd wiemy - pyta - że Méndez jest w Guadalajarze?

*

Ponieważ Parada poprosił go, by przyjechał.

Ponieważ Adán poprosił Paradę, żeby go poprosił.

- Chcę skończyć z przemocą - mówi duchownemu.

- To łatwe - odpowiada Parada. - Skończ z nią.

- To nie takie proste. Dlatego przyszedłem prosić ojca o pomoc.

- Moją pomoc? W czym?

- W zawarciu pokoju z Güero.

Adán wie, że uderzył we właściwą strunę - żaden ksiądz się temu nie oprze.

Z pewnością Parada staje przed trudnym wyborem. Nie jest naiwnym głupcem - zdaje sobie sprawę, że jeśli, wbrew wszystkiemu, uda mu się wynegocjować pokój między Barrerami i Méndezem, stworzy lepsze warunki do funkcjonowania karteli narkotykowych. W tym więc sensie pomoże utrwalić zło, czego jako kapłan jest zobowiązany nie robić. Z drugiej strony, przysięgał też wykorzystywać każdą sposobność, by ograniczać zło, a pokój między dwoma walczącymi kartelami zapobiegnie Bóg wie ilu ofiarom. A jeśli musi wybierać między złem handlu narkotykami a morderstwem, musi uznać morderstwo za większe zło, dlatego pyta:

- Chcesz usiąść i porozmawiać z Güero?

- Tak - odpowiada Adán - tylko gdzie? Güero nie przyjedzie do Tijuany, a ja nie chcę jechać do Culiacán.

- A przyjechałbyś do Guadalajary?

- Jeśli ojciec zagwarantuje mi bezpieczeństwo.

- Ale ty dasz gwarancję Güero?

- Tak - mówi Adán. - Ale on nie przyjmie mojej gwarancji, tak samo jak ja nie przyjmę jego.

- Nie o to pytam - rzuca niecierpliwie Parada. - Pytam, czy obiecasz, że nie będziesz próbował w żaden sposób skrzywdzić Güero.

- Klnę się na duszę.
- Twoja dusza, Adánie, jest czarniejsza niż piekło.
- Jedna sprawa na raz, ojczu.

Parada słyszy to. Jeśli potrafisz rzucić pojedynczy promień światła w ciemność, to niekiedy staje się on klinem, który rozszerza się, póki nie rozświetli całej pustki. Gdybym w to nie wierzył, myśli, zastanawiając się nad duszą tego wielokrotnego mordercy, nie mógłbym wstać rano. Jeśli więc ten człowiek prosi o jeden promień światła, nie mogę odmówić.

- Spróbuję, Adánie - mówi. To nie będzie łatwe, myśli, odkładając słuchawkę. Jeśli choćby połowa z tego, co słyszałem o wojnie między tymi mężczyznami, jest prawdą, to będzie prawie niemożliwe przekonać Güero, żeby przyjechał i porozmawiał o pokoju z Adánem Barrerą. Ale być może on również ma dość zabijania i śmierci.

Całe trzy dni zajmuje mu dotarcie do Méndeza.

Parada kontaktuje się ze starymi przyjaciółmi w Culiacán i rozpoczyna wici, że chce porozmawiać z Güero. Trzy dni później dzwoni Méndez.

Parada nie traci czasu na uprzejmości.

- Adán Barrera chce rozmawiać o pokoju.
- Nie jestem tym zainteresowany.
- Powinieneś być.
- Zabił moją żonę i dzieci.
- Więc tym bardziej.

Güero nie całkiem dostrzega logikę tego stwierdzenia, ale widzi szansę. Gdy Parada naciska na spotkanie w Guadalajarze, w miejscu publicznym, z sobą samym w charakterze mediatora i „całą moralną powagą Kościoła” gwarantującą jego bezpieczeństwo, Méndez dostrzega okazję do wywabienia Barrerów z ich fortecy w Baja. W końcu stracił doskonałą sposobność do ich zabicia, a teraz jeszcze skopali mu tyłek w San Diego.

Słucha więc, a gdy słucha wykładu księdza o tym, jak bardzo jego żona i dzieci chciałyby tego, roni kilka krokodylich łez i łamiącym się głosem zgadza się na spotkanie.

- Spróbuję, ojczu - mówi cicho. - Wykorzystam szansę na pokój. Czy możemy pomodlić się razem, ojczu? Czy możemy się pomodlić przez telefon?

I gdy Parada prosi Jezusa, by pomógł im znaleźć światło pokoju, Güero modli się do Santo Jesúsaa Malverde o coś zupełnie przeciwnego.

Żeby tym razem tego nie spieprzyć.

*

Spieprzą to w wielkim stylu.

Tak uważa Callan.

Obserwuje ten groteskowy spektakl, jaki urządza Raúl w Guadalajarze. To cholernie śmieszne tak ostentacyjnie jeździć w tym konwoju w nadziei, że namierzą Güero i będą mogli utworzyć szyk niczym okręty u wybrzeży wyspy i otworzyć ogień.

Callan wykonał kilka dużych numerów. Osobiście zdjął głowy dwóch z Pięciu Rodzin i próbuje powiedzieć Raúlowi, co należy zrobić. („Dowiedz się, gdzie będzie o określonej porze, a potem znajdź się tam wcześniej i załatw sprawę”). Ale Raúl nie słucha - ma zakuty łeb; niemal jakby chciał doprowadzić do klęski. Uśmiecha się tylko i mówi Callanowi:

- Wyluzuj, facet, i bądź gotowy, kiedy zaczniesz się strzelanina.

Przez tydzień siły Barrerów krążą po mieście, dzień i noc, szukając Güero Méndeza. A gdy oni wypatrują, inni ludzie słuchają. Raúl umieścił w bezpiecznym miejscu techników z najnowszym sprzętem do namierzania rozmów komórkowych; próbują oni przejmować wiadomości krążące między Güero a jego ludźmi.

Güero robi to samo. Też ma własnych speców monitorujących łączność komórkową, którzy próbują namierzyć Barrerów. Obie strony grają w tę samą grę, nieustannie zmieniając telefony, kwatery, patrolując ulice i fale radiowe. Próbują znaleźć się i pozabijać, zanim Parada zwoła spotkanie pokojowe, które może doprowadzić do ryzykownej strzelaniny.

Obie strony starają się też wykorzystać wszelkie informacje, które dadzą im przewagę - jakimi samochodami jeździ przeciwnik, ilu ludzi ma w mieście, kim oni są, jaką broń noszą, gdzie przebywają i jaką trasą się poruszają. Wysyłają szpiegów, próbują odkryć, którzy gliniarze są opłaceni, kiedy mają służbę, czy w pobliżu będą *federales*, a jeśli tak, to gdzie.

Obie strony podsłuchują telefony w biurze Parady, żeby odkryć jego rozkład dnia, jego plany, cokolwiek, co mogłoby im wskazać, gdzie zamierza zwołać spotkanie, i dać szansę na zastawienie pułapki. Jednak kardynał trzyma karty przy orderach, więc ani Méndez, ani Barrerowie nie mogą odkryć, kiedy i gdzie odbędzie się spotkanie.

Jeden z techników Raúla daje wskazówkę.

- Używa zielonego buicka - mówi Raúlowi.

- Güero jeździ buickiem? - pyta Raúl z niedowierzaniem. - Skąd wiesz?

- Jeden z jego szoferów dzwonił do warsztatu. Chciał wiedzieć, kiedy buick będzie gotowy. Zielony buick.

- Co to za warsztat?

Ale gdy tam docierają, buick już został odebrany.

Tak więc poszukiwania trwają, dzień i noc.

Adán odbiera telefon od Parady.

- Jutro o czternastej trzydzieści w hotelu Hidalgo przy lotnisku - mówi Parada. - Spotkanie w holu.

Adán już to wie, gdyż przejął rozmowę kierowcy kardynała z żoną; omawiali plany na następny dzień. I to tylko potwierdza to, co Adán już wie - że kardynał Antonucci przylatuje z Mexico City o trzynastej trzydzieści, a Parada odbiera go z lotniska. Wtedy pójdą do prywatnej sali konferencyjnej na górze na spotkanie, po którym szofer Parady zabierze Antonucciego na lotnisko na lot o piętnastej. Parada zostanie w hotelu na spotkanie pokojowe między Méndezem a Adánem.

Adán wie to wszystko, ale do ostatniej chwili nic nie mówi Raúlowi.

Adán przebywa w innej melinie niż cała reszta i teraz schodzi do piwnicy, gdzie mieszka oddział prawdziwych zabójców. Ci *sicarios* nadciągali oddzielnymi samolotami przez ostatnich kilka dni, po cichu odjeżdżali z lotniska, a potem zjawiali się w tej piwnicy. Posiłki zamawiano po kilka w różnych restauracjach albo gotowano w kuchni na górze i znoszono na dół. Nikt nie kręcił się po mieście, ani nie bawił w klubach. Pełne zawodowstwo. Na stołach schludnie złożony tuzin mundurów policji stanowej Jalisco. Kamizelki kuloodporne i AR-15 starannie poukładano.

- Wszystko potwierdziłem - Adán mówi Fabiánowi. - Czy twoi ludzie są gotowi?

- Tak.

- To ma się udać.

- Uda się.

Adán kiwa głową i wręcza mu komórkę, o której wie, że została namierzona. Fabián wystukuje numer i mówi:

- Zaczęło się. Bądź na miejscu o pierwszej czterdzieści pięć.

Potem się rozłącza.

Güero dowiaduje się o tych słowach dziesięć minut później. Odebrał już telefon od Parady i wie teraz, że Adán zamierza zastawić na niego pułapkę w drodze na lotnisko.

- Myślę, że zjawimy się na spotkaniu nieco wcześniej - oznajmia Güero swemu naczelnemu *sicario*.

I zastawimy pułapkę na pułapkę.

*

Raúl odbiera telefon od Adána na bezpiecznej linii, potem schodzi do sypialni i budzi śpiących gangsterów. - Koniec - stwierdza. - Jutro wracamy do domu.

Dzieciaki są wkurzone, rozczarowane, właśnie rozwiały się ich marzenia o

pięćdziesięciu patykach. Pytają Raúla, co się stało.

- Nie wiem - odpowiada. - Chyba dostał cynk, że depczemy mu po piętach i wrócił do Culiacán. Nie martwcie się - będą inne okazje.

Raúl próbuje ich pocieszyć.

- Wiecie co, na lotnisko ruszamy rano, możecie iść do centrum handlowego.

To niewielka pociecha, ale zawsze coś. Centrum w śródmieściu Guadalajary należy do największych na świecie. Odręzione młodziaki zaczynają rozmawiać o tym, co sobie kupią.

Raúl zabiera Fabiána na górę.

- Wiesz, co robić? - upewnia się.

- Jasne.

- I jesteś gotów to zrobić?

- Jestem.

*

Raúl znajduje Callana w sypialni na piętrze.

- Wyjeżdżamy jutro do Tijuany - mówi Raúl.

Callan czuje ulgę. Ta cała akcja to było gówno. Raúl daje mu bilet na samolot i rozkład dnia, a potem rzuca:

- Güero zamierza dopaść nas na lotnisku.

- Co masz na myśli?

- Myśli, że pojedziemy tam zawrzeć z nim pokój. Uważa, że chroni nas banda dzieciaków. Zamierza nas zastrzelić.

- Ma rację.

Raúl uśmiecha się i potrząsa głową.

- Mamy ciebie i cały oddział *sicarios* przebranych w mundury policji stanowej Jalisco.

Cóż, myśli Callan, przynajmniej wyjaśniło się, czemu Barrerowie używają gromady dzieciaków. Na przynętę.

Ty też nią jesteś.

Raúl mówi Callanowi, żeby trzymał rękę na broni, a oczy szeroko otwarte.

Zawsze tak robię, myśli Callan. Większość martwych facetów, jakich znał, zginęła, bo nie miała otwartych oczu. Byli nieostrożni albo komuś zaufali.

Callan nie jest nieostrożny. i nikomu nie ufa.

*

Parada pokłada ufność w Bogu.

Wstaje wcześniej niż zwykle, idzie do katedry i odprawia mszę. Potem klęka przy

ołtarzu i prosi Boga, żeby dał mu siłę i mądrość potrzebne do zrobienia tego, co zamierza dziś uczynić. Modli się, żeby uczynił rzecz słuszną, i kończy słowami: „Niech się stanie wola Twoja”.

Wraca do swej rezydencji i ponownie się goli, starannie wybiera ubranie. Jego strój będzie stanowił sygnał dla Antonucciego, a on chce wysłać właściwy sygnał.

W dziwny sposób żywi nadzieję na pojednanie między sobą a Kościołem. Bo czemu nie? Jeśli Adán i Güero mogą się pogodzić, to Antonucci i Parada również. On sam zaś, po raz pierwszy od bardzo dawna, naprawdę jest pełen nadziei. Jeśli obecny rząd odejdzie, a nastanie lepszy, w tej nowej sytuacji być może konserwatywni i liberalni teolodzy znajdą wspólny język, by pracować razem nad czynieniem sprawiedliwości na ziemi i przybliżaniem rozkoszy niebieskich.

Zapala papierosa, ale zaraz go gasi.

Powinien rzucić palenie, bo to uszczęśliwi Norę.

A dziś jest dobry dzień, żeby zacząć.

Dzień nowych początków.

Wybiera czarną sutannę i wiesza duży krzyż na piersi. Na tyle religijnie, żeby ułagodzić Antonucciego, ale niezbyt ceremonialnie, żeby nuncjusz nie pomyślał, że Parada stał się zupełnym konserwatystą. Pojednawczo, ale nie służalczo, uznaje, zadowolony z wyboru.

Boże, ale bym zapalił, myśli. Denerwuje się swoimi dzisiejszymi zadaniami - dostarczeniem Antonucciemu kompromitujących informacji ministra Cerro, a potem rozmowami z Adánem i Güero. Co mogę powiedzieć, żeby doprowadzić do pokoju między nimi? Jak można pogodzić człowieka, którego rodzinę zabito, i człowieka, który - jak głosi plotka - ją zabił?

Cóż, ufaj Bogu. On ześle ci słowa.

Ale mimo to dobrze byłoby zapalić.

Ale tego nie zrobię.

I zrzucę parę kilogramów.

Za miesiąc jedzie na konferencję biskupów do Santa Fe i planuje spotkać się tam z Norą. Będzie fajnie, myśli, zrobić jej niespodziankę z wysmukłego, niepalącego siebie. No dobra, może nie wysmukłego, ale chudszeo.

Schodzi do gabinetu i przez kilka godzin zajmuje się papierami, potem dzwoni po kierowcę i prosi go, żeby przygotował samochód. Z sejfu wyjmuje teczkę pełną obciążających taśm i notatek Cerro.

Czas jechać na lotnisko.

*

W Tijuanie ojciec Rivera przygotowuje się do chrztu. Wkłada szaty, święci wodę i starannie wypełnia odpowiednie dokumenty. U dołu formularza jako rodziców chrzestnych wymienia Adána i Lucię Barrerów.

Kiedy młodzi rodzice przybywają z dzieckiem, Rivera robi coś niezwykłego.

Zamyka drzwi kościoła.

*

Ekipa Barrerów przybywa na lotnisko w Guadalajarze prosto z centrum handlowego.

Są obładowani torbami z zakupami, próbowali chyba wykupić wszystko. Raúl dał dzieciakom trochę ekstra kasy, żeby złagodzić ich rozczarowanie z powodu odwołania polowania na Güera, a oni zrobili to, co wszystkie dzieciaki w centrum handlowym z kieszonkowym.

Wydali je.

Callan patrzy na to wszystko z niedowierzaniem.

Flaco kupił koszulkę drużyny piłkarskiej Chivas Rayadas del Guadalajara - nosi ją z metką wciąż przytwierdzoną do kołnierzyka - dwie pary najków, nowego Nintendo GameBoya i pół tuzina gier.

Marzyciel ograniczył się wyłącznie do ubrań. Kupił trzy czapki i wszystkie włożył sobie na głowę, zamszową marynarkę i garnitur - pierwszy w życiu - ma starannie ułożone w pokrowcu.

Scooby Doo ma szklisty wzrok od grania. Cholera, myśli Callan, ten mały wachacz kleju zwykle ma szklisty wzrok, ale teraz jego źrenice są nieprzytomne po dwóch godzinach grania w Tomb Rider, Mortal Kombat i Assassina 3. Teraz siorbie ten sam gigantyczny napój, który pociągał przez całą drogę z centrum handlowego.

Poptop jest pijany.

Podczas gdy inni robili zakupy, Poptop poszedł do restauracji i zamawiał piwo, a gdy go odnaleźli, było już za późno. Flaco, Marzyciel i Scooby musieli zanieść go do vana; w drodze na lotnisko zatrzymywali się trzy razy, żeby Poptop mógł się wyrzygać.

A teraz ten gówniarz nie może znaleźć biletu i razem z kolesiami przekopuje plecak.

Świetnie, myśli Callan. Jeśli próbujemy przekonać Güero Méndeza, że jesteśmy nieudolni, to doskonale nam to wychodzi.

Banda dzieciaków ze stosami bagażu i torbami pełnymi zakupów na chodniku przed terminalem, Raúl próbuje zaprowadzić jakiś porządek, a Adán właśnie wyszedł z kilkoma swoimi ludźmi. Przypomina to wycieczkę licealistów, którzy wracają do domu. Chłopaki

śmieją się i klną, Raúl stara się wyjaśnić z pracownikiem obsługi, czy mają złożyć bagaż na krawężniku, czy zabrać do środka. Marzyciel idzie po wózki bagażowe, zabierając ze sobą Flaco. Flaco wrzeszczy do Poptopa:

- Jak mogłeś zgubić ten zasrany bilet, *pendejo*?

Poptop wygląda jakby się miał znowu porzygać, ale z ust idzie mu krew, a potem pada na krawężnik.

Callan już leży na chodniku, celując w zielonego buicka z lufami karabinów sterzczącymi z bocznych okien. Wyciąga swoją dwudziestkę dwójkę i strzela dwukrotnie do buicka. Przetacza się za kolejny zaparkowany samochód dokładnie w chwili, gdy seria z AK trafia w chodnik w miejscu, gdzie przed chwilą leżał. Kule rykoszetują od betonu i ściany terminalu.

Głupek Scooby Doo stoi, pociągając napój przez słomkę. Chyba ma wrażenie, że to jakaś gra wideo z naprawdę radykalną grafiką. Próbuje sobie przypomnieć, czy już wyszli z centrum, i która to gra. Pewnie musi kosztować kupę żetonów, bo jest taka realistyczna. Callan wychyla się zza bezpiecznego ukrycia za vanem, chwyta Scooby'ego i rzuca go na beton. Oranżada rozlewa się na beton; napój jest malinowy, więc nie różni się od krwi Poptopa, również plamiącej chodnik.

Raúl, Fabián i Adán rzucają czarne torby ze sprzętem na ziemię i wyciągają z nich AK. Podnoszą karabiny i zaczynają strzelać do buicka.

Pociski odbijają się od samochodu - nawet od przedniej szyby, więc Callan uznaje, że wóz jest opancerzony. Mimo to strzela dwukrotnie, pada i widzi, jak otwierają się drzwi od przeciwnej strony, a Güero z dwoma facetami wysiada. Opierają AK o karoserię i zaczynają strzelać.

Callan wchodzi w ten stan, gdy nic nie słyszy - w głowie ma doskonałą ciszę, gdy widzi Güero, starannie celuje w jego głowę i już ma go sprzątnąć z tego świata - kiedy biały samochód zatrzymuje się dokładnie na linii strzału. Kierowca wydaje się nieświadomy tego, co się dzieje, jak gdyby wyszedł z innej bajki. Jest wkurzony i zdeterminowany dostać się na lotnisko, więc samochód przejeżdża obok buicka i przez krawężnik jakieś sześć metrów przed nim.

Co zmusza Fabiána do działania.

Namierza białego marquisa i biegnie do niego, omijając buicka i strzelając. Fabián zapewne sądzi, że w samochodzie ukrywa się nowa grupa *sicarios* Güera. Toruje sobie drogę w jego kierunku, więc Callan stara się zapewnić mu osłonę, ale biały samochód stoi na linii strzału, a on nie chce strzelać na wypadek, gdyby siedzieli w nim cywile, a nie chłopaki

Méndeza.

Teraz jednak pociski trafiają buicka od drugiej strony i kątem oka Callan dostrzega któregoś z przebranych gliniarzy z Jalisco strzelającego do wozu, co zmusza Güero i jego cyngli do schowania się za nim. Fabián przeżywa dzięki temu szarżę na białego marquisa.

Parada nawet nie widzi, jak Fabián się zbliża. Jest zbyt skupiony na rozlewie krwi rozgrywającym się przed jego oczami. Ciała leżą dokoła, niektóre nieruchome, inne czołgają się, ciągnąc za sobą nogi. Parada nie umie powiedzieć, czy są ranni, martwi, czy tylko próbują znaleźć osłonę przed kulami, które latają wszędzie. Potem spogląda w okno i widzi młodego człowieka leżącego na plecach, z bąbelkami krwi wypływającymi z ust, oczami otwartymi z bólu i zgrozy. Biskup wie, że ten człowiek umiera, więc zaczyna wychodzić z samochodu, by udzielić mu ostatniego namaszczenia.

Pablo, jego kierowca, próbuje go przytrzymać i cofnąć, ale jest drobnym mężczyzną i Parada bez trudu strząsa go z siebie i krzyczy:

- Spadaj stąd!

Ale Pablo nie zostawi go tutaj, więc wciska się pod kierownicę i zatyka rękami uszy, gdy Parada otwiera drzwi i wychodzi. W tej samej chwili dobiega w to miejsce Fabián i celuje z karabinu w pierś księdza.

Callan widzi go.

Ty cholerny idioto, myśli, to niewłaściwy facet. Widzi, jak Parada wyciąga swe wielkie ciało z samochodu, prostuje się i rusza w stronę Poptopa. Wtedy wkracza Fabián i podnosi swoje AK. Callan zrywa się i krzyczy:

- NIE!

Przeskakuje maskę samochodu i biegnie w stronę Fabiána, krzycząc:

- FABIANIE, NIE! TO NIE ON!

Fabián zerka na Callana i w tym momencie Parada łapie karabin i kieruje lufę w stronę ziemi. Fabián próbuje ją unieść i naciska spust. Pierwszy strzał trafia Paradę w kostkę, a następny w kolano, ale w biskupie buzuje adrenalina, więc nawet tego nie czuje. Nie puszcza broni.

Ponieważ chce żyć. Czuje to silniej, bardziej dobitnie niż kiedykolwiek w życiu. Czuje, że życie jest dobre, powietrze słodkie i wciąż ma jeszcze tyle do zrobienia, wciąż jeszcze tyle chce zrobić. Chce dostać się do tego umierającego młodzieńca i ukoić jego duszę, zanim odejdzie. Chce słuchać jazzu. Chce zobaczyć uśmiech Nory. Chce kolejnego papierosa, kolejny dobry posiłek. Chce uklęknąć w słodkiej, cichej modlitwie do swego Pana. Ale nie iść z Nim, jeszcze nie, tyle jest do zrobienia, więc walczy. Trzyma się lufy karabinu całym swym

życiem.

Fabián opuszcza głowę, podnosi stopę na wysokość krucyfiks na piersi Parady i kopie, popychając księdza na samochód. Potem podnosi lufę i posyła piętnaście kul w pierś Parady.

Biskup czuje, jak opuszcza go życie, gdy ciało powoli osuwa się po samochodzie.

Callan przyklęka przy umierającym kapłanie.

Mężczyzna patrzy na niego i mamrocze coś, czego Callan nie może zrozumieć.

- Co? - pyta Callan. - Co ksiądz powiedział?

- Przebaczam ci - bełkocze Parada.

- Co?

- Bóg ci przebacza.

Ksiądz zaczyna robić znak krzyża, wtedy jego ręka opada, ciało drży. Jest martwy.

Callan klęczy tam, patrząc na zmarłego biskupa, gdy Fabián podnosi karabin i rozmyślnie jeszcze dwa razy strzela Paradzie w głowę.

Krew bryzga na biały lakier samochodu.

I siwe włosy Parady.

Callan odwraca się i mówi:

- On już nie żył.

Fabián ignoruje go, sięga na przednie siedzenie, wyciąga teczkę i odchodzi z nią. Callan siedzi i kołysze pokiereszowaną głowę biskupa w ramionach. Płacząc niczym dziecko, pyta nieustannie:

- Co ojciec powiedział? Co?

Nie pamięta o toczącej się dokoła walce.

To nieważne.

Ale nie dla Adána,

Nie widzi śmierci Parady; zajęty jest ostatnim etapem egzekucji Güero Méndeza, który przykucnął za buickiem, zrozumiał, że został wydymany. Dwaj jego ludzie już nie żyją, a samochód, chociaż opancerzony, drży od trafiających go pocisków i długo nie wytrzyma. Szkło wreszcie popękało, opony są przestrzelone, a wkrótce wybuchnie zbiornik z paliwem. Ludzie Barrerów w mundurach gliniarzy z Jalisco mają przewagę liczebną, a ta cała główniana brygada dzieciaków była tylko głównem. Osaczyli go z trzech stron, a jeśli zdołają też z czwartej - z za buicka - to koniec. Będzie martwy. A chociaż odszedłby z radością, jeśli zdołałby zabrać ze sobą Adána i Raúla, to teraz jest jasne, że nic z tego. Trzeba spierdalać i spróbować innym razem.

Ale ucieczka nie jest taka łatwa. Widzi jedną szansę i postanawia z niej skorzystać.

Sięga na tylne siedzenie i wyciąga granat z gazem łzawiącym. Rzuca go w stronę Barrerów, krzyczy do swoich czterech ludzi, żeby zaczerpnęli powietrza. Równocześnie biegną do terminalu, ostrzeliwując się w drodze.

Grupa uderzeniowa Adána ma mnóstwo sprzętu, ale nie wzięła masek przeciwgazowych. Zaczynają wymiotować i kaszleć. Adán czuje, jak płoną mu oczy. Stara się utrzymać na nogach, ale ponieważ nic nie widzi, a kule świszczą dokoła, uznaje, że opadnięcie na kolana to nie jest taki zły pomysł.

Raúl nie pada. Z piekącymi oczami, palącym nosem biegnie w stronę uciekającej grupy Méndeza, strzelając z biodra. Jeden z pocisków trafia głównego *sicario* Méndeza w kręgosłup i obala go, ale Raúl z frustracją patrzy, jak Méndez dobiega do taksówki, wyrzuca kierowcę na chodnik i siada za kółkiem. Czeka na trzech ocalałych *tiros* i odjeżdża.

Raúl strzela do samochodu, ale nie może trafić w opony i Güero wyjeżdża pędem z parkingu, nisko pochylony, gdy gliniarze z Jalisco, których nie trafił granat gazowy, strzelają do szybko znikającej taksówki.

- Pieprzony sukinsyn! - wrzeszczy Raúl.

Odwraca się w prawo i widzi siedzącego Callana z ciałem Parady w ramionach.

Raúl myśli, że Callan został ranny. Facet płacze, cały jest we krwi, a Raúl, bez względu na wszystko, nie jest niewdzięczny, pamięta o swych długach, więc przykuca, żeby podnieść Callana.

- Ruszaj się! - wrzeszczy. - Musimy stąd znikać!

Callan nie odpowiada.

Raúl uderza go w tył głowy kolbą karabinu, podrywa na równe nogi i ciągnie w stronę terminalu. Równocześnie krzyczy:

- Ruszać się, wszyscy! Musimy złapać samolot!

Na pasie Aeromexico lot 211 do Tijuany ma już piętnaście minut spóźnienia.

Ale maszyna czeka.

„Gliniarze z Jalisco” zrzucają mundury, pod spodem mają cywilne ubrania. Rzucają broń na chodnik i spokojnie idą do stanowiska odlotów. Wtedy Barrerowie i ocaleli gangsterzy oraz zawodowy zespół zabójców wkraczają do terminalu. Muszą przekraczać ciała, żeby tam wejść - nie tylko Poptopa i dwóch cyngli Méndeza, ale także sześciu przechodniów. W terminalu panuje chaos, ludzie płaczą i wrzeszczą, personel medyczny próbuje posegregować rannych, a pośrodku stoi kardynał Antonucci i krzyczy:

- Uspokójcie się! Uspokójcie! Czy ktoś mi powie, co się stało?

Boi się wyjść i zobaczyć na własne oczy. Ma mdlące uczucie w żołądku i czuje, że to

nie w porządku, że znalazł się w takiej sytuacji. Scachi poprosił go, żeby tylko spotkał się z Paradą, a teraz ta scena. Czuje pełną zawstydzoną ulgę, kiedy młodzieniec przechodzi koło niego i odpowiada na pytanie.

- Zagazowaliśmy Güero Méndeza! - mówi mu Marzyciel. - El Tiburón zagazował Méndeza!

Grupa Barrerów idzie spokojnie korytarzem w stronę swego samolotu i ustawia się, żeby wręczyć pracownicy obsługi swoje bilety, jak gdyby nigdy nic. Kobieta odbiera bilety i wręcza im karty pokładowe; mogą przejść rękawem do samolotu. Adán Barrera wciąż dźwiga torbę z AK, ale wygląda to na zwykły bagaż podręczny, zwłaszcza że leci pierwszą klasą.

Jedyny problem pojawia się, gdy Raúl podchodzi do bramki w nieprzytomnym Callanem zwisającym mu z ramienia.

Głos obsługującej drży, gdy mówi:

- On nie może wejść w takim stanie.

- Ma bilet - mówi Raúl.

- Ale...

- Pierwszej klasy - dorzuca Barrera. Wręcza jej bilety i wchodzi w rękaw. Znajduje miejsce Callana i rzuca go na fotel. Następnie okrywa jego skrwawioną koszulę kocem i mówi do zszokowanej stewardessy:

- Była ostra balanga.

Adán siedzi obok Fabiána, który spogląda na pilota i pyta:

- Na co czekacie?

Pilot zamyka drzwi swojej kabiny.

Po wylądowaniu natychmiast otacza ich policja lotniskowa i eskortuje przez tylne wyjście do czekających samochodów. Raúl wydaje tylko jeden rozkaz:

Rozproszyc się.

*

Callanowi nie trzeba tego powtarzać.

Wpada do domu, gdzie zostaje, by się ogolić, zmienić zakrwawione ubranie i zabrać pieniądze. Wychodzi, łapie taksówkę do przejścia granicznego w San Ysidro. Przechodzi przez most do Stanów Zjednoczonych. Po prostu kolejny pijany gringo wracający z popijawy przy Avenida Revolución.

Nie było go dziewięć lat.

Teraz wrócił do kraju, gdzie jako Sean Callan jest poszukiwany za rozprowadzanie narkotyków, wymuszenia haraczy i morderstwo. Nie obchodzi go to. Woli zaryzykować niż

spędzić choćby minutę dłużej w Meksyku. Przekracza więc granicę, łapie jaskrawoczerwony trolejbus i dojeżdża do centrum San Diego.

Około półtorej godziny zabiera mu odnalezienie sklepu z bronią, na rogu Czwartej i J, i kupienie dwudziestki dwójki w pokoju na zapleczu; nie musiał pokazywać dokumentów. Potem znajduje monopolowy, kupuje butelkę szkockiej, idzie do hotelu SRO i wynajmuje pokój na tydzień.

Zamyka się w pokoju i zaczyna pić.

Przebaczam ci, powiedział ksiądz.

Bóg ci przebacza.

*

Nora jest w sypialni, kiedy docierają do niej wiadomości.

Czyta, w tle leci CNN, kiedy jej ucho wychwytuje słowa: „Po reklamach tragiczna śmierć najwyższego rangą duchownego Meksyku...”

Serce przestaje jej bić, w głowie jej łomocze. Podczas niekończących się reklam wystukuje numer Juana - mając nadzieję, modląc się, że odbierze telefon, że to nie on, że podniesie słuchawkę - proszę, Boże, niech to nie będzie on - ale kiedy zaczyna się dziennik widzi jego stare, pozowane zdjęcie na połowie ekranu, a scenę z lotniska na drugiej. Widzi go leżącego na chodniku i nie krzyczy.

Ma otwarte usta, ale nie wydobywa się z nich dźwięk.

*

W zwykły dzień centrum Guadalajary jest pełne turystów, zakochanych i miejscowych na przechadzce. W zwykły dzień wzdłuż ścian katedry stoją kramy, gdzie handlarze sprzedają krzyże, różańce, gipsowe figurki świętych i *milagros*, małe gliniane modele kolan, łokci i innych części ciała, które ludzie pozostawiają w świątyni na pamiątkę swego uleczenia.

To jednak nie jest zwykły dzień. Dziś odbywa się nabożeństwo pogrzebowe kardynała Parady. Dwie bliźniacze, pokryte żółtymi płytami wieże katedry górują nad placem zatłoczonym przez tysiące żałobników, ustawionych w wijącą się kolejkę, stojących godzinami, żeby przejść obok trumny zamęczonego kardynała i oddać mu hołd.

Przyjechali z całego Meksyku. Wielu to wykształceni Tapatíos, w kosztownych garniturach i modnych, chociaż skromnych, sukniach. Inni przybyli z wiosek, *campesinos* w świeżo upranych białych koszulach i sukienkach. Jeszcze inni zjawili się z Culiacán i Badiraguato - ci noszą kowbojskie stroje. Wielu z nich ochrzcił Parada, od niego przyjmowali pierwszą komunię; on udzielał im ślubów, grzebał ich rodziców, kiedy był jeszcze zwykłym wiejskim kapłanem. Są też biurokraci z rządu w szarych i czarnych garniturach, kapłani i

biskupi w szatach duchownych oraz setki zakonnic w najrozmaitszych habitach swych zgromadzeń.

W zwykły dzień plac pulsuje dźwiękiem - szybką meksykańską rozmową, krzykami sprzedawców, muzyką grup mariachi - ale dziś *plaza* jest dziwnie cicha. Słychać tylko szmer modlitw i jeszcze cichsze szepty o spisku.

Ponieważ tylko nieliczni w tłumie wierzą w rządowe wyjaśnienie śmierci Parady, że padł ofiarą pomyłki w identyfikacji, że *sicarios* Barrerów pomylili Paradę z Güero Méndezem.

Jednak gadanie o spisku jest tłumione. Dziś jest dzień żałoby, a tysiące, które czekają cierpliwie w kolejce, a potem wchodzą do katedry, poruszają się w ciszy lub wśród szeptanych modlitw.

Art Keller jest jednym z nich.

Im więcej dowiaduje się o śmierci ojca Juana, tym bardziej jest zdezorientowany. Parada jeździł białym marquisem, Méndez zielonym buickiem; Parada nosił czarną sutannę z widocznym pektorałem (obecnie zaginionym), Méndez był wystrojony z sinaloańską kowbojską elegancją.

Jak można pomylić mierzącego metr dziewięćdziesiąt trzy, sześćdziesięciodwuletniego siwego mężczyznę w sutannie i z krucyfiksem, z blondynem, metr siedemdziesiąt siedem, w stroju narkokowboja? Z odległości strzału? Dlaczego samolot czekał? Jak Adán, Raúl i ich ludzie wsiedli na pokład? Jak zdołali wysiąść w Tijuanie i zostali odwiezieni wprost z lotniska?

I dlaczego, chociaż dziesiątki ludzi opisywały mężczyznę identycznego z Adánem Barrerą na lotnisku i w samolocie, ojciec Rivera w Tijuanie - proboszcz Barrerów - obwieścił, że Adán Barrera był chrzestnym na ceremonii odbywającej się dokładnie w chwili, gdy został zastrzelony Parada?

Ksiądz pokazał nawet księgę chrzcin z nazwiskiem Adána i jego podpisem.

I kim był tajemniczy jankes, który według tuzina świadków, tulił ciało Parady? Kto został zanieiony do samolotu i od tamtej pory ślad po nim zaginął?

Art odmawia krótką modlitwę - za nim tłoczą się ludzie - i znajduje miejsce w zatłoczonej katedrze.

Msza żałobna jest długa i poruszająca. Kolejne osoby wstają i mówią, co ojciec Juan dla nich uczynił, a odgłos szlochów wypełnia wielką przestrzeń. Atmosfera jest pełna ciszy, żałoby, szacunku, przygnębienia.

Dopóki nie zaczyna przemawiać prezydent.

Musiał tu być, rzecz jasna, prezydent i cały gabinet oraz mnóstwo urzędników rządowych. Kiedy wstaje i idzie ku mównicy w tłumie zapada pełna oczekiwania cisza. El Presidente odchrząkuje i zaczyna:

- Zbrodniczy akt odebrał życie dobremu, czystemu i szczodrobliwemu człowiekowi...

W tym momencie ktoś w tłumie krzyczy:

- *Justicia!*

Sprawiedliwości.

Ktoś inny podchwytuje okrzyk, a potem następny i w ciągu kilku sekund tysiące ludzi w katedrze, a potem kolejne tysiące na zewnątrz zaczynają skandować...

- *Justicia, justicia, justicia...*

...a El Presidente nie odchodzi od mikrofonu z uśmiechem zrozumienia, gdy czeka na ustanie okrzyków, ale one nie ustają...

- *Justicia, justicia, justicia...* - Stają się głośniejsze:

- *JUSTICIA, JUSTICIA, JUSTICIA...*

...a agenci tajnej policji zaczynają się denerwować, szeptać w miniaturowe mikrofony, ale trudno coś usłyszeć wśród skandowanego...

- *...JUSTICIA, JUSTICIA, JUSTICIA...*

...narasta i narasta, aż wreszcie dwaj policjanci nerwowo odciągają El Presidente od mikrofonu, prowadzą do bocznego wyjścia z katedry i do opancerzonej limuzyny, ale okrzyki gonią go, gdy odjeżdża z *Plaza*...

- *...JUSTICIA, JUSTICIA, JUSTICIA...*

Większość urzędników wychodzi zanim Parada zostanie pochowany w świątyni.

Art nie dołączył do skandowania, ale siedział zadziwiony, gdy ludzie w katedrze deklarowali, że mają dość korupcji. Stanęli w obliczu potężnego przywódcy swego kraju i żądali sprawiedliwości. A on pomyślał: doczekacie się jej, jeśli ja będę miał coś do powiedzenia w tej sprawie.

Teraz wstaje, żeby przejść obok trumny. Ostrożnie porusza się w kolejce.

Czarny szal okrywa blond włosy Nory Hayden, ciało okrywa czarna suknia. Mimo tego jest piękna. Art klęka przy niej, składa ręce do modlitwy i szepcze:

- Modlisz się za jego duszę i sypiasz z jego mordercą?

Kobieta nie odpowiada.

- Jak możesz wytrzymać sama ze sobą? - mówi Art i wstaje.

Odchodzi od jej cichego płaczu.

Rano dowódca całej policji federalnej, generał Rodolfo León, leci do Tijuany z pięćdziesięcioma specjalnie dobranymi agentami, którzy po południu zmieniają się w ciężkozbrojne, gotowe do walki sześciuosobowe drużyny przeczesujące ulice Colonia Chapultepec w opancerzonych suburbanach i dodge'ach ramach. Wieczorem wpadają do sześciu melin Barrerów, włącznie z osobistą rezydencją Raúla na Caco Sur, gdzie znajdują arsenał złożony z AK-47, pistoletów, granatów odłamkowych i dwóch tysięcy magazynków. W olbrzymim garażu odkrywają sześć opancerzonych suburbanów. Do końca tygodnia aresztowali dwudziestu pięciu współników Barrerów, przejęli ponad osiemdziesiąt domów, magazynów i rancz należących do Barrerów lub Güero Méndeza oraz zamknęli dziesięciu policjantów z lotniska, którzy eskortowali Barrerów z lotu 211.

W Guadalajarze oddział prawdziwych policjantów z Jalisco natyka się na furgonetkę pełną fałszywych gliniarzy, a po pościgu po ulicach miasta dwóch przebranych policjantów barykaduje się w domu i strzela do stu funkcjonariuszy całą noc i poranek. Wreszcie jeden ginie, drugi poddaje się, jednak ginie dwóch prawdziwych gliniarzy, a dowódca miejskiej policji zostaje ranny.

Następnego ranka El Presidente staje przed kamerami, by ogłosić, że jest zdecydowany zmiążyć kartele narkotykowe raz na zawsze; oświadcza, że właśnie odkryto, wyrzucono z pracy i oskarżono ponad siedemdziesięciu oficerów policji federalnej, i oferuje pięć milionów dolarów nagrody za informację prowadzącą do schwytania Adána i Raúla Barrerów oraz Güero Méndeza - wszyscy oni pozostają na wolności w nieznanym miejscu.

Ponieważ nawet z armią, *federales* i wszystkimi posterunkowymi przeczesującymi kraj, nie mogą znaleźć Güero, Raúla czy Adána.

Ponieważ ich tu nie ma.

Güero jest za granicą, w Gwatemali.

A Barrerowie też przekroczyli granicę.

Do Stanów Zjednoczonych.

Mieszkają w La Jolla.

*

Fabián znajduje Flaco i Marzyciela pod mostem Laurel Street w parku Balboa.

Gliniarze ich nie odnaleźli, ale Fabián jedzie do barrio i ludzie mówią mu to, co ukrywali przez policją. Chłopaki wiedziały, że gliny będą ich nękać, ale bardziej bali się Fabiána, który zabiłby bez mrugnięcia okiem.

Tak więc Flaco i Marzyciel chrapią pewnej nocy pod mostem, kiedy Flaco czuje but wbijający mu się w żebra. Podskakuje, myśli, że to gliniarz albo pedał, ale to Fabián.

Patrzy na Fabiána rozszerzonymi oczami, ponieważ obawia się, że *tiro* wpakuje mu kulkę, ale Fabián uśmiecha się i mówi:

- *Hermanitos*, czas, żebyś pokazał, że masz serce.

I uderza się w pierś pięścią.

- Co mamy zrobić? - pyta Flaco.

- Adán wyciąga do was rękę - odpowiada Fabián. - Chce, żebyście wrócili do Meksyku.

Wyjaśnia, jak Barrerowie przyczaili się po śmierci tego księdza, jak naciskają ich *federales*, likwidując meliny, aresztując ludzi. To się nie skończy, póki nie dopadną kogoś zamieszanego w strzelaninę.

- Pojedźcie i dacie się aresztować - oznajmia Fabián - i powiecie im prawdę - czailiśmy się na Güero Méndeza, a on zastawił na nas pułapkę, Fabián wziął Paradę za Güera i zastrzelił go przypadkiem. Nikt nie chciał nawet zranić Parady. Po prostu wypadek.

- No nie wiem, stary - odpowiada Marzyciel.

- Posłuchajcie - odpowiada Fabián - jesteście dzieciakami. I nie strzelaliście. Dostaniecie po parę lat, a kiedy będziecie siedzieć, zajmiemy się waszymi rodzinami. Po wyjściu znajdziecie w banku wysoko oprocentowany wyraz uznania i szacunku od Adána Barrery. Flaco, twoja matka jest pokojówką w hotelu, prawda?

- Tak.

- Już nie jest, jeśli okażesz serce.

- No nie wiem - stwierdza Marzyciel. Meksykańskie gliny...

- Powiem ci coś - rzuca Fabián. - Ta nagroda za Güero. Te pięćdziesiąt kawałków.

Podzielicie się, powiecie, komu to zanieść i gotowe.

Obaj mówią, że chcą przekazać pieniądze matkom.

Gdy zbliżają się do granicy, nogi Flaco zaczynają się trząść tak bardzo, że boi się, by Fabián tego nie zauważył. Kolana dosłownie stukają o siebie, a on nie może ich powstrzymać. Oczy ma pełne łez, które spływają po twarzy. Wstydzi się, chociaż słyszy, jak na tylnym siedzeniu Marzyciel pociąga nosem.

Kiedy znajdują się niedaleko przejścia, Fabián zatrzymuje się, żeby ich wypuścić.

- Macie serce - żegna ich. - Jesteście wojownikami.

Bez trudu przechodzą przez cło i imigracyjny i zaczynają iść na południe do miasta. Mijają dwie przecznice, kiedy oślepią ich reflektor wymierzony w twarze. *Federales* wrzeszczą, każą im podnieść ręce, a Flaco wyrzuca je w górę. Gliniarz łapie go, rzuca na ziemię i skuwa mu ręce za plecami.

Flaco leży więc w pyle, z wykręconymi boleśnie rękoma, tak mocno naciągnięto mu

kończyny. Ten ból jednak wydaje się niczym, ponieważ *federale* pluje mu w twarz, a potem kopie mocno, prosto w ucho, czubkiem wojskowego buta. Flaco czuje, jak eksploduje mu bębenek.

Ból wybucha w jego głowie niczym fajerwerki.

Potem z daleka słyszy głos, który mówi:

To dopiero początek, *mi hijo*.

Dopiero zaczynamy.

*

Telefon Nory dzwoni, więc podnosi słuchawkę.

To Adán.

- Chcę cię zobaczyć.

- Idź do diabła.

- To był wypadek - tłumaczy. - Pomyłka. Daj mi szansę wyjaśnić. Proszę.

Nora chce się rozłączyć, nienawidzi się za to, że tego nie robi, ale nie może. Zamiast tego zgadza się na spotkanie wieczorem na plaży w La Jolla, przy wieżycy ratowniczej numer 38.

W przytłumionym świetle z wieżyczki Adán widzi, jak Nora nadchodzi. Chyba sama.

- Wiesz, że złożyłem swoje życie w twoje ręce. Jeśli zadzwoniłaś na policję...

- Był twoim kapłanem. Twoim przyjacielem. Moim przyjacielem. Jak mogłeś...

Adán potrząsa głową.

- Nawet tam nie byłem. Byłem na chrzcie w Tijuanie. To był wypadek, strzelanina...

- Policja mówi coś innego.

- Méndez ma policję w kieszeni.

- Nienawidzę cię, Adanie.

- Nie mów tak, proszę.

Wygląda tak smutno, myśli Nora. Samotnie, rozpaczliwie. Chce mu wierzyć.

- Przysięgnij - mówi. - Przysięgnij, że mówisz prawdę.

- Przysięgam.

- Na życie córki.

Nie zniesie jej utraty.

Kiwa głową.

- Przysięgam.

Wyciąga rękę, a on ją chwyta.

- Boże, Adanie, jestem taka nieszczęśliwa.

- Wiem.

- Kochałam go.

- Wiem. Ja też.

A najsmutniejsze jest to, myśli Adán, że to prawda.

*

Muszą być na wysypisku, bo Flaco czuje smród śmieci.

I musi być ranek, bo czuje słońce na twarzy, mimo zakrzepłej krwi. Jeden z bębenków jest uszkodzony, ale słyszy błagania Marzyciela:

- Nie, proszę, proszę, nie...

Rozlega się strzał i Flaco już nie słyszy Marzyciela.

Potem Flaco czuje, jak lufa muska mu tył głowy, koło zdrowego ucha. Zatacza małe kręgi, jak gdyby strzelec chciał się upewnić, że Flaco wie, co to jest. Rozlega się trzask bezpiecznika.

Flaco wrzeszczy.

Suchy stuk.

Flaco nie słyszy. Pęcherz mu puszcza i czuje, jak ciepły mocz spływa mu po nogach; kolana uginają się i pada na ziemię, wijąc się niczym robak. Próbuje odsunąć głowę spod lufy, a wtedy znów słyszy trzask bezpiecznika i kolejny suchy stuk. Głos mówi:

- Może następnym razem, mały *pendejo*, co?

Stuk.

Flaco robi w majtki.

Federales krztusi się i klnie:

- Boże, co za smród! Coś ty żarł, *mierdita!*

Flaco znów słyszy szczęk bezpiecznika.

Pistolet grzmi.

Kula wbija się w ziemię przy jego uchu.

- Podnieście go - mówi głos.

Ale *federales* wzdragają się przed dotknięciem umazanego chłopaka. Wreszcie znajdują rozwiązanie - zdejmują kaptur Marzycielowi i wyciągają mu knebel z ust. Potem każą mu zdjąć uprane spodnie i majtki Raco i dają mokrą szmatę, by wytarł gównem przyjaciela.

- Przepraszam, przepraszam - mamrocze Flaco.

- W porządku.

Wsadzają ich na tył vana i zabierają z powrotem do celi. Wrzucają na betonową podłogę, zatraskują drzwi i zostawiają ich na chwilę samych.

Chłopcy leżą na podłodze i płaczą.

Godzinę później *federale* wraca i Flaco zaczyna się nieopanowanie trząść.

Jednak policjant rzuca im tylko po kawałku papieru i ołówku i każe zacząć pisanie.

*

Ich opowieści ukazują się w gazetach następnego ranka.

Potwierdzenie hipotezy policji federalnej w sprawie Parady - kardynał był ofiarą pomyłki, został zabity dlatego, że amerykańska banda wzięła go za Güero Méndeza.

El Presidente pojawia się w telewizji z generałem Leonem u boku, by obwieścić, że ta wiadomość tylko umacnia dążenie jego rządu do prowadzenia bezlitosnej wojny z narkotykowymi kartelami. Nie ustaną, dopóki te zbiry nie zostaną ukarane, a *narcotraficantes* zniszczeni.

*

Język Flaco powoli wysuwa mu się z ust.

Twarz ma granatową.

Wisi na rurze wodociągowej przechodzącej pod sufitem celi.

Obok dynda Marzyciel.

Lekarz sądowy wydaje werdykt - podwójne samobójstwo: młodzi mężczyźni nie mogli żyć ze świadomością, że zabili kardynała Paradę. Patolog nie wyjaśnia, skąd wzięły się ślady po uderzeniach tępym narzędziem na ich potylicach.

San Diego

Art czeka po amerykańskiej stronie granicy.

Przez noktowizor okolica wygląda dziwnie zielono. A to i tak dziwny teren. Ziemia niczyja, jałowy pas piaszczystych wzgórz i głębokich kanionów między Tijuaną a San Diego.

Co noc gra się tu w dziwną grę. Tuż przed zmierzchem niedoszli *mojados* zbierają się nad suchym kanałem odwadniającym, który biegnie wzdłuż granicy, czekając na zmrok. Potem, niczym na sygnał, ruszają od razu. To gra w numerki - nielegalni wiedzą, że patrol graniczny może zatrzymać ich tylko część, więc reszta przedostanie się, by znaleźć robotę za głodową płacę - przy zbiorze owoców, zmywaniu naczyń, pracy na farmach.

Jednak tej nocy szaleńcze zamieszanie już się skończyło i Art ma pewność, że pogranicznicy zniknęli z tego sektora. Zdrajca nadchodzi z drugiej strony, a chociaż ma być gościem rządu Stanów Zjednoczonych, nie może przejść przez granicę legalnie. To byłoby zbyt niebezpieczne - Barrerowie mają swoich ludzi, którzy obserwują przejścia na okrągło.

Art nie może ryzykować, że ktoś namierzy jego człowieka.

Spogląda na zegarek i nie podoba mu się to, co widzi. Jest 1.10 i jego człowiek spóźnia się dziesięć minut. Może po prostu ma problem z przedarciem się przez zdradziecki teren w ciemności. Mógł się zgubić w jednym z licznych kanionów, pójść w złą stronę albo...

Przestań się oszukiwać, mówi. Ramos jest z nim, a Ramos zna okolicę jak własną kieszeń.

Może Ramos nie natknął się na niego i facet postanowił trzymać się Barrerów. Może stchórzył, zmienił zdanie. Albo może Ramos nie znalazł go pierwszy i leży teraz gdzieś w rowie z kulą w tyle głowy. Albo, co bardziej prawdopodobne, z kulą w ustach, jak zwykle giną informatorzy.

Wtedy widzi trzykrotne mignięcie latarką.

Sam miga latarką dwa razy, odbezpiecza rewolwer i idzie kanionem, z latarką w jednej ręce, bronią w drugiej. Po minucie widzi dwie postacie, jedną wysoką i grubszą, drugą niższą i dużo szczuplejszą.

Ksiądz wygląda nieszczęśliwie. Nie ma sutanny ani koloratki, nosi bluzę Nike'a z kapturem i adidasy.

Wygląda na zziębniętego i przestraszonego.

- Ojciec Rivera? - pyta Art.

Rivera przytakuje.

Ramos klepie go w plecy.

- Głowa do góry, ojcie. Dobrze wybrałeś. Barrerowie zabiliby cię prędzej czy później.

A przynajmniej chcieliby, żeby w to uwierzył. To Ramos, na naciski Arta, nawiązał kontakt. Odnalazł księdza podczas porannej przebieżki, potruchał obok i zapytał, czy lubi zapach świeżego powietrza i czy chciałby poczuć go więcej. Potem pokazał mu zdjęcia paru ludzi, których Raúl zamęczył na śmierć, i dodał wesoło, że jego prawdopodobnie zastrzelą, bo jest księdzem.

Ale nie pozwolą ci żyć, *padre*, powiedział Ramos. Za dużo wiesz. Ty żalosna, kłamliwa, wazeliniarska kreaturo. Mogę cię uratować, dodał Ramos, kiedy ksiądz zaczął płakać. Ale to musi nastąpić wkrótce - dziś wieczorem - i musisz mi zaufać.

- On ma rację - rzuca Art. Kiwa głową Ramosowi, a jeśli oczy mogą się uśmiechać, to oczy Ramosa się śmieją.

- *Adiós, viejo* - mówi Ramos.

- *Adiós*, stary druhu.

Art bierze Riverę za rękę i delikatnie prowadzi do samochodu. Kapłan pozwala

prowadzić się niczym dziecko.

*

Chalino Guzmán, El Verde, *patrón* kartelu z Sonory, przyjeżdża na śniadanie do swej ulubionej restauracji w Ciudad Juárez. Zjawia się tu co rano na swe *huevos rancheros* z tortillami i gdyby nie charakterystyczne buty z zielonej jaszczurczej skóry, wyglądałby na zwykłego farmera, który zarabia na życie uprawiając twardą, spieczoną słońcem ziemię.

Jednak kelnerzy wiedzą lepiej. Prowadzą go do stolika na patio, przynoszą mu kawę i poranną gazetę. Wynoszą termosy z gorącą kawą dla jego *sicarios*, którzy siedzą w samochodach zaparkowanych przed lokalem.

Tuż za granicą znajduje się teksańskie miasto El Paso, przez które El Verde szmugluje tony kokainy, marihuany, a nawet nieco heroiny. Teraz siedzi i patrzy w gazetę. Nie umie czytać, ale lubi udawać, że umie, a poza tym chętnie ogląda zdjęcia.

Spogląda nad brzegiem gazety i obserwuje, jak jeden z *sicarios* podchodzi do zaparkowanego forda bronco i każe kierowcy przestawić wóz. El Verde jest lekko zirytowany - większość miejscowych zna zasady o tej porze. To musi być ktoś z zewnątrz, myśli, gdy *sicario* puka w szybę.

Wtedy wybucha bomba i rozrywa El Verde na strzępy.

*

Don Francisco Uzueta - vel García Abrego, szef kartelu znad Zatoki i *patrón* Federación - jedzie na ogierze palomino na czele parady podczas dorocznego święta w wiosce Coquimatlán. Ogier idzie paradnym krokiem, podkowy stukają o bruk wąskiej uliczki. Uzueta ma na sobie kostium *vaquero*, jak przystoi *patrón* wioski. Macha zdobionym klejnotami sombrero w odpowiedzi na wiwaty.

Słusznie wiwatuja - don Francisco wybudował szpital, szkołę, plac zabaw. Zapłacił nawet za klimatyzację na nowym posterunku policji.

Teraz więc uśmiecha się do ludzi i łaskawie przyjmuje wyrazy wdzięczności i uwielbienia. Rozpoznaje znajomych w tłumie, dba, żeby pomachać do dzieci. Nie widzi lufy karabinu maszynowego M-60, która wystaje z okna na pierwszym piętrze.

Pierwszy pocisk ściera mu uśmiech z twarzy. Drugi rozrywa pierś. Koń rży ze strachu, staje dęba i zaczyna wierzgać.

Martwa ręka Abrego wciąż ścisną wodze.

*

Mario Aburto, dwudziestotrzyletni mechanik, stoi tego dnia w tłumie w ubogiej dzielnicy Lomas Taurinas koło lotniska w Tijuanie.

Lomas Taurinas to kolonia złożona z prymitywnych szałasów i chat ukrytych w wąwozie pośród nagich błotnistych wzgórz, które otaczają wschodni skraj Tijuany. W Lomas Taurinas, jeśli nie dławisz się kurzem, to ślizgasz się na błocie spływającym ze zerodowanych wzniesień i niekiedy zabierającym ze sobą chaty. Aż do niedawna bieżąca woda oznaczała, że wybudowałeś szałas nad jednym z tysięcy strumyków - woda dosłownie przepływała przez twój dom - ale kolonia ostatnio otrzymała wodociąg i prąd w nagrodę za lojalność wobec PRI. Nadal jednak większość błotnistej terenu jest otwartym ściekiem i wysypiskiem śmieci.

Luisa Donalda Colosio otacza piętnastu żołnierzy z elitarniej Estado Mayor, gwardii prezydenckiej, po cywilnemu. Specjalny oddział eksgliniarzy z Tijuany, wynajętych dla ochrony lokalnych spotkań wyborczych, rozproszył się w tłumie. Kandydat przemawia z pudła furgonetki zaparkowanej w rodzaju naturalnego amfiteatru u stóp wąwozu.

Ramos patrzy ze stoku, z funkcjonariuszami sił specjalnych umieszczonymi w rozmaitych punktach wokół amfiteatru. To trudny cel - tłum jest wielki, hałaśliwy i płynny jak błoto. Ludzie tłoczą się wokół czerwonego chevy blazera Colosio, gdy ten powoli jedzie ulicami. Ramos obawia się, że tak samo będzie, gdy Colosio zacznie wyjeżdżać.

- To się źle skończy - mówi do siebie.

Jednak Colosio nie wsiada do samochodu po zakończeniu przemówienia.

Zamiast tego postanawia się przejść.

„Zanurzyć się w tłum”, jak to ujmuje.

- Co on chce zrobić? - krzyczy Ramos do nadajnika, zwracając się do generała Reyesa, dowódcy gwardii.

- Przejść się.

- To szaleństwo.

- Jeśli to zrobi - stwierdza Ramos - nie będziemy mogli go chronić!

Reyes jest członkiem meksykańskiego sztabu generalnego i zastępcą dowódcy gwardii prezydenckiej. Nie zamierza przyjmować rozkazów od jakiegoś brudnego gliniarza z Tijuany.

- To nie ty masz go chronić, tylko my.

Colosio słyszy wymianę zdań.

- Od kiedy muszę być chroniony przez własnym narodem?

Ramos bezradnie patrzy, jak Colosio zanurza się w tłumie.

- Zwiększyć czujność! - nadaje przez radio do swych ludzi, ale wie, że niewiele poza tym mogą zrobić. Chociaż są doskonałymi strzelcami wyborowymi, ledwo mogą dostrzec Colosio, gdy chodzi wśród tłumu, nie wspominając o strzelaniu do potencjalnego zabójcy. Nie tylko marnie widzą, ale i kiepsko słyszą, gdyż z głośników zamontowanych na furgonetcie

rozlega się lokalna muzyka *cumbia*.

Więc Ramos nie słyszy strzału.

Ledwo dostrzega, jak Mario Aburto przepycha się przez ochroniarzy, łapie Colosio za prawe ramię, przyciska mu pistolet do głowy i pociąga za spust.

Ramos zaczyna biec w dół, gdy wybucha chaos.

Ludzie chwytają Aburto i biją go.

Generał Reyes bierze Colosia w ramiona i zaczyna nieść go do samochodu. Jeden z ochroniarzy, major po cywilnemu, chwytą Aburto za kołnierz i ciągnie przez tłum. Krew przyska na kołnierz majora, gdy ktoś uderza Aburto kamieniem w głowę, ale teraz oddział Estado Mayor otacza majora, przebija się przez ciżbę i wpycha zabójcę do czarnego suburbana.

Gdy Ramos dociera do wozu, widzi, że zdołała już dojechać karetka; dostrzega też, że Reyes i sanitariusz wnoszą do niej Colosia. Wtedy Ramos zauważa drugą ranę w lewym boku polityka - postrzelono go nie raz, ale dwa razy.

Ambulans wyje syreną i odjeżdża.

Czarny suburban też rusza, ale Ramos unosi esposę i celuje prosto w majora na przednim siedzeniu.

- Policja z Tijuany! - krzyczy. - Zidentyfikuj się!

- Estado Mayor! Z drogi! - wrzeszczy major.

Wyciąga pistolet.

To zły pomysł. Dwanaście karabinów jest wymierzonych w jego głowę.

Ramos podchodzi do samochodu od strony pasażera. Teraz widzi rzekomego zabójcę na podłodze pod tylnym siedzeniem, między trzema żołnierzami po cywilnemu, którzy trzymają go i biją.

Ramos spogląda na majora.

- Otwórz drzwi, wsiadam.

- Spierdalaj.

- Chcę, żeby ten człowiek dotarł żywy na komisariat.

- To nie twój zasrany interes! Z drogi!

Ramos zwraca się do swoich ludzi.

- Jeśli samochód ruszy, zabijcie ich!

Unosi esposę i kolbą rozbija okno od strony pasażera. Gdy major uchyła się, wkłada rękę do środka, odblokowuje drzwi, otwiera je i wsiada. Teraz celuje w brzuch majora: oficer trzyma pistolet wycelowany w twarz Ramosa.

- Co? - pyta major. - Myślisz, że jestem Jackiem Rubym?

- Właśnie chcę się upewnić, że nim nie jesteś. Chcę dowiedzieć tego człowieka żywego na posterunek.

- Zabieramy go do siedziby policji federalnej.

- O ile dotrze tam żywy.

Major opuszcza pistolet i mówi do kierowcy:

- Jedźmy.

Tłum zbiera się przed Tijuana General zanim dojeżdża tam karetka z Colosio. Płaczący, rozmodlony tłum przed frontowymi schodami, wykrzykujący nazwisko Colosia i wznoszący jego zdjęcia. Karetka zajeżdża od tyłu, rannego wiozą od razu do sali operacyjnej. Helikopter wylądował na ulicy, z wirującymi śmigłami, gotów zawieźć Colosia do specjalnego centrum urazowego za granicą w San Diego.

Nie wznosi się.

Colosio już nie żyje.

*

Bobby.

To za bardzo przypomina Bobby'ego, myśli Art.

Samotny strzelec - wyalienowany, wyizolowany szaleniec. Dwie rany, jedna z prawej, druga z lewej.

- Jak ten Aburto to zrobił? - Art pyta Shaga. - Strzela z bliska w prawą stronę głowy Colosia, a potem strzela w lewą stronę brzucha? Jak?

- Jak w przypadku Roberta Kennedy'ego - odpowiada Shag. - Ofiara obraca się po uderzeniu pierwszej kuli.

Shag demonstruje, odrzucając w tył głowę i obracając się w lewo, gdy pada na podłogę.

- Być może - mówi Art - tyle że trajektoria pocisków wskazuje, że wystrzelono je z przeciwnych stron.

- O, to ciekawe.

- Dobra - rzuca Art. - Zamykamy tunel Güera, demaskujemy jego związki z braćmi Fuentes, głównymi stronnikami Colosia. Potem Colosio przyjeżdża do Tijuany, na boisko Barrerów, i zostaje zabity. Możesz powiedzieć, że zwariowałem, Shag.

- Nie zwariowałeś. Ale według mnie masz obsesję na punkcie Barrerów, odkąd...

Milknie. Wpatruje się w biurko.

Art kończy za niego.

- Odkąd zabili Erniego.

- Tak.

- A ty nie?

- Ja też - odpowiada Shag. - Chcę dopaść ich wszystkich, Barrerów i Méndeza. Ale, szefie, do pewnego stopnia, to znaczy... do pewnego punktu, który ty chcesz przekroczyć.

Ma rację, myśli Art.

Oczywiście, że ma rację. I chcę posunąć się dalej. Ale chcieć tego i zrobić to, to dwie różne rzeczy. Ale nie chcę sobie odpuścić tej obsesji na punkcie Barrerów, jak to nazywa Shag.

- Mówię ci, kiedy to wszystko się wyjaśni, odkryjemy, że stali za tym Barrerowie.

Nie wątpię w to.

*

Güero Méndez leży na wózku w prywatnym szpitalu, gdzie trzech najlepszych chirurgów plastycznych Meksyku szykuje się do zrobienia mu nowej twarzy. Nowa twarz, myśli, ufarbowane włosy i mogą wznowić wojnę z Barrerami.

Tę wojnę na pewno wygra, z nowym prezydentem po swojej stronie.

Opiera się na poduszce, podczas gdy pielęgniarka przygotowuje go do operacji.

- Jest pan gotowy, żeby zasnąć? - pyta dziewczyna.

Kiwa głową. Gotowy, żeby zasnąć i obudzić się jako nowy człowiek.

Siostra bierze strzykawkę, zdejmuje plastikową nasadkę i umieszcza igłę w żyłę na jego ramieniu, a potem naciska tłoczek. Głaszcze jego twarz, gdy lek zaczyna działać, a potem mówi cicho:

- Colosio nie żyje.

- Co powiedziałaś?

- Mam wiadomość od Adána Barrery - twój Colosio nie żyje.

Güero próbuje się przebudzić, ale ciało nie słucha jego umysłu.

- To się nazywa dormicum - ciągnie pielęgniarka. - Potężna dawka - nazywają to „śmiertelnym zastrzykiem”. Kiedy zamkniesz oczy, nigdy już ich nie otworzysz.

Méndez próbuje krzyczeć, ale żaden dźwięk nie wydobywa się z jego ust. Stara się nie zasnąć, ale czuje, że wszystko odpływa - świadomość, życie. Szarpie się w pasach, próbuje uwolnić rękę, żeby zerwać maskę i krzyczeć o pomoc, ale mięśnie nie odpowiadają. Nawet szyja się nie obraca, żeby potrząsnąć głową - nie, nie, nie - gdy czuje, że życie z niego odpływa.

Jakby ze straszliwej odległości słyszy, jak pielęgniarka mówi:

- Barrerowie życzą ci, byś zgnął w piekle.

*

Dwaj strażnicy toczą wózek na pranie, pełen czystych prześcieradeł i koców, do cel Miguela Ángela Barrery w więzieniu Almoloya.

Tío wchodzi do wózka, a strażnicy przykrywają go prześcieradłem i wytaczają z budynku, przez dziedziniec i za bramę.

To proste i łatwe.

Jak obiecali.

Miguel Ángel wychodzi z wózka i idzie do czekającego vana.

Dwanaście godzin później rozpoczyna życie emeryta w Wenezueli.

*

Trzy dni przed Bożym Narodzeniem Adán klęczy przed kardynałem Antonuccim w jego gabinecie w Mexico City.

„Najbardziej poszukiwany człowiek w Meksyku” słucha łacińskiej modlitwy nuncjusza papieskiego, odpuszczenia grzechów jego i Raúla za rolę, jaką odegrali w przypadkowym zabiciu kardynała Juana Ocampy Parady.

Antonucci nie udziela im rozgrzeszenia za zamordowanie El Verde, Abrego, Colosia i Méndeza, myśli Adán, ale rząd i owszem. Z góry - to część *quid pro quo* za zabicie Parady.

Jeśli ja zabiję waszego wroga, upierał się Adán, wy musicie mi pozwolić zabić mojego.

I tak się stało, myśli Adán. Méndez nie żyje, wojna jest skończona, Tío uciekł z więzienia.

A ja jestem nowym *patrón*.

Rząd Meksyku właśnie przywrócił Kościołowi rzymskokatolickiemu pełnię praw. Teczka pełna kompromitujących informacji przeszła z rąk Adána Barrery w posiadanie pewnych ministrów.

Adán opuszcza pokój z oficjalnie oczyszczoną, nową duszą.

Quid pro quo.

*

Sylwester. Nora wraca do domu z kolacji z Haley Saxon. Wyszła zanim jeszcze wystrzeliły korki szampanów.

Nie jest w nastroju na imprezy. Święta były przygnębiające. To jej pierwsze Boże Narodzenie od dziewięciu lat, którego nie spędziła z Juanem.

Wkłada klucz do zamka i otwiera drzwi. Gdy wchodzi do środka, ręka spada jej na usta. Dziewczyna grzebie w torebce w poszukiwaniu gazu pieprzowego, ale ktoś wrywa jej torbę z rąk.

- Nie skrzywdzę cię - mówi Art. - Nie krzycz.

Powoli zdejmuję rękę z jej ust.

Nora odwraca się i uderza go w twarz, a potem oznajmia:

- Dzwonię na policję.

- Ja jestem z policji.

Kobieta podchodzi do telefonu i zaczyna wybierać numer.

- Masz prawo zachować milczenie - mówi Art. - Wszystko, co powiesz, może być użyte przeciw tobie podczas...

Nora odkłada słuchawkę.

- Tak lepiej.

- Czego chcesz?

- Chcę, żebyś coś zobaczyła.

- Nie masz pojęcia, ile razy to słyszałam.

Art wyjmuję kasetę wideo z kieszeni kurtki.

- Masz magnetowid?

Ona się śmieje.

- Amatorskie wideo? Bosko. To twoje, żeby mi zaimponować? Czy moje? Najpierw groźby, potem szantaż. Powiem ci coś, skarbie - widziałam ich setki i świetnie wychodzę na filmie.

Otwiera szafkę i pokazuje mu telewizor i magnetowid.

- Obsłuż się.

Gliniarz wkłada kasetę do odtwarzacza i mówi:

- Usiądź.

- Nie chcę.

- Powiedziałem, żebyś usiadła.

- Och, co za władczy ton - siada na kanapie. - Zadowolony? Włączyłeś?

- Patrz.

Nora uśmiecha się, gdy taśma rusza, ale przestaje, gdy na ekranie pojawia się obraz młodego księdza. Siedzi na metalowym krzeselku za metalowym stołem. U dołu ekranu widać pasek, na którym wyświetla się data i godzina.

- Kto to? - pyta Nora.

- Ojciec Esteban Rivera - odpowiada Keller. - Proboszcz Adána.

W tle słychać głos Arta zadającego pytania.

Serce jej zwalnia, gdy słucha.

- Dwudziesty czwarty maja tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku, pamiętasz, gdzie byłeś?

- Tak.

- Udzielałeś chrztu, tak?

- Tak.

- W swoim kościele w Tijuanie.

- Tak.

- Spójrz na ten dokument.

Nora widzi rękę, która podsuwa księdzu papier. On go podnosi, patrzy i odkłada na stół.

- Poznajesz?

- Tak.

- Co to jest?

- Metryka chrztu.

- Adán Barrera wymieniony jest jako ojciec chrzestny. Widzisz to?

- Tak.

- To twoje pismo, prawda?

- Tak.

- Wpisałeś Adána Barrerę jako ojca chrzestnego i wskazałeś, że był obecny na chrzcie, zgadza się?

- Tak.

- Ale to nieprawda?

Nora wstrzymuje oddech podczas długiej pauzy, gdy Rivera zastanawia się nad odpowiedzią.

- Tak.

Kobieta czuje ból w żołądku.

- Skłamałeś.

- Tak. Wstydzę się.

- Kto prosił, żebyś twierdził, że Adán tam był?

- On sam.

- Tutaj jest jego podpis?

- Tak.

- Kiedy więc to podpisał?

- Tydzień wcześniej.

Nora pochyla się i wkłada ręce między kolana.

- Czy wiesz, gdzie Adán był tamtego dnia?

- Nie, nie wiem.

- Ale my wiemy, prawda? - pyta Art Norę. Wstaje, wyciąga kasetę z magnetowidu i wkłada z powrotem do kieszeni. - Szczęśliwego Nowego Roku, pani Hayden.

Nie patrzy za nim, gdy wychodzi.

*

Nowy Rok. Art budzi się przy włączonym telewizorze z okrutnym kacem.

Musiałem zostawić to cholerne pudło włączone, myśli. Wyłącza odbiornik, idzie do łazienki, bierze kilka aspiryn i popija wodą. Wraca do kuchni i nastawia kawę.

Tymczasem otwiera drzwi do holu i podnosi gazetę. Zabiera ją i kawę do stolika w salonie w idealnie czystym mieszkaniu i siada. Na zewnątrz jest jasny zimowy dzień. Kilka przecznic dalej widzi Zatokę San Diego, a dalej Meksyk.

Krzyżyk na drogę dla roku dziewięćdziesiątego czwartego, myśli. Beznadziejny rok.

Może dziewięćdziesiąty piąty będzie lepszy.

Więcej gości na spotkaniu zmarłych zeszłej nocy. Starzy znajomi, a teraz ojciec Juan. Skoszony w strzelaninie, jaką wywołałem, próbując osiągnąć pokój w wojnie, którą rozpocząłem. Przyprowadził też ze sobą innych. Dzieciaki. Dwóch członków gangu w San Diego, dzieciaki z mojego starego barrio.

Wszyscy przyszli pożegnać stary rok.

Niezła balanga.

Spogląda na pierwszą stronę gazety i zauważa bez zainteresowania, że dziś wejdzie w życie porozumienie NAFTA.

Cóż, gratulacje, myśli. Wolny handel rozkwitnie. Tuż za granicą fabryki wyrosną jak grzyby po deszczu, a marnie opłacana meksykańska siła robocza będzie robić tenisówki, markowe ciuchy, lodówki i sprzęt za cenę, na jaką nas stać.

Wszyscy będziemy grubi i szczęśliwi, więc cóż znaczy przy tym jeden zmarły?

Cóż, cieszę się, że macie swój traktat, myśli.

Ja na pewno go nie podpisywałem.

Część czwarta
Droga do Ensenady

10.

Złoty Zachód

*Federates mówią,
Że mogą dopaść go każdego dnia.
Zostawiają go na wolności
Z czystej uprzejmości.
Townes Van Zandt, Pancho and Lefty*

*San Diego
1996*

Światło słoneczne jest brudne.

Przefiltrowane przez zapaćkane okna i połamane żaluzje wciska się do pokoju Callana jak trujący gaz, obrzydliwy i żółty. Obrzydliwy i żółty - to pasuje też do Callana - chorego, poźółkłego, spoconego, cuchnącego. Leży owinięty w niezmieniane od tygodni prześcieradła, jego pory próbują (bezskutecznie) wypocić alkohol, zaschnięta ślina tkwi w kąciku na pół otwartych ust, mózg próbuje gorączkowo rozdzielić fragmenty koszmarów od wyłaniającej się rzeczywistości.

Słabe słońce pada na otwierające się powieki.

Kolejny dzień w raju.

Kurwa.

Właściwie to dobrze, że się obudził - sny były koszmarnie, co pogarszała jeszcze wypita woda. Podświadomie spodziewał się ujrzeć krew na łóżku - jego sny są czerwone; krew płynie przez nie niczym rzeka, łącząc jeden koszmar z kolejnym.

Rzeczywistość nie jest dużo lepsza.

Mruga kilkakrotnie, upewnia się, że już nie śpi, i powoli opuszcza nogi, z zakwasami, na podłogę. Siada, przez chwilę rozważa ponowne położenie się, potem sięga po papierosy z nocnego stolika. Wsadza papierosa do ust, znajduje zapalniczkę i przykłada płomień do czubka papierosa.

Głęboko się zaciąga, koszmarnie kaszle i nagle czuje się nieco lepiej.

Teraz potrzebuje już tylko drinka.

Na rozruch.

Patrzy na podłogę i u swych stóp zauważa pustą butelkę po whisky.

Kurwa mać - to się zdarza coraz częściej. I jest coraz bardziej dotkliwie. Co wieczór opróżniasz butelkę i nie zostawiasz nic na rano, nawet kropli bursztynowego napoju. To oznacza, że musisz wstać. Wstać, ubrać się i wyjść po alkohol.

Bywało - i to jeszcze całkiem niedawno - że budził się z kacem i potrzebował tylko filiżanki kawy. W najwcześniejszych dniach tych wczesnych dni wyszedłby do małej kafejki przy Czwartej Alei i wypił pierwszą filiżankę uwalniającą od bólu głowy, a może nawet zjadłby śniadanie - ziemniaki, jajka i tosta. Potem przestał jadać śniadania - mógł znieść tylko kawę - a potem, gdzieś tam, gdzieś pośród coraz dłuższych pijatyk, to nie kawy zaczął pragnąć w pierwszych straszliwych godzinach dnia, ale więcej gorzały.

Wstaje więc.

Kolana mu trzeszcza, plecy bolą od długiego snu w jednej pozycji.

Wchodzi do łazienki z umywalką, sedesem i kabiną prysznicową wtłoczonymi w niegdysiejszy schowek. Cienki, niewystarczający metalowy występ oddziela prysznic od podłogi, więc w dniach, kiedy jeszcze mył się regularnie (a płaci ekstra co tydzień za prywatną łazienkę, żeby nie korzystać ze wspólnej z bełkoczącymi wariatami, starymi syfilitykami, pijanymi ciotami), woda zawsze przelewała się na starą podłogę z płytek. Albo rozpryskiwała się po cienkiej, podartej zasłonie w wyblakłe kwiaty. Teraz nie korzysta z prysznicza zbyt często. Myśli o tym, ale to za wiele zachodu, a butelka z szamponem i tak jest niemal pusta. Pójście do sklepu i kupno nowej wymaga wysiłku. A on nie lubi przebywać wśród tłumu - w każdym razie wśród cywilów.

Na podłodze koło prysznicza znalazł się cienki płatek mydła, a wyschnięta kostka silnie pachnącego mydła antyseptycznego - zapewniana przez hotel razem z cienkim ręcznikiem - leży na umywalce.

Ochlapuje sobie twarz wodą.

Nie patrzy w lustro, za to ono gapi się na niego.

Jego twarz jest spuchnięta i pożółkła, tłuste włosy sięgają ramion, broda splątana.

Zaczynam wyglądać, myśli Callan, jak każdy pijus, ochlapus i herbatnik w Lamp. Kurwa, a czemu nie? Poza tym, że mogę pójść do bankomatu i pobrać pieniądze, to jestem jak każdy pijus, ochlapus i herbatnik w Lamp.

Czyści zęby.

Tyle musi zrobić. Nie znosi posmaku whisky i wymiocin w ustach - to pobudza go do rzygania. Więc czyści zęby i siusia. Nie musi się ubierać - już jest ubrany w to, w czym

zasnął, czarne dżinsy i czarną podkoszulkę. Nie ma butów, co każe mu usiąść na łóżku i nachylić się, a w chwili, gdy kończy sznurować czarne trampki (bez skarpetek), czuje, że musi się znów położyć.

Ale jest jedenasta.

Czas się ruszyć.

Napić się.

Sięga pod poduszkę, znajduje swoją dwudziestkę dwójkę. Wtyka ją w kaburę pod za dużym, rozciągniętym T-shirtem, bierze klucze i wychodzi.

W holu śmierdzi.

Głównie lizolem, którym kierownictwo pryska dokoła niczym cholernym napalmem, żeby zabić uporczywy smród moczu, wymiotów, gówna i umierających starców. Poza tym zabija bakterie. To stała, z góry przegrana walka - taka jak to miejsce, myśli Callan, naciskając przycisk jedynej windy.

Dlatego tu mieszkasz.

Miejsce, gdzie wreszcie przegrasz własną skazaną na klęskę walkę.

Hotel Złoty Zachód.

Jednoosobowe pokoje.

Sranie w banię.

Ostatni przystanek przed kartonowym pudłem na ulicy albo lodówką u koronera.

Ponieważ hotel Złoty Zachód zamienia czeki z zasiłku, z opieki społecznej, z pośredniaka, z renty bezpośrednio na czynsz za pokój. Kiedy czeki przestają napływać, jesteś załatwiony. Przykro nam, stary, wnoś się na ulicę, do pudła, do kostnicy. Niektórzy szczęściarze umierają w swoich pokojach. Nie zapłacili czynszu albo zapach rozkładu przeciska się pod drzwiami i wreszcie zagłusza smród lizolu. Wtedy leniwy portier przyciska chusteczkę do nosa i przekręca zapasowy klucz. Potem dzwoni, karetka jedzie powoli do hotelu i kolejny starzec jest zabierany w worku w ostatnią drogę, jego słońce wreszcie zaszło na Złotym Zachodzie.

Mieszkają tu nie tylko pijacy. Czasami trafia się turysta z Europy, odstraszone wysokimi cenami w kosztownym San Diego. Mieszka tydzień i wymeldowuje się. Albo obskurność tego miejsca przyciąga amerykańskiego dzieciaka, który uważa się za nowego Jacka Kerouaca albo Toma Waitsa - do czasu, gdy z pokoju zniknie mu plecak z discmanem i wszystkimi pieniędzmi, dostanie po gębie na ulicy albo jeden z kolorowych stałych lokatorów nie spróbuje złapać go za jaja we wspólnej łazience. Potem niedoszły guru dzwoni do mamusi, a ona korzysta ze swej karty kredytowej, żeby wyciągnąć stąd swoje słońeczko.

Chłoptaś za to zobaczył część Ameryki, jakiej nigdy by nie poznał w innej sytuacji.

Ale to głównie starsi pijacy i podstarzali psychole gromadzą się niczym wrony na wytartych krzesłach przed telewizorem w holu. Paplają przy tym, kłócą się o wybór kanału (zdarzały się bójki na noże, nawet z ofiarami śmiertelnymi, o to, czy oglądać *Rockford Files* czy *Wyspę Gilligana*\ kurwa, nożami rozstrzygano spory, czy lepsza jest Ginger, czy Mary Ann), albo mamrocą wewnętrzne monologi z realnych lub wymyślonych scen, jakie rozgrywają się w ich głowach.

Stale przegrywane bitwy.

Callan nie musi tu mieszkać.

Ma pieniądze, mógłby mieszkać lepiej, ale wybrał to miejsce.

Nazwij to pokutą, czyścem, czym chcesz - tu odbywa długotrwałą karę, złapie gorzałę w coraz większych ilościach, poci się nocą, rzyga krwią, krzyczy przez sen, umiera co noc, zaczyna znów rankiem.

„Przebaczam ci. Bóg ci przebacza”.

Dlaczego stary ksiądz to powiedział?

Po tej cholernej strzelaninie w Guadalajarze Callan pojechał do San Diego, zameldował się w Złotym Zachodzie i zaczął chlać. Po półtora roku nadal tu mieszka.

To oprawa dla nienawiści do samego siebie. Podoba mu się tu.

Nadjeżdża winda, jęcząc niczym stary kelner. Callan otwiera skrzypiące drzwi i naciska guzik pod wyblakłym P. Krata drzwi zamyka się i winda jedzie w dół. Callan czuje ulgę, że jest sam - żadnego francuskiego turysty z marynarskim workiem, żadnego amerykańskiego studenta trącającego go plecakiem, żadnego śmierdzącego pijaka. Kurwa, myśli Callan, ja jestem śmierdzącym pijakiem.

Nieważne.

Recepcjonista lubi Callana.

Trudno go nie lubić - obcy, młody (jak na Złoty Zachód) facet płaci gotówką, z góry. Jest cichy i nie skarży się. Pewnej nocy, gdy czekał tu na klucz, bandyta zagroził portierowi nożem, a ten facet spojrział i po prostu go znokautował. Pijany jak świnia a obalił napastnika jednym ciosem, potem grzecznie znów poprosił o klucz.

Więc recepcjonista lubi Callana. Jasne, gość jest stale pijany, ale to cichy pijak, który nie robi zamieszania - nic innego nie można wymagać. Mówi „cześć”, gdy Callan oddaje klucz, odpowiada na powitanie i kieruje się do wyjścia.

Słońce trafia go w pierś niczym pięść.

Z półmroku w światło. Oślepiiony, staje i mruga przez chwilę. Nie przyzwyczyił się - w

Nowym Jorku nie ma takiego słońca. W zasranym San Diego chyba zawsze świeci słońce. Powinno się nazywać Sun Diego. Oddałby lewe jajo za jeden deszczowy dzień.

Oczy przywykają do światła, więc wchodzi do dzielnicy Gaslamp.

Kiedyś była to tandetna, niebezpieczna okolica pełna lokali ze striptizem, kin porno i hoteli z pokojami na godziny - typowa podupadająca dzielnica. Potem, gdy ruszył proces modernizacji, nędzne hotele zmieniły się w apartamentowce. Mieszkanie w Lamp stało się modne. Obok sklepu porno powstawała więc droga knajpa, szykowny klub obok hoteliku, apartamentowiec z kawiarnią na parterze sąsiedował z rozsypującym się budynkiem z pijakami w piwnicy i ćpunami na dachu.

Modernizacja wygrywała.

Oczywiście, że tak - pieniądze zawsze wygrywają, a Lamp stawało się ostoją japiszonów. Utrzymało się kilka noclegowni, parę sex-shopów, garstka zapuszczonych barów. Ale procesu nie da się zatrzymać, gdy zaczną się pojawiać placówki znanych sieci - Starbucks, Gaps, Edwards Cinemas. Lamp zaczyna wyglądać jak inne dzielnice, a ocalałe kina porno, obskurne bary i hoteliki przypominają Indian po pijanemu błakających się po parkingu amerykańskiej komercji.

Callan nie myśli o tym.

Skupia się na drinku, a stopy niosą go do jednego z zachowanych reliktyw, ciemnego, wąskiego baru, którego nazwy nie zna - szyld wyblakł dawno temu - wciśniętego między ostatnią pralnię samoobsługową w okolicy a galerię sztuki.

Jest ciemny, jak powinny być bary.

To lokal dla zaprawionych w bojach pijaków - nie pojawiają się tu amatorzy czy dyletanci - a przy barze i stolikach pod ścianą naprzeciwko tłoczy się około tuzina bywalców. Ludzie nie wchodzi tu, by zawierać znajomości, rozmawiać o sporcie czy polityce, albo próbować markową whisky. Przychodzą, żeby się upić i pozostać w tym stanie tak długo, jak wytrzymają to ich portfele i wątroby. Kilku z nich zerka niechętnie na wchodzącego Callana, który wpuszcza do środka promień słońca.

Drzwi jednak zamykają się szybko i wszyscy wracają do wgapienia się we własne szklanki. Callan zajmuje stół przy barze i zamawia.

Nie wszyscy jednak.

Jakiś facet na końcu baru spogląda ukradkowo znad swojej whisky. Mały, stary, z twarzą cherubina i szopą siwych włosów. Wygląda jak krasnal przycupnięty na stołku, a jego oczy rozbłyskują z zaskoczenia, gdy rozpoznaje mężczyznę, który wszedł do baru, usiadł, zamówił dwa piwa i klina.

Ostatni raz widział go dwadzieścia lat wcześniej, w Liffey Pub w Hell's Kitchen, kiedy ten facet - wtedy jeszcze chłopak - wyciągnął pistolet i wpakował dwie kulki w Eddiego „Rzeźnika” Friela.

Mickey pamięta nawet muzykę, jaka wtedy grała. Pamięta, że wcisnął do szafy grającej garść monet, bo chciał usłyszeć *Moon River* możliwie dużo razy, zanim zacznie kolejną odsiadkę. Pamięta, że powiedział temu facetowi - to na pewno on, nadal nosi broń zatknietą za pasek na krzyżu - żeby rzucił pistolet do rzeki Hudson.

Mickey nigdy więcej nie widział chłopaka, aż do dziś, ale słyszał resztę historii. O tym, jak chłopak - jak on się nazywał? - obalił Matty'ego Sheehana i stał się jednym z królów Hell's Kitchen. Jak wraz z przyjacielem zawarł pokój z rodziną Cimino; jak obaj stali się cynglami Wielkiego Pauliego Calabrese i jak - jeśli plotka nie kłamała - zastrzelił Wielkiego Pauliego pod Sparks Steak House tuż przed Gwiazdką.

Callan, przypomina sobie.

Sean Callan.

Tak, rozpoznaję cię, Seanie Callanie, ale ty mnie chyba nie pamiętasz.

To dobrze, dobrze.

Mickey Haggerty dopija drinka, wstaje ze stołka i wyslizguje się do budki telefonicznej. Zna kogoś, kto się bardzo zainteresuje informacją, że Sean Callan jest w barze w Gaslamp.

*

To musi być delirium.

Callan mimo to sięga po broń.

Ale to musi być delirium, bo nie ma żadnego wyjaśnienia, dlaczego Wielki Brzoskwinia i O-Bop stoją przy jego łóżku w hotelu Złoty Zachód, celując do niego z pistoletów. Widzi pociski w ich komorach, błyszczące i śmiertelne, śliczne i srebrne, odbijające światło ulicznej latarni, podrabianej lampy gazowej, które przepuszcza połamana żaluzja.

Czerwony neon nad sex-shopem po drugiej stronie ulicy miga niczym alarm.

Za późno.

Jeśli to nie delirium, to jestem trupem, myśli Callan. I tak jednak zaczyna wyciągać pistolet spod poduszki. Zabierze ich ze sobą.

- Nie, ty cholerny popaprańcu - słyszy warknięcie.

Ręka Callana zamiera. To pijacki sen czy rzeczywistość? Czy Wielki Brzoskwinia i O-Bop naprawdę stoją w jego pokoju z wycelowanymi w niego pistoletami? A jeśli zamierzają strzelać, to czemu tego nie robią? Powiadają, że jeśli umierasz we śnie, to umierasz i w życiu, ale niekiedy trudno wskazać różnicę między życiem a śmiercią. Ostatnią rzeczą, jaką pamięta,

jest picie piwa i whisky w barze. Teraz budzi się i może być albo żywy, albo martwy. Albo jest z powrotem w Kitchen, a ostatnie dziewięć lat było tylko snem?

Wielki Brzoskwinia się śmieje.

- Kim ty teraz jesteś, jakimś pieprzonym hippisem? Te włosy, broda...

- Poszedł w tango - mówi O-Bop. - Irlandzki urlop.

- Masz pod poduszką tę małą dwudziestkę dwójkę, prawda? - pyta Brzoskwinia. - Nieważne jak pijany jesteś, ale masz broń. Spokojnie, gdybyśmy przyszli, żeby cię załatwić, zginąłbyś, zanim byś się obudził.

- Więc po co te pistolety? - interesuje się Callan.

- Nazwijmy to nadmiarem ostrożności - odpowiada Brzoskwinia. - Ty jesteś Billy the Kid Callan. Kto wie, co cię tu sprowadziło. Może kontrakt na mnie. Więc wyjmij gnata powoli.

Callan wyjmuje.

Przez pół sekundy rozważa kropnięcie ich obu, ale to nie przejdzie.

Poza tym ręka mu się trzęsie.

O-Bop powoli wyjmuje pistolet z ręki Callana i wciska go sobie za pasek. Potem siada obok niego i otacza go ramieniem.

- Jezu, jak dobrze cię znów widzieć.

Brzoskwinia siada w nogach łóżka.

- Gdzieś ty się podziewał, do cholery? Rany, jak mówiliśmy o wyjeździe na południe, to nie mieliśmy na myśli Antarktydy. Ty fiucie.

- Wyglądasz jak kupa gówna - dorzuca O-Bop.

- I tak się czuję.

- To widać - mówi Brzoskwinia. - I co do kurwy nędzy robisz w tym pieprzonym sraczu? Jezu, Callan.

- Macie coś do picia?

- Pewnie - O-Bop wyjmuje z kieszeni butelkę seagrama i wręcza ją Callanowi.

Ten pociąga solidnie.

- Dzięki.

- Ty cholerny Irlandczyku - rzuca Brzoskwinia. - Wszyscy jesteście pijakami.

- Jak mnie znaleźliście? - pyta Callan.

- Dzięki małemu Mickeyowi Haggerty'emu, skoro już o pijakach mowa - odpowiada Brzoskwinia. - Widział cię w tej mordowni, gdzie piłeś, dał cynk, a my dowiedzieliśmy się, że mieszkasz w hotelu Złoty Zachód. Nie mogliśmy w to, kurwa, uwierzyć. Popierdoliło cię?

- Odrobinę.
- Nie pierdziel - mówi Brzoskwinia.
- Po co przyjechaliście?
- Zabrać cię stąd. Wracasz ze mną do domu.
- Do Nowego Jorku?
- Nie, głąbie. Teraz mieszkamy tutaj. W słonecznym San Diego, skarbie. Tu jest pięknie. Cudownie.

- Zbieramy ekipę - wyjaśnia O-Bop. - Ja, Brzoskwinia, Mały Brzoskwinia, Mickey. A teraz ty.

Callan potrząsa głową.

- Nie, skończyłem z tym gównem.

- Jasne - stwierdza Brzoskwinia. - Cokolwiek teraz robisz, na pewno działa. Dobra, pogadamy o tym później. Teraz musimy cię otrzeźwić, nakarmić. Trochę owoców, nie masz pojęcia, jakie tu są owoce. Nie tylko brzoskwinie. Mówię o gruszkach, pomarańczach, grejpfrutach tak różowych i soczystych, że są lepsze niż seks, mówię ci. O-Bop, zbierz trochę łąchów tego chłopca i spadamy stąd.

Callan jest na tyle pijany, że nie protestuje.

O-Bop zgarnia parę rzeczy, a Brzoskwinia go wyprowadza.

Rzuca centa na ladę recepcji i mówi im, że rachunek jest zapłacony, cokolwiek to znaczy. W drodze do samochodu - a Brzoskwinia ma nowego mercedesa - O-Bop i Brzoskwinia opowiadają Callanowi, jak tu jest świetnie, jakie fajne rzeczy robią.

I ulice są wybrukowane złotem.

Złotem.

*

Grejpfrut leży na misce niczym pyzate słońce. Pызate, napęczniałe, soczyste słońce.

- Jedz - mówi Brzoskwinia. - Potrzebujesz witaminy C. Brzoskwinia stał się zwolennikiem zdrowego odżywiania, jak wszyscy w Kalifornii. Dalej jest grubasem, ale teraz to opalony grubas z niskim poziomem cholesterolu i dietą z wysoką zawartością błonnika.

- Dbam o dietę - wyjaśnia Callanowi - ale czuję się bosko.

Wręcz przeciwnie Callan.

Callan czuje się dokładnie tak, jak człowiek po długotrwałej pijatyce. Czuje się jak trup, o ile trup może się czuć tak gównianie. A teraz tłusty, opalony Wielki Brzoskwinia siedzi tu i zmusza go do zjedzenia tego pieprzonego grejpfruta.

- Masz piwo? - pyta Callan.

- Tak, ja mam - odpowiada Brzoskwinia. - Ale ty nie masz. I nie będziesz miał, ty pieprzony alkoholiku. Zamierzamy cię z tego wyciągnąć.

- Jak długo tu jestem?

- Cztery cholerne dni. I co chwila rzygałeś, płakałeś, mamrotałeś i przeklinałeś.

Co przeklinałem? - zastanawia się Callan. To niepokojące, bo sny były krwawe i złe. Cholerne upiory - a było ich mnóstwo - nie chciały zniknąć.

I ten pierdolony klecha.

„Przebaczam ci. Bóg ci przebacza”.

Nie, On nie, ojciec.

- Człowieku, za nic nie chciałbym oglądać twojej wątroby - mówi Brzoskwinia. - Musi wyglądać jak stara piłka tenisowa. Gram teraz w tenisa, mówiłem ci? Co rano, poza ostatnimi czterema dniami, kiedy cię niańczyłem. Tak, gram w tenisa, jeżdżę na rolkach.

Sto trzydzieści kilo Wielkiego Brzoskwini na rolkach? - myśli Callan. Podobno wypadki chodzą po ludziach...

- Tak - potwierdza O-Bop. - Wzięliśmy koła z ciężarówki i doczepiliśmy mu do butów.

- Pierdol się - mówi Brzoskwinia. - Bardzo dobrze jeżdżę.

- Ludzie spieprzają aż się kurzy - dorzuca O-Bop.

- Powinieneś zająć się innymi ćwiczeniami niż rozpychanie się łokciami - Brzoskwinia przygania O-Bopowi. - Ty, wczorajszy, jedz tego cholernego grejpfruta.

- Mam go najpierw obrać? - pyta Callan.

- Na litość boską, co za idiota. Daj mi to.

Brzoskwinia wyjmując nóż, przecina grejpfruta na połowę, potem delikatnie dzieli na cząstki i wręcza Callanowi miskę.

- Jedz łyżeczką, barbarzyńco. Wiesz, że słowo „barbarzyńca” pochodzi od Rzymian? Oznaczało „czerwonobrodego”. Mówili tak o twoich rodakach. Widziałem to na - jak to się nazywa? - History Channel, wczoraj wieczorem. Uwielbiam takie bzdury.

Ktoś dzwoni do drzwi, więc Brzoskwinia wstaje.

O-Bop szczerzy się do Callana.

- Brzoskwinia w tym szlafroku wygląda jak stara *mamma mia*, no nie? Nawet cycki mu urosły. Brakuje mu tylko różowych kapci z pomponami. Rany, powinieneś go zobaczyć na rolkach. Ludzie zwiewają na boki. Jak na jakimś japońskim horrorze. Italodzilla.

Rozlega się głos Brzoskwini.

- Chodźcie do kuchni, zobaczycie, co kot przywłókł.

Parę sekund później Callan widzi Małego Brzoskwinię, który go mocno ściska.

- Powiedzieli mi - oznajmia Mały Brzoskwinia - ale nie wierzyłem, dopóki nie ujrzałem. Gdzieś ty się podziewał?

- Głównie w Meksyku.

- Nie mają tam telefonów? - pyta Mały Brzoskwinia. - Nie mogłeś zadzwonić, powiedzieć, że żyjesz?

- Dokąd niby miałem dzwonić? - zadaje pytanie Callan. - Byliście objęci cholernym programem ochrony świadków. Jeśli bym was znalazł, to inni również.

- Wszyscy inni są w Marion - odpowiada Brzoskwinia.

Ładnie, myśli Callan. Ty ich tam wsadziłeś. Wychowany w starej szkole Wielki Brzoskwinia zmienił się w najważniejszego donosiciela od czasów Valachiego. Wsadzić Johnny'ego Boya na dożywocie i jeszcze trochę. To nie będzie długi wyrok - podobno Johnny Boy ma raka gardła.

To dobrze, myśli, że Brzoskwini odbiło, bo Callan nie musi się martwić, że zadzwoni do Sala Scachiego; ten nie ucieszyłby się z wiadomości, że Callan uciekł z rezerwatu. Callan za dużo wie o sprawach Scachiego - całej tej gównianej Czerwonej Mgle - żeby tak po prostu zniknąć; to dobrze, że Brzoskwinia i Sal nie mają kontaktu.

Mały Brzoskwinia zwraca się do brata:

- Karmisz tego faceta?

- Tak, karmię.

- Ale chyba nie grejpfrutami - mówi Mały Brzoskwinia.

- Jezu, daj mu *sausiche*, trochę prosciutto, ravioli. Jeśli jakieś masz. Callan, w tym mieście mają Małe Włochy, można zjeść cannoli bez karabinu maszynowego. Włoskie restauracje podają suszone na słońcu pomidory. Jeszcze parę lat, a sam zmienię się w suszonego na słońcu pomidora. Tu zawsze jest 28 stopni i słońce, nawet w nocy. Jak oni to robią? Czy ktoś poda mi kawę, czy mam ją zamawiać jak w jakiejś pieprzonej restauracji?

- Masz tu swoją kawę.

- Dziękuję - Mały Brzoskwinia stawia na stole pudełko i siada.

- Przyniosłem pączki.

- Pączki? - mówi Brzoskwinia. - Dlaczego uprawiasz sabotaż?

- Richardzie Simmonds, możesz ich, kurwa, nie jeść, jeśli nie chcesz. Nikt ci nie przystawia pistoletu do głowy.

- Ty cholerny dupku.

- Nie przychodzę do domu brata z pustymi rękami - wyjaśnia Mały Brzoskwinia Callanowi. - I za uprzejmość nazywają mnie dupkiem.

- Cholernym dupkiem - dorzuca Brzoskwinia, łapiąc się za pączka.

- Callan, zjedz pączka - mówi Mały Brzoskwinia. - Zjedz pięć. Jeśli ty zjesz, to nie zje ich mój brat, a ja nie będę musiał słuchać jego lamentów z powodu figury. Jesteś gruby, Jimmy. Jesteś grubą, tłustą świnką morską. Zabieramy się stąd.

Wychodzą na patio, ponieważ według Brzoskwini Callan potrzebuje słońca. Właściwie Brzoskwinia myśli, że to Brzoskwinia powinien złapać trochę słońca, ale nie chce wyjść na egoistę. Według Brzoskwini nie ma sensu mieszkać w San Diego, jeśli każdej chwili człowiek nie spędza na słońcu.

Rozkłada się więc na leżaku, rozchyła szlafrok i zaczyna smarować ciało olejkim.

- Nie chcecie się chyba pieprzyć z rakiem skóry - mówi. Mickey na pewno nie chce. Nakłada bejsbolówkę i siada pod parasolem.

Brzoskwinia otwiera puszkę mrożonych brzoskwiń i wkłada sobie trochę do ust. Callan obserwuje, jak kropla soku kapie na jego tłustą pierś, potem miesza się z potem i olejkim, spływając w dół brzucha.

- Poza tym to dobrze, że się pokazałeś - stwierdza Brzoskwinia.

- Czemu?

- Jak by ci się podobało popełnić przestępstwo, którego ofiary nie mogą pójść na policję?

- Brzmi nieźle.

- Nieźle? Brzmi bosko.

Brzoskwinia wyłuszcza pomysł Callanowi.

Narkotyki wędrują na północ - z Meksyku do Stanów. Pieniądze wędrują na południe - ze Stanów do Meksyku.

- Po prostu wkładają dolce - sześć-, czasem siedmiocyfrowe sumy - do samochodów i przewożą przez granicę do Meksyku - mówi Brzoskwinia.

- Albo nie - dorzuca Mały Brzoskwinia.

Obrobili już trzy takie kursy, a teraz dostali cynk, że melina w Anaheim pęka od forsy, którą trzeba przewieźć na południe. Mają adresy, nazwiska, załatwili samochód i tablice rejestracyjne. Wiedzą nawet którądy pojedą kurierzy.

- Skąd macie informacje? - pyta Callan.

- Od faceta - odpowiada Brzoskwinia.

Tego akurat Callan się domyślił.

- Nie musisz wiedzieć. On bierze trzydzieści procent.

- To jak powrót do handlu prochami, tylko lepszy - rzuca O-Bop. - Zgarniasz zyski, a

nie tykasz towaru.

- To proste, uczciwe przestępstwo - stwierdza Brzoskwinia. - Ręce do góry, dawać forszę.

- Jak Pan Bóg przykazał - mówi Mickey.

- No co, Callan - mówi Mały Brzoskwinia. - Wchodzisz w to?

- Nie wiem - odzywa się Callan. - Czyją kasę zabieramy?

- Barrerów - odpowiada Brzoskwinia z przebiegłym, pytającym błyskiem w oku, który oznacza: „Czy to jakiś problem?”

Nie wiem, myśli Callan. To jakiś problem?

Barrerowie są niebezpieczni jak rekiny, nie dadzą się tak łatwo wydymać. To jedno. Poza tym są „naszymi przyjaciółmi” - w każdym razie według Sala Scachiego - to drugie.

Ale zamordowali tego księdza. To było celowe. Zawodowy zabójca w rodzaju Fabiána „El Pieprzonego Tiburóna” nie strzela przypadkowo do nikogo w zasięgu wzroku. Takie rzeczy się nie zdarzają.

Callan nie wie, czemu zabili księdza, ale jest pewien, że to zrobili.

I na dodatek mnie w to wciągnęli, myśli.

Trzeba im za to odpłacić.

- Tak - mówi Callan - wchodzę w to.

Gang z West Side znów jest razem.

*

O-Bop obserwuje samochód odjeżdżający ulicą.

Jest trzecia rano, a on siedzi w swojej ciężarówce pół przecznicy dalej. Ma ważne zadanie: podążyć niezauważenie za kurierem i potwierdzić, że kieruje się na piątkę. Wciska przycisk na komórce i mówi:

- Ruszył.

- Ilu ludzi?

- Trzech. Dwóch z przodu, jeden z tyłu.

Rozłącza się, odczekuje kilka sekund, a potem rusza.

Zgodnie z planem Mały Brzoskwinia dzwoni do Brzoskwini, ten do Callana, a Callan do Mickeya. Włączają sekundniki na zegarkach i czekają na następny telefon. Miki obliczył średni czas jazdy z ulicy do wjazdu na piątkę - sześć i pół minuty. W ciągu mniej więcej minuty telefon powinien zadzwonić po raz kolejny.

Jeśli zadzwoni, plan wypalił.

Jeśli nie, będą improwizować, a nikt tego nie chce. Sześć minut mija w napięciu.

Zwłaszcza dla O-Bopa. On jeden teraz pracuje, jako jedyny może wszystko spieprzyć, jeśli da się namierzyć; musi stanąć tak, żeby ich widzieć, samemu nie będąc widzianym. Wypróbowuje rozmaite odległości. Jedna przecznica, dwie. Włącza lewy kierunkowskaz i gasi na sekundę światła, więc kiedy je włącza, wygląda już na inny samochód.

O-Bop się stara.

Podczas gdy Mały Brzoskwinia siedzi, pocąc się, półtorej godziny na południu przy piątce.

Trzy minuty.

Cztery.

Wielki Brzoskwinia jest w barze u Denny'ego przy autostradzie, niedaleko na północ od Małego Brzoskwini. Żuje omlet z serem, frytki, tosta, popija kawą. Mickey nie lubi, jak jedzą przed robotą - pełny żołądek komplikuje sprawy, gdy zostaniesz postrzelony - ale Brzoskwinia ma to w dupie. Nie chce zapeszyć, podejmując środki bezpieczeństwa na wypadek postrzelenia. Kończy frytki, wyjmuje z kieszeni dwa cukierki i żuje je, przeglądając rubrykę sportową.

Pięć minut.

Callan próbuje nie patrzeć na zegarek.

Leży na łóżku w pokoju motelowym przy wyjeździe z autostrady w Ortega, niedaleko piątki. Włączył HBO i ogląda film, ale nawet nie zna tytułu. Nie ma sensu, żeby siedział na motorze na zimnie na zewnątrz. Jeśli kurierzy pojedą piątką, będzie miał mnóstwo czasu. Spoglądanie na zegarek nic nie zmieni, tylko go zdenerwuje. Ale po jakichś dziesięciu minutach decyduje się zerknąć.

Pięć i pół minuty.

Mickey nie patrzy na zegarek. Telefon zadzwoni wtedy, kiedy zadzwoni. Siedzi w samochodzie zaparkowanym przy Oceanside Transportation Center. Pali papierosa i myśli nad tym, co będzie, jeśli kurierzy nie wybiorą piątki. Będą musieli wszystko odwołać, poczekać do następnego razu. Ale Brzoskwinia nie odpuści, więc będą się miotać. Próbować odgadnąć trasę na podstawie danych przekazywanych przez O-Bopa, znaleźć sposób, żeby wyprzedzić kuriera, a potem wykombinować miejsce, żeby go przechwycić.

Zabawa w Indian i kowbojów. Nie podoba mu się to.

Ale nie spojrzysz na zegarek.

Sześć minut.

Mały Brzoskwinia ma ochotę wrzeszczeć.

Milion w gotówce pod ręką i...

Telefon dzwoni.

- Jest okej - słyszy głos O-Bopa.

Naciska przycisk restart na zegarku. Godzina dwadzieścia osiem minut to przeciętny czas jazdy od wjazdu na autostradę do tego zjazdu. Wtedy dzwoni do Brzoskwini, który odbiera, nie odrywając oczu od gazety.

- Jest okej.

Brzoskwini patrzy na zegarek, telefonuje do Callana i zamawia ciasto z wiśniami.

Callan odbiera telefon, synchronizuje zegarek, dzwoni do Mickeya, a potem wstaje i bierze długi, gorący prysznic. Nie musi się spieszyć, i chce być wyluzowany i zrelaksowany. Stoi więc i pozwala, by gorąca woda masowała mu ramiona i kark. Czuje, jak zaczyna w nim buzować adrenalina, ale nie chce, żeby jej poziom zbyt szybko skoczył. Goli się powoli i uważnie, nastrój poprawia mu fakt, że nie trzęsie mu się ręka.

Ubiera się niespiesznie. Powoli naciąga czarne dżinsy, czarny podkoszulek i bluzę. Czarne skarpetki, czarne sportowe buty, kevlarowa kamizelka. Czarna skórzana kurtka, obcisłe czarne rękawiczki. Wymeldowuje się. Zapłacił gotówką poprzedniego wieczoru i podpisał się fałszywym nazwiskiem, więc zostawia klucz w pokoju i zamyka za sobą drzwi.

Zadanie O-Bopa jest teraz łatwiejsze. Niełatwe, ale łatwiejsze, gdyż może jechać dalej za samochodem kurierskim i zbliżać się tylko w pobliżu zjazdów. Musi mieć pewność, że nie skręci i nie zjedzie w pięćdziesiątą siódmą albo dwudziestą drugą, w Laguna Beach Highway albo w Ortega Highway. Wydaje się jednak, że przeczucie nie myliło Brzoskwini, faceci jadą prosto - główną drogą do Meksyku. O-Bop więc się odpręża i teraz może rozmawiać przez telefon bez obawy namierzenia. Podaje Małemu Brzoskwini wszystkie szczegóły:

- Niebieskie BMW, UZ 1832. Trzej faceci. Teczki w bagażniku.

To ostatnie nie jest dobrą wiadomością, gdyż wymaga dodatkowej czynności po zatrzymaniu samochodu, ale Mickey, rzecz jasna, kazał im przeciwiczyć taką opcję, więc O-Bop zbytnio się tym nie martwi.

Za to Mickey się martwi.

Właśnie tak. Martwi się i czeka, aż otworzy się kasa Amtraka, podchodzi wtedy i kupuje za gotówkę bilet w jedną stronę do San Diego. Potem idzie na dworzec Greyhound i kupuje bilet do Chula Vista. Następnie wraca do samochodu i czeka. Za dużo wariantów, za dużo niewiadomych. Co jeśli będzie korek, co jeśli w pobliżu zaparkuje radiowóz, co jeśli mają obstawę, której nie zauważyliśmy? Co jeśli ktoś zostanie postrzelony? Co jeśli, jeśli, jeśli...

- Gdyby ciocia miała jaja, to by była wujkiem - zawsze mawiał Brzoskwini. Teraz

kończy placek, pije kolejną filiżankę kawy, zostawia pieniądze za rachunek i napiwek - nie za duży, nie za mały, nie chce zostać zapamiętany, i idzie do samochodu. Wyjmuje pistolet ze schowka na rękawiczki, kładzie na kolanach i sprawdza magazynek. Wszystkie pociski wciąż w nim tkwią, jak powinny, ale to nawyk. Brzoskwinia ma wizję, że pewnego dnia pociągnie za spust i usłyszy suchy trzask iglicy. Wkłada pistolet w kaburę nad kostką i czuje jego ciężar, gdy odpala silnik i naciska pedał gazu.

Teraz wszyscy są na miejscach: Mały Brzoskwinia obok Calafia Road; Brzoskwinia przy wyjeździe Ortega Highway; Callan na swym motorze, czekający przy wyjeździe Beach Cities w Dana Point; Mickey przy Oceanside Transportation Center; O-Bop na piątce, śledząc samochód kurierski.

Wszyscy na miejscach.

W oczekiwaniu na dylizans.

Który toczy się wprost w zasadzkę.

O-Bop łapie za telefon.

- Półtorej mili.

Mały Brzoskwinia widzi przejeżdżający samochód. Odkłada lornetkę, chwytą za komórkę.

- Teraz.

Callan wjeżdża na autostradę.

- Mam go.

Mickey uruchamia stoper.

Callan widzi wóz we wstecznym lusterku, zwalnia nieco i pozwala się wyprzedzić. Nikt w samochodzie na niego nie patrzy. Samotny motocyklista kierujący się na południe w mroku przed świtem. Zostało dwadzieścia minut do odludnego odcinka w Pendleton, gdzie chce to zrobić, więc nie spieszy się, ale stara się nie stracić z oczu tylnych świateł samochodu. Poranny ruch kieruje się głównie na północ, a nie na południe; liczba pojazdów spada jeszcze po wyjeździe z położonego najbardziej na południe miasta hrabstwa Orange, San Clemente.

Mijają Basilone Road, potem słynne plaże dla surferów zwane Trestles, dwie kopuły elektrowni jądrowej San Onofre, posterunek straży granicznej, który blokuje wiodące na północ pasy piątki. Za nim robi się pusto i cicho. Z prawej widać tylko piaszczyste wydmy i ocean, które teraz wylaniają się w bladym świetle, gdy słońce pojawia się z lewej nad Black Mountain, dominującą w pejzażu Camp Pendleton.

W kasku Callan ma mikrofon i słuchawki.

Wypowiada tylko jedno słowo:

- Jechać?

- Jedź - odpowiada Mickey.

Callan dodaje gazu, pochyla się, żeby zmniejszyć opór powietrza i pędzi w stronę wozu kurierskiego. Dogania go niemal tak jak planował - na długiej prostej tuż za zakrętem w prawo, który wiedzie w stronę oceanu.

Kierowca dostrzega go w ostatniej sekundzie. Callan widzi jego oczy rozszerzone ze zdziwienia, a potem wóz szarpie do przodu, gdy kierowca naciska na gaz. Nie boi się teraz zatrzymania przez gliny, boi się, że zginie. BMW skacze w przód.

Momentalnie.

To dlatego wzięli harleya, właściwie silnik na dwóch kołach i z przymocowanym siedzeniem. Cholerny harley nie ustąpi jakiejś zabawce dla japiszonów. A już na pewno nie zabawce z dwoma milionami dolarów do wzięcia.

Kiedy więc BMW przyspiesza do 110 kilometrów, Callan również.

Gdy do stu trzydziestu, Callan ciśnie do stu trzydziestu.

Sto czterdzieści, sto czterdzieści.

Kiedy skręca na skrajny prawy pas, Callan skręca wraz z nim.

Z powrotem na lewy, z powrotem na lewy.

Znów na prawy, znów na prawy.

BMW ma sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę na liczniku. Callan też osiąga 160.

Teraz pozwala uwalniać się adrenalinie. Przepływa mu przez żyły jak benzyna przez silnik motoru. Motocykl, silnik, motocyklista, adrenalina śpiewają teraz, płyną, lecą, Callan jest w transie - czysta adrenalina przyspiesza, gdy zrównuje się z BMW, a kierowca skręca kierownicę w lewo, żeby go staranować. Niemal mu się udaje. Callan musi zmienić pas ruchu i prawie traci równowagę. Niemal traci ją przy 160, co obróciłoby go na betonie, gdzie stałby się plamą krwi i mięsa. Ale wyrównuje motor i dogania beemkę, która ma dziesięciometrową przewagę. Otwiera się tylne okno, pojawia się Mac-10 i zaczyna strzelać do motocyklisty.

Ale może Brzoskwinia miał rację - z samochodu przy tej prędkości nie trafisz nawet słonia, a poza tym Callan zygzakuje, kołysząc motorem w lewo i prawo. Faceci w BMW rozumieją, że broń na nic się nie zda i ich jedyną szansą jest pedał gazu. Używają go.

BMW osiąga sto siedemdziesiąt, sto osiemdziesiąt i mknie.

Nawet harley go nie złapie.

I dlatego Callan dopadł go w tym właśnie miejscu - ponieważ prosta kończy się ostrym zakrętem, na którym BMW nie utrzymałby się nawet przy stu trzydziestu, nie mówiąc o stu osiemdziesięciu. Tu działa cholerna fizyka - jest bezkompromisowa, więc albo kierowca

zwolni i pozwoli motocykliście się dogonić, albo wyleci z drogi jak odrzutowiec z pokładu lotniskowca, tyle że ten odrzutowiec nie umie latać.

Kierowca postanowił strzelać.

Zły wybór.

Callan ucieka w lewo, jego stopa niemal trze o beton. Nadjeżdża od zewnętrznej strony zakrętu do okna kierowcy, a ten dziwi się, gdy dwudziestka dwójka wyłania się przy jego twarzy. Callan strzela i rozbija szybę, a potem...

Bach, bach.

Zawsze dwa strzały, niemal równocześnie, ponieważ drugi strzał automatycznie poprawia pierwszy. W tym przypadku to absolutnie niepotrzebne; oba strzały trafiają w cel.

Dwa pociski z dwudziestki dwójki krążą po mózgu faceta niczym kule po stole bilardowym.

To dlatego Callan wybrał dwudziestkę dwójkę. Nie jest na tyle potężna, by przebić czaszkę, zamiast tego kula odbija się wewnątrz głowy, gorączkowo szukając wyjścia, zapalając wszystkie lampki, a potem je gasząc.

Koniec gry.

Nie ma bonusu.

BMW zaczyna wirować, a potem wypada z drogi.

Mimo to stoi na kołach - porządna niemiecka konstrukcja - ale pasażerowie wciąż są w szoku od urazu, gdy Callan zatrzymuje motor obok i...

Bang bang.

Bang bang.

Callan wraca na autostradę.

Trzy sekundy później Mały Brzoskwinia zatrzymuje się za BMW. Wysiada z samochodu z pistoletem w lewej ręce, tak na wszelki wypadek, podchodzi i otwiera drzwi od strony kierowcy. Nachyla się nad martwym szoferem i wyjmuje kluczyki ze stacyjki. Przechodzi na tył, wyjmuje walizki z bagażnika, wkłada do swojego wozu i odjeżdża.

Tuziny samochodów muszą mijać tę scenę, ale żaden nie zatrzymuje się, ani nie zwalnia, ponieważ Mały Brzoskwinia przyjechał samochodem kalifornijskiej drogówki i w policyjnym mundurze. Wszyscy myślą, że przeprowadza kontrolę.

I przeprowadza.

Wraca do radiowozu i spokojnie odjeżdża na południe. Nie martwi się, że zatrzyma go prawdziwy gliniarz, ponieważ chwilę wcześniej, dokładnie według zegarka Mickeya, Wielki Brzoskwinia przekręca przełącznik na nadajniku radiowym i na pustym parkingu pół

przecznicy dalej stary dodge wylatuje w powietrze niczym tort dla osiemdziesięciolatka. Wielki Brzoskwinia odjeżdża do następnego celu, gdy słyszy zbliżające się syreny. Dociera na parking miejskiego pola golfowego na północy Oceanside i czeka tam, gdy dojeżdża Mały Brzoskwinia. Mały Brzoskwinia chwyta walizki, wysiada z fałszywego radiowozu i przesiada się do Brzoskwini. Gdy Mały Brzoskwinia szarpie się z mundurem, jadą w stronę Oceanside Transportation Center.

O-Bop przejeżdżał obok rozbitego BMW, więc wie, że co najmniej część planu się powiodła, i jedzie w kierunku zjazdu na siedemdziesiątą szóstą. Wewnątrz dwupoziomowego skrzyżowania bezkolizyjnego znajduje się mały brudny parking i tam skierował się Callan. Porzuca harleya i wsiada do wozu O-Bopa. Jadą w stronę centrum transportowego.

Gdzie czeka Mickey w swym samochodzie.

Z oczami wbitymi w zegarek.

Czas ucieka.

Albo akcja poszła dobrze, albo jego przyjaciele są ranni, nie żyją, siedzą w areszcie.

Wtedy dostrzega Małego Brzoskwinię zajeżdżającego na parking. Siedzą w samochodzie, dopóki nie zostanie zapowiedziany pociąg, a oni nie zobaczą go na torach od strony San Diego. Wtedy wysiadają z wozu, ubrani w klasyczne garnitury, każdy z aktówką i papierowym kubkiem kawy oraz torbą turystyczną na ramieniu. Wyglądają jak wszyscy biznesmeni wsiadający do pociągu, żeby dojechać na spotkanie w Los Angeles. Wsiadają tuż przed odjazdem. Dlatego wybrali Oceanside Transportation Center - ponieważ gdy Amtrak nadjeżdża z południa, lokalna kolejka rusza z drugiego toru, kierując się na południe. Brzoskwinia bierze teczkę i wsiada do pociągu do Los Angeles. Jego brat z drugą aktówką zmierza do San Diego.

Kiedy pociągi ruszają z peronu, Callan i O-Bop zajeżdżają na parking i wysiadają z samochodu. Mają krótko obcięte włosy, w stylu marines, i noszą kiepskie ciuchy, jakie zakładają komandosi poza służbą. Zarzucają na ramię worki marynarskie, mijają wóz Mickeya, biorą od niego bilety, a potem przechodzą na tę stronę dworca, gdzie zatrzymują się autobusy. Po prostu dwóch marines z Pendleton na przepustce. O-Bop wsiada do autobusu do Escondido, Callan zmierza do Hemet.

Brzoskwinia ma bilet do Los Angeles, ale nie pokonuje całej trasy. Kilka minut na południe od stacji Santa Ana idzie do ubikacji, zmienia garnitur na letnie ciuchy i nie wychodzi aż do przystanku na dworcu. Wysiada w Santa Ana i wynajmuje pokój w motelu. Mały Brzoskwinia robi podobnie, tyle że dalej na południe, w centrum surfingu w Encinitas, i zatrzymuje się w starym motelu przy plaży.

Mickey po prostu jedzie do hotelu. Nie uczestniczył w akcji, więc jeśli gliny będą go śledzić i zadawać jakieś pytania, to i tak nie będzie miał nic do powiedzenia. Jedzie z prędkością pięćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę do centrum, a potem ucina sobie drzemkę.

Callan i O-Bop dojeżdżają do końca trasy, O-Bop do motelu No-Tell obok sex-shopu; cieszy się, że będzie miał co robić. Melduje się, potem wychodzi, kupuje żetony za dwadzieścia dolców i spędza większość popołudnia na wrzucaniu ich do automatów wideo.

Siedząc w autobusie, Callan próbuje zapomnieć o tym, że właśnie zabił trzech ludzi, ale nie może. Nie czuje zwykłej pustki; czuje coś, czego nie umie nazwać.

„Przebaczam ci. Bóg ci przebacza”.

Nie może wyrzucić tego gówna z głowy.

Wysiada z autobusu, wprowadza się do Motel 6. Pokój nie jest rewelacyjny, ale ma kablówkę. Callan kładzie się na łóżku i ogląda filmy. Pokój pachnie środkami dezynfekcyjnymi, ale na głowę bije Złoty Zachód.

Plan przewiduje ukrycie się na parę dni; jeśli sprawa przyschnie - a nie ma powodów, żeby było inaczej - spotkają się w Sea Lodge w La Jolla, przyczają na parę dni na plaży, zamówią kilka babeczek (Brzoskwinia naprawdę mówi „babeczki”) od Haley Saxon, zabawią się.

Callan pamięta dziewczynę, którą tam widział, Norę. Pamięta, jak bardzo jej pragnął, a Wielki Brzoskwinia mu ją zabrał. Pamięta, jak piękna była, i myśli o tym, że gdyby jakoś dotknął tego piękna, to jego życie stałoby się mniej brzydkie. Ale to było dawno temu, mnóstwo krwi spłynęło rzeką, i to niemożliwe, żeby Nora wciąż tam była.

A może?

*

Ale i tak nie chce pytać.

Trzy dni później Brzoskwinia telefonuje, jak gdyby zamawiał chińskie dania: Czego sobie pan życzy? Blondynka, brunetka, może czarna laseczka? Cały dzień byczą się w pokoju Brzoskwini, chociaż mają własne pokoje tuż obok plaży. To świetne, myśli Callan - wychodzisz z pokoju i jesteś na plaży; idzie popatrzeć na zachód słońca nad oceanem, podczas gdy Brzoskwinia zamawia panienki.

- Wszystko jedno - mówi Brzoskwini.

- I wszystko jedno - rzuca Brzoskwinia do słuchawki i wygania ich, ponieważ ma do załatwienia coś, o czym nie muszą wiedzieć. Idźcie popływać, weźcie prysznic, zjedzcie coś, przygotujcie się na babeczki.

Interes Brzoskwini nadjeżdża godzinę później, po zmroku.

Nie gadają dużo. Brzoskwinię po prostu wręcza mu teczkę z trzystoma tysiącami w gotówce jako dołę za przekazanie informacji.

Art Keller bierze pieniądze i odjeżdża.

Tak po prostu.

*

Haley Saxon też załatwia interesy.

Wybiera pięć dziewczyn, które wyśle do Sea Lodge, a potem dzwoni do Raúla Barrery.

W mieście są jakieś grube ryby z dawnych czasów, szastają szmałem. Zgadnij, kim są. Pamiętasz Jimmy'ego Brzoskwinię? Znienacka zaczął opływać w forszę.

Raúl jest bardzo zainteresowany.

Oczywiście, Haley Saxon wie, gdzie są.

Tylko nie mieszajcie w to dziewcząt.

*

Callan leży na łóżku, obserwując ubierającą się dziewczynę.

Jest ładna, naprawdę - długie rude włosy, zgrabne nogi, rozkoszny tyłeczek - ale nie jest nią. Wycisnęła jednak z niego ostatnie soki, udowadniając, że jest warta pieniędzy, które jej płaci. Najpierw go pieściła, a potem wspięła się na niego i ujeżdżała, dopóki nie osiągnął orgazmu.

Teraz stoi w łazience, poprawiając makijaż. Widzi w lustrze, że się jej przygląda.

- Możemy to zrobić jeszcze raz, jeśli chcesz - mówi.

- Wystarczy.

Po wyjściu dziewczyny owija się ręcznikiem i wychodzi na mały taras. Patrzy, jak drobne srebrne fale migoczą w świetle księżyca. Niecałe sto metrów od brzegu kotwiczy łódka, jej światła błyszczą złościście.

Byłoby tak spokojnie, myśli Callan, gdyby nie słyszał w pokoju obok Brzoskwini, który wciąż się zabawia. Pieprzony Brzoskwinię nigdy się nie zmieni - znowu marudził „twoja dziewczyna bardziej mi się podoba”, tylko tym razem padło na jego brata. Małemu Brzoskwini wszystko jedno - już odesłał dziewczynę do pokoju, ale powiedział po prostu „bierz ją”, więc zamienili się kobietami i pokojami. Dlatego Callan musi słuchać Wielkiego Brzoskwini posapującego niczym astmatyczny byk.

Rano znajdują ciało Małego Brzoskwini.

Mickey puka do drzwi Callana, a kiedy Sean otwiera, Mickey po prostu go chwytą i wpycha do pokoju Dużego Brzoskwini. Mały Brzoskwinię jest przywiązany do krzesła z

rękami w kieszeniach.

Tyle że ręce nie są połączone z ramionami.

Zostały obcięte; dywan jest nasiąknięty krwią.

W usta Małego Brzoskwini wepchnięto ręcznik; oczy wyszły mu z orbit. Nie trzeba być Sherlockiem Holmesem, by się domyślić, że odrąbali mu ręce i zostawili, żeby się wykrwawił.

Callan słyszy, jak w łazience Duży Brzoskwini płacze i wymiotuje. O-Bop siedzi na łóżku z głową w dłoniach.

Pieniądze zniknęły, rzecz jasna.

Zamiast nich w szafie jest notatka.

TRZYMAJ RĘCE WE WŁASNYCH KIESZENIACH.

Barrerowie.

Brzoskwini wychodzi z łazienki. Jego tłusta twarz jest czerwona i zalana łzami. Z nozdrzy wychodzą mu małe bąbelki.

- Nie możemy go tak zostawić - krzyczy.

- Musimy, Jimmy - odpowiada Callan.

- Dopadnę ich - obiecuje Brzoskwini. - Odplacę tym skurwysynom, nawet jeśli to będzie ostatnia rzecz, jaką zrobię.

Nie pakują się, ani nic. Po prostu wsiadają do swoich samochodów i jadą. Callan dociera aż za San Francisco, znajduje mały motel koło plaży i zaszywa się w nim.

Raúl Barrera odzyskał swoje pieniądze minus trzysta tysięcy.

Raúl wie, że pieniądze trafiły do tego, który dał braciom Piccone cynk.

Ale - złożmy hołd Małemu Brzoskwini, twardzielowi - nigdy nie powiedział im, kto to jest.

Twierdził, że nie wie.

*

Callan zaszywa się w Seaside w Kalifornii.

Znajduje jeden z tych staroświeckich moteli niedaleko plaży i płaci gotówką. Nie pamięta wiele z tych kilku pierwszych dni. Potem zaczyna chodzić na długie spacery po plaży.

Gdzie fale szepczą do niego rytmicznie.

„Przebaczam ci”.

„Bóg...”.

11.

Śpiąca królewna

*Zadziwił się wielce,
Gdy ujrzał Ewę, wciąż nieprzebudzoną,
Z włosom zwichrzonym i ogniem na licach,
Jakby spoczynek jej nie był spokojny.*

John Milton, *Raj utracony*

Rancho las Bardas

Baja, Meksyk

Marzec 1997

Nora śpi z Panem Niebios.

Taki jest nowy przydomek Adána wśród *narcocognescenti* - El Señor de los Cielos. Pan Niebios.

A skoro on jest Panem, to Nora jest jego Panią.

Ich związek jest teraz otwarty. Jest z nim niemal przez cały czas. Dilerzy ochrztili Norę, z celową ironią, La Güera, „Blondynka”, złotowłosa pani Adána Barrery. Jego kochanka, jego doradca.

*

Güero został pochowany w Guamuchilito.

Cała wieś uczestniczyła w pogrzebie.

Podobnie jak Adán i Nora. On w czarnym garniturze, ona w czarnej sukni i woalce, szli w orszaku za ukwieconym karawanem. Zespół mariachi grał *corridos* na cześć zmarłego, gdy procesja wymaszerowała z kościoła, który wybudował Güero, i szła obok kliniki i boiska, za które zapłacił, do mauzoleum, w którym złożył szczątki żony i dzieci.

Ludzie płakali, podchodzili do otwartej trumny i rzucali kwiaty na ciało Güero.

Twarz zmarłego była przystojna, spokojna, niemal łagodna. Jego blond włosy zaczesano starannie do tyłu; ubrano go w kosztowny grafitowy garnitur i czerwony krawat zamiast czarnego stroju kowbojskiego, który preferował za życia.

Wszędzie byli *sicarios*, zarówno ludzie Adána, jak i *veteranos* Güera, ale broń mieli

pochowaną pod koszulami i marynarkami przez wzgląd na okoliczności. A chociaż obstawa Adána bacznie się rozglądała, nikt się specjalnie nie martwił ewentualnym zamachem. Wojna się skończyła; Adán Barrera zwyciężył i, co więcej, zachowywał się z godnym podziwu szacunkiem i godnością.

To Nora zasugerowała, że powinien zezwolić na pochowanie Güero w rodzinnej wsi z rodziną, ale ponadto wziąć udział w pogrzebie, nie ostentacyjnie, ale widocznie. To Nora nakłoniła go do przekazania dużej ofiary w gotówce lokalnemu kościołowi, miejscowej szkole i klinice. Nora zachęciła go do ufundowania nowego centrum kultury, które miało nosić imię zmarłego Héctora „Güero” Méndeza Salazara. Nora przekonała go, by wysłał delegację, która miała zapewnić *sicarios* Güero i lokalną policję, że wojna się skończyła, że nie będzie zemsty za dawne czyny i że działalność będzie się toczyła jak przedtem, z tymi samymi ludźmi na tych samych stanowiskach. Tak więc Adán maszerował w kondukcie niczym zdobywca, ale zdobywca z gałązką oliwną w dłoni.

Adán wszedł do małego mauzoleum i, znów za namową Nory, ukląkł pod kopułą zdobioną portretami Pilar, Claudii i Güerita, modląc się za ich dusze. Zapalił po świeczce dla każdego z nich, a potem skłonił głowę i modlił się żarliwie.

To żalosne przedstawienie nie umknęło uwadze ludzi zebranych na zewnątrz. Zrozumieli je - przywykli do śmierci i mordów oraz, w dziwny sposób, do pojednania. Gdy Adán wyłonił się z mauzoleum, niemal zapomnieli, że to on w pierwszym rzędzie wypełnił je ciałami.

Wspomnienia pochowano z Güero w tym grobie.

Było to powtórzenie procesu, przez jaki Adán i Nora przechodzili na pogrzebach El Verde i Garcíi Abrego, i wszędzie przebiegało to tak samo. Z Norą u boku Adán wspomagał szkoły, szpitale, place zabaw - wszystko w hołdzie zmarłemu. Prywatnie spotykał się ze współnikami zabitego i oferował im skorzystanie z rewolucji w Baja - pokój, amnestia, ochrona i zmniejszony haracz.

Rozeszła się wieść - możesz się spotkać z Adánem albo z Raúlem. Większość rozsądnych spotykała się z Adánem; nieliczni głupcy uczestniczyli we własnych pogrzebach.

Federación wróciła, z Adánem jako *patrón*.

Zapanował pokój, a wraz z nim pomyślność.

Nowy meksykański prezydent objął urząd pierwszego grudnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku. Następnego dnia dwa domy maklerskie kontrolowane przez Federację zaczęły kupować *tesobonos* - obligacje rządowe. Tydzień później kartele narkotykowe wycofały swój kapitał z meksykańskiego banku narodowego, zmuszając

nowego prezydenta do zdewaluowania peso o pięćdziesiąt procent. Wtedy Federación odsprzedała obligacje i doprowadziła do załamania meksykańskiej gospodarki.

Feliz. Navidad.

W prezencie gwiazdkowym dla siebie Federación kupiła nieruchomości, firmy, grunty i pesos, położyła je pod choinką i czekała.

Rząd meksykański nie miał dość środków, by pokryć zaległe obligacje. Brakowało około pięćdziesięciu miliardów dolarów. Kapitał uciekał z kraju szybciej niż kaznodzieje z burdelu podczas nalotu policji.

Dni dzieliły Meksyk od ogłoszenia bankructwa, aż nadjechała amerykańska kawaleria z kredytami na pięćdziesiąt miliardów dolarów, żeby wspomóc meksykańską gospodarkę. Prezydent Stanów Zjednoczonych nie miał wyboru: on i wszyscy kongresmeni na Kapitolu odbierali gorączkowe telefony od głównych udziałowców kampanii wyborczej z Citicorp, więc zaproponowali pięćdziesiąt miliardów jakby płacili za obiad.

Nowy meksykański prezydent dosłownie musiał zaprosić narkotykowych baronów z powrotem do kraju z ich milionami narkodolarów, aby pobudzili gospodarkę, co było niezbędnym warunkiem spłaty zadłużenia. A baronowie mieli teraz o miliardy dolarów więcej niż przed „kryzysem peso”, ponieważ w czasie między zamianą peso na dolary a amerykańskim kredytem wykorzystali dolary, by skupować zdewaluowane peso, które z kolei wzmocniło się, gdy Amerykanie przekazali ogromną pożyczkę.

Tak więc w zasadzie Federación kupiła kraj, sprzedała go drogo, znów kupiła tanio, a potem zainwestowała weń i patrzyła, jak rosną zyski.

Adán łaskawie przyjął zaproszenie El Presidente. Jednak ceną, jakiej zażądał za sprowadzenie narkodolarów z powrotem do kraju, były „uprzywilejowane warunki handlowe”.

To znaczy, że El Presidente mógł sobie wykrzykiwać, co chciał, o „przetrażeniu grzbietów narkotykowym kartelom”, ale lepiej, żeby nie przechodził do czynów. Mógł sobie gadać, ale nie powinien posuwać się dalej, ponieważ wtedy grunt usunie mu się spod stóp.

Amerykanie o tym wiedzieli. Dali El Presidente listę grubych ryb z PRI, które opłacała Federación, i nagle trzech z tych ludzi dostało nominacje na gubernatorów stanów. Kolejny został sekretarzem do spraw transportu, a facet, który zestawiał listę, objął urząd narkotykowego cara - szefa Narodowego Instytutu Zwalczenia Narkotyków.

Interesy toczyły się jak zwykle.

Lepiej niż zwykle, ponieważ Adán z rosnących zysków z „kryzysu peso” zaczął kupować Boeingi 727.

W ciągu dwóch lat miał ich dwadzieścia trzy - liczniejszą flotę odrzutowców niż większość krajów Trzeciego Świata. Wyladowywał je kokainą w Cali i wysyłał na lotniska cywilne, do baz wojskowych, a nawet na zamknięte odcinki autostrad, strzeżone przez wojskowych, póki samolot nie został bezpiecznie rozładowany.

Kokę pakowano w ciężarówki chłodnie i kierowano do magazynów przy granicy, gdzie ją przepakowywano w mniejsze paki i ładowano do ciężarówek i samochodów będących dziełem innowacyjnego geniusza. W Baja powstał cały nowy przemysł „artystów cięcia”, którzy wmontowywali w pojazdy ukryte komory zwane skrytkami. Miały fałszywe dachy, podłogi, zderzaki, wydrążone i wypełnione towarem. Jak w każdym przemyśle, pojawili się specjaliści - faceci od cięcia, szlifierze i malarze.

Goście, którzy z gipsu wykonywali takie cuda, że weneccy sztukatorzy pękliby z zazdrości. Przygotowane samochody przejeżdżały przez granicę do Stanów Zjednoczonych i dostarczały towar do melin, zwykle w San Diego lub Los Angeles, gdzie rozdzielano go w różne miejsca: do Los Angeles, Seattle, Chicago, Detroit, Cleveland, Filadelfii, Newark, Nowego Jorku i Bostonu.

Towar jest też transportowany morzem. Dostarcza się go z lądowisk w Meksyku do miast na wybrzeżu Baja, gdzie jest pakowany próżniowo i ładowany na prywatne łodzie rybackie i kutry, które płyną wzdłuż wybrzeża na wody Kalifornii i tam wrzucają narkotyki do wody. Pływają, dopóki nie zbiorą ich motorówki albo nurkowie, którzy zabierają je do brzegu i zawożą do melin.

Dostawy idą też pieszo. Podrzedni szmuglerzy po prostu pakują towar w paczki i wysyłają na plecach *mujados* albo kojotów, którzy przekraczają granicę w nadziei zbitcia fortuny - jakichś pięciu tysięcy dolarów - za dostarczenie koki w umówione miejsce gdzieś na wschód od San Diego. Tamta okolica to odludna pustynia albo wysokie góry; patrole straży granicznej często znajdują ciała *mujados*, którzy zmarli z odwodnienia na pustyni lub z wychłodzenia w górach, ponieważ nie wzięli wody lub koców, co mogłoby ocalić im życie, ale w zamian obarczyli się dodatkowymi paczkami narkotyków.

Towar płynie na północ, a pieniądze wracają na południe. Oba kierunki tej okrężnej drogi są dużo łatwiejsze, ponieważ środki bezpieczeństwa na granicy złagodzone zostały na mocy traktatu NAFTA, który gwarantuje, między innymi, łatwiejszy ruch między Meksykiem a Stanami Zjednoczonymi. A tym samym łatwiejszy przepływ narkotyków.

Handel jest coraz zyskowniejszy, gdyż Adán używa swej nowej władzy, żeby wymusić lepszy układ z Kolumbijczykami. Brzmi on: „Kupujemy waszą kokainę hurtem i sami się zajmujemy detalem, dziękujemy za uwagę”. Nie więcej niż tysiąc dolców za kilo przy

dostawie; nie jesteśmy organizacją charytatywną.

Północnoamerykańskie Porozumienie o Wolnym Handlu (Narkotykami), myśli Adán.

Niech Bóg błogosławi wolny handel.

Dzięki Adánowi stara meksykańska trampolina wygląda jak dzieciak skaczący po łóżku. Hej, po co skakać, skoro można latać?

A Adán umie latać.

Jest Panem Niebios.

Życie jednak nie wróciło do *status quo ante bellum*.

Nie mogło; Adán, zawsze realista, wie, że nic nie może być takie samo po zamordowaniu Parady. Teoretycznie wciąż jest ścigany: ich nowi „przyjaciele” w Los Pinos wyznaczyli pięć milionów dolarów nagrody za braci Barrerów, FBI wpisało ich na listę najbardziej poszukiwanych przestępców, ich zdjęcia wiszą na ścianach posterunków granicznych i urzędów rządowych.

To pozory, oczywiście. Gołosłowne deklaracje dla Amerykanów. Meksykańskie organa sprawiedliwości tak samo starają się schwytać Barrerów, jak i skończyć z całym handlem narkotykami.

Mimo to Barrerowie nie mogą włożyć im w oczy, nie mogą się pokazywać. To niepisane porozumienie. Dawne dni minęły - koniec z przyjęciami w restauracjach, dyskotekami, wyścigami, miejscami przy ringu podczas meczów bokserskich. Barrerowie muszą zapewnić rządowi możliwość wiarygodnego zaprzeczenia, pozwolić mu wzruszyć ramionami przed Amerykanami i stwierdzić, że chętnie by ich aresztowano, gdyby tylko znano miejsce ich pobytu.

Adán nie mieszka już więc w wielkim domu w Colonia Hipódromo, nie chodzi do swych restauracji, nie siada w kącie, licząc w żółtych notesach. Nie tęskni za domem, nie tęskni za restauracjami, ale tęskni za córką.

Lucía i Gloria mieszkają w Stanach, w Bonita, na cichym przedmieściu San Diego. Gloria chodzi do katolickiej szkoły, Lucía do nowego kościoła. Raz w tygodniu kurier Barrery spotyka się z nią na parkingu przy centrum handlowym i wręcza teczkę z siedemdziesięcioma tysiącami dolarów w gotówce.

Raz w miesiącu Lucía przywozi Glorię do Baja na spotkanie z ojcem.

Spotykają się w odległych domach na wsi albo miejscach na pikniki przy bocznej drodze koło Tecate. Adán żyje tymi wizytami. Gloria ma teraz dwanaście lat i zaczyna rozumieć, czemu tata nie może mieszkać z nimi, czemu nie może przekroczyć granicy Stanów Zjednoczonych. Próbuje wyjaśniać jej, że został fałszywie oskarżony o wiele rzeczy, że

Amerykanie obarczają Barrerów wszystkimi grzechami świata.

Głównie jednak rozmawiają o bardziej przyziemnych rzeczach - jak jej idzie w szkole, jakiej muzyki lubi słuchać, jakie filmy ogląda, kim są jej przyjaciele i co razem robią. Dziewczynka rośnie, a zarazem rośnie jej deformacja. Proces chorobowy zwykle przyspiesza w okresie dojrzewania. Narośl na szyi ściąga jej już i tak dużą głowę do dołu i w lewo, utrudniając mówienie. Część dzieciaków w szkole - to banał, myśli Adán, że dzieci są okrutne - dokucza jej, nazywa ją Słonicą.

Wie, że ją to boli, ale Gloria lekceważy sprawę.

- To idioci - mówi mu. - Nie martw się, mam przyjaciół. Ale ojciec się martwi - trzęsie się o jej zdrowie, gani za to, że więcej z nią nie przebywa, zadręcza rozwojem choroby. Tłumi łzy, gdy spotkanie dobiega końca. Kiedy Gloria wsiada do samochodu, Adán sprzecza się z Lucią, starając się ją przekonać do powrotu do Meksyku, ale ona nawet nie chce o tym myśleć.

- Nie chcę żyć jak uciekinierka - mówi mu. Poza tym, stwierdza, boi się Meksyku, boi się kolejnej wojny, boi się o siebie i córkę.

To wystarczające powody, ale Adán zna realną przyczynę - gardzi nim teraz. Wstydzi się go, a raczej tego, jak zarabia na życie, jak zarabiał. Chce trzymać się od tego możliwie daleko, zajmować się ich wątlą córką w ciszy i spokoju amerykańskiego przedmieścia.

Nadal jednak bierze pieniądze, myśli Adán.

Nigdy nie odesłała kuriera.

Próbuje nie czuć rozgoryczenia.

Pomaga mu w tym Nora.

- Musisz zrozumieć jej uczucia - mówi mu. - Chce normalnego życia dla córki. To trudne, ale musisz zrozumieć.

To dziwne, myśli Adán, kochanka biorąca stronę żony, ale szanuje ją za to. Mówiła mu wiele razy, że jeśli może połączyć się z rodziną, to powinien to zrobić, a ona usunie się w cień.

Ale Nora jest dla niego otuchą.

Kiedy jest szczery ze sobą, musi przyznać, że jasną stroną separacji z żoną jest to, że może być z Norą.

Pan Niebios lata wysoko.

Aż...

Źródło kokainy zaczyna wysychać.

To nie dzieje się nagle. Następuje stopniowo, jak powolna susza.

To zasrana amerykańska DEA.

Najpierw nękają kartel z Medellín (Fidel „Rambo” Cardona obrócił się przeciwko swemu staremu przyjacielowi Pablowi Escobarowi i pomógł Amerykanom namierzyć go i zabić), a potem ruszają na Cali. Łapią braci Orejuelów, gdy wracają ze spotkania z Adánem w Cancun. Kartele z Medellín i Cali rozpadają się na mniejsze - „dzwoneczki”, jak nazywa je Adán.

To ma sens, myśli Adán - naturalna ewolucja w obliczu nieustannej amerykańskiej presji. Przetrwają mali i niepozorni. Trzeba latać poniżej amerykańskiego radaru. To ma sens, ale również sprawia, że interesy Adána stają się bardziej skomplikowane i trudniejsze - zamiast dogadywać się z jedną lub dwiema całościami, musi manipulować dziesiątkami małych grup, a nawet jednostek. A z powodu zaniku pionowo zintegrowanych karteli, Adán nie może dłużej liczyć na bezproblemowe i terminowe dostawy produktu wysokiej jakości. Co by nie mówić, myśli Adán, monopole są skuteczne. Dostarczają, co obiecały, w wyznaczone miejsce i w umówionym czasie, w przeciwieństwie do dzwoneczków, w przypadku których natychmiastowa dostawa to raczej wyjątek niż reguła.

Tak więc etap produkcji w kokainowym biznesie Adána się chwieje, wprowadzając w drganie cały łańcuch, od hurtowników, którym Barrerowie zapewniają transport i opiekę, do nowych rynków detalicznych w Los Angeles, Chicago i Nowym Jorku, przejętych przez Adána po aresztowaniu Orejuelów. Stopniowo puste Boeingi 727 - drogi zakup, kosztowny w utrzymaniu - lądują na pasach w Kolumbii, czekając na kokainę, która często przychodzi spóźniona lub nie dociera wcale albo, kiedy już jest na miejscu, to nie obiecanej jakości i mocy. Tak więc klienci na ulicach skarżą się detalistom, którzy skarżą się hurtownikom, a ci z kolei (grzecznie) Barrerom.

Wreszcie dopływ kokainy w ogóle ustaje.

Rzeka staje się strumieniem, potem strużką, a wreszcie nitką.

Adán dowiaduje się dlaczego:

Las Fuerzas Armadas Revolucionarias de Colombia.

Czyli FARC.

Najstarszy i największy istniejący marksistowski ruch rewolucyjny w Ameryce Łacińskiej.

FARC kontroluje odległe południowo-zachodnie obszary Kolumbii, wzdłuż granic z producentami kokainy, Peru i Ekwadorem. Ze swej twierdzy na północno-zachodnich krańcach amazońskiej dżungli, FARC prowadzi od trzydziestu lat wojnę partyzancką z rządem kolumbijskim, bogatymi właścicielami ziemskimi i firmami naftowymi, które działają

z obfitujących w ropę okręgów na wybrzeżu.

A potęga FARC rośnie. Tylko w zeszłym miesiącu partyzanci przypuścili atak na placówkę wojskową w mieście Las Delicias. Za pomocą moździerzy i ładunków wybuchowych, zdobyli fort, zabili sześćdziesięciu żołnierzy i schwytali resztę. FARC odcięła ważną autostradę łączącą okręgi południowo-zachodnie z resztą kraju.

FARC nie tylko kontroluje szlaki przetrzutu kokainy z Peru i Ekwadoru, ale w obrębie swego terytorium ma okręg Putumayo, gęstą dżunglę i amazoński las deszczowy, a teraz również ważny obszar uprawy kokainy. Krajowe źródła kokainy stanowiły marzenie wielkich karteli, więc zainwestowały miliony dolarów w plantacje w tym regionie. Gdy jednak ich starania miały wydać plony, kartele wypadły z interesu, pozostawiając chaos „dzwoneczków” i jakieś trzysta tysięcy hektarów upraw oraz dodatkowe ziemie obsadzone każdego dnia.

Putumayo jest dla liści koki tym, czym Sinaloa była dla maku - źródłem, studnią, z którego wypływa strumień narkotyku.

FARC odcięła go, a potem zwróciła się do Adána, żeby negocjować.

A ja będę musiał to zrobić, myśli teraz Adán, gdy spogląda na leżącą obok siebie Norę.

*

Ona budzi się i widzi, że Adán się jej przygląda. Nora uśmiecha się, całuje go delikatnie i mówi:

- Chciałabym się przejść.

- Pójdę z tobą.

Nakładają szlafroki i wychodzą na dwór.

Jest tam Manuel.

Manuel zawsze tam jest, myśli Nora.

Adán wybudował mu dom w obrębie posiadłości. To mały, prosty dom w sinaloańskim stylu *campesino*. Tyle że Adán kazał go nieco powiększyć przez wzgląd na sztywną nogę Manuela. Poleciał wykonać specjalne meble, ułatwiające mu wchodzenie i schodzenie, a z tyłu zamontować małe jacuzzi, by łagodziło bóle w nodze, narastające z wiekiem. Manuel nie lubił z niego korzystać, ponieważ uważał, że podgrzewanie wody kosztuje zbyt dużo, więc Adán polecił służącemu, żeby chodził co wieczór i uruchamiał urządzenie.

Manuel wstaje z ławki i zbliża się do nich, pociągając prawą nogą. Podąża w dyskretnej odległości, utykając charakterystycznie. Dla Nory jest niemal karykaturą: z AK pod pachą, podwójnymi bandoletami na ramionach niczym bandyta z dawnych czasów, z pistoletami w kaburach na udach, wielkim nożem zatkniętym za pas.

Brakuje mu tylko wielkiego sombrero i opadających wąsów, myśli Nora.

Pojawia się pokojówka z tacą.

Dwie kawy: biała i słodka dla niego, czarna bez cukru dla niej.

Adán dziękuje służącej, a ona odbiega do kuchni. Nie patrzy na Norę w obawie, że oczy *gringa* ją urzekną tak jak pana. O tym gada się w kuchni - spojrzysz w oczy tej *bruja*, a znajdziesz się pod urokiem.

Na początku było trudno, przy biernej niechęci służby i czynnej dezaprobacie Raúla. Brat Adána uważał, że można mieć kochanki, ale nie wolno sprowadzać ich do rodzinnego domu. Słyszała, jak bracia się o to kłócili, i zaproponowała, że odejdzie, ale Adán nie chciał o tym słyszeć. Teraz wpadli już w koleje cichego życia domowego; do zwyczajów należy ten poranny spacer.

Posiadłość jest piękna. Nora kocha ją szczególnie o poranku, zanim słońce spłaszczy wszystkie kształty i wybieli kolory. Zaczynają przechadzkę od sadu, ponieważ Adán wie, że Nora uwielbia ostry zapach drzew owocowych - pomarańczowych, cytrynowych i grejpfrutowych - oraz słodki zapach mimoz i drzew różanych; ich płatki opadają z gałęzi niczym lawendowe łzy.

Przechodzą obok wypielęgnowanych rabat kwiatowych - liliowców, maków - do ogrodu różanego.

Kobieta patrzy na kwiaty połyskujące od wody, słucha rytmicznego szumu systemu zraszającego, który podlewa kwiaty, zanim słońce uczyni z podlewania daremną robotę.

Adán wygania pawia z ogrodu.

Posiadłość jest pełna ptaków: pawi, bażantów, perliczek. Pewnego ranka, kiedy Adána nie było, Nora wyszła wcześniej sama. Na krawędzi wielkiej fontanny siedział paw. Spojrzał na nią i rozpostarł ogon. Był to cudowny widok, wszystkie barwy tęczy na tle jasnego piasku.

Inne ptaki siedzą na drzewach. Zdziwiający zestaw zięb - Adán na próżno stara się nauczyć ją właściwych nazw, ale ona rozróżnia je tylko po kolorach: złotym i żółtym, fioletowym i czerwonym. Gajówki i lazuruowe trznadłe, niesamowita tanagra, która przypomina Norze latający zachód słońca. I kolibry. Posadzono specjalne kwiaty, a karmniki ze słodzoną wodą wabią kolibry - żarogłowe, kalifornijskie i czarnobrode, jak usiłuje jej tłumaczyć Adán. Ona zna je wyłącznie jako olśniewające klejnoty i będzie za nimi tęsknić, gdy przestaną przylatywać.

- Chcesz zobaczyć zwierzęta? - pyta Adán.

- Oczywiście.

Adán jest praktycznym, ciężko pracującym człowiekiem i nie może pogodzić się z tym, ile czasu i pieniędzy Raúl poświęca menażerii. To kolejna rozrywka Raúla, zaspokojenie ego.

Ma ocelota, dwa gatunki wielbłądów, geparda, parę lwów, lamparta, dwie żyrafy, stado rzadkich jeleni.

Brakuje białego tygrysa. Raúl sprzedał go kolekcjonerowi z Los Angeles, a ten idiota próbował go przewieźć przez granicę i wpadł. Musiał zapłacić ogromną grzywnę, a tygrysa skonfiskowano. Teraz mieszka w zoo w San Diego.

Jego wieloryb został gwiazdą filmową. Wycisnęli z parku rozrywki ostatniego centa, a potem zrównali go z ziemią. Wieloryb skończył w serii przebojów kinowych. Zwierzątko też się opłacało, chociaż Adán ostatnio nie widział go w żadnym filmie.

Tak więc Adán i Nora przechadzają się po prywatnym zoo o poranku, a jeden z dozorców jest zawsze w gotowości, gdyby Nora chciała nakarmić żyrafy. Ona uwielbia ich wdzięk, długie szyje i sposób chodzenia.

Schodzi z małej platformy, z której karmią żyrafy, bierze kawę i wyprzedza Adána. Kolejny dozorca otwiera bramę i wpuszcza ją do zagrody jeleni. Daje jej wiadro pełne karmy.

- Dzień dobry, Tomásie.

- Señora.

Jelenie tłoczą się wokół niej, skubią jej szlafrok, wpychają nosy, żeby dostać jedzenie.

Nora i Adán jedzą śniadanie na wschodnim tarasie, łapiąc trochę słońca. Ona je grejpfruta i pije kawę. To wszystko - owoc prosto z sadu, zerwany dosłownie na chwilę przed podaniem na stół, i kawa. On je jak jeden z lwów Raúla. Ogromny talerzy *huevos con machaca* z kawałkami ryby i gorącym chorizo. Stos ciepłych kukurydzianych tortilli. Na naleganie Nory, miska owoców. I mała miseczka świeżej salsy - zapach pomidorów i cilantro sprawia, że dziewczyna czuje gorąco w ustach, ale zajmuje się niskokalorycznym grejpfrutem.

Adán zauważa to.

- To bez tłuszczu - mówi. - Ale tortilla z salsą i owszem.

- Musisz przytyć kilka funtów.

- Bardzo jesteś uprzejmy.

Mężczyzna uśmiecha się i wraca do gazety, świadomy, że jej nie przekona. Ma obsesję na punkcie swego ciała, podobnie jak on. Gdy tylko Adán weźmie prysznic i wyjdzie do biura, ona spędzi cały poranek w siłowni. Włącza wieżę i telewizor, ponieważ lubi hałas podczas ćwiczeń. A w siłowni wszystkiego jest do pary - dwa rowerki treningowe, dwie bieżnie, dwa atlasy, dwa zestawy ciężarków - chociaż Norze rzadko udaje się przekonać Adána do wspólnych ćwiczeń.

Co drugi dzień Nora biega po długiej gruntowej drodze, która wije się po posiadłości,

co wywołuje skargi ochrony. Wreszcie Adán znajduje dwóch *sicarios*, którzy lubią biegać. Teraz Nora się skarży, twierdzi, że to ją krępuje, ale w tej kwestii on jest nieprzejednany i nic go nie przekonuje.

Kiedy więc biegnie, dwóch ochroniarzy podąża za nią. Na wyraźne polecenie Adána na zmianę biegną i truchtają. Nie chce, żeby obaj na raz stracili dech. Jeśli dojdzie do strzelaniny, to co najmniej jeden musi mieć pewną rękę. A strażnikom powiedziano: „Jeśli coś się jej stanie, zapłacicie głowami”.

Jej popołudnia są długie i leniwe. Ponieważ on pracuje w porze obiadu, jada sama. Potem ucina sobie krótką sjęstę, wyciągając się na leżaku pod parasolem, unikając słońca. Z tego samego powodu spędza większość popołudnia w domu, czytając pisma i książki, nieuważnie ogląda meksykańską telewizję, a głównie czekając aż pojawi się Adán, żeby zjeść z nią późną kolację.

Teraz on mówi:

- Muszę wyjechać w interesach. Może mnie jakiś czas nie być.

- Dokąd się wybierasz?

Potrząsa głową.

- Do Kolumbii. FARC chce negocjować.

- Pojadę z tobą.

- To zbyt niebezpieczne.

Ona mówi mu, że rozumie. Pojedzie w tym czasie do San Diego - zrobi zakupy, zobaczy kilka filmów, spotka się z Haley.

- Ale będę tęskniła - dorzuca.

- Ja też będę tęsknił.

- Chodźmy do łóżka.

Kocha się z nim z demoniczną energią. Ścisną go pochwą, obejmuje mocno nogami i czuje, jak zagłębia się w nią. Głaszcząc jego włosy, gdy leży twarzą na jej piersiach i mówi:

- Kocham cię. *Tienes mi alma en tus manos.*

Masz moją duszę w swoich rękach.

Putumayo, Kolumbia

1997

Adán siedzi z tyłu dżipa podskakującego powoli na błotnistej, pełnej wybojów drodze wyciętej w amazońskiej dżungli południowo-zachodniej Kolumbii. Powietrze dokoła jest

gorące i cuchnące, a on ogania się od much i komarów, które krążą mu wokół głowy.

To już była trudna podróż.

Odrzucił pomysł lotu jednym ze swych Boeingów 727. Nikt nie może wiedzieć, że Adán zamierza spotkać się z Tirofio, dowódcą FARC; poza tym to byłoby zbyt niebezpieczne. Jeśli CIA lub DEA przechwycą plan lotu, rezultat okaże się katastrofalny. A poza tym są rzeczy, które Tirofio chce Adánowi pokazać po drodze.

Tak więc Adán najpierw wsiada na prywatny jacht u wybrzeży Cabo, potem przesiada się na stary kuter rybacki i odbywa długą, powolną podróż do południowego wybrzeża Kolumbii u ujścia rzeki Coqueta. To była najniebezpieczniejsza część trasy, gdyż wybrzeże znajduje się pod kontrolą rządu, patrolowały je prywatne milicje wynajęte przez firmy naftowe, żeby strzegły ich wiertel i wież wiertniczych.

Z kutra Adán przechodzi na mały, jednosilnikowy skiff. Wpływają na rzekę nocą, prowadzeni przez płomienie wystrzeliwane z wież rafinerii niczym piekielne ognie sygnałowe. Ujście rzeki jest muliste i zanieczyszczone, powietrze gęste i brudne. Wślizgują się w nurt, obok zakładów rafineryjnych otoczonych dziesięciostopowymi płotami z drutu kolczastego, z wieżyczkami strażniczymi na rogach.

Dwa dni płyną w górę rzeki, żeby zmylić patrole wojskowe i prywatne oddziały ochroniarzy. Wreszcie docierają do lasu deszczowego, a teraz szykują się, by przebyć resztę drogi dżipem. Droga wiedzie ich obok pól koki i po raz pierwszy Adán widzi źródło produktu, który przyniósł mu miliony.

Cóż, czasem widzi.

Innym razem dostrzega martwe i zwiędłe pola, zatrute przez helikoptery rozpryskujące defolianty. Chemikalia nie są jakieś specjalne - niszczą kokę, ale także fasolę, pomidory, warzywa. Zatruwają wodę i powietrze. Adán kroczy przez opuszczone wioski, które wyglądają jak eksponaty muzealne - doskonałe antropologiczne okazy kolumbijskiej wsi, tyle że niezamieszkaną. Ludzie uciekli przed defoliantami, przed armią, przed FARC, przed wojną.

Inne mijane wioski po prostu spalono. Wypalone kręgi na ziemi oznaczają miejsca, gdzie niegdyś stały chaty.

- Armia - wyjaśnia przewodnik. - Palą wioski, które według nich sprzyjają FARC.

A FARC pali wsie, które według partyzantów trzymają z armią, myśli Adán.

Wreszcie docierają do obozu Tirofia.

Partyzanci Tirofia, w mundurach polowych, noszą berety i AK-47. Zaskakująco dużo wśród nich kobiet - Adán zauważa jedną szczególnie charakterystyczną amazonkę z długimi,

czarnymi włosami spływającymi spod beretu. Napotkawszy jego oczy, odpowiada spojrzeniem typu „na-co-się-gapisz”, więc odwraca wzrok.

Wszędzie coś się dzieje - drużyny partyzantów szkolą się, inni czyszczą broń, piorą, gotują, sprzątają obóz - wszystko doskonale zorganizowane. Obóz jest wielki i porządkowy - schludne szeregi oliwkowozielonych namiotów ustawiono pod siatką maskującą. Kilka kuchni wybudowano pod krytymi strzechą *ramadas*. Widzi coś w rodzaju szpitala i apteki. Przechodzą nawet koło namiotu mieszczącego bibliotekę. To nie banda zbiegłych wyrzutków, myśli Adán. To doskonale zorganizowana siła kontrolująca swe terytorium. Siatki maskujące - by ukryć się przed obserwacją z powietrza - stanowią jedyny ślad poczucia zagrożenia.

Eskorta prowadzi Adána do kwatery głównej. Namioty są tu większe, z płóciennymi osłonami przeciwsłonecznymi, które tworzą portyki; pod nimi ustawiono umywalki oraz stoły i krzesła z grubsza ociosanego drewna. Chwilę później strażnik wyprowadza starszego, krępego mężczyznę w oliwkowozielonym mundurze i czarnym berecie.

Tirofio ma twarz jak zaba, myśli Adán. Grubszy niż można by się spodziewać po partyzancie, z workami pod oczami, obwisłymi policzkami i szerokimi ustami, jakby zastygłymi w wykrzywionym grymasie. Ma wysokie kości policzkowe, wąskie oczy, srebrne brwi. Mimo to wygląda na młodszego niż siedemdziesiąt lat. Podchodzi energicznie do Adána - jego krótkie, silne nogi nie drżą.

Tirofio patrzy przez chwilę na Adána, obejmuje go i prowadzi w stronę *ramada*, pod którą stoi stół i kilka krzesel. Siada i gestem prosi Adána, aby uczynił to samo. Bez żadnego wprowadzenia mówi:

- Wiem, że wspiera pan operację Czerwona Mgła.
- To nie jest sprawa polityczna - odpowiada Adán. - Tylko interes.
- Mógłbym zatrzymać pana dla uzyskania okupu - oznajmia Tirofio. - Albo zabić od razu.
- A pan wie - rzuca Adán - że przeżyłby mnie góra o tydzień.

Tirofio potwierdza skinieniem.

- O czym więc mamy rozmawiać? - pyta Adán.

Tirofio wyciąga papierosnicę z kieszeni koszuli i częstuje Adána. Kiedy Barrera potrząsa głową, Tirofio zapala jednego, zaciąga się głęboko i zadaje pytanie:

- Kiedy pan się urodził?
- W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim.
- Zacząłem walkę w czterdziestym ósmym. W okresie nazywanym teraz „La Violencia”. Słyszał pan o tym?

- Nie.

Tirofio kiwa głową.

- Byłem drwalem, mieszkałem w małej wiosce. Wtedy nie zajmowałem się polityką. Lewica, prawica - lasowi to bez różnicy. Pewnego dnia ścinałem drzewa na wzgórzach, kiedy lokalna prawicowa milicja przyjechała do wsi, spędziła wszystkich mężczyzn, związała im ręce za plecami i podcięła gardła. Zostawili ich na placu, żeby się wykrwawili jak świnie, podczas gdy gwałcili ich żony i córki. Czy wie pan, czemu to zrobili?

Adán kręci przecząco głową.

- Ponieważ wieśniacy pozwolili lewicowej grupie, żeby wykopała im studnię. Tego ranka po powrocie znalazłem ciała leżące na ziemi. Moi sąsiedzi, przyjaciele, rodzina. Odszedłem na wzgórze, tym razem, żeby przyłączyć się do partyzantów. Po co to opowiadam? Ponieważ może pan mówić, że nie chodzi o politykę, ale tego dnia, gdy widzi się swoich przyjaciół i krewnych leżących w piachu, to zaczyna być polityka.

- Są pieniądze i brak pieniędzy - odpowiada Adán. - Potęga i słabość. To wszystko, co istnieje.

- No właśnie - śmieje się Tirofio. - Już jest pan na poły marksistą.

- Czego pan ode mnie chce?

Broni.

Tirofio ma dwanaście tysięcy ludzi i planuje jeszcze trzydzieści. Ale ma tylko osiem tysięcy karabinów. Adán Barrera ma pieniądze i samoloty. Jeśli jego samoloty mogą wywozić kokainę, to mogą przylatywać z bronią.

Jeśli więc chcę ochronić moje źródło kokainy, dociera do Adána, muszę robić to, czego chce ten stary wojownik. Będę musiał dostarczyć mu broń do obrony jego terytorium przed prawicowymi milicjami, armią i, rzecz jasna, Amerykanami. To praktyczna konieczność, ale jest też w tym słodycz zemsty. Odpowiada więc:

- Ma pan jakieś konkretne propozycje?

Tirofio ma.

To proste, stwierdza.

Jeden kilogram równa się jednemu karabinowi.

Za każdy karabin przywieziony przez Adána FARC pozwoli sprzedać kilogram kokainy ze swego terytorium, za cenę obniżoną o koszt broni. To za standardowy karabin - najchętniej AK-47, chociaż dopuszczalne są też amerykańskie M-16 lub M-2, dopóki FARC może zdobywać amunicję na pokonanych oddziałach armii lub prawicowych milicjach. Co do innej broni - a Tirofio rozpaczliwie potrzebuje ręcznych wyrzutni raketowych - zastosują

przelicznik półtora, a nawet dwa kilogramy.

Adán akceptuje to bez dyskusji.

Jakoś wyczuwa, że targowanie się byłoby niestosowne, niemal niepatriotyczne. Poza tym ten układ zda egzamin. Jeśli - a to wielkie jeśli - uda mu się zdobyć dość broni.

- No więc - mówi Adán - układ stoi?

Tirofio ściska mu dłoń.

- Pewnego dnia zrozumie pan, że wszystko jest polityką i zacznie działać myśląc sercem, a nie kieszenią.

Pewnego dnia, mówi mu Tirofio, znajdzie pan swą duszę.

*

Nora układa ubrania na łóżku w ich pokoju w małym hotelu w Puerto Vallarta - koszule i garnitury, które kupiła Adánowi w La Jolla.

- Podobają ci się?

- Tak.

- Nawet nie spojrzales - mówi Nora.

- Przepraszam.

- Nie przepraszaj - podchodzi do Adána i obejmuje go. - Powiedz mi, o czym myślisz.

Słucha uważnie, podczas gdy Adán opisuje jej logistyczne wyzwanie, przed jakim stanął: gdzie zdobyć tyle broni, ile potrzebuje, żeby wypełnić umowę z Tirofio. Stosunkowo łatwo dostać trochę karabinów tu i tam - w końcu Stany Zjednoczone to wielki rynek uzbrojenia - ale tysiące karabinów, które będą niezbędne przez następnych kilka miesięcy, to zbyt wiele nawet dla amerykańskiego czarnego rynku.

A na dodatek broń musi przechodzić przez Stany, nie Meksyk. Jankesi na granicy mają świra na punkcie narkotyków, a Meksykanie jeszcze gorliwiej tropią broń. Gdy Waszyngton skarży się na narkotyki szmuglowane z Meksyku, Los Pinos odpowiada żalami na uzbrojenie płynące ze Stanów. To stała zadra w stosunkach między krajami, bo Meksykanie uważają broń za niebezpieczniejszą od narkotyków. Nie rozumieją, dlaczego w Ameryce dostaje się wyższy wyrok za sprzedaż odrobiny marihuany niż za sprzedaż mnóstwa karabinów.

Nie, rząd meksykański jest przeczulony na punkcie broni, jak przystało na kraj nękany rewolucjami. Nawet teraz trwa powstanie w Chiapas. Jak Adán mówi Norze, nie ma sposobu, żeby przywieźć do Meksyku tyle broni, nawet jeśli znajdzie dostawcę. Broń musi trafić do Stanów, następnie zostanie przeszmuglowana przez Baja, załadowana do 727 i przewieziona do Kolumbii.

- Możesz dostać tyle karabinów? - pyta Nora.

- Muszę - odpowiada Adán.

- Gdzie?

*

Hongkong

1997

Pierwsze wrażenie z Hongkongu zawsze jest zachwycające.

Najpierw jest niekończący się lot nad Pacyfikiem, godziny nad błękitną wodą, potem nagle pojawia się wyspa, szmaragdowozielona plama z wysokimi wieżami błyszczącymi w słońcu i okalającymi je wzgórzami.

Nigdy tu nie był. Ona owszem, kilka razy, i przez okno pokazuje najciekawsze miejsca: sam Hongkong, Victoria Peak, Kowloon, port.

Zamieszkują w hotelu Peninsula.

To jej pomysł, żeby zamieszkać na łodzi w Kowloon, a nie w jednym z tych nowoczesnych hoteli na wyspie. Uwielbia kolonialny szyk Półwyspu, uważa, że on też go polubi, a poza tym Kowloon jest dużo bardziej interesujące, zwłaszcza nocą.

Adánowi podoba się hotel - przemawia do niego staroświecka elegancja. Siedzą na starej werandzie (teraz przeszklonej) z widokiem na port i przystań promową, piją angielską herbatę (ona zamawia), czekając na przygotowanie pokoju.

- Tu - mówi Nora - upijali się dawni baronowie opiumowi.

- To prawda? - pyta Adán. Nie zna się na historii, nawet handlu narkotykami.

- Oczywiście - odpowiada. - To dlatego Brytyjczycy najpierw zdobyli Hongkong. Podczas wojny opiumowej.

- Wojny opiumowej?

- W latach czterdziestych dziewiętnastego wieku - wyjaśnia Nora - Brytyjczycy prowadzili wojnę z Chińczykami, żeby zmusić ich do zgody na handel opium.

- Żartujesz.

- Nie. Na mocy traktatu pokojowego brytyjscy handlarze opium mogli sprzedawać swój towar w Chinach, a Korona brytyjska wzięła Hongkong jako kolonię. Mieli więc bezpieczny port dla opium. Armia i flota chroniły towar.

- Nic się nie zmienia - rzuca Adán. - Skąd wiesz to wszystko?

- Czytam. Poza tym pomyślałam, że powinieneś mieć jakąś frajdę z pobytu tutaj.

Ma. Siedzi, popija darjeeling, je babeczkę z bitą śmietaną i konfiturą. Czuje, że kontynuuje długą tradycję.

Kiedy dostają pokój, pada na łóżko.

- Nie możesz iść spać - mówi Nora. - Nigdy nie pozbędziesz się jetlagu.

- Spać mi się chce - mruczy mężczyzna.

- Mogę cię rozbudzić.

- Naprawdę?

Naprawdę.

Potem biorą prysznic, a Nora mówi, że zaplanowała resztę dnia i wieczór, jeśli tylko odda się w jej ręce.

- Czy właśnie tego nie zrobiłem? - pyta Adán.

- I podobało ci się?

- Przecież krzyczałem.

- Czas ma kluczowe znaczenie - mówi Nora, gdy on się goli.

- Pospiesz się.

Spiesz się.

- Uwielbiam to robić - oznajmia Nora, gdy idą do przystani Star Ferry. Kupuje bilety i czekają kilka minut, żeby wejść na prom. Wybiera miejsca z najlepszym widokiem na Hongkong. Wokół nich na wodzie tłoczą się kutry, motorówki, dżonki i sampany.

Po przybiciu do wyspy Nora wyciąga go z przystani.

- Po co ten pośpiech? - pyta Adán, gdy towarzyszka chwyta go za łokieć i prowadzi przed siebie.

- Zobaczysz. Chodź - prowadzi go Garden Road do podnóża Victoria Peak, gdzie wskazują do tramwaju, który trzęsie się na stromym podejździe.

- To jak kolejka w wesołym miasteczku - stwierdza Adán.

Docierają do obserwatorium tuż przed zachodem słońca. Chciała, żeby go zobaczył. Stoją na tarasie, gdy niebo różowieje, potem robi się czerwone i ciemniejsze, a światła miasta rozbłyskują niczym diamenty rozsypane na czarnej satynowej poduszce.

- Nigdy nie widziałem nic podobnego - mówi Barrera.

- Wiedziałałam, że ci się spodoba.

Odwraca się i całuje ją.

- Kocham cię - mówi.

- Ja też cię kocham.

*

Z Chińczykiem spotykają się następnego dnia po południu.

Zgodnie z umową motorówka zabiera Norę i Adána z przystani Kowloon; wypływają

na zatokę, gdzie przechodzą na oczekującą dżonkę, która dowozi ich do Silver Mine Bay po wschodniej stronie wyspy Lantau. Tutaj dżonka znika wśród flotylli innych dżonek i sampanów, na których mieszkają „ludzie z łodzi”. Ich dżonka kieruje się ku labiryntowi doków, nabrzeży i zakotwiczonych łodzi, by zakotwiczyć obok wielkiego sampana. Kapitan przerzuca trap między swoją dżonką a sąsiednią jednostką; Nora i Adán przechodzą na jej pokład.

Pod łukowatym baldachimem, który ocienia środkową część łodzi, siedzą trzej mężczyźni. Wstają, gdy Nora i Adán wchodzi na pokład. Dwaj z nich są starsi. Jeden, co Nora od razu dostrzega, ma barczyste ramiona i sztywną postawę oficera; drugi jest zwyczajny i nieco przygarbiony - to biznesmen. Trzeci to młodzieniec, który denerwuje się w obecności przełożonych. To, myśli Nora, musi być tłumacz.

Młody człowiek przedstawia się po angielsku jako Yu, a Nora tłumaczy to na hiszpański, chociaż Adán zna angielski na tyle, aby zrozumieć prostą rozmowę. Ale to daje jej pretekst, by tu być; ubrała się na tę okazję w prosty szary kostium z bluzką w kolorze kości słoniowej i skromną biżuterią.

Mimo to jej urodę zauważa i oficer, pan Li, który kłania się, i biznesmen, pan Chen, który uśmiecha się i całuje jej dłoń. Po dokonaniu prezentacji siadają, by pić herbatę i omawiać interesy.

Ku rozpaczy Adána pierwsza część spotkania to niekończąca się wymiana banałów i uprzejmości, jeszcze bardziej nużąca z powodu podwójnego tłumaczenia z mandaryńskiego na angielski, a potem z angielskiego na hiszpański, i znowu w drugą stronę. Chciałby skończyć tę gadkę, ale Nora ostrzegła go, że to nieodłączna część załatwiania interesów w Chinach i że zostałby uznany za gburę, a tym samym partnera niegodnego zaufania, gdyby skrócił tę część. Siedzi więc i uśmiecha się podczas rozmowy o urodzie Hongkongu, a potem o pięknie Meksyku, wspaniałości jedzenia, o tym, jak sympatyczni i inteligentni są Meksykanie. Potem Nora chwali smak herbaty, na co pan Li odpowiada, że to marne fusy. Nora stwierdza, że chciałaby pić takie „fusy” w Tijuanie, a pan Li oferuje się, że wyśle jej nieco herbaty, skoro się upiera, chociaż napój jest jej niegodny i tak dalej, aż do chwili, gdy pan Li, wysokiej rangi generał w Armii Ludowo-Wyzwoleńczej - niemal niedostrzegalnie kiwa głową młodemu Yu, który wtedy przystępuje do prawdziwego interesu.

Zakupu broni.

Wszystko po kolei się tłumaczy, chociaż Li mówi znośną angielszczyznę. Jednak proces tłumaczenia daje czas do namysłu i narad z Chenem, urzędnikiem GOSCO - Kompanii Żeglugowej Guangdong - a poza tym utrzymuje uprzejmą fikcję, że ta kobieta jest tłumaczką,

a nie kochanką Barrery, o czym wszyscy wiedzą w dyplomatycznych kręgach w Mexico City. Zorganizowanie tego spotkania wymagało czasu, czasu i delikatnych podchodów, a Chińczycy odrobili pracę domową. Wiedzą, że handlarz narkotyków jest związany ze słynną kurtyzaną, która w interesach jest równie sprytna i agresywna jak jej kochanek. Więc Li słucha uważnie, co Yu mówi do kobiety, a kobieta do Barrery, mimo iż wszyscy wiedzą, że on jest tu po to, żeby kupić broń, którą oni chcą sprzedać. Inaczej wcale by go tu nie było.

- Jaki rodzaj broni?

- Karabiny. AK-47.

- Nazywacie je „rogami kozła”. To dobra nazwa. Ile chcecie kupić?

- Na początek niewiele. Może kilka tysięcy.

Li jest oszołomiony wielkością zamówienia. I pod wrażeniem, że Barrera - a może ta kobieta - zadbał o podkreślenie, że to „niewielkie” zamówienie, co jest bardzo znaczące. Co stracę, jeśli nie zrealizuję takiego „niewielkiego” zamówienia. Użyli też zwrotu „na początek” jako przynęty. Dali do zrozumienia, że jeśli wywiążę się z tej ogromnej dostawy, będą kolejne.

Li zwraca się do Adána.

- Zwykle nie zajmujemy się tak małymi ilościami.

- Wiemy, że wyświadczacie nam uprzejmość. Może opłaci się wam to bardziej, jeśli kupimy też trochę cięższego uzbrojenia? Powiedzmy nieco wyrzutni KPG-2?

- Wyrzutnie rakietowe? Spodziewacie się wojny?

- Miłujący pokój Chińczycy - odpowiada Nora - wiedzą, że broń kupuje się nie po to, by prowadzić wojnę, ale żeby zapobiec walce. Sun Tzu napisał: „Niewyciężoność zależy od ciebie; słabość wroga - od niego”.

Nora świetnie wykorzystała długie godziny w samolocie. Li jest pod wrażeniem.

- Oczywiście - mówi - z powodu niewielkiej ilości, nie będziemy mogli zaoferować takiej samej ceny, jak przy większych zamówieniach.

- Ponieważ to zamówienie - odpowiada Adán - to początek, jak mamy nadzieję, długiej współpracy, liczymy, że w ramach gestu dobrej woli zaoferujecie cenę, która zachęci nas do składania kolejnych zamówień.

- Chce pan powiedzieć, że nie może zapłacić pełnej ceny?

- Nie, mówię, że nie zapłacę pełnej ceny.

Adán też odrobił pracę domową. Wie, że chińska armia jest na równi firmą, jak i siłą wojskową, a Pekin mocno naciska, żeby wojskowi przynosili dochód. Potrzebują tej umowy tak samo jak ja, myśli, może nawet bardziej, a zamówienie wcale nie jest takie marne. Tak

więc, generale, ulegniesz, zwłaszcza że...

- Oczywiście - dorzucą Adán - zapłacimy w dolarach. Gotówką.

Ponieważ armia ma nie tylko przynosić dochody, ale w dodatku w obcej walucie; nie chcą meksykańskich pesos, wartych tyle co papier, na którym są wydrukowane. Chcą mocnych jankeskich zielonych. Adánowi podoba się ten cykl: amerykańskie dolary do Chin za broń, broń do Kolumbii za kokainę, kokainę do Stanów za amerykańskie dolary...

Mnie pasuje.

Chińczykom też. Spędzają następne trzy godziny na ustalaniu szczegółów - cen, dat dostaw.

Generał chce zawrzeć umowę. Podobnie jak biznesmen. I Pekin. GOSCO nie tylko buduje urządzenia w San Pedro i Long Beach, ale także w Panamie. A kupując wielkie obszary ziemi nad kanałem, nie tylko rozdziela amerykańską flotę na dwie części, ale siedzi też okrakiem nad dwoma szykującymi się lewicowymi rebeliami w Ameryce Środkowej - wojną FARC w Kolumbii i rodzącą się rewoltą zapatistowską w południowym Meksyku. Trzeba dla odmiany zająć czymś Amerykanów bliżej własnego podwórka. Niech raczej zajmą się Przesmykiem Panamskim zamiast cieśninami tak zwanego Tajwanu.

Tak, umowa z kartelem Barrerów może tylko zwiększyć wpływy Chińczyków na amerykańskim podwórku, zająć ich gaszeniem zarzewia komunizmu, a także zmusić do wydawania środków przeznaczonych na wojnę z narkotykami.

Pojawia się butelka wina. Wznoszą toast za przyjaźń.

- *Wan swei* - mówi Nora.

Dziesięć tysięcy lat.

Za sześć tygodni ładunek dwóch tysięcy AK-47 i sześciu tuzinów granatników, z odpowiednim zapasem amunicji, zostanie wysłany z Guangzhou na frachtowcu GOSCO.

San Diego

Tydzień po powrocie z Hongkongu Nora przekracza granicę w Tecate i rusza przez pustynię w długą drogę do San Diego.

Zamieszkuje w hotelu Valencia i wynajmuje apartament z widokiem na La Jolla Cove i ocean. Spotyka się z Haley i jedzą lunch w Top of the Cove. Interes się kręci, mówi Haley.

Nora kładzie się wcześniej i wcześniej wstaje. Zakłada dres i biegnie wokół La Jolla Cove, ścieżką, która okrąży urwiska nad oceanem. Wraca spocona i zmęczona, zamawia do pokoju grejpfruta i kawę. Czeka na śniadanie, bierze prysznic.

Potem ubiera się i wychodzi na zakupy. Wszystkie modne sklepy w La Jolla Village są o rzut kamieniem, więc ma ręce pełne toreb, gdy dociera do ulubionego butik. Tam wybiera trzy sukienki i zabiera je do przebieralni.

Kilka minut później wychodzi z dwiema z nich, kładzie je na ladzie i mówi:

- Te wezmę. Czerwoną zostawiłam w przebieralni.

- Odwieszę ją - odpowiada właścicielka.

Nora dziękuje, uśmiecha się i wychodzi na popołudniowe słońce La Jolla. Postanawia zjeść na lunch coś francuskiego i bez trudu dostaje stolik w La Brasserie. Resztę popołudnia poświęca na film i długą drzemkę. Wstaje, zamawia lekką kolację, a potem wkłada nową czarną sukienkę, czesze się i maluje.

*

Art Keller parkuje trzy przecznice od Białego Domu i resztę drogi przebywa pieszo.

Jest samotny. Ma tylko swoją pracę.

Cassie ma teraz osiemnaście lat, wkrótce skończy Parkman; Michael ma szesnaście lat, zaczyna Bishop's School. Art chodzi na mecze siatkówki Cassie i zawody pływackie Michaela, potem ich gdzieś zabiera, jeśli nie zaplanowali spotkania z przyjaciółmi. Spędzają raz w miesiącu nieciekawe weekendy w jego mieszkaniu - ze wszystkich sił stara się ich zabawić, ale głównie pętają się nad basenem wśród innych „niedzielných tatusiów” z potomstwem. A jego własne dzieci coraz bardziej nie cierpią tych wizyt, które kolidują z ich życiem towarzyskim.

Art to rozumie i zwykle pozwala im odwołać wizytę, mówiąc z fałszywym entuzjazmem „Do zobaczenia następnym razem”.

Nie chodzi na randki. Miał kilka krótkotrwałych romansów z rozwódkami - konwencjonalny seks wciśnięty między robienie kariery a samotne wychowywanie nastoletnich dzieci - ale były one bardziej smutne niż satysfakcjonujące, więc szybko dał sobie spokój.

Przez większość nocy towarzyszą mu więc zmarli.

Zawsze mają czas i nie brakuje ich. Ernie Hidalgo, Pilar Talavera i jej dwoje dzieci. Juan Parada. Wszystkie ofiary prywatnej wojny Arta z Barrerami. Odwiedzają go co noc, rozmawiają z nim, pytają, czy było warto.

Przynajmniej w tej chwili odpowiedź brzmi: nie.

Art przegrywa wojnę.

Kartel Barrerów przynosi teraz średnio osiem milionów dolarów tygodniowo. Połowa kokainy i jedna trzecia heroiny, które trafiają na amerykańskie ulice, przechodzi przez kartel z

Baja. Całą amfetaminę na zachód od Missisipi dostarczają Barrerowie.

Adán nie ma konkurencji w Meksyku. Spoił na nowo Federación swego wuja i jest niekwestionowanym *patrón*. Żaden inny kartel nie zagraża jego wpływowi. Co więcej, Barrera znalazł własne źródło kokainy w Kolumbii. Jest niezależny od Cali i Medellín. Barrerowie są samowystarczalni od plantacji koki do rogu ulicy, od makówki do narkomańskiej meliny, od nasienia konopi do cegiełek, które zalewają ulice, od efedryny do krystalicznej amfy.

Kartel z Baja jest pionowo zintegrowaną strukturą.

A przecież są jeszcze „legalne” interesy. Pieniądze Barrerów są inwestowane w *maquiladoras* wzdłuż granicy, w nieruchomości w całym Meksyku - zwłaszcza w kurortach Puerto Vallarta i Cabo San Lucas - oraz na południowym zachodzie Stanów i w banki, włącznie z kilkoma bankami i towarzystwami kredytowymi w Stanach. Finansowe mechanizmy kartelu są całkowicie związane z najbogatszymi i najpotężniejszymi firmami w Meksyku.

Art dociera do frontowych drzwi Białego Domu i dzwoni.

Haley Saxon wychodzi mu na powitanie.

Uśmiecha się profesjonalnie i wręcza mu klucz do pokoju na górze.

Nora siedzi na łóżku.

Wygląda zachwycająco w czarnej sukience.

- Wszystko w porządku? - pyta Art.

Czerwona sukienka stanowiła sygnał, że chce się z nim spotkać osobiście. Przez ponad dwa lata zostawiała informacje w martwych skrzynkach kontaktowych w całym mieście.

To Nora przekazała mu szczegóły spotkania Adána z braćmi Orejuela, informację, która pozwoliła DEA zgarnąć ich, gdy wracali do Kolumbii.

Nora przedstawiła mu szczegóły organizacji nowej Federación.

Nora dostarczyła setek wiadomości, dzięki którym mógł ich zdobyć jeszcze tysiące. Głównie dzięki niej rozpracował strukturę organizacji Barrerów w Baja i Kalifornii. Trasy dostaw, meliny, kurierów. Kiedy przybywają narkotyki, kiedy odjeżdżają pieniądze, kto kogo zabił i dlaczego.

Nora ryzykuje życiem, przywożąc mu te informacje podczas „wypraw na zakupy” do San Diego i Los Angeles, w czasie podróży do kurortów, wszelkich wyjazdów z Meksyku bez Adána.

Korzystają z zaskakująco prostej metody. Kartele narkotykowe mają większy budżet, a tym samym lepszy sprzęt niż Art, a ponadto nie ogranicza ich konstytucja. Jedynym sposobem na przewyciężenie zaawansowanej technologii Barrerów jest użycie najprostszych

metod: Nora po prostu siedzi w pokoju, spisuje informacje i wysyła pocztą do skrytki, którą Art założył pod fałszywym nazwiskiem.

Żadnych komórek.

Żadnego internetu.

Tylko stara dobra amerykańska poczta.

Chyba że sytuacja jest awaryjna. Wtedy Nora zostawia czerwoną sukienkę w przebieralni. Właścicielka butiku była poszukiwana za napaść, za którą mogła trafić za kratki na pięć lat. Zamiast tego wołała wyświadczyć przysługę Panu Granicy.

- Wszystko dobrze - odpowiada.

Ale jest rozgniewana.

Nie, gniew to nie jest odpowiednie słowo, myśli, patrząc na Artę Kellera. Powiedziałeś, że z moją pomocą szybko przymkniesz Adána, ale minęło już dwa i pół roku. Dwa i pół roku udawania miłości do Adána Barrery, brania w siebie mężczyzny, którego nienawidzę, czucia go w ustach, pochwie, tyłku i udawania, że to uwielbiam. Udawania, że kocham tego potwora, który zabił mi ukochanego mężczyznę, prowadzenia go, kształtowania, pomagania w zdobywaniu władzy, żeby mógł popełnić więcej zbrodni. Nie wiesz, jak to jest - bo niby skąd? - budzić się rano z kimś takim u boku, pełzać między jego nogami, rozkładać swoje, wykrzykiwać udawane orgazmy, uśmiechać się i śmiać, rozmawiać, jadać wspólne posiłki, cały czas żyjąc w koszmarze, czekając aż zaczniesz działać.

I co do tej pory zrobiłeś?

Poza aresztowaniem Orejuelów - nic.

Siedzi na tej informacji od dwóch i pół roku, czekając na odpowiedni moment do działania.

- To zbyt ryzykowne - mówi teraz Art.

- Ufam Haley - mówi Nora. - Chcę, żebyś coś zrobił. Teraz.

- Adán nadal jest nietykalny. Nie chcę...

Opowiada mu o układzie Adána z FARC i Chińczykami.

Art spogląda na nią z respektem. Wie, że jest bystra - obserwował ją, gdy pomagała Adánowi omijać mielizny - ale nie wiedział, że aż tak spostrzegawcza. Przemyślała to.

Pewnie, że tak, myśli Nora. Poznawała mężczyznę całe życie. Widzi zmiany zachodzące w jego twarzy, oczy rozbłyskujące podnieceniem. Każdy mężczyzna ma własny przełącznik. Dostrzega je wszystkie i teraz widzi go u Kellera.

Zemsta.

Taka sama jak moja.

Ponieważ Adán zrobił poważny błąd. Robi właśnie tę jedną rzecz, która go pograży.

I oboje o tym wiemy.

- Kto jeszcze wie o dostawie broni? - pyta Art.

- Adán, Raúl i Fabián Martínez - odpowiada Nora. - I ja. A teraz ty.

Art potrząsa głową.

- Jeśli się tym zajmę, będą wiedzieli, że doniosłaś. Nie możesz wracać.

- Wracam - mówi Nora. - Wiemy o San Pedro i GOSCO, ale nie znamy nazwy statku, przystani...

Ale nawet jeśli zdobędziesz te informacje, myśli Art, to nalot oznacza twoją śmierć.

Kiedy Keller ma wychodzić, dziewczyna pyta:

- Chcesz mnie zerznąć, Art? Dla zachowania pozorów, rzecz jasna.

Jego samotność jest wyczuwalna, myśli Nora.

Można jej dotknąć.

Tak lekko rozkłada nogi.

On się waha.

To taka drobna zemsta za pozostawianie jej w uśpieniu tak długo, przyjemna, więc mówi:

- Żartowałam, Art.

On rozumie.

Odplata.

Wie, że pozostawianie agenta na miejscu tak długo jest niemożliwe. Sześć miesięcy to długi okres, rok to maksimum. Oni po prostu nie wytrzymują - nerwy im puszczają, palą się, dostarczane informacje prowadzą do nich, czas się kończy.

A Nora Hayden nie jest profesjonalistką. Ściśle mówiąc, nie jest nawet agentką, ale informatorką. To nie ma znaczenia - jest głęboko zakonspirowana i pozostaje w ukryciu zbyt długo.

Ale nie mogę wykorzystać żadnej z jej informacji w Meksyku, ponieważ Barrera jest pod meksykańską ochroną. I nie mogę użyć jej wskazówek w Stanach, ponieważ mogłyby ją zdekonspirować, zanim raz na zawsze przyskrzynilibyśmy Adána.

Straszna frustracja. Nora dała mu dość informacji, żeby zniszczyć organizację Barrery w ciągu dwóch tygodni, a on nie mógł ich użyć. Mógł tylko czekać i liczyć na to, że Pan Niebios podleci zbyt blisko słońca.

I teraz to właśnie zrobił.

Czas go odstrzelić. I czas wyciągnąć Norę.

Mogę ją po prostu aresztować, myśli. Bóg wie, że jest dość pretekstów. Aresztować, skompromitować i wtedy nigdy nie wróci. Dać jej nową tożsamość i nowe życie.

Ale nie.

Ponieważ wciąż potrzebuje jej w pobliżu Adána, jeszcze przez chwilę. Wie, że przeciąga strunę, ale pozwala wyjść dziewczynie z pokoju.

*

- Potrzebuję dowodu - mówi John Hobbs.

Solidnego, niepodważalnego dowodu do okazania rządowi meksykańskiemu, zanim w ogóle będzie mógł pomyśleć o nakłanianiu ich do wszczęcia ofensywy przeciwko Adánowi Barrerze.

- Mam źródło - oznajmia Art.

Hobbs kiwa głową - tak, mów dalej.

- Nie mogę go ujawnić - odpowiada Keller.

Hobbs się uśmiecha.

- Czy to nie ty zasłynąłeś ze stworzenia źródła, które naprawdę nie istniało?

A teraz Art, znany ze swej obsesji na punkcie Barrery, przychodzi z historyjką o Adanie Barrerze, który zawarł układ z FARC i importuje chińską broń w zamian za kokainę. I to ma skłonić CIA do przystąpienia do wojny z Barrerami? To trochę zbyt piękne.

Art rozumie to. Jestem Pasterzem, Który Wołał „Wilk!”.

- O jaki dowód chodzi? - pyta.

- Na przykład, transport broni.

I tu jest problem, myśli Art. Przechwycenie transportu broni ujawniłoby to, co próbuję ochronić. Gdyby zdołał nakłonić Hobbsa, żeby zmusił Mexico City do uderzenia w Barrerę, nie musiałbym ryzykować życia Nory. Ale żeby uderzyli, muszę ujawnić informację o transporcie, a jedyną osobą, która może mi pomóc, jest Nora.

Ale jeśli to zrobi, Nora zapewne zginie.

- Daj spokój, John - mówi. - Możesz to zrzucić na Chińczyków. Przejęte depeche radiowe, ruch w internecie, wywiad satelitalny - po prostu powiedz, że masz źródło w Pekinie.

- Chcesz, żebym skompromitował wartościowe źródła w Azji, żeby ochronić jakiegoś handlarza prochami, którego zwerbowałeś? Nie żartuj.

Ale odczuwa pokusę.

Zapatyści w Chiapas są aktywniejsi niż kiedykolwiek, ich szeregi ostatnio zasilili uchodźcy z sąsiedniej Gwatemali, istnieje więc potencjalna siła dla komunistycznej rebelii,

która może się szerzyć w regionie.

A w czerwcu powstała nowa lewicowa grupa rewolucyjna, EPR, Ejército Popular Revolucionario, Ludowa Armia Rewolucyjna, na cześć chłopów z Guerrero, zabitych przez prawicową milicję. Następnie, zaledwie kilka tygodni temu, EPR przypuściło równoczesne ataki na posterunki policji w Guerrero, Tabasco, Puebla i samym Mexico, zabijając szesnastu policjantów i raniąc dwudziestu trzech. Vietcong zaczynał na mniejszą skalę, myśli Hobbs. Zaoferował swym meksykańskim kolegom z wywiadu pomoc przeciwko EPR, ale Meksykanie, wrażliwi na jankeskie ingerencje neoimperialistyczne, odrzucili propozycję.

Głupota, uznaje Hobbs, ponieważ wystarczy rzut oka na mapę. by zobaczyć, że komunistyczna rewolta szerzy się na północ z Chiapas, napędzana gospodarczą katastrofą kryzysu peso i destabilizacją wywołaną przyjęciem traktatu NAFTA.

Meksyk balansuje na krawędzi rewolucji, w Stanach wiedzą o tym wszyscy, poza tymi, którzy chowają głowę piasek. Nawet Departament Obrony zakłada taką możliwość. Hobbs właśnie skończył czytać ściśle tajny plan amerykańskiej interwencji w Meksyku w wypadku całkowitego załamania społecznego i gospodarczego. Boże, jeden Castro na Kubie wystarczy - czy można sobie wyobrazić Comandante Zero rządzącego z Los Pinos? Marksistowski rząd dzielący granicę długości dwóch tysięcy mil ze Stanami Zjednoczonymi? A każdy stan wzdłuż granicy wkrótce będzie miał hiszpańskojęzyczną większość? Boże, czy Meksykanie nie dostaną szału, jeśli zwęszą ten raport?

Nie, Meksykanie przyjmą amerykańską pomoc zbrojną tylko pod przykrywką wojny z narkotykami. Podobnie amerykański Kongres, myśli Hobbs. Syndrom wietnamski uniemożliwia Kongresowi przeznaczenie choćby centa na ukrytą wojnę z komunizmem, ale kasa płynie na zwalczanie narkotyków. Nie pójdziesz więc na Kapitol, żeby im powiedzieć, że pomagasz naszym sojusznikom i sąsiadom bronić się przeciwko marksistowskim partyzantom; nie, wyślesz swoich stronników z DEA, aby poprosili o pieniądze na uchronienie amerykańskiej młodzieży przed narkotykami.

Kongres nigdy więc nie poprze, a władze meksykańskie nigdy jawnie nie przyjmą, oferty siedemdziesięciu pięciu helikopterów Huey i tuzina samolotów C-26 na walkę z zapatistami i EPR, ale Kongres ufunduje ten sam sprzęt, by pomóc Meksykanom w zdławieniu handlarzy narkotyków, a sprzęt zostanie po cichu przekazany meksykańskiej armii do użytku w Chiapas i Guerrero.

A teraz dowiadujesz się, że *patrón* Federacji dostarcza broń komunistycznym rebeliantom w Kolumbii? Meksykanie nie mogą tego nie uwzględnić.

Art rzuca swoją ostatnią kartę.

- A więc pozwolisz, żeby transport broni dotarł do komunistycznych buntowników w Kolumbii? Nie wspominając o wzroście chińskich wpływów w Panamie?

- Nie - odpowiada spokojnie Hobbs. - Ty pozwolisz.

- Pieprz się, John. Jeśli nic z tego nie wyjdzie, CIA nic nie dostanie. Nie podzielę się informacjami, środkami, kredytem, niczym.

- Ujawnij źródło, Arthurze.

Art gapi się na niego.

- Więc przejmij karabiny - rzuca Hobbs.

Ale nie mogę, myśli Art. Dopóki Nora nie powie mi, gdzie one są.

Meksyk

Na Rancho las Bardas też odbywa się spotkanie.

Między Adánem, Raúlem i Fabiánem.

I Norą.

Adán uparł się, żeby wzięła udział z rozmowie. Trzeba przyznać, że bez niej nie ubiliby tego interesu.

Raúlowi się to nie podoba.

- Od kiedy nasze *batturas* znajdują się na interesach? - pyta Fabiána. - Powinna siedzieć w sypialni, gdzie jej miejsce. Powinna otwierać nogi, a nie usta.

Fabián chichocze. Z chęcią otworzyłby nogi La Güera i jej usta. To najsmakowitszy kawałek *chocho*, jaki w życiu widział. Marnujesz się z takim oferumą jak Adán, myśli. Przyjdź do mnie, *tragona*. Przy mnie sobie pokrzyczysz.

Nora widzi wyraz jego twarzy i myśli: „Tylko spróbuj, dupku”. Adán żywcem obedrze cię ze skóry i upiecze na wolnym ogniu. A ja przyniosę żelki.

Chińczycy chcą gotówkę przy dostawie i nie zaakceptują innej formy płatności, żadnych przelewów, żadnego przekazywania wypranych pieniędzy przez podstawione firmy. Upierają się, że wypłata powinna być absolutnie nie do namierzenia, a jedynym sposobem jest przekazanie gotówki z ręki do ręki.

I chcą, żeby Nora to zrobiła.

To dla nich gwarancja, Adán wysyłający ukochaną.

- Mowy nie ma - Adán i Raúl mówią jednocześnie, chociaż z kompletnie odmiennych powodów.

- Ty pierwszy - Nora wskazuje na Raúla.

- Ty i Adán nie ukrywacie się ze swoim związkiem - stwierdza Raúl. - DEA ma pewnie więcej twoich zdjęć niż moich. Jeśli cię aresztują, to w tej pięknej główce masz za dużo informacji i motywację, żeby je zdradzić.

- Za co mnie aresztują, za sypanie z twoim bratem? - pyta Nora. Zwraca się do Adána. - Teraz twoja kolej.

- To zbyt niebezpieczne - mówi. - Jeśli coś pójdzie źle, spędzisz resztę życia w więzieniu.

- Więc postarajmy się, żeby wszystko poszło dobrze - odpowiada Nora.

Przedstawia swój pogląd:

- Cały czas jeżdżę przez granicę w tę i z powrotem. Jestem amerykańską obywatelką zamieszkałą w San Diego. Jestem atrakcyjną blondynką i dzięki swojemu wdziękowi przejdę przez każdy posterunek. I, co najważniejsze, tego chcą Chińczycy.

- Dlaczego? - pyta nagle Raúl. - Dlaczego chcesz podjąć takie ryzyko?

- Ponieważ - odpowiada z uśmiechem - w zamian sprawicie, że będę bogata.

Czeka, a jej odpowiedź wisi w powietrzu.

Wreszcie Adán stwierdza:

- Potrzebuję najlepszego fachowca od skrytek w Baja. Maksymalne zabezpieczenia po obu stronach granicy. Fabiánie, zbierz naszych najlepszych ludzi w Kalifornii. Chcę, żebyś był tam osobiście. Jeśli coś jej się stanie, obaj będziecie odpowiadać.

Wstaje i wychodzi.

Nora po prostu siedzi i się uśmiecha.

Raúl idzie za Adánem do ogrodu.

- O czym myślisz, *hermano*? - pyta. - Co ją powstrzyma od zwrócenia się przeciwko nam? Co ją powstrzyma przed zabraniem pieniędzy i ucieczką? To dziwka, na litość boską!

Adán obraca się i łapie go za koszulę.

- Jesteś moim bratem i kocham cię, Raúl. Ale jeśli kiedyś będziesz o niej tak mówił, to podzielimy *pasador* i każdy z nas pójdzie swoją drogą. A teraz zajmij się swoją robotą.

*

Gdy Nora czeka w kolejce na przejściu San Ysidro, najlepszy spec od skrytek z Baja siedzi na dziewiątym piętrze budynku z widokiem na strażnicę. Nieco się denerwuje, gdyż ma stanowić gwarancję - jeśli samochód zostanie zdekonspirowany na granicy, Raúl Barrera wpakuje mu kulkę w tył głowy.

- Jesteś więc żywotnie zainteresowany - powiedział Raúl.

Nie wie, dokąd jedzie samochód, nie wie, kto prowadzi, ale zdaje sobie sprawę, że to

nietypowe wozić forszę na północ, zamiast na południe. Wbudował skrytki w niepozorną toyotę camry, a teraz to maleństwo wypełniają miliony amerykańskich dolarów. Ma tylko nadzieję, że straż graniczna nie zechce zważyć pojazdu.

Nora też o tym myśli. Nie martwi się ogłędzinami, ani nawet psami, bo zwierzęta wyszkolono do odnajdywania narkotyków, a nie gotówki. Mimo to paczki studolarówek nasączono sokiem z cytryny, żeby zneutralizować wszelkie zapachy. Samochód też jest czysty, nigdy nie wożono nim narkotyków, nie ma więc nawet cienia starego zapachu.

Jest za to piasek, starannie wsypany na podłogę po stronie kierowcy, a na tylnym siedzeniu kilka wilgotnych ręczników, bluza z kapturem i para starych kłapek.

W kolejce będzie stała jakieś półtorej godziny, co jest cholernie męczące. Adán jednak uparł się, żeby przejeżdżała w sobotę po południu, kiedy na przejściu jest największy ruch, gdy tłoczą się tam tysiące Amerykanów wracających z tanich kurortów w Ensenadzie i Rosaricie. Ma więc dość czasu, by przedostać się na trzeci pas, gdzie zaczynający służbę patrol pograniczników jest opłacany przez Barrerę.

Nic nie zostawiono przypadkowi. Raúl stoi w oknie apartamentu i obserwuje wszystko przez lornetkę. Trzy wieżowce stoją przy samej granicy po meksykańskiej stronie, a Barrerowie są właścicielami wszystkich trzech. Teraz Raúl obserwuje, jak przekupiony strażnik obejmuje służbę i spogląda w stronę apartamentowca.

Raúl naciska przyciski na pagerze.

Pager Nory piszczy; na małym wyświetlaczu pojawiają się cyfry 666 - narkokod dla „Wszystko w porządku”. Dziewczyna kiwa głową kierowcy forda explorera przed nią. Facet zerka we wsteczne lusterko i skręca prosto na trzeci pas, umożliwiając Norze skręt za sobą. Jeep cherokee za nią robi to samo, zwalniając jej miejsce. Klaksony trąbią, unoszą się środkowe palce, ale Nora znajduje się na trzecim pasie.

Teraz już musi tylko czekać i bronić się przed chmarami sprzedawców, którzy chodzą wzdłuż sznura pojazdów, oferując znużonym ludziom na przejściu sombrero, *milagros*, układanki z mapą Meksyku, napoje, tacos, burritos, koszulki, bejsbolówki, wszystko, o czym można zamarzyć. Przejście graniczne jest jednym wielkim, wąskim targowiskiem pod gołym niebem, a Nora kupuje tanie sombrero, ponczo i koszulkę z napisem MOJA DZIEWCZYNA POJECHAŁA DO TIJUANY, A MNIE ZOSTAŁA TYLKO TA CHOLERNA KOSZULKA, żeby nie odróżniać się od innych turystów, a poza tym zawsze żal jej ulicznych sprzedawców, zwłaszcza dzieciaków.

Trzy wozy dzielą ją od granicy, gdy Raúl spogląda przez lornetkę i rzuca „kurwa!”

Facet od skrytek podskakuje na krześle.

- Co?

- Zmieniają się, popatrz.

Raúl patrzy w dół. Dowódca straży przesuwa agentów między pasami. To powszechna praktyka, ale moment wskazuje, że to nie może być tylko zbieg okoliczności.

- Czy oni coś wiedzą? - pyta spec od skrytek. - Wycofujemy się?

- Za późno - odpowiada Raúl. - Ona nie może zawrócić.

Pot występuje na czoło rzemieślnika.

Nora dostrzega zmianę agenta i myśli: Proszę, Boże, nie, nie teraz, gdy jestem tak blisko. Czuje, że serce zaczyna jej bić szybciej i stara się oddychać głębiej, żeby je uspokoić. Strażnicy są szkoleni w wypatrywaniu oznak niepokoju, a ty przecież - mówi sobie - chcesz być tylko blond laską wracającą z weekendowej balangi w Meksyku.

Ford explorer staje na przejściu. Jest po dach załadowany Chicanos, jak to ujął Fabián - zgodnie z planem. Agent spędzi wiele czasu na sprawdzeniu wozu i zapewne Norze poświęci tylko chwilę. Jasne, strażnik zadaje mnóstwo pytań, obchodzi samochód dokoła, sprawdza dokumenty. Golden retriever mknie wokół pojazdu, węszy radośnie i macha ogonem.

Dobrze, że to tyle trwa, myśli Nora, to część planu. To jednak również nieznośne.

Wreszcie explorer odjeżdża i Nora rusza. Podciąga okulary przeciwsłoneczne na czoło, by agent mógł się napawać jej błękitnymi oczyma. Nie mówi cześć, ani nie zaczyna rozmowy - pogranicznicy szukają ludzi zbyt przyjacielskich lub podnieconych.

- Dokumenty - prosi strażnik.

Pokazuje mu kalifornijskie prawo jazdy, ale paszport leży na wierzchu na siedzeniu pasażera. Agent to zauważa.

- Co pani robiła w Meksyku, pani Hayden?

- Pojechałam na weekend. No wie pan, trochę słońca, plaża, margarity.

- Gdzie pani mieszkała?

- W hotelu Rosarita - w portmonetce ma rachunki z numerem swojej karty kredytowej.

Agent kiwa głową.

- Czy wiedzą, że zabrała im pani ręczniki?

- Oj.

- Czy wwozi pani coś do kraju?

- Tylko te rzeczy.

Agent ogląda główniane pamiątki, które kupiła na granicy.

To krytyczny moment; albo przepuści ją, albo nieco dokładniej przeszuka samochód, albo skieruje ją na pas inspekcyjny. Pierwsza i druga opcja są do przyjęcia, ale trzecie wyjście

byłoby katastrofą. Raúl wstrzymuje oddech, gdy obserwuje agenta zagląającego przez tylne okno.

Nora tylko się uśmiecha. Stuka nogą i nuci piosenkę nadawaną przez rockową radiostację.

Agent prostuje się.

- Narkotyki?

- Słucham?

Agent uśmiecha się.

- Witamy w kraju, pani Hayden.

- Przejechała - mówi Raúl.

Jego towarzysz oznajmia, że musi się wysikać.

- Nie rozluźniaj się zbyt! - krzyczy za nim Raúl. - Musi jeszcze przejechać przez San Onofre!

*

Na biurku Arta Kellera dzwoni telefon.

- Keller.

- Wjechała.

Art pozostaje na linii, żeby zanotować opis i rejestrację samochodu. Potem dzwoni na posterunek graniczny w San Onofre.

*

Adán odbiera podobny telefon w swym gabinecie.

- Przejechała - oznajmia Raúl.

Adán czuje się lepiej, ale wciąż się martwi. Nora wciąż musi minąć posterunek w San Onofre i to go niepokoi - strażnica w San Onofre mieści się na pustym odcinku autostrady numer pięć na północ od bazy marines w Pendleton. Okolica naszpikowana jest urządzeniami obserwacji elektronicznej i zagłuszarkami. Jeśli DEA zamierza ją zgarnąć, to zrobi to właśnie tam, daleko od wież obserwacyjnych Barrerów i pomocy z Tijuany. Całkiem możliwe, że Nora jedzie wprost w pułapkę.

*

Nora jedzie na północ piątką, główną arterią północ-południe, która biegnie przez Kalifornię niczym kręgosłup. Przejeżdża przez San Diego, obok lotniska i SeaWorld, wielkiej świątyni mormońskiej, która wygląda jakby zrobiono ją z karmelu, tyle że rozpuściła się na deszczu. Mija zjazd do La Jolla, tor wyścigowy w Del Mar i przyspiesza w Oceanside. Wreszcie zatrzymuje się na postoju na południe od bazy marines w Camp Pendleton.

Wysiada i zamyka samochód. Nie widzi *sicarios* Barrery, którzy zaparkowali w pobliżu, ale wie, że siedzą w którymś samochodzie, może w kilku, i pilnują jej wozu, gdy ona korzysta z łazienki. Mocno wątpliwe, by ktokolwiek chciał ukraść używaną toyotę camry, ale nikt nie pozostawi na łaskę losu wozu z kilkoma milionami dolarów w środku.

Korzysta z toalety, myje ręce i poprawia makijaż. Sprzątaczką cierpliwie czeka, aż skończy. Nora uśmiecha się, dziękuje i wręcza kobiecie banknot dolarowy. Kupuje dietetyczną pepsi z automatu, wraca do samochodu i odjeżdża na północ. Uwielbia ten fragment autostrady wzdłuż bazy marines, ponieważ gdy się minie koszary, jest tu niemal pusto. Tylko pasma wzgórz na wschodzie i zachodzie, pasy wiodące na południe, a dalej błękitny Pacyfik.

Przejeżdżała przez punkt graniczny w San Onofre setki razy - jak większość południowych Kalifornijczyków, kiedy jadą z San Diego do hrabstwa Orange. To obiekt żartów, myśli, gdy samochody przed nią zwalniają, przejście „graniczne” sto piętnaście kilometrów od granicy. Ale prawdą jest, że wielu nielegalnych imigrantów kieruje się do Los Angeles, w większości piątką, więc to nie jest takie głupie.

Zwykle gdy dojeżdżasz do punktu kontrolnego, naciskasz na hamulec i, jeśli jesteś biały, strażnik puszcza cię dalej znużonym machnięciem ręki. Tak to się zwykle dzieje, myśli, czekając w kolejce do przejścia, i tego się spodziewa.

Tyle, że tym razem facet ze służby granicznej każe jej się zatrzymać.

*

Art spogląda na zegarek - znowu. Już. Wie, kiedy przekroczyła granicę, kiedy dotarła do parkingu. Jeśli gdzieś nie skręciła, jeśli nie stchórzyła i nie zmieniła zdania, jeśli... jeśli... jeśli...

*

Adán chodzi po gabinecie. On również myśli o planie, Nora powinna wkrótce zadzwonić. Nie zaryzykuje telefonu koło punktu nasłuchowego w Pendleton i nie będzie miała nic do powiedzenia, dopóki nie przejedzie przez San Onofre, ale tam już powinna być. Powinna być w San Clemente, powinna...

*

Agent każe jej opuścić szybę.

Inny strażnik podchodzi od strony pasażera. Nora opuszcza również tamtą szybę, potem spogląda na faceta obok siebie i obdarza go swym najpiękniejszym spojrzeniem.

- Coś nie w porządku? - pyta.

- Czy ma pani jakiś dokument?

- Jasne.

Wygrzebuje portmonetkę z torby, otwiera ją i pokazuje agentowi prawo jazdy. Drugi strażnik wkłada urządzenie śledzące między zagłówek a fotel, zaglądając równocześnie na tył.

Pierwszy mężczyzna długo studiuje prawo jazdy, a potem mówi:

- Przepraszam za kłopot.

Machnięciem pozwala jej odjechać.

*

Art podnosi słuchawkę zanim jeszcze umilknie pierwszy dzwonek.

- Zrobione.

Rozłącza się i oddycha z ulgą. Ma teraz na miejscu obserwację z powietrza, zbieranie helikopterów do obserwacji ruchu drogowego i prywatnych samolotów. Może śledzić ją przez cały czas.

A kiedy spotka się z Chińczykami, my tam będziemy.

*

Nora dopiero w San Clemente wyciąga komórkę i wystukuje numer w Tijuanie. Kiedy Fabián odbiera, mówi, że przejechała, i rozłącza się.

Teraz musi już tylko jechać na północ, dopóki Chińczycy nie podadzą im czasu i miejsca spotkania.

Więc tak robi.

Po prostu jedzie.

*

Adán odbiera wiadomość od Raúla, że Nora przejechała przez punkt w San Onofre, i wychodzi się przejść. Teraz pozostało już tylko czekać.

Tak, myśli, po prostu oczekiwanie.

Fabián ma w Los Angeles ciężarówki czekające na przyjęcie transportu broni, by zawieźć go do granicy w odludnym pustynnym miejscu, gdzie zostanie przeładowany na inne ciężarówki, rozwieziony na różne pasy startowe i poleci do Kolumbii.

Wszystko gotowe - ale najpierw Nora musi zawrzeć tę najważniejszą, pierwszą transakcję z Chińczykami. A zanim to uczyni, Chińczycy muszą podać gdzie i kiedy.

*

Art również ma ludzi w gotowości - szwadrony ciężkozbrojnych agentów DEA, federalnych, FBI - czekających na znak w San Pedro. Port w San Pedro jest ogromny, a obiekty GOSCO są gigantyczne - szeregi magazynów, więc muszą wiedzieć, w który konkretnie uderzyć. To skomplikowana operacja, gdyż powinni czaić się, dopóki transakcja

nie zostanie ubita, a potem szybko ruszyć.

Art siedzi w helikopterze, obserwując elektroniczną mapę hrabstwa Orange i czerwony migoczący punkcik, który oznacza Norę. Zastanawia się. Czy już puścić za nią jednostkę naziemną, czy poczekać? Postanawia poczekać do chwili, gdy zjedzie z piątki na czterysta piątą północną i skieruje się do San Pedro.

Żadnych niespodzianek.

A jednak jest zaskoczony, gdy czerwone migoczące światełko zjeżdża z czterysta piątej w MacArthur Boulevard w Irvine i skręca na zachód.

- Co ona wyprawia, do cholery? - Art mówi to na głos. Pilotowi poleca, żeby trzymał się za nią.

Pilot kręci głową.

- Nie mogę! Kontrola ruchu!

Wtedy Art pojmuje, co zamierza Nora.

- O żesz kurwa mać!

Każę grupie naziemnej gnać na lotnisko Johna Wayne'a. Mapa jednak informuje go, że z lotniska jest pięć potencjalnych wyjazdów i będzie miał cholerne szczęście, jeśli uda mu się obstawić choćby jeden.

*

Nora zjeżdża z MacArthur u wyjazdu z lotniska i kieruje się na parking.

Helikopter Arta krąży nad czterysta piątą, na północ od lotniska. Keller ma nadzieję, że dziewczyna wjechała na lotnisko, by zablokować nasłuch radiowy, ale zmierza dokądś w San Pedro i wkrótce wróci na autostradę.

Albo, myśli Art, zabierze miliony dolarów w gotówce i wsiądzie do samolotu. Obserwuje ekran, ale migająca czerwona plamka zniknęła.

*

Nora sięga po komórkę.

- Jestem - oznajmia.

Raúl podaje jej adres w pobliskim Costa Mesa, jakieś trzy kilometry dalej. Kobieta wyjeżdża z parkingu i skręca na zachód w MacArthur, za czterysta piątą, a potem skręca w Bear Street, w labirynt Costa Mesa.

Odnajduje mały garaż przy uliczce pełnej niewielkich magazynów. Człowiek z pistoletem maszynowym Mac-10 przerzuconym przez ramię otwiera bramę i wpuszcza ją. Brama się zamyka i wtedy rozgrywa się scena rodem z toru Formuły 1 - zespół ludzi obskakuje samochód z narzędziami, rozbiera go i przekłada pieniądze do teczek, które ładuje

do bagażnika czarnego lexusa.

To dobry moment na przekręt, myśli Nora, ale żaden z tych ludzi nawet o tym nie pomyślał. To nielegalni emigranci z Baja i wiedzą, że *sicarios* Barrery parkują przed ich domami, żeby zabić całą rodzinę, jeśli pieniądze i kurier nie opuszczą garażu szybko i bezpiecznie.

Nora patrzy, jak pracują sprawnie i w milczeniu niczym profesjonalna ekipa techniczna. Słychać tylko wycie wiertarek; zaledwie trzynastcie minut zajmuje rozładowanie samochodu i przełożenie pieniędzy do lexusa.

Facet z pistoletem maszynowym wręcza jej nową komórkę.

Nora dzwoni do Raúla.

- Zrobione.

- Podaj jakiś kolor.

- Niebieski - każdy inny oznaczałby, że jest trzymana wbrew swej woli.

- Jedź.

Wsiada do lexusa. Drzwi garażu otwierają się, wyjeżdża na Bear Street i po dziesięciu minutach dociera do czterysta piątej, kierując się w stronę San Pedro. Jedzie dokładnie pod krążącym nad okolicą helikopterem obserwującym ruch uliczny.

*

Art gapi się na pusty ekran.

Nora Hayden, przyznaje wreszcie, przepadła jak kamień w wodę.

*

Jedzie na północ, Bóg wie dokąd, i w dodatku całkiem sama. To dla Nory nic nowego - poza zbyt krótkim okresem życia z Paradą była sama przez całe życie.

Nie ma jednak pojęcia, jak ma sobie poradzić tym razem. Ani co się zdarzy. Najłatwiejsze w świecie byłoby zabranie kasy i ucieczka, ale to nie pomogłoby Norze zrealizować jej celu.

Po zmroku przejeżdża przez Carson, z płomieniami gazu palącymi się na wieżach wiertniczych jak w jakimś industrialnym piekle. Zgodnie z planem skręca w zjazd w LAX i dzwoni.

Znają już miejsce spotkania.

Stacja benzynowa AARCO na zachód od zjazdu ze sto dziesiątej.

Po drodze do San Pedro.

- Podaj jakiś kolor.

- Niebieski.

- Jedź.

Przez sekundę rozważa zatelefonowanie do Kellera na numer gorącej linii, który jej podał, ale wtedy numer pojawi się w bilingu, a poza tym samochód może być na podsłuchu. Jedzie więc na stację benzynową i staje przy dystrybutorze. Samochód miga światłami. Przejżdża obok szeregu budek telefonicznych (Boże, czy ktoś jeszcze korzysta z automatów? - zastanawia się) i stoi, dopóki Azjata z małą aktówką w ręce nie wyjdzie z samochodu i nie podejdzie do jej wozu od strony pasażera.

Nora otwiera drzwi, mężczyzna wsiada.

Jest młody, ma około dwudziestu pięciu lat, nosi czarny garnitur, białą koszulę i czarny krawat, co obecnie jest uniformem młodych azjatyckich biznesmenów.

- Nazywam się Lee - mówi.

- Tak, a ja jestem Smith.

- Przepraszam, ale proszę się obrócić i położyć ręce na drzwiach.

Podporządkowuje się, a on szuka kabli. Potem otwiera teczkę, wyjmuje małe urządzenie i sprawdza, czy w samochodzie nie ma pluskiew. Czysto, więc stwierdza:

- Mam nadzieję, że mi pani wybaczy.

- Nie ma sprawy.

- Jedźmy.

- Dokąd?

- Powiem pani, gdy ruszymy.

Podaje wskazówki i odjeżdżają w stronę portu.

*

Art obserwuje portowe obiekty GOSCO.

To jego ostatni, najlepszy strzał.

Agent DEA siedzi na olbrzymim żurawiu z potężnym noktowizorem skierowanym na wejście na teren GOSCO i dostrzega nadjeżdżającego ulicą czarnego lexusa.

- Nadjeżdża pojazd.

- Możesz zidentyfikować kierowcę? - pyta Art.

- Nie. Przyciemniane szyby.

To może być każdy, myśli Art. Nora, menadżer GOSCO jadący na kontrolę do magazynu, pedał szukający ciemnego miejsca na szybki numerek.

- Pilnij go.

Nie chce za wiele gadać. Jeśli coś się dzieje, to handlarze narkotyków mają uruchomiony nasłuch, a chociaż jego transmisje są kodowane, to z przykrością trzeba

stwierdzić, że przestępcy mają większy budżet i lepszy sprzęt.

Siedzi więc teraz w hippisowskim vanie pięć kilometrów od portu i czeka.

Nic więcej nie może zrobić.

*

Nora jedzie między dwoma szeregami magazynów GOSCO uliczką, która biegnie prostopadle do nabrzeży. Przy nabrzeżach stoją dwa ogromne frachtowce. Migają iskry spawarek na remontowanych jednostkach, wózki widłowe jeżdżą między nabrzeżem a magazynami. Jedzie, póki nie trafiają w spokojniejszy obszar.

Otwierają się wrota magazynu i Lee kieruje ją do środka.

- Zgubiłem ich - oznajmia agent Artowi. - Wjechali do magazynu.

- Kurwa, do którego?

- Jednego z trzech - odpowiada agent. - D-1803, 1805 albo 1807.

Art zagląda do planu terenów GOSCO. W ciągu dziesięciu minut jego ludzie mogą odciąć składy z dwóch stron. Zmienia kanały i mówi:

- Wszystkie jednostki, przygotować się do wkroczenia za pięć.

*

Pan Lee jest uprzejmy.

Wysiada, obchodzi wóz i otwiera drzwi Norze. Dziewczyna wysiada i rozgląda się.

Jeśli gdzieś tu jest wielka ilość broni, to z pewnością ukryta wśród pustych regałów. Widać czarnego lexusa, identycznego z tym, którym przyjechała.

Spogląda na Lee i unosi brwi.

- Ma pani pieniądze? - pyta mężczyzna.

Nora otwiera bagażnik, a potem aktówki. Lee przerzuca pliki używanych banknotów, potem zamyka klapę.

- Pańska kolej - rzuca Nora.

- Poczekamy.

- Na co?

- Żeby sprawdzić, czy pojawi się policja.

- Tego nie było w planie.

- Tego nie było w waszej części planu.

Patrzy się na siebie przez kilka długich chwil.

- To - mówi Nora - naprawdę jest nudne.

Wsiada do samochodu i zamyśla się. Boże, proszę, niech Keller nie wpadnie przez te drzwi.

*

Z radia rozlega się głos Shaga Wallace'a.

- Na twój sygnał, szefie.

Art poprawia kevlarową kamizelkę, odbezpiecza M-16, bierze głęboki oddech i mówi:

- Jazda.

- Zrozumiałem.

- Stop! - krzyczy do mikrofonu. Czuje to w żołądku - coś jest nie tak, coś nie pasuje.

Byli zbyt ostrożni, zbyt sprytni. A może po prostu robię się tchórzliwy na stare lata. Dorzuca jednak:

- Wycofać się.

*

Piętnaście minut.

Dwadzieścia.

Pół godziny.

Nora sięga po telefon.

- Co pani robi? - pyta Lee.

- Dzwonię do swoich. Zastanawiają się, co mi się do cholery stało.

Wręcza jej własny aparat.

- Proszę użyć tego.

- Czemu?

- Ze względów bezpieczeństwa.

Nora wzrusza ramionami i przyjmuje aparat.

- Gdzie jesteśmy?

- Proszę ich tu nie ściągać.

- Dlaczego?

Na jego twarzy pojawia się uśmiešek zadowolenia. Nora widywała go u mężczyzn tysiące razy, zwłaszcza po szczególnie spektakularnym udawanym orgazmie.

- Transakcja nie odbędzie się tutaj.

- A gdzie?

Teraz, gdy policja nie pojawiła się w tym miejscu, Lee uznaje, że może jej bezpiecznie podać tę informację. Poza tym ma kochankę Adána Barrery jako gwarancję.

- Long Beach.

Nowa placówka GOSCO w Long Beach, oznajmia.

Pomost 4, Szereg D, Budynek 3323.

Nora dzwoni do Raúla i podaje mu dane. Rozłącza się i mówi Lee:

- Musimy zadzwonić do naszego szefa i uzyskać zgodę na tę zmianę planów.

*

Art Keller poci się jak mysz.

Jeśli to Nora wjechała do magazynu, to przebywa tam ponad półtorej godziny. I nic się nie dzieje. Nikt nie wszedł ani nie wyszedł, żadna ciężarówka się nie pojawiła. Coś poszło nie tak.

- Wszystkie jednostki wycofać się - mówi. - Ruszymy na mój sygnał.

Wtedy dzwoni jego komórka.

*

Lee słucha z niepokojem, jak Nora opowiada Adánowi Barrerze o tym, jak zabrali ją do pustego budynku i przyłożyli pistolet do głowy, oraz o tym, że broń naprawdę jest w Long Beach, „Pomost 4, Szereg D, Budynek 3323”.

- Pomost 4, Szereg D, Budynek 3323 - powtarza Art Keller.

- Właśnie - potwierdza Nora.

Rozłącza się i oddaje telefon Lee.

- Jedźmy - mówi.

Azjata potrząsa głową.

- Zostajemy tutaj.

- Nie rozumiem.

Nora zaczyna rozumieć, gdy Lee wyciąga spod marynarki czterdziestkę piątkę i kładzie sobie na kolanach.

- Kiedy transakcja zostanie bezpiecznie zakończona - oznajmia - ja zabiorę samochód z pieniędzmi, a pani ten drugi i odjedzie. Jeśli jednak wydarzy się jakieś nieszczęście...

*

Long Beach, myśli Art.

Pierdolone Long Beach. Musimy dostać się tam przed ciężarówkami Barrery. Chwyta za radio i każe się ruszyć swoim ludziom. Musimy przetransportować tę pieprzoną armię do Long Beach, i to szybko.

*

Fabián Martinez myśli tak samo. Prowadzi drogą konwój złożony z trzech ciężarówek w barwach CALEXICO PRODUCE COMPANY, kierujący się do San Pedro, a teraz muszą zjechać z czterysta piątej do pieprzonego Long Beach.

Zawracanie dupy.

Siedzi na miejscu dla pasażera w pierwszym wozie z Mac-10 pod płaszczem.

Tak na wszelki wypadek.

Dwaj jego najlepsi ludzie jadą w samochodzie zwiadowczym jakiś kilometr z przodu. Będą pierwsi, a jeśli zauważą coś niepokojącego, wyślą mu wiadomość na pager, żeby spierdalał.

Jest zimno jak na południowokalifornijską noc, nawet w marcu, więc podciąga kołnierz i każe kierowcy włączyć ogrzewanie.

*

Nora siedzi w lexusie i czeka.

- Będzie panu przeszkadzać, jeśli włączę radio? - pyta.

Lee to nie przeszkadza.

*

Gnając do Long Beach, Art zmienia swój plan.

Jaki plan, do cholery, myśli. To właśnie problem. Ma taktyczny plan nalotu na San Pedro, ale teraz będzie musiał dokonać szarży kawaleryjskiej na Bóg wie co, a to działa mu na nerwy.

Najlepsze, co może zrobić, to pozwolić ciężarówkom Barrerów przejąć towar i uderzyć na nie na drodze. Musi jednak mieć pewność, że z Norą wszystko w porządku. Więc nalot musi się odbyć na magazyn i to za zasadzie uderz-i-złap. Wkraczaj szybko i zdecydowanie.

Wszyscy agenci uczestniczyli w odprawie - wiedzą, że Pan Granicy chce La Güery, i to żywej, ponieważ chce ją zmusić do wydania kochasia. Wiedzą to, myśli Art, ale czy będą o tym pamiętać w chaosie nalotu, zwłaszcza jeśli ludzie Barrery zaczną strzelać?

Wszystko może się zdarzyć, a Nora może zginąć.

Łączy się ponownie z Shagiem, żeby się upewnić, czy wszystko rozumie.

*

Samochód zwiadowczy Fabiána nie zauważa nic dziwnego, więc jego ludzie przesyłają mu sygnał 666.

Jest pierwsza w nocy i kompleks Long Beach roi się od ciężarówek odbierających ładunek. To doskonale, myśli Fabián. Nikt nie zwróci uwagi na trzy dodatkowe.

Znajduje Przystań 4, potem Szereg D i Budynek 3323, ogromną halę podobną do pozostałych. Wyskakuje z ciężarówki i puka do drzwi biura. Stoi na zewnątrz, przestępując z nogi na nogę, gdy dwóch Chińczyków ogląda ciężarówki - kabiny i naczepy. Potem wielka metalowa brama rozsuwa się.

Fabián wspina się do kabiny i konwój wjeżdża do środka.

*

Nora podskakuje, gdy dzwoni komórka Chińczyka.

- Masz pieniądze?

- Tak.

- Gdzie ona jest?

- W innym miejscu - odpowiada Lee. - Gdy tylko transakcja się zakończy, dołączy do ciebie.

Fabiánowi się to nie podoba. Nie dlatego, żeby specjalnie obchodziła go Nora Hayden - tyle że chciałby ją zerznąć, a jak dla niego to mogłaby zginąć - ale dlatego, że Adánowi zależy, on sam zaś odpowiada za jej bezpieczeństwo. Czy te żółtki trzymają ją jako zakładniczkę? To niedobrze. Rzuca więc:

- Daj mi ją do telefonu.

Nora bierze aparat.

- Podaj jakiś kolor - mówi Fabián.

- Czerwony.

*

Fabián oddaje Chińczykowi telefon, potem wyjmuje Maca-10 spod płaszcza i przytyka facetowi do twarzy.

- Zadzwoń jeszcze raz do swojego chłopaczka - poleca. - Powiedz mu, że wszystko idzie świetnie.

Nagle wszędzie pojawiają się karabiny. Wyciągają je wszyscy ludzie Fabiána i wszyscy Chińczycy. Tyle, że większość Azjatów stoi na pomostach i celuje w dół, mają więc taktyczną przewagę.

Klasyczny pat.

Który kończy się, gdy drzwi biura wylatują w powietrze.

Jeden wielki chaos.

Art pierwszy wbiega przez drzwi, z falangą agentów za sobą. Naciska przycisk i metalowe wrota otwierają się, ukazując kolejny pluton ludzi z DEA, FBI i ATF, całego śmiertelnego alfabetu, z karabinami automatycznymi, śrutówkami, w kevlarowych kamizelkach i kuloodpornych osłonach, z latarkami świecącymi na czubkach hełmów.

Agenci wrzeszczą ile pary w płucach.

- STAĆ!

- DEA!

- NA ZIEMIĘ! NA ZIEMIĘ!

- FBI!

- RZUĆCIE BRONŃ!

Broń ze szczękiem pada na metalowe podesty i betonową podłogę. Fabián rozważa strzał, ale szybko dostrzega, że to daremne i pozwala swemu macowi ześliznąć się na podłogę, a sam podnosi ręce.

Art rozgląda się za Norą. W zamęcie trudno kogokolwiek zauważyć, ludzie biegają, inni padają na ziemię, agenci łapią mężczyzn i rzucają ich na posadzkę. Szuka jej blond włosów i nie widzi ich, więc krzyczy do mikrofonu RUSZAĆ, w nadziei, że Shag usłyszy go w kakofonii. Modli się, żeby nie było za późno.

Za nim Chińczyk wrzeszczy do telefonu komórkowego.

Art łapie go za kołnierz, rzuca o ziemię i wykopuje telefon z dłoni.

*

Lee słyszy wrzask swojego szefa w telefonie.

Nora widzi, jak jego oczy się rozszerzają, a potem dostrzega pistolet wycelowany prosto w swe czoło.

Krzyczy.

Rozlega się głuchy grzmot wybuchu.

Krew i kość rozpryskują się na oknie od strony pasażera.

Ciało Lee opada na siedzenie. Nora odwraca się i widzi snajpera z sił specjalnych, który stoi w wejściu; drzwi zwisają z wysadzonych zawiasów.

Nadal krzyczy, gdy Shag Wallace powoli zbliża się do samochodu, otwiera jej drzwi i łagodnie chwyta za łokieć.

- Wszystko w porządku - mówi. - Już dobrze. Chodźmy, musimy stąd zniknąć.

Wyciąga ją z samochodu, wyprowadza na zewnątrz i wsadza na przednie siedzenie własnego wozu.

- Proszę tu chwilę poczekać.

*

Shag wraca do magazynu, siada na przednim siedzeniu lexusa i wyjmuję czterdziestkę piątkę z rąk martwego Lee. Potem ustawia ją kilkanaście centymetrów od czoła Chińczyka, celuje w ranę wlotową i naciska spust.

Wyciera broń i wychodzi do swojego samochodu.

Siada obok Nory i każe jej potrzymać czterdziestkę piątkę. Otepiała od szoku robi, co jej każe. Shag zabiera pistolet i mówi:

- Twoja wersja: wszystko poszło źle. Chciał cię zastrzelić. Wyrwałaś mu pistolet,

walczyłaś, wygrałaś. Rozumiesz?

Dziewczyna kiwa głową.

Chyba zrozumiała. Nie jest pewna. Ręce nadal jej się trzęsą.

- Wszystko w porządku? - pyta Shag. - Posłuchaj, nie ma sprawy, jeśli nie masz siły.

Powiedz słowo, a skończymy z tym od razu. Zrozumiemy.

- Czy aresztowali Adána?

- Jeszcze nie - odpowiada Shag.

Nora potrząsa głową.

*

Art klęczy na karku Fabiána i wiąże mu nadgarstki kablem telefonicznym.

- To ta pizda, prawda? - pyta Fabián.

Art zwiększa nacisk, gdy recytuje Fabiánowi jego prawa.

- A pewnie, kurwa, że wezmę prawnika - odpowiada aresztowany.

Art podrywa go na równe nogi, wpycha do jednego z vanów DEA i idzie skontrolować dwa kontenery - siedem metrów długości, dwa i pół metra szerokości oraz dwa i pół metra wysokości - wypełnione skrzynkami.

Jego ludzie wyciągają je i otwierają.

AK-47 produkcji chińskiej - dwa tysiące - wysypują się w częściach ze skrzynek: lufy, magazynki, kolby. Poza tym dwa tuziny chińskich ręcznych wyrzutni rakietowych KPG-2, uznawanych za szczególnie przydatne.

Dwa tysiące karabinów równają się dwóm tysiącom kilogramów kokainy, myśli Art. Bóg wie, ile kilogramów można dostać za wyrzutnię rakietową, która może zestrzelić helikopter.

Potem znajdują sześć palet karabinów M-2, przerobionych M-1, standardowych karabinów armii. Różnica między oryginałem a M-2 polega na tym, że ten drugi można jednym przełącznikiem przestawić na pełną automatykę. Znajduje też kilka LAWS, amerykańskiej wersji KPG-2, nie tak skutecznej przeciwko helikopterom, ale bardzo dobrej na pojazdy opancerzone. Doskonała broń do walki partyzanckiej.

I warta tysiące kilogramów koki.

To największe przejście transportu broni w dziejach.

On jednak nie jest zadowolony.

Wszystko to nie ma znaczenia, jeśli nie prowadzi do śmierci Adána Barrery.

Bez względu na cenę.

Jeśli Adán wyślizgnie się z pętli, będzie go można znaleźć wyłącznie dzięki Norze.

Masz plan wyciągnięcia jej z tego, a plany mają to do siebie, że się nie udają.

Chciała wrócić, mówi sobie. Dałeś jej możliwość wycofania się i przemyślała to. Jest dorosła, może sama wybierać.

Tak, dalej to sobie wmawiaj.

*

Nora jedzie nowym lexusem autostradą do pierwszego zjazdu, skręca na stację benzynową, idzie do łazienki i wymiotuje. Po opróżnieniu żołądka wraca do wozu i jedzie na stację kolejową Santa Ana, zostawia samochód na parkingu, znajduje budkę telefoniczną, zamyka drzwi i dzwoni do Adána.

Płacz to nie problem. Łzy same płyną, gdy dławi się szlochem i mówi:

- Coś poszło nie tak... Nie wiem... Chciał mnie zastrzelić... ja...

- Wracaj.

- Policja mnie chyba szuka.

- Jeszcze za wcześnie - stwierdza Adán. Zostaw samochód, wsiadaj do pociągu, jedź do San Ysidro i przejdź przez most dla pieszych.

- Adanie, boję się.

- W porządku - odpowiada. - Idź do miejsca w mieście. Zaczekaj tam. Będę w kontakcie.

Zrozumiała. To kod, który opracowali dawno temu, na nieprzewidzianą sytuację. Miejsce w mieście to apartament w Colonia Hipódromo w Tijuanie.

- Kocham cię - mówi Nora.

- Ja ciebie też.

Wsiada do pierwszego pociągu na południe do San Diego.

*

Plany mają to do siebie, że się nie udają.

W tym przypadku mechanicy w Costa Mesa pracują przy małej toyocie camry, by przygotować ją do kolejnej podróży, i znajdują coś ciekawego między siedzeniem a zagłówkiem fotela dla pasażera.

Jakieś elektroniczne urządzenie.

Szef ekipy chwyta za telefon.

*

Nora wysiada z pociągu w San Diego i łapie tramwaj do San Ysidro, wspina się po schodach na kładkę na pieszych i przechodzi przez granicę.

12.

Staczanie się w ciemność

*Staczam się w ciemność,
Gdy słyszę moją matkę...
„Staczasz się w ciemność, och, och, och
Niedługo za to zapłacisz”.
War, Slippin’ Into Darkness*

*Tijuana
1997*

Nora Hayden zniknęła.

To prosta, brutalna prawda, z którą Art usiłuje się uporać.

Prześladuje go przypadek Erniego Hidalgo.

Źródło Chupar bis.

To najgorsze chwile w życiu każdego, kto prowadzi agenta. Brak kontaktu, żadnego sygnału, milczenie.

Od ciszy żołądek ci się skręca, zęby zgrzytają, szczęki zaciskają, cisza powoli gasi nikły płomyk fałszywej nadziei. Martwa cisza, gdy wysyłasz jeden sygnał po drugim w ciemność, w głębinę, a potem czekasz na odpowiedź. Czekasz i czekasz, a tam tylko cisza.

Miała udać się do apartamentu w Colonia Hipódromo na spotkanie z Adánem. Nie pokazała się jednak, podobnie jak Pan Niebios. Pojawił się za to Antonio Ramos - ze wsparciem, dwa plutony policjantów w opancerzonych samochodach zablokowały cały kwartał i uderzyły na mieszkanie niczym na Normandię.

Tyle że apartament był pusty.

Ani Adána Barrery, ani Nory.

Teraz Ramos roznosi Baja w poszukiwaniu braci Barrerów.

Czekał na ten telefon od lat. Przekonane przez Johna Hobbsa, że Adán Barrera handluje bronią z lewicowymi powstańcami w Chiapas i innych miejscach, Mexico City spuściło Ramosa ze smyczy, a on ruszył jak pitbull na sterydach. W ciągu tygodnia zamknął już siedem melin, wszystkie w eleganckich osiedlach Colonia Chapultepec, Colonia Hipódromo i Colonia Cacho.

Przez cały tydzień ludzie Ramosa szturmowali bogate okolice Tijuany w pojazdach opancerzonych i humvee. Nie zachowywali się delikatnie, wyważając kosztowne drzwi ładunkami wybuchowymi, przeszukując domy, blokując ruch i na całe godziny zamykając firmy. Wyglądało na to, że Ramos chce wyalienować miejską elitę, która winiła za wszystkie problemy albo Ramosa, albo Barrerów.

To, rzecz jasna, od lat stanowiło długofalową strategię Adána Barrery - tak stopić się z wyższą klasą Baja, żeby atak na niego stał się atakiem na nią. Oni zaczną wrzeszczeć w Mexico City, że Ramos wyrwał się spod kontroli, że deprecjuje ich prawa obywatelskie.

Ramosowi wisi, czy znienawidzi go klasa wyższa Tijuany. On ich też nienawidzi, uważa, że sprzedali dusze braciom Barrera - wprowadzając ich do towarzystwa, do swych domów, pozwalając synom i siostrzeńcom babrać się w handlu narkotykami - w zamian za tani dreszcz i szybkie, łatwe pieniądze. Zachowywali się, myśli Ramos, jak banda narkofanek, traktujących te szumowiny, Barrerów, jak gwiazdy, muzyków rockowych, sławnych aktorów.

I to właśnie im mówi, gdy przychodzą się skarżyć.

Spójrzcie, mówi Ramos ojcom miasta, *narcotraficantes* zamordowali katolickiego kardynała, a wy przyjmujecie ich w domach. Zastrzelili *federales* na ulicach w godzinach szczytu, a wy ich chroniliście. Zabili waszego własnego szefa policji, a wy nie kiwnęliście palcem. Więc nie przychodźcie do mnie ze skargami - sami sobie jesteście winni.

Ramos trafia do telewizji i przemawia do całego miasta.

Patrzy prosto w kamerę i oznajmia, że w ciągu czternastu dni wsadzi Adána i Raúla Barrerów za kratki, a ich organizację wyrzuci na śmietnik historii. Stoi za stosem zdobyczej broni i hałdą przejętych narkotyków i podaje nazwiska - Adána, Raúla i Fabiána - a potem wskazuje kilku członków prominentnych rodzin z Tijuany jako ich współników i obiecuje ich również wsadzić do pudła.

Potem obwieszcza, że wywalił sześćdziesięciu *federales* z Baja za brak „kwalifikacji moralnych” do służby, mówiąc: „To hańba dla narodu, że w Baja wielu policjantów nie jest wrogami kartelu Barrerów, ale ich sługami”.

Nie odejdę, mówi. Dopadnę Barrerów - kto stanie po mojej stronie?

Cóż, niewiele osób.

Jeden młody prokurator, śledczy stanowy i ludzie Ramosa - to wszystko.

Art rozumie, dlaczego mieszkańcy Baja nie zaciągają się pod sztandary Ramosa.

Boją się.

Bo niby dlaczego nie?

Dwa miesiące temu gliniarz z Baja, który zdradził nazwiska skorumpowanych

funkcjonariuszy z policji stanowej, został znaleziony na poboczu w płóciennym worku. Każda kość w jego ciele była złamana - jedna z firmowych egzekucji Raúla Barrery. Zaledwie trzy tygodnie temu inny prokurator, który badał sprawę Barrerów, zginął od strzału podczas przebieżki na uniwersyteckim kampusie. Zabójców jeszcze nie ujęto. Strażnika więzienia w Tijuanie zastrzelono z przejeżdżającego samochodu, gdy wyszedł na ganek po poranną gazetę. Plotka mówi, że obraził współnika Barrerów uwięzionego w tym zakładzie.

Nie, Barrerowie może i są teraz zbiegami, ale to nie znaczy, że ich rządy terroru się skończyły, a ludzie nie wychylą się, póki nie zobaczą braci za kratami.

Faktem jest, myśli Art po tygodniu operacji, że się nie popisaliśmy. Ludzie w Baja wiedzą, że porwali się na Barrerów i spudłowaliśmy.

Raúl jest wciąż na wolności.

Adán jest wciąż na wolności.

A Nora?

Cóż, to, że Adán nie wpadł w pułapkę w Colonia Hipódromo zapewne oznacza, że ją zdemaskowano. Art wciąż ma nadzieję, ale gdy dni przemijają bez wiadomości, musi przywyknąć do myśli, że będzie szukał jej rozkładającego się ciała.

*

Tak więc Art nie jest w dobrym nastroju, gdy wchodzi do sali widzeń w federalnym areszcie w centrum San Diego, żeby pogadać z Fabiánem Martinezem, El Tiburónem.

Ten mały gnojek nie wygląda teraz szpanersko w więziennym pomarańczowym wdzianku, w kajdankach i ze skutymi kostkami. Ale wciąż uśmiecha się pogardliwie, gdy wchodzi i siada na składanym krzeselku naprzeciwko Arta.

- Chodziłeś do katolickiej szkoły, prawda? - zaczyna Art.

- Do augustynów - odpowiada Fabián. - Tu, w San Dog.

- Znasz więc różnicę między czyścem a piekłem.

- Odśwież mi pamięć.

- Pewnie - mówi Art. - Zasadniczo oba są bolesne. Ale twój czas w czyścem kończy się, podczas gdy piekło trwa wiecznie. Przyszedłem, żeby zaoferować ci wybór między piekłem a czyścem.

- Słucham dalej.

Art nachyla się w jego stronę. Za przemyt broni dostanie od trzydziestu lat do dożywocia, nie wspominając zarzutów o handel narkotykami - każdy od piętnastu lat do dożywocia. To piekło. Z drugiej strony, jeśli Fabián stanie się świadkiem koronnym, spędzi kilka lat bezboleśnie na zeznawaniu przeciwko starym kumplom, potem krótka odsiadka i

wreszcie nowe nazwisko i nowe życie. I to jest czyścić.

- Po pierwsze - odpowiada Fabián - nic nie wiem o tej broni. Miałem zabrać transport. Po drugie, jakie oskarżenia o narkotyki? Co tu robią prochy?

- Mam świadka - mówi Art - który twierdzi, że tkwisz w centrum wielkiej sieci handlu narkotykami, Fabiánie. Proponuję ci główną rolę, ale możesz się jej zrzec na korzyść kogoś innego.

- Blefujesz.

- Hej - oznajmia Art - jeśli chcesz dostać od trzydziestu lat do dożywocia, żeby mnie sprawdzić, to się nie krępuj. Ale w zasadzie mam też innych świadków i jeśli ktoś lepiej wystawi mi Barrerów, to wygra.

- Chcę prawnika.

Świetnie, myśli Art, i będziesz go miał. Ale odpowiada:

- Nie, mowy nie ma, Fabiánie. Prawnিক powie ci, żebyś siedział cicho, a ty wylądujesz w pudle do końca życia.

- Chcę prawnika.

- Więc się nie dogadaliśmy?

- Nie.

- Muszę odczytać ci twoje prawa - rzuca Art.

- Już je słyszałem - Fabián ciężko opada na krzesło. Jest znudzony, chce wrócić do celi i poczytać czasopisma.

- To dotyczyło sprawy z bronią - uściśla Art. - Muszę to zrobić ponownie w sprawie o morderstwo.

Fabián prostuje się.

- Jakie morderstwo?

- Aresztuję cię za zamordowanie Juana Parady. Mamy podpisany nakaz od dziewięćdziesiątego czwartego. Masz prawo zachować milczenie. Wszystko, co powiesz...

- Nie masz prawa - rzuca Fabián - gdyż morderstwa dokonano w Meksyku.

Art nachyla się nad stołem.

- Rodzice Parady byli nielegalnymi imigrantami. Urodził się pod Laredo w Teksasie, więc był obywatelem amerykańskim, tak jak ty. A to daje mi prawo. Być może osądzimy cię w Teksasie - gubernator uwielbia zastrzyki z trucizny. Do zobaczenia w sądzie, dupku.

Teraz pogadaj ze swoim prawnikiem.

Wpadłeś w gówno.

Gdyby Adán przyjechał na spotkanie z Norą w Colonia Hipódromo, policja prawdopodobnie by go przymknęła.

Ale przyszedł piechotą.

Gliniarze nie spodziewali się Adána Barrery pieszo, kiedy więc ujrzał radiowozy w sąsiedztwie, po prostu zawrócił i odszedł. Ruszył chodnikiem, obok blokad, które ustawiano na ulicach.

Zaczęły się problemy.

Musiał wiać z dwóch melin, gdyż ostrzeżenia Raúla docierały w ostatniej chwili, a teraz siedział w okręgu Río, zastanawiając się, kiedy nastąpi szturm. Najgorzej było z łącznością - a raczej jej brakiem. Większość jego komórek nie miała szyfrowanych łącz, więc niechętnie z nich korzystał. Te, które miały, mogły zostać namierzone; gdyby nawet policja nie zdołała rozszyfrować tego, co mówił, mogłaby określić jego miejsce pobytu. Nie wiedział, kogo aresztowano, na które punkty uderzono, co znaleziono w melinach. Nie wiedział, kto dowodzi nalotami, jak długo potrwają, gdzie uderzą, czy wiedzą, gdzie przebywa.

Adána najbardziej martwi to, że naloty następują bez ostrzeżenia.

Ani słowa, ani wskazówki od dobrze opłacanych przyjaciół z Mexico City.

To go przeraża, ponieważ jeśli politycy PRI zwrócili się przeciwko niemu, to musieli być śmiertelnie wystraszeni. I muszą wiedzieć, że jeśli ośmielą się uderzyć w głowę Barrerów, nie mogą spudłować, a to czyni ich niebezpiecznymi.

Muszą mnie dopaść, myśli.

Muszą mnie zabić.

Podejmuje więc środki ostrożności. Po pierwsze, rozdziela większość komórek między swych ludzi, którzy rozpraszają się po mieście i całym stanie. Mają dzwonić, a potem wyrzucać telefony. (Na pewno Ramos zacznie dostawać raporty, że Adán jest w Hipódromo, Chapultepec, Rosarito, Ensenadzie, Tecate, a nawet za granicą, w San Diego, Chula Vista, Otay Mesa).

Raúl idzie do Radio Shack, kupuje dodatkowe aparaty i zaczyna ich używać, kontaktując się z przekupionymi gliniarzami - *federales* z Baja, policją stanową, funkcjonariuszami z Tijuany.

Nowiny nie są dobre. Policjanci stanowi i lokalni, którzy odbierają telefony, nic nie wiedzą - nikt im nic nie mówi; tyle, że to akcja federalna, nie ma z nimi nic wspólnego. A miejscowi *federales*?

- Niedostępni - mówi Raúl Adánowi.

Znów się przenoszą - wynieśli się z meliny w okręgu Río na dziesięć minut przed

atakiem policji. Mieszkają w apartamencie w Colonia Cacho, w nadziei, że zaszyją się tu na parę godzin, by się dowiedzieć, co jest grane. Ale miejscowi gliniarze nie mają zamiaru pomóc.

- Nie odbierają telefonów - mówi Raúl.

- Dzwoni do domów - rzuca Adán.

- Tam też nikt nie odbiera.

Adán chwytając nowy telefon i wybiera numer międzymiastowy.

Do Mexico City.

Nikogo nie ma w domu. Żaden z jego znajomych z PRI nie może podejść do telefonu, ale jeśli zechce pan zostawić numer, oddzwonią...

To ta sprawa z bronią, myśli Adán. Pieprzony Art Keller złożył do kupy karabiny oraz FARC i wykorzystał to, żeby zmusić Mexico City do reakcji. Czuje, że chce mu się rzygać. Tylko cztery osoby w całym Meksyku wiedziały o układzie z Tirofio - ja, Raúl, Fabián i...

I Nora.

Nora zaginęła.

Nie pokazała się w Colonia Hipódromo.

Za to pokazała się policja.

Dotarła tam przede mną, myśli. Zwinęli ją podczas nalotu i teraz gdzieś trzymają.

Raúl łapie laptopa, a potem zmusza jednego ze swych speców komputerowych, żeby przyjechał do meliny. Fachowiec wysyła zaszyfrowane e-maile do ich sieci komputerowej. Szyfrowanie to własny pomysł informatyka - zainkasował sześciocyfrowe honorarium - tak skomplikowane, że nawet DEA nie zdoła go złamać. Do czego to doszło, myśli Adán, wysyłając elektroniczne wiadomości w przestrzeń. Siedzą więc i czekają na pojazdy opancerzone toczące się ulicami, podczas gdy na monitorach wypatrują wiadomości. W ciągu godziny Raúl zdołał wezwać paru *sicarios* i kilka samochodów niezwiązanych z kartelem. Organizuje też łańcuch posterunków nasłuchowo-obszernych do monitorowania poczynań policji.

Po zachodzie słońca Adán, przebrany za robotnika, wsiada z Raúlem na tył dodge'a darta rocznik osiemdziesiąty trzeci. Z przodu zasiadł uzbrojony po zęby kierowca i *sicario*. Samochód przebija się przez niebezpieczny labirynt, jakim stała się Tijuana, zwiadowcy i posterunki nasłuchowe elektronicznie oczyszczają drogę, aż wreszcie Adán wydostaje się z miasta w kierunku Rancho las Bardas.

Tam on i Raúl mogą odetchnąć i przemyśleć sprawę.

Ramos pomaga.

Barrerowie oglądają wieczorne wiadomości i widzą go na konferencji prasowej, obwieszczającego, że w ciągu dwóch tygodni zamierza wykończyć kartel z Baja.

- To wyjaśnia, dlaczego nie dostaliśmy ostrzeżenia - mówi Adán.

- To wyjaśnia tylko część spraw - odpowiada Raúl. Ramos ma chyba mapę kartelu. Położenie melin, nazwiska wspólników. Skąd ma te informacje?

- To Fabián - stwierdza Adán. - On sypie.

Raúl jest nieprzekonany.

- To nie Fabián. To twoja ukochana Nora.

- Nie wierzę - mówi Adán.

- Nie chcesz w to uwierzyć. - Raúl opowiada bratu o znalezieniu urządzenia śledzącego w samochodzie.

- Równie dobrze to może być Fabián - rzuca Adán.

- Policja zastawiła pułapkę w twoim miłosnym gniazdku! - wrzeszczy Raúl. - Czy Fabián o nim wiedział? Kto wiedział o transakcji z bronią? Ty, ja, Fabián i Nora. To nie byłem ja, ty chyba też nie, Fabián siedzi w amerykańskim więzieniu, więc...

- Nawet nie wiemy, gdzie ona jest - mówi Adán. Przychodzi mu do głowy straszna myśl. Patrzy na Raúla, który odsunął zasłonę i wygląda przez okno. - Raúl, czy ty jej coś zrobiłeś?

Raúl nie odpowiada.

Adán podskakuje na krześle.

- Raúl, czy ty jej coś zrobiłeś?!

Łapie Raúla za koszulę. Raúl odtrąca go bez trudu i rzuca na łóżko.

- A co jeśli zrobiłem?

- Chcę ją zobaczyć.

- To nie jest dobry pomysł.

- Ty tu teraz rządzisz?

- Twoja obsesja na punkcie tej pizdy niszczy nam interesy. To znaczy, braciszku, że dopóki się nie otrząsniesz, ja rządę.

- Chcę ją zobaczyć!

- Nie pozwolę, żebyś został nowym Tío!

El chocho, myśli Raúl, upadek Barrerów.

Czy to obsesja Tío na punkcie młodej piczki nie doprowadziła go do katastrofy? Najpierw Pilar, potem ta druga laska, której imienia nawet nie pamiętam. Miguel Ángel Barrera, M-1 - człowiek, który stworzył Federación, najbystrzejszy, najtwardszy, najbardziej

zrównoważony facet, jakiego znałem, tyle że mózg przestawał mu działać na widok ładnej dupy i to go zgubiło.

A Adán odziedziczył tę przypadłość. Kurwa, Adán może mieć każdą panienkę, jaką chce, ale musi mieć właśnie tę. Mógł zmieniać kochanki jak rękawiczki, dopóki zachowywał dyskrecję i nie zawstydzał żony. Ale nie Adán - nie, on się zakochał w tej dziwce i pokazywał się z nią publicznie.

Wystawiając Artowi Kellerowi doskonały cel.

I spójrz teraz na nas.

Adán gapi się w podłogę.

- Żyje?

Raúl nie odpowiada.

- Raúl, powiedz tylko, czy żyje.

Strażnik wpada przez drzwi.

- Biegiem! - wrzeszczy. - Biegiem!

*

Zwierzęta w menażerii ryczą, gdy Ramos i jego ludzie przechodzą przez mur.

Ramos podnosi granatnik, celuje i naciska spust. Jedna z wieżyczek strażniczych eksploduje w błysku żółtego światła. Przeładowuje, znów celuje i kolejny błysk. Spogląda w dół, a dwa jelenie rzucają się na płot, próbując uciec. Wskakuje do zagrody i otwiera furtkę.

Zwierzęta znikają w mroku.

Ptaki skrzeczą i piszczą, małpy dziko krzyczą, a Ramos przypomina sobie plotki, że Raúl ma tu parę lwów; wtedy słyszy ich ryki, niczym w filmie; zapomina o tym, gdy zaczynają padać strzały.

Przylecieli samolotem po zmroku, ryzykując lądowanie bez świateł na starym przemysłowym pasie startowym, potem nocny marsz przez pustynię i czołganie się przez ostatnie tysiąc jardów, żeby uniknąć patrolowych dżipów Barrerów.

A teraz jesteśmy w środku, myśli Ramos. Przyciska policzek do wygładzonej kolby swojej esposy, wystrzeliwuje dwa magazynki, wstaje i biegnie do przodu, wiedząc, że jego ludzie go osłonią. Potem pada i osłania tych, którzy skokami posuwają się naprzód. Tak docierają do domu Raúla.

Jeden z jego najlepszych ludzi zostaje trafiony. Biegnie, a potem skacze jak antylopa, kiedy dosięga go kula. Ramos czołga mu na pomoc, ale twarz mężczyzny zalana jest krwią. Już nic mu nie pomoże. Ramos zabiera jego magazynki i przetacza się, gdy pociski świszczą mu nad głową.

Strzały padają z dachu niskiego budynku; Ramos przyklękuje, przestawia karabin na ogień ciągły i przesuwając serię wzdłuż linii dachu. Czuje dwa uderzenia w pierś - został trafiony w kevlarową kamizelkę; odpina granat od pasa i rzuca na dach.

Rozlega się łomot, potem błysk i dwa ciała wylatują w powietrze. Ogień z budynku milknie.

Ale nie ogień z domu.

Czerwony charakterystyczny błysk rozkwita w oknach, na dachach i w drzwiach. Ramos pilnie obserwuje drzwi, ponieważ najwyraźniej zaskoczyli w domu kilku ludzi Raúla, a oni próbują oskrzydlić atakujących. Jeden z najemników wystrzeliwuje magazynek, potem robi sobie przerwę. Ramos trafia go dwukrotnie w brzuch, facet pada na ziemię i zaczyna krzyczeć. Jeden z kolegów podbiega, by go wciągnąć do środka, ale sam dostaje serię i pada na stopy rannego.

- Do samochodów! - ryczy Ramos.

Pojazdy są wszędzie - land rovery, ulubione przez handlarzy narkotyków suburbany, kilka mercedesów. Ramos nie chce, by ktokolwiek - szczególnie Raúl - dopadł samochodu i zwiął, a teraz, po gradzie pocisków, żaden z tych wozów nigdzie nie pojedzie. Wszystkie mają podziurawione opony i potraskane szyby. Trafiono jeden czy dwa baki, więc kilka pojazdów stoi w ogniu.

Potem dzieje się coś dziwnego.

Ktoś bowiem dochodzi do wniosku, że świetnym sposobem na odwrócenie uwagi będzie otwarcie klatek, więc teraz po całym terenie biegają zwierzęta. Miotają się dziko we wszystkie strony, wystraszone hałasem, płomieniami i pociskami świszczącymi w powietrzu. Ramos mruga, gdy *condenado* żyrafa przebiega przed nim, za nią przez podwórze gnają dwie zebry i antylopa. Ramos znów myśli o lwach i uznaje, że głupotą byłoby umrzeć w taki sposób. Bierze się w garść i idzie w stronę domu. Przykuca, gdy jakiś wielki ptak przelatuje mu nad głową. Teraz ludzie kartelu wypadają z budynku i zapanowuje totalne szaleństwo.

Księżyc oświetla ludzi, zwierzęta, broń - ludzie stoją, biegają, strzelają, padają, przykucają. Przypomina to jakiś dziwny sen, ale kule, śmierć i ból są realne. Ramos wstaje i puszcza serię, następnie obchodzi jakiegoś dzikiego osła, który ryczy ze strachu, a potem mafiosi pojawiają się z lewej, potem z prawej - nie, to jeden z jego ludzi - pociski świszczą, karabiny strzelają, ludzie krzyczą, zwierzęta wyją. Ramos oddaje dwa strzały, kolejny mężczyzna pada, a wtedy Ramos dostrzega - a w każdym razie tak mu się wydaje - wysoką sylwetkę biegnącego Raúla, strzelającego z biodra. Natychmiast mierzy w jego nogi, ale Barrera znika. Ramos biegnie w tamtą stronę i pada, gdy dostrzega uniesiony karabin. Strzela,

facet wali się na ziemię, wznosząc mały obłoczek kurzu.

Barrerowie uciekli.

Gdy strzelanina zamiera - Ramos specjalnie wybrał słowo „zamiera”, ponieważ wielu najemników Raúla zmarło, a przynajmniej padło - chodzi od ciała do ciała, od rannego do rannego, od jeńca do jeńca, szukając Raúla.

Rancho las Bardas to chaos. Dom wygląda jak gigantyczny durszlak. Samochody płoną. Egzotyczne ptaki przycupnęły w gałęziach drzew, a część zwierząt wróciła do klatek, gdzie wyją i ryczą.

Ramos widzi ciało wysokiego mężczyzny leżące przy płocie, na grządce maków, białych kwiatów zbryzganych krwią. Z esposą w gotowości, kopniakiem odwraca je na plecy. To nie Raúl. Ramos jest wściekły. Wiemy, myśli, że Raúl tu był - słyszeliśmy go. A ja go widziałem, a w każdym razie tak mi się wydawało. A może nie. Może rozmowy z komórek były udawane, żeby skierować nas na fałszywy trop, a bracia siedzą na plaży w Kostaryce lub Hondurasie i śmieją się z nas przy piwie. Może wcale ich tu nie było.

Potem ją zauważa.

Kłapa pokryta jest ziemią i trawą, ale dostrzega prostokątny kształt. Przy bliższym oglądzie zauważa ślady stóp.

Możesz biec, Raúlu, ale nie umiesz fruwać.

Ale tunel... to świetny pomysł.

Nachyla się i widzi, że klapę niedawno otwierano. Wokół krawędzi biegnie cienka linia, tam, gdzie brud się wykruszył. Odsuwa trawę i wyczuwa uchwyt. Podnosi klapę.

Słyszy ciche kliknięcie i dostrzega ładunek wybuchowy.

Jest jednak za późno.

- *Me jodi.*

Spieprzyłem to.

Wybuch rozrywa go na strzępy.

*

Milczenie, niegdyś złowrogie, teraz jest pogrzebowe.

Art próbował wszystkiego, co mu przyszło do głowy, żeby odnaleźć Norę. Hobbs udostępnił wszelkie środki, chociaż Art odmówił podania tożsamości swego źródła. Keller mógł więc skorzystać z fotografii satelitarnych, stacji nasłuchowych, wyszukiwarek internetowych. Wszystko na nic.

Możliwości ma ograniczone - nie może urządzić takich poszukiwań jak w przypadku Erniego Hidalgo, ponieważ to by zdemaskowało Norę i zabiło, o ile już nie jest martwa. A

teraz jeszcze zabrakło Ramosa prowadzącego nieustępliwą kampanię.

- To nie wygląda dobrze, szefie - mówi Shag.

- Kiedy przelatuje kolejny satelita?

- Za czterdzieści pięć minut. O ile pogoda pozwoli, zdobędą zdjęcia Rancho las Bardas, posiadłości Barrerów na pustyni. Mają ich już pięć, ale nie pokazują nic szczególnego. Kilku służących, ale nikogo podobnego do Adána lub Raúla, a już na pewno nie do Nory. i żadnego ruchu. Zero nowych pojazdów, zero świeżych śladów opon, nic nie wjeżdża ani nie wyjeżdża. To samo w przypadku innych rancz Barrerów i melin, których Ramos jeszcze nie zlikwidował. Żadnych ludzi, ruchów, rozmów przez komórki.

Chryste, myśli Art, Barrera musi przenosić się z miejsca na miejsce.

Tak samo jak my.

- Zawiadam mnie - mówi.

Ma spotkanie z nowym narkotykowym cesarzem Meksyku, generałem Augusto Rebollo.

Najwyraźniej celem spotkania jest poinformowanie go przez Rebollo o trwających operacjach przeciwko kartelowi Barrerów w ramach świeżo odrodzonego bilateralizmu.

Jedyny problem w tym, że Rebollo tak naprawdę niewiele wie o operacji. Ramos nie obnosił się ze swoimi planami, a generał może jedynie pokazać się w telewizji, wyglądać twardo i zdecydowanie oraz obwieszczać całkowite wsparcie dla wszystkiego, co robił niezujący Ramos, nawet jeśli nie wie, co to było.

Naprawdę jednak to wsparcie jest niepewne.

Mexico City robi się coraz bardziej nerwowe, gdy dni mijają, a Barrerowie są wciąż na wolności. Im dłużej trwa ta wojna, tym bardziej się denerwują i szukają, jak delikatnie John Hobbs wyjaśnia Artowi przed spotkaniem, „powodów do optymizmu”.

Krótko mówiąc. Rebelio, w swym zielonym mundurze wyprasowanym i schludnym jak z pudełeczka, łąsi się do Arta. Jest oczywiste, że jego koledzy z DEA mają wtyczkę w kartelu Barrerów, a jego własne biuro byłoby bardziej pomocne w codziennej walce z narkotykami i terroryzmem, gdyby señor Keller podzielił się tym źródłem.

Uśmiecha się do Arta.

Hobbs uśmiecha się do Arta.

Wszyscy urzędnicy w sali uśmiechają się do Arta.

- Nie - odpowiada Keller.

Z panoramicznych okien wieżowca może dostrzec Tijuane. Ona gdzieś tam jest.

Uśmiech Rebollo gaśnie. Wygląda na urażonego.

- Arthurze... - mówi Hobbs.

- Nie.

Niech się trochę bardziej postara.

Art wraca do pokoju operacyjnego. Powinni już mieć zdjęcia satelitarne Rancho las Bardas.

- I co? - pyta Shaga.

Ten potrząsa głową.

- Kurwa.

- Przyczaili się, szefie. Żadnych rozmów przez komórki, żadnych maili, nic.

Art patrzy na niego. Twarz starego kowboja jest pobrużdżona i smagła; teraz nosi okulary dwuogniskowe. Chryste, czyja dożyję takiego wieku? - zastanawia się Art. Dwaj starzy wojownicy. Jak te młodziaki nas nazywają? Narkozaurami? A Shag jest starszy ode mnie - niedługo czeka go emerytura.

- Zadzwoń do dziecka - mówi nagle Art.

- Co?

- Do córki, Glorii. Żona Adána i dziewczynka mieszkają w San Diego.

Shag mruga. Obaj wiedzą, że wmieszanie w sprawę niewinnej rodziny jest wbrew niepisanyemu regułom, które rządzą wojną między *narcotraficantes* a nimi.

Art wie, co myśli Shag.

- Pieprzę to - rzuca. - Lucía Barrera wie, czym zajmuje się jej mąż. Nie jest niewinna.

- Ale dziewczynka jest.

- Dzieciaki Erniego też mieszkają w San Diego - odpowiada Art. - Tyle że one już nigdy nie zobaczą tatusia. Załatw podsłuch.

- Szefie, żaden sędzia na świecie...

Spojrzenie Arta każe mu zamilknąć.

*

Raúl Barrera też nie jest zadowolony.

Płacą Rebollo trzysta tysięcy dolarów miesięcznie i za takie pieniądze mógłby coś dla nich zrobić.

Ale nie powstrzymał Antonio Ramosa przed atakiem na Rancho las Bardas, a teraz nie potrafi potwierdzić, czy to Nora Hayden wpakowała ich w kłopoty; Raúl bardzo chce to wiedzieć, i to szybko. Trzyma swego brata jak więźnia w bezpiecznym miejscu, a jeśli *soplón* nie była kochanka brata, to będzie się musiał gęsto tłumaczyć.

Kiedy więc Raúl dostaje wiadomość od Rebollo - przykro mi, stary - odpowiada:

sprawa jest prosta - postaraj się bardziej. Ponieważ jeśli nie będziesz przydatny, nic nas nie powstrzyma przed ujawnieniem informacji, że ci płacimy. Wtedy będzie ci przykro w więzieniu.

Rebollo dostaje wiadomość.

*

Fabián Martínez nachyla się do swego prawnika i przechodzą prosto do sedna.

Zna standardową procedurę w razie wpadek. Kartel przysłała ci prawnika, a ty mówisz, jakie informacje, o ile w ogóle jakieś, zdradziłeś. W ten sposób zwykle wszystko udaje się załatwić, zanim dojdzie do szkód.

- Nic im nie powiedziałem - mówi.

Adwokat kiwa głową.

- Mają informatora - ciągnie Fabián, potem zaczyna szeptać.

- To *baturra* Adána, Nora.

- Jezu, jesteś pewien?

- To może być tylko ona. Musisz mnie wyciągnąć za kaucją. Ocipieję tutaj.

- Przy oskarżeniu o handel bronią to będzie trudne.

- Pieprzyć broń - opowiada prawnikowi o zarzucie morderstwa.

To pogarsza sytuację, uznaje adwokat. Jeśli Fabián nie pójdzie na ugodę, czekają go długie lata w więzieniu.

*

Nie jest właściwie więźniem, ale nie może się swobodnie poruszać.

Nora nawet nie wie, gdzie jest; tyle, że to gdzieś na wschodnim wybrzeżu Baja.

Domek, w którym ją trzymają, jest wzniesiony z identycznego czerwonego kamienia, jaki pokrywa plażę dokoła. Ma dach kryty palmowymi liśćmi i ciężkie drewniane drzwi. Brakuje klimatyzacji, ale grube kamienne ściany utrzymują chłód. W domku są trzy pokoje - mała sypialnia, łazienka i pokój frontowy wychodzący na plażę, połączenie salonu z otwartą kuchnią.

Elektryczność wytwarza generator buczący hałaśliwie na zewnątrz. Ma więc światło, ciepłą bieżącą wodę i spłukiwaną toaletę. Może wybierać między ciepłym prysznicem a ciepłą kąpielą. Jest nawet antena satelitarna, ale zabrano telewizor i radio. Zegary również usunięto, jej zegarek też skonfiskowano.

Stoi tu mały odtwarzacz CD, ale bez płyt.

Chcą, żebym była sama z moim milczeniem, myśli.

W świecie bez czasu.

I, szczerze mówiąc, zaczyna tracić rachubę dni, odkąd Raúl zatrzymał ją w Colonia Hipódromo i kazał wsiąść do samochodu.

Powiedział, że wszystko się zaważyło i że zabierze ją do Adána. Nie ufała mu, ale nie miała wyboru. Nawet ją przeproszał, kiedy wyjaśniał, że dla jej własnego bezpieczeństwa muszą jej zawiązać oczy.

Wie, że kierowali się na południe od Tijuany. Przez chwilę jechali gładką autostradą Ensenada. Następnie droga zrobiła się wyboista, potem jeszcze gorsza. Czują, że powoli wspinają się w górę, tocząc po kamienistej drodze w dziupie. Wyczuła ocean. Było ciemno, kiedy wyprowadzili ją z pojazdu i zdjęli opaskę.

- Gdzie jest Adán? - spytała Raúl.

- Będzie tutaj.

- Kiedy?

- Wkrótce - odparł Raúl. - Odpocznij, prześpij się. Dużo przeszłaś.

Dał jej pigułkę nasenną, tuinol.

- Nie potrzebuję tego.

- Weź, potrzebujesz snu.

Patrzył, jak zażywa lek; spała twardo i obudziła się rano nieco oszołomiona i z suchością w ustach. Pomyślała, że jest na plaży na południe od Ensenady, dopóki słońce nie zaszło po niewłaściwej stronie świata. Zorientowała się, że jest gdzieś po stronie lądu. Gdy nadszedł świt, rozpoznała charakterystyczne, jasnozielone wody Morza Corteza.

Z okna sypialni widziała większy budynek na wzgórzu, a cała okolica wyglądała jak rumowisko czerwonych kamieni. Chwilę później z dużego domu wyszła młoda kobieta z tacą ze śniadaniem - kawa, grejpfrut i trochę ciepłych tortilli.

I łyżeczka, zauważyła Nora.

Żadnego noża, żadnego widelca.

Szklanka wody i kolejny tuinol.

Nie chciała go zażywać, póki nerwy nie odmówiły posłuszeństwa. Przełknęła pigułkę i poczuła się lepiej. Przespała resztę poranka i obudziła się dopiero, gdy ta sama dziewczyna przyniosła tacę z obiadem - tuńczyk z grilla, warzywa gotowane na parze, tortille.

Oraz tuinol.

Obudzili ją z głębokiego snu w środku nocy i zaczęli zadawać pytania. Przysłuchujący, mały człowieczek z niezupełnie meksykańskim akcentem, był łagodny, grzeczny i upierdliwy...

- Co stało się w noc przejścia broni?

- Gdzie pani była? Co widziała? Z kim rozmawiała?
- Podróże na zakupy do San Diego - co pani robiła? Co kupowała? Co widziała?
- Zna pani Arthura Kellera? Czy to nazwisko coś pani mówi?
- Czy kiedykolwiek była pani aresztowana za prostytutkę? Narkotyki? Oszustwa

podatkowe?

W odpowiedzi zadała własne pytania...

- O czym pan mówi?
- Dlaczego mnie pan o to pyta?
- Kim pan w ogóle jest?
- Gdzie jest Adán?
- Czy on wie, że mnie niepokoi?
- Czy mogę już iść spać?

Pozwolili jej usnąć, obudzili kwadrans później i powiedzieli, że minęła doba. Wiedziała lepiej, ale udawała, że im wierzy, podczas gdy przesłuchujący zadawał te same pytania, w kółko, aż oburzyła się i stwierdziła...

- Chcę iść spać.
- Chcę zobaczyć Adána i...
- Chcę kolejny tuinol.

Za chwilę, odparł przesłuchujący. Zmienił taktykę.

- Proszę opowiedzieć mi o dniu transakcji. Minuta po minucie. Wsiadła pani do samochodu i...

- I, i, i...

Padła na łóżko, wsadziła głowę pod poduszkę i kazała mu się zamknąć i wyjść, jest zmęczona. Zaproponował jej kolejną pigułkę. Wzięła.

Pozwolili jej przespać dwadzieścia cztery godziny i zaczęli od nowa.

Pytania, pytania, pytania.

Opowiedz o tym, opowiedz o tamtym.

Art Keller, Shag Wallace, Art Keller.

- Opowiedz mi o zastrzeleniu Chińczyka. Co zrobiłaś? Jak się czułaś? Za co złapałaś pistolet? Za lufę? Za rękojeść?

- Opowiedz mi o Kellerze. Jak długo go znasz? Czy kontaktował się z tobą, albo ty z nim?

- O czym pan mówi? - odpowiedziała.

Wiedziała, że jeśli odpowie, zacznie się płatać. W mgłę barbituratów, zmęczenia,

strachu, zmieszania, dezorientacji. Rozumiała, co robią, ale nie mogła nic zrobić, żeby to przerwać.

Nigdy jej nie dotknął, nigdy nie groził.

A to dało jej nadzieję, ponieważ wiedziała, że nie mają pewności. Gdyby ją mieli, wymusiliby z niej informacje torturami, albo po prostu zabili. „Miękkie” przesłuchanie oznaczało, że mają wątpliwości, a poza tym...

Że Adán wciąż był po jej stronie. Nie skrzywdzą mnie, pomyślała, bo wciąż boją się Adána. Więc się trzymała. Dawała wymijające, pogmatwane odpowiedzi, otwarcie odmawiała, wyprowadzała pełne oburzenia kontrataki.

Ale słabła.

Docierało to do niej.

Pewnego ranka nie dostała śniadania - poprosiła, dziewczyna zmieszana się i powiedziała, że już je podała. Ale to nie była prawda. Wiem to - a może nie, zastanawiała się Nora. Potem nastąpiły dwa obiady, jeden za drugim, znowu sen, kolejny tuinol.

Teraz spaceruje dokoła domku. Drzwi nie są zamknięte i nikt jej nie zatrzymuje. Posiadłość z jednej strony otacza morze, a pustynia z pozostałych trzech. Gdyby się oddaliła, umarłaby z pragnienia lub wychłodzenia.

Podchodzi do oceanu i wchodzi w wodę po kostki.

Woda jest ciepła i przyjemna.

Słońce świeci za plecami Nory.

*

Adán patrzy na nią z okna sypialni w domu na wzgórzu.

Jest więźniem w pokoju strzeżonym przez *sicarios* lojalnych wobec Raúla. Zmieniają się pod drzwiami przez okrągłą dobę, a Adán dochodzi do wniosku, że musi ich być co najmniej dwudziestu.

Stoi i patrzy, jak dziewczyna brodzi w wodzie. Ma na sobie białą sukienkę i miękkie kapelusz chroniący ją przed słońcem. Włosy spływają swobodnie na nagie ramiona.

Czy to ty? - zastanawia się Adán.

Zdradziłaś mnie?

Nie, uznaje. Nie uwierzę w to.

Raúl rzecz jasna wierzy, mimo iż całe dnie przesłuchań tego nie udowodniły. To łagodne przesłuchanie, zapewniał go brat. Nikt jej nawet nie dotknął, o skrzywdzeniu mowy nie ma.

Lepiej, żeby tak było, odparł Adán. Jeden siniak, jedna blizna, jeden okrzyk bólu, a ja

już znajdę sposób, by cię zabić, brat czy nie brat.

- A jeśli jest *soplón*? - spytał Raúl.

Wtedy, myśli Adán, obserwując, jak Nora siada na skraju wody, to zupełnie inna sprawa.

Wtedy to zupełnie co innego.

On i Raúl dochodzą do porozumienia: jeśli Nora nie jest zdrajczynią, wtedy Raúl usunie się, a Adán odzyska pozycję *patrón*. Takie jest porozumienie, myśli Adán, ale doświadczenie mówi mu, że nikt, kto zdobył władzę, jej nie odda.

W każdym razie nie dobrowolnie.

Nie bez oporów.

I może tak będzie lepiej, myśli. Niech Raúl weźmie *pasador*, wypłaci kasę, a on zabierze Norę i pojedą w jakieś spokojne miejsce. Zawsze chciała mieszkać w Paryżu. Czemu nie?

A druga połowa równania? Jeśli okaże się, że Nora ich zdradziła, bez względu na motyw, wtedy zamach dokonany przez Raúla umocni go, a Nora...

Nie chce o tym myśleć.

Wciąż ma przed oczami Pilar Talaverę.

Jeśli do tego dojdzie, sam to zrobię, myśli. To zabawne, że można kochać kogoś, kto cię zdradził. Zaprowadzę ją nad ocean, pozwolę oglądać ostatnie promienie słońca znikające w wodzie.

To będzie szybkie i bezbolesne.

Potem, gdyby nie Gloria, włożyłbym sobie pistolet do ust.

Dzieci wiążą nas z życiem, czyż nie?

Zwłaszcza to dziecko, takie kruche i nieszczęśliwe.

Musi się zamartwiać na śmierć, myśli Adán. Wiadomości z Tijuany na pewno dotarły do gazet w San Diego, a nawet jeśli Lucía chroni ją przed nimi, to Gloria będzie się martwić, póki mnie nie usłyszy.

Rzuca przeciągłe spojrzenia na Norę, potem odchodzi od okna i wali w drzwi.

Otwiera strażnik.

- Przynieś mi komórkę - rozkazuje Adán.

- Raúl powiedział...

- Gównu mnie obchodzi, co powiedział Raúl, *pendejo* - wybucha Adán. - Nadal jestem *patrón* i jeśli ci coś każę, to ty to wykonujesz.

Dostaje telefon.

*

- Szeffie?

- Tak?

- Trafiony zatopiony.

Shag podaje Artowi słuchawki podłączone do podsłuchu w telefonie Lucii Barrery.

Słyszy jej głos:

- Adán?

- Jak tam Gloria?

- Martwi się.

- Daj mi ją do telefonu.

- Gdzie jesteś?

- Mogę z nią rozmawiać?

Długa pauza. Potem głosik Glorii.

- Tata?

- Jak się masz, skarbie?

- Martwię się o ciebie.

- Wszystko w porządku. Nie martw się.

Art słyszy płacz dziewczynki.

- Gdzie jesteś? W gazecie napisali...

- Gazety zmyślają. Wszystko jest dobrze.

- Mogę się z tobą zobaczyć?

- Jeszcze nie teraz, kochanie. Niedługo. Ucałuj mamę ode mnie, dobrze?

- Dobrze.

- No to pa, skarbie. Kocham cię.

- Ja też cię kocham, tatusiu.

Art patrzy na Shaga.

- To zajmie chwilę, szefie.

Zabiera całą godzinę, która ciągnie się jak pięć; elektroniczne dane zostają wysłane do Agencji Bezpieczeństwa Narodowego i przeanalizowane. Potem dostają odpowiedź. Rozmowa z telefonu komórkowego (to już wiemy, myśli Art), więc nie mogą podać adresu, ale mogą określić najbliższą wieżę przekaźnikową.

San Felipe.

Na wschodnim wybrzeżu Baja, dokładnie na południe od Mexicali.

W promieniu stu kilometrów od wieży.

Art już rozpościera mapę na stole. San Felipe to małe miasto, jakieś dwadzieścia tysięcy ludzi, w tym wiele amerykańskich niebieskich ptaków. Poza miastem jest niewiele, kawał pustyni i łańcuszek ośrodków wędkarskich na północ i południe.

Nawet przy promieniu stu kilometrów to szukanie igły w stogu siana, a Adán mógł przemieścić się, żeby znaleźć się w zasięgu; teraz mógł już odjechać.

Ale mamy obszar docelowy, myśli Art.

Zawsze to jakaś nadzieja.

- Rozmowy nie prowadzono z miasta - stwierdza Shag.

- Skąd wiesz?

- Posłuchaj jeszcze raz taśmy.

Cofają i w tle Art słyszy słaby szum, rytmiczne pulsowanie. Zaskoczony spogląda na Shaga.

- Jesteś chłopakiem z miasta, no nie? - pyta Shag. - Ja wychowałem się na ranczo. To generator. Nie mają podłączenia do sieci elektrycznej.

Art prosi o przelot satelity. Niestety, jest noc i nie dostaną zdjęć przez najbliższe godziny.

*

Przesłuchujący przyspiesza.

Budzi Norę z głębokiego tuinolowego snu, sadza na krześle i podtyka pod nos urządzenie namierzające.

- Co to jest?

- Nie wiem.

- Wiesz - upiera się mężczyzna. - Ty to podłożyłaś.

- Gdzie? Która godzina? Chcę wrócić...

Potrząsa nią. To pierwszy raz, gdy jej dotyka. To również pierwszy raz, gdy krzyczy.

- Słuchaj! Byłem dla ciebie miły, ale już tracę cierpliwość! Jeśli nie zaczniesz współpracować, zrobię ci krzywdę! Wielką! A teraz mów, kto ci to dał!

Nora długo wpatruje się w małe urządzenie, jak gdyby był to przedmiot z zamierzchłej przeszłości. Trzyma je między kciukiem a palcem wskazującym i obraca, oglądając ze wszystkich stron. Potem podstawia je pod lampę i ogląda dokładniej. Odwraca się do przesłuchującego i mówi:

- Nigdy wcześniej tego nie widziałam.

On ryczy jej w twarz. Nora nie rozróżnia słów, a facet wrzeszczy - kropelki śliny na jej twarzy - potrząsa nią, a kiedy wreszcie ją puszcza, dziewczyna pada wyczerpana na krzesło.

- Jestem zmęczona - mówi.
- Wiem - odpowiada mężczyzna, łagodnie i ze współczuciem.
- To wszystko może się wkrótce skończyć.
- I będę mogła spać?
- O, tak.

*

Art wciąż tam siedzi, gdy na monitorze komputera pojawiają się fotografie.

Oczy pieką go z niewyspania, budzi Shaga, który drzemie na krześle z nogami na biurku.

Przeglądają zdjęcia. Zaczynają od wielkiej fotografii okolic San Felipe z satelity meteorologicznego, odrzucają część podłączoną do sieci energetycznej, a potem zaczynają przedzierać się przez powiększone obszary na północ i południe od miasta.

Wykluczają okolice w głębi lądu. Brak wody, niewiele przejezdnych dróg, a te nieliczne, które wiją się przez kamienistą pustynię, stanowiłyby jedyną drogę ucieczki. Wątpliwe, by Barrerowie sami wpełchnęli się w taką pułapkę.

Skupiają się więc na wybrzeżu, ograniczonym na wschodzie niskimi górami i główną drogą, która biegnie równoległe do wybrzeża, z prostopadłymi odnogami kierującymi się do ośrodków rybackich i innych małych osad przy plaży.

Północne wybrzeże San Felipe jest popularne i dość zatłoczone turystami, ośrodkami wędkarskimi i rekreacyjnymi, więc je eliminują. Bezpośrednio na południe od miasta jest podobnie, ale dalej stan szosy mocno się pogarsza i mniej tam śladów cywilizacji aż do rybackiej wioski Puertocitos.

Jest dziesięciokilometrowy pas między dwoma miastami - począwszy od czterdziestego kilometra na południe od San Felipe - gdzie nie ma ośrodków, tylko kilka samotnych domów przy plaży. Zasięg odpowiada sile sygnału komórki Adána, 4800 bps, więc tam skupiają swoje wysiłki.

To doskonałe miejsce, uznaje Art. Nieliczne drogi dojazdowe - raczej szlaki dla dżipów - a Barrerowie bez wątpienia mają wystawione czujki przy tych drogach, podobnie jak w San Felipe i Puertocitos. Namierzają każdy pojazd zbliżający się drogą. Nawet nie warto myśleć o ataku przez uzbrojony konwój. Zanim się zbliżymy, Barrerowie zwieją lądem lub łodzią.

Nie można teraz o tym myśleć. Najpierw trzeba namierzyć cel, a potem się martwić, jak go zdobyć.

Tuzin domów rozproszonych na odizolowanym odcinku wybrzeża. Kilka przy samej plaży, ale większość na niskim wzniesieniu powyżej. Trzy najwyraźniej niezamieszkane; nie

ma pojazdów ani świeżych śladów kół. Spośród dziewięciu pozostałych trudno wybrać. Wszystkie wyglądały normalnie - w każdym razie z kosmosu - chociaż Artowi trudno byłoby określić, czego nienormalnego można by się spodziewać. Wszystkie wyglądały na zbudowane na ziemi oczyszczonej z kamieni i krzaków agawy; większość z nich to proste, prostokątne budowle kryte strzechą lub dachówką; większość...

Wtedy dostrzega anomalię.

Niemal ją przegapił, ale coś przyciągnęło jego wzrok. Coś nie całkiem prawidłowego.

- Powiększ tę - mówi.

- Co? - pyta Shag. Nie widzi nic w punkcie wskazywanym przez Artę poza skałami i krzakami.

To cień rzucany przez skały niewyróżniające się spośród milionów innych, ale cień - cień jest linią prostą.

- To budynek - stwierdza Art.

Ładują zdjęcie i powiększają je. Jest ziarniste, trudno coś zobaczyć, ale pod szkłem powiększającym można zauważyć głębię.

- Patrzymy na kwadratową skałę? - zadaje pytanie Art. - Czy może na kwadratowy budynek z kamiennym dachem?

- Kto układa kamienny dach na budynku?

- Ktoś, kto chce go ukryć.

Zmieniają skałę i zaczynają szukać innych zbyt regularnych cieni i krzaków utworzonych z linii prostych. Z początku to trudne, ale potem zaczynają wyłaniać się dwie budowle - jedna mniejsza od drugiej - oraz kształty sugerujące pojazdy.

Koordynują zdjęcie z dużą mapą. Dom stoi przy drodze wychodzącej z głównej szosy jakieś czterdzieści osiem kilometrów na południe od San Felipe.

Pięć godzin później z Puertocitos, walcząc z silnym wiatrem, wypływa kuter rybacki. Staje sto osiemdziesiąt metrów od brzegu, rzuca kotwicę i czeka za zmrok. Wtedy jeden z „rybaków” rozciąga się płasko na pokładzie i kieruje teleskop na podczerwień w stronę plaży przed dwoma kamiennymi domami.

Zauważa kobietę w białej sukni spacerującą powoli nad wodą.

Ma długie blond włosy.

*

Art odkłada słuchawkę, opiera głowę na dłoniach i wzdycha. Kiedy podnosi twarz, uśmiecha się.

- Mamy ją.

- Chyba „jego”, szefie? - pyta Shag. - Nie traćmy celu z oczu. A celem jest dopadnięcie Barrery, prawda?

*

Fabián Martínez ciągle siedzi w celi, ale ogólnie rzecz biorąc czuje się już lepiej.

Spotkanie z adwokatem poszło nieźle - facet zapewnił go, że nie musi się martwić o zarzuty związane z narkotykami - świadek oskarżenia nie pojawi się, a pewni ludzie otrzymali informacje na temat *soplón*.

Problemem pozostaje zarzut o posiadanie broni, ale adwokat ma już genialny pomysł na jego rozwiązanie.

- Sprawdzimy, czy uda się załatwić panu ekstradycję do Meksyku - powiedział. - W związku z morderstwem Parady.

- Żartuje pan sobie ze mnie?

- Po pierwsze - tłumaczy mu adwokat - w Meksyku nie stosuje się kary śmierci. Po drugie, postawienie pana przed sądem zajmie całe lata, a tymczasem...

Nie musi kończyć. Fabián wie, co ma na myśli. W tym czasie wszystko się zmieni. Pojawią się uchybienia formalne, oskarżyciele stracą entuzjazm, sędziowie wyjadą na wakacje.

Fabián leży więc sobie na materacu i myśli, że jego sytuacja nie jest zła. Wal się, Keller - bez Nory nie masz nic. I ty też się wal, La Güera, mam nadzieję, że miło spędzasz wieczór.

*

Nie pozwalają jej spać.

Kiedy ją tu przewieźli, na początku pozwalali jej tylko spać, a teraz nie dają jej nawet zamknąć oczu. Może siedzieć, ale gdy zaczyna drzemać, każą jej wstać.

Wszystko ją boli.

Każda część ciała - stopy, nogi, plecy, głowa.

Oczy.

Oczy najbardziej ze wszystkiego. Pieką, rwą, palą. Dałaby wszystko, żeby się położyć i zamknąć oczy. Albo usiąść, albo stać - ale z zamkniętymi oczami.

Ale oni jej nie pozwalają.

I nie dają tuinolu.

Nora go wcale nie chce; ona go potrzebuje.

Czuje okropne mrowienie w skórze, a ręce nie przestają jej drżeć. Do tego ten potworny ból głowy i mdłości i...

- Tylko jeden - skamle.

- Chcesz coś od nas dostać, ale sama nic nie chcesz nam dać - mówi przesłuchujący.

- Kiedy ja nic nie wiem.

Nogi ma jak z drewna.

- Nie zgadzam się z tym - mówi przesłuchujący. I zaczyna wszystko od początku, o Arthurze Kellerze, DEA, urzędzeniu namierzającym, wyjazdach do San Diego...

Oni już wiedzą, myśli Nora. Już wszystko wiedzą, więc dlaczego mam im nie powiedzieć tego, o czym już i tak wiedzą? Powiedz im, niech robią, co chcą, a bez względu na wszystko ona musi się przespać. Adán tu nie przyjdzie. Keller nie przyjdzie - po prostu powiedz im cokolwiek.

- Jeśli opowiem wam o San Diego, pozwolicie mi spać? - pyta Nora.

Przesłuchujący zgadza się.

Opowiada wszystko, krok po kroku.

*

Shag Wallace wreszcie wychodzi z biura.

Wsiada do swojego pięcioletniego buicka i jedzie na parking pod supermarketem Ames w National City. Czeka tam trzy minuty na lincolna navigatora, który powoli krąży dookoła, wreszcie parkuje za nim.

Mężczyzna z lincolna przesiada się do buicka Shaga.

Na kolanach kładzie walizkę. Zamki otwierają się z metalicznym szczęknięciem, odwraca walizkę tak, żeby Shag mógł zobaczyć równe stosy banknotów.

- Czy w Ameryce pensje policjantów są wyższe niż w Meksyku? - pyta mężczyzna.

- Nie bardzo - odpowiada Shag.

- Tu jest trzysta tysięcy dolarów - mówi mężczyzna.

Shag waha się.

- Weź je - mówi mężczyzna. - Właściwie nie przekazujesz informacji mafii narkotkowej. To układ między jednym gliną a drugim. Generał Rebollo musi wiedzieć pewne rzeczy.

Shag bierze głęboki oddech.

Potem mówi mężczyźnie wszystko, co ten chce wiedzieć.

Shag wyciąga z kieszeni dowód potwierdzający jego słowa i daje go mężczyźnie.

Potem bierze trzysta tysięcy dolarów.

*

Na półwyspie Baja wieje południowy wiatr, przynoszący cieplejsze powietrze i chmury znad Morza Corteza.

Jeśli nie zdobędziemy więcej zdjęć satelitarnych - najświeższe wiadomości Artą pochodzą sprzed osiemnastu godzin, a przez ten czas wiele się mogło zmienić - Barrerowie mogą wyjechać, a Nora zginąć. Chmury zasłaniają cały widok, nie można się przez nie przedrzeć, więc informacje stają się coraz bardziej przestarzałe.

Musi więc oprzeć się na tym, co ma i musi działać szybko lub wcale.

Ale jak?

Ramos, jedyny gliniarz w Meksyku, któremu może zaufać, nie żyje. Szef wydziału narkotykowego jest na usługach Barrerów, a Los Pinos w trybie przyspieszonym wycofuje się z kampanii przeciwko Barrerom.

Art ma tylko jedno wyjście.

I bardzo mu się ono nie podoba.

Spotyka się na Shelter Island z Johnem Hobbssem, w przystani żaglówek pośrodku portu San Diego. Spotykają się nocą i spacerują po lichym parku, który otacza wodę.

- Wiesz, o co mnie prosisz? - pyta Hobbs.

Tak, myśli Art, wiem.

Hobbs mówi mu tak, czy owak.

- Chodzi o nielegalny atak na suwerennym terytorium zaprzyjaźnionego państwa. Pogwałci to każdy możliwy punkt prawa międzynarodowego plus kilkaset przepisów prawa krajowego i może wywołać wielki kryzys dyplomatyczny w stosunkach z sąsiadującym krajem.

- To nasza ostatnia szansa, żeby dopaść Barrerów - argumentuje Art.

- Przechwyciliśmy transport od Chińczyków.

- Tylko ten jeden - mówi Art. - Myślisz, że Adán się wycofa? Jeśli go teraz nie załatwimy, będzie ciągnął wymianę broni za narkotyki i za sześć miesięcy FARC będzie w pełni wyposażone.

Hobbs milczy. Art idzie obok niego i próbuje czytać w jego myślach, w tle słysząc plusk wody rozbijającej się o skały. W oddali migoczą i mrugają światła Tijuany.

Art czuje się, jakby coś przeszkadzało mu oddychać. Jeśli Hobbs się nie zgodzi, Nora umrze, a Barrerowie wygrają.

Wreszcie Hobbs mówi:

- Nie mogę użyć normalnych środków. Musimy skorzystać z pomocy z zewnątrz.

Dzięki Bogu, pomyślał Art.

- I jeszcze jedno, Arthurze - Hobbs odwraca się do niego. - To nie może być zwykły napad. Nigdy nie wytłumaczylibyśmy się z tego Meksykanom, gdybyśmy aresztowali

Barrerów. Nie będzie to operacja egzekwująca prawo, tylko tajna akcja wywiadowcza. Nie będzie aresztowania, tylko najwyższa sankcja. Zgadzasz się?

Art kiwa głową.

- Powiedz to głośno - naciska Hobbs.

- Zastosujemy sankcję - mówi Art - tego właśnie chcę.

Jak dotąd wszystko gra, myśli Art. Ale wie, że John Hobbs zanim odejdzie podyktuje swoją cenę. Nie musi długo czekać.

- I muszę wiedzieć, kim jest twój informator - mówi Hobbs.

- Oczywiście.

Art mówi mu.

*

Callan wraca z plaży do domku, który wynajmuje. Jest zimny, mglisty dzień na wybrzeżu północnej Kalifornii i taka pogoda mu odpowiada.

Tak jest dobrze.

Otwiera drzwi do domku, wyciąga swoją dwudziestkę dwójkę i mierzy przed siebie.

- Spokojnie - mówi Sal. - Tu swój.

- Doprawdy?

- Porzuciłeś rezerwat, Seanie. Trzeba było najpierw o tym ze mną porozmawiać.

- Puściłbyś mnie, ot tak?

- Podejmując pewne środki ostrożności, tak.

- A co z tym najazdem na Barrerów?

- Nieaktualny.

- Więc jesteście kwita - mówi Callan, nie opuszczając ręki.

- Dzięki za wiadomość. A teraz idź sobie.

- Mam dla ciebie zlecenie.

- Pas - mówi Callan. - Już się tym nie zajmuję.

No i dobrze, mówi mu Scachi, bo tym razem nie chodzi o odbieranie życia. Porozmawiajmy o uratowaniu go komuś.

*

Decydują się uderzyć z wody.

Art i Sal studiują szczegółowe mapy i dochodzą do wniosku, że to jedyny sposób, by zrobić to szybko. Nocą z południa nadpłynie łódź rybacka, załadują się na zodiacki i wylądują na plaży.

Teraz pozostaje kwestia czasu i przypływu.

Na Morzu Corteza są ekstremalne pływy - podczas odpływu woda cofa się o setki metrów, a taka odległość całkowicie uniemożliwiłaby atak. Nie uda im się przebiec kilkuset metrów odkrytą plażą. Nawet nocą zostaliby namierzeni i skoszeni zanim dobiegliby do zabudowań.

Czas najazdu jest więc konkretny - musi nastąpić nocą i w szczycie przypływu.

- Czyli między dwudziestą pierwszą a dwudziestą pierwszą dwadzieścia - mówi Sal. -
Dziś w nocy.

To za szybko, myśli Art.

Albo za późno.

*

Nora opowiada o swojej ostatniej podróży do San Diego.

Jak robiła zakupy, co kupiła, gdzie się zatrzymała, że jadła lunch z Haley, przespała się, pobięgała, zjadła kolację.

- Co robiłaś tej nocy?

- Siedziałam w pokoju, zjadłam kolację i oglądałam telewizję.

- Byłaś w La Jolla i oglądałaś telewizję? Dlaczego?

- Taką miałam potrzebę. Pobyć sobą, poobijać się, pogapić w telewizor.

- Co oglądałaś?

Nora wie, że stąpa po kruchym lodzie. Wie, ale nic nie może na to poradzić. Taka jest natura kruchego lodu, myśli. Tej nocy tak naprawdę poszłam do Białego Domu i spotkałam się z Kellerem, ale tego nie mogę chyba powiedzieć? Zatem...

- Czy ja wiem, nie pamiętam.

- To nie było wcale tak dawno.

- Jakieś bzdury. Durny film. Może w ogóle go przespałam.

- Jakiś płatny kanał? HBO?

Nora nie może sobie przypomnieć, czy w hotelu Valencia mają płatne kanały i HBO. Nie jest pewna, czy w ogóle kiedykolwiek włączyła tam telewizor. Ale jeśli powie, że oglądała jakiś płatny kanał, wtedy każą pokazać rachunek. Mówi więc:

- To chyba było HBO albo Showtime, coś w tym rodzaju.

Przesłuchujący czuje, że zaraz ją dopadnie. Dziewczyna jest amatorem; profesjonalny kłamca zawsze odpowiada wymijająco. („Nie pamiętam, może to było to, a może to”). A ta kobieta opisywała wszystko ze szczegółami. Aż do tej pory, kiedy dotarła do wieczoru, stała się niepewna.

Profesjonalny kłamca wie, że nie o to chodzi, by kłamstwo wyglądało jak prawda, ale

żeby prawda wyglądała jak kłamstwo.

No cóż, jej prawda wygląda jak prawda, a kłamstwa?

- Ale nie pamiętasz, co to był za film.

- Skakałam chyba po kanałach.

- Aha, skakałaś.

- Tak.

- Co jadłaś na kolację?

- Rybę, prawie zawsze jem rybę.

- Dbasz o linię.

- Oczywiście.

- Niedługo wrócę. W tym czasie zastanów się, proszę, co to był za film.

- Mogę się przespać?

- Jak będziesz spać, nie będziesz mogła myśleć, prawda?

Ale nie będę w stanie myśleć, jeśli się nie prześpię, martwi się Nora. W tym właśnie tkwi problem. Nie będę mogła wymyślać kłamstw, nie będę mogła się ich trzymać. Już sama nie jestem pewna, co się wydarzyło, a co nie. Jaki film oglądałam? Jaki film trwa teraz? I jak się skończy?

- Jak przypomnisz sobie, co oglądałaś tej nocy, pozwolę ci spać.

Mężczyzna zna proces. Kiedy przyciśnie się ich wystarczająco mocno, umysł stworzy odpowiedź. W tym przypadku nie ma znaczenia, czy będzie to fakt, czy fantazja. On po prostu chce, żeby dziewczyna udzieliła odpowiedzi.

W zamian za sen, umysł kobiety „przywoła” informację. Być może będzie jej się nawet zdawało, że jest ona prawdziwa. Jeśli okaże się, że tak, w porządku. Ale jeśli będzie fałszywa, to stanie się szczeliną, dzięki której rozpadnie się wszystko.

Rozklei się.

A wtedy poznamy prawdę.

*

- Kłamie - mówi przesłuchujący Raúlowi. - Wymyśla jakieś bzdury.

- Skąd wiesz?

- Język ciała - odpowiada przesłuchujący. - Wymijające odpowiedzi. Gdybym podłączył ją do wariografu i zapytał o ten konkretny wieczór, wyłożyłaby się.

Czy to wystarczy, żeby przekonać Adána? - zastanawia się Raúl. Czy mogę od razu pozbyć się tej kłamliwej dziwki, nie wszczynając wojny domowej z własnym bratem? Najpierw Fabián przesyła przez swojego prawnika wiadomość, że to ta kobieta jest *soplón*.

Teraz przesłuchujący lada moment przyłapie ją na kłamstwie.

Czekać czy nie?

Czekać, aż Rebollo zdobędzie dla nas odpowiedź? Jeśli w ogóle ją zdobędzie?

- Kiedy uda ci się ją złamać? - pyta Raúl.

Przesłuchujący patrzy na zegarek.

- Jest teraz piąta. Wpół do dziewiątej, najpóźniej o dziewiątej.

*

Teraz chmury są po naszej stronie, myśli Art, gdy łódź rybacka mknie przez wzburzone fale. Słucha rytmicznego chlupotu drobnych fal rozbijających się o dziób. Zła pogoda, która uniemożliwiła im operację wywiadowczą, obecnie działa na ich korzyść, ukrywając ich przed wzrokiem obserwatorów na brzegu i w innych łodziach, częściowo na pewno wylądowanych ochroną Barrerów.

Patrzy na mężczyzn siedzących w milczeniu na pokładzie. Ich oczy połyskują w uczernionych twarzach. Palenie zostało zakazane, ale większość z nich nerwowo przygryza niezapalone papierosy. Inni żują gumę. Kilku cicho rozmawia, ale większość siedzi i patrzy w szarą mgłę rozproszoną blaskiem księżyca.

Mężczyźni ubrani są w kamizelki kuloodporne założone na czarne kombinezony, każdy z nich ma własny arsenał, Mac-10 albo czterdziestkę piątkę przy jednym boku i śmiertcionośnie ostrze przy drugim. Kamizelki obwieszane są granatami.

A więc to jest ta „pomoc z zewnątrz”, myśli Art.

Skąd Scachi ich wytrzasnął, do cholery?

*

Callan wie.

To cholerny zjazd klasowy, siedzi tu z chłopakami z Czerwonej Mgły, niektórzy z nich to starzy kumple z Las Tangas, i czeka co będzie.

- Ucięcie dostaw broni dla terrorystów u samego źródła - w ten sposób ujął to Scachi.

Na pokładzie leżą przywiązane trzy zodiaki przykryte brezentem. Na każdej łodzi będzie ośmiu ludzi, a wylądują co piętnaście metrów. Mężczyźni z łodzi lądujących od północy skierują się w stronę większego domu. Załoga trzeciej łodzi zajmie się mniejszą chatą.

Czy w ogóle tam dotrzemy, to dobre pytanie, myśli Callan.

Jeśli Barrerowie zostali ostrzeżeni, trafimy w krzyżowy ogień z kamiennych domów, a złapie on nas na pustej plaży, gdzie jedyną osłoną będzie mgła. Plaża pokryje się ciałami.

A one nie mogą tam zostać.

Sal przedstawił sprawę jasno: nikt nie może tam zostać. Żywi czy umarli, wszyscy mają wrócić na łódzie. Callan zerka na stos pustaków na pokładzie rufowym. „Nagrobki”, nazwał je Sal.

Pogrzeb na morzu.

Nie możemy zostawić w Meksyku żadnych ciał. Cały świat ma myśleć, że ten najazd to robota rywalizującej mafii narkotykowej, która chciała się zemścić na Barrerach. Jeśli któryś da się złapać - a macie się nie dać złapać - to właśnie ma im powiedzieć. Bez względu na to, co wam zrobią. Jakiś lepszy pomysł? Połknijcie swój pistolet. Nie jesteśmy komandosami - nie wrócimy, żeby was odbić.

*

Keller jest na niższym pokładzie.

Silny zapach paliwa wywołuje u niego skurcz w żołądku. A może to z nerwów, myśli Art.

Scachi popija kawę.

- Jak za dawnych czasów, nie, Art?

- Prawie.

- Arthurze, jeśli chcesz odwołać akcję, powiedz tylko słowo.

- Nie chcę.

- Na plaży mamy trzydzieści minut - mówi Sal. - Potem, w ciągu trzydziestu minut będziemy z powrotem na łodzi. Ostatnią rzeczą, jakiej nam trzeba, to spotkanie z meksykańskim patrolem.

- Rozumiem - mówi Art. - Za ile tam będziemy?

Scachi powtarza pytanie kapitanowi łodzi.

Za dwie godziny.

Art patrzy na zegarek.

Na plaży wylądują około dziewiętej.

*

Nora popełnia błąd o 20.15.

Zaczyna zasypiać na stojąco, ale szarpia ją za ramię i prowadzą dookoła pokoju. Potem każą jej usiąść i przychodzi przesłuchujący.

- Przypomniałaś sobie, co oglądałaś tamtej nocy?

- Tak.

Ponieważ muszę się przespać. Muszę zasnąć. Jeśli się prześpię, będę mogła myśleć i zastanowić się nad tym wszystkim. Powiem im cokolwiek, żeby tylko kupić sobie odrobinę

snu. Zyskać trochę czasu.

- Bardzo dobrze. Co?

- „Amistad”.

- Film o niewolnikach.

- Tak.

No, dalej, myśli Nora, przepytaj mnie z treści. Oglądałam ten film. Pamiętam go. Mogę ci o nim opowiedzieć. Pytaj. I odpieprz się.

- W weekendy żadna sieć nie nadaje filmów, więc to musiał być jakiś płatny kanał albo HBO.

- Albo jakaś inna...

- Nie, sprawdziłem. W twoim hotelu mają tylko HBO i płatne kanały.

- Ach.

- No więc, który z nich?

Skąd, do cholery, mam wiedzieć, myśli Nora.

- HBO.

Przesłuchujący ze smutkiem kręci głową, jak nauczyciel, którego uczeń rozczarował.

- Noro, w tym hotelu nie mają HBO.

- Ale przecież mówiłeś...

- Sprawdziłem cię.

- W takim razie to musiał być płatny kanał.

- Tak?

- Tak, teraz sobie przypominam. To był płatny kanał, bo pamiętam, że przyglądałam się tej karcie, która leżała na telewizorze i zastanawiałam się, czy personel wie, jeśli zamawia się pornola. Tak, racja, i... co?

- Noro, mam kopię twojego rachunku. Nie zamawiałaś filmu.

- Nie zamawiałam?

- Nie. A teraz powiedz mi, co naprawdę robiłaś tamtej nocy.

- Już powiedziałam.

- Kłamałaś, Noro. Bardzo mnie rozczarowałaś.

- Wszystko mi się pomieszało, jestem taka zmęczona. Jeśli pozwolisz mi się przespać...

- Jedynym powodem twoich kłamstw jest to, że chcesz coś ukryć. Co ukrywasz, Noro?

Co naprawdę robiłaś tamtej nocy?

Nora zakrywa twarz rękami i łka. Nie płakała od chwili śmierci Juana. Łzy przynoszą jej ulgę.

- Tamtej nocy byłaś gdzieś indziej, prawda?

Kiwa głową.

- Cały czas kłamałaś.

Znowu kiwa.

- Czy teraz mogę iść spać?

- Dajcie jej tuinol - mówi przesłuchujący. - I zawołajcie Raúla.

*

Nora czuje czyjąś rękę na ramieniu.

Najpierw myśli, że to sen, a potem otwiera oczy i widzi stojącego obok niej Adána.

- Kochana - mówi - chodźmy na spacer.

- Teraz?

Adán przytakuje.

Wygląda tak poważnie, myśli Nora. Tak poważnie.

Adán pomaga jej wstać z łóżka.

- Jestem rozmamłana - mówi Nora.

Jest. Ma potargane włosy, a twarz napuchniętą od narkotyków. Adán uświadamia sobie, że nigdy nie widział jej bez makijażu.

- Zawsze wyglądasz ślicznie - mówi jej. - Masz, załóż sweter. Jest chłodno. Nie chcę, żebyś się przeziębila.

Wychodzi z nim w srebrzystą mgłę. Nora jest oszołomiona, więc droga na skalistą plażę zajmuje im trochę czasu. Adán prowadzi ją pod ramię w stronę wody.

*

Raúl wygląda przez okno.

Widzi jak Adán z tą kobietą wychodzą z domku i idą w ciemności. Po chwili znikają we mgle.

Zrobi to? - zastanawia się Raúl.

Przystawi lufę do tej pięknej blond głowy i pociągnie za spust? Czy to ma znaczenie? Jeśli nie on, zrobię to ja. Tak czy siak i tak ja jestem nowym *patrón*, a za nowego szefa wszystko się zmieni. Adán stał się zbyt łagodny. Zawsze był bardziej księgowym - świetnie radził sobie z liczbami, gorzej z mokrą robotą.

Głośnie pukanie do drzwi przerywa jego zamyślenie.

- Czego?

Wchodzi jeden z jego ludzi. Brak mu tchu, jakby biegł po schodach.

- *Soplón* - dyszy. - Mamy wiadomość od Rebollo. Zdobył ją od faceta z DEA,

Wallace'a...

- To Nora.

Mężczyzna potrząsa głową.

- Nie, *patrón*. To Fabián.

Posłaniec wyciąga dowody - zapieczętowany akt oskarżenia, groźba kary śmierci, a potem prawdziwą bombę: kopie przelewów wystawionych przez Kellera na nazwisko Fabiána w bankach na Kostaryce, Kajmanach, a nawet w Szwajcarii.

Setki tysięcy dolarów - zyski z *tobes* ściąganych przez braci Piccone.

- Zawarli z nim umowę - mówi mężczyzna. - *Plata o plomo*.

Wybrał srebro.

*

- Usiądźmy - mówi Adán.

Pomaga Norze usiąść, sam siada za nią.

- Zimno mi - mówi Nora.

Otacza ją ramieniem.

- Pamiętasz tę noc w Hongkongu? - pyta. - Kiedy zabrałaś mnie na Victoria Peak?

Wyobraźmy sobie, że tam jesteśmy.

- Podoba mi się.

- Spójrz tam - mówi Adán. - Widzisz te światła?

- Ty płaczesz, Adanie?

Adán powoli wyciąga pistolet.

- Pocałuj mnie - mówi.

Odwraca jej głowę w swoją stronę i delikatnie całuje w usta, przystawiając lufę do jej głowy.

- Byłaś moją *sonorisa de mi alma* - szepcze i odbezpiecza broń.

Uśmiechem mojej duszy.

*

„Bracie, tak mi przykro. Kiedy ta wiadomość do mnie dotarła, było już za późno. To taka tragedia. Ale zemścimy się na Fabianie, możesz być tego pewny”.

Raúl ćwiczy swoją kwestię.

Teraz trzeba się rozprawić z La Güera, Fabián potem, myśli. Śmierć tej kobiety zniszczy Adána. Nie będzie w stanie trzymać kontroli nad *pasador*.

On jest twoim bratem.

Está chingada, myśli. Niech to szlag.

Odsyła posłańca i zbiega po schodach.

- Adán! Adán! - krzyczy w noc.

Adán słyszy stłumione przez mgłę okrzyki.

Słyszy odgłos stóp na kamieniach, zbliżają się. Zaciska palec na cynglu i myśl: nie pozwolę, żeby on to zrobił.

Przez ramię widzi wysoką postać Raúla wyłaniającą się z mgły jak duch.

Muszę to zrobić.

Zrób to.

*

Art wyskakuje z łodzi, zanim dobiegają do brzegu.

Brnie przez wodę do kostek, potyka się i pada twarzą na plażę. Wstaje i wspina się na zbocze, a wtedy widzi...

Raúla Barrerę.

Biegnącego w stronę...

Adána.

I Nory.

Dystans spory, co najmniej sto metrów, a Art nie strzelał z M-16 w biegu od czasu Wietnamu. Unosi karabin do ramienia, uruchamia noktowizor, prowadzi Raúla przez kilka stóp i naciska spust.

Pocisk trafia Raúla wpół kroku.

Prosto w brzuch.

Art widzi, jak się zgina, kurczy i człapie naprzód.

Wtedy noc staje się jasna.

*

Raúl upada na ziemię.

Wije się na skałach i krzyczy z bólu.

Adán podbiega do niego. Pada na kolana i próbuje go podnieść, ale Raúl jest zbyt silny; jego ból jest zbyt silny i wywija się z rąk Adána.

- *Dios mío!* - krzyczy Adán.

Ręce ma mokre od krwi. Przód koszuli i spodnie, wszystko zaplamione krwią.

Jest ciepła.

- Adánie - jęczy Raúl. - To nie ona. To Fabián. - Potem wyje: - *Dios mío! Dios mío!*

Madre de Dios!

Adán próbuje uspokoić myśli.

Wokół niego świat wybucha. Wszędzie słychać strzały i tupot nóg na skałach. Potem pojawiają się ochroniarze Raúla. Część z nich strzela, kilku próbuje podnieść Raúla.

- Dawajcie samochód! - krzyczy Adán. - Tutaj! Raúl, zawieziemy cię do szpitala.

- Nie ruszajcie mnie!

- Musimy.

Zaczynają odciągać go od plaży, od napastników.

Adán łapie Norę za nadgarstek.

- Chodź!

Obok wybucha granat i odrzuca oboje.

Nora leży nieruchomo kamieniach, z nosa leje jej się krew. Adán coś krzyczy, ale ona nic nie słyszy. Manuel go odciąga. Adán krzyczy i próbuje po nią wrócić, ale *campesino* jest od niego o wiele silniejszy.

Chwytają ją dwaj *sicarios*, ale dwa strzały kładą ich trupem.

Potem znowu widać błysk i zapada ciemność.

*

Art widzi, że Raúl i Adán są odciągani w górę zbocza, do land roverów czekających koło większego domu.

Biegnie w tamtą stronę.

Kule siekają ziemię u jego stóp.

We frontowych drzwiach pojawia się drobny mężczyzna w okularach i zaczyna wbiegać na wzgórze, ale dopada go seria z karabinu i stacza się do tyłu jak komik w niemej komedii ślizgający się na skórkach od bananów.

Za nim drzwi zamykają się i strzały zaczynają padać z okien. Art pada na ziemię i czołga się do Nory. Callan porusza się za nim, toczy się, oddaje parę strzałów, żeby osłonić tę dwójkę, potem znowu się toczy.

Nagle Callan krzyczy:

- Granaty!

Sekundę później przez okno domku śmiga granat i wybucha.

Strzały z domku ustają.

*

Raúl krzyczy z bólu, kiedy jego ludzie układają go na tylnym siedzeniu. Adán wsiada z drugiej strony i kładzie sobie głowę brata na kolanach.

Raúl łapie go za rękę i jęczy.

Manuel wskakuje za kierownicę. Ludzie Raúla chcą go powstrzymać, ale Adán

krzyczy:

- Chcę Manuela! - więc daję mu spokój. Samochód jedzie po plaży, na każdym wyboju Raúl wyje z bólu.

Adán ma wrażenie, że brat zaraz połamie mu kości ręki, ale nie dba o to. Głaszcze Raúla po włosach i mówi mu, żeby się trzymał, że wszystko będzie dobrze.

- *Agua* - mamrocze Raúl.

Adán sięga po butelkę wody w schowku, odkręca ją i przystawia Raúlowi do ust. Raúl przełyka ją i Adán czuje, że woda spływa mu na buty.

Adán ogląda się i patrzy na zbocze.

Widzi leżącą bezwładnie Norę.

- Nora! - krzyczy. - Musimy wrócić!

Ale Manuel go nie słucha. Jedzie na pierwszym biegu autem z napędem na cztery koła i mozolnie wspina się na wzgórze. Za nimi jedzie drugi rover z *sicarios*, którzy osłaniają ich ogniem.

Pociski smugowe latają w nocnych ciemnościach jak robaczki świętojańskie.

Granat trafia w samochód jadący za Adánem i wybucha, rozrzucając we wszystkich kierunkach kawałki rozgrzanej poskręcanej blachy. Wyrzucone w górę płonące ciało kierowcy wiruje w powietrzu jak na pokazie fajerwerków. Drugie ciało wylatuje przez otwarte drzwi samochodu i spada na skały.

Manuel naciska pedał gazu i Raúl wyje.

*

Art widzi, że jeden z roverów wyleciał w powietrze, próbuje dostrzec coś między płomieniami. Widzi, że drugi rover dalej pnie się w górę zbocza.

- Niech to szlag! - krzyczy. Odwraca się do Callana i rozkazuje: - Zostań z nią!

Przekazuje bezwładne ciało Nory Callanowi i zaczyna gonić land rovera. Pociski z większego domu brzęczą mu koło głowy jak komary. Chowa głowę między ramionami i biegnie dalej, obok płonącego rovera i zwęglonych ciał, za drugim dżipem, który przed nim wspina się na wzgórze.

*

Adán widzi go, obraca się i stara ustawić pistolet w pozycji do strzału, ale za każdym jego ruchem Raúl wije się w nowym paroksyzmie bólu. Widzi biegnącego Kellera z przygotowanym karabinem.

Adán strzela.

Obaj mężczyźni chybiają.

Rover jest już na szczycie. Teraz zaczyna zjeżdżać w dół i Raúl krzyczy. Adán obejmuje go mocniej, gdy pojazd nabiera prędkości.

Art stoi na grzbiecie. Jest zgięty w pół, ledwo łapie oddech. Patrzy na znikającego w oddali rovera.

Bierze trzy głębokie oddechy, unosi karabin do ramienia i mierzy w tylną szybę z lewej strony, gdzie ostatnio widział Adána. Nabiera powietrza w płuca i naciska spust na wydechu.

Samochód nie zatrzymuje się.

Art wraca do głównego domu.

*

Ludzie Scachiego wykonują swoje zadanie jak robotnicy, bez pośpiechu. Jeden oddział leży na ziemi i zapewnia osłonę krótkimi, regularnymi seriami, drugi oddział prze naprzód; potem zamieniają się rolami. Po trzech kolejkach jedna z grup znajduje się z boku domu. Przyciska się płasko do kamiennego muru, a inni strzelają w okna. Potem, na sygnał przestają strzelać, a inny człowiek Scachiego przypuszcza szturm na drzwi. Wyłamuje je i rzuca się na ziemię.

Kilku najemników wdiera się do domu.

Trzy szybkie serie, a potem cisza.

*

Art wchodzi do środka.

Krwawa oberża.

Krew jest wszędzie, leżą zabici i ranni, najemnicy Scachiego metodycznie usuwają *sicarios*, którzy balansują między dwoma światami.

Trzej martwi *sicarios* rozciągają się na podłodze w głównym pokoju. Jeden z nich leży twarzą do dołu z dwiema dziurami w tyle głowy. Art robi nad nim krok i przechodzi do sypialni.

Jest tam jedenaście ciał.

Pod ścianą siedzi ranny, ramię ma zalane krwią, nogi rozrzucone przed sobą. Scachi podchodzi do niego i robi zamach stopą, jakby zamierzał strzelić gola z pięćdziesięciu metrów pod wiatr.

Jego but łąduje na jądrach rannego z głośnym łupnięciem.

- Gadaj - mówi Art.

Sicario gada. Adán i Raúl byli tu, razem z La Güera, Raúl został ciężko ranny od kuli.

- No, w każdym razie to dobre wiadomości - mówi Scachi. Przeprowadził tę samą kalkulację, co Art - jeśli Raúl Barrera dostał w brzuch, nie przeżyje. Najlepszy będzie

martwy.

- Możemy ich dogonić - mówi Art Scachiemu. - Są na drodze. Nie ujechali daleko.

- Niby czym chcesz ich gonić? - pyta Scachi. - Masz dzipa?

- Patrzy na zegarek i krzyczy: - Dziesięć minut!

- Musimy za nimi jechać - nalega Art.

- Nie ma czasu.

Mężczyzna wyrzuca z siebie wszystkie informacje - bracia Barrerowie odjechali land roverem do San Felipe po pomoc dla Raúla.

Scachi wierzy mu.

- Na zewnątrz go i zastrzelić.

Art nawet nie mruga okiem.

Każdy zna zasady.

*

Land rover podskakuje na wyboistej drodze.

Raúl krzyczy.

Adán nie wie, co robić. Jeśli każe Manuelowi zwolnić, Raúl wykrwawi się, zanim zapewnią mu pomoc. Jeśli każe mu przyśpieszyć, Raúl będzie cierpieł jeszcze bardziej.

Lewe przednie koło wpada w dziurę i Raúl krzyczy.

- *Por favor, hermano* - mamrocze, kiedy może już złapać oddech. Proszę, bracie.

- O co chodzi, bracie?

Raúl patrzy na niego.

- Wiesz.

Kieruje wzrok na swój pistolet.

- Nie, Raúl, poradzimy sobie z tym.

- Nie... mogę... już... tego... znieść... - dyszy Raúl. - Adánie, proszę.

- Nie mogę.

- Błagam.

Adán patrzy na Manuela.

- Zatrzymaj się - rozkazuje.

Wyciąga pistolet z kabury Raúla, otwiera drzwi od samochodu, ostrożnie wysuwa się spod brata i układa jego głowę na siedzeniu.

Powietrze na pustyni pachnie cierpko szałwią i *hermosillo*. Adán wyciąga pistolet i przystawia go do głowy Raúla.

- Dziękuję, bracie - szepce Raúl.

Adán dwa razy pociąga za spust.

*

Art podąża za Scachim na plażę, gdzie Sal czyni znak krzyża nad ciałami dwóch martwych najemników.

- To byli dobrzy ludzie - mówi Artowi. Dwaj inni najemnicy zanoszą zwłoki na zodiaki.

Art wraca na plażę, gdzie zostawił Norę.

Zatrzymuje się, gdy dostrzega Callana, który niesie kobietę na ramieniu. Blond włosy zwisają jej wzdłuż bezwładnych ramion.

Art pomaga mu przenieść Norę na łódź.

*

Adán nie jedzie do San Felipe, tylko na mały kemping dla wędkarzy.

Właściciel poznaje go, ale udaje niewiedzę, co jest z jego strony bardzo inteligentne. Wynajmuje dwa domki, jeden dla Adána, drugi dla kierowcy.

Manuel bez słów wie, co ma robić.

Parkuje land rovera obok swojego domku i przenosi do łazienki ciało Raúla. Wkłada je do wanny, potem idzie po nóż, jakich używają rybacy i ćwiartuje Raúla, odcina mu dłonie, ramiona, stopy, nogi i na końcu głowę.

Żałują, że nie mogą mu urządzić pogrzebu, na jaki zasługuje, ale nikt nie może się dowiedzieć, że Raúl Barrera nie żyje.

Powstaną plotki, oczywiście, ale dopóki nikt nie będzie miał pewności, czy morderca z *pasador* Barrery zginął, nikt nie odważy się wystąpić przeciwko nim. Kiedy rozejdzie się wieść o jego śmierci, bramy się otworzą i wrogowie ruszą, by wreszcie zemścić się na Adanie.

Manuel wyjmuje scyzoryk i starannie wycina na palcach Raúla skórę z liniami papilarnymi, a kawałki skóry splukuje do odpływu wanny. Potem pakuje kawałki ciała do plastikowych toreb na zakupy i wynosi z łazienki. Umieszcza torby na małej motorówce, napęnia je ołowiem, którego rybacy używają do obciążania sieci, i wypływa daleko w Zatokę. Potem co sto osiemdziesiąt, dwieście siedemdziesiąt metrów wyrzuca torby za burtę.

Przy każdej z nich wygłasza krótkie modlitwy adresowane do Matki Boskiej i Santo Jesúsaa Malverde.

*

Adán stoi pod prysznicem i płacze.

Jego łzy spływają razem z brudną wodą.

*

Art i Shag idą na cmentarz złożyć kwiaty na grobie Erniego.

- Został jeszcze tylko jeden - mówi Art do nagrobka. - Tylko jeden.

Potem jadą do La Jolla Shores i oglądają zachód słońca z baru przy Sea Lodge.

Art podnosi swoją szklankę i mówi:

- Za Norę Hayden.

- Za Norę Hayden.

Stukają się kufłami i w milczeniu patrzą jak ognista kula zanurza się w ocean oświetlając wodę złocistym blaskiem.

*

Fabián wychodzi dumnie z budynku sądu federalnego w San Diego. Sędzia federalny zgodził się na jego ekstradycję do Meksyku.

Ciągle ma na sobie pomarańczowy kombinezon, nadgarstki przykute do pasa, łańcuch wokół kostek, ale pozwala sobie na dumny, olśniewający uśmiech gwiazdora filmowego do Arta Kellera.

- Wyjdę za miesiąc, fujaro - mówi przechodząc koło Arta i wsiada do czekającego vana.

Wiem, myśli Art. Przez sekundę zastanawia się, czy go nie zatrzymać, ale potem myśli: mam to w dupie.

Generał Rebollo osobiście przejmuje opiekę nad Fabiánem Martinezem.

W drodze na odczytanie aktu oskarżenia mówi Fabiánowi:

- O nic się nie martw, ale nie bądź arogancki. Mów, że jesteś niewinny i gęba na kłódkę.

- Zajęli się La Güera?

- Ona nie żyje.

Jego rodzice są w sądzie. Matka szlocha i przytula go; ojciec ściska rękę. Godzinę później za pół miliona dolarów łapówki sędzia zwalnia Juniora Número Uno za poręczeniem rodziców.

Chcą usunąć go z widoku i z Tijuany, więc wywożą go do posiadłości wuja na wsi pod Ensenadą, koło małej wsi El Sauzal.

Następnego ranka Fabián budzi się rano, bo chce mu się sikać.

Wstaje z łóżka, czyli z materaca leżącego na tarasie, i schodzi na dół do łazienki. Śpi na zewnątrz, bo wszystkie sypialnie w domu wuja są zajęte, a poza tym tam jest chłodniej, dzięki wiatrkowi od Pacyfiku. I ciszej - nie słyszy płaczu niemowląt, kłótni, odgłosów seksu, chrapania, i żadnych innych dźwięków produkowanych przez licznych członków zjazdu rodzinnego.

Słońce właśnie wschodzi i na dworze jest już ciepło. To będzie kolejny długi, upalny

dzień w El Sauzal, kolejny gorący, nudny dzień w Ensenadzie, spędzony ze wścibskimi braćmi, ich władczyimi żonami, ryczącymi bachorami i wujem, któremu wydaje się, że Fabián jest kowbojem i chce go koniecznie wsadzić na konia.

Schodzi na dół i czuje, że coś nie gra.

Najpierw nie może sobie uświadomić, o co chodzi, wreszcie załapuje.

Nie chodzi o to, że dzieje się coś szczególnego, tylko właśnie nic się nie dzieje.

Dym.

Z kwater służby poza bramą głównego domu powinien unosić się dym. Słońce już wstało, o tej porze kobiety zwykle przygotowują tortille i nad murami posiadłości powinien już unosić się dym.

Nie widać go.

To dziwne.

Czy dziś jest jakiś wolny dzień? - zastanawia się. Jakieś święto? Raczej nie, bo wuj na pewno by coś wcześniej planował, jego szwagierki klóciłyby się zażarcie o szczegóły menu, a jemu przydzielono jakąś odpowiednią, nudną rolę w całym przedsięwzięciu.

Dlaczego więc nie ma służby?

Potem widzi dlaczego.

Przez bramę wbiegają *federales*.

Musi być ich z tuzin. Noszą swoje charakterystyczne czarne kurtki i czapki, myśli Fabián. O kurwa. Przypomina sobie, co zawsze powtarzał mu Adán, i podnosi ręce do góry. Wie, że to kłopot, z którym można sobie poradzić, ale potem widzi, że dowodzący *federales* powłóczy jedną nogą.

To Manuel Sánchez.

- Nie - mamrocze Fabián. - Nie, nie, nie, nie...

*

Powinien był sam strzelić sobie w łeb.

Ale złapali go, zanim znalazł broń i zmusili, żeby patrzył, co robią z jego rodziną.

Potem przywiązali go do krzesła, potężny mężczyzna stanął za nim i chwycił go za gęste czarne włosy, żeby Fabián nie mógł ruszyć głową, nawet wtedy, gdy Manuel pokazuje mu nóż.

- To za Raúla - mówi Manuel.

Robi krótkie, głębokie cięcie na czole Fabiána, potem łapie za pas skóry i pociąga go do dołu. Stopy Fabiána kopią w kamienną podłogę, kiedy Manuel obdziera ze skóry jego twarz. Pasy skóry opadają mu na pierś jak skórki od banana.

Manuel czeka, aż jego nogi się uspokoją i strzela mu w usta.

*

Dziecko zginęło w ramionach matki.

Art Keller stwierdza na podstawie położenia ciała - jej na górze, dziecka pod spodem - że próbowała osłonić syna. To moja wina, myśli Art.

Tak mi przykro, myśli Art. Tak bardzo, bardzo przykro. Schyla się nad matką z dzieckiem, robi znak krzyża i szepce: *In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti*.

- *El poder del perro* - Art słyszy słowa meksykańskiego policjanta.

Z psych pazurów.

Część piąta

Przejście

13.

Żywe duchy

*Kiedy zdążasz do pana granicy,
musisz przekroczyć tę linię.*

Kris Kristofferson, *Border Lord*

Okręg Putumayo

Kolumbia

1998

Art wchodzi na zniszczone pole koki i strąca z łodyg brązowe, zwiędłe liście.

Umarłe rośliny albo umarli ludzie.

Jestem farmerem na polach śmierci. Bezpłodne plony, które traktowałem tylko kosą.
Moja kraina zniszczenia.

Art jest w Kolumbii na misji zbierania informacji dla komitetu koordynacyjnego. Ma się upewnić, że DEA i CIA będą śpiewały w Kongresie ten sam hymn. Obie agencje i Biały dom próbują wydebić poparcie Kongresu dla planu Kolumbia, pakietu pomocy dla Kolumbii w wysokości miliarda siedmiuset milionów dolarów, żeby zniszczyć handel kokainą u jego źródeł, na polach koki w dżungli, w okręgu Putumayo w południowej Kolumbii. Pakiet pomocy wymaga więcej pieniędzy na defolianty, więcej pieniędzy na samoloty, więcej pieniędzy na helikoptery.

Jednym z tych helikopterów wylecieli z Cartageny do Puerto Asís nad rzeką Putumayo, tuż przy granicy z Ekwadorem. Art przeszedł kawałek w dół rzeki, błotnistej brązowej wstęgi wijącej się przez intensywnie, niemal dusząco zieloną dżunglę i stanął przy chybottliwym pomoście, a tam na długie, wąskie kanoe - główny środek transportu na obszarze, gdzie prawie nie ma dróg - ładowano banany i wiązki drewna opałowego. Javier, jego obstawa, młody żołnierz z Dwudziestej Czwartej Brygady, zbiegł szybko za nim na brzeg. Chryste, pomyślał Art, ten dzieciak ma najwyżej szesnaście lat.

- Nie może pan przepłynąć przez rzekę - powiedział do niego Javier.

Art nawet o tym nie myślał, ale spytał:

- Dlaczego?

Javier wskazał na południowy brzeg rzeki.

- To Puerto Vega. Jest w posiadaniu FARC.

Było jasne, że Javierowi zależy na tym, żeby odciągnąć go od rzeki, więc Art idzie za nim na „bezpieczny” teren. Rząd panuje nad Puerto Asís i północnym brzegiem rzeki, ale na zachód stąd, także po północnej stronie, znajduje się Puerto Caicedo, miasto znajdujące się w rękach FARC.

Ale Puerto Asís leży na terytorium AUC.

Art wie wszystko na temat Autodefensas Unidas de Colombia. Zjednoczone Obronne Siły Kolumbii zostały powołane przez dawnego księcia kokainowego MAS, Fidela Cardonę, ksywa Rambo. Cardona wykorzystywał prawicowe plutony śmierci ze swojego rancza z Las Tangas w północnej Kolumbii jeszcze za czasów, gdy kartel Medellín opływał w dostatki. Potem Cardona zwrócił się przeciwko Pablo Escobarowi i pomógł CIA go wytropić, za co wybaczone mu jego kokainowe przestępstwa. Jaśniejąca, nowa dusza Cardona zajęła się pełnoetatowo „polityką”.

AUC działały w północnej części kraju; przeniesienie ich do okręgu Putumayo to świeża sprawa. Ale kiedy już tu wkroczyły, wkroczyły ostro, i Art wszędzie widzi na to dowody.

W całym Puerto Asís widzi się paramilitarne prawicowe oddziały - w moro i czerwonych beretach krążą w odkrytych ciężarówkach. Zatrzymują wieśniaków i przeszukują ich lub po prostu wymachują maczetami.

Jakby chcieli przekazać *campesinos*, pomyślał Art, że to jest terytorium AUC i możemy zrobić z wami, co nam się podoba.

Javier odstawił go do konwoju wojskowych wozów stojącego na głównej ulicy. Art zauważył Johna Hobbsa, jak stał przy jednym z dżipów i niecierpliwie tupał nogą. Potrzebujemy wojskowej eskorty, żeby dostać się w głąb kraju, pomyślał Art.

- Musimy się pośpieszyć, señor - powiedział Javier.

- Jasne - odparł Art. - Tylko kupię sobie coś do picia.

Upał był nieznośny. Koszula lepiała się Artowi do pleców.

Żołnierz zaprowadził go do małego ulicznego stoiska, gdzie Art kupił dwie puszki ciepłej coli, jedną dla siebie, drugą dla żołnierza. Właścicielka stoiska, starsza kobieta, spytała go o coś szybko w lokalnym dialekcie, ale Art nic nie zrozumiał.

- Ona pyta, jak pan chce zapłacić - przetłumaczył Javier.

- Gotówką czy kokainą.

- Co?

Kokaina jest tutaj jak pieniądz, wyjaśnił żołnierz. Miejscowi noszą przy sobie małe torebeczki proszku na wymianę. Większość ludzi płaci kokainą. Kupują napoje za kokainę, pomyślał Art wyciągając z kieszeni pomięte i wilgotne banknoty. Cola za kokę - tak, wygrywamy tutaj wojnę narkotykową.

Wręczył żołnierzowi jedną puszkę i dołączyli do konwoju. Teraz stoi na zniszczonym polu koki i rozciera kciukiem liść. Jest kleisty. Zaczepia przedstawiciela Monsanto, który krąży wokół niego jak komar i pyta:

- Mieszacie Cosmoflux z Roundupem?

Roundup Ultra to nazwa handlowa glifostatu, który za podszeptem amerykańskich doradców armia kolumbijska rozpyła z samolotów osłanianych przez helikoptery.

Coraz więcej rzeczy się zmienia, myśli Art... najpierw Wietnam, potem Sinaloa, teraz Putumayo.

- Hm, tak, wtedy rośliny są bardziej kleiste - tłumaczy przedstawiciel Monsanto.

- No tak, ale zwiększa również ryzyko zatrucia u ludzi, prawda?

- Cóż, przy większym stężeniu być może tak - mówi facet.

- Ale używamy tutaj małych dawek Roundupu, a Cosmoflux sprawia, że środek działa skuteczniej. Większy efekt za wasze pieniądze.

- Jakie dawki tu stosujecie?

Facet z Monsanto nie wie, ale Art nie odejdzie, dopóki się nie dowie. Draży i draży, aż wreszcie zatrzymują jednego z pilotów, który otwiera zbiornik. Po intensywnym wypytywaniu i licznych naciskach na gościa od napełniania zbiorników, Art dowiaduje się, że dają pięć litrów na akr. Broszury Monsanto podają jako maksymalną bezpieczną dawkę litr na akr.

- Pięciokrotne przekroczenie normy? - pyta Art Johna Hobbsa. - Pięciokrotne?

- Sprawdzimy to - obiecuje Hobbs.

Facet ma już swoje lata. Ja też, myśli Art, ale Hobbs wygląda staro. Siwe włosy ma przerzedzone, skórę niemal przezroczystą, błękitne oczy bystre, chociaż jest jasne, że zbliża się koniec. Nosi marynarkę, nawet w dżungli, nawet w ten skwar. Jest mu wiecznie zimno, myśli Art, tak jak wszystkim starym i umierającym.

- Nie - mówi Art. - Ja to sprawdzę. Pięciokrotne przekroczenie dawki glifostatu, a do tego mieszacie to z Cosmofluxem? Co wy tu chcecie wytruć, zielsko czy całe środowisko?

Ponieważ Art podejrzewa, że wcale nie patrzy na strefę zero wojny narkotykowej, ale na strefę zero wojny przeciwko komunistycznym partyzantom - którzy żyją, ukrywają się i walczą w dżungli.

Jeśli więc zatruje się dżunglę...

A kiedy gospodarze pokazują mu swój „sukces”, tysiące akrów zwiędłej koki, Art dręczy ich tysiącami denerwujących pytań: czy to zabija tylko kokę, czy zatruewa również inną roślinność? Czy to niszczy też rośliny jadalne - fasolę, banany, kukurydzę? Nie? Hm, a co jest na tym polu? Wygląda na kukurydzę. Czy kukurydza nie jest podstawą diety miejscowych ludzi? Co będą jeść, jeśli ich plony zostaną zniszczone?

Ponieważ to nie jest Sinaloa, myśli Art. Nie ma tu książąt narkotykowych, którzy są właścicielami tysięcy akrów. Większość kokainy uprawiają drobni *campesinos*, którzy obsadzają jeden, góra dwa akry. FARC zdziera z nich podatki na swoim terytorium, AUC na swoim. Najgorzej mają *campesinos* mieszkający na obszarze, do którego obie strony roszczą sobie prawa - płacą podwójne podatki od zebranej kokainy.

Patrząc na rozpylające substancje samoloty, pyta, na jakiej wysokości lecą? Trzydziestu metrów? Nawet specjaliści samego Monsanto twierdzą, że rozpylanie z każdej wysokości większej niż trzy metry nie jest zalecane. Czy to nie zwiększa ryzyka skażenia innych roślin? Zwykle wieje tu lekki wiatr - czy defolianty nie zostaną rozniesione po całej okolicy?

- Jesteś w wielkim błędzie - mówi mu Hobbs.

- Ja? - pyta Art. - Chcę, żebyście sprowadzili tu biochemika, który sprawdzi wodę w studniach w okolicznych wsiach.

Zmusił ich, żeby zabrali go do obozu dla uchodźców, gdzie *campesinos* musieli uciec przed opryskami. Na niewielkiej polance w puszczy stoi kilka naprędce skleconych z pustaków budynków i szop o blaszanych dachach. Art żąda, żeby go zaprowadzono do kliniki, gdzie lekarz-misjonarz pokazuje mu dzieci z symptomami, których właśnie się obawiał - chroniczna biegunka, wysypka i problemy z oddychaniem.

- Miliard siedemset milionów dolarów, żeby otruć parę dzieciaków? - pyta Art Hobbsa, kiedy wracają do dżipy.

- Jesteśmy w stanie wojny - odpowiada Hobbs. - To nie czas na histeryzowanie, Arthurze. To także twoja wojna. Mam ci przypomnieć, że ta kokaina wyniosła na szczyt ludzi pokroju Adána Barrery? Że pociski użyte w El Sauzal zostały kupione za forszę z kokainy?

Nie musisz mi tego przypominać, myśli Art.

I któż to może wiedzieć, gdzie jest teraz Adán? Sześć miesięcy po nalocie w Baja, a potem po masakrze w El Sauzal, Adán wciąż jest na wolności. Amerykański rząd wyznaczył dwa miliony dolarów nagrody za jego głowę, ale jak dotąd nikt jej nie zgarnął.

Komu potrzebna forsa, której nie zdąży wydać, bo nie dożyje?

Po godzinie jazdy dojeżdżają do kompletnie opuszczonej wsi. Nie ma tu ludzi, ani

jednej świni, kury, psa.

Nic.

Wszystkie chaty wyglądają na nietknięte, z wyjątkiem większego budynku - na oko wspólnego magazynu - który został całkowicie spalony w środku.

Miasto widmo.

- Gdzie są mieszkańcy? - Art pyta Javiera.

Chłopak wzrusza ramionami.

Art zadaje pytanie oficerowi dowodzącemu.

- Zniknęli - odpowiada. - Musieli uciekać przed FARC.

- Dokąd uciekli?

Tym razem to oficer wzrusza ramionami.

Spędzili noc w małej bazie wojskowej na południe od miasta. Na kolację dostali steki opiekane na palniku benzynowym. Art wykręcił się z imprezy, mówiąc, że idzie się przespać, a potem wymknął się rozejrzeć po bazie.

Jeśli byłeś w jakiegokolwiek bazie polowej, to tak, jakbyś był we wszystkich, myśli Art. Wszystkie wyglądają tak samo, w Wietnamie czy w Kolumbii - polana wycięta w zaroślach, wyrównana i ogrodzona drutem kolczastym, otoczona oczyszczonym z roślinności polem ostrzału.

Ta baza jest podzielona na dwie części, orientuje się Art. Większość zajmuje Dwudziesta Czwarta Brygada, ale znajduje bramę, która oddziela główną część bazy od terenu najwyraźniej przynależnego do AUC.

Idzie wzdłuż wysokiego ogrodzenia z drutu kolczastego i zagląda przez nie.

To obóz szkoleniowy - Art dostrzega strzelnicę i zwisające z drzew słomiane kukły do ćwiczenia walki wręcz. Trening właśnie trwa, żołnierze podczołgują się do kukieł z nożami, jakby podchodzili wartowników wroga.

Art przez chwilę ich obserwuje, potem wraca do swojej kwatery, małego pokoiku na końcu koszar, tuż przy ogrodzeniu. W pokoiku jest okno, szczelnie osłonięte moskitierą, łóżko polowe, lampa zasilana z generatora i, na szczęście, elektryczny wentylator.

Art siada na łóżku. Z jego nosa na betonową podłogę skapuje pot.

Jezu, myśli Art. Ja i AUC. Jestem teraz równy im.

Kładzie się, ale nie może zasnąć.

Godzinę później słyszy delikatne pukanie w szybę. To ten młody żołnierz, Javier. Art podchodzi do okna.

- O co chodzi?

- Pójdzie pan ze mną?

- Dokąd?

- Pójdzie pan ze mną? - powtarza Javier. - Pytał pan, dokąd uciekli ludzie?

- Tak.

- Czerwona Mgła - odpowiada Javier.

Art zakłada buty i wychodzi przez okno. Skrada się pochylony za Javierem i przemykają wzdłuż ogrodzenia, unikając światła reflektorów, aż natykają się na małą furtkę. Strażnik, widząc Javiera, przepuszcza ich. Czołgają się przez pole ostrzału do krzaków. Art idzie za chłopakiem wąską ścieżką, która biegnie w stronę rzeki.

To głupie, myśli Art. To więcej niż głupie. Javier może prowadzić cię prosto w zasadzkę. Oczyma wyobraźni widzi nagłówki gazet: „Szef DEA porwany przez FARC”. Ale idzie dalej. Może wreszcie się czegoś dowie.

Na brzegu rzeki czeka na nich kanoe.

Javier wskakuje do niego i gestem nakazuje to samo Artowi.

- Płyniemy na drugi brzeg? - pyta Art.

Javier kiwa głową i ponagla go machnięciem ręki.

Art wsiada do łodzi.

Płyną przez rzekę zaledwie kilka minut. Art pomaga wciągnąć Javierowi kanoe na brzeg. Kiedy się prostuje, widzi czterech zamaskowanych osobników.

- Brać go - mówi Javier.

- Ty mały sukinsynu - warczy Art, ale mężczyźni chwytają go i prowadzą wzdłuż brzegu rzeki. Wędrówka jest mozolna - wciąż zaplątują się w gałęzie i grube pnącza - ale wreszcie docierają do małej polanki, oświetlonej blaskiem księżyca. Art już wie, dokąd uciekli ludzie.

Na brzegu, jak ryby czekające na oprawienie, leżą bezgłowe ciała. Inne zwłoki z odciętymi głowami zwisają z gałęzi tuż nad wodą. Ich gołe stopy otaczają stada małych rybek. Dalej na brzegu ktoś starannie poukładał głowy i nawet zamknął im oczy.

- To robota partyzantów? - pyta Art.

Jeden z zamaskowanych mężczyzn przecząco kręci głową i opowiada mu historię: wczoraj do wioski wkroczyli żołnierze AUC, zastrzelili młodych mężczyzn, zgwałcili kobiety. Większość tych, co przeżyli, zamknęli w stodole i podpalili, a reszcie kazali patrzeć i słuchać. Potem przeprowadzili ich mostem nad Putumayo, obcięli im głowy piłami łańcuchowymi, a ciała rzucili do rzeki, żeby spłynęły z prądem jako ostrzeżenie dla mieszkańców wiosek w dole rzeki.

- Przyprowadziliśmy tu pana - mówi Javier - bo uważamy, że jeśli pozna pan prawdę, wróci pan do ojczyzny i wszystko tam opowie. Naród amerykański powinien poznać prawdę... niech nie wysyłają tu więcej pieniędzy i naszych żołnierzy.

- Kogo masz na myśli, mówiąc naszych żołnierzy?

- Miejscowe AUC - odpowiada zamaskowany mężczyzna - zostały wyszkolone przez wasze siły specjalne.

Mężczyzna wskazuje zwłoki i mówi czystą angielszczyzną:

- Oto na co idą wasze podatki.

Przez całą drogę powrotną Art nie odzywa się ani słowem.

Nie ma tu nic do powiedzenia.

Po powrocie do bazy odnajduje pokój Hobbsa i wali do drzwi. Staruszek jest nieprzytomny, rozespany. Ma na sobie cienką białą koszulę i wygląda jak szpitalny pacjent.

- Która godzina, Arthurze? Na miłość boską, gdzieś ty był?

- Czerwona Mgła.

- O czym ty mówisz? - pyta Hobbs. - Jesteś pijany?

Ale po jego oczach Art widzi, że mężczyzna doskonale wie, o co mu chodzi.

- Zorganizowaliście w Kolumbii operację o kryptonimie Czerwona Mgła?

- Nie.

- Tylko kurwa nie kłam - mów Art. - To taka operacja Feniks w Ameryce Łacińskiej?

- Zostaw to, Arthurze.

- Szkoliliśmy AUC?

- Każdy dysponuje tylko tymi informacjami, które są mu potrzebne.

- Są mi potrzebne!

Opowiada Hobbsowi, co widział nad rzeką. Hobbs otwiera plastikową butelkę, nalewa sobie wody do szklanki i wypija duszkiem. Art widzi, że ręka mu drży. Potem Hobbs mówi:

- Jesteś wielkim głupcem, Arthurze, i zadziwiająco naiwnym, jak na człowieka z twoim doświadczeniem. To FARC zorganizował te okrucieństwa, żeby zrzucić winę na AUC, wyalienować miejscową populację i wzbudzić międzynarodową sympatię. To powszechnie stosowana sztuczka w walkach z Vietcongiem...

- Czerwona Mgła, Johnie, to właśnie to, prawda?

- Powinieneś to wiedzieć, do cholery - mówi Hobbs. - Robiłeś dokładnie to samo podczas twojego ostatniego małego wypadu do Meksyku. W oczach prawa jesteś masowym mordercą. Siedzisz w tym bardziej niż ktokolwiek z nas.

Art ciężko siada na łóżku i opuszcza głowę. To prawda, myśli. Od momentu, kiedy

ostatnim razem staliśmy w obozie wojskowym w dżungli i sprzedałem swoją duszę za wasz odwet. Kiedy kłamałem i kryłem was, bo potrzebna mi była wasza pomoc w zabiciu Adána Barrery.

Czuje, że Hobbs siada obok niego. Ten człowiek praktycznie nic nie waży; jak opadły, suchy liść.

- Nie myśl o wysuwaniu zastrzeżeń - mówi Hobbs.

Art kiwa głową.

- Oczekuję twojego pełnego poparcia dla planu Kolumbia.

- Będziesz je miał.

Keller wraca do swojego pokoju.

Rozbiera się do bielizny, nalewa sobie szkockiej, siada na łóżku i poci się. Wentylator toczy swój z góry przegrany bój z gorącem. Ale dzielnie się stara, myśli Art. Toczy swoją walkę, dobrą walkę.

Jestem zwykłym współnikiem w tajnej wojnie.

Wojnie narkotykowej. Toczę ją przez całe swoje główniane życie, i po co?

Miliardy dolarów na bezskuteczne próby zatrzymania narkotyków na najbardziej nieszczelnej granicy świata? Jedna dziesiąta antynarkotykowego budżetu idzie na szkolenia i leczenie, a dziewięć dziesiątych z tych miliardów na represje? Żadne pieniądze nie płyną na wyplenianie korzeni problemu z narkotykami. Miliardy wydaje się na trzymanie w więzieniach narkomanów, cele są tak zatłoczone, że musimy przedterminowo zwalniać morderców. Nie wspominając o tym, że dwie trzecie wszystkich przestępstw niezwiązanych z narkotykami w Ameryce popełniają ludzie po alkoholu lub prochach. A my wciąż mamy do zaproponowania te daremne środki - budować więcej więzień, zatrudniać więcej policjantów, wydawać coraz więcej miliardów dolarów, które nie ulecą objawów. Ignorujemy samą chorobę. Większości ludzi na moim terenie, którzy chcą zerwać z narkotykami, nie stać na terapię, chyba że mają ubezpieczenie społeczne. A większość nie ma. A na miejsce w sponsorowanym programie terapeutycznym czeka się dwa lata. Wydajemy natomiast dwa miliardy na niszczenie upraw kokainy i trucie tamtejszych dzieciaków, podczas gdy w kraju nie ma środków na pomoc ludziom, którzy chcą wyjść z nałogu. To jest chore.

Art nie może się zdecydować, czy wojna narkotykowa to niemoralny absurd, czy absurdalna niemoralność. W każdym przypadku to tragiczna, krwawa farsa.

Z naciskiem na krwawa.

Tyle krwi, tyle ofiar. A teraz jeszcze duchy znad Río Putumayo. W pokoju robi się tłoczno.

Art wstaje i podchodzi do okna, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza.

Światło księżyca odbija się w lufie karabinu.

Art pada na podłogę.

Seria z karabinu maszynowego rozrywa moskitierę na strzępy, rozbija w drzazgi ramę okienną, dziurawi ścianę nad łóżkiem. Art przylega płasko do podłogi. Słyszy syrenę alarmową, tupot wielu stóp, szczęk karabinów, zdezorientowane krzyki.

Drzwi do jego pokoju gwałtownie się otwierają i staje w nich oficer z pistoletem w rękach.

- Jest pan ranny, señor Keller?

- Raczej nie.

- Proszę się nie martwić, dopadniemy ich.

Dwadzieścia minut później Art siedzi z Hobbsem w namiocie kantynie i pije kawę, żeby uspokoić nerwy i obniżyć adrenalinę.

- Dalej będziesz walczyć o humanitarne reformy rolne dla FARC? - pyta sucho Hobbs.

Chwilę później wraca oficer z trzema żołnierzami. Wloką młodego mężczyznę - przerażonego, drżącego, który najwyraźniej był bity - i rzucają go Artowi do stóp. Art patrzy w dół na chłopaka. Mógłby być bratem bliźniakiem Javiera. Kurwa, myśli Art, mógłby być moim synem.

- To jeden z nich - mówi oficer i kopie chłopaka w twarz.

- Pozostali uciekli.

Art mówi:

- Proszę go nie...

- Powiedz mu to, co mi powiedziałeś - mówi oficer i kopniakiem rzuca chłopaka twarzą w podłogę. - Powiedz.

Chłopak zaczyna mówić.

Nie jest partyzantem. Jest z FARC. Tamci nie śmieliby zaatakować bazy wojskowej.

- Chcieliśmy po prostu zdobyć te pieniądze - mówi chłopak.

- Jakie pieniądze? - pyta Art.

Chłopak mu mówi.

Adán Barrera obiecał, że zapłaci dwa miliony dolarów temu, kto zabije Arta Kellera.

- FARC i Barrera - mówi Hobbs. - Jedno lichy.

Art nie jest taki pewny.

Jedynym pewnikiem jest to, że on zabije Adána, albo Adán zabije jego. Tylko tak to wszystko może się skończyć.

Sinaloa, Meksyk

San Diego, Kalifornia

Adán też musi żyć z duchami.

Na przykład, duch brata chroni go. Większość ludzi w Meksyku wierzy, że to Raúl dokonał masakry w El Sauzal, że pogłoski o jego śmierci zostały rozpowszechnione, aby obronić go przed policją, a większość Meksykan zbyt się go boi, by zrobić cokolwiek przeciwko drugiemu bratu Barrera.

Ale Adán czuje wyłącznie ból z powodu śmierci brata. I wściekłość, że zabił go Art Keller. Jego brat zasługuje na zemstę, a jego duch nie spocznie w spokoju, dopóki Adán nie rozprawi się z Kellerem.

Jest więc duch Raúla, i jest jeszcze duch Nory.

Kiedy mu powiedzieli, że zginęła, najpierw nie mógł w to uwierzyć. I dalej nie może. Potem pokazali mu nekrolog. Amerykanie twierdzili, że zginęła w wypadku samochodowym w drodze powrotnej z Ensenady. Jej ciało sprowadzono do Kalifornii. Zamknięta trumna miała zatuszować fakt, że została zamordowana.

Że zamordował ją Art Keller.

Adán wyprawił jej odpowiedni pogrzeb w Badiraguato. Przez wieś niesiono krzyż z jej zdjęciem, a muzycy śpiewali *corridos* wychwalające jej odwagę i urodę. Wzniósł jej grobowiec z najlepszego marmuru z inskrypcją TIENES MI ALMA EN TUS MANOS.

Moja dusza jest w Twoich rękach.

Codziennie dawał na mszę za jej duszę, codziennie pojawiały się też w jej imieniu pieniądze w świątyni Santo Jesúsa Malverde.

Każdego dnia na grobie Nory na cmentarzu w La Jolla stawiano świeże kwiaty, w ramach stałego zlecenia dla meksykańskiego kwiaciarza, który wiedział tylko, że ma zanosić tam najpiękniejsze bukiety, a rachunek zostanie uregulowany. Dzięki temu wszystkiemu Adán czuł się odrobinę lepiej, ale prawdziwą satysfakcję osiągnie dopiero wtedy, kiedy ją pomści.

Wyznacza dwa miliony dolarów nagrody dla osoby, która zabije Artę Kellera, i dorzuca sto tysięcy ekstra, żeby nagroda przewyższyła tę, którą zaoferowały Stany Zjednoczone za jego głowę. Może to i głupawa słabostka, ale to sprawa honoru.

I tak jest to bez znaczenia; ma pieniądze.

Ostatnie sześć miesięcy Adán spędził na cierpliwym i drobiazgowym rekonstruowaniu

całej swojej organizacji. Ironią losu, po tych wszystkich wydarzeniach ubiegłego roku jest teraz bogatszy i potężniejszy niż kiedykolwiek.

Teraz komunikuje się ze wszystkimi przez internet, dzięki skomplikowanemu kodowanemu systemowi, którego nawet Amerykanie nie potrafią złamać. Wysyła przez internet polecenia, sprawdza rachunki, sprzedaje towar i przez internet otrzymuje zapłatę. Przenosi swoje pieniądze w mgnieniu elektronicznego oka i pierze je z prędkością dźwięku, nie dotykając nawet jednego banknotu.

Może też zabijać przez internet, i robi to. Wysyła po prostu wiadomość i ktoś znika z fizycznego świata. Nie ma potrzeby osobiście pokazywać się w realu; szczerze mówiąc, byłaby to głupota.

Stałem się duchem samego siebie, myśli Adán, egzystującym w cyberprzestrzeni.

Fizycznie mieszka w skromnym domu pod Badiraguato. Jak to dobrze znaleźć się z powrotem w Sinaloi, z powrotem na wsi wśród *campesinos*. Pola wreszcie zregenerowały się po operacji Kondor - gleba jest odświeżona i odżywiona, a maki kwitną w różnych odcieniach: na czerwono, pomarańczowo, żółto.

Co jest dobrą wiadomością, bo oznacza powrót heroiny.

Do diabła z Kolumbijczykami, FARC, Chińczykami i całym tym gównem. Rynek kokainowy i tak znajduje się na drodze do upadku. W Stanach znowu wzrósł popyt na stare dobre meksykańskie błoto i maki płaczą znowu, tym razem z radości. Wracają czasy *gomerós*, a ja jestem *patrón*.

Wiedzie spokojne życie. Rano pije *café con leche*, którą przygotowuje mu stara *abuela*, a potem siada do komputera, żeby sprawdzić swoje inwestycje, zbadać stan interesów, wydać polecenia. Potem je na lunch zimne mięso i owoce i udaje się na osłonięty balkon na krótką sjęstę. Później idzie na spacer starą gruntową drogą, która przebiega pod domem.

Razem z nim idzie Manuel, który wciąż go pilnuje, jakby istniało jakieś realne zagrożenie. Manuel na pewno jest szczęśliwy, że jest z powrotem w Sinaloi, ze swoją rodziną i przyjaciółmi, chociaż wciąż z uporem mieszka w małej *casita* za domem.

Po spacerze Adán znowu siada do komputera i pracuje aż do kolacji. Później, przy drinku albo piwie, ogląda w telewizji *fútbol* lub boks. Czasem usiadzie na trawniku przed domem i będzie nasłuchiwał dźwięków gitar dobiegających z wioski. Jeśli noc jest spokojna, może nawet odróżnić słowa pieśni - o uczynkach Raúla, o zdradzie El Tiburóna i o tym jak Adán Barrera przechytrzył *federales* i jankesów i nie dał się złapać.

Wcześniej kładzie się spać.

Wiedzie spokojne, dobre życie i byłoby to idealne życie, gdyby nie duchy.

Duch Raúla.

Duch Nory.

Duchy rodziny, z którą pozostaje w separacji.

Teraz komunikuje się z Glorią wyłącznie przez internet. To jedyny bezpieczny sposób, ale boli go, że córka jest teraz dla niego tylko konfiguracją elektronicznych punktów na ekranie. Spotykają się na czacie co wieczór, a ona przysyła mu zdjęcia. Ale ciężko mu z tym, że nie może się zobaczyć z Glorią, ani usłyszeć jej głosu - naprawdę czuje się okropnie - i o to również obwinia Arta Kellera.

I prawdę mówiąc, są jeszcze inne duchy.

Przychodzą, kiedy kładzie się spać i zamyka oczy.

Widzi wtedy twarze dzieci Güera, widzi je, jak roztrzaskują się na skałach. Słyszy ich głosy na wietrze. Nikt, myśli, nie śpiewa o tym pieśni. Nikt nie upamiętnia tej chwili muzyką.

Nie śpiewają też o El Sauzal, ale tamte duchy także przychodzą.

I ojca Juana.

On przychodzi najczęściej.

Łagodnie go beszta. Ale na tego ducha nic nie poradzę, myśli. Muszę się skupić na tym, co mogę zrobić.

Co muszę zrobić.

Zabić Arta Kellera.

Zajmuje się planowaniem zemsty i prowadzeniem interesów, kiedy świat wali mu się na głowę.

Siedzi przy komputerze i odbiera wiadomość od Glorii. Ale tym razem to nie córka jest online, tylko jego żona. Ta wiadomość zabrzmiała jak krzyk.

- Adánie - Gloria miała wylew. Jest w Scripps Mercy Hospital.

- Mój Boże, co się stało?

Może to niezwykle, ale wcale nie taki rzadki przypadek u osoby w jej stanie. Po prostu ucisk na tętnicę szyjną okazał się zbyt duży. Lucía weszła do sypialni i znalazła Glorię nieprzytomną. Ratownicy nie potrafili przywrócić jej do życia. Leży pod respiratorem, robią jej badania, ale lekarze nie dają żadnych nadziei.

Jeśli nie nastąpi cud, Lucía będzie musiała wkrótce podjąć bardzo trudną decyzję.

- Nie odłączaj aparatury.

- Adánie...

- Nie rób tego.

- Nie ma żadnej nadziei. A nawet gdyby odzyskała przytomność, mówią, że będzie...

- Nie mów tego.
- Nie ma cię tutaj. Rozmawiałam z księdzem, on mówi, że etyka dopuszcza...
- Nie obchodzi mnie, co mówi ksiądz.
- Adánie.
- Będę u was dziś w nocy. Najpóźniej jutro rano.
- Nie pozna cię, Adánie. Nawet nie będzie wiedziała, że w ogóle jesteś przy niej.
- Ale ja będę wiedział.
- No dobrze, Adánie. Zaczekam na ciebie. Podejmiemy tę decyzję razem.

*

Dwanaście godzin później Adán czeka w penthousie z widokiem na granicę w San Ysidro. Przez noktowizor sprawdza, czy po meksykańskiej stronie objął już służbę przekupiony strażnik i czy po amerykańskiej stronie obowiązki pełni już skorumpowany agent.

Ma się to stać o dwudziestą drugą, ale jeśli nie nastąpi, zamierza zrobić to i tak.

Ale ma nadzieję, że plan się powiedzie.

Wtedy wszystko przebiegnie łatwiej.

Wciąż nie podejmuje żadnego ryzyka, jeśli nie jest to konieczne; musi dostać się do tego szpitala, więc czeka na zmianę strażników w punktach granicznych. Dzwoni pager. Na małym ekranie pojawia się cyfra 7.

- Dawaj.

Dwie minuty później jest na parkingu na dole, przy lincolnie navigatorze ukradzionym dziś rano w Rosarito i ze zmienionymi tablicami rejestracyjnymi. Zdenerwowany młody człowiek otwiera przed nim tylne drzwi. Ma najwyżej dwadzieścia dwa, trzy lata, myśli Adán. Chłopak oblany jest potem i trzęsą mu się ręce, przez sekundę Adán zastanawia się, czy to z nerwów, czy dlatego, że jest to pułapka, więc mówi:

- Jesteś świadomy, że jeśli mnie zdradzisz, cała twoja rodzina zginie?

- Tak.

Adán wsiada na tylne siedzenie, gdzie drugi chłopak, prawdopodobnie brat tamtego, odsuwa poduszkę siedzenia, pod którą mieści się skrytka. Adán wchodzi do niej, zakłada na nos i usta aparat tlenowy, a siedzenie zostaje nad nim zamknięte. Adán leży w ciemności i słyszy pisk elektrycznej wkrętarki, którą chłopcy przykręcają śruby.

Adán jest zamknięty w pudle.

Czuje się jak w trumnie.

Thłumi w sobie atak klaustrofobii i zmusza do wolnego i spokojnego oddychania. Nie

możesz marnować tlenu, powtarza sobie. Radio podaje, że aktualnie czas oczekiwania na granicy wynosi czterdzieści pięć minut, ale te szacunki mogą być niedokładne. Potem będą jechać jeszcze kilka minut, żeby znaleźć zaciszne miejsce, w którym go wypuszczą.

O ile wszystko pójdzie dobrze.

O ile to nie jest pułapka.

Mogą na przykład, myśli, zgarnąć ogromną nagrodę, jadąc prosto na posterunek policji: zgadnijcie kogo mamy w pudle. Albo jeszcze gorzej, mogą być zatrudnieni przez któregoś wroga i zawieźć go do jakiegoś odludnego kanionu i tam porzucić. Zostawić, aby się udusił albo usmażył na porannym słońcu. Albo mogą wrzucić do baku zapaloną zapałkę...

Nie myśl o tym, mówi sobie.

Myśl, że wszystko pójdzie zgodnie z planem, że chłopcy są lojalni (tak naprawdę mieli zbyt mało czasu, żeby zaplanować zdradę), że przefruniesz przez przekupione punkty graniczne i że za trzy godziny będziesz trzymał Glorię za rękę.

I może jej oczy się otworzą, może nastąpi cud.

Oddycha więc wolniej i czeka.

W trumnie czas płynie wolno.

Jest dużo czasu na myślenie.

O umierającej córce.

O dzieciach zrzuconych z mostu.

Do diabła.

Dużo czasu na myślenie.

Potem słyszy stłumione głosy - strażnik na granicy zadaje pytania. Jak długo byliście w Meksyku? Dlaczego wyjeżdżacie? Czy coś wywozicie? Czy mógłbym zajrzeć do bagażnika?

Adán słyszy dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi.

*

Ruszają dalej.

Adán odczuwa w pudle delikatną zmianę. Może to jego wyobraźnia, a może powietrze rzeczywiście zrobiło się nieco chłodniejsze w środku cuchnącego pojemnika i oddycha mu się łatwiej w miarę jak samochód nabiera prędkości.

Potem znowu zwalnia, a Adán zaczyna obijać się w pudle. Najwyraźniej zjechali w gruntówkę. Wreszcie samochód zatrzymuje się. Adán zaciska rękę na *pistola* za paskiem od spodni i czeka. Jeśli go zdradzili, to nad wiekiem pudła będą stali faceci z pistoletami albo karabinami maszynowymi.

Albo, myśli wruszając ramionami, może nigdy nie podniosą wieka.

Albo właśnie zapalają zapałkę.

Potem słyszy dźwięk elektrycznej wkrętarki, wieko unosi się i widzi nad sobą uśmiechniętych chłopców. Adán zdejmuje aparat tlenowy z nosa i wyciąga rękę, żeby pomogli mu wygrzebać się z pudła.

Stoi sztywno na piaszczystej drodze i widzi zaparkowanego na poboczu białego lexusa. Kolejny uśmiechnięty chłopak z karkiem przyozdobionym tatuażami wręcza mu kluczyki.

- Ty go odpal - mówi Adán.

Ty przekręć kluczyk i ty wyleć w powietrze w kuli ognia i poskręcane go metalu, kiedy pod tobą wybuchnie bomba.

Chłopak blednie, ale kiwa głową, wsiada do lexusa i odpala.

Silnik zaczyna pracować.

Chłopak z gangu wysiada z samochodu i chichocze.

Adán wsiada.

- Gdzie jesteśmy?

Mówią mu. Tłumaczą, jak dostać się na autostradę. Piętnaście minut później parkuje przed szpitalem.

*

Adán idzie przez parking, wyobrażając sobie, że śledzi go tuzin oczu.

Nikt nie wysiada z samochodu, nie widać facetów w niebieskich wiatrówkach z napisem DEA, nikt nie krzyczy i nie każe mu paść na ziemię. Panuje tylko ten smutny nastrój szpitalnego parkingu. Wchodzi do środka i dowiaduje się, że pokój córki jest na siódmym piętrze.

Drzwi windy rozsuwają się.

Lucía siedzi na ławce w holu, pochylona, a po jej twarzy płyną łzy. Adán przytula ją.

- Spóźniłem się?

Kobieta nie może wykrztusić ani słowa, więc przecząco kręci głową.

- Chcę ją zobaczyć - mówi Adán.

Otwiera drzwi i wchodzi do pokoju.

Art Keller mierzy lufą prosto w jego twarz.

- Witaj, Adanie.

- Moja córka...

- Nic jej nie jest.

Adán czuje, że coś ostrego dźga go w plecy.

Potem wszystko znika.

*

Art i Shag umieszczają nieprzytomnego Adána na łóżku na kółkach i wiozą go do kostnicy. Wkładają go do worka, znowu przypinają do łóżka i wiozą do vana z napisem Dom Pogrzebowy Hidalgo. Czterdzieści pięć minut później są już w bezpiecznej odległości.

Nie miał trudności, żeby zmusić Lucię do zdrady męża, może była to najłatwiejsza rzecz, jaką zrobił w życiu.

Mieli ją na oku od kilku miesięcy, obserwowali dom, założyli podsłuch na telefon, monitorowali rozmowy przez komórkę, próbowali złamać cyberkod, w jakim krążyły wiadomości między Adánem a jego córką.

Art docenił ironię, kiedy wreszcie znaleźli klucz.

Numer rachunku bankowego Lucii.

Nie miało znaczenia, w jaki sposób prali pieniądze, Lucía nie mogła wytłumaczyć się ze swoich środków. Koniec historii. Nie pracowała, ale utrzymywała styl życia, który wskazywał na znaczne dochody.

Art podszedł do niej i powiedział jej to wszystko, kiedy wychodziła z luksusowych delikatesów koło ich domu w drogiej dzielnicy Rancho Bernardo. Wciąż jest bardzo atrakcyjna, pomyślał Art, kiedy wychodziła ze sklepu pchając przed sobą wózek. Szczupła sylwetka dzięki pilatesowi trzy razy w tygodniu, doskonała fryzura z dyskretnymi refleksami w kolorze bursztynu prosto z salonu José Ebera przy La Costa.

- Pani Barrera?

Wyglądała na zaskoczoną, potem już tylko zmęczoną.

- Używam panińskiego nazwiska - powiedziała, spoglądając na prezentowaną odznakę.

- Nic nie wiem na temat interesów prowadzonych przez mojego męża. A teraz, proszę mi wybaczyć, muszę odebrać córkę z...

- Jest na liście wyróżniających się uczniów, prawda? - spytał Art z uśmiechem, chociaż czuł się jak jedno wielkie gówno.

- Najlepsze wyniki w angielskim i matematyce? Proszę mi odpowiedzieć na takie pytanie: w jaki sposób będzie się utrzymywać, kiedy pani trafi do więzienia?

Wyłożył jej to wszystko tu, na parkingu pod sklepem: w najlepszym razie pójdzie siedzieć za uchylanie się od płacenia podatków, ale w najgorszym - i myślę, że mogę to załatwić, dodał Art - dostanie wyrok za czerpanie korzyści materialnych z narkotyków, najmarniej trzydzieści lat, a może nawet dożywocie.

- Zajmę pani dom, samochody, konta bankowe - powiedział Art.

- Znajdzie się pani w federalnym więzieniu, a Gloria trafi do opieki społecznej. Myśli

pani, że Medicaid zadba właściwie o jej zdrowie? A może zostać w najlepszej klinice, z najlepszymi lekarzami...

Brawo Art, pomyślał. Wykorzystuj nieuleczalnie chore dziecko jako kartę przetargową. Musiał przywołać sobie z pamięci obraz dziecka w El Sauzal, leżącego w ramionach martwej matki. Lucía sięga do torebki po telefon.

- Dzwonię do mojego adwokata.

- Będzie musiała się pani z nim umówić w federalnym więzieniu w centrum - wyjaśnił jej Art. - Bo właśnie tam teraz jedzie. Proszę posłuchać, mogę posłać kogoś do szkoły, żeby odebrał Glorię i przekazał jej, że mama jest w więzieniu. Zabiorą ją do Polaski Center. Znajdzie tam wielu nowych przyjaciół.

- Jest pan najniższą formą życia ludzkiego.

- Nie - powiedział Art. - Drugą od końca. Za najniższą wyszła pani za męża. Bierze pani od niego pieniądze i nie dba, skąd pochodzą. Chce pani zobaczyć zdjęcia, w jaki sposób Adán zarabia pieniądze dla swojego dziecka? Mam kilka w samochodzie.

Lucía zaczyna płakać.

- Moja córka jest bardzo chora. Ma wiele problemów zdrowotnych, które... Nie zniosłaby...

- Rozłąki z matką - powiedział Art. - Rozumiem.

Pozwolił jej chwilę wszystko przemyśleć, wiedząc, jaką decyzję musi podjąć.

Wytarła oczy.

- Czego pan ode mnie oczekuje? - zapytała.

*

Teraz Art kończy wpisywać coś na laptopie i spogląda na przykutego do łóżka Adána. Barrera otwiera oczy, przytomnieje i uświadamia sobie, że nie budzi się z tego okropnego koszmaru. Kiedy Adán rozpoznaje Artę, mówi:

- Dziwię się, że jeszcze żyję.

- Ja też.

- Dlaczego mnie nie zabiłeś?

Ponieważ jestem zmęczony zabijaniem, myśli Art. Rzygać mi się chce od tej całej krwi. Ale odpowiada:

- Mam co do ciebie inne plany. Co powiesz na federalne więzienie w Marion, w Illinois: dwadzieścia trzy godziny na dobę spędzisz samotnie w celi osiem na siedem, z której nie możesz nawet wyjrzeć. Godzinę dziennie będziesz spacerować w tę i z powrotem, sam, między dwoma murami zwieńczonymi drutem kolczastym i oglądać między nimi pasek

błękitnego nieba. Raz w tygodniu weźmiesz dwuminutowy prysznic. Posiłki będą ci wsuwać przez klapę. Będziesz leżał na metalowej koi z cienkim kocem, a od dwudziestej czwartej do siódmej będzie się paliło światło. Będziesz się załatwiał jak zwierzę do dziury w podłodze na stojąco i wąchał własne gówno i siki, a ja nie będę naciskał na karę śmierci, dostaniesz dożywocie bez możliwości zwolnienia warunkowego. Masz teraz, ile, czterdzieści parę lat? Życzę ci, żebyś żył bardzo długo.

Adán zaczyna się śmiać.

- Teraz chcesz grać zgodnie z prawem, Art? Chcesz mnie zaprowadzić do sądu? Powodzenia, *viejo*. Nie masz żadnych świadków.

Śmieje się i śmieje, i śmieje, i prawie nie czuje żadnego niepokoju, kiedy Art zaczyna się śmiać razem z nim. Ustawia komputer przed Adánem, otwiera monitor i naciska jakieś klawisze.

- Niespodzianka, skurwielu.

Adán patrzy na ekran i widzi ducha.

Nora siedzi na krześle niecierpliwie przerzucając jakieś czasopismo. Potem zerka na zegarek, marszczy brwi i wraca do gazety.

- To było na żywo - mówi Keller i zamyka komputer.

- Myślisz, że na ciebie nie donesie? - pyta Art Adána. - Myślisz, że nie złożę przeciwko tobie zeznań, bo cię tak bardzo kocha? Myślisz, że spędzi resztę swojego życia w pudle, żebyś ty mógł sobie spacerować?

- Oddam swoje życie za jej.

- Takiś kurwa szlachetny?

Art niemal czuje, jak pracuje mózg Adána, jak szumi mały komputer w jego głowie, zestawiając nową sytuację i szukając rozwiązania.

- Możemy zawrzeć układ - mówi Adán.

- Nie masz nic do zaproponowania - odpowiada Art. - W tym cały problem, Adanie, że jak się jest na szczycie, to nie ma kogo prehandlować. Nie masz nic.

- Czerwona Mgła.

- Co?

- Czerwona Mgła - powtarza Adán. - Nie wiesz? Nie, Amerykanie nigdy nic nie wiedzą. Nie tylko narkotyki, które kupujecie są splamione krwią. Podobnie jest z ropą, waszą kawą i waszym bezpieczeństwem. Między nami jest tylko taka różnica, że ja przyznaję się do tego, co robię.

Adán zrobił kilka kopii zawartości teczek Parady. To jasne; tylko idiota by tego nie

zrobił. Informacje zostały złożone w sejfie na Kajmanach i zawierają materiały dowodowe, które mogą doprowadzić do upadku dwóch rządów. Znajduje się tam szczegółowy opis operacji Cerber i współpracy Federación z Amerykanami w wymianie narkotyków za broń z Contrás; są też dane o Czerwonej Mgle, o tym, jak Mexico City, Waszyngton i kartele narkotykowe sfinansowały zabójstwa przedstawicieli lewicy z Ameryki Łacińskiej. Są dowody na to, że zamordowano dwóch urzędników, by sfałszować wybory prezydenckie w Meksyku, oraz na aktywną współpracę Mexico City z Federación.

To wszystko jest w walizce. A w głowie Adán ma jeszcze więcej - szczegółową wiedzę na temat zabójstwa Colosio oraz krzywoprzysięstwa Kellera przed kongresową komisją śledczą w sprawie Cerbera. Może więc Keller załatwi mu dożywocie, a może nie.

Adán przedstawia szczegóły umowy: jeśli nie dojdą do jakiegoś sensownego porozumienia w ciągu trzydziestu sześciu godzin, taśmy i dokumenty trafią do senackiej podkomisji.

- Może i będę gnął w więzieniu federalnym - mówi Adán - ale ty będziesz siedział w sąsiedniej celi.

Nie ma czym handlować? - myśli Adán.

A co z rządem Stanów Zjednoczonych?

- Czego chcesz? - pyta Art.

- Chcę zacząć nowe życie.

Z Norą.

Art patrzy na niego przez dłuższą chwilę. Adán uśmiecha się jak kot na widok śmietanki.

Potem Art mówi:

- Pierdol się.

Ciesz się, że Adán ma te materiały. Ciesz się, że prawda wyjdzie na jaw. Czas wypić nawarzone piwo.

Myślisz, że boję się więzienia, Adanie?

A myślisz, że gdzie teraz jestem, do cholery?

*

Nora odkłada czasopismo i chodzi po pokoju. Robi to często od kilku miesięcy. Najpierw, kiedy odzwyczajali ją od narkotyków, potem, gdy poczuła się lepiej, ze zwykłej nudy.

Setki razy mówiła im, że chce wyjść. Setki razy Brązowooki odpowiadał jej to samo:

- Jeszcze nie jest bezpiecznie.

- Jestem więc więźniem?
- Nie, nie jesteś więźniem.
- Więc chcę stąd wyjść.
- Jeszcze nie jest bezpiecznie.

Jego oczy, to było pierwsze, co zobaczyła tej koszmarnej nocy na Morzu Corteza, kiedy odzyskała przytomność. Leżała na dnie małej łodzi, a kiedy się ocknęła, zobaczyła te brązowe oczy, które bacznie ją obserwowały. Nie tak jak zwykle obserwują ją mężczyźni, bez śladu pożądania, ale z niepokojem.

Para brązowych oczu.

Potem całkiem przyszła do siebie.

Zaczęła coś mówić, ale on tylko potrząsnął głową i położył palec na ustach, jakby uciszał dziecko. Nora próbowała się poruszyć, ale nie mogła - została szczelnie czymś owinięta, czymś ciepłym, jakby za małym śpiworem. Wtedy mężczyzna położył jej na oczach otwartą rękę, jakby chciał jej powiedzieć, żeby jeszcze się przespała. Usnęła.

Nawet teraz wspomnienia z tej nocy pozostają mgliste. Słyszała jak ludzie opowiadali w durnych talk showach o porwaniach przez obcych i to było coś w tym rodzaju, tylko bez sondy kosmicznej i bez eksperymentów medycznych. Pamięta jednak ukłucie igły, i że zawinęli ją w ten śpiwór, ale nie przypomina sobie, żeby się bała, kiedy jej go owinęli wokół głowy, bo zostawili mały otwór, przez który mogła swobodnie oddychać.

Pamięta, że przeniesiono ją na inną łódź, większą, potem do samolotu, a potem było kolejne ukłucie i obudziła się w tym pokoju.

I wciąż tu jest.

- Jesteś tu dla własnego bezpieczeństwa - to wszystko, co mówił. Nie powiedział nawet jak ma na imię, więc nazywała go Brązowookim. Pod koniec tego pierwszego dnia dał jej słuchawkę telefonu.

- To nie potrwa długo - zapewnił ją Art Keller.

- Gdzie jest Adán? - spytała.

- Wymknął nam się - powiedział Keller. - Dopadliśmy za to Raúla. Byliśmy pewni, że nie żyje.

Podobnie jak ty, dodał Keller. Wyjaśnił jej na czym polegał cały podstęp. Chociaż tamci zakładają, że *soplón* to był Fabián Martínez, lepiej będzie, jeśli wszyscy, a szczególnie Adán, będą myśleli, że Nora nie żyje. W przeciwnym razie Adán nie spocznie, dopóki jej nie odbije, albo nie zabije. Podaliśmy do wiadomości, że zginęłaś w wypadku samochodowym, powiedział Keller. Adán oczywiście będzie wiedział, że „zginęłaś” podczas akcji i uzna tę

wiadomość za próbę zatuszowania faktów.

I niech tak będzie.

Dziwnie się czuła, kiedy Brązowooki pokazał jej nekrolog. Był krótki, przedstawiał ją jako organizatorkę imprez i podawał kilka szczegółów dotyczących pogrzebu - godziny ceremonii i takie tam. Zastanawiała się, kto przyjdzie; może ojciec, na pewno naćpany; oczywiście matka; i Haley.

I to by było na tyle.

Chwilowy pobyt tutaj okazał się dłuższym pobytem.

Keller dzwonił raz w tygodniu i informował, że wciąż osacza Adána, że chętnie by ją odwiedził, ale to nie byłoby bezpieczne. To jakaś mantra czy co, myśli Nora. Nie byłoby bezpieczne, gdyby poszła na spacer, nie byłoby bezpieczne, gdyby się wybrała po zakupy, do kina, dokądkolwiek.

Za każdym razem, gdy pyta Brązowookiego o coś takiego, odpowiedź zawsze brzmi tak samo. Patrzy na nią tymi swoimi oczami pluszowego pieska i mówi:

- To nie byłoby bezpieczne.

- Powiedz, czego potrzebujesz - mówi jej Brązowooki - a ja ci to załatwię.

Pewnego rodzaju rozrywką stało się dla niej wysyłanie Brązowookiego na coraz bardziej skomplikowane misje zakupowe. Szczegółowo opisuje mu trudno dostępne, drogie kosmetyki; zleca kupno bluzki w konkretnym odcieniu; wybredne, niemożliwe do zrozumienia przez mężczyznę instrukcje w kwestii ciuchów z jej ulubionych sklepów.

Spełnia wszystkie jej zachcianki z wyjątkiem jednej, sukienki z ulubionego butiku Nory w La Jolla.

- Keller powiedział, że nie mogę tam pójść - tłumaczył się przepraszająco. - To nie byłoby...

- ...bezpieczne - kończy Nora; więc w ramach zemsty wysyła go po babskie akcesoria i bieliznę. Słyszy, jak odpala swój motocykl i odjeżdża z rykiem silnika. Kilka godzin mija jej na wyobrażaniu sobie, jak zaczerwieniony przebija się przez Victoria's Secret i prosi sprzedawczynię o pomoc.

Ale tak naprawdę Nora nie lubi, kiedy go nie ma, bo wtedy zostaje sama z dziwnym trio innych ochroniarzy. Ciągnie tę głupią grę, że niby nie zna ich imion, chociaż ze swojego pokoju może słyszeć ich rozmowy. Najstarszy, Mickey, jest na tyle miły, że przynosi jej herbatę. O-Bop, ten rudy, jest dość dziwny, ale patrzy, jakby chciał się na nią rzucić, do czego jest przyzwyczajona. Ale to nie on ją najbardziej niepokoi - tylko ten gruby, który ciągle wyjada brzoskwinie prosto z puszki.

Wielki Brzoskwinia.

Jimmy Piccone.

Oboje udają, że się nie poznają.

Ale pamiętam cię doskonale, myśli Nora.

Mój pierwszy profesjonalny klient.

Pamięta jego brutalność, brzydotę, to, że wykorzystał ją tak, iż czuła się jak łach, który z siebie zdarł. Bardzo dobrze pamięta tę noc.

Przypomniała sobie również Callana.

Zajęło jej to trochę czasu, zwłaszcza, że kiedy ją tu przywieźli, była ledwo żywa. Ale to właśnie Callan - Brązowooki - ułożył ją na poduszkach, dawał do ssania kostki lodu, kiedy bardzo chciało jej się pić, ale wszystko zwracała, głaskał ją po włosach, gdy wisiała nad kibelem, opowiadał jakieś głupoty, kiedy dręczyła ją bezsenność, czasem całe noce grał z nią w karty, nakłaniał, żeby znowu zaczęła jeść, przyrządzał tosty i rosół z kury i pojechał specjalnie po budyń z tapioki tylko dlatego, że wspomniała, iż to nieźle brzmi.

Dopiero po zakończeniu odtruwania, kiedy poczuła się znacznie lepiej, przypomniała sobie, gdzie go wcześniej widziała.

Mój debiut w świecie dziwek, myśli, moje pierwsze przyjęcie, kiedy weszłam do społeczności prostytutek. Chciałam, żeby to on został moim pierwszym klientem, przypomniała sobie, ponieważ wyglądał miło i łagodnie i spodobały mi się te jego brązowe oczy.

- Pamiętam cię - powiedziała, kiedy wszedł do pokoju z jej drugim śniadaniem, bananem i kilkoma pszennymi tostami.

Był zaskoczony. I onieśmielony.

- Ja też cię pamiętam.

- To było tak dawno.

- Bardzo dawno.

- Wiele się od tamtej pory wydarzyło.

- O tak.

I chociaż nudziło jej się w „izolatce”, jak zaczęła nazywać pokój, tak naprawdę było jej bardzo dobrze. Przywieźli jej telewizor, radio, walkmana, płyty CD oraz cały stos książek i czasopism. Nawet zrobili jej na zewnątrz małą siłownię. Callan i Mickey podnieśli nieco drewniane ogrodzenie, chociaż w okolicy nie było żadnego innego domu i ustawili bieżnię oraz stacjonarny rower. Mogła więc ćwiczyć, oglądać telewizję, czytać i czuła się całkiem nieźle, aż pewnego wieczoru, gdy leżała w łóżku, PBS nadał godzinny program o wojnie

narkotykowej i zobaczyła reportaż z masakry w El Sauzal.

Ścisnęło ją w gardle, kiedy spiker rozważał, czy całą rodzinę Fabiána Martineza - El Tiburóna - wymordowano w odwecie za to, że został informatorem DEA. Zaczęła się trząść, gdy zobaczyła zdjęcia ciał rozrzuconych na tarasie.

Zażądała od Callana, żeby natychmiast połączył ją z Kellerem.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś? - krzyknęła w słuchawkę.

- Uznałem, że będzie lepiej, jeśli się nie dowiesz.

- Nie powinieneś był - szlochała - nie powinieneś był...

Po tym popadła w depresję, leżała odrętwiała na łóżku w pozycji embrionalnej, nie wstawała, nie jadła.

Dziewiętnaście osób, rozmyślała.

Kobiety, dzieci.

Niemowlę.

Za mnie.

Jej opiekunowie byli przerażeni. Callan przychodził do jej pokoju i tylko siedział u stóp łóżka jak pies, nic nie mówił, po prostu siedział, jakby chciał ją ochronić przed bólem, który szarpał ją od środka.

Ale nic nie mógł zrobić.

Nikt nie mógł.

A ona ciągle tak leżała.

Aż pewnego dnia wszedł Callan z poważną miną i wręczył jej telefon.

Art Keller powiedział po prostu:

- Mamy go.

*

Johna Hobbsa i Sala Scachiego również postawiła na nogi wiadomość o schwyтaniu Adána.

- Naprawdę myślałem, że Arthur po prostu go zabije - mówi Hobbs. - Tak byłoby najprościej.

- A teraz mamy problem - mówi Scachi.

- Tak, i to poważny - stwierdza Hobbs. - Mamy tu niezły bałagan. Trzeba z tym zrobić porządek.

Adán Barrera nieżywy, to jedna rzecz. Adán Barrera żywy i gadający, szczególnie w sądzie, to druga. I Arthur Keller... trudno powiedzieć, co mu chodzi po głowie. Nie, najrozsądniej będzie podjąć inne kroki.

John Hobbs siada więc do telefonu.

Dzwoni do Wenezueli.

Sal Scachi zaczyna robić porządki.

*

Czajnik gwizdże.

Ostro, głośno.

- Możesz wyłączyć to kurestwo? - wrzeszczy Brzoskwinia.

- Ty i twoja gówniana herbata!

Mickey zdejmuję czajnik z kuchenki.

- Daj mu spokój - mówi Callan.

- Co?

- Nie mów do niego w ten sposób.

- Hej - wtrąca O-Bop. - Wszyscy jesteśmy rozdrażnieni.

Nie, kurwa, myśli Brzoskwinia. Zamknięci od paru miesięcy z kochanicą Adána Barrery w chałupie na jałowych wzgórzach na północ od granicy. Pieprzona dziwka.

- Mickey, przepraszam, że krzyknąłem, w porzo? - I do Callana: - Może być?

Callan nie odpowiada.

- Chcę tylko zanieść jej herbatę - mówi Mickey.

- Co ty, kurwa, lokaj jesteś? - pyta Brzoskwinia. Nie chce, żeby Mickey przywiązał się do tej kobiety. To podobne do facetów w trudnej sytuacji, jak ta. Stają się sentymentalni, przywiązują do wszystkich istot, które nie chcą ich zabić - myszy, ptaków. Brzoskwinia widywał starych więźniów zalewających się łzami nad karaluchem, który zdechł w ich celi z przyczyn naturalnych.

- Niech ktoś inny zajmie się obsługą. O-Bop wygląda zupełnie jak kelner. Albo nie, Callan, ty to zrób.

Callan wie, o co chodzi Brzoskwini, i mówi:

- Dlaczego sam się tym nie zajmiesz?

- Poprosiłem ciebie - odparowuje Brzoskwinia.

- Herbata stygnie - wtrąca Mickey.

- Nie, nie poprosiłeś - mówi Callan. - Wydałeś rozkaz.

- Panie Callanie, czy byłby pan tak miły i zaniósł tej młodej damie herbatę?

Callan bierze kubek.

- Rany, w jakim gównie przyszło mi się babrać - mówi Brzoskwinia, gdy Callan zbliża się do pokoju Nory.

- Zapukaj - podsuwa Mickey.

- To przecież kurwa - rzuca Brzoskwinia. - Nikt nigdy jej nie widział na golasa?

Wychodzi na werandę, patrzy na grzbiety wzgórz oświetlone blaskiem księżyca i zastanawia się, do czego to, kurwa, doszło, żeby był niańką dziwki.

Callan wychodzi za nim.

- Masz jakiś problem?

- To dupa Barrery - mówi Brzoskwinia. - Mamy ją teraz przeciągnąć na naszą stronę? Powinno się jej obciąć te pierdolone łapy i odesłać mu ją z powrotem.

- Nic ci nie zrobiła.

- Po prostu chcesz ją przelecieć - stwierdza Brzoskwinia. - Powiem ci coś, zrobimy to wszyscy.

Callan powoli kiwa głową.

- Spróbuj ją tylko dotknąć, Jimmy, a dostaniesz kulkę między oczy. Powinienem był to zrobić wiele lat temu, kiedy pierwszy raz zobaczyłem twój tłusty tyłek.

- Chcesz potańczyć, Irlandczyku, ale trochę za późno.

Na werandę wychodzi Mickey i staje między nimi.

- Dajcie spokój, barany. Już niedługo się to wszystko skończy.

Nie, myśli Callan.

Skończy się teraz.

Zna Brzoskwinię, wie, czego się można po nim spodziewać. Jeśli coś mu się ubzdura we łbie, robi to, cokolwiek to będzie. I wie, co sobie teraz myśli Brzoskwinia - Barrera zabił kogoś, kogo kochałem, ja zabiję kogoś, kogo on kochał.

Callan wchodzi do domu, przechodzi obok O-Bopa, puka do drzwi Nory i wchodzi.

- Idziemy - mówi.

- Dokąd? - pyta Nora.

- Zbieraj się - odpowiada Callan. - Załóż buty. Wyjeżdżamy.

Jest zaskoczona jego zachowaniem. Callan nie jest miłutki i nieśmiały. Jest zły, stanowczy, mówi rozkazującym tonem. Nie podoba jej się to, więc przeciąga zakładanie butów, chce mu pokazać, że nie pozwoli sobą rozporządzać.

- Pośpiesz się.

- Zimno.

- Ja jestem zimny - mówi Callan. - Bierz dupę w troki i jazda na motor.

Nora wstaje i gapi się na niego.

- Jakiego koloru troki sobie życzysz?

Jest wstrząśnięta, kiedy Callan łapie ją w pól i wypycha na zewnątrz. Zachowuje się jak typowy cholerny samiec i wcale jej się to nie podoba.

- Hej!

- Nie ma czasu na pierdoły.

Po prostu chcę, żeby z tym skończyć.

Nora próbuje się uwolnić, ale Callan trzyma ją mocno, więc nie ma wyboru i daje się wepchnąć do drugiego pokoju.

- Trzymaj się za moimi plecami.

Wyciąga swoją dwudziestkę dwójkę.

- Co się dzieje? - pyta Nora.

Callan nie odpowiada, tylko ciągnie ją do głównego pokoju.

- Co ty, kurwa, robisz? - pyta Brzoskwinia.

- Wyjeżdżam.

Brzoskwinia sięga po broń ukrytą w kieszeni marynarki.

- Ho ho - mówi Callan.

Brzoskwinia porzuca swój zamiar.

- Callan, co ty robisz? - jęczy O-Bop. Wyciąga rękę w stronę śrutówki, która leży na starej kanapie.

- Nie zmuszaj mnie do drastycznych kroków, Stevie - mówi Callan. To nie byłoby w porządku, biorąc pod uwagę, że to wszystko, całe to gówno, zaczęło się od tego, że próbowałem uratować życie O-Bopowi. - Nie chcę ci zrobić krzywdy.

O-Bop dochodzi do wniosku, że nie chce zostać skrzywdzony, więc nie rusza się z miejsca.

- Dobrze się nad tym zastanowiłeś? - pyta Mickey.

Nie, myśli Callan, w ogóle nad niczym się nie zastanawiałem. Tylko nie chcę, żeby ktoś zabił tę kobietę. Wycofuje się do drzwi, mając Norę cały czas za plecami. Cały czas celuje w starych druhów.

- Jak zobaczę któregoś z was, zabiję.

- Wskakuj - mówi do Nory.

Wsiada na motor.

- Złap mnie w pasie - nakazuje Norze.

Dobrze, że go posłuchała, bo odpalił silnik i wystartował jak rakieta, zostawiając za sobą chmurę pyłu. Wzmacnia jeszcze ten uścisk, kiedy wjeżdżają na gruntową drogę pod górkę, tylne koło ryje w piachu. Callan zatrzymuje motor na szczycie wzgórza, na płaskiej,

zakurzonej ścieżce, wygładzonej przez gwałtowne wichry Santa Ana. Wokół nie ma nic oprócz gęstych zarośli.

- Trzymaj się.

Nora czuje, że spada.

Spływają swobodnie w dół zbocza.

Za nimi pada kilka strzałów.

Callan ignoruje je, skupiając się na prowadzeniu motoru.

Mijają jakąś szopę, kilka samochodów, mężczyzn, którzy biegną do samochodów, sięgają po broń, schylają się, kiedy ołów sieka szyby, ale Nora prawie tego nie widzi, wszystko jest zamazane, ledwo słyszy strzały, świst kul koło uszu, okrzyki przerażenia. Widzi teraz wyłącznie tył kasku Callana. Przyciska się mocniej do jego pleców i trzyma. Czuje się jak w tunelu aerodynamicznym, wiatr próbuje zepchnąć ją z motoru, jadą tak szybko, tak szybko, tak szybko, tak szybko.

Pędzą piaszczystą drogą, teraz zupełnie ciemną, a mrok otacza ją w tym tunelu. Teraz wie, że uciekają, aby ratować życie, to wyścig o życie, musi zdać się na wiatr, zaufać wiatrowi, zaufać temu szaleńcowi z przodu, droga jest wyboista, wstrząsa nimi, nagle lecą, niesie ich wiatr, niesie prosto w niebo. Lecą, lecą oboje do gwiazd, a gwiazdy są takie piękne, zaraz się rozbijają, zaraz umrą, ich krew spryska drogę, zmieszana krew ich obojga. Nora czuje, jak pulsuje jej krew, czuje to, ich krew pulsuje, jakby chciała zbryzgać nocne niebo, a potem lądują, motor wymyka się spod kontroli i wpada w długi poślizg. Nora trzyma się mocno, nie chce umierać sama, chce umrzeć razem z tym facetem, w długim poślizgu prosto do śmierci, długim, powolnym locie w zapomnienie, agonię, a potem nie będzie nic, tylko nicość, spokój. Zawsze myślała, że ulatuje się w niebo, ale spada, ściska go, obejmuje, przytula się, nie pozwól mi umrzeć samej, nie chcę umierać sama, a on skręca i znowu jadą do góry, pędzą, a lodowate powietrze poświsuje jej w uszach, czuje ciepłą skórę na swojej skórze i twarzy. Głęboko wdycha zimne powietrze i, może przysiąc, słyszy jego śmiech poprzez łomot silnika - a może to jej serce? - ale słyszy ten śmiech, jego śmiech i nagle pod kołami robi się gładko, gładko i czarno, kiedy wjeżdżają na asfalt idealnie równej, czarnej amerykańskiej drogi, amerykańskiej autostrady.

Światła autostrady złączą się w ciemności.

Jimmy Brzoskwinia wychodzi na werandę.

Ma świeżo otwartą puszkę brzoskwiń i łyżeczkę, śliczną srebrną łyżeczkę mieniącą się w srebrzystym blasku księżyca. To dobry moment, żeby sobie pomyśleć.

Może Callan planował to od początku, podstępny irlandzki dupek. A może on i ta laska

planowali to razem, cały ten czas, kiedy zanosił jej herbatki. Cały Callan, zawsze samotny wilk.

Sal nie będzie zadowolony. Dzwonił z instrukcjami - przyjeżdżam na spotkanie, chcę się upewnić, że wszyscy są na miejscu. Hm, Scachi dopadnie Callana i zrobi mu wykład na temat robienia przyjaciół w jajo. Zanurza łyżeczkę w puszcze.

Kawałek brzoskwini koziółkuje w powietrze.

Sok pryska na pierś Brzoskwini.

Patrzy w dół, zaskoczony, że jest taki czerwony, kolorem zachodzącego słońca. Nie wiedział, że robią takie brzoskwini. Jego pierś jest cała wilgotna i ciepła. Zastanawia się, dlaczego dziś słońce zachodzi dwa razy.

Następna seria trafia go prosto w szerokie czoło.

O-Bop widzi to wszystko przez okno. Usta ma ułożone w idealne O, kiedy patrzy, jak mózg Brzoskwini wylatuje przez tył jego głowy i ląduje na ścianie. I więcej już nic nie widzi, bo pociski wlatują mu w otwarte usta i wybuchają w korze mózgowej.

Mickey widzi, że O-Bop spływa ze ściany jak wiosenny śnieg i stawia czajnik. Woda właśnie zaczyna wrzeć na dnie czajnika, kiedy w drzwiach staje Sal i dwóch strzelców z karabinami wycelowanymi w niego.

- Sal.

- Mickey.

- Właśnie robię herbatę - mówi Mickey.

Sal kiwa głową.

Czajnik gwizdże.

Mickey nalewa wodę do wyszczerbionego kubka i kilka razy zanurza torebkę z herbatą. Grzechocząc łyżeczką sypie cukier, leje trochę mleka i znowu miesza drżącą ręką, stukając o brzegi kubka.

Podnosi kubek to ust i pociąga łyk.

Uśmiecha się - dobra, gorąca herbata - kiwa głową do Sala.

Scachi zdejmuje go szybko i czysto, a potem robi krok nad jego ciałem i wchodzi do sypialni.

Dziewczyny tu nie ma.

I gdzie jest Callan?

Jego harley zniknął.

Kurwa.

Callan zabrał kobietę i zaczął grać solo, myśli Scachi. Teraz muszę go wytropić.

Ale najpierw trzeba tu posprzątać.

W ciągu kilku godzin jego ludzie założyli w domku laboratorium amfetaminy. Wciągnęli do środka ciało Brzoskwini i całe wnętrze polali czystym kwasem jodowodo wodorowym, potem wyszli na sąsiednie wzgórze i puścili w okno serię zapalającą.

Strażacy mieli tej nocy szczęście - nie było wiatru i pożar w wyniku eksplozji z laboratorium amfetaminy objął tylko około dwunastu akrów suchej trawy i zarośla na wzgórzu. Nie było tak źle; nie jest zły taki pożar, który spala wszystko w jednej chwili.

Wypalając nieco suchej trawy.

W to miejsce wyrośnie nowa trawa.

14.

Sielanka

Miłość jest wszystkim, co mamy, jedynym sposobem, w jaki możemy sobie pomóc.

Eurypides, *Orestes*

Hrabstwo San Diego

1998

Wstają rano i jadą dalej.

- Będą nas szukać - mówi jej Callan.

Żartujesz, myśli Nora. Kiedy wczoraj w nocy wreszcie się zatrzymali, zażądała, żeby natychmiast jej powiedział, co się dzieje.

- Chcą cię zabić - odparł Callan.

Znalazł tani motel niedaleko autostrady i złapali parę godzin snu.

Budzi ją o czwartej i mówi, że muszą jechać. Ale łóżko jest takie miękkie i ciepłe, Nora naciąga koc na twarz i leży jeszcze kilka minut. W każdym razie Callan bierze prysznic - przez tandetną cienką drewnianą ściankę słyszy szum wody.

- Wstanę, jak woda przestanie lecieć - myśli Nora.

Następną rzeczą, jaka do niej dociera, jest ponowne szarpanie za ramię.

- Naprawdę musimy jechać.

Nora wstaje, znajduje przerzucone przez jedyne w pokoju krzesło sweter i dzinsy i zakłada je.

- Będę potrzebowała nowych ubrań.

- Zdobędziemy coś.

Callan patrzy na siedzącą na łóżku dziewczynę i nie wierzy, że jest tu z nim naprawdę. Nie może uwierzyć w to, co zrobił, nie obchodzi go konsekwencje tego czynu, ma to gdzieś. Ona jest taka piękna, nawet teraz, gdy jest zmęczona i wymięta w nieświeżych ciuchach. Ale pachną tak jak ona.

Nora kończy wiązać but, podnosi głowę i napotyka jego wzrok.

O czwartej rano jest zawsze zimno.

Niech to będzie środek lata w środku amazońskiej dżungli - jeśli musisz o czwartej rano

wyjść z łóżka, jest zimno. Callan widzi, że dziewczyna drży, więc oddaje jej skórzaną kurtkę.

- A co z tobą? - pyta.

- Nic mi nie będzie,

Nora bierze kurtkę. Jest na nią za duża, ale zawija rękawy. Stara kurtka jest miękka i ciepła, Nora ma wrażenie, że to jego ramiona ją otaczają, tak jak wczoraj. Mężczyźni dawali jej diamentowe naszyjniki, suknie od Versace, futra. Żadna z tych rzeczy nie wydawała jej się tak dobra, jak ta kurtka. Wsiada na tylne siedzenie motoru i podciąga nieco rękawy, żeby się przytrzymać mężczyzny.

Jadą na wschód międzystanową ósemką.

Drogą jadą głównie ciężarówki i kilka starych pickupów pełnych robotników polowych *mojado*, które zdążają do farm pod Brawley. Callan dostrzega drogowskaz kierujący na Sunrise Highway. To właściwa nazwa, myśli i skręca na północ. Droga ostrymi zakrętami wspina się po stromym południowym zboczu Mount Laguna, obok małego miasteczka Descanso, potem biegnie grzbietem. Na lewo znajduje się gęsty sosnowy las, na prawo, trzydzieści kilometrów poniżej zbocza, rozciąga się pustynia.

Wschód słońca jest przepiękny.

Zatrzymują się i obserwują, jak słońce wynurza się z pustyni, oświetlając ją promieniami zmieniającymi odcień z czerwonego na pomarańczowy, jak rozjaśniają subtelną gamę pustynnych brązów - jasnobrażowy, beżowy, bury i oczywiście piaskowy. Potem wsiadają z powrotem na motor i jadą dalej grzbietem, aż las przechodzi w zarośla, potem w łąkę, wreszcie docierają do jeziora leżącego koło węzła z autostradą siedemdziesiąt dziewięć.

Callan skręca w siedemdziesiątą dziewiątą na południe i jedzie brzegiem jeziora. Docierają do małej restauracji nad samą wodą.

Callan zatrzymuje się przed nią.

Wchodzą do środka.

Lokal jest prawie pusty - kilku rybaków, mężczyźni wyglądający na ranczerów, wszyscy podnoszą wzrok znad talerzy, kiedy zjawia się Callan z Norą. Wybierają stolik przy oknie z widokiem na jezioro. Callan zamawia jajecznicę z dwóch jajek na bekonie i ziemniaki zasmażane z mięsem i cebulą. Nora prosi o herbatę i suchy tost.

- Zjedz coś konkretnego - mówi Callan.

- Nie jestem głodna.

- Jak uważasz.

Nora nie tyka ani herbaty, ani tosta. Kiedy Callan kończy wchłaniać swoje jajka, wychodzą na zewnątrz i idą na spacer brzegiem jeziora.

- Co teraz zrobimy? - pyta Nora.
- Przejdziemy się na drugą stronę jeziora.
- Mówię poważnie.
- Ja też.

Po drugiej stronie jeziora rosną sosny. Wiatr porusza ich migoczącymi igielkami i tworzy na wodzie małe spienione fale.

- Będą mnie szukać.
- Chcesz, żeby cię znaleźli? - pyta Callan.
- Nie - odpowiada Nora. - Przynajmniej przez jakiś czas.

- Tak i ja myślę - mówi Callan. - Chcę po prostu przez jakiś czas pożyć, wiesz? Nie wiem, jak to wszystko się skończy, ale chcę przez jakiś czas żyć. Pasuje ci to?

- Tak - odpowiada Nora. - Bardzo.

Callan podejmuje jednak pewne kroki ostrożności.

- Musimy pozbyć się motoru - mówi. - Będą się za nim rozglądać, poza tym za bardzo rzuca się w oczy.

Kilka kilometrów na południe autostradą siedemdziesiąt dziewięć znajdują nowy środek transportu. Na wschód od drogi przysiadła stara farma. Przed nią znajduje się klasyczne dla białej biedoty podwórze ze starymi samochodami i częściami samochodowymi rozrzuconymi przed zrujnowaną stodołą i kilkoma walącymi się szopami, które niegdyś służyły chyba jako kurniki. Callan zjeżdża w gruntową drogę i zatrzymuje motor przed stodołą, wewnątrz której jakiś facet w nieodłącznej białej czapce z daszkiem grzebie przy mustangu rocznik sześćdziesiąty ósmy. Jest wysoki, chudy, koło pięćdziesiątki, chociaż to trudno stwierdzić, bo twarz zasłania mu czapka.

Callan patrzy na mustanga.

- Ile pan chce za niego?
- Nic - mówi facet. - Ten nie jest na sprzedaż.
- A który jest?

Facet wskazuje na stojącego na zewnątrz zielonego grand ama z osiemdziesiątego piątego.

- Drzwi od strony pasażera nie otwierają się od zewnątrz. Trzeba je otwierać od środka.

Podchodzą do auta.

- Ale silnik działa? - pyta Callan.
- O tak, silnik jest naprawdę dobry.

Callan wsiada i przekręca kluczyk.

Silnik budzi się do życia jak Śpiąca Królewna po pocałunku.

- Ile? - pyta Callan.

- Bo ja wiem? Tysiąc sto?

- Ubezpieczenie?

- Ubezpieczenie, dowód rejestracyjny, tablice, wszystko.

Callan podchodzi do motoru, wyjmując ze schowka pod siodełkiem dwa tysiące dolarów i wręcza je facetowi.

- Tysiąc za samochód. Reszta, żeby zapomniał pan o naszym istnieniu.

Facet bierze pieniądze.

- Hej, jak będziecie chcieli mnie jeszcze zobaczyć, wracajcie tu.

Callan daje Norze kluczyki.

- Jedź za mną.

Jadą siedemdziesiątką dziewiątką na północ do Julian, gdzie skręcają na wschód w siedemdziesiątkę ósemkę i podążają nachylonym, zakrzywionym stokiem ku pustyni, potem płaską równiną. Wreszcie skręcają w gruntówkę i zatrzymują się około kilometra od miejsca, gdzie droga się kończy, u wylotu kanionu.

- Tu powinno być dobrze - mówi Callan, kiedy Nora wysiada z samochodu, mając na myśli to, że ogień nie rozprzestrzeni się stąd przez piasek i być może nikt nie zauważy dymu. Spuszcza trochę benzyny z kanistra i polewa nią harleya.

- Chcesz się z nim pożegnać? - pyta.

- Żegnaj.

Callan rzuca zapalną.

Patrzają na płonący motor.

- Pogrzeb wikinga - mówi Nora.

- Z tą różnicą, że nas nie ma w środku - Callan podchodzi do grand ama, wsiada na miejsce kierowcy i otwiera jej drzwi od środka. - Dokąd chcesz jechać?

- W jakieś miłe, spokojne miejsce.

Callan zastanawia się na tym. Jeśli ktokolwiek odkryje resztki motoru i powiąże je z nami, pomyśli, że pojechaliśmy na wschód, przez pustynię, żeby załapać się na jakikolwiek lot do Tuscon, albo Phoenix, a może Las Vegas. Dlatego po powrocie na autostradę skręca na zachód.

- Dokąd jedziemy? - pyta Nora. Tak naprawdę wszystko jej jedno; jest po prostu zdziwiona.

I dobrze, bo Callan odpowiada:

- Nie wiem.

Naprawdę nie wie. Nic nie przychodzi mu do głowy, więc jedzie przed siebie. Rozkoszuje się krajobrazem, rozkoszuje się byciem z nią. Wspinają się tą samą drogą, którą zjechali, w góry, do małego miasteczka Julian.

Przejechali przez nie - nie życzyli sobie towarzystwa innych ludzi - a potem droga zaczęła znowu opadać na zachód, w stronę przybrzeżnej równiny. Pojawiły się pola i sady jabłkowe oraz końskie rancza. Zjeżdżali z łagodnego zbocza, z którego roztaczał się piękny widok na dolinę w dole.

Na środku doliny krzyżowały się drogi biegnące na północ i na zachód. Znajdowało się tu kilka budynków - poczta, sklep, restauracja, piekarnia i na północnym stoku (niewiarygodne) galeria sztuki, stary sklep wielobranżowy i kilka wiejskich domostw po stronie południowej. Z tyłu po obu stronach nie ma nic. Tylko droga przecinająca rozległe łąki, na których pasie się bydło.

- Jak tu pięknie - mówi Nora.

Callan wysiada z auta na zwirowym podjeździe za domem. Idzie do sklepu, w którym można kupić i książki, i sprzęt ogrodniczy i po kilku minutach wychodzi z kluczem.

- Mamy pokój na miesiąc - mówi. - Chyba, że ci się nie spodoba. Wtedy odbiorę pieniądze i pojedziemy gdzie indziej.

Dostali mały frontowy pokój ze starą sofą, kilkoma krzesłami, stołem i małą kuchnią z palnikiem gazowym, starą lodówką i zlewem z szafkami powyżej. Drzwi prowadzą do małej sypialni z jeszcze mniejszą łazienką - prysznic, bez wanny - z tyłu.

Nie będziemy się tu musieli szukać, o nie, myśli Nora.

Callan stoi niepewnie w drzwiach wejściowych.

- Dla mnie w porządku - mówi Nora. - A dla ciebie?

- Mnie się podoba - zamknął za sobą drzwi. - Aha, tak w ogóle nazywamy się Kelly. Ja jestem Tom, a ty Jean.

- Nazwałeś mnie Jean Kelly?

- Kurczę, nie pomyślałem.

Nora bierze prysznic, przebiera się i jadą z powrotem do Julian do sklepu z ubraniami. Wzdłuż głównej ulicy mieszczą się przede wszystkim knajpki sprzedające ciasto z jabłkami, miejscową specjalność, ale jest też kilka butików, gdzie Nora kupuje parę sukienek i sweter. Ale większość ubrań kupili w sklepie ogrodniczym, w którym dostają dzinsowe koszule, spodnie skarpety i bieliznę.

Na końcu ulicy Nora znajduje księgarnię z antykwariatem i wybiera sobie *Annę*

Kareninę, Middlemarch, The Eustace diamonds Trollope'a i kilka romansów Nory Roberts - grzeszne przyjemności.

Potem zawrócili do marketu po drugiej stronie autostrady i zrobili zakupy spożywcze - pieczywo, mleko, kawa, herbata, Raisin Bran (jego ulubione płatki), winogronowo-orzechowe (jej ulubione), bekon, jajka, chleb na zaczynie, kilka kotletów, kurczaka, ziemniaki, ryż, szparagi, zieloną fasolę, pomidory, grejpfruty, ciemny ryż, ciasto jabłkowe, butelkę czerwonego wina i kilka piw - oraz inne różności - papierowe ręczniki, płyn do zmywania, papier toaletowy, dezodorant, pastę do zębów, mydło, szampon, maszynkę i krem do golenia, farbę do włosów i nożyczki.

Zgodzili się, że muszą podjąć pewne środki ostrożności - nie zamkną się w czterech ścianach, ale też nie będą niepotrzebnie ryzykować. Dlatego spalili harleya i dlatego Nora obcięła swoje długie do ramion włosy. Callan wyglądał całkiem zwyczajnie, ona nie. Pierwszą rzeczą, o jaką zapytają ludzi ścigający ich, będzie oszałamiająco piękna blondynka.

- Już nie będę piękna - mówi Nora.

- Będiesz, będziesz.

Wracają więc do pokoju i Nora ścina włosy.

Na krótko.

Po wszystkim patrzy w lustro i mówi:

- Joanna d'Arc.

- Mnie się podoba.

- Kłamca.

Ale kiedy dłużej przygląda się sobie w lustrze, jej też zaczyna się podobać. Jeszcze bardziej po ufarbowaniu włosów na rudo. W każdym razie, myśli, będzie przy nich mniej roboty. Mam krótkie, krótkie rude włosy, dzinsową koszulę i spodnie. Kto by pomyślał?

- Twoja kolej - mówi Nora, tnąc nożyczkami w powietrzu.

- Nie ma mowy.

- I tak powinieneś się ostrzyc. Masz fryzurę z lat siedemdziesiątych. Chodź no tu, załatwię to.

- Nie.

- Tchórz.

- Tak jest.

- Faceci płacili mi za to mnóstwo kasy.

- Za obcięcie włosów? Żartujesz.

- Hej, za drzwiami jest wielki świat, Tommy.

- Ręce ci się trzęsą.

- Tym bardziej więc siedź spokojnie.

Callan pozwala jej się ostrzyć. Siedzi grzecznie na krześle, podziwia jej i swój nowy image. Nora stoi za nim i macha nożyczkami, brązowe loki spadają mu na ramiona, a potem na podłogę. Kiedy kończy, patrzy na ich odbicie w lustrze.

- Nie mogę nas poznać - mówi. - A ty?

Nie, myśli Callan, też nie.

Wieczorem Callan gotuje rosół dla Nory, a sobie przyrządza kotleta z ziemniakami. Siedzą razem przy stole, jedzą i oglądają telewizję, a kiedy w wiadomościach informują o wybuchu w laboratorium amfetaminy i odnalezionych ciałach, nic jej nie mówi, ponieważ lepiej, żeby nie wiedziała.

Próbuje odczuć jakąś przykrość z powodu Brzoskwini i O-Bopa, ale nie potrafi. Oni też wysłali wielu ludzi na tamten świat i powinieneś wiedzieć, że tacy jak oni zawsze kończą w ten sposób.

Ja pewnie też tak skończę.

Za to jest mu przykro z powodu Mickeya.

Jednak ta wiadomość świadczy o tym, że Scachi będzie ich tropił.

Nora ma ciężką noc - nie może zasnąć i nie chce widzieć tego, co ciągle ma przed oczami. Callan wie, o co chodzi - sam też ma wiele podobnych obrazów przed oczami. Z tym, że może ja jestem bardziej zahartowany.

Leży więc obok niej i opowiada irlandzkie historyjki, które zapamiętał z dzieciństwa. Trochę pamięta, trochę dopowiada z głowy, co nie jest bardzo trudne w przypadku opowieści o wrózkach i krasnoludkach.

Baśnie i bajki.

Wreszcie około czwartej Nora zasypia, on też, z ręką zaciśniętą pod poduszką na dwudziestce dwójce.

Nora budzi się głodna.

Nie do wiary, myśli Callan, i przechodzą na drugą stronę autostrady do restauracji. Nora zamawia omlet z serem i małą kiełbaską oraz żytni tost grubo posmarowany masłem.

- Życzy sobie pani amerykański ser, cheddar albo jack? - pyta kelner.

- Tak.

Je jak skazaniec.

Pochłania omlet, jakby to był jej ostatni posiłek, jakby na zewnątrz czekali na nią, by zaprowadzić ją na ostatni spacer do Old Sparky. Callan tłumy uśmiech, patrząc, jak

wymachuje widelcem niczym bronią - kielbaska nie ma szans - i nie mówi jej o grudce masła w kąciku ust.

- Nie smakowało ci? - pyta ją.

- Było wyśmienite.

- Zamów dokładkę.

- Nie!

- Bułeczkę z cynamonem?

- Niech będzie.

- Świeżo upieczone dziś rano - mówi kelner, stawiając między nimi ogromne ciastko i dwa widelczyki. Nora wychodzi na chwilę i wraca z dzisiejszym wydaniem „The San Diego Union-Tribune”. Przegląda prywatne ogłoszenia.

„Do Kim od siostry. Pilna sprawa rodzinna. Szukam cię wszędzie. Skontaktuj się ze mną jak najszybciej”. I numer telefonu. Typowe dla Kellera, myśli Nora, zabezpieczanie wszystkich wariantów tak na wszelki wypadek. W tym wypadku jestem wolnym agentem na wycieczce z własnej woli. Arthur chce więc, żebym się pojawiła.

Nic z tego, Arthurze. Przynajmniej na razie.

Jeśli chcesz czegoś ode mnie, musisz mnie znaleźć.

*

Art bardzo się stara.

Uruchamia wszystkie swoje siły. Na lotniskach, stacjach kolejowych, dworcach autobusowych i w portach. Sprawdzają listy pasażerów, rezerwacje, punkty kontroli paszportowej. Ludzie Hobbsa kontrolują rejestry imigrantów we Francji, Anglii i Brazylii. Wiedzą, że działają na ślepo, ale pod koniec tygodnia jedna rzecz wydaje się pewna: Nora Hayden nie wyjechała z kraju - przynajmniej nie z własnym paszportem. Nie korzystała ze swoich kart kredytowych, ani z komórki, nie próbowała dostać pracy, nie została zatrzymana za żadne wykroczenie drogowe, ani nie wykorzystała swojego numeru ubezpieczenia, żeby wynająć mieszkanie.

Art przypuszcza atak na Haley Saxon i grozi jej wszystkim, od pogwałcenia ustawy Manna i prowadzenia domu rozpusty do współnictwa w próbie morderstwa. Uwierzył więc jej, kiedy przysięgła, że nie miała wiadomości od Nory i że zadzwoni do niego natychmiast, gdy Nora się do niej odezwie.

Ani jego nasłuch na granicy, ani Hobbsa poza nią nie złapał tropu.

Art ściąga faceta od rekonstrukcji wypadków, żeby zmierzył głębokość śladów opon motocykla Callana. Gość odprawia jakieś czary w piachu i mówi Artowi, że motorem na

pewno odjechało dwoje ludzi i ma nadzieję, że pasażer trzymał się mocno, bo jechali bardzo szybko.

Callan nie mógł jej daleko wieźć w ten sposób, dochodzi do wniosku Art. Nie zabrał swojej branki do samolotu, pociągu, ani autobusu, a podczas jazdy motorem jest zbyt wiele możliwości ucieczki - na stacji benzynowej, na czerwonym świetle, na skrzyżowaniu.

Art zawęży obszar poszukiwań do zasięgu jednego baku benzyny od skrzyżowania gruntówki i drogi 1-8. Szuka Harleya-Davidsona Electra Glide.

Znajduje go.

Helikopter straży granicznej szukający nad Anza-Borrego *mojados* namierza ślady po ogniu i ląduje, żeby to sprawdzić. Raport trafia prosto do Arta - jego ludzie monitorują wszystkie radiowe rozmowy pograniczników, więc dwie godziny później ma tam swojego człowieka w towarzystwie sprzedawcy harleyów, nad którym wisi wyrok za posiadanie amfetaminy. Gość ogląda zwęglone resztki i niemal ze łzami w oczach potwierdza, że to ten sam model, którego szukają.

- Jak można zrobić coś takiego? - jęczy.

Nie trzeba być Sherlockiem Holmesem - nie trzeba być, kurwa, nawet Larrym Holmesem - by zauważyć, że za motorem przyjechał tam samochód, ktoś z samochodu wysiadł, a potem wszyscy z powrotem wsiedli do samochodu i odjechali z powrotem na autostradę.

Rekonstrukcja wydarzeń trwa więc nadal. Mierzenie głębokości kolein i szerokości opon, robienie odlewu śladu opon, grzebanie w piasku i Art już wie, że szuka małego dwudrzwiowego sedana z automatyczną skrzynią biegów na starych oponach firestones.

- Jest coś jeszcze - mówi mu facet ze straży granicznej. - Drzwi od strony pasażera są zepsute.

- Skąd, do cholery, to wiecie? - pyta Art. Agenci straży granicznej są ekspertami w czytaniu śladów. Szczególnie na pustyni.

- Z odcisków stóp przy drzwiach pasażera - mówi mu agent.

- Kobieta zrobiła krok do tyłu, aż facet otworzył jej drzwi.

- Skąd wiadomo, że to kobieta? - spytał człowiek Arta.

- To odciski damskich butów - odpowiada agent. - Ta sama kobieta prowadziła auto. Wysiadła od strony kierowcy, podeszła do miejsca, w którym stał facet, stali i patrzyli. Proszę zobaczyć, odcisk pięty tu, gdzie stała kilka minut, jest głębszy. Potem podeszła do samochodu od strony pasażera, a on wsiadł na miejsce kierowcy i otworzył jej drzwi.

- Możecie stwierdzić, jaki rodzaj obuwia nosiła kobieta?

- Ja nie - mówi agent. - Ale założę się, że ma pan ludzi, którzy to potrafią.

Tak, ma, facet jest na pokładzie helikoptera i będzie tu za pół godziny. Zrobi odlew buta i odda do laboratorium. Po czterech godzinach dzwoni do Arta z wynikami.

Tak, to jej buty.

Jest z Callanem.

Najwyraźniej z własnej woli.

Artowi w głowie się to nie mieści. Co my tu mamy, zastanawia się, zaawansowany przypadek syndromu sztokholmskiego¹³, czy coś innego? I chociaż dobre wieści są takie, że Nora żyje, przynajmniej żyła kilka dni temu, złe są takie, że Callan wyjechał poza obręb poszukiwań. Znajdował się w jadącym na wschód samochodzie z „branką”, która co najmniej z nim współpracuje. Teraz może być wszędzie.

A Nora jest razem z nim.

- Pozwól mi się tym zająć - mówi Sal Scachi do Arta. - Znam tego faceta. Potrafię to z nim załatwić, jak go znajdę.

- Ten facet zabił trzech swoich starych kumpli i porwał kobietę, a ty twierdzisz, że sobie z nim poradzisz? - pyta go Art.

- Spokojnie - mówi Scachi.

Keller niechętnie się zgadza. To ma sens - Scachi był naprawdę blisko z Callanem, a Art nie popchnie dalej śledztwa, nie zwracając na siebie uwagi. A on chce, żeby Nora wróciła. Wszyscy chcą; bez niej nie mogą rozprawić się z Adánem Barrerą.

*

Ich dni przekształciły się w przyjemną rutynę.

Nora i Callan wstają wcześniej rano i jedzą śniadanie, czasem w domu, czasem w knajpce za autostradą. On zwykle zamawia bombę cholesterolową, ona dietetyczne płatki owsiane i suche tosty, ponieważ w lokalu nie serwują owoców na śniadanie, z wyjątkiem niedziel. Podczas śniadań niewiele rozmawiają; żadne z nich nie jest bardzo rozmowne wczesnym rankiem. Zamiast rozmawiać, przeglądają prasę.

Po śniadaniu zwykle jadą na przejażdżkę. Zdają sobie sprawę, że nie jest to z ich strony najmądrzejsze - najrozsądniej byłoby zaparkować samochód w wiosce i go porzucić - ale oboje wciąż znajdują się w fatalistycznym stanie umysłu i lubią sobie pojeździć. Callan znalazł jedenaście kilometrów na północ od autostrady siedemdziesiąt dziewięć jezioro - jedzie się tam przepiękną trasą przez obsadzone dębami łąki i pofalowane wzgórza, mając po

¹³ Syndrom sztokholmski - stan psychiczny, który pojawia się u ofiar porwania lub u zakładników, wyrażający się odczuwaniem sympatii i solidarności z osobami je przetrzymującymi.

zachodniej stronie drogi wielkie rancza, a z drugiej strony rezerwat Kumeyaay. Potem wzgórza przechodzą w płaską równinę porośniętą trawą, ze wzgórzami na horyzoncie od południa (na szczycie najwyższego, jak gigantyczna piłka, przycupnęło obserwatorium Palomar) z wielkim jeziorem pośrodku.

Nie jest jakieś szczególne - ot, zwykłe owalne lustro wody na środku równiny - ale to jezioro, wokół którego mogą spacerować i lubią to. Zwykle na wschodnim brzegu pasie się stado biało-czarnych krów rasy holsztyńskiej i Nora lubi je obserwować.

Czasem parkują przy jeziorze i obchodzą je dookoła; innym razem jadą na pustynię rozciągającą się za Ranchita do Culp Valley, gdzie leżą rozrzucone ogromne głazy, jakby olbrzym nagle przerwał grę w kulki i nigdy nie wrócił ich posprzątać. A czasem jadą na wzgórze do Inaja Peak, gdzie parkują i wspinają się do punktu widokowego, z którego patrzą na górskie grzbiety i, na południu, na Meksyk.

Po powrocie jedzą lunch - on indyka albo kanapkę z szynką, ona owoce, które kupiła w markecie - i odbywają długą sjęstę. Nora dopiero teraz uświadamia sobie, jak zmęczona była, niczym sflaczała opona, i jak wiele snu potrzebuje jej organizm. Zasypia od razu, gdy przyłoży głowę do poduszki.

Po sjęście zwykle po prostu się objijają albo w pokoju, albo - jeśli jest ciepło - na małej werandzie. Nora czyta książki, Callan słucha radia i przegląda czasopisma. Późnym popołudniem wychodzą do sklepu po zakupy na kolację. Nora lubi takie zakupy na jeden posiłek, ponieważ przypomina jej to Paryż. Przepytuje faceta w stoisku mięsnym, co poleciłby danego dnia.

- Gotowanie to w dziewięćdziesięciu procentach zakupy - mówi Callanowi.

- Ach tak.

Callan myśli, że Nora lubi zakupy i gotowanie bardziej niż samo jedzenie, ponieważ potrafi spędzić dwadzieścia minut wybierając najlepsze mięso na stek, a potem zje może dwa kęsy. Albo trzy, jeśli to kurczak lub ryba. I jest niezwykle wybredna, jeśli chodzi o warzywa, które je na tony. I chociaż jemu kupuje ziemniaki („Wiem, że jesteś Irlandczykiem”), sama preferuje brązowy ryż.

Gotują razem. Stało się to rytuałem, który Callan bardzo lubi. Krzątają się we dwoje po małej kuchence, siekają warzywa, obierają ziemniaki, rozgrzewają oliwę, przygotowują mięso lub gotują makaron, i rozmawiają. Rozmawiają o wszystkim - o filmach, Nowym Jorku, sporcie. Nora opowiedziała mu trochę o swoim dzieciństwie, Callan o swoim, ale najgorsze bagno pomijają. Nora opowiada mu o Paryżu - o jedzeniu, sklepach, kawiarniach, rzece, światłach.

Nie rozmawiają o przyszłości.

Nie rozmawiają nawet o teraźniejszości. Co tu do cholery robią, kim są, kim są dla siebie. Nie uprawiają seksu, nawet się nie całują, i żadne z nich nie wie, czy „na razie”, czy w ogóle. Nora po prostu wie, że to drugi mężczyzna w jej życiu, który nie chce jej tak po prostu przelecieć, i być może pierwszy, z którym chciałyby to zrobić. Po prostu wie, że jest z nią, i to jej wystarcza.

Wystarczy, by żyć.

*

Scachi jedzie Sunrise Highway, kiedy zauważa to miejsce - chylącą się ku ruinie farmę, która wygląda jak komis używanych samochodów. Co to kurwa jest, myśli Scachi, i zjeżdża z autostrady.

Powoli nadciąga wieśniak w czapeczce.

- Coś pomóc?

- Może tak - mówi Scachi. - Sprzedaje pan te złomy?

- Ja tylko sobie przy nich grzebię - odpowiada facet.

Ale Scachi dostrzega błysk niepokoju w oczach mężczyzny i ryzykuje.

- Sprzedał pan niedawno auto, w którym nie otwierały się drzwi pasażera?

Oczy mechanika robią się okrągłe niczym w telewizyjnych programach o świrach, jakby mówiły: „Skąd o tym wiesz?”

- Kim pan jest? - pyta.

- Bez względu na to, ile ci zapłacili, żebyś trzymał gębę na kłódkę - mówi Scachi - ja ci zapłacę jeszcze więcej, żebyś ją otworzył. W przeciwnym razie zabiorę ci dom, ziemię, wszystkie twoje samochody i zdjęcie Richarda Petty'ego z autografem, a ciebie wsadzę do pierdła i będziesz tam siedział, dopóki Chargers nie wygrają Super Bowl, czyli pewnie do końca życia.

Wyciąga plik banknotów i zaczyna je odliczać.

- Powiedz, kiedy będzie dość.

- Jest pan gliną?

- I jeszcze czymś więcej - mówi Scachi, Wciąż odliczając banknoty. - Długo jeszcze?

Tysiąc pięćset dolców.

- Już prawie.

- Jesteś jednym z tych cwaniaczków? - pyta Scachi. - Chcesz wycyckać miejskiego frajera? Tysiąc sześćset to i tak duża marchewka, przyjacielu, a ty nie chcesz oglądać kija.

- Grand am rocznik osiemdziesiąty piąty - mówi mężczyzna, chowając pieniądze do

kieszzeni. - Zielony.

- Numery?

- 4ADM045.

Scachi kiwa głową.

- A teraz powiem ci dokładnie to samo, co tamten gość. Jeśli ktoś by się pytał, nie było mnie tu, nie widziałeś mnie. Z jedną różnicą. Jeśli sprzedaż mnie za wyższą cenę... - wyciąga z kieszeni rewolwer - wróć, wsadzę ci to w dupę i wystrzelam naboje do końca. Rozumiemy się?

- Tak.

- To dobrze - mówi Scachi i chowa broń.

Wraca do samochodu i odjeżdża.

*

Callan i Nora idą do kościoła.

Są właśnie na jednej z popołudniowych przejazdów. Zjechali z autostrady do rezerwatu Kumeyaay, do starej misji świętej Izabeli. Jest to mały kościółek, niewiele większy niż kaplica, zbudowany w klasycznym stylu kalifornijskich misji.

- Chcesz wejść do środka? - pyta Callan.

- Z przyjemnością.

Podchodzą do małej abstrakcyjnej figury przed kościołem. Jest podpisana „Anioł zaginionych dzwonów”. Na tabliczce poniżej opisano historię, jak w latach dwudziestych ukradziono z misji dzwony i że parafianie wciąż modlą się o ich bezpieczny powrót, by kościół odzyskał swój głos.

Ktoś ukradł cholerne dzwony? - pyta sam siebie Callan w duchu. Typowe. Ludziom wszystko się przyda.

Wchodzą do kościoła.

Bielone wapnem ściany z suszonej na słońcu cegły kontrastują z ręcznie ciosanymi belkami z ciemnego drewna, które podpierają spękany sufit. Dolną część ścian wyłożono niepasującą, ale niedrogą, sosnową boazerią, nad nią znajdują się okna z witrażami przedstawiającymi świętych i stacje drogi krzyżowej. Dębowe ławki wyglądają na nowe. Ołtarz został kolorowo ozdobiony w stylu meksykańskim, z jaskrawo pomalowanymi figurami Matki Boskiej i świętych. Nora ma mieszane uczucia - nie postawiła stopy w kościele od pogrzebu Juana, a teraz wspomnienia o nim wracają.

Stoją razem przed ołtarzem.

- Chciałabym zapalić świecę - mówi Nora.

Callan idzie razem z nią i klękają przed świecami wotywnymi. Za świecą znajduje się figurka Dzieciątka Jezus, a za nią malowidło przedstawiające młodą, piękną kobietę z Kumeyaay, patrzącą nabożnie w niebo.

Nora zapala świecę, pochyla głowę i cicho się modli.

Callan klęczy i czeka na Norę. Patrzy na malowidło, które zajmuje całą prawą stronę ściany za ołtarzem. Jest to wizerunek Chrystusa na krzyżu, z dwoma łotrami ukrzyżowanymi obok Niego.

Nora klęczy bardzo długo.

Na zewnątrz mówi:

- Czuję się lepiej.

- Długo się modliłaś.

Opowiada mu o Juanie Paradzie. O ich przyjaźni i jej miłości do niego. Że to morderstwo Parady skłoniło ją do zdradzenia Adána.

- Nienawidzę Adána - mówi Nora. - Mam nadzieję, że trafi do piekła.

Callan nic nie odpowiada.

Wracają do samochodu. Mija może z dziesięć minut, kiedy Nora oznajmia:

- Seanie, muszę wracać.

- Dlaczego?

- Żeby złożyć zeznania przeciwko Adánowi. On zabił Juana.

Callan rozumie. Nie podoba mu się to, ale rozumie. Próbuje ją jednak od tego odwieść.

- A co ze Scachim i resztą? Nie sądzę, żeby oni chcieli byś zeznawała. Myślę, że chcą cię zabić.

- Sean, ja po prostu muszę wracać.

Callan kiwa głową.

- Zawiozę cię do Kellera.

- Jutro.

- Jutro.

Tej nocy leżą po ciemku w łóżku, słuchają świerszczy grających na zewnątrz i swoich oddechów. W oddali stado kojotów rozpoczyna kakofonię szczęknięć i wycia, potem znowu zapada cisza.

- Ja tam byłem - mówi Callan.

- Gdzie?

- Kiedy zabili Paradę. Uczestniczyłem w tym.

Za plecami czuje, że ciało Nory sztywnieje. Przestaje oddychać. Potem mówi:

- Na miłość boską, dlaczego?

Mija dziesięć, piętnaście minut, zanim Callan się odzywa. Zaczyna od chwili, kiedy jako siedemnastolatek pociąga za spust w Liffey Pub i zabija Eddiego Friela. Opowiada kilka godzin, rzucając spokojnie słowa w jej ciepły kark, mówi o ludziach, których zabił. Opowiada o morderstwach, jakie popełniał w Nowym Jorku, Kolumbii, Peru, Hondurasie, Salwadorze i Meksyku. Kiedy dochodzi do tego dnia na lotnisku w Guadalajarze, wyjaśnia:

- Nie wiedziałem, że to ma być on. Próbowałem ich powstrzymać, ale było za późno. Umarł w moich ramionach. Noro. Powiedział, że mi przebacza.

- Ale ty sobie nie wybaczyłeś.

Potrząsa głową.

- Jestem winny jak cholera. Jego śmierci. I tych wszystkich pozostałych.

Jest zaskoczony, kiedy Nora otacza go ramionami i ściska. Jego łzy kapią na jej szyję.

Kiedy Callan przestaje płakać, Nora zaczyna:

- Kiedy miałam czternaście lat...

Opowiada mu o wszystkich tych facetach. Klientach, numerkach, imprezach. O wszystkich tych gościach, którym robiła laski i którym się oddawała. Patrzy w jego oczy, szukając odrazy, ale jej nie znajduje. Potem opowiada mu, jak pokochała Paradę, jak chciała się zemścić i poszła z Adánem, jak stało się to przyczyną wielu śmierci, i jak to bolało.

Ich twarze są blisko siebie, usta prawie się dotykają.

Nora bierze jego rękę i wkłada ją pod dzinsową koszulę, na swoje piersi. Sean otwiera szeroko oczy ze zdumienia, ale ona kiwa głową, więc pieści jej sutek palcami, aż staje się twardy, jest jej dobrze, a kiedy zbliża się ustami do jej piersi, liże ją i ssie, czuje, że niemal rozkwita w jego ustach, a ona robi się wilgotna.

Sean jest podniecony. Nora sięga do jego dzinsów, a on jęczy jej w piersi. Wyjmuje mu penisa ze spodni i głaszcze, a on niepewnie zsuwa jej majtki i dotyka jej tam jednym palcem. Kobieta mówi: tak, dobrze, więc zagłębia palec w wilgotną szparkę i delikatnie pociera jej łechtaczkę, czuje, jak nabrzmięwa, twardnieje, a po chwili jej ciało wygina się w łuk, dziewczyna mruczy i jęczy, więc opuszcza głowę i ssie ją, liże, jakby chciał uzdrowić jej ranę. Jej ciało napręża się i wygina, Nora zaciska dłoń na jego ręce, gdy dochodzi, on głaszcze ją po szyi i włosach i mówi: tak dobrze, dobrze, a kiedy ona przestaje się wić, sięga po jego członka, żeby wziąć go do ust, ale on mówi: chcę być w tobie, może tak być? A ona mówi: tak. On pyta jeszcze raz: na pewno? Ona odpowiada: chcę, żebyś był we mnie.

Nora kładzie się na plecach, sięga po jego penisa i kieruje go w siebie, Sean delikatnie napiera, a ona zaciska na nim nogi i napiera na niego mocniej. Callan patrzy w dół na jej

piękną twarz, na jej piękne oczy, a ona uśmiecha się, gdy słyszy: Boże, jesteś taka piękna, więc unosi biodra, żeby wszedł w nią głębiej.

Mężczyzna wsuwa się i wysuwa, Nora cała jest dla niego wilgotnym ciepłem, cała mieni się srebrzyście od potu, głaszcze go po plecach, po pośladkach, po nogach i jęczy: tak dobrze, tak dobrze. Swym penisem dotyka tego miejsca, a na jej wargach pojawia się pot, więc go zlizuje, zlizuje pot z jej szyi. Czuje, jak pot spływa między piersiami Nory na jego pierś, z jej ud na jego, słodka lepka wilgoć między jej udami, którymi go oplata tak ciasno. Callan mówi: dochodzę, a ona odpowiada: tak, kochany. Dojdz we mnie, we mnie, więc zagłębia się w nią i zatrzymuje się. Czuje, jak jej pochwa zaciska się wokół niego, przytrzymuje go na miejscu, pulsuje i pulsuje, więc wytryskuje krzycząc, krzyczy ponownie, a potem opada na jej ciepłe ramiona i słyszy słowa Nory: uwielbiam, gdy jesteś we mnie.

Zasypiają w tej pozycji, on leży na niej.

Callan budzi się rano, Nora jeszcze śpi, więc idzie do miasta kupić coś na śniadanie, żeby obudzić ją zapachem naleśników z jagodami, kawy i bekonu.

Kiedy wraca, jej już nie ma.

15.

Przejście

*Pociąg wiezie świętych i grzeszników,
Pociąg wiezie przegranych i zwycięzców,
Pociąg wiezie dziwki i hazardzistów,
Pociąg wiezie zagubione dusze...*

Piosenka ludowa

San Diego

1999

Art spotyka się z Hobbsem w Organ Pavilion w Balboa Park. Rzędy białych metalowych krzeseł w ogromnym półokrągłym amfiteatrze zbiegają w dół w stronę sceny. Hobbs siedzi i czyta książkę w przedostatnim rzędzie. Obok niego, dwa siedzenia w lewo, siada Sal Scachi.

Jest ciepło. Zaczyna się wiosna.

Art siada obok Hobbsa.

- Są jakieś wieści o Norze Hayden? - pyta Art.

- Znamy się już tyle czasu, Arthurze - mówi Hobbs. - Wiele wody upłynęło.

- Co ty chcesz mi powiedzieć, John?

Chryste, Nora nie żyje?

- Przykro mi, Arthurze - mówi Hobbs. - Nie mogę ci pozwolić, żebyś postawił Adána Barrerę przed sądem. Musisz natychmiast go nam przekazać.

Ciągle to samo, ciągle to samo, myśli Art. Najpierw Tío, teraz Adán.

- To terrorysta, John! Zrozum to wreszcie! On kombinuje z FARC i...

- Otrzymałem gwarancje - mówi Hobbs - że *pasador* Barrery nie będzie więcej współpracował FARC.

- Gwarancje? - pyta Art. - Od Adána Barrery?

- Nie - mówi spokojnie Hobbs. - Od Miguela Ángela Barrery.

Art nic nie mówi.

- Wszystko wymknęło się spod kontroli, Arthurze. Poważni ludzie musieli wkroczyć,

zanim zrobiło się jeszcze gorzej.

- „Poważni” ludzie. Ty i Tío.

- Był przerażony, kiedy dowiedział się, że jego siostrzeniec trzyma z terrorystami - mówi Hobbs. - Szybko by z tym skończył, gdyby o tym wiedział. Teraz już wie. To dobre rozwiązanie, Arthurze. Adán Barrera może się okazać cennym źródłem informacji, jeśli znajdziemy powód, żeby go skłonić do współpracy.

Gówno prawda, myśli Art. Boją się tego, co Adán mógłby powiedzieć przed sądem. I mają czego. Ja bym na to nie poszedł, ale oni to zrobią. Już wszystko przemyśleli. Dadzą mu nową twarz, nową tożsamość, nowe życie.

Cholera, zrobią to.

- Nie możecie go dostać.

- Muszę ci przypomnieć - w głosie Hobbsa brzmi gniew - że prowadzimy wojnę z terroryzmem.

Art wystawia twarz na słońce i rozkoszuje się jego ciepłem.

- Wojna z terroryzmem, wojna z komunizmem, wojna narkotykowa. Zawsze jest jakaś wojna o coś.

- Obawiam się, że tak toczy się świat.

- Nie dla mnie - mówi Art. - Kończę z tym.

Wstaje.

- To musi się skończyć - ciągnie Art. - Musi się skończyć tak czy owak.

- Muszę ci znowu przypomnieć - mówi Hobbs - że uratujemy również twój tyłek. Twoja świętoszkowata aura moralnej wyższości jest, szczerze mówiąc, nie do zniesienia. I bezpodstawna, śmiem dodać. Jesteś zamieszany...

Art unosi rękę.

- On już mi złożył propozycję. Odrzuciłem ją. Zamierzam przekazać Adána Barrerę prokuraturze i postawić go przed sądem. Wtedy powiem wszystko. O tym, co stało się podczas operacji Kondor, o Cerberze, o Czerwonej Mgle.

Hobbs blednie.

- Arthurze, nie zrobisz tego.

- Przekonasz się.

Jeśli przed chwilą Hobbs zbladł, to teraz zaczął wyglądać jak duch.

- Myślałem, że jesteś patriotą.

- Bo jestem.

Art zaczyna odchodzić.

Naprawdę jest już wiosna - ogrody w parku tryskają kolorami, powietrze jest ciepłe, a ostatnie ślady zimy znikają. Art patrzy w dół na amfiteatr, po którym płaczą się dzieci na szkolnej wycieczce z nauczycielami, młodzi ludzie z kanapkami i turyści z aparatami i nosami w planach, a także starsi ludzie spacerujący powoli i cieszący się ciepłym powiewem wiosny.

Ładujący na pobliskim lotnisku w San Diego samolot robi masę hałasu i zagłusza słowa Johna Hobbsa. Art słyszy tylko „Nora Hayden”.

- Co?

- Mamy ją - mówi Hobbs. - Zrobimy zamianę.

Art odwraca się.

- Nie uratowałeś Erniego Hidalgo - mówi Hobbs - ale możesz ocalić Norę Hayden. To bardzo proste: daj mi Barrerę. W przeciwnym razie...

Nie musi kończyć groźby.

Wpakują jej kulkę w głowę.

- Most Cabrillo - ciągnie Hobbs. - Północ byłaby melodramatyczna. No to może, powiedzmy, trzecia nad ranem? O tej porze homoseksualiści już skończyli swoje randki, a biegacze jeszcze nie ruszyli w trasę. Ty przyprowadzisz Barrerę od zachodniej strony, a my pannę Hayden od wschodniej. I, Arthurze, jeśli ciągle jeszcze pałasz załosną żądzą spowiedzi, to sugerowałbym wyprawę do księdza. Jeśli myślisz, że ktokolwiek uwierzy lub w ogóle zwróci uwagę na tę twoją „prawdę”, to się gorzko rozczarujesz.

Hobbs wraca do swojej książki.

Gdzieś w cieniu Scachi wpatruje się w nieskończoną przestrzeń.

Art odchodzi.

- Mam się tym zająć? - pyta Scachi.

Hobbs kiwa głową. To smutne. Art Keller jest dobrym człowiekiem, ale strasznie zasadniczym, a prawda jest taka, że dobrzy ludzie muszą umrzeć na wojnie.

Art wraca do kryjówki, gdzie przebywa Adán.

- Będziesz miał swój układ - mówi Art.

*

Ostatnie zlecenie.

Tak mówi Scachi do Callana.

Tak, każde zlecenie ma być tym ostatnim.

Ale nie masz innego wyboru, jak mu uwierzyć, myśli Callan idąc przez Balboa Park.

Zrób to albo oni zabiją ją.

Kupuje bilet na *Zdradę* Harolda Pintera. Podczas przerwy wychodzi na papierosa i idzie na tyły teatru alejką oddzielającą go od szpitala dla zwierząt. Idzie uliczką aż do ogrodzenia z łańcuchów pod eukaliptusami, które porastają zbocze z widokiem na autostradę, a z lewej na most Cabrillo. Z tyłu osłania go budynek teatru, z boku szpital. Od autostrady zasłania go kilka przyczep stojących za szpitalem. Wyjmuje celownik od karabinu i ustawia go na Scachiego, który stoi na moście i pali cygaro. Broń ma zasięg prawie trzystu metrów.

To będzie łatwy strzał, nawet nocą.

Wraca na swoje miejsce i ogląda sztukę do końca.

*

Art stoi przed drzwiami i naciska na dzwonek.

Althea ślicznie wygląda.

Jest zaskoczona na jego widok, ale zadowolona.

- Arthurze...

- Mogę wejść?

- Oczywiście.

Prowadzi go na sofę w pokoju dziennym i siada obok niego. To mógł być mój dom, myśli Art, to powinien być mój dom. Z tym, że odrzuciłem to wszystko, żeby ścigać coś, co nie jest warte chwytania.

I ciebie też odrzuciłem, myśli, patrząc na Altheę.

Niewiele jest takich kobiet, które pięknieją z wiekiem. Zmarszczki od śmiechu tylko dodają jej uroku; nawet te od zmartwień są słodkie. Zauważył, że zrobiła sobie pasemka na włosach. Ma na sobie czarną bluzkę i džinsy, a na szyi złoty łańcuszek. Art pamięta, że dostała go od niego, nie może sobie tylko przypomnieć, czy to były urodziny, czy Walentynki. A może Gwiazdka.

- Michaela nie ma - mówi Althea. - Poszedł do kina z kolegami.

- Zobaczą się z nim następnym razem.

- Art, nic ci nie jest? Nie jesteś chory albo...

- Nie, wszystko w porządku.

- Bo wyglądasz jakby...

- Dawno temu - przerwał jej - chciałaś, żebym powiedział prawdę. Pamiętasz?

Althea kiwa głową.

- Żałuję jak cholera, że tego nie zrobiłem - mówi Art. - Żałuję, że z tobą nie pojechałem.

- Może nie jest jeszcze za późno.

Nie, myśli Art. Za późno. Wstaje z sofy.

- Lepiej już pójdę.

- Miło było cię zobaczyć.

- Ciebie też.

W drzwiach Althea uściskała go. Pocałowała w policzek.

- Uważaj na siebie Art, dobrze?

- Jasne.

Rusza do drzwi.

- Art?

Odwraca się.

- Przykro mi.

Wszystko gra, myśli. Tak naprawdę przyszedłem się pożegnać. Wie, że idzie prosto w zasadzkę. Chcą zabić jego i Norę na moście Cabrillo.

Ale nie mają wyboru.

*

Nora wsiada na tylne siedzenie z Johnem Hobbsem.

Jest dla niej bardzo szarmancki - stary dżentelmen w garniturze, białej koszuli, krawacie i płaszczu, chociaż noc jest ciepła.

Nora wygląda pięknie i dobrze o tym wie. Przefarbowała włosy z powrotem na blond, a oni kupili jej czarną sukienkę, która przylegała jej do ciała jak rękawiczka. Ma też diamentowe kolczyki, naszyjnik i szpilki. Do tego perfekcyjny makijaż, duże oczy i błyszczące czerwienią usta.

Czuje się jak dziwka.

Grasz rolę, więc musisz być odpowiednio ubrana, myśli.

Hobbs omawia z nią wszystko krok po kroku, ale ona już wie. Sal Scachi jej wytłumaczył. Musi tylko spotkać się z Adánem na środku mostu i wrócić z nim do samochodu.

Potem jest wolna, ona i Sean Callan.

Dostaną nowe tożsamości i nowe życia.

On ma czekać na nią na tyłach ich kryjówki jako zakładnik, żeby ona wypełniła swoją część zadania. Nie muszą się martwić, myśli Nora. Zabrnęłam już tak daleko. Co to dla niej, udawać miłość parę chwil dłużej?

Jedyną rzeczą, jaka martwi Norę, jest to, że Adán się z tego wszystkiego wywinie. CIA, bo bez wątplenia ci ludzie to CIA, przejmie go i roztoczy nad nim opiekę, więc nigdy nie zostanie ukarany za zamordowanie Juana.

Nie podoba jej się to wcale, ale zrobi to dla Seana.

A Juan zrozumie.

Prawda? - myśli Nora, wznosząc oczy do nieba. Powiedz mi, że rozumiesz, powiedz, że chcesz, abym to zrobiła. Powiedz, że wybaczasz mi grzechy, które popełniłam i ten, który popełnię za chwilę.

*

Sal Scachi patrzy na nią we wstecznym lusterku i mruga. Łatwo mu zrozumieć, że facet mógł dostać obsesji na jej punkcie. Nawet Callan się w niej zakochał, a Sean Callan to najzimniejszy drań, jaki kiedykolwiek stąpał po ziemi.

Hm, mam nadzieję, że będziesz o niej bardzo myślał dziś w nocy, Callan. Mam nadzieję, że to cię nieco rozproszy, ponieważ ja mam za zadanie zdjąć ciebie. Przykro mi, synu, ale musisz odejść. Nie mogę ryzykować, że kiedyś rozpuścisz język.

Wszystko jest zaplanowane. Strzelanina na moście, potem media zaczynają żałobne pienia nad bohaterskim Artem Kellerem, a za dzień lub dwa zmieniają front i ogłaszają go przekupnym gliną na usługach Barrery, który zrobił się zachłanny i dostał za swoje. Padł ofiarą jednego z płatnych morderców Barrery.

Słynnego Seana Callana.

Dostaniesz dziś nową tożsamość, Sean, chłopcze.

Tym razem zginiesz naprawdę.

John Hobbs rozkoszuje się zapachem damskich perfum.

Starsi ludzie, myśli, czerpią blaknące przyjemności, gdzie tylko mogą. Kiedyś, dawno temu, pewnie próbowalby ją uwieść. Jeśli, oczywiście, można mówić o uwodzeniu prostytutki. Teraz, niestety, wymaga od niej jedynie, żeby wypełniła swój obowiązek.

Przyprowadziła Adána Barrerę prosto do nas.

Hobbs nie ma w związku z tym wszystkim żadnych skrupułów, nie czuje też żalu w związku z nieszczęsnym losem, jaki czeka Arthura Kellera. Ale to konieczne.

Ach, no cóż, tamten świat jest idealny; ten z całą pewnością nie.

Wdycha zapach perfum kobiety.

*

Art jedzie na spotkanie własnym samochodem.

Adán siedzi za nim z rękami skutymi z przodu. Za piętnaście trzecia rano na ulicach są pustki. Art jedzie Harbor Drive, bo lubi patrzeć na żagłówki i na oświetloną przez księżyc wodę oraz sylwetki wieżowców w oddali.

Adán siedzi cicho z pełnym satysfakcji uśmiechem na twarzy.

- Wiesz co, Adánie? - pyta Art. - Ze względu na ciebie mam nadzieję, że piekło istnieje.

- Nie myśl sobie, że to koniec - mówi Adán. - Jeszcze nie dostałeś za Raúla.

Art zatrzymuje się, wysiada, wywleka Adána z samochodu i rzuca go na kolana. Keller wyciąga z kabury swoją trzydziestkę ósemkę i napawa się strachem w oczach Adána. Podnosi broń i wgniata lufę w twarz Barrery. Pierwszy cios rozcina mu policzek pod lewym okiem zostawiając brzydki krwawy ślad. Drugi łamie mu nos. Trzeci rozwała górną wargę i wybija dwa zęby.

Adán jęczy i pluje krwią.

- Żebyś wiedział, że ze mną nie ma żartów - mówi Art. - Niech mnie diabli wezmą. Przysięgam na Boga, że zatłukę cię na śmierć. Zrozumiałeś?

Adán kiwa głową.

- Kto kazał ci załatwić Paradę?

- Nikt, to był...

Tak, to był przypadek, myśli Art. I również przez przypadek Tío wyszedł z więzienia, przez przypadek Antonucci udzielił ci rozgrzeszenia. Wszystko to stało się przez pieprzony przypadek. Art szarpie go do góry za włosy i wpycha mu lufę w ucho.

- Kto kazał ci załatwić Paradę?

Kurwa, myśli Adán. Teraz nie ma to już najmniejszego znaczenia.

- Scachi - mówi.

Art kiwa głową. Tak właśnie myślałem, mówi w duchu.

Tak myślałem.

- Dlaczego?

- O wszystkim wiedział - mówi Adán. - Tak jak ja.

- Wiedział o Cerberze?

- Tak.

- I o Czerwonej Mgle?

- Też.

Art prowadzi go z powrotem do samochodu i wrzuca na tylne siedzenie.

Czas jechać na most.

*

Callan zajmuje pozycję.

Wyciąga z torby karabin snajperski, trójnóg, celownik i tłumik. Kładzie się na suchej trawie i celuje w most.

Nie powinno być większych problemów. Gdy tylko Keller przekaze Barrerę, Sal kiwnie

głową i Callan zdejmie Kellera. Potem sobie pójdzie.

Sal wróci, zabierze go z Park Boulevard i zawiezie go do Nory. Da im nowe paszporty, podrzuci do Los Angeles i wsadzi do samolotu do Paryża.

Nowe życie.

Układa się wygodniej i jest gotowy zabić Artę Kellera. Operacja Czerwona Mgła wraca do ojczyzny.

Most Cabrillo to fragment autostrady sześćdziesiąt trzy, w miejscu, gdzie przecina Balboa Park.

Art parkuje po zachodniej stronie przy murawie do gry w kule, gdzie przychodzą ubrani na biało starsi ludzie, żeby niespiesznie rozgrywać mecze w popołudniowym słońcu.

Otwiera drzwi i wyciąga Adána za łokieć, pokazuje mu trzydziestkę ósemkę, którą ma w kaburze na biodrze, i mówi:

- Z radością czekam na próbę ucieczki.

Wchodzą na most od zachodniego końca i idą na wschód, w stronę głównej części Balboa Park.

Kamienne płyty mostu złączają się w światłach latarni.

Z prawej strony Art widzi biurowce w centrum i ogromny czerwony neon „Hotel Cortez”.

Za nimi znajduje się port, ocean i most Coronado, strzelający w górę jak senne marzenie z Chicano Park w Barrio Logan, gdzie dorastał. Z lewej strony mają przepaść Palm Canyon, sekwoje i araukarie wyłaniają się z mroku na zachód od autostrady, na północny wschód jest ZOO w San Diego.

Na wprost przed nimi rozciąga się Balboa Park z California Tower górującą nad dwiema wysokimi palmami jak figurka na torcie weselnym. Sam most przechodzi w Prado, długą, szeroką aleję biegnącą między muzeami i ogrodami. Na końcu Prado z Balboa Plaza w niebo tryska słup wody.

Spacerował tędy wiele razy.

A więc zabili ojca Juana w ramach Czerwonej Mgły, myśli Art.

Na rozkaz Hobbsa.

Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu Art ma jasność sytuacji.

Teraz wszystko rozumie.

*

Callan mierzy w czoło Kellera, potem w jego pierś, potem znowu w czoło. Strzelaj w głowę, powiedział mu Scachi. Mafia narkotykowa strzela zdrajcom w głowę.

*

Art dostrzega reflektory samochodu skręcającego środkiem Prado i zmierzającego w ich stronę. Auto, czarny lincoln, zatrzymuje się na wschodnim krańcu mostu.

Art widzi, jak wychodzi z niego Scachi i otwiera tylne drzwi. Powoli wysiada Hobbs, opierając się ciężko na lasce, mimo że Scachi go podpira. Scachi obchodzi samochód i otwiera drzwi z drugiej strony. Z gracją wysiada z nich Nora, jak kobieta, która przywykła do tego, że mężczyźni otwierają przed nią drzwi.

Czuje, że ramię Adána sztywnieje.

Z samochodu wysiada ktoś jeszcze i Art z niedowierzaniem mruga oczami.

Człowiek jest już wiekowy. Ma siwe włosy i wąsy. Jest szczuplejszy, ale wciąż nosi się jak dżentelmen ze starego świata.

Jak zwykle szarmancki, Tío podaje Norze ramię.

*

Adán uśmiecha się na ten widok.

Nora wygląda uroczo, widać to nawet w przyćmionym świetle. Jakby odzyskała całą swoją świeżość, kobiecość. Chce do niej podbiec, ale Art go przytrzymuje. Nie ma to jednak większego znaczenia, i tak idą w ich stronę.

*

Nie podchodź za blisko.

Tak myśli Callan, patrząc na Norę idącą przez most. Po prostu doprowadź Barrerę i wracaj do samochodu. Nora nie wie, co tu się ma wydarzyć. Nie było powodu, żeby jej o tym mówić. Callan ma nadzieję, że będzie już bezpiecznie siedziała w aucie, kiedy on pociągnie za spust.

Nie trzeba, żeby znowu splamiła ją czyjaś krew.

*

Spotykają się nieco na zachód od środka mostu.

Scachi wychodzi naprzód, zbliża się do Arta i mówi:

- Nie chcę tu żadnej przemocy, Arthurze. Oddaj mi broń.

Art odsuwa połą marynarki, Scachi zabiera jego trzydziestkę ósemkę i zatyka ją za własny pasek. Potem odwraca Arta, opiera go o barierkę mostu i przeszukuje. Nie znajduje nic, więc gestem przywołuje resztę.

Art patrzy na Tío prowadzącego Norę pod rękę. Jakby szedł z nią do ołtarza.

Za nimi kuśtyka Hobbs.

Tío patrzy na ślady krwi na twarzy Adána i mówi do Arta:

- Nie zmieniłeś się, *mi sorbino*.
- Trzeba było ci wsadzić kulkę w łeb, kiedy miałem okazję.
- Trzeba było - potwierdza Tío. - Ale tego nie zrobiłeś.
- Co tutaj robisz?
- Przyszedłem, żeby mój siostrzeniec wiedział, że trafia w bezpieczne miejsce - mówi Tío. - I żeby nie został zamordowany. Widzę, że przybyłem w samą porę.

Ściska Adána, trzymając go obiema rękami za tył głowy, uważając, żeby nie pobrudzić garnituru krwią.

- *Mi sorbino*, Adanie, co oni ci zrobili?

- Miło cię widzieć, Tío.

- Proszę, zdejmij mu kajdanki - mówi Tío.

Art podchodzi do Adána, zdejmując kajdanki i popycha go naprzód.

Hobbs patrzy na Artę i stwierdza:

- Widzę, że dotrzymujesz słowa, Arthurze. Jesteś człowiekiem honoru.

Art potrząsa głową.

- Nie, wcale nie.

Chwyta Hobbsa, stawia staruszkę przed sobą niczym tarczę, lewą ręką łapie go za kark, a prawą za głowę. Jeden ruch i zabije go.

Scachi unosi broń, ale boi się strzelić.

- Odłóż broń, Sal albo skręcę mu kark.

- Zabiję cię, jak to zrobisz.

- Proszę bardzo.

Sal kładzie broń na most.

- A teraz moją.

Sal kładzie obok trzydziestkę ósemkę Kellera. Potem patrzy w górę na zbocze za Kellerem i kiwa głową.

*

Callan to widzi.

Ustawia muszkę na tyle głowy Kellera i bierze głęboki oddech.

Zmień swoje życie.

- Noro, wyrzuć jeden pistolet do wody, a drugi podaj mi - mówi Art.

Adán śmieje się.

Ale tylko do czasu, gdy Nora podnosi broń i wyrzuca przez barierkę.

- Co robisz?! - krzyczy Adán.

Nora patrzy mu prosto w oczy.

- To ja byłam *soplón*, Adánie. Cały czas to byłam ja.

Adán odrzuca głowę do tyłu.

- Kochałem cię.

- Zabiłeś człowieka, którego ja kochałam - mówi Nora. - A ciebie nie kochałam nigdy.

Podaje Artowi broń.

Sal patrzy przez ramię i krzyczy:

- Strzelaj!

*

Art odwraca się twarzą w stronę Strzelca.

Scachi wyciąga drugi pistolet zza paska i celuje w plecy Artu.

*

Callan śle pocisk prosto w głowę Scachiego.

Sal znika z celownika.

Tío pada na ziemię i chwyta broń Scachiego.

Art odwraca się.

Tío unosi pistolet.

Art dwukrotnie strzela mu w pierś.

Ręka Tío ostatkiem sił naciska na spust.

Kula przechodzi przez biodro Hobbsa i trafia Artu w nogę. Obaj upadają.

*

Hobbs podnosi się, bierze swoją laskę i próbuje uciekać przez most, zataczając się jak mocno wstawiony pijak.

Callan mierzy w wątłą pierś starca.

Na plecach Hobbsa wykwita czerwona plama.

Laska upada na kamień.

Art unosi się na kolana i widzi Adána klęczącego nad Tío.

Pistolet Adána wypala dwukrotnie, obie kule przelatują obok Artu.

Art celuje i strzela.

Pociski trafiają w martwe ciało Tío.

Adán strzela jeszcze raz.

Głowa Artu odskakuje do tyłu, w powietrzu pojawia się smuga krwi. Art upada plecami na barierkę, a jego broń spada na biegnącą dołem ulicę.

Adán mierzy w Norę.

- Padnij! - krzyczy Callan.

Nora pada na ziemię.

*

Adán też.

Leży na brzuchu i czołga się mostem, strzelając za siebie.

Callan nie może strzelić między barierkami, zresztą teraz nawet nie widzi Adána. Rzuca karabin i biegnie na most.

*

Adán podnosi się i zaczyna biec.

*

Ból jest nieznośny. Krew z głębokiej rany na czole zalewa Artowi oczy, więc prawie nie widzi. Słania się i zмага z narastającym zamroczeniem. Podnosi wzrok i widzi zarys sylwetki uciekającego Adána. Barrera wygląda jakby biegł w ruchomym domu, gdzie podłoga kiwa się to w jedną stronę, to w drugą.

Art z trudnością wstaje, potem upada, znowu wstaje.

Zaczyna biec.

*

Adán słyszy za sobą kroki.

Biegnij, biegnij, mówi do siebie. Wie, że nie musi przekraczać granicy, wystarczy, że dostanie się na barrio i zapuka do właściwych drzwi. Drzwi otworzą się dla Adána Barrery, a zamkną przed Artem Kellerem.

Biegnie więc Prado, pustym o tak wczesnej porze. Z obu stron wylaniają się ściany muzeów niczym mury zaginionego miasta. Jeśli uda mu się dotrzeć do Boulevard Park, będzie dobrze. Są tam tysiące miejsc, gdzie można ukryć się w ciemnościach, a potem przemknąć na barrio.

Jakieś pięćdziesiąt metrów przed sobą widzi już fontannę, która oznacza koniec Prado. Światło odbija się w słupie srebrzystej wody.

*

Art też ją widzi.

Wie, co to znaczy.

Adán minie ją i przepadnie, prawdopodobnie na dobre. Chłopaki z Dwudziestej Ósmej ukryją go, a potem przemycą przez granicę. Zmusza nogi do większego wysiłku, chociaż każdy krok wywołuje fale bólu w udzie.

W oddali słyszy głos syren i zastanawia się, czy są prawdziwe, czy dźwięczą tylko w

jego głowie.

*

Adán też je słyszy i nie przestaje biec.

Jeszcze kilka jardów i uda mu się.

Odwraca się, żeby sprawdzić, gdzie jest Keller.

*

Art skacze.

Chwyta Adána za ramiona i przerzuca go przez niski murek fontanny do wody.

Barrera wstaje, wyciąga rękę i wbija Artowi palce w oczy.

Głowa Kellera eksploduje bólem, ale nie puszcza koszuli Adána. Trzymaj go, powtarza sobie Art, trzymaj. Koszula rozrywa się i Adán zaczyna uciekać.

Art desperacko rzuca się na oślep, czuje pod sobą ciało, słyszy bulgot, kiedy Adán wypuszcza powietrze z płuc. Krew zabarwia wodę na czerwono w miejscu, gdzie Adán uderzył głową. Art chwyta go za włosy i zanurza mu głowę pod wodę.

Wyciąga, słyszy, że oddycha i zanurza jeszcze raz, przekrzykując hałas lejącej się wody:

- To za Erniego, skurwysynu! To za Pilar Méndez i jej dzieci! To za Ramosa!

Trzyma go mocno i rozkoszuje się tym, że mężczyzna kopie bezsilnie nogami, rozkoszuje się tym, że wróg drży, że cierpi, że umiera.

- To za El Sauzal!

Art mocniej przyciska głowę. Adán wierzga pod nim, jego plecy wyginają się, jakby miały się zaraz złamać. Art tego nie widzi - widzi martwe dziecko w ramionach matki. Czuje moc psich pazurów.

- To za ojca Juana! - krzyczy Art.

Zanurza i wyciąga głowę Adána z wody.

Dwaj mężczyźni klęczą w wodzie, z trudem łapią powietrze, wokół nich rozlewa się krew, woda przelewa się nad ich głowami.

Art widzi w oddali czerwone światła, widzi biegnących policjantów z bronią w rękach. Jedną ręką trzyma Adána za kark, drugą macha.

- Nie strzelać! Nie strzelać! - krzyczy. - Jestem gliną! To mój więzień! To mój więzień!

W oddali, jak na końcu długiego tunelu widzi idących w jego stronę Norę i Callana.

Potem wpada do wody.

Jest zimna i czysta.

Epilog

Niezidentyfikowane miejsce

Maj 2004

Maki kwitną.

Jasnopomarańczowe, czerwone kwiaty.

Art starannie je podlewa.

I delectuje się ironią.

Nie wsadzili go do więzienia. Sędzia postanowił, że były Pan Granicy nie przetrwałby w federalnym więzieniu ani jednego dnia. Był więc cały szereg bezpiecznych domów między składaniem zeznań, pozornie niekończącymi się sesjami przed nieskończoną liczbą komisji, a potem kolejne zesłanie w miejsce, gdzie będzie stosunkowo bezpieczny.

Tutaj jest od trzech miesięcy i zbliża się moment kolejnej przeprowadzki, ale cieszy się tym dniem, a jest dziś słonecznie i ciepło, cieszy się z ogrodu na zamkniętym podwórzu.

Cieszy się samotnością.

Licz tylko na siebie, myśli, odstawiając konewkę. Siada na ławce i opiera się o ścianę.

Ale niezupełnie.

Masz swoje duchy.

Nory już nie ma. Skończyła składanie zeznań i odeszła, by rozpocząć nowe życie. Art myśli sobie, że jest z Callanem, który również zniknął. To przyjemna myśl.

Adán odsiaduje dwanaście konsekwentnych dożywotnich wyroków w federalnym więzieniu, to również przyjemna myśl. Art siedział w sądzie i patrzył, jak odprowadzali go w kajdankach i z łańcuchem wokół kostek, a Adán krzyknął, że nagroda za jego głowę jest aktualna.

I kto wie, myśli Art, może ktoś ją zgarnie.

Po upadku Adána narkotyki przestały wypływać z Meksyku na jakieś piętnaście minut, a potem jego miejsce zajęły inne chłopaki z dzielnicy. Do kraju napływa więcej narkotyków niż kiedykolwiek.

W związku z zeznaniem Arta, Kongres wszczął intensywne śledztwo w sprawie operacji Cerber i Czerwona Mgła oraz obiecał działania. Jak dotąd nie zrobiono nic. Rząd wydaje miliardy dolarów rocznie na pomoc dla Kolumbii w zwalczaniu narkotyków. Większość idzie na helikoptery do walki z powstańcami. Wojna narkotykowa trwa.

Morderstwo kardynała Juana Parady zostało oficjalnie uznane za nieszczęśliwy wypadek.

Art uważa, że powinien być rozgoryczony.

Czasem próbuje być, ale smakuje to jak szydercza parodia poprzedniego życia, z którym skończył. Althie i dzieci - rany, oni już wcale nie są dziećmi - przyjeżdżają dziś po południu na krótką wizytę i Art chce być na ich przyjazd wesoły.

Nie wie, co się z nim stanie, jak długo będzie żył w tym stanie zawieszenia, czy w ogóle kiedykolwiek się to skończy. Traktuje to jako karę. Nadal nie jest pewny, czy wierzy w Boga, ale ma nadzieję, że Bóg istnieje.

I może to jest najlepsze, co możemy robić na tym świecie, myśli, wstając, żeby dalej podlewać kwiaty - uprawiać ogród i podtrzymywać nadzieję na istnienie Boga.

Chociaż wszystko świadczy o czymś przeciwnym.

Patrzy, jak woda skrzy się na płatkach.

I mruczy pod nosem dziwną modlitwę, którą gdzieś usłyszał, której do końca nie rozumie, ale która ciągle błąka mu się po głowie:

Ocal od miecza moje życie,

z psich pazurów wyrwij moje jedyne dobro.